

Jedenasta część cyklu SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



## LABIRYNT KOŚCI

# O książce

**Jakie są źródła naszej inteligencji?  
Skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy?  
Czy eksperymenty genetyczne to początek nowego  
rozdziału historii ludzkości?  
Czy początek końca?**

## **Wielki Skok**

Tak naukowcy nazywają eksplozję kreatywności homo sapiens, która nastąpiła przed pięćdziesięcioma tysiącami lat i wiązała się z rozwojem ludzkiego mózgu.

## **Atak na naukowców**

Grupa badaczy wysłana do systemu jaskiń w Chorwacji, gdzie znaleziono neandertalskie szkielety, zostaje zaatakowana. Nieznani sprawcy uprowadzają francuskiego paleontologa i brytyjskiego geologa i kradną znalezisko. Amerykance Lenie Crandall i watykańskiemu uczonemu udaje się ukryć przed napastnikami, są jednak uwięzieni w jaskiniach.

## **Urowadzenie w Atlancie**

Tego samego dnia komandosi wdzierają się do ośrodka badań nad naczelnymi pod Atlantą i porywają siostrę bliźniaczkę Leny i jej wyjątkowego podopiecznego – młodego goryla.

## **Akcja ratunkowa**

Agenci Sigma Force nie po raz pierwszy muszą się rozdzielić. Komandor Cray Pierce i jego partnerka Seichan podążają na pomoc Lenie Crandall, a Monk Kokkalis leci do Chin. Są bardziej

zdeterminowani niż kiedykolwiek, bo nie tylko ratują świat przed katastrofą – to akurat robią nie po raz pierwszy – ale muszą ocalić kolegę.

# JAMES ROLLINS

## LABIRYNT KOŚCI

Z angielskiego przełożył

JAN KABAT

Wydanie elektroniczne



# JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pletwonurek i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne (**Mapa Trzech Mędrców, Czarny zakon, Wirus Judasza, Klucz zagłady, Ołtarz Edenu, Kolonia Diabła, Linia krwi, Oko boga**), których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

[www.jamesrollins.com](http://www.jamesrollins.com)

## *Tego autora*

LODOWA PUŁAPKA  
AMAZONIA  
OŁTARZ EDENU  
EKSPEDYCJA  
PODZIEMNY LABIRYNT

### **Cykl SIGMA FORCE**

BURZA PIASKOWA  
MAPA TRZECH MĘDRCÓW  
CZARNY ZAKON  
WIRUS JUDASZA  
KLUCZ ZAGŁADY  
OSTATNIA WYROCZNIA  
KOLONIA DIABŁA  
LINIA KRWI  
OKO BOGA  
SZÓSTA APOKALIPSA

**James Rollins, Rebecca Cantrell**  
**Cykl ZAKON SANGWINISTÓW**

EWANGELIA KRWI  
NIEWINNA KREW

*Wkrótce*

PIEKIELNA KREW

Tytuł oryginału:  
THE BONE LABYRINTH

Copyright © James Czajkowski 2015  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Jan Kabat 2016

Redakcja: Marta Grał

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-370-0

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

# Spis treści

Okładka

O książce

Strona tytułowa

O autorze

Tego autora

Strona redakcyjna

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Zapiski historyczne

Zapiski naukowe

Motto

Część pierwsza. Krew i cienie

Część druga. Szczątki Ewy

Część trzecia. Zaginione miasto

Epilog. Dziesięć lat później

Nota od autora. Prawda czy fikcja

Uwagi końcowe



*Dla Warped Spacers,  
grupy, która wspomagała mnie od samego początku...  
I dzięki której wciąż wypadam dobrze.*

# Podziękowania

Tak wielu ludzi pozostawiło na tej książce swoje odciski palców. Doceniam ich wszelką pomoc, krytyczne uwagi i zachętę. Przede wszystkim muszę podziękować moim pierwszym czytelnikom, pierwszym redaktorom i kilkorgu najlepszych przyjaciół. Są to: Sally Anne Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O’Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Scott Smith, Judy Prey, Caroline Williams, Christian Riley, Tod Todd, Chris Smith i Amy Rogers. I, jak zwykle, na szczególne podziękowania zasługuje Steve Prey za wspaniałe mapy... i Cherei McCarter za niesamowite wiadomości, które pojawiały się w mojej skrzynce e-mailowej! Także David Sylvian za spełnianie wszystkiego, o co prosiłem, i pilnowanie, bym pokazywał się – cyfrowo – od jak najlepszej strony! Dziękuję wszystkim w wydawnictwie HarperCollins za bezustanne wsparcie. Oto oni: Michael Morrison, Liate Stehlik, Danielle Bartlett, Kaitlyn Kennedy, Josh Marwell, Lynn Grady, Richard Aquan, Tom Egner, Shawn Nicholls i Ana Maria Alessi. Na koniec, oczywiście, szczególne wyrazy uznania pod adresem ludzi odgrywających znaczącą rolę na każdym etapie powstawania książki – to moja redaktorka Lyssa Keusch i jej współpracownica Rebecca Lucash, moi agenci Russ Galen i Danny Baror (wraz z ich córką Heather Baror). I, jak zawsze, muszę podkreślić, że odpowiedzialność za wszelkie błędy w tej książce, dotyczące zarówno faktów, jak i szczegółów, spada wyłącznie na moje barki; mam nadzieję, że nie ma ich zbyt wiele.



# Zapiski historyczne

W *Labiryncie kości* główną rolę odgrywają dwie postacie historyczne: księża, których życie dzieliły wieki, ale których złączył los.

Ojciec Atanazy Kircher uchodził w XVII wieku za Leonarda da Vinci zakonu jezuitów. Podobnie jak da Vinci, duchowny ów opanował do mistrzostwa wiele dziedzin wiedzy. Studiował medycynę, geologię i egiptologię, konstruował też skomplikowane urządzenia, między innymi zegar magnetyczny (którego kopia znajduje się w Green Library Uniwersytetu Stanforda). Ten renesansowy człowiek i jego dzieła oddziaływały przez wieki na wybitne jednostki, takie jak Kartezjusz i Newton, Jules Verne i Edgar Allan Poe.

I nie tylko na nich.

Ojciec Carlos Crespi urodził się wieki później, w roku 1891. Zainspirowany dokonaniem Kirchera, stał się mnichem o rozlicznych talentach. Był botanikiem, antropologiem, historykiem i muzykiem. W końcu osiedlił się jako misjonarz w niewielkim miasteczku w Ekwadorze, gdzie przez pięćdziesiąt lat pełnił służbę bożą. Właśnie tam wszedł w posiadanie ogromnego skarbu – pradawnych złotych artefaktów, dostarczanych mu przez rdzennych mieszkańców regionu z plemienia Shuarów. Przedmioty te pochodziły rzekomo z rozległego systemu jaskiń ciągnących się przez całą szerokość Ameryki Południowej i skrywających, jak głoszono, zaginioną bibliotekę pradawnych ksiąg z metalu i kryształu. Relikty te opatrzone były zagadkowymi rysunkami i nieznanym pismem.

Niektórzy archeologowie uważali, że artefakty te są wynikiem fałszerstwa; inni wierzyli w opowieści duchownego dotyczące ich pochodzenia. Tak czy inaczej, w roku 1962 doszło do tajemniczego pożaru, który strawił muzeum, gdzie przechowywano większość tych przedmiotów, te zaś, które ocalały, znalazły się pod kluczem ekwadorskich władz.

W jakim stopniu opowieść ojca Crespiego jest prawdą, a w jakim czystym zmyśleniem? Nie wiadomo. Mimo wszystko nikt nie kwestionuje, że ten pobożny mnich wierzył w to, co mówi, ani tego, że taki skarb istniał.

Co więcej, w roku 1976 na poszukiwanie podziemnej biblioteki wyruszył zespół wojskowo-naukowy, który ostatecznie dotarł do niewłaściwego systemu jaskiń. Dziwnym trafem ekspedycją tą kierował Amerykanin – nie kto inny, jak Neil Armstrong, pierwszy człowiek, który stanął na Księżycu.

Co skłoniło do owej wyprawy tego amerykańskiego bohatera samotnika – człowieka, który rzadko udzielał wywiadów? Odpowiedź ma związek z jeszcze większą tajemnicą, podważającą fundamenty naszego miejsca w świecie.

# Zapiski naukowe

Fundamentalna tajemnica związana z naszym pochodzeniem – z tym, co czyni nas ludźmi – zawiera się w jednym pytaniu: Dlaczego jesteśmy tacy mądrzy?

Ewolucja ludzkiej inteligencji wciąż stanowi dla naukowców i filozofów zagadkę. Owszem, można prześledzić rozwój naszego mózgu od najwcześniejszych hominidów aż do pojawienia się około 200 tysięcy lat temu *Homo sapiens*. Nie wiadomo jednak, dlaczego nasz gatunek – nagle i w sposób niewytłumaczalny – przed 50 tysiącami lat rozwinął inteligencję.

Antropologowie nazywają ten moment w czasie Wielkim Skokiem. Ujawnia się on w skamielinach jako gwałtowna erupcja sztuki i muzyki, a nawet postęp w rozwoju oręcza. Pod względem anatomicznym w rozmiarach naszego mózgu nie zmieniło się nic, co mogłoby wytłumaczyć ten niespodziewany rozwój pomysłowości, a jednak, aby mogło dojść do tak nagłego rozwoju, jeśli chodzi o inteligencję i świadomość, musiało wydarzyć się coś fundamentalnego. Mnożą się teorie przypisujące ów fakt zmianom klimatycznym i mutacjom genetycznym, wskazuje się nawet na dietę i rodzaj pokarmów.

Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że przez ostatnie 10 tysięcy lat nasze mózgi się kurczyły – dzisiaj są mniejsze o całe 15 procent. Co oznacza ta zmiana? Co zwiastuje na przyszłość? Odpowiedź zawiera się być może w rozwiązaniu zagadki Wielkiego Skoku. Jak dotąd jednak nie pojawiło się niepodważalne wyjaśnienie owego kluczowego momentu w historii ludzkości.

Do dnia dzisiejszego.

Biorąc pod uwagę to, co zostaje ujawnione w tej książce, rodzi się jeszcze bardziej niepokojące pytanie: Czy stoimy u progu drugiego Wielkiego Skoku, czy też jesteśmy skazani na to, by po raz kolejny się cofnąć?

*Inteligencja stanowi przypadek ewolucji i niekoniecznie korzyść.*

Isaac Asimow

*Miarą inteligencji jest zdolność do zmian.*

Albert Einstein



Jesień, 38 000 lat p.n.e.

Południowe Alpy

– Biegnij, dzieciaku!

Las za ich plecami rozświetlały ognie. Przez cały miniony dzień płomienie gnały K'ruka i jego córkę w coraz wyższe partie zaśnieżonych gór. Ale to nie dławiący dym czy palący żar budziły największy strach K'ruka. Patrzył uważnie za siebie, starając się dostrzec myśliwych, którzy podpalili las podczas pościgu, lecz nigdzie nie zauważył śladu wroga.

Słyszał jednak w dali wycie wilków, wielkich bestii poddających się woli myśliwych. Wydawało się, że wataha jest teraz bliżej, zaledwie w sąsiedniej dolinie.

Spojrzał z troską ku słońcu usadowionemu tuż przy horyzoncie. Czerwonawa poświata na niebie przypomniała mu o obietnicy ciepła, które tam czekało, o jaskiniach biegnących pod zielonymi wzgórzami i czarną skałą, gdzie wciąż płynęła woda, o gęstwinie na niższych zboczach, rojących się od jeleni i bizonów.

Wyobraził sobie płonące jasno domowe ognie, mięso na ruszcie ociekające tłuszczem, który spada w sykliwe płomienie, klan zbierający się w jednym miejscu przed nocnym spoczynkiem. Tęsknił do tego dawnego życia, choć wiedział, że owa ścieżka jest już dla niego zamknięta – a zwłaszcza dla córki.

Usłyszawszy przenikliwy krzyk bólu, spojrzał przed siebie. Onka poślizgnęła się na omszałym kamieniu i upadła ciężko na ziemię.

Zwykle trzymała się pewnie na nogach, ale uciekali od trzech długich dni.

Pospieszył do niej i dźwignął ją, młode oblicze lśniło od strachu i potu. Przez chwilę dotykał jej policzka. W delikatnych rysach twarzy córki dostrzegał cień jej matki, uzdrowicielki klanu, która umarła krótko po urodzeniu Onki. Zanurzył palec w ognistych włosach dziewczynki.

Takie jak u twojej matki...

Zauważył jednak w jej twarzy coś więcej – wszystko, co czyniło ją odmienną. Nawet jako dziewczynka licząca sobie zaledwie dziewięć wiosen nos miała cieńszy niż ktokolwiek z klanu K'ruka. Jej czoło było gładkie, nie tak grubo ciosane. Patrzył w niebieskie oczy, jasne jak letnie niebo. Ten ich błysk i rysy wskazywały, że jest istotą mieszaną, kimś, kto kroczy w połowie drogi między ludem K'ruka a tymi, którzy przybyli niedawno z południa, osobnikami o cieńszych kończynach i szybszej mowie.

Powiadano, że tak wyjątkowe dzieci są omenami i że fakt ich narodzin dowodzi, iż dwa plemiona – nowe i dawne – są w stanie żyć w pokoju. Pewnie nie w tych samych jaskiniach, ale mogą dzielić tereny łowieckie. I gdy te dwa plemiona zaczęły się do siebie zbliżać, rodziło się więcej dzieci podobnych Once. Otaczano je czcią. Patrzyły na świat innymi oczami, zostawały wielkimi szamanami, uzdrowicielami albo myśliwymi.

A potem, przed dwoma dniami, przybył mieszkaniec sąsiedniej doliny. Był śmiertelnie ranny, ale wciąż miał dość siły, by ostrzec przed potężnym wrogiem, przed rozlewającą się po górach kłatwą. W sąsiedniej dolinie zjawił się w znacznej sile tajemniczy klan, który polował na tak wyjątkowe istoty jak Onka. Żadnemu plemieniu nie wolno było dać schronienia takim dzieciom. Te, które to czyniły, wyrzynano.

Usłyszawszy to, K'ruk pojął, że nie może narażać swego klanu ani pozwolić, by Onkę zabrano. Uciekł więc z córką, ktoś jednak musiał powiedzieć o tym wrogowi.

Powiedzieć o Once.

Nie pozwolę, by cię wzięli.

Wziął ją za rękę i ruszył szybszym krokiem, ale już wkrótce dziewczynka częściej się potykała, niż szła przed siebie, kulejąc z powodu zranionej kostki. Kiedy wspięli się na grań, wziął ją na rękę i spojrzał na rozciągający się w dole las. U jego krawędzi płynął strumień. Obietnica wody.

– Możemy tam odpocząć – powiedział, wskazując to miejsce. – Ale tylko na krótką...

Z lewej strony dobiegł trzask gałęzi. Przykucnąwszy czujnie, K'ruk posadził córkę na ziemi i uniósł dzidę z kamiennym grotem. Zza osłony zwalonych drzew wyłoniła się szczupła postać odziana w skóry reniferów. Ich spojrzenia się spotkały. Choć nie padło słowo, K'ruk wiedział, że ten ktoś jest – jak Onka – narodzony z odmiennych duchów. Po jego ubiorze i skórzanym sznurze, którym przewiązywał kudłate włosy, można się było jednak zorientować, że nie pochodzi z klanu K'ruka, lecz z jednego z plemion o szczupłych kończynach, które zjawily się w górach później.

Za ich plecami rozległo się wycie; wydawało się jeszcze bliższe.

Obcy przekrzywił głowę i zaczął nasłuchiwać; potem uniósł dłoń i skinął. Padły słowa, ale K'ruk ich nie zrozumiał. W końcu tamten po prostu zamachał ręką, wskazując strumień, po czym ruszył w dół zalesionego zbocza.

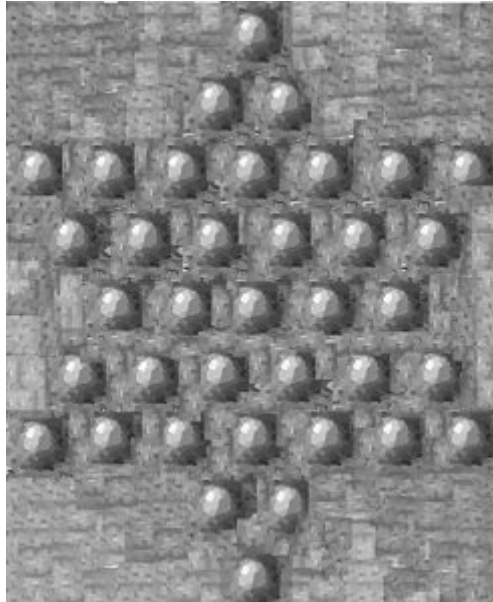
K'ruk zastanawiał się, czy podążyć za nim, lecz po chwili znów usłyszał wycie wrogich wilków, pospieszył więc za swym przewodnikiem. Z Onką w ramionach niemal biegł, by dotrzymać kroku zwinnemu człowiekowi. Gdy dotarli do strumienia, okazało się, że czekają tam już na nich inni, dziesięcio-, dwunastoosobowa grupa; niektórzy byli młodszy od Onki, inni garbili się ze starości. Nosili znaki różnych klanów.

Coś ich jednak łączyło.

Wszyscy byli owocem odmiennych duchów.

Obcy podszedł bliżej i osunął się na kolano przed Onką; dotknął palcem jej czoła i przesunął nim po jej policzku, bez wątpienia rozpoznając w dziewczynce jedną ze swoich.

Córka K'ruka też wyciągnęła rękę i dotknęła znaku na czole obcego: blizn ułożonych we wzór o dziwnym spiczastym kształcie.



Onka wodziła palcem po gruzelkach, jakby znajdowała w nich ukryte znaczenie. Mężczyzna się uśmiechnął – najwyraźniej wiedział, że dziewczynka rozumie.

Wyprostował się i położył sobie dłoń na piersi.

– Teron – przemówił.

K'ruk wiedział, że to jego imię, ale obcy powiedział coś potem szybko, machając na jednego ze starszych, który wspierał się ciężko na grubym sękatym kiju.

Starzec podszedł i odezwał się w mowie ludu K'ruka.

– Teron mówi, że dziewczynka może się do nas przyłączyć. Wyruszymy przez wysoką przełęcz, którą Teron zna i która jest wolna od lodu, ale jeszcze tylko przez kilka dni. Jeśli zdążymy przed wrogiem, myśliwi zgubią nasz ślad.

– Dopóki śniegi się nie roztopią. – K'ruk nie krył troski.

– Upłynie jeszcze wiele księżyców, my zaś do tej pory umkniemy, a ślady po nas znikną.

Dobiegające z dali wycie wilków przypomniało im, że w tej chwili ich ślady są widoczne.

Starszy człowiek zdawał sobie z tego sprawę.

– Musimy wyruszać, zanim nas dopadną.

– I zabierzecie moją córkę? – spytał K'ruk, popychając Onkę ku Teronowi.

Ten chwycił K'ruka za ramię i ścisnął je mocnymi palcami, składając w milczeniu obietnicę.

– Przyjmiemy ją – zapewnił stary człowiek. – I będziemy jej strzec. Lecz w czasie tej długiej wędrówki przydadzą się nam twoje silne plecy i ostra włócznia.

K'ruk cofnął się o krok i mocniej ujął drzewce swej broni.

– Wrogowie nadchodzą zbyt szybko. Do utraty tchu będę odwodził ich od waszych śladów albo powstrzymywał dostatecznie długo, byście mogli dotrzeć do przełęczy.

Napotkał spojrzenie córki, w której załzawionych oczach malowało się zrozumienie.

– Ojciec...

Poczuł ból w piersi.

– To jest teraz twój klan, Onko. Ci ludzie zabiorą cię do lepszej krainy, gdzie będziesz bezpieczna i wyrośniesz na silną kobietę. Jestem tego pewien.

Dziewczynka wyrwała się z objęć Terona, podbiegła do ojca i zarzuciła mu ręce na szyję.

Z żalem, który dławił go tak jak córkę, uwolnił się od niej i przekazał ją Teronowi, ten zaś otoczył dziewczynkę ramieniem. K'ruk nachylił się i dotknął czołem czoła Onki; żegnając się z nią, wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Potem wyprostował się, odwrócił i oddalił od strumienia, by ruszyć w górę zbocza, skąd dochodziło wycie wilków – ale on słyszał jedynie za plecami żałosny płacz córki.

Żyj dobrze, moje dziecko.

Zaczął się wspinać szybciej, zdecydowany chronić ją za wszelką cenę. Gdy dotarł do grani, pospieszył w stronę, z której dochodziło

zawodzenie bestii posłusznych myśliwym. Nawoływania napływające z sąsiedniej doliny nabrały mocy.

Ruszył biegiem, sadził wielkie susy.

Gdy słońce się zniżyło, pogrążając dolinę w cieniach, dotarł do następnej grani. Zwolnił kroku i zaczął schodzić po zboczu uważniej, czujniej, zwłaszcza że wilki w tej chwili ucichły. Podążał nisko pochylony, od cienia do cienia, po nawietrznej, przy każdym kroku zważając, by nie nadepnąć na gałąź.

W końcu, gdy mógł dojrzeć dno doliny, dostrzegł jakiś ruch. Wilki. Jedna z bestii ukazała w całej pełni swój kształt, który w niczym nie przypominał wilka. Sierść miała gęsto skołtunioną. Masywny tułów pokrywały blizny. Wargi cofnęły się, obnażając długie żółte kły.

Choć serce waliło mu w piersi, K'ruk wciąż kucał, czekając, aż pojawią się władcy tych monstrualnych potworów.

Wreszcie zza drzew wyłoniły się wyższe kształty. Największy z nich stanął w całej okazałości i po raz pierwszy odsłonił swe oblicze.

K'ruk zamarł na ten widok i poczuł, jak ogarnia go lodowate przerażenie.

Nie, to niemożliwe...

Mimo wszystko ścisnął włócznie mocniej i zerknął przez ramię. Uciekaj, Onko. Uciekaj i nigdy się nie zatrzymuj.

Rzym, Państwo Kościelne

Wiosna 1669

Nicolaus Steno prowadził młodego emisariusza przez czeluści muzeum Collegium Romanum. Obcy miał na sobie gruby płaszcz, a jego buty były zabłocone – świadectwo pośpiechu i działania w ukryciu.

Niemiecki posłaniec przybywał od Leopolda I, Świętego Cesarza Rzymskiego na północy. Przesyłka, którą wiózł, przeznaczona była dla drogiego przyjaciela Nicolausa, ojca Atanazego Kirchera, twórcy tego muzeum.

Emisariusz patrzył z otwartymi ustami na liczne osobliwości, które tu zgromadzono: egipskie obeliski, mechaniczne cuda, które tykały i pomrukiwały, strzeliste kopuły w górze, ozdobione znakami astronomicznymi. Spojrzenie młodego człowieka przyciągnęła bryła bursztynu z zachowaną we wnętrzu jaszczurką.

– Nie ociągaj się – pouczył Nicolaus wysłannika i pociągnął go za sobą.

Znał każdy zakątek tego miejsca, wszystkie opracione woluminy, w większości dzieła pana owego muzeum. Spędził tu niemal cały rok, przysłany przez swego dobroczyńcę, wielkiego księcia Toskanii, w celu przestudiowania znajdujących się w tym miejscu skarbów, tak aby móc stworzyć własny gabinet osobliwości w książęcym pałacu we Florencji.

Wreszcie dotarł do wysokich dębowych drzwi i załomotał w nie pięścią.

– Wejść – odpowiedział głos z drugiej strony.

Nicolaus pociągnął masywne drzwi i wprowadził emisariusza do niewielkiego gabinetu, oświetlonego przez głównie z zamierającym ogniem.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, wielbny ojcze.

Niemiecki wysłannik osunął się bezzwłocznie na jedno kolano przed szerokim biurkiem i skłonił głowę.

Człowiek pochylony nad stosem ksiąg wydał przeciągłe westchnienie. Trzymał gęsie pióro, którego czubek zastygł nad wielkim pergaminem.

– Zjawileś się, by znów przejrzeć mój zbiór? Powinienem cię uprzedzić, że numeruję zgromadzone tu księgi.

Na twarzy Nicolausa pojawił się uśmiech.

– Obiecuję zwrócić ci mój egzemplarz *Mundus Subterraneus*, gdy tylko obalę w pełni wiele z twych twierdzeń, które są tam zawarte.

– Czyżby? Rozumiem, że wprowadzasz ostatnie poprawki do własnego dzieła dotyczącego podziemnych tajemnic skał i kryształów.

Nicolaus skłonił w odpowiedzi głowę.

– W rzeczy samej. Lecz zanim ci je przedstawię, z pokorą przyjmę wnikliwą analizę kogoś takiego jak ty.

Gdy przybył tu przed rokiem, obaj spędzili wiele długich nocy na głębokich dyskursach odnoszących się do licznych aspektów nauki, teologii i filozofii. Choć Kircher był starszy o trzydzieści siedem lat i zasługiwał na szacunek, cenił każdego, kto był gotów rzucić mu wyzwanie. Na dobrą sprawę już przy pierwszym spotkaniu obaj spierali się zajadle o pracę, którą Nicolaus ogłosił drukiem dwa lata wcześniej, a w której dowodził, że *glossopetrae* czy też „kamienne języki” osadzone w skałach to w rzeczywistości zęby pradawnych rekinów. Ojciec Kircher przejawiał podobne zainteresowanie kośćmi i relikdami przeszłości zachowanymi w warstwach skalnych. Prowadzili gorące debaty nad genezą owych tajemnic. I w takim to



tygłu poszukiwań naukowych zaczęli żywić wobec siebie podziw, szacunek i ponad wszystko przyjaźń.

Spojrzenie ojca Kirchera spoczęło na emisariuszu, wciąż wspierającym się na kolanie przed zasłanym księgami biurkiem.

– A kim jest twój towarzysz?

– Przybywa z przesyłką od Leopolda Pierwszego. Wydaje się, że cesarz zapamiętał dostatecznie dużo ze swej jezuickiej edukacji, by dostarczyć ci coś ważnego. Zwrócił się do wielkiego księcia, by ten nakazał mi przedstawić ci tego człowieka niezwłocznie i z zachowaniem wszelkiej tajemnicy.

Ojciec Kircher odłożył gęsie pióro.

– Intrygujące.

Obaj wiedzieli, że obecny cesarz przejawia zainteresowanie nauką i światem natury, wpojone mu przez uczonych jezuickich, którzy czuwali nad edukacją władcy, gdy ten był młody. Dopóki śmierć starszego brata z powodu ospy nie zmusiła Leopolda do zajęcia tronu na zimnej północy, był on przeznaczony do stanu duchownego.

Ojciec Kircher pomachał do posłańca.

– Dość tej śmiesznej pozy, mój dobry człowieku. Wstań i przekaz mi to, z czym wyprawiono cię w tak długą drogę.

Emisariusz podniósł się i ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając twarz młodzieńca, który nie mógł liczyć sobie więcej niż dwadzieścia wiosen. Wyjął z sakwy podróżnej grubą kopertę zalakowaną cesarską pieczęcią. Zbliżył się do biurka, położył ją na nim, po czym szybko się cofnął.

Kircher zerknął na Nicolausa, a ten wzruszył jedynie ramionami, dając tym do zrozumienia, że też nie zna szczegółów sprawy.

Duchowny wziął do ręki nóż i przeciął pieczęć; gdy otworzył kopertę, wysunął się z niej niewielki przedmiot i spadł na biurko. Była to kość w otoczce krystalicznej skały. Marszcząc czoło, Kircher wyjął z koperty dołączony do przesyłki pergamin i rozłożył go. Nawet z odległości kilku kroków Nicolaus mógł się zorientować, że

jest to szczegółowa mapa wschodniej Europy. Ojciec Kircher studiował ją przez krótką chwilę.

– Nie pojmuję znaczenia tego wszystkiego – wyznał. – Tej mapy i tego kawałka starej kości. Nie ma tu listu objaśniającego.

Emisariusz odezwał się wreszcie w języku włoskim, naznaczonym silnym akcentem:

– Cesarz wybrał mnie, bym przekazał drugą połowę wiadomości, słowa, które przysiągłem powierzyć swej pamięci i ujawnić jedynie tobie, wielebny ojciec.

– I co to za słowa?

– Cesarz zna ciekawość, którą żywisz wobec pradawnej przeszłości, wobec sekretów zagrzebanych w trzewiach Ziemi, i prosi cię o pomoc w zbadaniu tego, co zostało odkryte w miejscu zaznaczonym na mapie.

– Cóż można tam znaleźć? – spytał Nicolaus. – Więcej kości takich jak ta? – Podszedł do biurka i przyjrzał się skamielinie w otoczce białawej skały. Wyczuwał niezmierną pradawność tego, na co patrzył.

– I do kogo należą te kości? – spytał Kircher. – W czym spoczywają grobie?

Młody człowiek odpowiedział, a jego słowa były szokujące. A potem, nim któryś z mężczyzn zdążył się odezwać, emisariusz dobył szybkim ruchem sztylet i poderznął sobie gardło od ucha do ucha. Trysnęła krew, gdy się zakrztusił i osunął, najpierw na kolana, a potem na podłogę.

Nicolaus rzucił się na ratunek młodemu człowiekowi, przeklinając tak brutalną konieczność. Wydawało się, że te ostatnie słowa przeznaczone były jedynie dla ojca Kirchera i dla niego, a raz wypowiedziane, nigdy nie miały być powtórzone.

Ojciec Kircher wyszedł zza biurka i przyklęknął, ujmując rękę młodzieńca w dłoń.

– Czy mogłaby to być prawda? – zwrócił się do Nicolausa.

Ten przełknął z trudem ślinę, zatrwożony tą ostatnią wieścią,  
wypowiedzianą przez skrwawione teraz usta.

*Te kości... to szczątki Adama i Ewy.*

CZEŚĆ PIERWSZA  
**KREW I CIENIE**

Σ

# 1

Župania Karlowacka, Chorwacja

29 kwietnia, godzina 10.32 czasu miejscowego

Nie powinno nas tu być.

Cień przesądnego strachu sprawił, że Roland Novak zatrzymał się na serpentynie szlaku. Osłonił oczy przed blaskiem porannego słońca i wlepił wzrok w skalisty wierzchołek. W dali gromadziły się czarne chmury.

Według chorwackich podań ludowych – opowieści, których nasłuchał się w dzieciństwie – podczas burzowych nocy na szczycie góry Klek zbierały się czarownice i wróżki, a ich krzyki słychać było aż w sąsiednim mieście Ogulin. Krążyły historie o nieostrożnych i pechowych nieszczęśnikach, których spotykał koszmarny los.

Dzięki takim legendom szczyt góry pozostawał przez wieki nietknięty ludzką stopą. Jednakże zmieniło się to w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci, gdy strzeliste urwiska grani zaczęły w coraz większym stopniu przyciągać miejscowych wspinaczy. Nie to jednak stanowiło powód, dla którego Roland i pozostali zdecydowali się tego ranka na ryzyko pokonania północnej ściany.

– To już niedaleko – zapewnił Alex Wrightson. – Będzie najlepiej, jak wyjdziemy stamtąd przed burzą.

Brytyjski geolog, który prowadził ich czwórkę, sprawiał wrażenie równie twardego jak te szczyty, ale musiał być pod siedemdziesiątkę. Pomimo chłodu nosił krótkie spodnie khaki, odsłaniając mocne, żyłaste nogi. Białe jak śnieg włosy, gęstsze niż

rzednąca blond czupryna Rolanda, chowały się pod kaskiem alpinistycznym.

– Mówi tak już po raz trzeci – mruknęła Lena Crandall do Rolanda. Jej pokryte cienką warstwą potu policzki błyszczały po godzinie wspinaczki, mimo to nie wyglądała na zmęczoną. Miała jednak tylko dwadzieścia kilka lat, a jej znoszone buty wskazywały, że często chodzi po górach. Popatrzyła w niebo, obserwując strzelistą ścianę ciemnych chmur. – Na szczęście zdążyłam przyjechać tu dzień wcześniej. Kiedy zacznie się burza, te góry utoną w wodzie, nie wiadomo na jak długo.

Jakby świadoma groźby, grupa zwiększyła tempo marszu na nieoznakowanym szlaku. Lena rozpięła kurtkę termoizolacyjną i podciągnęła na ramionach taśmy plecaka z emblematem Uniwersytetu Emory’ego, jej Alma Mater w Atlancie. Było to właściwie wszystko, co Roland wiedział o tej Amerykance, prócz tego, że jest biologiem molekularnym specjalizującym się w genetyce i że ściągnięto ją z Instytutu Maxa Plancka w Lipsku, gdzie była na stypendium. I podobnie jak Roland, nie znała powodu, dla którego została tak nagle wezwana przez brytyjskiego geologa i jego partnera, francuskiego paleontologa.

Podczas wspinaczki doktor Dayne Arnaud rozmawiał przyciszonym głosem z Wrightsonem i choć Roland nie potrafił zrozumieć słów Francuza, zniekształconych dodatkowo przez silny akcent, widać było, że naukowiec jest najwyraźniej poirytowany. Jak dotąd żaden z mężczyzn nie zdradził jakichkolwiek szczegółów dotyczących celu wyprawy ani tego, co odkryto tam na miejscu.

Roland zmusił się do cierpliwości. Dorastał w Zagrzebiu, ale znał wszystkie opowieści o tym szczycie w Górach Dynarskich. Jego wierzchołek w sposób niepokojący przypominał leżącego olbrzymia. Powiadano, że to gigant Klek, który walczył z bogiem Volosem i został za swą zniewagę przemieniony w kamień. Nim się to jednak stało, poprzysiągł, że pewnego dnia ocknie się ze snu i dokona na ludziach zemsty.

Roland poczuł dreszcz przesądnego niepokoju.

Gigant lubił ostatnio pomrukiwać.

Region ten podatny był na trzęsienia ziemi, co zapewne zrodziło legendę o drzemiącym olbrzymie. Zeszłego miesiąca okolicę nawiedził kataklizm o sile 5,2 stopnia w skali Rychtera, powodując pęknięcie dzwonnicy średniowiecznego kościoła w pobliskim mieście Ogulin.

Roland podejrzewał, że wydarzenie to ma związek z tym, co odkryli ci dwaj, geolog i paleontolog. Kiedy grupa obesza skalisty występ i zagłębiła się w gęsty sosnowy zagajnik, jego przypuszczenia się potwierdziły. Nieco dalej od urwiska oderwał się wcześniej wielki kawał skały i runął w las, powalając drzewa i tocząc się niszczycielsko przez okolicę, jakby kroczył tu sam potężny Klek.

– Miejscowy obserwator ptaków natknął się na to pobojuwisko po trzęsieniu ziemi w zeszłym miesiącu – wyjaśnił Wrightson, kiedy podążali ścieżką biegnącą przez labirynt głazów i roztrzaskanych pni. – Pojawił się tu wczesnym rankiem i zdążył zobaczyć parę unoszącą się spomiędzy kilku głazów, co dowodzi, że pod ziemią znajduje się system jaskiń.

– I sądzi pan, że to ostatnie trzęsienie ziemi umożliwiło dostęp do tego systemu? – spytała Lena.

– Owszem. – Brytyjczyk machnął ręką. – Nic w tym zaskakującego. Cały łańcuch jest tu zbudowany głównie ze skał krasowiejących. Opady i liczne źródła zamieniły ten teren w pełen cudowności geologiczny plac zabaw. Podziemne rzeki, otwory odpływowe, jaskinie. Czego tylko dusza zapragnie.

Roland spojrział na Arnauda.

– Ale znaleźliście tu coś jeszcze prócz jakiejś starej jaskini?

Wrightson zerknął przez ramię, oczy błyszczały mu radosnym podnieceniem.

– Nie zepsujemy niespodzianki, prawda, doktorze Arnaud?

Paleontolog mruknął coś skwaszony, co pasowało do grymasu, który wykrzywił mu bezustannie rysy. Podczas gdy Brytyjczyk był

towarzyski i otwarty, Francuz stanowił jego mroczny cień, zawsze posępny i nieżyczliwy. Arnaud był tylko o kilka lat starszy od Rolanda, który miał trzydzieści dwa lata, ale sposób bycia przydawał mu jakby wieku. Roland podejrzewał, że irytacja Francuza wiąże się ich obecnością, jego i Amerykanki. Wiedział, że niektórzy naukowcy bywają zazdrośni o swoje poletko.

– Ach, jesteśmy na miejscu – oznajmił Wrightson, podchodząc do wierzchołka drabiny, która wystawała z niepozornej dziury w ziemi.

Skupiony na celu wyprawy Roland nie zauważył postaci czekającej w cieniu pobliskiego głazu, dopóki potężnie zbudowany mężczyzna nie pojawił się w blasku słońca. Miał na ramieniu karabin. Choć był ubrany po cywilnemu, jego sztywna postawa, ostro zaprasowane kanty spodni i stalowy błysk w oku wskazywały na wyszkolenie wojskowe. Nawet czarne włosy były ostrzyżone na jeża; przypominały nastroszoną myckę.

Zagadał coś do Arnauda po francusku.

Roland nie mówił w tym języku, ale sądząc po postawie strażnika, nie był on podwładnym paleontologa, raczej kimś, kto jest mu równy. Mężczyzna wskazał ciemniejące niebo, jakby rozważał, czy wolno im zejść na dół. W końcu zaklął, podszedł do stojącego obok generatora i szarpnął linkę; rozległ się warkot silnika.

– To musi być komendant Henri Gerard – wyjaśnił Wrightson. – Z Chasseurs Alpains, elitarnego francuskiego oddziału strzelców alpejskich. Pilnuje wraz ze swoimi ludźmi tego miejsca.

Roland rozejrzał się, próbując dostrzec innych żołnierzy, ale bez powodzenia.

– Smutna, ale nieodzowna konieczność, jak się obawiam – ciągnął brytyjski geolog. – Kiedy ten obserwator ptaków odkrył możliwe wejście do jaskiń, skontaktował się z klubem speleologów. Na szczęście dla nas jego członkowie przestrzegają ścisłych zasad postępowania w takich przypadkach. Kiedy sobie uświadomili, co znajduje się na dole, zabezpieczyli znalezisko i skontaktowali się



z francuskimi kolegami, którzy zajmowali się zabezpieczaniem tak słynnych jaskiń, jak Chauveta i Lascaux.

Roland, który znał historię sztuki, pojmował, dlaczego wzmianka o tych dwóch jaskiniach jest tak istotna. Były znane ze swych paleolitycznych malowideł stworzonych przez najdawniejszych przodków współczesnego człowieka. Spojrzał w stronę otworu w ziemi, domyślając się, co tam jest.

Tak jak Lena.

– Znaleźliście tam dzieła sztuki jaskiniowej?

Wrightson uniósł brew.

– Och, znaleźliśmy znacznie więcej. – Spojrzał na Rolanda. – Dlatego skontaktowaliśmy się z Watykanem, ojciec Novak... i dlatego został ksiądz ściągnięty z Chorwackiego Uniwersytetu Katolickiego w Zagrzebiu.

Roland zajrzał w głąb ziemnego tunelu. Gdy w dali rozległ się grzmot, dotknął odruchowo koloratki.

Arnaud odezwał się z tym swoim silnym akcentem, nie kryjąc pogardy:

– Ma być ksiądz świadkiem cudu, który odkryliśmy, i poddać go weryfikacji.

Godzina 11.15

Lena zeszła po drabinie za Wrightsonem i Arnaudem. Podczas drogi w dół towarzyszył im kabel biegnący od generatora do reflektorów rzucających pod ziemią słabe światło. Tak jak pozostali, miała na głowie kask zaopatrzonego w czołówkę. W uszach rozbrzmiewał jej łomot serca, skutek ekscytacji, ale też klaustrofobii.

Spędzała większość czasu zamknięta w laboratoriach genetycznych, wpatrzona w mikroskop albo monitor komputera. W każdej wolnej chwili uciekała tam, gdzie mogła obcować z przyrodą. Ostatnimi czasy były to tereny parkowe ciągnące się wzdłuż rzeki przecinającej Lipsk. Tęskniła za zalesionymi terenami,

które otaczały jej poprzedni ośrodek naukowy niedaleko Atlanty. Tęskniła też za siostrą bliźniaczką – która również była biologiem molekularnym zajmującym się genetyką – wciąż pracującą nad ich wspólnym projektem w Stanach, podczas gdy Lena zajmowała się podrzędną robotą w Europie, co oznaczało od szesnastu do osiemnastu godzin dziennie spędzonych na odtwarzaniu pradawnego kodu na podstawie resztek kości albo zęba.

Jeśli ta jaskinia rzeczywiście była stanowiskiem paleolitycznym bogatym w skamieniałe szczątki i artefakty, to domyślała się roli, jaka jej tu przypadła: zebrać próbki do analizy laboratoryjnej. Instytut Maxa Plancka cieszył się zasłużoną opinią ośrodka, gdzie specjaliści potrafili uzyskać DNA ze starych kości i zrekonstruować jego pradawne sekwencje.

Lena, schodząc po drabinie, spoglądała między stopy i zastanawiała się, co znajdzie na dole. Żałowała, że nie ma tu jej siostry; chciałyby się dzielić z nią tą chwilą.

Usłyszała nad głową ciche westchnienie, gdy ojciec Novak poślizgnął się nieznacznie na drabinie, ale szybko odzyskał równowagę. Zmarszczyła czoło, znów zadając sobie pytanie, co robi tu ksiądz. W trakcie podróży z Zagrzebia wdała się z nim w rozmowę i dowiedziała, że wykłada na uniwersytecie historię średniowieczną; wydawało się to dziwne jak na kogoś, kto ma spenetrować prehistoryczną jaskinię.

Dotarła w końcu na dół, gdzie Wrightson pomógł jej stanąć na ziemi i dał znak, żeby ruszyła za Arnaudem, który przygarbiony zagłębiał się w tunel. Schyliła głowę pod niskim sklepieniem, ale i tak uderzała o nie kaskiem, wprawiając w ruch strumień światła czołówki. Powietrze było tutaj cieplejsze niż na górze, ale jednocześnie gęste od wilgoci – wapienne ściany lepily się przy dotyku, podłoże pokrywał śliski osad.

Po krótkiej wędrówce idący przodem Arnaud wyprostował się wreszcie. Stanęła obok niego, zmagając się ze skurczem pleców – po czym zastygła zdumiona widokiem, który ukazał się jej oczom.

Otwierała się przed nimi jaskinia najeżona stalaktytami i stalagmitami. Ściany pokryte były polewami naciekowymi, sklepienie zaś przybrane wyszukаныmi żyrandolami spiralnych i białych jak śnieg kryształów – od skręconych cieniotkich słomek po grube i długie niczym poroże.

– Spektakularny przykład heliktytów – oznajmił Wrightson, dostrzegając zaskoczenie Leny. – Tego rodzaju speleotemy powstają za sprawą zjawiska kapilarnego, dzięki któremu woda przenika mikroskopijne szczeliny. Potrzeba około wieku, by narosło kilka centymetrów.

– Zdumiewające – wyszeptała, bojąc się, że nawet jej oddech może naruszyć te kruche na pierwszy rzut oka cuda.

– Od tego miejsca zachowajcie ostrożność. Stąpajcie tylko po drabinach, które ułożyliśmy na podłodze jaskini. To, co zachowane pod stopami, jest równie ważne jak to, co znajduje się u góry.

Paleontolog znów ruszył przodem, krocząc po cienkim chodniku ze stalowych stopni prowadzącym w głąb jaskini. Po obu stronach rozstawiono panele świetlne zasilane z generatora na powierzchni. Lena zauważyła jakieś obiekty, które zaścięłały podłoże, pokryte i przytwierdzone do miejsca przez osady kalcytu. Pod warstwą kryształu dostrzegała kształty zwierzęcych czaszek i kości nóg.

– Zachował się tu istny skarbiec życia prehistorycznego. – Wcześniejszą mrukliwość Arnauda zastąpił zachwyty. Wskazał głową jeden z obiektów. – Nietknięta tylna kończyna *Coleodonta antiquitatis*.

– Nosorożca włochatego – wyjaśniła Lena.

Arnaud spojrział na nią i na jego twarzy pojawił się cień szacunku, ale też nieco obraźliwego zaskoczenia.

– Zgadza się.

Wskazała artefakt spoczywający na cokole ze złamanego stalagmitu, czaszkę przemienioną w kamień za sprawą strumyków kalcytu.

– Jeśli się nie mylę, pochodzi to od *Ursus spelaeus*.

– Cieszącego się złą sławą niedźwiedzia jaskiniowego – przyznał z niechęcią Arnaud, a Wrightson zachichotał.

Lena skryła uśmiech.

Wet za wet, pomyślała.

– Umiejscowienie wskazuje, że był to prawdopodobnie totem. Możecie zauważyć z przodu czarną plamę po dawnym dole ogniowym. Płomienie zapewne rzucały na ścianę w głębi cień czaszki zwierzęcia.

Lena wyobraziła sobie tę scenę, próbując dociec, co taki pokaz wywoływał w duszach pradawnych ludzi, którzy uczynili z tej jaskini swój dom.

Gdy zmierzali ku przeciwnemu krańcowi jaskini, paleontolog identyfikował inne rzadkie skarby: rogi antylopy saiga, czaszkę bizona, stos kłów mamucich, nawet kompletne szczątki orła przedniego. Wszędzie widać było mniejsze czarne smugi, oznaczające zapewne odrębne paleniska domowe.

W końcu przemierzyli mniejszą jaskinię i wkroczyli do rozległej komory, która wielokrotnie przewyższała pod względem rozmiarów tę pierwszą. Sklepienie wznosiło się na wysokości kilku kondygnacji. Piętrowy autobus zawróciłby tu bez trudu.

– A teraz główny punkt programu – oznajmił Wrightson, wysuwając się na czoło i krocząc po kolejnych prowizorycznych stopniach.

Nikt nie musiał pokazywać Lenie cudowności tej jaskini. Na ścianach, w ich dolnej części, widniały ogromne petroglify przedstawiające wszelkie przejawy życia i obrazy świata naturalnego. Niektóre stworzono prawdopodobnie za pomocą węgla drzewnego, inne wryto w czarnej skale, by odsłonić jaśniejsze odcienie pod spodem. Kilka obrazów odznaczało się żywszymi barwami, uzyskanymi za pomocą pradawnych pigmentów.

Lenę jednak najbardziej uderzało ich czyste piękno. Nie były to proste sylwetki czy nieporadne scenki, lecz dzieła prawdziwego artyzmu. Zdawało się, że końskie grzywy chłuszczą powietrze

i powiewają. Bizony przedstawiono w tumanie nóg, jakby zostały uchwycone w ruchu. Jelenie unosiły całymi stadami poroże, jakby chciały schwytać lecące w górze orły. Przez tę masę zwierząt pędziły lwy i leopardy, które polowały albo same uciekały przed prześladowcą. Z boku, wznosząc się na tylnych łapach, stał samotny i ogromny niedźwiedź jaskiniowy, który górował nad całym tym obrazem.

Lena, rozglądając się na wszystkie strony, z trudem trzymała się wyznaczonej trasy.

– Niezwykłe. Szkoda, że moja siostra tego nie widzi.

– Wszystko to wielokrotnie przewyższa bazgroły z jaskini w Lascaux, czyż nie? – zauważył z szerokim uśmiechem Wrightson.  
– Ale to jeszcze nie koniec.

– Co pan ma na myśli? – spytał ojciec Novak.

– Powinniśmy im pokazać to, co mają przed oczami, ale nie widzą? – zwrócił się Brytyjczyk do Arnauda.

Francuz wzruszył ramionami.

Wrightson skierował ich uwagę na środek pomieszczenia. Widoczna na podłożu rozległa czarna plama o średnicy dwóch metrów oznaczała miejsce, w którym kiedyś musiało się znajdować wielkie ognisko. Umieszczono tam trójnóg z oświetleniem.

Geolog przyklęknął obok panelu z pokrętłami, podłączonego do przewodu zasilającego.

– Bądźcie tak dobrzy i zgaście czołówki.

Kiedy wykonali polecenie, przekręcił jeden z włączników i w tym momencie zgasły wszystkie światła. Spłynęła na nich gęsta ciemność.

– A teraz zostaniecie przeniesieni w przeszłość sprzed czterdziestu tysięcy lat – oświadczył Wrightson śpiewnym głosem konferansjera cyrkowego.

Rozległ się trzask włącznika i światło zabłysło na nowo; jego źródłem był wprowadzie tylko potrójny panel pośrodku jaskini, ale okazał się dostatecznie silny, by początkowo oślepić, zwłaszcza że drgał i przygasał.

Lena uświadomiła sobie, że to imitacja płomieni ogniska.

W pierwszej chwili nie dostrzegła sensowności takiego pokazu, ale usłyszała westchnienie, które wyrwało się ojcu Novakowi. Podążyła za spojrzeniem duchownego i popatrzyła na ściany. Tańczyły tam teraz gigantyczne cienie, wznosząc się znacznie wyżej niż znajdujące się pod spodem petroglify. Były rzucane przez krąg stalagmitów wyrastających z podłoża jaskini. Dopiero teraz dostrzegła, w jaki sposób zostały wycięte i wyrzeźbione, przewiercone i ukształtowane, a wszystko po to, by stworzyć tę mroczną armię na ścianie.

Sylwetki odznaczały się wyraźnie ludzkim kształtem, ale niektóre miały zakrzywione rogi, inne zaś unosiły włócznie. Migotliwe światło stwarzało też wrażenie ruchu zwierząt widniejących poniżej, jakby ogarnęła je panika. Samotny niedźwiedź jaskiniowy stał teraz obrócony przodem do jednej z postaci, ale bok potężnego zwierzęcia przebijała cienista włócznia. Jego wcześniejszy ryk wściekłości wydawał się teraz zdławionym krzykiem cierpienia.

Lena obracała się powoli, zahipnotyzowana tymi obrazami, i czuła, jak przenika ją jakiś pierwotny strach. Nawet ojciec Novak przeżegnał się przezornie.

– Dość tej głupoty – warknął Arnaud.

Wrightson przychylił się do jego zdania i po chwili włączono pozostałe światła.

Lena odetchnęła głęboko, wciągając w płuca powietrze o ziemistym zapachu; poczuła stalowe stopnie pod butami i powróciła do rzeczywistości.

– Jestem... pod wrażeniem – zdołała wymamrotać. – Ale co to według was oznacza? Jakies przedstawienie polowania, dowód sprawności plemienia, które potrafiło wytropić i upolować zwierzyne?

Przez chwilę panowało milczenie, w końcu przerwał je ojciec Novak.

– To raczej ostrzeżenie – powiedział i pokręcił nieznacznie głową, jakby nie potrafił wyrazić własnych uczuć.

Lena to rozumiała. Ten pokaz nie był sławieniem umiejętności posługiwania się włócznią i maczugą. Przypominał raczej zniewagę, coś brutalnego i groźnego.

– Rozwiązywanie takich zagadek to nie wasze zadanie – oświadczył Arnaud, prowadząc ich dalej. – Nie dlatego was tu przyprowadziliśmy.

Ruszył w głąb jaskini, gdzie znajdowało się łukowato sklepione wyjście z pokrytego malowidłami pomieszczenia. Kiedy mijali jeden z rzeźbionych stalagmitów, Lena chciała się zatrzymać i obejrzeć go dokładniej, by się przekonać, jak ci pradawni ludzie zdołali osiągnąć taką iluzję kształtu i ruchu, lecz Arnaud zmusił ich do szybszego kroku.

Dalej nie było już paneli świetlnych. W jaskini, do której prowadziło łukowate sklepienie, panowała ciemność. Lena znów włączyła czołówkę. Snop światła przebił mrok, ukazując krótki tunel, który kończył się kruszejącą ścianą.

Arnaud poprowadził ich wzdłuż łagodnego wzniesienia ku końcowi korytarza.

– Zamurowano to – zauważył ojciec Novak, najwyraźniej równie zaskoczony jak Lena.

– Nie jest to robota ludzi paleolitycznych – zauważyła i przesunęła dłońmi po ceglach połączonych spoiwem. – Ale jest stara.

Wrightson zbliżył się i pochylił, żeby skierować światło na wybitą w murze dziurę wielkości dorosłego człowieka.

– Za tą przeszkodą pasaż ciągnie się przez kolejne pięćdziesiąt metrów, a potem kończy zawałem starego tunelu. Sądzę, że ten korytarz stanowił pierwotne wejście do systemu jaskiń. Ktoś go najwyraźniej zamurował, żeby uniemożliwić komukolwiek dostęp, a potem jakieś dawne trzęsienie ziemi zapieczętowało go jeszcze skuteczniej.

Lena stanęła obok niego i zajrzała do dziury.

– Ale to, co zamknęło jedno trzęsienie ziemi, drugie otworzyło na nowo.

– Właśnie. Pogrzebane sekrety powracają swoim utartym zwyczajem na powierzchnię.

– Co jest za tą ścianą? – spytał ojciec Novak.

– Tajemnice, z powodu których wezwaliśmy was oboje. – Wrightson odchylił się i wskazał dziurę w murze.

Ogarnięta bezgraniczną ciekawością Lena przeszła przez otwór pierwsza, podążając za światłem czołówki. Ściana miała grubość około sześćdziesięciu centymetrów. Po drugiej stronie ukazała się nieduża komora, obłożona ze wszystkich stron cegłami; przypominała niewielką kaplicę.

Do Leny przyłączył się ojciec Novak, oświetlając sklepienie podtrzymywane przez krzyżujące się podwójne łuki.

– Poznają tę architekturę – odezwał się wyraźnie poruszony. – Tego rodzaju gotycka konstrukcja jest charakterystyczna dla średniowiecza.

Lena ledwie go słyszała; skupiała całą uwagę na wnęce w jednej z bocznych ścian. Została ona wykuta w naturalnej skale. W środku, w płytkiej niszy podłogowej, spoczywał szkielet; kościste ręce były skrzyżowane na piersi, wszystko zaś otaczał idealny krąg kamieni. W jego obrębie, wokół szczątków, umieszczono starannie mniejsze kości – żebrowe, nadgarstkowe, policzkowe – tworząc skomplikowany i przemyślany wzór.

– Czy mógł to być grobowiec jednego z tych ludzi, którzy zapieczętowali dawno temu tunel? – spytał Novak.

– Sądząc po kształcie miednicy, był to mężczyzna. – Lena nachyliła się bardziej, poprawiając ułożenie czołówki, by uzyskać lepsze oświetlenie. – Ale popatrzcie na czaszkę, na czoło. Jeśli się nie mylę, są to szczątki *Homo neanderthalensis*.

– Neandertalczyka?

Skinęła głową.



Novak spojrział na nią.

– Słyszałem, że podobne szczątki odkryto także w innych rejonach Chorwacji.

– Owszem. W jaskini Vindija.

Lena zaczęła rozumieć, dlaczego ją tu ściągnięto. To właśnie Instytut Maxa Plancka przeprowadził analizę DNA szczątków z Vindiji. Odkrycie to umożliwiło ośrodkowi opracowanie pierwszego kompletnego genomu neandertalczyka.

– Ale wydawało mi się, że neandertalczycy nie tworzyli w jaskiniach malowideł – powiedział Novak, spoglądając w stronę głównej jaskini.

– To dyskusyjne – odparła. – W Hiszpanii znajduje się jaskinia El Castillo. Tamtejsze komory pełne są przykładów ówczesnej sztuki: odcisków dłoni, rysunków przedstawiających zwierzęta, abstrakcyjnych wzorów. Datowanie wskazuje, że niektóre mogły być dziełem neandertalczyków. Ale rzecz jest wciąż nierozstrzygnięta i ma ojciec rację, jeśli chodzi o stopień wyrafinowania tych malowideł. Najpiękniejsze petroglify, jak te odkryte we Francji w jaskiniach Lascaux i Chauveta, zostały stworzone przez wczesnego człowieka. Nikt jak dotąd nie znalazł jakichkolwiek stworzonych przez neandertalczyków dzieł sztuki jaskiniowej o takiej złożoności.

Niewykluczone, że do tej chwili.

Zza ich pleców dobiegł głos Arnauda; Francuz wszedł do kaplicy za Wrightsonem:

– Właśnie dlatego, doktor Crandall, poprosiliśmy o pomoc panią i innych biologów specjalizujących się w genetyce. Chodzi o ustalenie, czy mieszkańcy jaskini rzeczywiście byli neandertalczykami. A jeśli tak, to dzięki czemu osiągnęli ten niezwykły poziom artyzmu.

Lena skierowała strumień światła ku tylnej części grobowca, w stronę ostatniego dzieła sztuki, petroglifu w kształcie gwiazdy,

stworzonego z odcisków dłoni. Duże ślady rąk miały czerwonawobrazowy odcień, przywodzący na myśl zaschniętą krew.



Wyjęła telefon komórkowy i zrobiła kilka zdjęć miejsca pochówku, potem skupiła uwagę na szczątkach w płytkim zagłębieniu, zastanawiając się, czy te odciski są dziełem spoczywającego w tym miejscu neandertalczyka. Przypomniała sobie też przerażające cienie, które tańczyły na ścianie, a także słowa księdza Novaka.

*Ostrzeżenie.*

Brytyjski geolog odchrząknął znacząco.

– Co prowadzi nas do następnej tajemnicy... tej, która jest przeznaczona dla ojca Novaka.

Godzina 11.52

Słyszając swoje nazwisko, Roland oderwał spojrzenie od szczątków. Czy nie jest już dostatecznie wielką tajemnicą, dlaczego ktoś umieścił zwłoki neandertalczyka w pomieszczeniu, które wygląda jak średniowieczna kaplica? – pomyślał.

– Ostatni krok, mój dobry człowieku – powiedział Wrightson i wskazał kolejny otwór w ceglany murze. Według wcześniejszych słów geologa wejście to prowadziło ku miejscu, gdzie tunel ciągnął się niegdyś aż do samej powierzchni.

Zaintrygowany Roland przecisnął się na drugą stronę i oświetlił drogę, ale nie dostrzegł niczego szczególnego z wyjątkiem równoległych rys wyrzeźbionych głęboko w podłożu pokrytym warstwami kalcytu.

Wrightson stanął obok niego i skrzywiony patrzył na widoczne ślady.

– Wygląda, jakby ktoś wyciągał stąd coś ciężkiego. To ten ktoś najprawdopodobniej zamurował tunel.

– I uważa pan, że dopomogę w odkryciu tej tajemnicy? – spytał Roland.

– Nie wiem, ale jestem pewien, że w pewnej sprawie okaże się ksiądz przydatny. – Wrightson ujął go za ramiona i obrócił twarzą w stronę muru za ich plecami. Dopiero teraz duchowny dostrzegł metalową płytkę przytwierdzoną do ściany; przypominała tabliczkę nagrobną. – Coś jest tu napisane. – Wrightson zbliżył się ze światłem. – Po łacinie.

Roland zmrużył oczy. Upływ czasu i korozja zamazały niektóre z wyrytych liter, ale była to bez wątpienia łacina, zdołał więc zidentyfikować kilka fragmentów tekstu, włącznie z ostatnim wersem i podpisem osoby, która zostawiła to przesłanie.

– *Reverende Pater in Christo, Athanasius Kircher* – odczytał głośno, a potem przetłumaczył. – „Wielebny ojciec w Chrystusie, Atanazy Kircher”. – Zerknął zszokowany na Wrightsona. – Wiem... wiem, kim był. Pisałem rozprawę o tym duchownym i jego dziele.

– Czego jestem w pełni świadomy. Właśnie dlatego Watykan wyznaczył księdza do tego zadania. – Brytyjczyk wskazał tabliczkę. – A pozostała część tekstu?

Roland pokręcił głową.

– Mogę odczytać tylko fragmenty. Niewykluczone, że dysponując czasem i odpowiednim rozpuszczalnikiem, zdołałbym rozszyfrować coś więcej. Ale najdłuższy wers, jaki mogę w tej chwili przetłumaczyć, brzmi z grubsza: „Niechaj nikt tędy nie przechodzi, by nie narazić się na gniew samego Boga”.

– Trochę za późno, jak się obawiam – wymamrotał Wrightson.

Roland nie zwrócił uwagi na te słowa, tylko przyglądał się uważnie tabliczce.

Oto było kolejne ostrzeżenie.

Gdzieś z dali dobiegło do nich echo gromu. Burza zaatakowała w końcu góry.

– Czas na nas – powiedział Wrightson i poprowadził Rolanda z powrotem przez kaplicę, zabierając po drodze dwoje pozostałych uczestników wyprawy. Kiedy dotarli do głównej komory, geolog wskazał drogę przed sobą. – Powinniśmy wyjść na powierzchnię, zanim...

Przerwał mu ogłuszający huk gromu. I wtedy nagle zgasło oświetlenie jaskini, a im pozostały tylko czołówki. Z rozciągającej się przed nimi ciemności dobiegł odległy krzyk.

Tym razem jednak nie były to głosy czarownic rodem z jakiegoś pradawnego folkloru.

Dotarło do nich echo ognia broni palnej.

Arnaud chwycił Rolanda za ramię.

– Zaatakowano nas!

## 2

Lawrenceville, Georgia

29 kwietnia, godzina 6.08 czasu miejscowego

*Budzi go przerażenie.*

Łoskot w uszach zmusza do ruchu. Zsuwa się z łóżka, gdy przed jego oczami pojawia się na mgnienie oka obraz, twarz...

Matka.

Podbiega przez ciemny pokój do okna i uderza w szybę najpierw otwartymi dłońmi, potem pięściami. W jego piersi narasta ciśnienie, aż w końcu staje się nie do zniesienia. Wyzwała ryk frustracji.

Wreszcie w górze zapala się światło i za oknem pojawia się twarz, która wlepia w niego spojrzenie. Nie ta, którą pragnie zobaczyć.

Przysuwa kciuk do brody, a potem powtarza ten gest raz za razem.

Matka, matka, matka...

Godzina 6.22

Gwałtowne pukanie do drzwi obudziło Marię w jej gabinecie. Ożywiona lekką paniką, podniosła się gwałtownie. Czuła w krtani łomot serca. Otwarta książka, którą trzymała na kolanach, spadła na podłogę. By przypomnieć sobie, gdzie jest, potrzebowała ułamka sekundy – nie więcej; spędzała w pracy wiele godzin.

Starając się uspokoić, obrzuciła spojrzeniem monitor na biurku. Na ekranie przesuwały się dane ostatniej analizy genetycznej. Zasnęła, czekając na wyniki.

Do diabła... wciąż oblicza.

– Tak? – zdołała wychrypieć.

– Doktor Crandall – usłyszała głos z za drzwi. – Przepraszam, że panią niepokoję, ale Baako narobił rabanu. Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć.

Wyprostowała się szybko, rozpoznając nosową wymowę studenta gospodarki hodowlanej z Uniwersytetu Emory'ego.

– W porządku, Jack, zaraz przyjdę.

Dźwignęła się na nogi, łyknęła zwietrzałej dietetycznej coli z puszki na biurku, żeby pozbyć się porannej suchości w ustach, i wyszła na korytarz.

Czekał tam na nią Jack Russo, student, który pełnił dyżur.

– Co się stało? – spytała, starając się stłumić nutę oskarżenia w głosie, ale jej matczyne instynkty nadały słowom twarde brzmienie.

– Nie wiem. Czyściłem kilka pustych klatek, kiedy dostał szau.

Stanęli pod drzwiami, które prowadziły do kwatery Baako. Niżej miał własny pokój zabaw, sypialnię i klasę, oddzielone od pozostałej części obiektu. W ciągu dnia mógł pod nadzorem biegać po czterdziestohektarowym zalesionym obszarze, stanowiącym poligon doświadczalny należący do Yerkes National Primate Research Center – Centrum Studiów nad Naczelnymi. Główny ośrodek znajdował się pięćdziesiąt kilometrów dalej, na terenie Uniwersytetu Emory'ego w Atlancie.

Uważała, że to i tak za blisko. Wolała autonomię i swobodę, jakimi mogła cieszyć się tutaj, w Lawrenceville. Jej projekt badawczy był praktycznie niezależny od tego, czym zajmowano się w ośrodku, i finansowany przez agencję DARPA, dzięki grantowi na nową prowadzoną pod auspicjami Białego Domu inicjatywę BRAIN, w której zajmowano się wykorzystaniem zaawansowanych neurotechnologii do badań nad mózgiem.

Mając dwa doktoraty – z genomiki i nauk behawioralnych – Uniwersytetu Columbia, została, wraz ze swoją siostrą Leną,

wytypowana do tego niezwykłego projektu naukowego: badania ewolucji ludzkiej inteligencji. Dodatkowe fundusze pochodziły z Instytutu Maxa Plancka, gdzie zajmowano się antropologią ewolucyjną i gdzie jej siostra bliźniaczka nadzorowała obecnie równoległe badania nad najnowszymi osiągnięciami genomiki.

Maria stanęła pod drzwiami na najniższej kondygnacji, przesunęła kartę przez czytnik elektroniczny i weszła do środka; Jack podążał tuż za nią. Student był wyższy od niej o głowę i miał na sobie zbyt obszerny kombinezon roboczy khaki z emblematem uniwersyteckim na ramieniu. Cały czas pocierał się nerwowo po szorstkiej koziej bródce takiego samego blond koloru jak długie rozczochrane włosy, które na hipsterską modłę przewiązywał opaską.

– W porządku – starała się uspokoić Maria zmartwionego chłopaka, gdy weszli do holu pomieszczenia badawczego. – Może przyprowadzisz Tanga? To zawsze pomaga.

– Jasne. – Jack pospieszył z ulgą w stronę bocznych drzwi.

Maria tymczasem podeszła do szerokiego okna z bezodpryskową szybą o grubości ponad siedmiu centymetrów. Po drugiej stronie widać było pokój zarzucony pudełkami w kolorach tęczy; na każdym widniała kolejna litera alfabetu. Wyglądały jak dziecięce klocki, ale każdy miał bok o długości trzydziestu centymetrów i był zrobiony z twardego plastiku. Przeciwległą ścianę zajmowała ścieralna tablica z kompletem flamastrów. Jedyne meblowanie stanowił szeroki stół z krzesłami.

Była to sala lekcyjna dla wyjątkowego ucznia.

Przechadzał się teraz przed szybą, wsparty na kłykciach lewej ręki, prawą zaś wykonywał nieznaczne ruchy, jakby mamrotał coś do siebie. Był najwyraźniej podenerwowany.

– Baako! – zawołała do niego, przykładając dłoń do okna. – W porządku! Jestem tutaj!

Zaczął pohukiwać i obrócił się w jej stronę.

Zbliżyła się do wejścia, otworzyła za pomocą karty magnetycznej główne drzwi i weszła do niewielkiej klatki po drugiej stronie. Potem uporowała się z zasuwką przy furtce i wkroczyła do sali lekcyjnej.

Baako pospieszył do niej, biegnąc w pozycji wyprostowanej. Kiedy się przy niej znalazł, otoczył ją w pasie ciepłym kudłatym ramieniem i przycisnął grube czoło do jej brzucha, domagając się najwyraźniej pociechy.

Usiadła na podłodze, nakłaniając go, by zrobił to samo; jednocześnie przyglądała mu się z uwagą, próbując odczytać mowę ciała.

Baako był trzyletnim gorylem nizinnym, niedojrzałym samcem o wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów i wzroście stu dwudziestu centymetrów. Choć bardzo silny, kończyny i tułów miał szczupłe. Usadowił się na podłodze i wlepił w nią spojrzenie dużych oczu o barwie ciemnego karmelu; marszczył je w kącikach, co było oznaką zgryzoty. Ściągał też czarne włochate brwi, dając wyraz zmartwieniu. Wargi rozciągnięte niemal w grymasie gniewu odsłaniały białe zęby.

Jako ktoś, kto wychowywał go od chwili narodzin, Maria wiedziała o Baako wszystko – począwszy od zachowania, a skończywszy na najdrobniejszych szczegółach dotyczących fizjologii. Co kwartał przeprowadzano badania za pomocą rezonansu magnetycznego, by rejestrować wzrost ciała, ze szczególnym uwzględnieniem anatomii czaszki i struktury mózgu.

Trzymając go w objęciach, przesuwała palcami po kościstym strzałkowym wybrzuszeniu, które biegło wzdłuż jego mózgowiczej czaszki. Było mniej wydatne, niż można by się spodziewać po gorylu w jego wieku. Nawet kości żuchwowe i szczękowe nie odznaczały się tak bardzo; tworzyły pysk bardziej płaski niż u typowego przedstawiciela naczelnych.

– Co się stało, przystojniaku? – spytała cichym, uspokajającym głosem.



Uniósł pięści do boków, potem rozwarł dłonie i przesunął rozpostartymi palcami po torsie.

*Boję się.*

Odpowiadając za pomocą głosu, jak i znaku, wskazała na niego, powtórzyła jego gest, po czym otworzyła dłonie, wzruszając nieznacznie ramionami.

– Czego się boisz?

Musnął palcem brodę, rozwierając palce.

*Matka.*

Maria wiedziała, że Baako uważa ją za swoją matkę, którą poniekąd była. Choć nie wydała go na świat, opiekowała się nim i wychowywała, jakby chodziło o jej własne dziecko. Co więcej, nawet z biologicznego punktu widzenia Baako w pewnym sensie był jej potomkiem. I nie mógłby uchodzić do końca za goryla nizinnego. Jego wyjątkowy genom opracowano w jej laboratorium i w rezultacie powstał embriion, który dojrzewał w łonie matki zastępczej.

– Nic mi nie jest – zapewniła podopiecznego, ściskając go mocniej dla podkreślenia swych słów. – Sam widzisz.

Baako wyswobodził się z jej objęć i pokręcił głową. Powtórzył znak „matka”, a potem ujął brodę prawą ręką, po czym opuścił ją zdecydowanym ruchem ku lewej, która była zaciśnięta w pięść, a jej palec wskazujący skierowany w stronę Marii.

*Matka-siostra.*

Maria skinęła głową, pojmując już, o co chodzi.

Martwi się o Lenę.

Baako miał dwie matki: Marię i jej siostrę. Obie uważał za swoje pełnoprawne opiekunki. Z początku sądziły, że może być zdezorientowany, ponieważ były bliźniaczkami jednojajowymi, ale szybko się okazało, że bez trudu je odróżnia, w przeciwieństwie do kilku jej kolegów z ośrodka.

Raz za razem powtarzał swój pierwszy znak.

*Boję się, boję się, boję się...*

– Niepotrzebnie się martwisz, Baako. Rozmawialiśmy o tym. Leny nie ma tu w tej chwili, ale wróci. Wszystko z nią okay.

Pokazała litery O i K.

I znów pokręcił głową i wykonał gest oznaczający strach.

Powróciła do swego wcześniejszego pytania, pokazując dobitniej, by odkryć źródło jego niepokoju.

– Dlaczego się boisz?

Godzina 6.38

Osuwa się ciężko na zad i wpatruje w swoje otwarte dłonie. Zaciska i rozwiera palce, zastanawiając się z wysiłkiem, jak wyrazić jasno, o co mu chodzi. W końcu dotyka opuszkami palców czoła, potem obraca dłonie w jej stronę.

*Nie wiem.*

Kładzie sobie lewą rękę na piersi i dwukrotnie wskazuje kciukiem prawej twarz, uderzając jednocześnie prawym nadgarstkiem o lewy.

*Niebezpieczeństwo.*

Maria marszczy czoło, potem spogląda w stronę drugiego pokoju, na legowisko z koców ułożone na jego łóżku. Dotyka swojego czoła palcem wskazującym, potem odsuwa go i zgina dwukrotnie.

– To był tylko sen, Baako.

Baako fuka głośno.

– Wiesz, co to są sny. Rozmawialiśmy już o nich.

Kręci głową, potem imituje jej gest.

*Nie sen.*

Godzina 6.40

Maria dostrzegła pewność malującą się na obliczu Baako. Najwyraźniej uważał, że Lena znajduje się w niebezpieczeństwie. Przypomniała sobie nagle własny niewytłumaczalny niepokój, kiedy obudziła się na kanapie w gabinecie.

Powinnam się martwić?

Dorastając wraz z siostrą, czytała o wyjątkowej więzi, jaka może się rozwinąć między bliźniętami, o tym, jak rodzeństwo potrafi wyczuwać się nawzajem, nawet jeśli dzieli je ogromna odległość. Twierdzono, że zwierzęta też odznaczają się podobną nadnaturalną umiejętnością, na przykład psy przybiegające do drzwi wejściowych na kilka minut przed niespodziewanym powrotem swojego pana. Ona jednak, będąc naukowcem, nie przywiązywała zbytnej wagi do takich relacji; przedkładała empiryczne dane nad anegdotyczne opowieści.

Mimo wszystko...

Może powinnam zadzwonić do Leny.

Przynajmniej jej głos w telefonie uspokoiłby Baako.

I mnie także.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, która godzina jest teraz w Chorwacji. Rozmawiała z siostrą niemal codziennie albo przez telefon, albo przez internet. Porównywały notatki i dzieliły się historiami, co często trwało godzinami; starały się, mimo dzielącego je dystansu, utrzymać bliski kontakt. Widziała, że w przypadku bliźniąt taka trwająca całe życie więź nie jest niczym niezwykłym, ale spajające je ogniwo wykuwało się w trudzie i rozpacz.

Zamknęła oczy, wspominając niewielkie mieszkanie w Albany w stanie Nowy Jork, gdzie dorastały.

Drzwi do ich sypialni uchyliły się odrobinę.

– Gdzie podziały się moje dwa kocięta?

Maria jeszcze mocniej przytuliła się do Leny pod kocem zakrywającym podwójne łóżko. Jako dziewięciolatka miała już własne, ale zawsze spały razem, dopóki matka nie wróciła do domu. Choć nigdy nie znały ojca, czasem Lena wyjmowała album ze

zdjęciami. Wpatrywały się w jego twarz i zmyślały historie o tym, dokąd odszedł i dlaczego je zostawił, gdy były niemowlętami. Czasem był bohaterem ich opowieści, czasem złoczyńcą.

– Czy słyszę mruczenie pod kocem?

Lena zaczynała chichotać, prowokując przy okazji Marię.

Koc był ściągany i pojawiała się świeża woń mydła brzoskwiniowego. Matka po powrocie do domu zawsze myła ręce.

– O, tu są moje kocięta – mówiła, osuwając się na łóżko, śmiertelnie zmęczona po pracy na dwóch etatach: w nocnym sklepie alkoholowym i supermarkecie Costco na drugim końcu miasta. Obejmowała córki mocno, a potem zachęcała łagodnie Marię, by wróciła do swojego łóżka.

Dziewczynki spędzały większość dnia same. Opiekunka kosztowała zbyt dużo. Były jednak nauczone, by zaraz po szkole wracać prosto do domu, a potem zamykać starannie drzwi. Nie przejmowały się tym – w każdym razie nie za bardzo. Miały swoje własne towarzystwo; grały w coś albo oglądały kreskówki.

Kiedy już Maria leżała otulona w łóżku, matka całowała ją w czoło.

– Śpij, mój mały kociaku.

Maria próbowała zamiauczeć, ale udawało jej się tylko ziewnąć, gdy odpływała w sen, nim matka zdążyła zamknąć drzwi.

Głośny stukot przywołał ją z powrotem do terażniejszości. Odwróciła się do szyby. Jack pomachał jej, podnosząc smycz w drugiej dłoni.

Odchrząknęła.

– Wejdz! – zawołała.

Starła się wziąć w garść i stłumić niepokój o Lenę. Przypomniała sobie jednak, jak szybko życie może się zmienić, a miłość zniknąć w okamgnieniu. Kiedy były na drugim roku studiów, w ich pokoju w akademiku zadzwonił o północy telefon. Doszło do napadu z bronią, a ich matka leżała martwa na linoleum w sklepie alkoholowym.

Od tej pory były tylko one dwie.

Poczuła, jak wstrząsa nią dreszcz niepokoju.

Oby nic ci się nie stało, Leno.

Kiedy Jack skierował się do drzwi, Baako zahukał, podskakując na tylnych nogach, wyraźnie podniecony nie tyle pojawieniem się studenta, ile osobnika, który zwykle mu towarzyszył, prowadzony na smyczy.

Maria zauważyła, że za Jackiem podąża ktoś niezbyt mile widziany. Za oknem ukazała się łysa głowa dyrektora ośrodka terenowego. Pogłoski o porannym zamieszaniu wyciągnęły doktora Traska z jego biura.

Wyprostowała się, przygotowana na rychłą konfrontację. Jack wszedł do pomieszczenia pierwszy, potem przepchnął się przez drzwi klatki i uwolnił ze smyczy swego podopiecznego.

Baako sapnął podekscytowany, gdy szczeniak rasy queensland heeler ruszył skokami w jego stronę, po czym wpadł na niego z impetem. Zaczęli się tarzać po podłodze. Tango był dziesięciomiesięcznym psem, nastolatkiem jak Baako, o nakrapianej szarej sierści i czarnym pysku. Pół roku wcześniej Baako sam wybrał go z grupy młodych osobników. Od tej pory byli nierozłącznymi przyjaciółmi.

Doktor Trask, wchodząc do pomieszczenia, wyraźnie się skrzywił.

– Słyszałem, że pojawił się jakiś problem z pani podopiecznym.

– Nic takiego, z czym nie można by sobie poradzić. – Maria wskazała zwierzaki, które witały się radośnie. – Sam pan widzi.

Trask skrzyżował ramiona na piersi, nie zwracając uwagi na baraszkującą parę.

– Czytała pani zalecenia zarządu dotyczące badanego osobnika w chwili osiągnięcia przez niego dojrzałości. Już powinniśmy wprowadzić zabezpieczenia.

– Jak zamykanie go w klatce, kiedy nie znajduje się pod bezpośrednią obserwacją.

– To dla bezpieczeństwa zarówno tego osobnika, jak i pracujących tu ludzi. – Wskazał Jacka. – Co by się stało, gdyby wybił

szybę i wydostał się na wolność?

– Nie jest dość silny...

– Na razie – przerwał jej dyrektor. – Byłoby lepiej przyzwyczajać go do zamknięcia teraz, gdy jest w wieku podatnym na wpływy, niż później.

Nie zamierzała ustępować.

– Przekazywałam zarządowi mnóstwo sprawozdań, w których wyjaśniałam, jak zamknięcie może zahamować rozwój umysłowy naczelných. To inteligentne stworzenia. Mają samoświadomość, potrafią rozważać przeszłość i przyszłość, są zdolne do abstrakcyjnego myślenia. W przypadku takich istot izolacja i zamknięcie mogą zahamować zdrowy rozwój psychiczny, co z kolei może prowadzić do zaburzeń wywołanych stresem, jeśli nie do pełnoobjawowej psychozy. To jest prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Zarząd wziął pod uwagę pani obawy i dokonał oceny sytuacji. Ma pani czterdzieści pięć dni na wprowadzenie nowych ograniczeń.

Wiedziała, że zarząd to tylko grupa ludzi, którzy bez zastrzeżeń spełniają wolę Traska. Nim zdążyła wysunąć jakikolwiek argument, szef odwrócił się do niej plecami i wyszedł. Nie sprzeciwiała się, wiedząc, że jego postawa wynika z zawodowej zawiści. Ilość pieniędzy z grantu przeznaczonego na jej projekt oznaczała ograniczenie innych badań, co w konsekwencji pochłaniało mnóstwo miejscowych środków, nie wyłączając przestrzeni.

Słyszała, że Trask chciał rozbudować własny program dotyczący badań nad przeszczepami i wykorzystywać do tego szympansy. Zapoznała się z jego wnioskami o grant i uznała, że pozostawiają wiele do życzenia. Przedsięwzięcie to było nie tylko wtórne, ale też wiązało się z niepotrzebnym okrucieństwem wobec zwierząt.

Tym większy powód, by się nie poddać, pomyślała.

Skupiła uwagę na Baako, który trzymał Tanga na kolanach. Uspokoił się w czasie tej ostrej wymiany zdań, najwyraźniej wyczuwając napięcie, może nawet rozumiejąc, że to on jest tematem

dyskusji. Rozejrzała się po dużym pomieszczeniu stanowiącym jego lokum, i próbowała sobie wyobrazić, że zamyka go na noc w klatce.

Ale czy ta przestrzeń nie jest już sama w sobie klatką?

Poczuła znajome poczucie winy. Zdawała sobie sprawę, że uraza, jaką żywi wobec Traska, wynika w dużej mierze z jej wewnętrznego konfliktu związanego z etycznym aspektem własnej pracy. Z pewnością starała się za wszelką cenę zminimalizować stres, na który Baako był narażony. Nie zgadzała się w jego przypadku na jakiegokolwiek zabiegi inwazyjne z wyjątkiem tomografii, rezonansu magnetycznego i pobierania krwi. Poza tym robiła wszystko, by zapewnić mu ćwiczenia, aktywność i zabawę.

Czy mimo wszystko jest to słuszne?

Wiele krajów zakazywało badań nad człekokształtnymi: Nowa Zelandia, Holandia, Wielka Brytania, Szwecja. Stany Zjednoczone nie wprowadziły takich ograniczeń, lecz badania mogły być prowadzone jedynie w takich ośrodkach jak ten.

Baako fuknął na nią cicho, być może wyczuwając jej nastrój. Położył sobie pięści na piersi, starając się tym znakiem dodać jej otuchy. Uśmiechnęła się.

– Ja też cię kocham.

Baako wskazał psa i powtórzył gest.

– Tak, Tanga też kocham.

Usatysfakcjonowany Baako stanął na nogach, złapał stary koc i zaczął z psem zabawę w przeciąganie liny.

Gdy jej podopieczny pozbył się na chwilę obaw, Maria opuściła pomieszczenie, zdecydowana coś zrobić.

Zadzwoić do Leny.

### 3

Župania Karlowacka, Chorwacja

29 kwietnia, godzina 12.45 czasu miejscowego

Lena leżała płasko na śliskiej od błota skale. Ojciec Novak przywierał do jej ramienia, oddychając ciężko. Oboje chowali się w szczelinie w głównej jaskini. Wejście do ich kryjówki znajdowało się tuż nad podłożem, umożliwiając widok jedynie do wysokości kolan dorosłego człowieka.

W tej smolistej ciemności Lena próbowała pojąć w jakiś sposób to, co się dzieje na górze. Rozległ się grzmot, gdy góry zaatakowała burza. Słyszała za plecami ostrzegawczy ryk wody, docierający echem z jakiejś podziemnej rzeki. Mogłaby przysiąc, że hałas nasilił się od chwili, gdy oboje wpełzli do tej niszy. Wyobraziła sobie strumień wzbierający wodą z wyższych poziomów.

A może brzmi to głośniejszy tylko w ciemności.

Jej zmysły wyostrzyły się do maksimum. Czowała w ustach miedziany smak przerażenia. Serce waliło o żebra i kamienne podłoże pod jej klatką piersiową.

– Co się tam dzieje? – wyszeptała bez tchu.

Pytanie było retoryczne, ale ojciec Novak odparł:

– Może napastnicy odeszli. Może Arnaud i Wrightson oddali się w ich ręce.

Modliła się, by obaj wciąż żyli.

Krótko po wybuchu ognia broni palnej od strony wejścia do jaskini dotarło echo głosu wzmocnionego przez megafon; ktoś domagał się, by paleontolog i geolog wyszli na zewnątrz.



Najwidoczniej napastnicy zastawili skuteczną zasadzkę na grupę francuskich żołnierzy i opanowali szczyt góry. W jej myślach wciąż rozbrzmiewały ostatnie słowa rozkazu.

– Jeśli obaj chcecie żyć, to natychmiast wyjdźcie!

Polecenie wypowiedziano w języku angielskim i francuskim.

Słyszając je, Wrightson podjął pospiesznie decyzję.

– Dranie żądają, żebyśmy wyszli tylko we dwóch. – Spojrzał na Rolanda i Lenę. – Ale nie wy. Ktokolwiek zaplanował ten atak, nie wiedział o waszej obecności. Miało was tu nie być jeszcze przez jeden dzień, tyle że nadchodząca burza przyspieszyła sprawę. Ukryjcie się.

Choć taki podstęp był ryzykowny, stanowił ich jedyną nadzieję. Przy odrobinie szczęścia Lena i Roland mogliby wszcząć alarm z chwilą, gdy udałoby im się bezpiecznie uciec. Nie mając wielkiego wyboru, wpełzli do tej szczeliny, podczas gdy dwaj starsi mężczyźni wyruszyli na spotkanie ze swym losem. Potem Lena leżała w napięciu, spodziewając się huku broni, który by oznaczał, że obaj naukowcy zostali rozstrzelani.

– Ktoś idzie – syknął ojciec Novak, ściskając jej palce.

Ostrzeżona, zauważyła miękki blask docierający z sąsiedniej jaskini, skąd wychodziło się na powierzchnię. Do dużej groty wpadła grupa niewyraźnych postaci, wszystkie w czarnych ubiorach bojowych i hełmach. Strumienie światła latarek podskakiwały, gdy ludzie ci biegli przed siebie, ignorując drabiny rozmieszczone starannie na kamiennym podłożu i deptając doskonale zachowane prehistoryczne kości i czaszki. Oddział skierował się od razu ku przeciwległej stronie i zniknął w tunelu, który prowadził do dziwnego miejsca pochówku ukrytego w otoczonej ceglanym murem kaplicy.

– Co się dzieje? – wyszeptał ojciec Novak.

Mimo przerażenia Lena poczuła gniew. Wiedziała, że grabieże wciąż stanowią plagę nawiedzającą stanowiska archeologiczne.

Najwidoczniej ktoś przestraszył się tego odkrycia i chwycił, co się dało, nim ktokolwiek mógłby go uprzedzić.

Z tunelu napływał dźwięk szurania i wyraźniejszy – roztrzaskiwanych kamieni. Po kilku minutach ojciec Novak ścisnął mocniej jej dłoń.

– Wracają – uprzedził.

Grupa mężczyzn znów się pojawiła; przechodzili przez jaskinię z taką samą bez troską jak wcześniej, ale teraz dwaj z nich nieśli długi pojemnik. Przypominał z wyglądu plastikową trumnę. Lena domyślała się, co kryje. Wyobraziła sobie szczątki neandertalczyka pogrzebane w tej gotyckiej kaplicy. Tak dobrze zachowany i nienaruszony szkielet mógł osiągnąć na czarnym rynku wysoką cenę. A jednak mężczyźni nie zwracali najmniejszej uwagi na cenne artefakty pod stopami, miażdżąc butami relikty warte setki tysięcy dolarów.

Dlaczego oni...?

Sapnęła gwałtownie, słysząc przytłumiony wybuch. Tunel, z którego przed chwilą ewakuował się oddział, parsknął dymem i pyłem skalnym. Lena patrzyła na to w osłupieniu.

Wysadzili zapewne kaplicę.

Ale dlaczego?

Grabieżcy zniknęli z jaskini, zabierając ze sobą światło. Gdy powróciła ciemność, ojciec Novak zaczął wypelzać z kryjówki.

– Powinniśmy poczekać – rzuciła ostrzegawczym tonem Lena, chwytając go za rękaw. – Upewnić się, że już ich nie ma.

Spojrzał na nią.

– Nie sądzę, by mogli wrócić, ale masz rację. Musimy się jeszcze jakiś czas ukrywać w tych jaskiniach. Sprawdzę przy okazji, co ocalało po wybuchu.

Wydostał się z kryjówki i włączył latarkę, osłaniając światło dłonią.

Lena poszła w jego ślady; wiedziała, że duchowny ma słuszność, poza tym nie chciała zostać w ciemności sama. Zrobiła kilka

niewpewnych kroków, ale przerażenie ustąpiło szybko w sytuacji, gdy mogła się poruszać i miała przed sobą konkretny cel.

Novak prowadził, oświetlając drogę.

Idąc za nim, zerkała z niepokojem przez ramię, wypatrując grabieżców. Dotarli do zadymionego wejścia do tunelu.

– Jakie ma znaczenie, czy cokolwiek pozostało? – spytała.

– Doktor Wrightson wezwał mnie osobiście, żebym rozwikłała tajemnicę, która spoczywała tu pogrzebana od wieków. Nie pozwolę, by ich ofiara, jego i Arnauda, poszła na marne.

Lena stłumiła poczucie winy. Ujrzała obu tych ludzi, Brytyjczyka i Francuza, znikających w ciemności. Ją też wezwano tutaj, by odkryła tajemnicę.

W jej przypadku tajemnicę naukową.

Nim weszła do tunelu, popatrzyła po raz ostatni na rzeźbione stalagmity i zadziwiające dzieła sztuki jaskiniowej. Ojciec Novak miał rację.

Mogli się czegoś dowiedzieć.

Oby nie było za późno.

Godzina 13.16

Jako jedyny przedstawiciel Kościoła katolickiego Roland był zdecydowany zaświadczyć o zbezczeszczeniu tej małej kaplicy, której budowę przed wiekami nadzorował i poświęcił bez wątplenia ojciec Atanazy Kircher. Gdy zagłębiał się w podziemny pasaż, oświetlając sobie drogę, w jego głowie kłębiły się pytania.

Dlaczego duchowny poświęcił przed wiekami to miejsce? Dlaczego pozostawało w ukryciu – i co ważniejsze, dlaczego złupiono je i zbezczeszczono właśnie teraz?

Licząc na to, że znajdzie odpowiedzi, podążał za strumieniem światła przez zwały kamieni i unoszący się w powietrzu dym. W końcu dotarł do kraterowych szczątków gotyckiej kaplicy. Kamienne

ściany były teraz kupą gruzu. Wyglądało to tak, jakby zamierzano całkowicie pogrzebać miejsce pochówku z jego dziwnymi petroglifami i starannie ułożonymi kośćmi.

Amerykańska specjalistka od genetyki – Lena – zakaszlała za jego plecami, zasłaniając sobie usta, by stłumić ten dźwięk.

– Chcieli chyba zatrzeć wszelkie ślady kradzieży.

– Ale zrobiłaś wcześniej zdjęcia, tak?

– Cholera, zrobiłam. – Zauważyła, że nuta świętego oburzenia w jej głosie wywołała uśmiech na jego twarzy. – Przepraszam, ojciec. Nie chciałam...

– W porządku. A ja, cholera, jestem zadowolony, że zrobiłaś te zdjęcia. I proszę mówić mi Roland. Sądzę, że możemy darować sobie formalności.

Stanęła obok niego tuż przy miejscu, w którym nastąpił wybuch.

– Nie sądzę, by udało się nam tu cokolwiek ocalić.

– Nie bądź taka pewna.

Roland ruszył ostrożnie przez największe gruzowisko, mając nadzieję, że złodzieje byli tak bardzo skupieni na swoim celu, że nie spenetrowali przeciwległej ściany kaplicy, naprzeciwko starego wejścia do jaskiń.

Nim dobrnął do celu, Lena zawołała:

– Ojciec... Roland! Chodź, musisz coś zobaczyć!

Odwrócił się i dostrzegł, że skierowała światło czołówki na ścianę naprzeciwko pradawnego miejsca pochówku. Wybuch skruszył cegły, odsłaniając coś, co okazało się jeszcze jedną ukrytą wnęką. Zbliżył się do Leny i też skierował światło w przestrzeń zasłoniętą wcześniej przez ścianę kaplicy.

Niemal westchnął z wrażenia na widok, który ukazał się jego oczom. We wnęce znajdował się jeszcze jeden petroglif w kształcie gwiazdy, także utworzony przez odciski dłoni.

– Taki sam jak tamten.

– Niezupełnie – rzuciła Lena.

– Co masz na myśli?

Wyjęła komórkę i skierowała ją w głąb niszy.

– Odciski są mniejsze i jest ich więcej. Zwróć również uwagę na ślady małych palców tych dłoni... są skrzywione, jakby palec artysty uległ złamaniu i zrósł się nieprawidłowo. Ten petroglif jest dziełem zdecydowanie kogoś innego. Może kobiety, sądząc po rozmiarze śladów.

Kiedy Lena robiła serię zdjęć, Roland spojrział na stos gruzu zakrywającego grób po przeciwnej stronie.

– Może mężczyzna był partnerem tej kobiety.

– Może, ale nigdy się tego nie dowiemy. – Oświetliła dolną część wnęki. – Nie ma tu kości.

Już w każdym razie ich nie ma.

Roland odwrócił się i przebrnął na drugą stronę gruzowiska. Osunął się na jedno kolano i zaczął oglądać z uwagą bliźniacze ślady wyryte w podłożu, te, które zauważył wcześniej. Wielowiekowy szlak prowadził od kaplicy ku niegdysiejszemu wyjściu.

Może dzisiejsi złodzieje nie byli jedynymi, którzy coś tu ukradli.

Wyprostował się i skupił uwagę na zawalonym fragmencie tylnej ściany. Z bezgłośną modlitwą na ustach przewracał cegły, przyglądając się każdej.

– Czego szukasz? – spytała Lena.

Nim zdążył odpowiedzieć, strumień jego światła odbił się od jakiegoś kawałka metalu sterczącego spod cegły. Obrócił ją i westchnął z ulgą.

– Tego – powiedział, przesuwając kciukiem po imieniu wyrytym u dołu metalowej płytki przytwierdzonej do cegły. Była to niewielka tabliczka oznaczająca grób; oglądał ją wcześniej.

Lena zbliżyła się i spojrzała mu przez ramię.

– Może zawiera się tu jakiś klucz do tych tajemnic – wyjaśnił. – Choć powierzchnia jest skorodowana, myślę, że mając dość czasu, mógłbym...

Przez jaskinię znów przetoczyło się echo odległego grzmotu. Roland chwycił Lenę za ramię.

– Co to takiego? – spytała.

Bojąc się odpowiedzi, ruszył wraz z nią tunelem do głównej jaskini. Strumień jego światła dobywał z mroku świeży dym i pył napływające z korytarza, który prowadził do mniejszej pieczary i na powierzchnię.

– Nie... – jęknęła Lena, pojmując najwyraźniej, co się dzieje.

Złodzieje nie zadowolili się jedynie wysadzeniem kaplicy. Zamierzali też zapieczętować wejście do jaskini, by zatuszować swoje przestępstwo.

– Co zrobimy? – spytała.

W chwili gdy Roland chciał jej odpowiedzieć, głuchy łoskot poruszył podłożem pod ich stopami. Od powały oderwał się duży kawał kruchego heliktytu, przypominający kształtem żyrandol, i roztrzaskał się o kamienną posadzkę, obsypując buty duchownego śnieżnobiałymi drobinkami.

Lena złapała go za łokieć, czekając, aż wstrząs przeminie.

Roland przypomniał sobie, jak trzęsienie ziemi o sile 5,2 stopnia oderwało głaz od kamiennego giganta, jakim był szczyt Klek, i odsłoniło ten pradawny system jaskiń w samym sercu góry, a gwałtowna burza i ciężar wody dodatkowo obciążły linie tektoniczne u jej podłoża, wywołując wstrząs następczy; może nawet w wyniku naruszeń doszło do nowego trzęsienia ziemi.

Tak czy inaczej, mieli poważne kłopoty.

Wstrzymywał oddech, aż drgania ustały, a podłoże znieruchomiało.

– W porządku – wyszeptał, próbując dodać odwagi swej towarzyszce i samemu sobie.

– Spójrz! – Lena wskazała szczelinę, w której ukrywali się wcześniej.

Z otworu w skale tryskała teraz woda.

Wstrząsy musiały zakłócić hydrologię góry, zmieniając żyły i arterie olbrzyma Kleka, kierując tę falę ku otwartej kieszeni. Z mniejszych pęknięć i otworów też płynęła woda.

Lena popatrzyła na Rolanda przerażona, wypatrując w jego twarzy oznak nadziei, jakiegoś planu.

Nie miał ani jednego, ani drugiego.

# 4

Paryż

29 kwietnia, godzina 13.38 czasu miejscowego

Telefon zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie.

Komandor Gray Pierce stał nagi przed parującą wanną w hotelowej łazience. Z okna apartamentu mógł spoglądać na majestatyczne i historyczne Pola Elizejskie ze szpalerem drzew. Bliższy widok był jednak o wiele ciekawszy.

Z oparów wody o lawendowym zapachu wysuwała się zgrabna noga przerzucona przez brzeg wanny. Warstwa bąbelków nie zakrywała na dobrą sprawę osoby rozkoszującej się kąpielą. Ciało o długich kończynach i imponujących krągłościach. Zmieniła pozycję, a wilgotne włosy, czarne jak skrzydła kruk, odsunęły się na bok, ukazując szmaragdowozielone oczy, w których błysnęła irytacja.

– Mógłbyś na to machnąć ręką – powiedziała kobieta i wyprostowała nogę, po czym zanurzyła ją powoli w bąbelkach, ukrywając przed wzrokiem Graya.

Kusiło go, żeby posłuchać tej sugestii, ale sygnał nie docierał z telefonu hotelowego, tylko z jego komórki na stoliku nocnym. Charakterystyczny sygnał wskazywał rozmówcę: Paintera Crowe'a, dyrektora Sigmy Force i jego szefa.

Westchnął.

– Nie dzwoniłby, gdyby nie chodziło o coś pilnego.

– A kiedy nie chodziło o coś pilnego? – mruknęła i cała zanurzyła się w wannie. Gdy po chwili znów się ukazała, jej twarz parowała,



strużki wody ściekały po wydatnych kościach policzkowych i delikatnej szyi.

Odwrócił się od niej z najwyższym trudem.

– Przepraszam, Seichan.

Wszedł do sypialni i podniósł telefon. Przez trzy ostatnie dni zażywali rozkoszy Paryża – albo przynajmniej tego, co było widać za oknem czy mogło być dostarczone przez obsługę hotelową. Po trzytygodniowej rozłące rzadko oddalali się od swego apartamentu w hotelu Fouquet's Barrière.

Seichan przyleciała do Paryża prosto z Hongkongu, gdzie nadzorowała budowę schroniska dla kobiet. On przybył z przeciwnego kierunku, z Waszyngtonu. Teraz robił sobie krótkie wakacje – nie tylko od pracy w Sigmie, ale też od opieki nad ojcem, który cierpiał na alzheimera. Ostatnio jego stan wydawał się bardziej stabilny, więc Gray bez obaw postanowił się na jakiś czas urwać. Pod jego nieobecność ojcem zajmowały się na zmianę dwie osoby, pielęgniarka dzienna i młodszy brat Graya.

Mimo wszystko, kiedy podnosił ze stolika komórkę, miał złe przeczucia – spodziewał się, że chodzi właśnie o ojca. Dzień w dzień prześladował go strach tkwiący w nim niczym kawał granitu – twardy, zimny i nieruchomy. Bezustannie czekał na najgorsze.

Przycisnął telefon do ucha, podczas gdy po drugiej stronie łączyli go z centralą Sigmy. Uchwycił swoje odbicie w lustrze nad toaletką, dostrzegając w zaciśniętych szczękach niepokój. Zniecierpliwiony nawet tą krótką zwłoką, odsunął przed oczu mokre włosy i potarł się po ciemnym zarostwie na policzkach.

Prędeż...

W końcu go połączyli i od razu odezwał się dyrektor:

– Komandorze Pierce, cieszę się, że cię złapałem. Wiem, że jesteś na wakacjach, ale to ważne.

– Co się stało? – spytał Gray, czując coraz boleśniej ostrze strachu.

– Mamy problem. Mniej więcej dwadzieścia minut temu otrzymałem w trybie alarmowym wiadomość od generała Metcalfa.

Gray osunął się na łóżko, oddychając z ulgą. Nie chodziło o ojca.

– Proszę mówić.

– Francuski wywiad dostał sygnał SOS od jednej ze swoich jednostek w Chorwacji.

– W Chorwacji?

– W tamtejszych górach. Francuski oddział strzelców alpejskich ochraniał jakieś stanowisko archeologiczne. Można przypuszczać, że wpadli w zasadzkę. Próby nawiązania łączności nie dały jak dotąd rezultatów.

Gray nie bardzo rozumiał, jaki ma to związek z Sigmą, ale jeśli Metcalf dzwonił do Paintera, to musiało chodzić o coś ważnego. Generał Gregory Metcalf był szefem DARPA – kontrolowanej przez Departament Obrony agencji zajmującej się zaawansowanymi badaniami w dziedzinie obronności – i bezpośrednim przełożonym Paintera. Agencja Sigma Force działała pod egidą DARPA i składała się z byłych żołnierzy sił specjalnych, których przeszkolono w różnych dziedzinach nauki, co pozwalało tajnym jednostkom zwalczać konkretne zagrożenia wobec USA czy bezpieczeństwa globalnego.

– Nie rozumiem – odparł Gray. – Wygląda to bardziej na sprawę dla wywiadu francuskiego. Co ma do tego Sigma?

– DARPA bierze udział w tej grze. Zespół ochraniany przez francuską jednostkę był grupą międzynarodową, w której skład wchodziła amerykańska specjalistka od genetyki, doktor Lena Crandall. Jej obecny projekt jest finansowany częściowo przez DARPA. Dlatego generał Metcalf do nas zadzwonił. Żeby ktoś z Sigmy się tym zajął.

A ponieważ jestem na dobrą sprawę tuż obok...

– Kat już ci załatwia odrzutowiec – ciągnął Painter. – Pomoże ci dotrzeć w te góry w niespełna dwie godziny.

Kat – kapitan Kathryn Parker – była głównym analitykiem wywiadowczym Sigmy i prawą ręką Paintera. Gray uważał ją i jej męża za najlepszych przyjaciół.

– Co z Seichan? – spytał.

– Kat zakładała, że ona też się tam zjawi.

Uwagę Graya przyciągnął ruch przy drzwiach łazienki. Seichan opierała się o framugę, owinięta tylko mokrym ręcznikiem, który skrywał bardzo niewiele.

– Dokąd jedziemy? – spytała, domyślając się najwidoczniej, czego z grubsza dotyczy rozmowa.

Wywołało to uśmiech na twarzy Graya – owa umiejętność, którą bez wątpienia doskonaliła latami jako zabójczyni na zlecenie. Nawet teraz otaczała ją mgiełka tajemnicy. Choć w związku z dawnymi wyczynami Seichan w wielu krajach wyznaczono nagrodę za jej głowę, nikogo nie pragnął mieć przy swoim boku tak bardzo jak jej.

I nie tylko z powodu biegłości w posługiwaniu się bronią.

Chłonał widok jej ciała, ponętny kawowy odcień nagiej skóry. Nawet gdy stała bez ruchu, jej ciało emanowało wdziękiem i siłą.

– Musimy chyba skrócić wakacje – uprzedził.

Wzruszyła ramionami, a ręcznik zsunął się z jej tułowia.

– Paryż i tak już mnie znudził.

Odwróciła się, ukazując krągłość pełnych pośladków.

To jest widok, który nigdy mi się nie znudzi.

Usłyszał w komórce głos Paintera.

– Na wszelki wypadek zarządzę dochodzenie tu, w kraju.

Gray znów skupił uwagę na rozmowie.

– To znaczy?

– Projekt doktor Crandall jest finansowany przez Uniwersytet Emory’ego. Wysyłam zespół do Atlanty, mają porozmawiać z drugim naukowcem, który jest w to zaangażowany. To siostra doktor Crandall.

– Jej siostra?

– Bliźniaczka, ściślej mówiąc. Doktor Maria Crandall. Wygląda na to, że cały ten projekt to coś w rodzaju przedsięwzięcia rodzinnego.

– Nad czym pracowały?

– To w dużej mierze utajnione. Nawet Metcalf nie znał szczegółów na tak wczesnym etapie. Wiem tylko tyle, że badania dotyczą pochodzenia ludzkiej inteligencji.

Pochodzenia ludzkiej inteligencji?

Zaintrygowany Gray chciał się dowiedzieć więcej, ale podejrzewał, że jego szef wstrzymuje się z wyjaśnieniami do chwili, gdy zapozna się z projektem.

– Kogo wysyła pan do Atlanty?

– Właśnie o to chodzi... potrzebuję kogoś, kto jest biegły w amerykańskim języku migowym.

Gray zmarszczył czoło. Nie rozumiał, dlaczego właśnie ta umiejętność jest konieczna, ale jeśli chodziło o badanie ludzkiej inteligencji, był przekonany, że Painter wyśle najlepszego i najbystrzejszego pracownika Sigmy.

– Kto więc tam pojedzie? – spytał ponownie.

Painter tylko westchnął.

Waszyngton

Godzina 7.55 czasu miejscowego

– Myślałem, że jest w ciąży – powiedział Joe Kowalski, przypominając sobie wściekły wyraz twarzy nowej pracownicy ochrony, która zajmowała stanowisko przy biurku na górze. Wyraźnie posepny, wraz Monkiem Kokkalisem u boku, wyszedł z windy wprost w samo serce siedziby Sigma Force.

– Nigdy nie pytaj kobiety, kiedy ma termin – poradził mu Monk. – Nigdy. Nawet jeśli jesteś przekonany, że nosi w łonie trojaczki.

Kowalski się skrzywił.

– To ten jej cholerny mundur i wielki czarny pas. Mógłbym przysiąc, że zaraz zaczniesz rodzić.

– Masz szczęście, że cię nie zastrzeliła.

Może powinna była...

Idąc obok Monka, wlepił wzrok w sufit. Siedziba Sigmy znajdowała się głęboko pod Smithsonian Castle; zajmowała labirynt schronów przeciwlotniczych z czasów drugiej wojny światowej. Kilka chwil wcześniej, ukończywszy poranny bieg wokół National Mall, próbował się zachować jak dobry bliźni i okazać zainteresowanie nowym pracownikiem personelu. Tym bardziej że kobieta wyglądała atrakcyjnie i miała pełne usta.

– To się nazywa spalić za sobą mosty – zauważył złośliwie Monk.

Kowalski wydał pomruk irytacji. Nie trzeba było mu przypominać o tym, jak kiepsko idzie mu ostatnio z kobietami.

– Nie gadaj już o tym.

Monk wzruszył ramionami i przesunął dłonią po łysej czaszce, wyczuwając być może, że posunął się w żartach za daleko. Był o głowę niższy od Kowalskiego i z pewnością nie miał szans w konkursie piękności. Z drugiej strony Kowalski zdawał sobie sprawę, że też nie może się niczym pochwalić. Niejedna kobieta przyrównywała go do ogolonej małpy – a i tak traktowała go wielkodusznie.

Przed nimi, w drzwiach prowadzących do centrum łączności, pojawiła się szczupła sylwetka w oficjalnym granatowym kostiumie.

– No, jesteście – oznajmiła, przyłączając się do nich. – Właśnie szłam do gabinetu dyrektora.

– O co chodzi z tym nagłym wezwaniem? – spytał Monk, biorąc żonę za rękę, kiedy zmierzali w głąb korytarza.

Kowalski zauważył ten prosty gest czułości, bezwiedny i niewymagający wysiłku. Poczuł, jak rozpala się w nim płomyk zazdrości, ale też nadziei.

Jeśli ten facet mógł zdobyć serce takiej kobiety...

Owszem, ale Monk pod wieloma względami nadrabiał braki w wyglądzie. Służył niegdyś w Zielonych Beretach, czego dowodziły liczne blizny, a teraz pełnił w Sigmie funkcję eksperta od medycyny sądowej. Wielu wrogów błędnie oceniało jego zwierzęcą aparycję, nie dostrzegając umiejętności i przenikliwej inteligencji.

Dyrektor Crowe powiedział kiedyś Kowalskiemu, że nazwa Sigma pochodzi od greckiej litery  $\Sigma$ , matematycznego symbolu oznaczającego sumę, ponieważ jednostka ta stanowiła połączenie najlepszych ludzkich zdolności – umysłu i siły fizycznej. Z pewnością odnosiło się to do Monka Kokkalisa.

Kowalski dostrzegł swoje odbicie w szybie zamkniętych drzwi – zwalistą sylwetkę, grubą szyję, zakrzywiony nos.

Więc co ja tu robię, u diabła?

Podczas służby w marynarce nie awansował powyżej stopnia marynarza. Nawet tutaj, w Sigmie, jego „naukowy” trening ograniczał się do wysadzania w powietrze przeróżnych obiektów – co nie znaczy, że tego nie lubił. Wiedział jednak w głębi duszy, że gdy chodziło o równowagę umysłu i siły fizycznej, szala w jego przypadku wychylała się tylko w jedną stronę, i to znacznie.

– Niech Painter wyjaśni, dlaczego wezwał was obu – odezwała się Kat. – Sami zajmujemy się szczegółami.

Kowalski szedł za obojgiem w stronę gabinetu dyrektora. On i Monk dostali polecenie powrotu do Sigmy, gdy okrążali mauzoleum Lincolna podczas porannego joggingu. Obaj wciąż mieli na sobie spodnie dresowe i bluzy z kapturami.

Kat najpierw wprowadziła przez otwarte drzwi gabinetu męża, a Kowalski trzymał się z tyłu. Zastali Paintera Crowe’a na jego ulubionym miejscu, za biurkiem zasłanym folderami i teczkami. Podniósł dłoń, kończąc rozmowę telefoniczną. Trzy ściany pomieszczenia świeciły dużymi płaskimi ekranami, na których widniały przeróżne mapy, aktualizowane dane i zdjęcia lotnicze jakichś gór. Choć kwatery główna Sigmy znajdowała się pod ziemią, monitory służyły dyrektorowi jako okna na świat zewnętrzny.

Painter dokończył rozmowę, wyjął z ucha odbiornik Bluetooth i wstał.

– Dziękuję, że się zjawiliście. Pojawiła się sprawa, która wymaga zaangażowania waszych wyjątkowych talentów.

Opisał zasadzkę zastawioną na francuski oddział wojskowy w górach chorwackich. Posiłkował się mapami topograficznymi i zdjęciami satelitarnymi, w końcu udzielił im wyjaśnień dotyczących grupy naukowców, których ochraniała francuska jednostka. Na monitorach pojawiały się ich twarze: brytyjskiego geologa, francuskiego paleontologa i jakiegoś historyka z Watykanu. Ostatnie zdjęcie przedstawiało młodą kobietę w białym kitlu laboratoryjnym. Uśmiechała się do obiektywu, ukazując nieskazitelne uzębienie; była opalona i miała na policzkach garść piegów. Długie ciemne blond włosy spięła na karku.

Kowalski gwizdnął cicho z uznaniem.

Painter zignorował jego reakcję.

– Doktor Lena Crandall. Biolog molekularny specjalizujący się w genetyce, z Uniwersytetu Emory’ego. Nadzorowała projekt finansowany przez DARPA.

– Nad czym pracowała? – spytał Monk.

Kowalski nie interesował się tym zbyt. Wciąż wpatrywał się w zdjęcie kobiety.

– To właśnie jest pytanie, na które macie obaj odpowiedzieć – wyjaśnił Painter. – Kat załatwiła wam lot do Atlanty. Przesłuchacie siostrę doktor Crandall, żeby ustalić związek badań prowadzonych w Uniwersytecie Emory’ego ze stanowiskiem archeologicznym w Chorwacji. Brakuje nam kilku elementów układanki.

– Co z zespołem poszukiwawczym w Chorwacji? – spytał Monk.

– Gray i Seichan są już w drodze. – Painter spojrział na Kat, prosząc ją w milczeniu o potwierdzenie. Skinęła głową. – Chcę znać szczegóły tego projektu naukowego, zanim tam dotrą.

Monk strzelał palcami, obserwując monitory i rejestrując wszystko w pamięci. Szykował się najwyraźniej do misji.

Painter położył dłoń na jego ramieniu.

– Biorąc pod uwagę twoje doświadczenie w medycynie i genetyce, pomyślałem, że będziesz mógł się najlepiej dogadać z doktor Marią Crandall w kwestii jej badań. Dostaniesz do pomocy

kogoś z National Science Foundation, naukowca, który nadzoruje finansowanie tego projektu. – Painter zwrócił się do Kowalskiego: – A ty...

Olbrzym zmarszczył czoło. Nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł w tym wszystkim pełnić inną rolę niż ochroniarza.

– ..jesteś idealnym kandydatem, by porozumiewać się z podopiecznym doktor Crandall, który stanowi główny obiekt jej badań.

– Dlaczego ja? – spytał Kowalski.

– Dlatego, że jesteś biegły w języku migowym.

Zmarszczył czoło, zaskoczony, że dyrektor zna ten epizod z jego przeszłości, ale jeśli chodziło o czyjś życiorys, Sigma była drobiazgowa, więc historia jego rodziny nie stanowiła dla niej tajemnicy. Ani to, że dorastał w południowym Bronxie, w zdecydowanie ubogim środowisku. Jego dziadkowie przybyli z Polski jeszcze podczas wojny. Ojciec otworzył w końcu niewielkie delikatesy, ale w weekendy przepijał większość dochodu. Kowalski miał młodszą siostrę Anne, która urodziła się z syndromem Goldenhara, schorzeniem powodującym skrzywienie pleców i poważną wadę słuchu. Kiedy ich matka zginęła w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, ojciec potraktował tę tragedię jako powód, by pić jeszcze więcej i zrzucił opieką nad Anne na młodzieńcze barki syna.

Kowalski odetchnął głęboko, uciekając przed tymi trudnymi wspomnieniami o cierpieniu, jakie stało się udziałem jego siostry, nim umarła w wieku zaledwie jedenastu lat. Przyłapał się na tym, że sięga do kieszeni po schowane tam cygaro. Zaczął dotykać celofanu, złakniony nagle nikotyny.

– Nie za bardzo – wymamrotał.

– Słyszałem coś innego – oznajmił Painter. – Że pracujesz często w szpitalu w Georgetown jako wolontariusz z dziećmi zagrożonymi głuchotą.

Zaskoczony Monk zerknął na towarzysza, unosząc brwi.



Kowalski przeklął w duchu wścibstwo Sigmy.

– No to z kim mam rozmawiać już na miejscu?

Painter skrzyżował ramiona na piersi.

– Chyba pozwolimy ci spotkać się z nim osobiście, zanim uzyskasz odpowiedź na to pytanie. Jeśli chcemy zapewnić sobie pełną współpracę doktor Crandall, twoja biegłość w nawiązaniu kontaktu z jej podopiecznym może się okazać bardzo korzystna.

Wszystko jedno, pomyślał Kowalski i odwrócił się, nie próbując nawet ukryć irytacji.

– A co z tą drugą siostrą, tą w Chorwacji? – spytał za jego plecami Monk. – Nadal nie ma żadnych wiadomości o losie tej grupy?

– Nie ma – odparł już znacznie poważniej Painter. – Wiemy tylko, że ten region nawiedziła seria trzęsień ziemi. Cały łańcuch górski drży w posadach.

– I prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej – dodała Kat.

# 5

Župania Karlowacka, Chorwacja

29 kwietnia, godzina 14.15 czasu miejscowego

Drżąc w ciemności, Lena kuciała na występie skalnym. Światło jej czołówki padało na czarną powierzchnię wzbierającego jeziora, które wypełniało dno jaskini.

Musimy się stąd wydostać...

W ciągu ostatnich dwudziestu minut fale powodzi wywołanej trzęsieniem ziemi zatarły wszelkie ślady prehistorycznego obozowiska, które niegdyś znajdowało się w tym podziemnym świecie, zatapiając pokryte warstwą kalcytu kości i zwęglone miejsca po dawnych ogniskach domowych. Pozostały jedynie czubki stalagmitów wystające z jeziora i malowidła jaskiniowe na ścianach – tyle że teraz te stada jeleni i bizonów wyglądały tak, jakby tonęły.

Mimo dręczącego ją przerażenia opłakiwała to zniszczenie.

Roland wsunął swoją komórkę z powrotem do kieszeni. Pokręcił głową, nie uzyskawszy sygnału, podobnie jak Lena chwilę wcześniej, kiedy próbowała się połączyć z siostrą w Stanach, ale tak głęboko pod ziemią nie było zasięgu.

– Powinniśmy przedostać się do sąsiedniej jaskini, tam gdzie zeszliśmy pod powierzchnię – zasugerował. – Sprawdzić, czy jest jakieś wyjście. Po tych wszystkich wstrząsach następczych może rozwarło się coś, co ci złodzieje wysadzili.

Nie wydawał się specjalnie przekonany, ale Lena skinęła głową, pragnąc zrobić cokolwiek, chociażby z braku innych możliwości ruszyć po prostu przed siebie. Poprawiła plecak na ramionach i

zsunęła się z występu skalnego do ciemnego jeziora. Lodowata woda natychmiast wypełniła jej buty i zamoczyła spodnie do połowy ud. Zaciskając zęby, zrobiła kilka kroków.

– Ostrożnie – ostrzegła swego towarzysza. – Jest ślisko.

Książd ruszył jej śladem i sapnął głośno, wchodząc do wody.

– Ślisko? Powinnaś mnie raczej uprzedzić, że jest zimno.

Uśmiechnęła się bezwiednie, doceniając jego chęć ożywienia ponurego nastroju. Razem pokonali dużą jaskinię i skierowali się w stronę tunelu, który prowadził do sąsiedniej, mniejszej pieczary. Modliła się, by znaleźli tam jakąś drogę ucieczki.

Gdy zbliżali się do wylotu, rozległ się głuchy pomruk, poruszając powierzchnię jeziora.

– Kolejny wstrząs następczy – powiedział Roland i, tak jak ona, zatrzymał się w miejscu.

Czekali razem, wstrzymując oddech i spodziewając się najgorszego, ale – tak jak poprzednie – i ten wstrząs szybko ustał. Mimo wszystko Lena ruszyła szybciej w stronę wyjścia z tunelu i skierowała tam światło.

– Jest do połowy zalane – oznajmiła.

– Lepsze to, niż gdyby było zalane całkowicie.

– Prawda.

Schyliła się pod niskim sklepieniem i zagłębiła w tunel. Oddychała ciężko, starając się za wszelką cenę zapanować nad klaustrofobią. Zwykle nie ulegała lękowi w ciasnych pomieszczeniach, ale świadoma ciężaru góry i przygarbiona, z głową tuż nad ciemnym strumieniem wody, słyszała w uszach łomot serca.

Na szczęście tunel wspinał się pod łagodnym kątem i nim dotarła do jego końca, woda sięgała zaledwie kostek. Lena była już jednak przemoczona i z trudem panowała nad szczękaniami zębami, które tylko częściowo było reakcją na zimno.

Roland trzymał się niewiele lepiej. Na widok stosu odłamków skalnych pod przeciwległą ścianą zadrżał. Spojrzał w górę, kierując światło czołówki na sklepienie. Lena zrobiła to samo i oboje zaczęli

szukać jakiegokolwiek śladu dawnego wejścia do jaskini, ale zostało całkowicie zasypane. Z góry ściekało tylko kilka strużek wody, przenikającej między głazami wstrząśniętego burzą szczytu góry.

Zacisnął pięść i wymamrotał coś pod nosem. Mówił po serbsko-chorwacku i choć nie mogła zrozumieć słów, brzmiały bardziej jak przekleństwa niż modlitwa do Boga.

– Będzie dobrze – zapewniła go bezsensownie. – Przeczekamy burzę. Z pewnością ktoś zacznie nas szukać. Jeśli coś usłyszymy, zaczniemy krzyczeć. Kiedy już się zorientują, że tu jesteśmy, uwolnią nas.

Roland przyglądał się wodzie, która sięgała im już do połowy łydek. Nie wyraził tego, co oczywiste, a ona to doceniała. Jeśli nie utoną, umrą z zimna i wycieńczenia.

Skinął głową.

– Więc czekamy i...

Przerwał mu głuchy jęk dobywający się z ciemności po lewej stronie. Lena obróciła się błyskawicznie w tamtym kierunku. Zza grubej zasłony naniesionego przez wodę trawertynu wyłoniła się mroczna postać. Roland pchnął Lenę za siebie, obawiając się, że to jeden z napastników.

Mężczyzna, posuwający się na czworakach, opadł na bok i uniósł dłoń, broniąc się przed oślepiającym blaskiem dwóch czołówek.

– Pčre Novak... Docteur Crandall... – wychrypiał. – C'est vous?

Lena skupiła światło na jego postaci i dostrzegła znajomą twarz, w połowie zalaną krwią. Choć widziała go wcześniej tylko przez chwilę, od razu rozpoznała dowódcę francuskiego oddziału strzelców alpejskich.

Tak jak Roland.

– Komendant Gerard! – zawołał, ruszając do niego.

Oficer, z wyraźną ulgą, wyciągnął zza warstwy trawertynu karabin. Zdawało się, że dotyk broni dodaje mu pewności. Popatrzył na nich.

– Qu'est-ce qui s'est passé? – spytał chrapliwie, po czym przeszedł na angielski. – Co... co się stało?

Lena przyłączyła się do księdza, gdy ten sprawdzał ranę na głowie oficera. Z rozcięcia sączyła się wolno krew. Dowódca oddziału musiał doznać tego obrażenia podczas wybuchu.

– Jak... jak pan się tu znalazł? – spytała.

Gerard spojrział w stronę pozostałości po dawnym wejściu do jaskini.

– Kiedy nas zaatakowano, zszedłem na dół, żeby was ochraniać – wyjaśnił powoli i z wahaniem, wciąż oszołomiony. – Na tym polegało nasze zadanie.

Zrozumiała.

Chronić życie cywilów powierzonych jego opiece.

– Ale tamci działali zbyt szybko – wyjaśnił Francuz. – Deptali mi po piętach. Ledwie zdążyłem się schować, kiedy znaleźli się tuż obok. Słyszałem, jak wołają, by Wrightson i Arnaud wyszli na zewnątrz. Gdy się nie pokazaliście, pomyślałem, że ci dwaj kazali wam się ukryć. Żeby was chronić, n'est-ce pas?

Skinęła głową na potwierdzenie jego słów.

– Było ich zbyt wielu, żebym mógł ryzykować atak i uwolnić profesorów. Jakakolwiek próba z mojej strony oznaczałaby ich śmierć. Czekałem więc z nadzieją, że uda mi się was uratować, a potem wszcząć alarm.

– Mieliśmy podobny plan – przyznała Lena.

Oficer popatrzył ze zmarszczonym czołem na sklepienie jaskini.

– Miałem już ruszyć dalej, kiedy... – Pokręcił głową. – Nie pamiętam.

– Złodzieje wysadzili wejście – podpowiedziała mu Lena. – Stracił pan przytomność.

Stanął niepewnie na nogach, opierając się jedną ręką o ścianę, a drugą trzymając broń na ramieniu. Wlepił wzrok w wodę, która opływała mu nogi.

– Jaskinie są zalewane – uprzedził go Roland. – Musimy wspiąć się tak wysoko, jak to tylko możliwe.

Francuz nie zwrócił uwagi na jego słowa. Cofnął się, odpiął od pasa małą latarkę i oświetlił tunel prowadzący do sąsiedniej pieczary. Kilka metrów dalej wypełniała go całkowicie woda.

Lena stanęła obok Gerarda.

– Myślę, że Roland... że ojciec Novak ma rację. Powinniśmy wspiąć się po tych ścianach i utrzymać jak najdłużej nad powierzchnią wody.

Gerard pokręcił głową.

– Ekipa ratownicza nie zdąży do nas dotrzeć.

– Co więc mamy według pana zrobić? – spytał Roland.

Oficer poprowadził ich w stronę zasłony z trawertynu i wskazał przestrzeń, która się za nią otwierała. Lena popatrzyła tam i zorientowała się, że kryjówką Gerarda było wejście do następnego tunelu, znajdujące się ponad metr nad zalanym podłożem.

Dokąd jednak szli?

Odwróciła się i zobaczyła, że Francuz wyciąga z kieszeni odręcznie sporządzoną mapę. Rozłożył ją i rozpostarł na ścianie. Okazało się, że to szczegółowy plan systemu jaskiń.

– Znajdujemy się tutaj – powiedział, stukając grubym palcem w miejsce na mapie. – Jak dowodzą prowadzone przez Wrightsona badania geologiczne tych terenów, jaskinie te łączą się z szeregiem tuneli i pieczar, które biegną głębiej i dalej przez te góry. Prawdopodobnie aż do Otchłani Zulejki.

Gerard zwrócił się do Rolanda, którego twarz zdradzała wątpliwości.

– O czym on mówi? – spytała Lena.

– Musiałaś przejechać przez miasto Ogulin, żeby się tu dostać, tak? – spytał Roland.

Skinęła głową, przypominając sobie urocze średniowieczne miasteczko z kamiennym zamkiem i starymi domami.

– Stoi na najdłuższym systemie jaskiniowym w Chorwacji, dwadzieścia kilometrów pieczar, korytarzy i podziemnych jezior. Jedno z wejść do tego systemu znajduje się w samym centrum miasta.

– W środku miasta? – spytała z niedowierzaniem.

– Rzeka Dobra wypływa z pobliskich gór i żłobi głęboki wąwóz, który biegnie przez połowę Ogulinu. W samym centrum miasta wpada do rozpadliny i staje się podziemną rzeką. To miejsce zwane jest Otchłanią Zulejki. Legenda głosi, że młoda dziewczyna o tym imieniu rzuciła się w głębiny, bo nie chciała wyjść za starego i okrutnego możnowładcę.

Lena zwróciła się do francuskiego oficera.

– I sądzi pan, że te jaskinie prowadzą do tej rozpadliny, dzięki czemu będziemy mogli się stąd wydostać.

– Wrightson tak uważał – odparł Gerard. – Ale nigdy nie zbadano tej trasy dokładnie.

– Jak daleko stąd znajduje się miasto?

– Około siedmiu kilometrów w linii prostej – odpowiedział Roland.

To cztery mile, pomyślała i poczuła, jak przygniata ją rozpacz.

– Mam w plecaku liny, sprzęt wspinaczkowy i zapasowe baterie – poinformował Gerard.

Starając się stłumić panikę, popatrzyła na wodę, której poziom podnosił się coraz bardziej.

– A jeśli pozostałe jaskinie też są zalane?

– Je ne sais pas – odparł Gerard ze wzruszeniem ramion. – Nie wiem, ale te tutaj są zalane bez wątpienia.

– Co zamierzasz zrobić? – zwrócił się do niej Roland. – Jeśli chcesz zostać, ja też zostanę.

Lena skierowała światło na wejście do tunelu, zastanawiając się, co czeka ją w tych ciemnościach. Francuz miał rację. Lepiej ruszyć w nieznaną, niż zostać w tym miejscu, gdzie śmierć była niemal pewna.

Wyprostowała się i spojrzała na obu mężczyzn.

– No to ruszajmy.

Godzina 16.04

Komandor Gray Pierce trzymał się desperacko uchwytu obok swego ramienia, gdy helikopter przebijał się z trudem przez burzę. W szybę uderzały ciężkie płachty deszczu, wycieraczki z trudem zapewniały jako taką widoczność. Choć do zachodu słońca pozostały jeszcze dwie godziny, szczyty gór spowijała gruba zasłona czarnych chmur, zamieniając dzień w noc.

Pilot siedzący obok Graya zmagał się z przyrządami, podczas gdy łopaty wirnika łomotały wściekle w tej niesprzyjającej pogodzie. Wiatr atakował bezustannie niewielką maszynę, jakby napływał ze wszystkich stron jednocześnie, kiedy wznosili się z trudem ponad Alpami. Wreszcie pokonali przełęcz, a w następnej dolinie ukazały się rozproszone w przestrzeni światła.

– Ogulin! – zawołał przez radio pilot, ocierając z czoła krople potu. – Nie dolecimy dalej w tej burzy. Pogoda w górach za miastem jest jeszcze gorsza.

Gray obrócił się do Seichan, która siedziała w tylnej kabinie; turbulencje nad górami nie zrobiły na niej większego wrażenia. Wzruszyła ramionami, akceptując z taką samą beztroską zmianę planów, jak niedogodności lotu.

Pół godziny wcześniej wylądowali w Zagrzebiu, gdzie czekał na nich miejscowy pilot i jego maszyna. Dotarcie do miejsca, gdzie przebywał zaginiony oddział francuskich żołnierzy, powinno im zabrać tylko piętnaście minut, ale burza dwukrotnie wydłużyła czas lotu i teraz groziła uziemieniem helikoptera.

Komandor obrócił się, gotów zmusić pilota do kontynuowania powietrznego rejsu; nie chciał tracić ani chwili. Im dłużej zwlekali, tym bardziej było prawdopodobne, że zgubią wszelki ślad grupy



badawczej i jej strażników. Lecz gdy spojrział w czarne niebo i dostrzegł błyskawice nad szczytami, osunął się z powrotem na fotel.

– Lądujemy – oznajmił z rezygnacją.

Pilot skinął głową, oddychając z ulgą, i zniżył maszynę ku światłom rozrzuconym po dnie doliny.

– Mogę posadzić śmigłowiec na polu na obrzeżach miasta – powiedział, wskazując miejsce. – Wezwę przez radio kierowcę z samochodem. Kiedy się trochę uspokoi, możemy spróbować ponownie. Ale najpewniej dopiero rano. Tymczasem załatwię wam hotel.

Gray dokonywał w myślach obliczeń i szukając alternatywnych rozwiązań.

– Ile czasu zajmie dotarcie na miejsce pieszo?

Pilot obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Możecie pojechać samochodem do wioski Bjelsko. To sześć kilometrów dalej. Stamtąd to już tylko czterdzieści minut drogi, ale przy dobrej pogodzie. W tej burzy, kiedy trzeba będzie się przedzierać przez gęste zarośla, a szlaki są zalane, może to potrwać godziny, niewykluczone też, że się zgubicie. Lepiej przeczekać tę nawałnicę.

Jakby na potwierdzenie jego słów, maszyną wstrząsnął silny podmuch wiatru, przechylając ją na bok. Pilot skupił całą uwagę na lądowaniu.

Komandor sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Posługując się kciukiem, otworzył pliki związane z misją. Przejrzał wszystko dokładnie w drodze do Zagrzebia i wiedział, co chce znaleźć. Wyświetlił zdjęcie człowieka po pięćdziesiątce, o włosach koloru soli z pieprzem, w uprząży wspinaczkowej, stojącego na brzegu jakiegoś wąwozu.

Odwrócił się do Seichan i pokazał jej fotografię.

– Fredrik Horvat, szef miejscowego towarzystwa alpinistycznego. To jego grupa jako pierwsza zeszła do jaskiń i utrzymywała wszystko w tajemnicy aż do przybycia naukowców.

Seichan wychyliła się do przodu.

– I mieszka w tej dziurze?

– Owszem. Spodziewam się, że zna miejscowe góry lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli będzie mógł nas tam zaprowadzić...

Wyprostowała się.

– ...to nie musimy czekać do rana – dokończyła.

– Mam jego adres.

Pilot posadził szybko maszynę na rozległym polu. Krótco potem mrok przebiły bliźniacze światła reflektorów samochodowych, po czym pomknęły w ich stronę. Gray i Seichan wysiedli z helikoptera i otulili się kurtkami, chcąc uchronić się przed strugami chłostanego wiatrem deszczu. Gdy tylko sedan się zatrzymał, zajęli miejsca z tyłu.

Kiedy ruszyli, Gray podał kierowcy – młodemu mężczyźnie imieniem Dag – nazwisko i adres miejscowego wspinacza.

– Ach, Fredrik... znam go – oznajmił Dag niezbyt płynną angielszczyzną, uśmiechając się przy tym szeroko i ukazując dużą przerwę między jedykami. – To małe miasto. Stuknięty facet. Łazi po tych jaskiniach. Ja lubię otwarte przestrzenie. Im większe, tym lepiej.

– Próbowałem się do niego dodzwonić – poinformował go Gray. – Nie odbiera.

– Może siedzi w pubie. W hotelu Frankopan. Dużo ludzi chodzi w czasie burzy do pubu. Dobrze się napić brandy, kiedy wyją vještice, to znaczy czarownice. – Zahuczał grom, dostatecznie głośno, by wprawić w drżenie szyby samochodu. Dag skulił się odrobinę, potem wyprostował i przeżegnał. – Może lepiej nie rozmawiać w tej chwili o tych vješticach.

Kiedy zmierzali do centrum, Gray próbował co chwila połączyć się przez komórkę ze wspinaczem, ale bez powodzenia. Nie miał w tej sytuacji wielkiego wyboru.

– Spróbujemy najpierw w pubie – powiedział Dagowi, po czym obrócił się do Seichan. – Jeśli go tam nie znajdziemy, może ktoś w

hotelu wskaże nam innego przewodnika.

– Zakładając, że nie wszyscy boją się tych wiedźm – skomentowała Seichan, kładąc głowę na oparciu siedzenia i zamykając oczy.

Gdy wjechali do miasta, Gray przyglądał się otoczeniu za szybą wozu. Było to urokliwe, bajkowe miasteczko o wąskich uliczkach, małych zadrzewionych parkach i domach krytych czerwoną dachówką. Wszędzie dostrzegał ślady szesnastowiecznego pochodzenia: od starego i majestatycznego kościoła z wysoką wieżą po pozostałości pradawnego fortu na pobliskim wzgórzu. Zatrzymali się w końcu pod grubym murem kamiennego zamku; z każdego narożnika wyrastała masywna okrągła wieża. Z blanków rozciągał się widok na głęboki wąwóz rzeki, jak ten na zdjęciu z Fredrikiem.

– Zamek Frankopan – wyjaśnił Dag, parkując przy krawężniku. Skierował ich uwagę na sąsiedni pobielony budynek, przylegający do gotyckiej warowni. – A to jest hotel Frankopan. Pub znajduje się w środku. Zaprowadzę was i spytam o Fredrika.

W innej sytuacji Gray wolałby nie rzucać się w oczy, ale i tak już stracili mnóstwo czasu, by tu dotrzeć, a czekała ich jeszcze długa i mozolna wędrówka.

– Hvala – powiedział, dziękując kierowcy w jego ojczystym języku, co znów wywołało na twarzy młodego mężczyzny uśmiech.

– No to chodźcie. Może i my łykniemy brandy. Żeby odpędzić vještice.

Komandor nie miał nic przeciwko temu. Jeśli Dag mógł dostatecznie szybko skontaktować go z Fredrikiem, to był gotów postawić chłopakowi całą butelkę.

Dag poprowadził ich szybko w strugach deszczu ku schodom prowadzącym do wejścia. W środku hol też był pobielony, ale wewnątrz ocieplały drewniane meble, które wyglądały jak antyki. Przeszli obok kontuaru, obrzuceni zaciekawionym spojrzeniem recepcjonistki, ale Dag tylko jej pomachał.

– Zdravo, Brigita!

Skinęła mu w odpowiedzi głową, lecz jej ciekawość przerodziła się w nieufność.

– Wydaje się, że każdy zna tu każdego – zauważył Gray.

– Także tych, którzy nie są stąd – dodała złowroźbnie Seichan.

Zerknął na nią. Jej swobodny krok zmienił się niepostrzeżenie, czego ktoś, kto jej nie znał, mógłby nie zauważyć. Gray dostrzegł jednak nieznaczne zwężenie jej oczu, ostrożność w każdym ruchu.

– Co się dzieje? – spytał szeptem, gdy zmierzali w stronę stłumionego gwaru zatłoczonej sali barowej.

– Zauważyłeś jej reakcję na nasz widok? Nie była przyjazna. Domyślam się, że nie jesteśmy jedynymi ludźmi spoza miasta, którzy się tu ostatnio pojawili. Kimkolwiek byli tamci, nie zrobili na tej kobiecie dobrego wrażenia.

– Chyba masz rację – przyznał. – To daje do myślenia. Ktokolwiek urządził zasadzkę na francuski oddział, najprawdopodobniej pojawił się tu wcześniej. Może ci ludzie nawet się tu zatrzymali. Warto to sprawdzić i rozpytać się dyskretnie.

– I może wciąż tu są, uwięzieni w miasteczku przez burzę tak jak my. – Seichan uniosła brew. – Czyżbyśmy mieli aż tyle szczęścia?

Z przodu dobiegł huk broni palnej, a potem rozległ się krzyk. Najwyraźniej mieli tyle szczęścia.

Godzina 16.24

Roland zjechał na plecach po błotnistej stromej skale do następnej jaskini. Hamując obcasami butów, zatrzymał się w końcu, a gdy Gerard pomógł mu wstać, przyłączył się do Leny, która opierała się jedną dłonią o ścianę, pochylona nieznacznie pod niskim sklepieniem.

– Daleko jeszcze? Jak sądzicie? – spytała, nieco zdyszana po dwóch godzinach wspinania się, pełzania i przedzierania przez ten podziemny świat.

Francuz znów wyjął mapę i rozłożył ją na ścianie. Wyszli już poza teren wyznaczony wcześniej przez brytyjskiego geologa. Znajdowali się dosłownie na niezbadanym terytorium. Gerard trzymał w dłoni kompas i kreślił na mapie ołówkiem, zaznaczając ich postępy, by nie zagubili się jeszcze bardziej.

– Chyba nie – odparł Roland, choć w gruncie rzeczy nie miał bladego pojęcia.

– Posłuchajcie. – Lena się wyprostowała.

Ksiądz próbował dostosować się do jej polecenia, tłumiąc urywany oddech. Nawet Gerard opuścił mapę i przekrzywił głowę. Po chwili to usłyszał: odległy grzmot jakby podziemnego gromu.

– Rzeka – powiedział.

Dotychczas zdolali uniknąć najgorszych skutków powodzi. Musieli omijać i brnąć przez nieliczne rozlewiska, ale wyglądały one na stały element tego świata, niemający nic wspólnego z burzą. Gerard modlił się w duchu, by ta rzeka okazała się możliwa do przebycia.

– Chodźmy – rzucił posepnie.

Ruszyli przez nisko sklepioną jaskinię, prowadzeni światłem swoich czołówek. W miarę jak się posuwali, kamienny sufit wznosił się coraz wyżej. Jego powierzchnię zdobiły fantastyczne rogi heliktytów, a między nimi wyrastały grube stalaktyty. Przez cały czas narastał nieubłagane grzmot rzeki, odbijający się echem w rozległej przestrzeni i tłumiący ich sporadyczne szepty; jedynym jego akompaniamentem był łoskot ich serc.

– Rolandzie. – Lena chwyciła go za łokieć i coś pokazała. – Spójrz. Jeszcze jeden petroglif.

Obliział suche wargi, niezbyt zainteresowany tymi pradawnymi malowidłami. W ciągu kilku ostatnich godzin napotykali dzieła podziemnej sztuki, pojedyncze obrazy różnych zwierząt: bizona, niedźwiedzia, antylopy, nawet samotnego leoparda. Wydawało się, że artysta, który ozdabiał główną jaskinię, zagłębił się w ten system, pozostawiając po sobie owe prehistoryczne znaki.

– To nie jest zwierzę. – Lena podeszła do ściany skalnej po prawej stronie, ciągnąc ze sobą Rolanda.

Oświetliła wielką, strzelistą postać widniejącą na powierzchni kamienia. Odtworzona w odcieniach bieli, wznosiła się na wysokość dwóch pięter. Sądząc po wydatnym łonie, był to gigantyczny, widmowy wizerunek kobiety. Zdawało się, że jej oczy – karmazynowe kręgi – spoglądają na nich z góry. Niebieskie kropki na czole tworzyły kształt sześcioramiennej gwiazdy, tak jak symbole w grobowcu.

– Myślisz, że to obraz tej neandertalskiej kobiety, której kości zostały usunięte z drugiej jaskini? – spytała Lena.

Ukradzione przed wiekami przez ojca Kirchera? – przemknęło przez głowę księdza.

– To pierwsze malowidło ludzkiej postaci, jakie tu widzieliśmy – dodała, patrząc na Rolanda. – Wszystkie pozostałe petroglify przedstawiały zwierzęta.

Z wyjątkiem cieni rzuconych przez wyrzeźbione stalagmity, odtwarzających jakiegoś wielkiego wroga tych ludzi, pomyślał.

– I popatrz na to – poprosiła.

Zniżyła strumień światła lampy między białe kostki petroglifu, gdzie widniało mroczne wejście do niskiego tunelu. Roland przysunął się bliżej i też skierował światło w tamtą stronę, co pozwoliło zobaczyć, że ten korytarz to właściwie sklepione łukowato wrota prowadzące do bocznej jaskini.

– Zostawcie to – rzucił ostrzegawczo Gerard. – Nie możemy marnować czasu.

Ogłuszający huk pędzącej wody tylko potwierdził jego słowa.

Mimo wszystko...

Lena sama podjęła decyzję. Pochyliła się i pokonała na czworakach próg wylotu tunelu. Kierowany tą samą ciekawością Roland ruszył w jej ślady, nie zwracając uwagi na pomruk dezaprobaty ze strony Francuza.

Sąsiednia jaskinia była niewielka, sięgała zaledwie pięć metrów w głąb. Nie było tu kości, tylko płaskie podłoże skalne z poczerniałym miejscem na środku oznaczającym pradawne palenisko. Lena stanęła i zaczęła się wolno obracać, oświetlając ściany. Nagle westchnęła zdumiona.

Ściany jaskini nie były pokryte malowidłami, ale wycięto w nich nisze tworzące szeregi. Każda z tych wnęk skrywała wyrzeźbione figurki zwierząt – istną kamienną menażerię. W jednym z tych wgłębień mały mamut podnosił zwiniętą trąbę. W innym znajdował się lew stojący na tylnych łapach. Roland wspomógł Lenę swoim światłem i dobył z mroku wilki, niedźwiedzie i bizona, a także jelenie i antylopy. W wyższych wnękach umieszczono ptaki wszelkiego rodzaju, od jastrzębi po kaczki.

Jeśli istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do wieku tej kolekcji, to kalcyt, którego skorupy i strużki oblepiały i przytwierdzały wszystko do podłoża, świadczył dobitnie o jej prehistorycznym pochodzeniu. Powstanie takiej warstwy wymagało tysiącleci.

– To plemienne totemy – zawyrokowała Lena. Sięgnęła po przyczajonego leoparda, ale opuściła rękę. – Jeśli te figurki zostały wycięte przez neandertalczyków, zmieniłoby to fundamentalnie nasze poglądy na ten gatunek.

Roland skinął głową i zbliżył się do największej niszy. Znajdowała się dokładnie naprzeciwko wejścia do jaskini. Jego uwagę zwróciły niewielkie oznaczenia. Pojedynczy odcisk dłoni po obu stronach niszy, o barwie krwawej czerwieni.

Lena stanęła u jego boku.

– Ten po lewej odznacza się tym samym skrzywionym małym palcem, który widzieliśmy w starym złupionym grobie. – Wskazała odcisk po prawej stronie. – A ten... Jestem pewna, że pasuje do odcisków dłoni nad szczątkami męskiego osobnika neandertalskiego.

Ksiądz spojrział na nią ze zmarszczonym czołem.

– Znów znaki tych samych dwóch postaci.

– Najwidoczniej były ważne dla tego plemienia. Może dla wodzów. Albo, sądząc po totemach, dla szamanów.

Oświecił pograżoną w mroku niszę. W przeciwieństwie do innych, to wgłębienie nie skrywało w swoim wnętrzu kamiennej figurki, ale na jej dnie leżało jakieś zawiniątko.

Sięgnął po to.

– Ostrożnie – ostrzegła Lena, lecz nie zamierzała go zniechęcać.

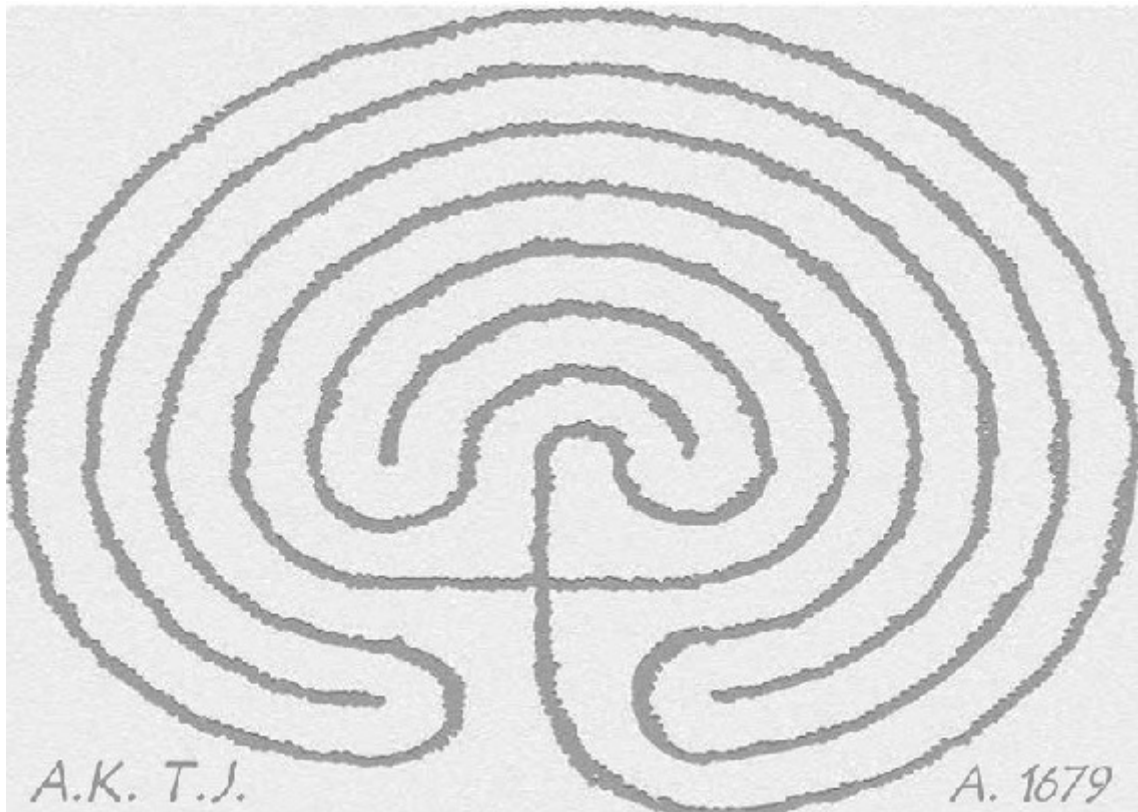
Wyjął z niszy przedmiot opakowany w warstwy sztywnego materiału. Poczł pod palcami kruchy wosk.

– To nie pochodzi z prehistorycznych czasów.

Lena przysunęła się do księdza.

– Co to jest?

Oblizł wargi i odwinął materiał, rozrzucając wokół grudki wosku. W końcu odsłonił oprawioną w skórę książkę. Na jej powierzchni wytłoczono jakiś symbol, który składał się z kręgów tworzących pewien wzór.



– To wygląda jak przekrój poprzeczny mózgu – zauważyła ze zdumieniem Lena.

Uśmiechnął się. Była biologiem, więc dostrzegła mózg.

– Myślę, że to labirynt – powiedział. – Takie jak ten rzeźbiono i malowano od chwili, gdy człowiek po raz pierwszy zaczął tworzyć



sztukę.

– Ale co on oznacza?

– Nie wiem. Spójrz jednak na inicjały u dołu.

– A.K... i T.J. – odczytała głośno.

– Atanazy Kircher... i Towarzystwo Jezusowe – wyjaśnił z nabożną nutą w głosie.

Poczuł drzenie dłoni, gdy sobie uświadomił, że trzyma w nich książkę należącą niegdyś do jezuitę, którego dzieje stanowiły główny temat pracy całego jego życia. Nie mogąc się powstrzymać, podniósł delikatnie okładkę. Coś wypadło spomiędzy kartek i uderzyło z metalicznym brzękiem o kamienne podłoże.

Lena schyliła się i podniosła ten przedmiot.

– To klucz.

Podsunęła go do światła. Był długi jak dłoń Rolanda i miał kunsztowny uchwyt w kształcie cheruba i łuku stworzonego z czaszek.



Przypomniął sobie siłą rzeczy czaszkę i kości ukradzione z grobu w tamtej jaskini. Co to wszystko oznaczało?

Skupił się na książce w poszukiwaniu odpowiedzi, ale stronicie między skórzanymi okładkami nie przetrwały dobrze próby czasu. W ciągu wieków wilgoć przeniknęła zapewne woskowany materiał, zamieniając papier w zbitą masę. Odcisk klucza wciąż się zachował, ale to, co tu kiedyś zapisano, już dawno zniszczyły lata i woda.

– Musimy iść dalej! – rzucił rozkazującym tonem Gerard.

Lena zwlekała jeszcze chwilę; przeszukiwała wglębienie opuszkami palców.

– Wyczuwam kawałki kalcytu, jakby coś się tu kiedyś znajdowało, ale zostało wyrwane i zabrane.

Roland rzucił okiem na rzędy totemów, przytwierdzone do swoich miejsc minerałem sączącym się przez tysiąclecia.

– Kircher musiał zabrać stąd coś ważnego, ale zostawił książkę, pewnie jako wskazówkę dotyczącą tego, co znalazł, i miejsca, do którego to zabrał. – Popatrzył na stary wolumin, oceniając krytycznie jego żalosny stan.

– Może uda się coś odtworzyć – powiedziała z nadzieją Lena. – Jeśli przekażemy tę książkę specjalistom...

Wątpił, czy cokolwiek da się jeszcze uratować, ale skinął głową i wskazał wyjście.

– Zanim tak się stanie, musimy uciec z tych przeklętych tuneli.

Gdy podeszli do Gerarda, Roland od razu zrozumiał, dlaczego tak ich przynaglał. Tu, w głównej jaskini, ogłuszający grzmot pędzącej wody odbijał się jeszcze donośniejszym echem.

Lena spojrzała na niego, na jej twarzy malował się nagi strach.

Pozostało im niewiele czasu.

Godzina 16.48

Huk strzałów dobiegał z baru.

W drzwiach na końcu korytarza ukazała się grupa ludzi, która rzuciła się biegiem w stronę Graya i Seichan. Gray chwycił Daga i pchnął go w stronę holu.

– Wezwij policję.

Gdy tłum mijał ich w panice, komandor przywarł płasko do ściany i wysunął z kabury pod mokrą kurtką czarnego SIG sauera. Stojąca pod przeciwległą ścianą Seichan trzymała w jednej dłoni nóż wojskowy, w drugiej pistolet. Kiedy pomieszczenie opustoszało, oboje ruszyli nisko pochyleni w stronę baru, każde po swojej stronie.

Nim dotarli do drzwi, Gray usłyszał za plecami pospieszne kroki. Był to Dag, który wrócił i teraz patrzył szeroko otwartymi oczami na broń w jego ręce. Komandor pchnął chłopaka brutalnie pod ścianę. Seichan zmarszczyła gniewnie czoło, przyklękając na jedno kolano i celując w stronę wejścia do baru. Strzały wewnątrz ucichły, ale krzyki wciąż rozbrzmiewały – przypominały rozkazy wydawane po chorwacku. Wydawało się, że napastnicy – kimkolwiek są – wzięli zakładników.

Co się dzieje, u diabła?

Dag znał odpowiedź na to pytanie.

– Słyszałem od innych – wysapał, w jego oczach wciąż malowało się przerażenie. – Razbojnicy... paru bandytów wpadło do pubu. Zażądali, by Fredrik się pokazał. Zaczęli strzelać w sufit. Trafili jednego mężczyznę w nogę.

Gray zerknął na Daga, potem na Seichan. Więc napastnicy szukali tego samego wspinacza. Ten atak musi mieć związek z zasadzką w górach. Czy ktoś robił tu porządek? Usuwał ślady i pilnował, by każdy, kto wiedział o sekretnym miejscu, został wyeliminowany?

– A Fredrik? – spytał Gray i Dag wskazał bar. – Wciąż tam jest?

Młody człowiek skinął głową.

– W toalecie na tyłach lokalu.

– Jest tam okno? Można się wydostać na zewnątrz?

– Okno, tak. Ale za małe.

Więc facet jest uwięziony w środku.

Gray nie wątpił, że kryjówka Fredrika zostanie niebawem odkryta. Spojrzał na Seichan, wiedząc doskonale, że wszystko słyszała. Skinęła głową, rozumiejąc w mig, o co mu chodzi. Nie pierwszy raz działali razem. Przeszła błyskawicznie na jego stronę i chwyciła Daga za kołnierz.

– Idziesz ze mną – rzuciła zimno.

Kiedy pociągnęła go w głąb holu, Gray przysunął się szybko do drzwi pubu i ukrył z boku wejścia. Przycupnął nisko, zajrzał do środka, po czym się wycofał. Obraz utrwalony w jego pamięci pozwolił mu ocenić sytuację: czterech uzbrojonych mężczyzn w maskach, wszyscy z pistoletami, żadnych automatów. Dwaj pilnowali trójkę gości uwięzionych w wyściełanym na czerwono boksie, trzeci stał nad zwiniętym w kłębek człowiekiem na podłodze. Na lakierowym drewnie rozlewała się krew. Czwarty rozglądał się uważnie, ale na szczęście miał widok zasłonięty przez mahoniowy kontuar, dzięki czemu komandor był w miarę niewidoczny.

Gray dostrzegł kolejny szczegół: jeden z gości w boksie wskazywał w stronę baru; chodziło najprawdopodobniej o toalety.

Czas się skończył.

Jakby na dany sygnał, znów rozległ się huk strzałów przy akompaniamencie pękającego szkła. Dźwięk dobiegał z tylnej części pubu, tam gdzie znajdowały się toalety. Był to sygnał do działania. Gray, osłonięty częściowo przez kontuar baru, przetoczył się przez próg. Czterej napastnicy byli już obrócenii w stronę łazienki i mierzyli tam ze swoich pistoletów.

Gray oddał dwa strzały, oba w głowę. Gdy trafieni mężczyźni runęli na podłogę, wycelował w nogę trzeciego, a potem rozwalił mu kolano; napastnik osunął się na leżącego gościa, który odniósł wcześniej identyczną ranę.

Karma to mściwa suka.

Czwarty, ten znajdujący się najdalej od wejścia, rzucił się ku jedyjnemu możliwemu schronieniu. Wpadł do damskiej toalety, przekonany najwidoczniej, że strzały oddał chowający się w sąsiednim pomieszczeniu Fredrik, jego niedoszła ofiara. I miał nadzieję, że w drugiej toalecie znajduje się okno, przez które zdoła uciec.

Gray przypomniał sobie słowa Daga.

Okno, tak. Ale za małe.

Dobiegł stamtąd pojedynczy strzał, któremu znów towarzyszył brzęk tłuczonego szkła.

Mężczyzna wtoczył się z powrotem do pubu i runął bokiem na podłogę; w jego potylicy ziała dziura przypominająca kształtem krater.

Chcąc uzyskać odpowiedzi, Gray ruszył szybko w stronę jedyne żywego jeszcze mężczyzny na podłodze, tego, którego postrzelił w nogę, ale nim zdążył się do niego zbliżyć, tamten przystawił sobie pistolet do głowy – i strzelił. Huk był głośny i stłumił przekleństwo rzucone przez Graya.

Zmagając się z rozczarowaniem, komandor pobiegł do męskiej toalety i wpadł do środka. Znalazł Fredrika skulonego w jednej z kabin; twarz miał poszarzałą, długie włosy koloru soli z pieprzem były rozczochrane. Mimo strachu spojrział gniewnie na Graya, oczekując nieuniknionego.

– Fredrik! – dobiegł głos zza roztrzaskanego okna na przeciwległej ścianie. Stojąc na zewnątrz w strugach deszczu, Dag przysuwał twarz do stłuczonej szyby i mówił coś szybko po serbsko-chorwacku, jakby chciał dodać towarzyszowi odwagi.

Gray też uznał, że powinien uspokoić mężczyznę, wykorzystując słowa, które zapamiętał podczas podróży.

– Zovem se Gray – przedstawił się, chowając pistolet do kabury i unosząc dłonie.

Seichan odepchnęła Daga na bok i zawołała przez okno:

– Tu jest czysto!

Gray wyobraził sobie, jak jego partnerka biegnie wokół hotelu, a potem strzela w szybę toalety, by odwrócić uwagę napastników. Musiała słyszeć, jak ostatni z nich wpada do sąsiedniego pomieszczenia, i zdołała wyeliminować także i to zagrożenie.

Gdy Fredrik odzyskał panowanie nad sobą, okazało się, że posługuje się biegle angielskim.

– Co... co się dzieje?

Gray wskazał drzwi.

– Przedyskutujmy to gdzieś na osobności. Nie można wykluczyć, że ci czterej nie byli sami.

Fredrik nie potrzebował zachęty, by opuścić czym prędzej toaletę. Gray poprowadził go przez pub w stronę bocznego wyjścia z hotelu, dzięki czemu ominęli hol. Na ulicy spotkali się z Seichan i Dagiem. Pospieszyli do zaparkowanego bmw i wsiedli do wozu.

Zanim Gray ponaglił Daga, by ten ruszył, poczuł w kieszeni wibrację telefonu satelitarnego. Odebrał i od razu rozpoznał głos Kat.

– Gray, właśnie złapaliśmy sygnał komórki doktor Crandall. Jest słaby i przerywany. Nie wystarczy, żeby uzyskać połączenie, ale zdołaliśmy ją z grubsza zlokalizować, tyle że jej miejsce pobytu wydaje się mało prawdopodobne.

– Skąd dociera sygnał?

– Prześlę ci dane z GPS-u.

Popatrzył na mapę, która ukazała się na ekranie. Miasteczko miało kształt podkowy, jego uliczki i szeregi domów leżały w głębokim wąwozie rzeki przecinającym je do połowy i kończącym się głęboką rozpadliną widoczną z pobliskiego zamku.

Mrugająca kropczka na mapie oznaczała wychwycony sygnał.

Zdziwiony Gray podniósł wzrok i popatrzył na ciemną czeluść przy końcu ulicy. Wszystko wskazywało na to, że sygnał dochodzi właśnie stamtąd.

Niedobrze.



# 6

Lawrenceville, Georgia

29 kwietnia, godzina 11.03 czasu miejscowego

Dlaczego nie odbierasz?

Maria, siedząc przy biurku w swoim gabinecie, opuściła telefon, który ścisnęła nerwowo w dłoniach. Przez ostatnie dwie godziny próbowała skontaktować się z siostrą, lecz bez powodzenia. Za każdym razem jej niepokój wzrastał.

Rozmawiała już ze swoim łącznikiem w DARPA i dowiedziała się, że doszło do jakichś problemów na chorwackim stanowisku archeologicznym, ale nie znała szczegółów. Pouczono ją, że ma czekać cierpliwie i próbować dodzwonić się do Leny. Tymczasem z Waszyngtonu do Georgii jechała grupa śledcza – żeby przesłuchać ją w sprawie jej projektu naukowego i udzielić informacji na temat wydarzeń w Chorwacji.

Spojrzała na telefon, żeby sprawdzić godzinę.

Powinni się zjawić lada chwila.

Wzięła dla uspokojenia głęboki oddech, nie potrafiła jednak zapomnieć o lęku, który tego ranka zdradzał Baako. Widziała w wyobraźni, jak pokazuje bezustannie, rozkładając palce i przesuwając dłonią po klatce piersiowej, raz za razem:

Bać się, bać się, bać się...

– Ja też się boję – wyszeptała do pustego pokoju.

Ujrzała w myślach twarz Leny. Siostra urodziła się kilka minut wcześniej i jakby na mocy tego nieznacznego starszeństwa odgrywała w ich relacjach matczyną rolę. To Lena przygotowywała



w mikrofalówce obiad, kiedy mama była w pracy. To ona pilnowała, by siostra odrobiła lekcje przed oglądaniem telewizji. Z racji tych obowiązków Lena odznaczała się większą powagą, większą ostrożnością, podczas gdy Maria przejawiała więcej bez troski i śmiałości, gdy chodziło o nowe wyzwania.

Nie czuję się teraz śmiała, tylko zaniepokojona.

Po kolejnej nieudanej próbie skontaktowania się z Leną usłyszała przyciszone głosy za progiem domu. Rozległo się donośne pukanie. Otworzyła drzwi i ujrzała Leonarda Traska. Za dyrektorem jej ośrodka stało dwóch obcych mężczyzn i kobieta, którą dobrze знаła, Amy Wu. Amy pracowała dla National Science Foundation i była kierownikiem projektu BRAIN. Pomogła osobiście zdobyć fundusze na badania prowadzone przez Lenę i Marię. Te trzy kobiety, w tym samym wieku, wykonujące zawód zdominowany przez mężczyzn, połączyła głęboka przyjaźń.

Amy przepchnęła się obok Traska i serdecznie uściskała Marię. Pachniała perfumami z nutą fuksji. Ciemne włosy, obcięte po chłopięcemu, połaskotały Marię w ucho. Amy odsunęła się od przyjaciółki i spojrzała jej w oczy.

– Trzymasz się? – spytała ze szczerą troską w głosie.

Maria doceniała ten gest, ale w tej chwili była spragniona wiadomości o siostrze.

– Dowiedziałaś się czegoś?

Amy zerknęła na dwóch towarzyszących jej mężczyzn; obaj przypominali wykidajłów w barze nawiedzonym przez gang motocyklowy. Nosili garnitury, ale odznaczyli się muskularną budową ciała. Patrząc na ich ogolone głowy i sztywną postawę, Maria domyśliła się, że to wojskowi. Niższy skinął jej głową i obdarzył ją uśmiechem, który wydawał się krzepiący.

Amy ich przedstawiła.

– Ci dwaj panowie są z DARPA. To jest Monk Kokkalis. A to jego partner, Joseph Kowalski.

– Joe – sprostował drugi mężczyzna, wchodząc do środka; musiał się przy tym trochę schylić. Rozejrzał się po pokoju. Miał twarde wyraz twarzy, zachowanie zdradzało czujność.

Trask ruszył za nim, lecz Amy podniosła rękę, zatrzymując go na progu.

– Obawiam się, że ta rozmowa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Jestem pewna, że rozumiesz, Leonardzie.

Zamknęła mu drzwi przed nosem, ale Trask zdążył jeszcze obrzucić Marię pogardliwym spojrzeniem.

Wiedziała, że przyjdzie jej za to zapłacić, ale w tej chwili pragnęła jedynie dowiedzieć się czegoś o Lenie. Nie musiała zadawać żadnych pytań. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Amy przystąpiła do rzeczy.

– Wiem, że się martwisz o Lenę. Nie będziemy niczego przed tobą ukrywać, ale nadal jest wiele niewiadomych. Wciąż próbujemy ustalić, co dokładnie wydarzyło się w tych górach.

– Co udało wam się dotąd ustalić?

– Tylko tyle, że to miejsce zostało w jakiś sposób zaatakowane i że straciliśmy kontakt z francuskim oddziałem, który je zabezpieczał.

Maria popatrzyła na komórkę, którą wciąż trzymała w dłoni. Każde słowo było jak cios w brzuch. Osunęła się ciężko na fotel.

– A Lena?

– Nie obawiajmy się od razu najgorszego. Tak jak powiedziałam, nie udało się nam nawiązać jakiegokolwiek kontaktu. W tych górach szaleje teraz burza, poza tym region nawiedziły lekkie trzęsienia ziemi. DARPA wysłała zespół w celu przeszukania terenu. Miejmy nadzieję, że wkrótce się czegoś dowiemy. Jest jednak pozytywny sygnał.

Amy zwróciła się do Monka Kokkalisa, a ten odchrząknął.

– Jak się pani zapewne domyśla, staramy się bezustannie nawiązać kontakt, i kilka minut temu, kiedy jechaliśmy tu z lotniska, dowiedzieliśmy się, że nasz zespół łączności uchwycił sygnał komórki należącej do Leny. Był słaby, ale docierał z miejsca, które jest bardzo odległe od stanowiska archeologicznego.

Amy ujęła dłoń przyjaciółki.

– Co wskazuje, że twoja siostra się przemieszcza, próbując prawdopodobnie wydostać się z gór.

Maria poczuła w oczach łzy zarówno ulgi, jak i strachu.

– Ale nie wiecie, czy jest sama? Może ją porwano albo zraniono?

– Ma pani rację – przyznał Monk. – Znam jednak człowieka, którego tam wysłano. Znajdzie ją.

Dosłyszała w jego głębokim głosie niezmaconą pewność i chciała mu wierzyć.

– Jeśli ten atak był czymś więcej niż tylko działaniem jakiejś grupy próbującej obrabować stanowisko archeologiczne, to pani siostrze i pozostałym członkom zespołu badawczego może bardzo pomóc ustalenie, co się za tym kryje. Dlatego tu jesteśmy. Żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym, czym się pani zajmuje.

– Wyjaśnię wszystko, ale nie rozumiem, co wspólnego mają z tym atakiem nasze badania.

– Może nic – przyznał Monk. – Lecz staramy się zbadać wszelkie możliwe tropy.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Co chcecie wiedzieć?

– Poinformowano mnie o głównych założeniach pani badań. – Popatrzył na Amy. – Chcę jednak usłyszeć o tym od pani osobiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Maria skinęła głową.

– Rozumiem, że celem pani badań jest ustalenie pochodzenia ludzkiej inteligencji – ciągnął. – Mogłaby pani powiedzieć coś więcej o metodologii i hipotezach, które stara się pani wysunąć?

Westchnęła głośno, nie wiedząc, od czego zacząć ani nawet tego, czy ten wojskowy zrozumie, ale wyprostowała się w fotelu, gotowa do współpracy.

– Razem z siostrą analizowałyśmy moment w historii ludzkości zwany Wielkim Skokiem. Punkt w rozwoju kognitywnym, około

pięćdziesięciu tysięcy lat temu, kiedy doszło do niewyjaśnionego i gwałtownego rozkwitu sztuki i ludzkiej innowacji.

Monk skinął głową.

– Wielki Wybuch ludzkiej świadomości.

Przyjrzała mu się dokładniej, uświadamiając sobie, że za tą fasadą boksera kryje się być może coś więcej. W błysku jego oczu dostrzegła rozbawienie i przenikliwą inteligencję.

Dobra, możemy wejść na nieco wyższy poziom, pomyślała.

– Współczesny człowiek pojawił się na scenie jakieś dwieście tysięcy lat temu – wyjaśniła Maria. – Nasze przejście od homoidalnych przodków dokonało się wówczas bardzo szybko. Według najnowszych badań prowadzonych przez troje naukowców z Uniwersytetu Chicago to nagłe pojawienie się Homo sapiens jest przypisywane szybkiej mutacji jedynie siedemnastu genów odpowiedzialnych za budowę mózgu. Niewielu, w gruncie rzeczy. Ale te nieznaczne zmiany wywołały efekt kaskady, czy może lawiny, którego rezultatem były setki zmian w tysiącach genów, dokonane w relatywnie krótkim czasie.

Monk zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– I to przyspieszenie doprowadziło do powstania naszego współczesnego mózgu? Do tego, co odróżnia nas od szympansów i wczesnych hominidów?

– I wyposażyło nas w większość wyjątkowych ludzkich cech. Zdolności poznawania, samoświadomości, jaźni. – Patrzyła na uważnych słuchaczy, zadowolona, że może mówić, co pozwalało stłumić strach o Lenę. – A to prowadzi nas z powrotem do Wielkiego Skoku. Wcześniej rodzaj ludzki pozostawał w stagnacji trwającej sto pięćdziesiąt tysięcy lat. Tak, z pewnością obrabialiśmy prymitywne narzędzia kamienne, ale w tym czasie nie tworzyliśmy sztuki, nie ozdabialiśmy ciał biżuterią i nie grzebaliśmy zmarłych z zastosowaniem jakichkolwiek obrzędów.

– A potem? – spytał Monk.

– Nagły wybuch. Przeszliśmy od kamiennych narzędzi do kościanych, rozwinęliśmy nowe techniki garbowania skór, podgrzewaliśmy pigmenty, by tworzyć nowe kolory, wyrabialiśmy biżuterię z muszli. Nagle zaczęliśmy nosić naszyjniki i bransolety i grzebać bliskich z różnymi przedmiotami: jedzeniem, narzędziami i innymi darami. I, co najbardziej poruszające, zaczęliśmy tworzyć wspaniałe dzieła sztuki, ozdabiając ściany jaskiń pigmentowymi obrazami świata naturalnego. To był ten moment, kiedy naprawdę narodził się człowiek współczesny.

Zza ich pleców dobiegł chrapliwy głos posępnego towarzysza Monka:

– Co było powodem tego wszystkiego?

– Pozostaje to tajemnicą – odparła. – Badamy ją, ja i moja siostra. Nasze mózgi nie zmieniły się pod względem wielkości. Wiemy dzięki analizie skamielin, że mieliśmy identyczne mózgownice przed Wielkim Skokiem i potem. Tak więc, w związku z brakiem poważnych anatomicznych wyjaśnień tego postępu, zrodziło się mnóstwo teorii dotyczących konkretnej przyczyny owego rozwoju pomysłowości. Niektórzy twierdzą, że mógł to być efekt lepszej diety, bogatszej w kwasy tłuszczowe omega i wspomagającej nasze myślenie. Inni przypisują to zmianie klimatycznej, kiedy to wymogi środowiskowe zmusiły nas do przyspieszonego rozwoju. Według jeszcze innej szkoły stało się tak dlatego, że wczesny człowiek zaczął w tym okresie emigrować z Afryki, poddając mózg nowym bodźcom i rozwijając zdolność do przetrwania.

– A pani teoria? – spytał Monk.

Wskazała swój dyplom na ścianie.

– Jestem biologiem molekularnym specjalizującym się w genetyce. Jeśli mózg nie powiększył się znacząco, to być może powód tej zmiany można znaleźć na poziomie genetycznym. Pamiętajcie: tylko garść mutacji genetycznych spowodowała powstanie człowieka współczesnego. Więc może pięćdziesiąt tysięcy

lat temu stało się coś równie wyjątkowego? Coś, co zmieniło nasz genom i było tak znaczące, by zapoczątkować Wielki Skok?

– Co na przykład? – spytał Kowalski.

– Pojawienie się nowych genów pochodzących od nowego gatunku – odpowiedział Monk, którego twarz zdradzała zamyślenie.

Maria skinęła głową.

– To było mniej więcej w tym samym czasie, gdy Homo sapiens napotkał plemiona neandertalczyków i zaczął się z nimi krzyżować. Znacie pojęcie heterozji?

Kowalski wzruszył ramionami, ale Monk patrzył niewzruszenie. Przypuszczała, że wie, o co jej chodzi. Na dobrą sprawę potrafił wyprzedzić jej myśli, ale pozwalał wieść prym w tej rozmowie.

– Heterozja, nazywana też hybrydycznym wigorem, to fenomen biologiczny – wyjaśniła. – Łączenie się dwóch gatunków doprowadza do wydania na świat potomstwa, czy też hybrydy, które zdradza o wiele silniejsze cechy niż każde z rodziców.

– A pani hipoteza sprowadza się do tego, że krzyżowanie się neandertalczyka i wczesnego człowieka zrodziło potomka, który był inteligentniejszy, a tym samym doprowadziło do tego gwałtownego rozwoju ludzkiej pomysłowości.

– To właśnie badałyśmy, ja i Lena. Dwa do trzech procent genomu współczesnego człowieka składa się z genów neandertalczyka, z wyjątkiem większości populacji afrykańskiej, która nigdy nie krzyżowała się z neandertalczykami. Ponadto nie wszyscy mamy ten sam fragment DNA neandertalczyka. Jeśli dodać te odmienne części do siebie, to suma jest równa mniej więcej dwudziestu procentom wszystkich naszych genów. To z pewnością dostatecznie dużo, by w znaczący sposób zmienić drogę, jaką podąża rodzaj ludzki. Genetycy już ustalili, że niektóre z tych odcinków neandertalskiego DNA pomogły najprawdopodobniej naszym wędrownym przodkom przystosować się do klimatu północnej Europy, na przykład za sprawą owłosienia ciała i skóry zawierającej mniej pigmentów.

– Ale jeśli dobrze rozumiem, nic nie wskazuje, by podniosło to w jakikolwiek sposób poziom inteligencji – powiedział Monk.

– Zgadza się. Ja i siostra nie jesteśmy skłonne uważać, że istnieje tak prosta zależność.

Monk zmarszczył czoło.

– Dlaczego?

– Bo afrykańska populacja pradawnych ludzi także uczestniczyła w Wielkim Skoku, nie mając DNA neandertalczyków. Co rodzi kolejną tajemnicę dotyczącą tego punktu zwrotnego w historii człowieka. Ta zmiana nie była wyizolowanym fenomenem, ale takim, który wystąpił niemal jednocześnie w rozrzuconych po całym świecie populacjach i plemionach i rozprzestrzenił się w Europie, Azji i na kontynencie afrykańskim.

– I jak pani to interpretuje?

– Według naszej hipotezy Wielki Skok był wynikiem procesów genetycznych i inżynierii społecznej. Uważamy, że ta globalna zmiana rzeczywiście została zainicjowana przez krzyżowanie się gatunków, skutkujące nagłym powstaniem tych hybryd, o których wspomniałam, wyjątkowych jednostek myślących i działających inaczej. One z kolei zainspirowały szybkie zmiany społeczne: w sztuce, rytuałach, konstrukcji broni. Umiejętności, które następnie były przekazywane i rozprzestrzeniały się globalnie poprzez migrację. Wiemy z genetyki, że wędrówki wczesnego człowieka nie odbywały się w jedną stronę. Nie tylko z Afryki. Niektóre populacje, łącznie z tymi, które odznaczały się neandertalskimi markerami genetycznymi, także tam powracały.

– Przekonajmy się, czy zrozumiałem właściwie – odezwał się Monk. – Według waszej hipotezy krzyżowanie się gatunków zapoczątkowało intuicyjny skok naprzód u niewielkiej liczby wyjątkowych osobników. A potem ich odmienny i nowy sposób myślenia i wiedza rozprzestrzeniły się na szerokim obszarze.

– Właśnie. I nie jest to tylko nasza teoria. Stworzyłyśmy ją na podstawie pracy opublikowanej w roku dwa tysiące trzynastym

przez filozofa z Oxfordu, Nicka Bostroma. Napisał, że wystarczyłoby zaledwie kilku nadzwyczaj zaawansowanych osobników, obdarzonych nadzwyczajną inteligencją, by zmienić świat poprzez ich kreatywność, odkrycia i innowacje, którymi można się dzielić na poziomie globalnym. W swojej pracy chodziło mu o przyszłość, ale jego teorie mogą się też odnosić do przeszłości i stanowić wyjaśnienie Wielkiego Skoku dokonanego przez ludzkość pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

– Kilku nadzwyczaj zaawansowanych osobników? – spytał Monk.  
– Jak pani teoretyczne hybrydy?

– Możliwe. To właśnie badamy z siostrą: co oznaczało bycie tą pierwszą generacją, jaka stanowiła rezultat związku między Homo neanderthalensis i Homo sapiens. Być w pięćdziesięciu procentach neandertalczykiem, a w pięćdziesięciu współczesnym człowiekiem. Najprawdziwszą hybrydą. Wiemy, że liczba neandertalskich genów szybko zmniejszyła się w naszym genomie, ograniczając się ostatecznie do zaledwie dwóch czy trzech procent... zbyt mało, by mieć jakikolwiek stymulujący wpływ na naszą dzisiejszą inteligencję. – Maria rozejrzała się po pokoju. – A gdybyśmy cofnęli wskazówki zegara ewolucyjnego i odtworzyli obecnie prawdziwą hybrydę?

– I nad tym pracowałyście z siostrą? – W głosie Monka pobrzmiwało przerażenie i jednocześnie zdumienie.

– Nie tylko pracowałyśmy. Osiągnęłyśmy to. – Maria wstała z fotela. – Chcielibyście go poznać?

Godzina 11.35

Chyba żartujesz, do diabła, pomyślał Kowalski.

Patrzył przez szybę na coś, co przypominało przedszkolną salę lekcyjną, ale stworzoną tylko dla jednego ucznia. Z sufitu zwisały



liny. W kącie kołysała się opona. Wszędzie walały się wielkie klocki z plastiku.

Patrzyła na nich spośród tego bałaganu niewielka kudłata postać; opierała się na kłykciach jednej ręki i przyciskała nos do szyby, próbując wywęszyć nieznanym po drugiej stronie okna.

– Ma na imię Baako – przedstawiła go Maria.

– To goryl – zauważył Kowalski, nie mogąc stłumić pogardy w głosie. Nawet za bardzo się nie starał. Miał złe doświadczenia z człekokształtymi.

Nic dziwnego, że Painter nic mu nie powiedział.

– To goryl nizinny – wyjaśniła Maria. – Trzyletni niedojrzały samiec.

Równie osłupiały co jego towarzysz, Monk patrzył przed siebie.

– To pani hybryda?

– Nie mogliśmy uzyskać zgody na te badania przy wykorzystaniu ludzkich embrionów, nie wzbudzając fali protestów – odparła Amy Wu, naukowiec z National Science Foundation. – Choć poddawanie ludzkiego DNA modyfikacjom nie jest samo w sobie nielegalne, budzi sprzeciwy. Zwłaszcza gdy chodzi o tworzenie ludzkich hybryd.

– Nie wspominając już o kwestiach natury etycznej – dodała Maria. – Dlatego zdecydowaliśmy się na wykorzystanie goryla jako modelu. Sześć lat temu dokonano sekwencjonowania całego genomu Homo neanderthalensis. Wykorzystując tę informację i najnowsze techniki edycji genów, byliśmy w stanie odtworzyć genom neandertalczyka. Następnie użyliśmy tej próbki w celu zapłodnienia jaja goryla, by doprowadzić do powstania embriona hybrydowego, zdolnego do przeżycia. Embrion dojrzewał w łonie samicy pełniącej rolę matki zastępczej.

Maria uznała zapewne odrazę malującą się na twarzy Kowalskiego za niedowierzanie, bo spróbowała wyjaśnić, jak można było stworzyć takiego potwora.

– Naukowcy od lat powołują do życia hybrydy. W dwa tysiące trzecim zespół chińskich naukowców zdołał połączyć ludzkie

komórki z jajami królika i wyhodował zarodki. Następnego roku kierownictwo kliniki Mayo, u nas, w Stanach, ogłosiło, że wyhodowało świnie, w których żyłach płynęła ludzka krew. Od tamtej pory pojawiały się myszy z wątrobami, a nawet sercami stworzonymi z ludzkich komórek, prowadzono też podobne projekty z wykorzystaniem innych gatunków: kotów, owiec, krów i tak dalej.

Amy Wu wsparła ją, wskazując szybko i kudłaty przedmiot ich dyskusji.

– Podejrzewam, że ten osobnik jest dopiero pierwszym krokiem na drodze ku ambitniejszym zamierzeniom planowanym w najbliższej przyszłości.

– Domyślam się więc, że zważywszy na cele waszych badań, zaczęliście od goryla, bo gatunek ten jest spokrewniony z ludźmi – powiedział Monk.

– Tak – przyznała Amy, kiwając głową.

Monk patrzył przez szybę.

– Ale dlaczego nie wybrać szympansa? – spytał. – Czy nie uważa się, że są nam genetycznie jeszcze bliższe?

– Tak i nie – odparła Maria. – Choć szympansy dzielą z nami ponad dziewięćdziesiąt osiem procent genów, a goryle dziewięćdziesiąt sześć, w naszych badaniach chodzi bardziej o jakość niż ilość. Kiedy rzecz dotyczy sekwencji odpowiedzialnych za percepcję czuciową, słuch i, co ważniejsze, rozwój mózgu, genom goryla jest znacząco bliższy naszemu niż genom szympansa.

– Potwierdzają to także wcześniejsze badania nad komunikowaniem się z szympanсами i gorylami – dodała Amy. – Washoe i Nim są prawdopodobnie dwoma najbardziej znanymi osobnikami posługującymi się językiem migowym, ale ich słownik ograniczał się do około dwustu znaków, podczas gdy goryl Koko nauczył się blisko tysiąca.

Kowalski popatrzył na swoje dłonie, przypominając sobie, że właśnie dlatego Painter go tu przysłał.

– Więc dlaczego miganie jest takie ważne? – spytał.

Maria uśmiechnęła się do niego nieznacznie, co rozjaśniło jej twarz. Miała takie same jasnoniebieskie oczy i takie same piegi od słońca na policzkach jak jej siostra bliźniaczka na zdjęciu, które wcześniej widział; tyle że blond włosy Marii, przycięte w asymetrycznego pazia, były dłuższe nad prawym uchem. Ilekroć obracała głowę, po tej samej stronie na szyi, nad kołnierzem laboratoryjnego fartucha, wyłaniał się tatuaż wielkości kciuka – w kształcie podwójnej spirali DNA.

– Umiejętności językowe to dobry barometr inteligencji i pomysłowości – wyjaśniła, znów skupiając na sobie jego uwagę. – A po dziesięcioleciach badań nad językiem człekokształtnych dysponujemy gotowym materiałem porównawczym dla intelektualnego rozwoju Baako. – Położyła dłoń na szybie. – Co jednak ważniejsze, mówimy tu o powstaniu wyjątkowego osobnika, niepodobnego do jakiegokolwiek innego na tej planecie. Więc oczywiście potrzebna nam była metoda komunikacji, sposób, by lepiej zrozumieć takie stworzenie. – Znowu na nich popatrzyła. – Chodźmy. Kiedy go poznacie, zrozumiecie.

Poprowadziła ich do drzwi i przesunęła kartę przez czytnik elektroniczny.

Kowalski ruszył za pozostałymi, wiedząc, że nie ma wielkiego wyboru.

Zdaje się, że taka jest moja rola w Sigmie – być facetem, który gada z małpami.

Wszedł do pomieszczenia i znalazł się w wysokiej klatce. Maria otworzyła drzwi z żelaznych prętów, przed którymi stanęli, ale dopiero po zamknięciu tych zewnętrznych – niewątpliwie ze względów bezpieczeństwa. Gdy wkroczyli do prowizorycznej sali lekcyjnej, Kowalski trzymał się z tyłu. W tej zamkniętej przestrzeni było jak dla niego zbyt gorąco i wilgotno; choć nie czuło się tu woni obory, zapach piżma był wyraźny.

Maria wysunęła się do przodu, wyciągając rękę.

– Baako, chodź się przywitać.

Młody goryl wyprostował się, stając na nogach, ale zachował czujność.

Kowalski spojrział na niego i zauważył, że goryl w tej pozycji sięga mu zaledwie do brzucha, a mimo to wygląda na potężnego. Zaciekawiony, zaczął szukać na włochatym ciele jakichś śladów, które by dowodziły, że ma przed sobą hybrydę, ale za mało wiedział o tym gatunku, by dostrzec jakąkolwiek znaczącą różnicę.

– W porządku – rzuciła cicho Maria.

Baako wahał się przez chwilę, a potem, wydając ciche sapnięcie, wsparł się na kłykciach jednej kończyny, zbliżył susami do Marii i wziął ją za rękę.

– Dobry chłopiec. – Odwróciła się do pozostałych. – Będzie najlepiej, jeśli po prostu pozwolicie mu się do siebie zbliżyć.

Amy Wu przyklękła na jedno kolano.

– Hej, Baako, pamiętasz mnie? Bawiliśmy się w łaskotki.

Goryl schował się za nogami Marii.

– Ostatni raz byłeś tu ponad pół roku temu – przypomniała Maria, kładąc dłoń na głowie goryla. – Wątpię, czy pamięta.

Baako znów mruknął cicho, jakby się z tym nie zgadzał. Puścił dłoń swej opiekunki, podniósł ręce do piersi i poruszył palcami. Nie trzeba było biegłości w języku migowym, by zrozumieć ten gest.

Łaskotać.

Amy wybuchnęła śmiechem.

– Zgadza się!

Baako ruszył przed siebie z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami, okazując nieśmiałość. Podszedł do kobiety i objął ją ramieniem. Amy połaskotała go po żebrach, wywołując krótkie prychnięcie, które brzmiało jak końskie rżenie. Ale nawet Kowalski mógł zauważyć, że ten osobnik tylko udaje w odpowiedzi na wysiłki kobiety, tym bardziej że ani na chwilę nie spuszczał z oka dwóch mężczyzn przebywających w jego pomieszczeniu.

Monk spróbował jako następny.

– Co powiesz na trochę zabawy? – spytał, także przyklękając na jedno kolano i wyciągając obie ręce.

Baako mruknął, wyraźnie nieswój.

– To miły człowiek – zapewniła go Maria, przesuwając prawą dłoń po lewej.

Miły.

– Przywitaj się – zachęciła.

Baako podszedł bliżej, okazując wyraźną niechęć, ale widać było po jego zmrużonych oczach, że jest też zaintrygowany. Cały czas węszył w powietrzu. Gdy pokonał odpowiedni dystans, wykonał ruch ręką, odsuwając dłoń od czoła.

Witaj.

Następnie zwinął dłoń przy piersi i przesunął w dół. Po chwili zaczął pokazywać na palcach różne litery.

Jestem Baako.

Ciemne oczy wpatrywały się w Monka, który sprawiał wrażenie skonsternowanego.

Kowalski trącił swojego partnera.

– Gość podaje ci swoje imię.

Maria zerknęła na Kowalskiego, unosząc brwi.

– Ma pan rację.

Kowalski wskazał Monka, potem pokazał na palcach, jak ma na imię.

Nazywa się Monk.

Baako przechylił na bok głowę, najwyraźniej rozumiejąc, i zbliżył się jeszcze bardziej. Ujął dłoń mężczyzny i ścisnął ją. Potem nachylił się i powąchał jego drugą rękę, kiwając głową i pohukując cicho.

– To proteza – wyjaśnił Monk, zwracając się do Baako i Marii, która podeszła bliżej.

– Naprawdę? Nigdy bym się nie domyśliła.

Nie zaskoczyło to Kowalskiego. Proteza Monka była zdumiewającym narzędziem nie tylko z powodu ludzkiego podobieństwa do oryginału. Została wykonana przez DARPA tak, by

funkcjonowała z niebywałą skutecznością; był to najnowszy model, współdziałający z implantem w mózgu Monka, pozwalającym mu kontrolować tę sztuczną kończynę nie tylko poprzez tytanowe złącza między nerwami w nadgarstku i protezą, ale też poprzez same myśli.

Monk zademonstrował jeszcze jedną unikalną cechę swej nowej dłoni. Odłączył protezę od nadgarstka, wysuwając ją z metalowego mankietu przytwierdzonego do kikuta ręki, i podał Baako.

Goryl obracał przedmiot i oglądał go pod każdym możliwym kątem. Monk mógł nawet poruszać sztucznymi palcami za pomocą bezprzewodowego sygnału. Baako uniósł brwi na widok tej demonstracji. Nawet Maria westchnęła cicho. Goryl podniósł protezę do ust i ostrożnie ugryzł jeden z palców.

Kowalski drgnął, przypuszczając, że inżynierowie DARPA nie byliby zachwyceni takim traktowaniem ich technologicznego cudu. Monk musiał mieć podobne odczucia, bo przysunął się bliżej.

Maria go powstrzymała, obserwując Baako z rozbawieniem.

– Proszę się nie martwić – powiedziała. – Próbuje tylko pana połaskotać. Goryle tak czasem robią, gryząc leciutko palce albo brzuch.

Monk roześmiał się, nie tyle z powodu łaskotek, ile raczej ze zdumienia.

– Czuję to, co próbuje zrobić.

– Zadziwiające. – Maria zmrużyła oczy i znów popatrzyła na protezę. – Czytałam o tym, że DARPA testuje sztuczne kończyny z elementami sensorycznymi, ale nigdy nie przypuszczałam, że osiągnięto takie rezultaty.

Monk wzruszył ramionami.

– Niech mnie pani uzna za królika doświadczalnego.

W końcu Baako zwrócił sztuczną rękę.

– Dzięki, mały – rzucił Monk.

Goryl obrócił się do ostatniego człowieka z grupy i przyjrzał się z uwagą jego ręką.

Kowalski uniósł dłonie.

– Niczego sobie nie wyobrażaj. Obie są prawdziwe. – Uderzył palcami jednej dłoni o drugą.

Żadnego gryzienia.

Baako prychnął głośno, a potem mruknął obrażony.

Maria uśmiechnęła się, patrząc z rozbawieniem na Kowalskiego.

– Świetnie pan pokazuje. Jestem pod wrażeniem.

Czując się nieswojo z powodu jej zainteresowania, zakreślił w powietrzu spiralę dwoma palcami i położył je na wierzchu drugiej dłoni.

Nie dziwię się.

Baako nie był taki zachwycony. Nie chciał się bardziej zbliżyć i przysiadł ciężko na zadzie. Potem pomachał szybko palcami i wskazał Kowalskiego.

Nie lubię cię.

Kowalski popatrzył na niego spode łba.

Nawzajem, kolego.

Godzina 11.48

Baako widzi, jak ten człowiek wstaje, czuje kwaśną woń jego ciała, odczytuje drobne grymasy niechęci na twarzy. Wie, że ten człowiek go nie lubi, i nie rozumie dlaczego. Niezrozumienie prowadzi do urazy – i do gniewu.

Podchodzi jego matka z zaciśniętymi ustami, gotowa strofować. Pokazuje.

On też jest miły.

Baako nie wie, jak wyjaśniać, argumentować, więc krzyżuje ramiona, nie chcąc rozmawiać.

Ten człowiek mnie nie lubi, więc ja nie lubię jego.

No i jego matce bardzo się podobało, jak ten mężczyzna rozmawia swoimi dłońmi. Widział, jak się do niego uśmiecha.

Powinno jej się podobać tylko to, jak mówi Baako.

Nie ten człowiek.

Ona wskazuje drzwi i pokazuje zdecydowanym ruchem.

Idź do swojego pokoju, Baako.

Mruczy niezadowolony, wyrażając urazę i frustrację.

Ona znów wskazuje dwoma palcami drzwi jego sypialni.

Idź.

Prycha i wykonuje pospiesznie polecenie. Odchodzi, opierając się na obu rękach, płonąc z rozgoryczenia. Nim wychodzi z pokoju, rzuca pełne złości spojrzenie na tego człowieka. Nie pokazuje tego, ale myśli to.

Odejdź.

Godzina 11.49

– Jest zmęczony – wyjaśniła Maria z nadzieją, że nie potraktowała zbyt surowo swojego podopiecznego, ale stanowczość była czasem wymagana.

– Proszę się nie martwić – odparł Monk z szerokim uśmiechem. – Kowalski robi takie wrażenie na wielu ludziach. Potrzeba trochę czasu, żeby się do niego przekonać.

Jego partner zmarszczył czoło, ale się nie odezwał.

Marii zrobiło się żal tego wielkiego faceta.

– Baako nie spał najlepiej ostatniej nocy. Śniło mu się coś koszmarnego o Lenie.

– Naprawdę? – spytała Amy, podchodząc bliżej.

Maria, słysząc nutę ciekawości w jej głosie, próbowała zbagatelizować sprawę.

– To był czysty przypadek. – Odwróciła wzrok. Nie zamierzała mówić o tym, że też się obudziła pod wpływem podobnego niepokoju.



– Skoro mowa o Lenie – zwrócił się do niej Monk. – Czym dokładnie zajmowała się pani siostra w Europie?

Maria przyjęła zmianę tematu z wielką ulgą.

– Instytut Antropologii Ewolucyjnej imienia Maxa Plancka w Lipsku przyznał nam stypendium. To przodujący ośrodek naukowy, jeśli chodzi o studia nad hominidami. Stypendium pozwalało jednej z nas uczestniczyć w programie, którego celem jest stworzenie dokładniejszego modelu różnorodności genetycznej gatunku neandertalskiego, a także opracowanie nowych metod pozyskiwania DNA ze starych skamielin kostnych.

– A dlaczego to Lena wyjechała zamiast pani? – spytał Monk.

– Choć obie zajmujemy się genetyką, moje badania zmierzają w stronę zrozumienia DNA raczej w skali makro. Osiągnięcia końcowego rezultatu, by się tak wyrazić. Lena natomiast skupia się na poziomie mikro, a jej studia dotyczą edycji DNA i łączenia jego łańcuchów. Wydawało się więc sensowne, by to ona otrzymała niemieckie stypendium. – Dotknięta poczuciem winy, Maria objęła się ramionami, żałując teraz tej decyzji. Siedziała sobie bezpiecznie w Stanach, podczas gdy Lenie groziło bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo. – Uważaliśmy, że to ważne. Mogę policzyć na palcach jednej ręki skamieliny neandertalskie, które zawierają przyzwoite i możliwe do odzyskania DNA. Dobre źródła są niezwykle rzadkie. Dysponując lepszymi próbkami, dokładniejszymi technikami ich uzyskiwania i wszechstronnym zrozumieniem różnorodności genów w odrębnych plemionach neandertalczyków, miałyśmy nadzieję ustalić, co czyniło ten gatunek różnym od nas i jak hybrydyzacja tych cech mogła dopomóc w zapoczątkowaniu Wielkiego Skoku. Było tak wiele do osiągnięcia.

Ujrzała w myślach twarz Leny.

A teraz jest tak wiele do stracenia.

– Wie pani, z kim siostra pracowała? – spytał Monk.

Pokręciła głową.

– To był cały zespół. Mam ich nazwiska w komputerze na górze, ale to eksperci w różnych dziedzinach. Zajmują się innymi hominidami, które przyczyniły się do powstania naszego genomu.

Kowalski odchrząknął.

– Więc mamy w sobie coś więcej niż tylko geny neandertalczyka? Skinęła głową.

– Owszem. Inny gatunek hominidów, człowiek z Denisowej Jaskini, żył współcześnie z Homo sapiens i neandertalczykami. Także się z nami krzyżował, zostawiając swoje geny w naszej puli.

Kowalski mruknął.

– Wygląda na to, że ta pula jest cholernie zanieczyszczona.

– Wręcz przeciwnie, geny denisowian pomogły naszemu gatunkowi przetrwać. Na przykład gen EPAS1 aktywuje się, kiedy poziom tlenu jest w atmosferze za niski, by wytworzyć więcej hemoglobiny. Wariant tego genu można znaleźć u ludów tybetańskich i pozwala im on przeżyć nawet na ekstremalnych wysokościach, gdzie jest mało tlenu, jak chociażby w Himalajach. Dane dowodzą, że ten wariant pochodził od denisowian.

– I to już wszyscy? – spytał Kowalski odrobinę ironicznym tonem.

– Czy też byli jeszcze jacyś inni jaskiniowcy, którzy przyłączyli się do tej prehistorycznej orgii?

Maria zerknęła na Amy. Wiedziała, że to zagadnienie jest szczególnym przedmiotem zainteresowania przyjaciółki.

– Analiza genetyczna skamielin kostnych neandertalczyków i denisowian sugeruje, że istniał trzeci gatunek, który także się z nami krzyżował. Te hominidy pozostają na razie nieznane – powiedziała Amy. – Nie odkryto dotąd i nie sklasyfikowano żadnych szczątków.

– Co ponownie dowodzi, że gdyby nie te krzyżówki, nie byłibyśmy tym, czym jesteśmy – dodała Maria. – Wszystko to potwierdza naszą teorię o hybrydycznym wigorze i że krzyżowanie się człowieka z gatunkami hominidów wyposażyło nas w genetyczną różnorodność, która pozwoliła nam rozprzestrzenić się po Europie i

wreszcie po całym świecie. Dzięki tym pożyczonym genom przetrwaliśmy do dnia dzisiejszego.

– I to właśnie bada pani w przypadku Baako – powiedział Monk. – Analizuje te unikalne cechy, które mogły się przyczynić do Wielkiego Skoku.

– Właśnie. I choć Baako jest wciąż bardzo młody, już zauważyliśmy znaczący postęp w jego zdolnościach poznawczych. Uczy się trzy razy szybciej niż jakakolwiek małpa człekokształtna, którą w przeszłości poddano badaniom. Anatomia jego mózgu jest też znacząco inna i dowodzi większego pofałdowania kory, a także większej objętości szarej masy. Wszystko to zostało udokumentowane dzięki rezonansowi magnetycznemu.

– Chciałbym zobaczyć te wyniki – przyznał Monk. – Wydają się fascynujące.

– Mam je w komputerze. Mogę pokazać, gdzie...

Przerwał jej odgłos kwilenia, tak cichego, że łatwo było je zlekceważyć, ale Maria, jak matka wyczuwająca bezbłędnie zły nastrój dziecka, urwała i obróciła się w stronę sypialni. Baako przykucnął za progiem i kreślił pięściami kółka na piersi.

Przepraszam...

Amy dotknęła jej ręki.

– Zabiorę panów do twojego gabinetu i pokażę im wszystko. Widzę, że ktoś próbuje się zrehabilitować.

Maria poczuła ból serca; wiedziała, jak bardzo zraniony i przybity jest Baako.

– Ja też muszę przesłać raport do Waszyngtonu – wtrącił Monk. – I mam nadzieję, że będę mógł wkrótce powiedzieć pani coś więcej o sytuacji w Chorwacji.

– Dziękuję.

Wskazał swojego partnera.

– Zostawiam z panią tego wielkiego gościa. Coś mi mówi, że przyczynił się do obecnego problemu, więc może znajdzie jakieś rozwiązanie.

– Co takiego zrobiłem? – spytał Kowalski.

Monk zignorował jego słowa.

– Jak już skończymy w pani gabinecie, zadzwonię do Kowalskiego i dam pani znać.

Maria skinęła głową. Podejrzewała, że jest to tylko wymówka, by Amy i Monk mogli w spokoju wymienić uwagi. Zerknęła na Kowalskiego, gdy tamci wyszli. Najwidoczniej jego zdanie dotyczące spraw naukowych nie było szczególnie cenione. Zostawili go tutaj, żeby ją niańczył.

Sama nie wiedziała, które z nich powinno czuć się bardziej obrażone.

Była jednak zbyt zmęczona, by protestować, zresztą chciała pocieszyć Baako. Ale wcześniej wyjęła komórkę i ponownie spróbowała połączyć się z ostatnim wybieranym numerem – numerem Leny – i czekała, spodziewając się najpierw dysharmonijnego pisku, a potem informacji, że połączenie nie może być zrealizowane.

Rozległy się trzaski, które po chwili przerodziły się w głos.

– ...ria! – Słyszać w tym było gorączkowość i przerażenie. – Słyszysz...?

Słowa umilkły, połączenie zostało przerwane, o czym informował komunikat na ekranie telefonu.

Mimo wszystko Maria krzyknęła:

– Lena!

# 7

Župania Karlowacka, Chorwacja

29 kwietnia, godzina 18.04 czasu miejscowego

Nie, nie, nie...

Lena ścisnęła kurczowo komórkę i próbowała ponownie zadzwonić. Oddychała ciężko przy każdej nieudanej próbie. Gerard i Roland patrzyli na nią. Ksiądz spróbował zadzwonić ze swojego telefonu, ale też bez powodzenia.

– To była ona – powiedziała z przekonaniem Lena. – Moja siostra.

Ich trójka stała niepewnie na półce skalnej nad podziemnym jeziorem, które wypełniało wielką jaskinię. Miało co najmniej sto metrów szerokości i dwa razy tyle długości. Po prawej z hukiem wypływała z tunelu duża rzeka i wlewała się do jeziora, podnosząc z każdą chwilą jego poziom. Powód, dla którego nie zalała jeszcze pieczary całkowicie, można było dostrzec po lewej. Czarna powierzchnia w tamtym miejscu kotłowała się od potężnego wiru, który oznaczał odpływ. Lena wyobraziła sobie wodę spływającą w głębsze poziomy tego podziemnego systemu i porywającą ze sobą wszystko ku korzeniom gór.

I na nas może przyjść kolej.

– To pewnie rzeka Dobra – powiedział Roland i popatrzył na ogłuszający strumień. – Wpływa do Ogulinu, potem znika pod ziemią w Otchłani Zulejki.

– Ojciec Novak ma chyba rację – przyznał Gerard. – Musimy znajdować się niedaleko tego wąwozu, skoro złapała pani sygnał, choćby na chwilę.

Lena, zrezygnowana, opuściła dłoń, w której trzymała telefon.

– Jesteśmy tak blisko...

Popatrzyła na tę gwałtowną powódź.

A jednak tak daleko.

– Gdybyśmy tylko zdołali popłynąć pod prąd... – mruknął Roland.

Żadne z nich nie próbowało nawet żywić takiej nadziei. Gdyby wskoczyli do wody, zostaliby wessani przez wir, nim zdołaliby dotrzeć do wypływu rzeki.

Lena poczuła łyzy zniechęcenia. Otarła gniewnie oczy, nie chcąc zaakceptować porażki. Gdy woda zachlupotała wokół jej butów, popatrzyła w dół. Poziom jeziora podniósł się na wysokość ich półki skalnej.

Francuz wskazał za siebie.

– Musimy wrócić.

– Dokąd? – spytał Roland żałośnie. – Jaskinie za naszymi plecami woda zalewa równie szybko.

– Musi gdzieś być wyższy grunt – oznajmił zdecydowanie oficer. – Przeczekamy tam burzę.

Nikt nie zaproponował, ale wszyscy wiedzieli, że ten plan jest skazany na klęskę.

Lena podniosła telefon i przycisnęła go do piersi; tak bardzo pragnęła skontaktować się z siostrą, nie mając żadnej nadziei, że rozmowa z Marią ją ocali.

Ale przynajmniej chciała się pożegnać.

Godzina 18.11

Stojąc na dnie głębokiego wąwozu, Gray spojrział w górę, na kamienne blanki zamku Frankopan. Po twarzy siekł go deszcz, a podbrzusze czarnych chmur rozdzierała błyskawica.

Skupił się na czymś bliższym. Z balkonu, który wystawał ponad urwiskiem na poziomie ulicy, zwisała lina. Patrzył, jak chudy i

muskularny Fredrik Horvat zsuwa się w dół w uprząży alpinistycznej. Po chwili mężczyzna wylądował tuż obok niego, na skalistym brzegu wezbranej rzeki. Nieco dalej widzieli stalową przystań w kształcie litery U; kołysała się w niej motorowa łódź pontonowa.

Kiedy Fredrik uwolnił się od liny i zrzucił uprząż, Gray jeszcze raz spróbował odwieść alpinistę od jego zamiaru.

– Mogę sam to zrobić – zapewnił. – Znam się na łodziach.

– Ale nie znasz tej rzeki ani jaskiń, przez które płynie. – Fredrik klepnął go w ramię. – Przez ostatnie dwadzieścia lat oprowadzałem wycieczki po Otchłani Zulejki. Znam każdy zakątek, każdą skałę i głaz. Jeśli chcesz znaleźć swoją przyjaciółkę, będę ci potrzebny.

Mimo zuchwałości i pewności siebie pobrzmiewających w głosie mężczyzny Gray widział, że jego ciemne oczy są szkliste ze strachu. Miejscowy alpinista mógł znać doskonale rzekę i pobliskie jaskinie, ale pokonując ten szlak teraz, w środku burzy, niczego nie można było przewidzieć. Wiedział, że prądy są zdradliwe, a punkty orientacyjne znajdują się najprawdopodobniej pod wodą.

Mimo wszystko Fredrik wskazał ponton.

– Wsiadaj. Ta rzeka szybko się nie uspokoi.

Gray spojrział po raz ostatni w stronę balkonu. Seichan wychylała się poza poręcz, patrząc w dół, obok niej stał młody Dag. Nie wyglądała na szczęśliwą, że zostaje na miejscu, ale nie było powodu narażać więcej ludzi, niż wymagała tego sytuacja. Poza tym Gray nie wierzył, że ten, kto próbował załatwić Fredrika, nie wróci, żeby dokończyć robotę. Musiał zostawić kogoś na tyłach.

Podniósł rękę ku Seichan, ale ona odsunęła się tylko od poręczy, wciąż niezadowolona.

Odwrócił się i wgramolił do łodzi. Nawet uwiązana, kołysała się i podskakiwała w bystrym prądzie niczym byk na rodeo. Przesunął się w stronę dziobu, podczas gdy Fredrik odcumował ponton i wskoczył na rufę, obok silnika.

– Trzymaj się! – zawołał i szarpnął za przewód rozrusznika.

Komandor uchwycił się gumowej rączki, kiedy silnik ożył z warkotem, ale ten dźwięk był niczym w porównaniu z ogłuszającym grzmotem wezbranej rzeki.

Łódź wystrzeliła z doku w pędzący nurt. Jego siła od razu porwała ponton i zaczęła nim wściekle obracać, zanim Fredrik zdołał skierować go we właściwą stronę. Niebawem po obu bokach zaczęły przesuwać się szybko strome ściany wąwozu. Z przodu rzeka znikła w rozwartej paszczy tunelu.

– No to jazda! – krzyknął Fredrik.

Godzina 18.15

Seichan patrzyła, jak łódź ślizga się przez chwilę po wodzie – po czym pędzi ku tunelowi. Zacisnęła mocno palce na żelaznej poręczy oddzielającej ścieżkę parkową od stromizny schodzącej ku wąwozowi.

Powinam być tam w dole.

Kiedy Fredrik powiedział im o łodzi pontonowej, oboje opracowali ten plan w zaciszu wnętrza bmw. Mimo wszystko się wahali. Przeszukiwanie tych zalanych jaskiń drogą rzeczną wydawało się niezwykle niebezpieczne i choć Sigma wyłapała sygnał komórki zaginionej Amerykanki, nie było żadnej gwarancji, że kobieta żyje. Niewykluczone, że zginęła w jednym z tuneli, a jej ciało spłynęło wraz z nurtem do doliny. Albo jej telefon.

Potem, przed dziesięcioma minutami, otrzymali z Waszyngtonu informację o krótkim połączeniu, o urywku rozmowy między siostrami.

Wyglądało na to, że uwięziona w jaskiniach kobieta wciąż żyje.

Nawet wtedy Seichan starała się odgrywać rolę adwokata diabła, rozważając powody, dla których nie powinni podejmować tej misji ratunkowej. Po co Gray – albo Fredrik – miałyby się narażać na niebezpieczeństwo, żeby ocalić jedną kobietę? Cały ten atak był



prawdopodobnie dziełem złodziei, którzy napadli na stanowisko archeologiczne. Ryzykowanie utraty wyszkolonego agenta Sigmy z powodu jednej osoby wydawało się lekkomyślne. Bardziej konserwatywne podejście – na przykład przeczekanie burzy – było znacznie mądrzejszą opcją.

Jej argumenty padały jednak w próżnię.

Nie spodziewała się niczego innego.

Odwróciła się na dźwięk pospiesznych kroków i chlupotu wody. Ścieżką wiodącą między szpalerem drzew nadbiegał Dag. Oddalił się na chwilę, żeby zbadać sytuację w hotelu i sprawdzić, jak lokalne siły porządku zareagowały na incydent w pubie.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała, dostrzegając przez listowie błysk świateł alarmowych radiowozów.

– W tej chwili panuje chaos. Nikt nie wie, kto...

Jego słowa zagłuszył donośny huk i chłopak skulił się gwałtownie. Od razu się zorientowała, że to nie grzmot pioruna. Odwróciła się ku zachodowi i zobaczyła, jak ku ciemnemu niebu wzbija się otoczona sadzą kula ognia.

Ujrzała w myślach podmokłe pola, które się tam ciągnęły – i helikopter.

Nawet Dag domyślił się źródła tego ognistego wybuchu.

– Ktoś załatwił wasz środek transportu – zauważył przyciszonym głosem.

Syreny, jakby w odpowiedzi na eksplozję, zabrzmiały głośniejsze. Od strony hotelu dobiegły echa krzyków. Chwilę później blask świateł zaczął się oddalać, zmierzając na zachód, ku polom.

Seichan odetchnęła przez nos, potem wyjęła z kabury SIG sauera.

Dag spojrział na nią.

– Co robisz? – spytał.

Nie zwracając na niego uwagi, odwróciła się w stronę wąwozu.

Podejrzewała, że ktoś wysadził helikopter nie tylko po to, by uwięzić tutaj ją i Graya, ale także odciągnąć siły porządkowe, skupić ich uwagę po stronie zachodniej.

Byle dalej stąd.

Zachowywała czujność, nasłuchując intruzów, którzy mogliby skradać się między drzewami parku, ale jej uwagę zwrócił zawodzący dźwięk, który dochodził z dołu. Rzeką, w jej kierunku, zmierzały trzy małe światła. Skutery wodne. Wszystkie miały logo miejscowej przystani, a sądząc po szperaczach zamontowanych na dziobach, służyły do penetracji tego podziemnego świata, podobnie jak łódź pontonowa Fredrika.

Tym razem jednak pasażerami nie byli żądni wrażeń turyści.

Na każdym skuterze siedziało dwóch ludzi w hełmach. Dostrzegła wyraźne zarysy karabinów na ich ramionach.

Wróg musiał się dowiedzieć, że ktoś przeżył atak.

Gdy skuter na przedzie się zbliżył, Seichan wycelowwała, opierając rękę o poręcz. Z tej wysokiej pozycji oddała trzy strzały. Pierwszy pocisk trafił mężczyznę siedzącego z tyłu. Jego ciało zgięło się w pół i wpadło do wody. Drugi pocisk odbił się rykoszetem od szklanej osłony, za którą garbił się człowiek kierujący skuterem. Pojazd, zgodnie z jej przewidywaniem, zakołysał się gwałtownie i cel odsłonił się na sekundę, dzięki czemu trzeci pocisk trafił mężczyznę w ramię. Siła strzału zepchnęła go z siedzenia i wrzuciła do wody. Pozbawiony załogi pojazd skręcił i rozbił się o stalową przystań.

Jeden załatwiony...

Wymierzyła do drugiego skutera, ale ci w dole szybko się zorientowali w sytuacji. Oba skutery zaczęły płynąć slalomem, raz w tę, raz w tamtą stronę, poruszając się szybko i w sposób nieprzewidywalny. Strzelała, opróżniając magazynek, ale bez powodzenia.

Skutery zniknęły z pola widzenia, pochłonięte przez tunel.

Uderzyła kolbą broni o poręcz, przeklinając ten bezmyślny plan – i człowieka, który był na tyle nierozważny, by się na niego zdecydować.

Niech cię diabli, Gray...

Może był to błąd.

Gray przycupnął nisko schylony przy dziobie pontonu, by Fredrik mógł patrzeć przed siebie ponad jego ramionami i by nie uderzyć głową o sklepienie. Poziom wzbierającej rzeki podniósł się tak bardzo, że woda wypełniała cały tunel. Zwisające stalaktyty, niczym wapienne kły, wgryzały się w nurt. I mogły równie dobrze rozedrzyć ponton na strzępy.

– Świeć prosto do przodu! – nakazał Fredrik.

Gray posłuchał i ścisnął mocniej uchwyt szperacza na dziobie łodzi. Tylko w ten sposób mógł pomóc.

Nurt przy każdym, nawet najmniejszym skręcie rzeki sięgał coraz wyżej. Przyboje i wiry nikły w bocznych jaskiniach. I te naturalne formacje nie stanowiły jedyne ryzyka. Pędziły obok nich kloce drewna, obracając się i uderzając o głązy i skaliste ściany.

A sklepienie obniżało się z każdą chwilą coraz bardziej.

Fredrik zmagął się po mistrzowsku z tym wściekłym żywiołem, wzbudzając głęboki podziw Graya. Silnik pontonu zawodził i warczał, ponieważ alpinista przez większość czasu trzymał śrubę na wstecznym, by pokonywać w miarę możliwości pęd wody.

– Trzymaj się! – zawołał.

Gray z miejsca dostrzegł niebezpieczeństwo. Tunel biegł ostro w lewo. Białe spieniona rzeka waliła wściekle wokół zakrętu i wyglądała dostatecznie groźnie, by móc ich z łatwością pochłonąć.

Zmiana w dźwięku silnika skierowała uwagę Graya na rufę. Fredrik przestał hamować wstecznym i przyspieszył. Komandor zrozumiał. Potrzebowali odpowiedniej prędkości, by przebyć ten odcinek.

Znów się odwrócił, gdy ponton wystrzelił ku wirowi. Łódź mknęła teraz bardziej z prądem, niż się z nim zmagala. Już na zakręcie silnik zawył jeszcze głośniejsze; Fredrik zwiększył szybkość.

Ponton podskoczył wysoko, wspierając się na jednym boku, niemal pionowo.

Gray wstrzymał oddech, ale po chwili pokonali bystrza i znów znaleźli się na spokojniejszej wodzie.

Niemal przygarbił się z ulgi.

– Koniec prostej drogi! – zawołał Fredrik i wskazał przed siebie.

Promień ich światła niknął w rozległej jaskini, zalanej w połowie przez wielkie jezioro; znajdowała się dokładnie z przodu.

Fredrik zmniejszył szybkość, najwyraźniej zaniepokojony.

– Może być niebezpiecznie – ostrzegł.

– Dlaczego?

– Charybda – padła zwięzła odpowiedź.

Komandor zmarszczył czoło, pojmując aluzję. Tak w Odysei Homera nazywał się potwór, który wciągał w otchłań wodną nieostrożnych żeglarzy i ich statki.

Nie brzmiało to obiecująco.

Godzina 18.24

Roland przystanął nagle, rozglądając się; poczuł, jak ślizga mu się noga. Stopy obmywała im woda napływająca z miejsca, gdzie porzucili półkę skalną. Wyruszyli z zalewanej pieczary, by cofnąć się tam, skąd przyszli, ścigani przez bezustannie narastającą powódź, której źródłem było jezioro o coraz wyższej tafli.

Gerard podążał przodem, poszukując jakiegokolwiek odnogi, którą mogliby dotrzeć do wyżej położonych miejsc, jakiegokolwiek ścieżki, która pozwoliłaby im umknąć z tych zalanych trzewi gór.

– Zaczekajcie! – rzucił Roland.

Lena przystanęła; jej twarz zdradzała wyczerpanie. Czołówka na kasku zamrugnęła; kończyły się baterie.

– O co chodzi?

– Posłuchaj.

– Nie mamy czasu... – warknął Gerard.

– Posłuchajcie, do diabła – zaklął ksiądz. Zamierzał potem przeprosić za to Boga, ale teraz mimo rozpacz, zimna i zmęczenia pragnął skupić uwagę dwójki pozostałych.

Jego słowa odniosły pożądany skutek. Lena przechyliła głowę; po chwili otworzyła szeroko oczy.

– Silnik?

Od strony jeziora za ich plecami, przebijając się niewyraźnie przez grzmot wody, dobiegał dźwięk o innym tonie, jakby wysokie zawodzenie.

– Tak, to silnik! – potwierdził Francuz i wskazał drogę. – Zawracamy! Natychmiast!

Roland nie potrzebował dalszej zachęty. Ruszył pospiesznie w górę strumienia, potykając się kilkakrotnie; pod koniec niemal już pełzył. Nim dotarł do półki skalnej, woda sięgała kostek. Trzeba było się z nią zmagać, by nie zostać porwanym z powrotem. Po chwili, z pomocą Gerarda, przyłączyła się do Rolanda Lena.

Dziękował Bogu za jego miłosierdzie.

W głębi ciemnego jeziora rozbłysła gwiazda.

Łódź!

– Trzymajcie się! – dobiegło stamtąd echo głosu. – Zaraz do was dotrzemy!

Nagle za łodzią pojawiły się inne, podwójne światła, które wystrzeliły z tunelu.

Roland stłumił szloch ulgi i pomachał.

Wydawało się, że przybywa im na ratunek cała flota.

Godzina 18.27

Gray odwrócił się, gdy za jego plecami, przy akompaniamencie ostrego warkotu silników, zabłysły światła. Do jaskini wpłynęły dwa skutery wodne.

Co, u diabła...

Oślepiiony blaskiem reflektorów, nie potrafił się zorientować, kto to jest, ale miał złe przeczucia. Sprawdziły się chwilę później, gdy padły strzały – ale on zdążył już pójść za głosem instynktu. Wyszarpnął z kabury SIG sauera i skacząc w stronę rufy, odpowiedział ogniem.

Potem rzucił Fredrika na dno pontonu.

Pociski Graya roztrzaskały reflektor na dziobie pierwszego skutera. Nim światło zgasło, dostrzegł zamaskowane postaci: kierującego i strzelca. Kanonada Graya zmusiła ich do gwałtownego skrętu.

Drugi skuter popędził w przeciwnym kierunku; światło na dziobie przemieniło go w gwiazdę mknącą po ciemnym jeziorze.

Próbując wziąć nas z dwóch stron, pomyślał i zacisnął zęby. Gdyby ponton znalazł się w podwójnych kleszczach, byłiby załatwieni. Miał tylko jedną sztukę broni i nie mógł się ostrzeliwać z dwóch stron jednocześnie. Potrzebował pomocy.

Otwierając ogień do jasno oświetlonego przeciwnika, wskazał drugiego.

– Fredrik! Nie wychylaj się, ale staraj się ich wyprzedzić!

Alpinista okazał się twardym gościem. Przeturlał się w stronę silnika i dodał gazu. Ponton wystrzelił do przodu, starając się prześcignąć oba skutery.

Gray zanurkował ku rufie, wciąż strzelając do lepiej widocznego pojazdu, ale człowiek, który sterował drugim – tym ze strzaskanym reflektorem – już się otrząsnął z pierwszego zaskoczenia. Rozbłysnął ogień karabinowy. Boczna strona pontonu zasypały pociski. Świst uchodzącego powietrza zwiastował nową groźbę.

Nawet gdyby Fredrik uniknął postrzału, łódź mogła nie przetrwać.

Gray skupił uwagę na nieoświetlonym skuterze. Musiał zmusić drania do odwrotu. Uniósł broń – ale w tym momencie rozległ się

huk strzałów dobiegający z zupełnie innej strony. Pośród trzech światełek przy ścianie jaskini pojawił się nagły rozbłysk.

Ktoś jest tam uzbrojony. Ktoś, kto miał wcześniej do czynienia z tymi zamaskowanymi napastnikami.

Ciemny skuter obrócił się ku nowemu zagrożeniu; ściana jaskini została zasypana pociskami. Dwa widoczne światełka zniknęły z pola widzenia. Wciąż dobiegał stamtąd huk broni. Gray wiedział, że ktokolwiek pospieszył im na pomoc, już długo się nie utrzyma, ale to odważne wsparcie dało mu trochę czasu, by zająć się drugim przeciwnikiem.

Odwrócił się. Oświetlony skuter zrównał się z nimi i pędził teraz obok pontonu. Gray przeklinał szybkość i zwinność mniejszego pojazdu wodnego. Wycelował uważnie. Przypuszczał, że zostały mu dwa naboje; musiał je oszczędzać.

– Trzymaj się! – wrzasnął Fredrik.

Nim komandor zdążył cokolwiek powiedzieć, jego towarzysz zmniejszył gwałtownie szybkość. Łódź zwolniła, a potem szarpnęła nagle, gdy alpinista wrzucił wsteczny.

Skuter, do którego mierzył Gray, wystrzelił do przodu, potem przemknął przed ich dziobem, ciągnąc za sobą pióropusz spienionej wody.

Do diabła...

Sprawdziły się najgorsze obawy Graya.

Ponton znalazł się w kleszczach dwóch skuterów – jednego z przodu, drugiego z tyłu. Jakby rezygnując z walki, Fredrik wciąż hamował.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał Gray.

Tocząca się za jego plecami walka przy ścianie jaskini dobiegła końca. Ktokolwiek próbował im pomóc, zginął albo się ukrył. Niezagrożony teraz ciemny skuter pędził w stronę pontonu niczym jastrząb spadający na ranną ofiarę.

Gray obrócił się do Fredrika, ale ten uśmiechał się tylko bezczelnie.

Zza dziobu dobiegł krzyk z oświetlonego skutera. Gray wychylił się ponad burta. Pojazd przeciwnika obracał się wściekle w zagłębieniu w powierzchni jeziora, pochłaniany przez potężny wir. Jego siła okazała się zbyt duża, by niewielki silnik mógł się jej przeciwstawić.

Skuter wywrócił się na oczach Graya dnem do góry i został wraz z dwoma ludźmi wessany w głębinę. Strumień blasku reflektora świecił jeszcze spod wody przez mgnienie oka – a potem zniknął.

Gray pojął teraz manewr Fredrika, który skierował przeciwnika wprost w gardziel potwora Charybdy.

Ale pozostało jeszcze jedno zagrożenie.

Komandor obrócił się i wycelował do drugiego przeciwnika, wykorzystując chwilowy szok człowieka przy sterze. Ale nim zdążył pociągnąć za spust, od strony skalnej ściany znów dobiegł huk broni palnej.

Strzelec na skuterze przechylił się na bok i runął ciężko do jeziora.

Jeden załatwiony...

Gray ujął pistolet i wypalił dwukrotnie.

Osłona kasku sternika rozpadła się na kawałki, a jego głowa pod wpływem podwójnego impetu pocisków poleciała do tyłu. Po chwili zwałił się bezwładnie na przyrządy. Pozbawiony kontroli skuter przemknął obok pontonu wprost w serce Charybdy, gdzie niebawem przyłączył się w wodnym grobowcu do swego towarzysza.

– Zawracaj! – Gray wskazał skupisko światełek przy ścianie jaskini. – Zabierajmy ich i wiejmy stąd!

Fredrik popatrzył na podziurawiony i pozbawiony powietrza bok pontonu, potem skierował się ku rzece wpadającej przez tunel.

– Jeśli się nam uda.



Lena siedziała skulona pośrodku łodzi pontonowej. Wciąż dzwoniło jej w uszach od huku broni palnej. Starła się nie patrzeć, jak Roland bandażuje głębokie rozcięcie na ramieniu Gerarda. Francuski oficer, gdy tylko zsunął się do pontonu, zdjął kurtkę. Rany nie spowodował pocisk, tylko odłamek skalny, który go drasnął.

– Gdyby nie pańskie wsparcie, nie dalibyśmy rady – zwrócił się do Gerarda ich wybawiciel i wskazał karabin. – Niezła celność.

Przedstawił się jako komandor Gray Pierce, agent DARPA, jeśli dobrze zrozumiała. Ale nie obchodziło jej, kto właściwie ich uratował, dopóki pomagał im wydostać się z tego podziemnego piekła.

Gerard przycisnął broń do piersi.

– Musiałem im odpłacić... za swoich ludzi.

Gray skinął głową, a zacięty wyraz jego twarzy dowodził, że pojmuje doskonale lojalność obowiązującą ludzi w zespole bojowym.

Pilot łodzi pontonowej – miejscowy człowiek imieniem Fredrik – zwiększył obroty silnika. Zauważyła, że jest wyraźnie zaniepokojony, i poczuła, jak wali jej serce. Gdy mknęli po jeziorze, odsunęła się od uszkodzonej burty. Nim zbliżyli się do wylotu tunelu, niemal unosili się nad wodą, pędząc z zawrotną szybkością.

– Musimy się spieszyć! – krzyknął. – Poziom rzeki się podnosi. Niech wszyscy się pochylą! Czekają nas niezłe tarapaty!

Lena uwierzyła mu na słowo i przycupnęła, niemal dotykając kaskiem dna łodzi. Mimo wszystko patrzyła przed siebie, nie chcąc odwracać wzroku.

Jeśli mam tu umrzeć, chcę to zrobić z otwartymi oczami.

Dotarli do górnego dopływu rzeki i zaatakowali jej nurt z szaleńczą szybkością. Pęd wrzucił ich do wnętrza tunelu, gdzie hałas narastał do ogłuszającego huku. Ponton, atakowany przez rzekę, wibrował i drżał, podskakując na wodzie i tracąc szybkość.

Wiedziała, co ich czeka, jeśli przegrają walkę; mogła sobie wyobrazić siłę tego potężnego wiru. Lecz to, co mieli przed sobą, nie wyglądało wiele lepiej.

Dziesięć metrów dalej, na zakręcie, rzeka pienila się wściekle.

Fredrik skierował łódź ku wewnętrznej stronie łuku, tam gdzie woda nie była tak wzburzona. Parł uparcie do przodu, choć posuwali się teraz rozpaczliwie wolno. Klął w swoim języku, nisko pochylony, pokonując z wysiłkiem centymetr po centymetrze.

Lena patrzyła na ścianę szalejącej wody, która piętrzyła się po zewnętrznej stronie zakola. O Boże, o Boże...

Nagle pokonali ten niebezpieczny odcinek i znaleźli się za zakrętem. Rzeka wciąż ich atakowała, próbując zepchnąć do tyłu, ale nurt nie był już taki zajadły.

Pojawiło się jednak nowe niebezpieczeństwo.

– Damy radę przepłynąć?! – zawołał Roland.

– Będziemy musieli – odparł Fredrik.

Od tego miejsca tunel wypełniała wezbrana rzeka, podnosząc się tak bardzo, że od sklepienia dzielił ją tylko metr. Co gorsza, z góry sterczały ostrza – stalaktyty, jak sobie uświadomiła Lena.

Fredrik zmniejszył prędkość, by ułatwić sobie manewrowanie w tym najeżonym ostrzami labiryncie.

Jeśli zahaczymy o jedno z nich...

Lecz pod wodą czaiły się też inne niebezpieczeństwa. Słyszając dźwięk rozdzierania, spojrzała pod nogi. Ostry kawałek skały przebił ponton.

Fredrik zdołał pokonać zakręt, ale uszkodzona łódź szybko nabierała wody; tonęli.

– Wygarniajcie wodę kaskami! – nakazał Gray. – Pospieszcie się.

Lena szarpnęła pasek pod brodą i zdjęła błyskawicznym ruchem nakrycie głowy. Roland i Gerard zrobili to samo. Zaczęli desperacką walkę z rzeką, ale nawet Lena wiedziała, że to daremne.

Pomimo maksymalnych obrotów silnika przeciążony ponton zaczął sunąć do tyłu. Lena dostrzegła, że Gray wymienił znaczące

spojrzenie z Fredrikiem. Sternik pokręcił nieznacznie głową.

Nagle pojawił się nowy dźwięk – już znajomy. Docierał gdzieś z przodu.

Groźne i chrapliwe zawrozczenie skutera wodnego było nie do pomylenia z niczym innym, gdy odbijało się echem od kamiennych ścian. Znienacka pojawił się ciemny kształt, poprzedzony jasnym strumieniem światła. Niewyraźna postać za kierownicą była nisko pochylona, by uniknąć zderzenia ze sklepieniem, i pędziła szybko w ich stronę.

Zdawało się, że ich przeciwnicy jeszcze nie zrezygnowali.

Klnąc głośno, Gerard uniósł karabin, lecz Gray odepchnął lufę.

– Nie strzelaj.

Godzina 18.46

Seichan zbliżyła się do tonącego pontonu.

Patrzyła w dal, szukając jakichś oznak pogoni, śladu dwóch pozostałych skuterów. Gdy zobaczyła wcześniej, jak znikają w tunelu, zsunęła się po linie na przystań, tam gdzie rozbił się trzeci. Na szczęście kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce, a nie przy zwłokach człowieka, którego zastrzeliła.

Pędziła teraz na pokładzie zarekwirowanego skutera w stronę pontonu. Kiedy była już blisko, ustawiła się bokiem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by ocenić sytuację: woda zalewała łódź, która zanurzała się coraz bardziej, silnik goniący resztkami sił zawodził.

– Lina! – zawołała.

Popatrzyły na nią zaskoczone twarze, ale przynajmniej Gray zrozumiał.

Rzucił jej linę, a ona złapała ją i owinęła wokół haka holowniczego za siedzeniem. Gray uchwycił drugi koniec i obwiązał nim sobie osłonięte rękawiczkami dłonie, po czym zaparł się stopami o dziób pontonu.

Skinęła mu głową i ruszyła w górę rzeki. Gdy lina naprężyła się za jej plecami, dodała gazu, by wspomóc silnik pontonu. Z początku tkwili w miejscu.

No, dalej, cholerne...

Potem, z wolna, skuter i ponton zaczęły zмагаć się wspólnymi siłami z nurtem. Połączony liną tandem sunął z bolesnym wysiłkiem, zmagając się z każdym kolejnym metrem. Wreszcie – zdawało się, że upłynęła godzina – świat z przodu pojaśniał.

Dotarli do wylotu tunelu. Gdy znaleźli się na otwartej przestrzeni, Seichan uniosła twarz ku siekącym strugom deszczu; w górze huknęła grom. Nigdy jeszcze koszmarna pogoda nie sprawiła jej takiej radości. Przyciągnęła ponton do przystani i po kilku manewrach umożliwiła wszystkim zejście na ląd.

Potem zeskoczyła ze skutera – wprost w ramiona Graya.

Objął ją mocno.

– Kazałem ci chyba tu zostać – wyszeptał jej w ucho.

Odchyliła się z szerokim uśmiechem.

– I darować sobie całą zabawę?

Godzina 19.12

Gray czekał z pozostałymi przy krawężniku. Kulili się pod osłoną drzew okalających park, a mroczna bryła zamku pogrążała ulicę w cieniu. Chciał się jak najszybciej wydostać z tego przeklętego miasteczka. Nie wiedział, kto jest wrogiem, ale z pewnością mieli do czynienia z ludźmi wyszkolonymi. To nie był złodziejski napad, tylko doskonale skoordynowana akcja.

A ja mam dość poruszania się po omacku.

Usłyszał warkot silnika i skupił uwagę na ulicy. Zza rogu wyłoniło się bmw i zatrzymało ostro przy chodniku. Za kierownicą siedział Dag, ale to nie był sedan, który wcześniej prowadził. Teraz był to SUV, stary model X5.

– Czas się zbierać – rzucił chłopak przez otwarte okno wozu. – Drogi nie są chwilowo zablokowane, ale policja poluje na tych facetów z pubu, a burza w górach się uspokaja, więc będzie najlepiej, jak szybko zwiejemy. – Poklepał bok samochodu. – Pożyczyłem go od przyjaciela. Przyda się terenówka, żeby dotrzeć do Zagrzebia.

– Zostajesz tu – oznajmił Gray, otwierając drzwi po stronie kierowcy.

Dag szarpnęła je z powrotem.

– Znasz te drogi? Kto wie, co przywłokła tam woda? – Poklepał się po piersi. – Znam dokładnie wszystkie trasy górskie.

– Chłopak ma rację – wtrącił Fredrik. – Przyda się wam ktoś, kto jest zorientowany w tym terenie.

Gray popatrzył pytająco na alpinistę, a ten uniósł dłonie.

– Bez obrazy, ale sądzę, że na tym kończy się moja rola przewodnika.

Komandor nie mógł mieć o to pretensji; skinął tylko głową.

– Poza tym pomogę temu Francuzowi znaleźć lekarza – dodał Fredrik.

Gray spojrział na Gerarda, który też nie chciał im towarzyszyć; postanowił zostać na miejscu i ustalić los swoich ludzi. Gray to rozumiał; wiedział, że na jego miejscu postąpiłby tak samo. Francuz jednak obiecał poinformować o wszystkim, czego się dowie o wrogu albo dwóch uprowadzonych profesorach. Komandor podał mu numer bezpiecznej komórki.

Potem wsadził wszystkich do SUV-a. Zajął miejsce z przodu, pozostawiając tylne siedzenie dla Seichan, Leny Crandall i ojca Novaka. Ich plan polegał na dotarciu do Zagrzebia, gdzie mieli się przegrupować.

Pożegnali się z dwoma mężczyznami i wyruszyli w drogę.

Lena wychyliła się z tylnego siedzenia, trzymając w ręce komórkę. Gray wyjął już z niej baterię, by wróg nie zlokalizował ponownie właścicielki telefonu.

– Kiedy będę mogła zadzwonić do siostry?

– Jeszcze nie – uprzedził. – Niech nasi przeciwnicy myślą, że pani nie żyje. Tak będzie lepiej.

Odchyliła się rozczarowana jego odpowiedzią i pełna obaw o Marię.

Starał się ją uspokoić.

– Tam gdzie znajduje się pani siostra, nic jej nie grozi.

Lena westchnęła.

– Mam nadzieję, że to prawda.

## 8

Lawrenceville, Georgia

29 kwietnia, godzina 13.33 czasu miejscowego

Maria siedziała przy małym stoliku w sali szkolnej Baako i wpatrywała się w komórkę leżącą na laminowanym blacie. Po tym krótkim połączeniu z Leną natychmiast zawiadomiła Monka i Amy. Oboje przebywali w jej gabinecie; przez ostatnią godzinę łączyli się z Waszyngtonem, ale jak dotąd nie mieli dla niej żadnych informacji.

Albo nie chcą mi nic powiedzieć, pomyślała.

Popatrzyła na wielkiego mężczyznę, który czekał razem z nią. Joe Kowalski też trzymał telefon, gotów odpowiedzieć, gdyby jego partner przekazał coś nowego. Chodził po pokoju tam i z powrotem niczym zwierzę w klatce. Był tak samo spragniony wieści jak ona. Po tym krótkim połączeniu z Leną niewiele brakowało, by się przewróciła, całkowicie załamana, ale ją podtrzymał, dodając jej w milczeniu otuchy; obiecał też mrukliwie, że jego kolega, niejaki Gray, znajdzie jej siostrę.

Doceniała tę chęć niesienia pociechy i przyglądała mu się, kiedy znów zaczął krążyć po pokoju. Twarz miał wyrazistą, poznaczoną duchami starych blizn; wszystko to podkreślała silnie zaznaczona broda. Nos pasował do rysów, powiększony przez gruzłowate wybrzuszenie i wykrzywiony od jakiegoś dawnego pęknięcia. I choć człowiek wyglądał na kogoś zaprawionego w bojach, miał odstające uszy, które nadawały mu chłopięcy wygląd.

Rozległo się znajome uff-uff, ona zaś skupiła uwagę na drugim osobniku obecnym w pokoju.

Baako stał przed ścieralną tablicą, w lewej dłoni ścisnął flamaster. Zdążył nabazgrać na białej powierzchni cztery wielkie litery.



Maria podniosła się zdumiona. Razem z Leną uczyła Baako podstaw pisowni, co stanowiło nieodzowną część języka migowego. Posługiwały się zestawem plastikowych klocków z alfabetem, ucząc go prostych słów, takich jak „pies” i „kot”, a także imion paru ludzi, którzy tu pracowali: jego opiekuna Jacka, włochatego przyjaciela Tanga i, oczywiście, Marii i Leny.

Kowalski przystanął obok niej, równie zaskoczony.

– Umie pisać?

– Lubi rysować, nawet malować, ale nigdy wcześniej nie napisał czegoś takiego.

Baako dostrzegł ich zainteresowanie; wodził między nimi spojrzeniem wielkich oczu, pofukując nieznacznie, jakby niepewny, czy wszystko w porządku.

W porządku? Fantastycznie!

– Ale bystry chłopak – odezwała się cicho Maria.

Baako postukał się palcem prawej dłoni w pierś, potem pokazał coś i powtórzył ten znak kilkakrotnie.

Kochać, kochać, kochać...

Na koniec postukał końcem flamastra pod każdą literą na tablicy i popatrzył na Marię.

Uśmiechnęła się.

– Ja też kocham Lenę.

Baako musiał słyszeć ich wcześniejsze rozmowy przez telefon, wychwycił niepokój dotyczący losu Leny i przyswoił go sobie. Być



może, rejestrując zdenerwowanie Marii, sięgnął gdzieś w głąb umysłu, by dać wyraz swoim doznaniom i zademonstrować utajony talent, do tej pory skrywany.

Maria nie potrafiła powstrzymać łez, których źródłem było zarówno zdumienie, jak i miłość. Otarła oczy.

Szkoda, że nie ma tu Leny, pomyślała.

Baako rzucił flamaster na podłogę i podszedł do niej, po czym objął ją w pól.

– Dobry chłopiec – wymamrotała.

– Kaligrafia mogłaby być lepsza – zauważył Kowalski.

Zerknęła na niego i zobaczyła szelmowski uśmiech na jego twarzy, jakby przeczący zdumieniu, które zdradzały jego oczy, gdy spoglądał na tablicę.

Po chwili uwolniła się z objęć Baako.

– Myślę, że przyda się nam łyk świeżego powietrza – powiedziała, patrząc na zegarek, i zwróciła się do Kowalskiego: – Zwykle w południe biorę tego kudłatego gościa na spacer. Już najwyższy czas.

Olbrzym rzucił okiem na szybę.

– Dokąd go pani zabiera?

– Ośrodek obejmuje ponad czterdzieści hektarów zalesionego terenu. Korzystamy z ustalonej trasy. – Poklepała Baako. – Uwielbia ją.

Poczuła ukłucie winy, wiedząc w głębi serca, jak bardzo jej pupil się ożywia na zewnątrz, uwolniony od tego zamknięcia. Jego przeznaczeniem było życie pod gołym niebem, a nie w czterech ścianach. Wiedziała też jednak, że Baako to coś więcej niż tylko zwyczajny goryl. Tylko tutaj, odpowiednio nauczany i wychowywany, mógł wykorzystać w pełni swój potencjał.

Westchnęła, nie do końca o tym przekonana.

Ale powtarzaj to sobie.

Odchrząknęła i obróciła się do Kowalskiego.

– Nie musi pan iść – powiedziała. – Jeśli chce się pan przyłączyć do swojego partnera w moim gabinecie...

Wzruszył ramionami.

– Chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Wątpiła, czy mówi szczerze; wydawało się bardziej prawdopodobne, że kazano mu z nią zostać. Tak czy owak, musiała stąd wyjść, uciec przed tą chmurą niepokoju, która zbierała się przez ostatnią godzinę nad jej głową.

Lepiej się ruszać, niż siedzieć tutaj, zaciskając dłonie.

Podeszła do stołu i wzięła komórkę, nie chcąc przegapić wiadomości dotyczącej Leny. Baako ją obserwował i kiwał się wsparty na kłykciach; najwyraźniej oczekiwał niecierpliwie tego, co ma nastąpić.

– Gotów na spacer, Baako? – spytała.

Podskoczył wysoko, fuknął głośno, a potem pognął za nią, gdy ruszyła w stronę ochronnej klatki przy drzwiach wyjściowych.

Kowalski podążył za nimi.

– Chyba się z panią zgadza.

Kiedy otworzyła klatkę, Baako spojrział za siebie. Wyczuła napięcie wibrujące w ciele młodego goryla – zarówno z powodu podniecenia, jak i irytacji wywołanej faktem, że będzie im towarzyszył Kowalski. Spróbowała uspokoić podopiecznego.

– A może zabierzemy Tanga? Jestem pewna, że też ma ochotę na spacer.

Na dźwięk tego imienia Baako zapomniał całkowicie o Kowalskim. Wziął Marię za rękę i pociągnął ją w stronę wyjścia. Roześmiała się i otworzyła drzwi kluczem.

Gdy już znaleźli się na zewnątrz, przysunął się do niej jeszcze bardziej. Wciąż trzymał jej dłoń, co mu wpojono, ilekroć opuszczał swoje pielesze. Podniósł drugą rękę w oczekiwaniu na kolejne zabezpieczenie. Maria zdjęła z wieszaka obok drzwi magnetyczne opaski z nadajnikiem GPS i założyła mu je na oba nadgarstki.

– No – powiedziała. – Teraz w porządku.

Fuknął cicho.

Poprowadziła Baako i Kowalskiego na tyły budynku. Goryl trzymał się blisko niej, zwłaszcza gdy mijali laboratoria, gdzie prowadzono przeróżne badania. Choć ich drzwi były starannie zamknięte, musiał wyczuwać obecność i zapach innych zwierząt, głównie naczelnych, tak jak on. Były tam rezusy, na których prowadzono eksperymenty hormonalne, mangaby szare służące do badania wzrostu, sajmiri wiewiórcze i makaki krabożerne, wykorzystywane w przeróżnych badaniach dotyczących szczepionek i układu nerwowego. Na dźwięk przenikliwego głosu szympansa dobiegającego z któregoś pomieszczenia Baako wtulił się w Marię jeszcze bardziej.

– Wszystko w porządku – zapewniła go z przekonaniem.

Ale czy naprawdę? Jak bardzo niepokojące mu się to wydawało?

W końcu dotarli do wybiegu dla psów, gdzie powitał ich znajomy chudy osobnik.

– Wielki gość wybiera się na spacer? – spytał Jack z szerokim uśmiechem, wspierając się na miotle.

– Tango też. – Wskazała głową najbliższe klatki.

– Przyprowadzę go – odparł student. – Ale musi pani wiedzieć, że na dworze siąpi, a po tej ulewie zeszłej nocy szlaki są cholernie rozmokłe i błotniste. Może warto włożyć gumki.

– Dam sobie radę. – Maria obróciła się do Kowalskiego, oceniając krytycznie jego garnitur i modne dziurkowane buty. – Może zechciałby pan tu mimo wszystko zaczekać?

Popatrzył na swoje obuwie, wyraźnie przygnębiony.

– Są ręcznie szyte, od Brunella Cucinello.

– Mam zapasowe buty i kombinezon – wtrącił Jack. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby je pan włożył. Mogą być trochę za małe, ale powinny od biedy pasować.

Kowalski wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

Maria czekała, podczas gdy Jack zaprowadził olbrzyma do szatni. Popatrzyła w stronę rampy rozładunkowej, skąd rozciągał się widok

na wybieg dla naczelnych. Nie miała nic do roboty, więc tym bardziej czuła na barkach ciężar troski.

No, dalej, Leno... oby nic ci się nie stało.

Na jej dłoni zacisnęły się ciepłe palce.

Odwróciła się i zobaczyła, że patrzy na nią Baako. W jego karmelowych oczach malowało się cierpienie.

Jak widać, nie tylko ja się martwię.

Godzina 13.57

Czego ja nie robię dla Sigmy...

Sam w szatni, Kowalski złożył starannie spodnie i położył na butach u dołu stalowej szafki. Jego koszula i marynarka już wisiały na haczyku. Stojąc w bokserkach i skarpetach, wziął do ręki pożyczony kombinezon. Chłopak, który zostawił mu ubranie, był niemal tak wysoki jak on, ale chudy niczym szczapa. Na szczęście lubił obszerne rzeczy.

Wzdychając, Kowalski wbił się w odzież ochronną. Musiał wciągnąć brzuch i klatkę piersiową, żeby się zapiąć.

Chyba wystarczy.

Wziął z ławki szelki z kaburą obciążoną jego bronią osobistą. Nie było mowy, by zdołał nosić to pod kombinezonem, a wątpił, czy widok pistoletu zachwyciłby panią doktor. Monk uprzedził go o konieczności zachowania dyskrecji. Pokręcił więc głową i powiesił kaburę obok marynarki.

– I tak nikt nie pozwoli mi zastrzelić tego goryla – mruknął pod nosem.

Mimo wszystko jego dłoń zastygła w bezruchu nad rękojeścią broni – nowo nabytego heckler & kocha .45. Zacisnął zęby, nie mogąc się z nią rozstać.

Jesteś moja, kochanie.

Wyciągnął pistolet z kabury i wsunął go do obszernej tylnej kieszeni. Wybrzuszenie nie wydawało się specjalnie dyskretne, ale co miał zrobić?

Zatrzasnął drzwiczki szafki, zamknął ją na klucz i wsunął stopy w zimne gumowce. Odpowiednio przygotowany, wrócił do swojej towarzyszki. Zjawił się przy niej w tym samym momencie, w którym nadszedł student z tryskającym energią czarno-szarym młodym psiakiem podskakującym przy jego nodze.

– Tango – przedstawiła Maria szczeniaka, uśmiechając się.

Goryl parsknął na powitanie i uniósł brwi, potem pomachał.

Jack odpiął smycz i pozwolił podopiecznemu podbiec w podskokach do przyjaciela; zwierzak poruszał energicznie ogonem.

– Gotowi? – spytała Maria.

– Załatwmy to – mruknął Kowalski, ruszając za gorylem i czworonogiem.

Na dodatek jestem teraz z ramienia Sigmy oficjalnym opiekunem psa.

Skierowali się ku otwartym drzwiom tylnej rampy załadunkowej. Na dworze z niskiego szarego nieba siąpił rzadki deszcz. Mimo wszystko powietrze tchnęło czystością, wolne od piżmowego zapachu zwierząt i woni amoniaku, typowej dla środków dezynfekujących.

Zeszli z betonowej platformy na żwirowy szlak, który biegł przez mokrą zieloną łąkę. Towarzyszył im Jack, trzymając smycz. Gdy już znaleźli się na polu, Maria puściła dłoń podopiecznego i Baako zaczął sadzić susy po wilgotnej trawie, ścigany przez szczekającego psiaka. W odległości pięćdziesięciu metrów widać było ciemny las z sosnami, dębami i białymi cedrami.

– To bezpieczne puszczać ich tak samopas? – spytał Kowalski.

Wskazała ogrodzenie w dali.

– Zabezpieczyliśmy ten fragment terenu. Choć siatka nie stanowi przeszkody dla Baako, wie, że musi trzymać się wytyczonych granic. Zresztą nie sądzę, by chciał uciec. – Zatoczyła ręką łuk. – Wszystko,

co kocha, jest tutaj. I pomimo tej beztrudnej radości, jaką w tej chwili okazuje, nie jest specjalnie odważny. To w gruncie rzeczy maminsynek.

Kowalski zauważył, jak jej głos zaciął się przy ostatnich słowach, i dosłyszał w nim zarówno czułość, jak i może cień winy. Szła ze skrzyżowanymi na piersi rękami, patrząc w zamyśleniu na baraszkujące zwierzaki.

Siłą rzeczy zadał jej pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– Jak to się stało, że obie, pani i siostra, zajęłyście się genetyką?

– Co? Uważa pan, że tylko mężczyźni mogą być naukowcami? – Uśmiechnęła się do niego ciepło i jednocześnie żartobliwie. – Trzeba chyba zacząć od tego, że jesteśmy bliźniaczkami. Kiedy dorasta się z kimś identycznym, wiedząc, że wewnątrz jest się tak bardzo różnym, taka dychotomia towarzyszy człowiekowi cały czas, a on pragnie ją lepiej zrozumieć. I, z kolei, zrozumieć lepiej samego siebie. Więc z czasem pytania zamieniły się w ciekawość, a ta zdecydowała o wyborze określonego zawodu.

– Więc nie chodzi wyłącznie o seksowne fartuchy laboratoryjne? – spytał, rewanżując się jej żartem.

– Hm... nie powiedziałam, że nie ma korzyści ubocznych.

Para włośchatych zwierzaków zbliżyła się już do linii drzew, gdzie wąski trakt przecinał zarośla. Żeby nie tracić goryla i psa z oka, Jack pobiegł przodem, prezentując typowo młodzieńczy wigor. A może chciał się po prostu schronić przed deszczem pod drzewami.

Gdy mżawka przemieniła się w ulewę, Kowalski schylił głowę. Zaczął nagle żałować, że nie ma gęstego futra jak Baako i Tango. Przyspieszył kroku, zmierzając w stronę lasu.

Jack, który dotarł już do połowy łąki, zatrzymał się raptownie.

Kowalski od razu nabrał podejrzeń; po chwili też to zobaczył. Ruch między drzewami, przesuwające się cienie. Błysk strzału sprawił, że Maria drgnęła gwałtownie. Olbrzym wyciągnął błyskawicznie rękę, objął ją na wysokości piersi i rzucił się wraz z nią na ziemię; upadli w wysoką trawę.

Gdy rozległ się drugi strzał, zakrył ją własnym ciałem. Zdążył zobaczyć, jak Jack obraca się gwałtownie, a z jego ramienia tryska krew. Po chwili chłopak runął bezwładnie.

– Nie podnoś się – syknął do Marii Kowalski.

Wyszarpnął pistolet z kieszeni kombinezonu i zaczął pełznąć w stronę studenta. Jednocześnie biegł ku nim wielkimi susami Baako; jedną ręką się podpierał, a drugą przyciskał do boku psa. Kowalski nie zdołał odsunąć się dostatecznie szybko. Para przerażonych przyjaciół przetoczyła się po nim jak kula, uderzając na tyle mocno, by wytrącić mu broń ze śliskich od błota palców. Pistolet poleciał w wysoką trawę i krzewy.

Cholera!

Nie mając czasu na poszukiwania, Kowalski dotarł do studenta, który leżał na plecach; był oszołomiony i jęczał, w jego oczach malował się strach. Z leśnego mroku wyłoniły się ciemne postaci, wszystkie w kominiarkach; nisko pochylone, ruszyły biegiem przez wysoką trawę.

Kowalski obrócił głowę i spojrzał na budynek ośrodka.

Za daleko.

Nie wahając się dłużej, zmoczył dłoń krwią Jacka i rozsmarował ją na jego twarzy.

– Wstrzymaj oddech – nakazał. – Udawaj nieżywego.

Tylko tyle mógł zrobić dla chłopaka.

Podczołgał się z powrotem do Marii, podczas gdy przeciwnicy biegli tyralierą ku miejscu, w którym wraz ze swą opiekunką kulili się Baako. W tym zielonym morzu krępa sylwetka goryla przypominała dobrze widoczną wyspę.

Kowalski pociągnął Marię za rękę.

– Zostaw go. Jeśli przycupniemy w wysokiej trawie, to może...

– Nie ma mowy. – Wyrwała mu się. – Nie porzucę go.

– Doktor Crandall! – rozległ się donośny głos. – Niech pani z nami pójdzie... razem z Baako... a nikomu nic się nie stanie!

Olbrzym zmiął w ustach przekleństwo. Najwyraźniej ci dranie wiedzieli o rutynowych zajęciach Marii, o jej codziennych wycieczkach, i urządzili skuteczną zasadzkę.

Maria popatrzyła na niego, oczekując jakiejś rady.

Wydał tylko pomruk niezadowolenia i zrobił jedyną możliwą w tej sytuacji rzecz: podniósł ręce i dźwignął się z ziemi, twarzą do półkola karabinów automatycznych, które w nich mierzyły.

– Nie strzelajcie!

Maria zwlekała przez dostatecznie długą chwilę, by zdjąć coś z nadgarstka Baako i przyczepić to do obroży psa.

– Do domu – powiedziała, wskazując budynek ośrodka. – Szybko!

Szczeniak tylko się wzdrygnął, zbyt przerażony, by się ruszyć.

Jakby chcąc dodać mu odwagi, Baako pchnął puszysty zad przyjaciela. Podziałało. Mały pies rzucił się biegiem przed siebie z podkulonym ogonem i popędził w stronę odległej rampy.

Kowalski próbował zamaskować ucieczkę czworonoga, ustawiając się odpowiednio i machając rękami, by skupić na sobie uwagę. Maria też pomogła, podnosząc się z ziemi. Trzymała kurczowo Baako za rękę i jednocześnie wsunęła coś do tylnej kieszeni. Goryl zaskomlał, wtulając się w jej nogi.

– Zrobię, o co prosicie! – zawołała. – Tylko nie róbcie krzywdy...

Rozległ się kolejny strzał, przerywając jej w pół słowa.

Kowalski zwrócił się w stronę jednego ze strzelców; mężczyzna trzymał w dłoni dymiący pistolet wymierzony w ziemię. Był to ten sam człowiek, który zawołał do nich chwilę wcześniej, niewątpliwie dowódca grupy.

Drań stał nad bezwładnym ciałem Jacka.

Kowalski zacisnął zęby, patrząc na faceta.

Ty skurwysynu!

Stojąca obok Maria jęknęła, przysuwając się do niego. Dowódca napastników zbliżył się o dwa kroki, podnosząc pistolet, nad którego lufą unosiła się w deszczu mgielka pary. Broń była wycelowana w pierś Kowalskiego.



Ten, wiedząc, co go czeka, odpowiedział gniewnym spojrzeniem. Jak zwykle się mylił.

Maria stanęła przed nim i zasłoniła go własnym ciałem.

– Nie! Jeśli potrzebujecie mojej pomocy, jeśli potrzebujecie Baako, to potrzebujecie też Joego. – Trąciła go łokciem w brzuch dla podkreślenia swoich słów. – To opiekun goryla. Wie o nim wszystko... jak go uspokajać... jak skłonić go do posłuszeństwa. – Mówiła szybko, starając się za wszelką cenę dowieść, jak ważny jest Kowalski.

Opuścił wzrok i popatrzył po swoim kombinezonie i dostrzegł na górnej kieszeni naszywkę z emblematem Uniwersytetu Emory'ego. Przełknął z trudem ślinę i wyciągnął do Baako rękę; wiedział, że to jego jedyna szansa i nadzieja.

Nie zawieź mnie, koleś.

Baako popatrzył na niego, brązowe oczy były szkliste od strachu, po twarzy spływała woda. W końcu ciemna ręka podniosła się z wolna, a skórzaste palce objęły ludzką dłoń.

Dowódca grupy stał długą chwilę, przyglądając im się z uwagą. Potem opuścił pistolet i odwrócił się.

– Zabierzcie ich do helikoptera! – rozkazał swoim ludziom.

Kowalski odetchnął z ulgą.

Gdy grupa napastników otaczała ich zwartym kołem, Baako puścił jego rękę i pokazał coś, podsuwając zaciśniętą dłoń pod drugą i unosząc obie. Nie musiał tego robić; jego wystraszone oczy były aż nadto wymowne.

Pomóż nam.

Goryl przywarł mocno do Marii. Ona także spojrzała błagalnie na Kowalskiego, który wiedział, że jest ich dłużnikiem. Właśnie ocalili mu życie.

Ale co mogę zrobić sam jeden, do diabła?

Monk potarł oczy, potem wrócił do lektury opisu radiologa, dotyczącego wyników rezonansu magnetycznego, jakiemu poddano mózg hybrydowego goryla. Morfologia w tym wypadku różniła się znacząco od morfologii przeciętnego przedstawiciela tego gatunku, i to pod wieloma względami. Monk studiował fragment dotyczący pofałdowania w korze mózgowej Baako. Liczba zakrętów i bruzd była trzykrotnie większa, co sugerowało, że powierzchnia mózgu jest rozleglejsza, a tym samym musi być on bardziej zwarty, by pomieścić się w czaszce goryla.

Wszystko to było zarówno fascynujące, jak i niepokojące.

Amy Wu rozmawiała za jego plecami przez komórkę. Jej telefon zadzwonił chwilę wcześniej, chodziło zapewne o nowe wiadomości od jej kolegów w Białym Domu.

– Zrozumiałam – powiedziała, chodząc tam i z powrotem. – Zrobię to, co należy. Zrój.

Monk nadstawił ucha, słysząc na koniec rozmowy pożegnalny zwrot w języku chińskim. Więc nie był to zapewne telefon z Białego Domu, choć nie mógł tego wykluczyć. Zaskoczony, dostrzegł jej odbicie w ciemnym narożniku ekranu monitora i zobaczył, że Amy chowa komórkę, a potem sięga ręką za siebie, jakby chciała rozmasować sobie plecy.

Jej dłoń znów się pojawiła w polu widzenia, palce zaciskały się na małym srebrnym pistolecie.

Zareagował na zagrożenie instynktownie. Pochylił się błyskawicznie i wykonał gwałtowny ruch udami, pchając fotel w stronę kobiety. Jej broń huknęła ogłuszająco, a pocisk roztrzaskał monitor w chwili, gdy Monk rzucił się na podłogę.

Przeturlał się w bok, kiedy fotel uderzył Amy w nogi, zmuszając ją do cofnięcia się o krok. Wykorzystał tę chwilę, by wyszarpnąć z kabury pod pachą glocka. Wycelował, niemal na ślepo, i pociągnął za spust, nie tyle chcąc ją trafić, ile zaskoczyć. Mimo to pocisk

drasnął udo kobiety. Osunęła się z krzykiem bólu na jedno kolano i wymierzyła do niego ze swej broni.

On jednak zdążył już ująć glocka obiema dłońmi i wycelować. Dojrzał ponad lufą pistoletu jej oko i zimny wyraz twarzy; zrzuciła już maskę współpracownika DARPA.

Oboje wystrzelili jednocześnie.

Jej pocisk przeleciał obok ucha Monka, kiedy ten rzucił się w bok. Nie była wystarczająco szybka. Jego pocisk drasnął jej szyję, odrzucając ją do tyłu. Monk dźwignął się z podłogi z uniesionym i wycelowanym pistoletem. Popatrzyła na niego gniewnie i zdołała ponownie wymierzyć, nim zdążył wykopnąć broń z jej rąk. Nie mając innego wyboru i nie chcąc ryzykować, strzelił ponownie, tym razem w głowę.

Runęła na podłogę, pistolet wypadł z jejbezwładnych palców.

Odsunął go na wszelki wypadek stopą, choć wiedział, że kobieta nie żyje.

Pochylił się nad nią i wziął do ręki jej komórkę. Amy Wu nie mogła już nic powiedzieć, ale liczył na to, że znajdzie w jej telefonie coś, co wyjaśniłoby ten niespodziewany atak.

Jego następna myśl dotyczyła czegoś ważniejszego.

Kowalski i Maria...

Ktoś zadzwonił chwilę wcześniej do Wu i wydał jej rozkaz tego ataku.

Mogło to znaczyć tylko jedno.

Byłem kimś, kogo należało usunąć, pomyślał Monk i rzucił się do drzwi. Wciąż trzymając broń w ręce, wypadł na opustoszały korytarz i popędził do sali lekcyjnej Baako. Wbiegł do zewnętrznego pomieszczenia i stanął przy szybie. Pomieszczenie świeciło pustkami.

Ani śladu ciał, krwi, walki.

Nawet Baako zniknął.

Rozglądał się zaskoczony. Gdzie oni są?

Z końca długiego korytarza, który prowadził na tyły budynku, dotarło echo krzyku. Ruszył w tamtą stronę, słysząc gniewny głos Leonarda Traska, dyrektora ośrodka.

– Kto wypuścił tego psa?! – krzyczał mężczyzna. – Zabrać kundla z powrotem do klatki!

Monk rzucił się biegiem w tamtą stronę. Nie miał pojęcia, czy to zamieszanie ma cokolwiek wspólnego z nieobecnością Kowalskiego i Marii, ale Trask mógł wiedzieć, co się stało, albo przynajmniej udzielić jakichś informacji.

Agent Sigmy minął szereg laboratoriów i znalazł się w dużym pomieszczeniu otoczonym wybiegami dla psów, stalowymi klatkami i szafkami. Na tyłach znajdowały się podwójne wysokie drzwi prowadzące do rampy ładunkowej, zamknięte teraz na głucho. Mniejsze stały otworem; na dworze padał deszcz.

Obok kulił się przemoczony pies, drżąc na całym ciele.

Trask pochylał się nad przestraszonym szczeniakiem, przyciskając go nogą do ściany. W końcu nadbiegła studentka w kombinezonie z emblematem Uniwersytetu Emory'ego i ze smyczą w dłoni.

Monk zbliżył się do nich.

– Co się stało?

Dyrektor ośrodka odwrócił się do niego; twarz miał zaczerwienioną, w jego oczach malowała się furia.

– Ktoś wypuścił... – Urwał nagle, dostrzegając pistolet w ręce agenta. – Co pan wyprawia?

Monk nie miał czasu na wyjaśnienia.

Studentka zajęła się psem i przypięła smycz do jego obroży. W tym momencie coś wypadło i stuknęło o betonową podłogę. Podniosła to i zaczęła oglądać z ciekawością.

Trask wyciągnął rękę.

– Pokaż mi to.

Podąła mu przedmiot.

– Wygląda jak jeden z nadajników Baako.

Monk przysunął się bliżej.

– To prawda?

– Tak – odparł dyrektor z grymasem na twarzy. – Ale dlaczego miał to pies?

Studentka, wyraźnie podenerwowana, starała się wyjaśnić sytuację. Wskazała wyjście.

– Doktor Crandall wzięła Baako i Tanga na spacer.

– Kiedy? – spytał Monk.

– Nie wiem. Może pół godziny temu. Zaczęłam właśnie dyżur, kiedy Jack wyprowadził Tanga z jego klatki.

Monk zbliżył się do drzwi i popatrzył w stronę mokrej łąki.

– Prawdopodobnie są jeszcze w lesie – rzucił Trask. – Jest tam mnóstwo szlaków.

Agent Sigmy nie bardzo w to wierzył. Zmrużył oczy i przesunął spojrzeniem wzdłuż zwirowej ścieżki biegnącej przez wysoką trawę. W połowie tej drogi dostrzegł jakiś ciemny kształt.

Cholera!

Chwycił dyrektora za ramię i pociągnął go ze sobą na rampę, a potem na łąkę. Tak jak się obawiał, ciemny kształt był ludzkim ciałem.

Trask westchnął i cofnął się o krok, jakby nie chciał podejść bliżej.

– To Jack.

Monk spenetrował okolicę, ale nie znalazł śladu pozostałych. Przyglądał się ciemnemu lasowi, lecz wiedział, że jest za późno. Ktokolwiek zadzwonił do Amy Wu, zrobił to dopiero po osiągnięciu zamierzonego celu.

– Nie ma ich – mruknął.

Odwrócił się i wziął z dłoni Traska opaskę z nadajnikiem.

Ale może uda się ich ocalić.

Baako kuli się w głębi klatki, podciągając kolana do piersi. W jego głowę wdziera się ogłuszający hałas, a mimo to uszy wypełnia mu łomotanie serca. Chce krzyczeć, uderzać się po piersi, uwolnić przerażenie. Widzi przez okno przemykający świat chłostany deszczem. Smród tej małej przestrzeni i bezustanny ruch przyprawiają go o mdłości.

Jedynym nieruchomym centrum tego sztormu jest znajoma postać jego matki, która siedzi przy klatce. Jej oczy są zbyt duże, skóra jest zbyt biała. I oddycha zbyt ciężko.

Wyciąga do niej rękę.

Mama...

Ale ona trzyma ręce za plecami; są związane.

Tak samo jak olbrzym, który siedzi naprzeciwko niej. Wargi ma wąskie i zaciśnięte, nozdrza rozdęte, oczy penetrują każdy zakątek. Jakby był gotów walić się pięściami po piersi, ale i on trzyma ręce za plecami.

Źli ludzie, którzy przyszli bez twarzy, tłoczą się na pozostałych miejscach. Teraz pokazują twarze. Ich oczy są jakby ściągnięte, skóra jest inna.

Jak u tej kobiety, przyjaciółki mamy, która czasem przychodzi i go łaskocze.

Ale ci tutaj nie są tak mili jak ona.

Baako kuli się, przypominając sobie, jak wepchnęli go do tej klatki, dżgając kijkiem, który parzył i iskrzył niebieskim ogniem. Tyle że mama ich powstrzymała. Wypowiadała cicho słowa, ale był zbyt przestraszony i zbyt obolały, żeby zrozumieć. Mimo wszystko pozwolił jej wprowadzić się do klatki.

Potem byli dla mamy niedobrzy. Szarpali ją i zabrali jej telefon... i telefon tego dużego człowieka. Baako zna telefony. Czasem rozmawiał przez niego z drugą mamą, Leną. Popiskuje, myśląc teraz o niej.

– W porządku, Baako – mówi mama.

Fuka cicho, nie zgadzając się z nią.

Nie jest w porządku.

Mama obraca się do niego plecami i związanymi rękami sięga między kraty. Patrzy przez ramię, spoglądając mu w oczy. Palce jednej dłoni poruszają się, pokazując litery.

Schować.

Nie rozumie. Jego matki bawią się z nim czasem w chowanie, na przykład wkładają banana do pudełka, które musi obracać, przekręcać, pchać i stukać, aż uda mu się wejść do środka i zjeść owoc.

Odsłania zęby, okazując zmieszanie.

Mama rozwiera palce drugiej dłoni, na której spoczywa kółko z plastiku i stali. On wie, co to jest, i pokazuje, że wie, obejmując jej nadgarstek palcami. Pamięta, jak nim nadeszli źli ludzie, wzięła jedno z kółek i założyła je na obrożę Tanga, potem zdjęła drugie i wsadziła sobie do tylnej kieszeni.

Jej pusta dłoń znów formuje słowa, a druga podsuwa mu kółko.

Weź... schowaj.

Wykonuje polecenie i wyjmuje kółko z jej palców.

Od przodu dobiega wrzaskliwy głos. Baako jest zbyt przestraszony, żeby zrozumieć; słyszy tylko gniew.

Ale mama wypowiada słowa, które Baako rozumie. „Baako się boi”. Jednocześnie rozmawia z nim palcami.

Schowaj... teraz.

Baako przesuwa się powrotem na tyły klatki, nie bardzo wiedząc, jak ma to zrobić. Chce być dobrym chłopcem. W końcu zaczyna myśleć i odwraca się od wszystkich. Podnosi dłoń do ust i wsuwa sobie kółko między wargi. Potem przesuwa je językiem aż do policzka po wewnętrznej stronie i trzyma tam.

Jeden ze złych ludzi obraca mamę z powrotem na jej miejsce, ale ona kiwa głową, patrząc na Baako i uśmiechając się, bo nie można powiedzieć żadnych słów. A on rozumie, wie, co to znaczy.

Dobry chłopiec.

Nawet ten wielki mężczyzna siedzący naprzeciwko niej patrzy na niego. Nie uśmiecha się, ale Baako wyczytuje z jego twarzy aprobatę. Baako rozsiada się znowu, spokojniejszy, pewien jednego: Jestem dobrym chłopcem.



# 9

Pekin

30 kwietnia, 7.23 czasu miejscowego

– Qǐng bú shě... qǐng bú shě... – błagał mężczyzna na kolanach, pochylając nisko głowę. – Shrójiǐng Lau, qǐng bú shě.

General dywizji Jiaying Lau, obrócona do niego plecami, zapoznawała się z porannymi raportami z przeróżnych laboratoriów znajdujących się w ośrodku badawczym, którym kierowała. Stała przed oknem, które wychodziło na pekińskie zoo, jedno z największych na świecie. Było także najstarsze w Chinach; założono je jeszcze w 1906 roku, kiedy zaczęło swój żywot jako farma eksperymentalna.

Odpowiedni początek, zważywszy na obecny projekt, pomyślała.

Jiaying odczuwała niejaką dumę, świadoma ciężkiej pracy i lat mozołu, jakich wymagała realizacja tego zamierzenia. Popatrzyła w stronę parku przez okno na wyższym piętrze Changuanlou, rezydencji wzorowanej na francuskim baroku i znajdującej się w północno-zachodnim narożniku ogrodu zoologicznego; wzniesiono ją w XIX wieku dla cesarzowej wdowy Cixi.

Wyobraziła sobie monarchinię patrzącą przez to samo okno i pomyślała, że jest do niej podobna – królowa spoglądająca na swe włości.

I była to pod wieloma względami prawda.

Może nie sprawowała całkowitej kontroli nad licznymi salami wystawowymi ani nad piętnastoma tysiącami zwierząt zamieszkującymi osiemdziesiąt hektarów tego terenu – ale w pełni

nadzorowała to, co leżało pod spodem, a co było warte wszystkich obiektów wzniesionych z myślą o letnich igrzyskach olimpijskich. Nie wspominając już o tym, że jej ośrodkowi przyświecał cel znacznie ważniejszy niż zyskanie globalnego uznania i podziwu.

Jiaying zamknęła oczy, uświadamiając sobie zakres projektu, nad którym sprawowała pieczę.

Wszystko zaczęło się od ziarna skradzionego tysiące kilometrów stąd i posadzonego tutaj, głęboko pod ziemią, gdzie wypuściło już korzenie i zwiastowało jeszcze większą chwałę dla jej kraju. Ziarno to pochodziło z pewnej doliny w południowo-zachodnim Tybecie, niedaleko granicy z Chinami i Nepalem. Miejsce owo było święte dla buddystów i hinduistów. Źródłem tego kultu była góra Kajlas, najwyższy z ośnieżonych szczytów w dolinie, gdzie miał przebywać pogrążony w wiecznej medytacji Pan Śiwa.

Skrzywiła się na myśl o tak pradawnych przesądach i odetchnęła głęboko, otwierając oczy na panoramę Pekinu, która ciągnęła się poza granicami ogrodu zoologicznego. Studiowała tu na Uniwersytecie Nauki i Technologii, skąd w końcu została skierowana przez zastępcę sekretarza generalnego do Akademii Nauki Wojskowej. Wyprostowała się, wspominając ten zaszczyt. Miała wtedy dziewiętnaście lat, a przyszłość jawiła się jako księga czystych stron, które czekają na swoją treść.

Ale to było czterdzieści lat wcześniej.

Uchwyciła swoje odbicie w szybie, dostrzegając szare włosy, krótko obcięte i zaczesane starannie za uszami. Odczytywała własną przeszłość w zmarszczkach na twarzy. Nie miała dzieci ani męża; ślubowała wierność karierze wojskowej. Stała teraz w swoim zielonym mundurze, z jedną gwiazdą na naramiennikach, synonimem rangi shrójińg, czyli generała dywizji w Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Każdego ranka polerowała obie gwiazdy, ale wraz z upływem lat robiła to z pewną goryczą, niezadowolona z braku dodatkowych dystynkcji, które mogłyby przystroić jej mundur.

Wiedziała, że jej kariera znalazła się w impasie – dlatego że była kobietą, ale też z innego powodu: pracowała w jednostce naukowej. Mimo wszystko wciąż pragnęła tych dodatkowych gwiazdek, może nawet awansu na stanowisko szefa do spraw naukowych armii, co nigdy nie udało się żadnej kobiecie. Taki był jej cel, lecz aby go osiągnąć, musiała jednak najpierw dowieść swej wartości tutaj, w tym miejscu. Podejmując się tego przedsięwzięcia, ryzykowała całą karierę i reputację.

Nie może się nie udać.

Niżej, za oknem, ciągnęło się błękitne rozlewisko zamieszkane przez niezliczone długonogie żurawie o upierzeniu mieniącym się odcieniami bieli i różu; nad wszystkim zwieszał się zielony baldachim upstrzony kwiatami. Objęła spojrzeniem ten widok. Za rozlewiskiem wznosiły się niezliczone pawilony zwierzęce i ptaszarnie pośród sztucznych sawann przecinanych krętymi strumykami łączącymi dziesiątki stawów. Daleko, na przeciwległym krańcu, znajdowała się ulubiona atrakcja przyciągająca co roku setki tysięcy zwiedzających: siedziba pandy.

Choć sam park jawił się okazale, największe cuda natury kryły się pod jego powierzchnią, w wydrążonych tunelach i komorach mieszczących laboratoria, wybiegi i habitaty, w których panował odpowiedni klimat. Inspiracją dla tego obiektu był podobny ośrodek badawczy pod bagdadzkim ogrodem zoologicznym, odkryty podczas amerykańskiej inwazji na Irak w 2003 roku.

Jednakże jej dzieło przekraczało swym rozmachem nieporadne wysiłki Irakijczyków, obejmując swym zasięgiem niemal cały teren leżący pod miejskim zoo. Początkowo prowadzone tu eksperymenty w dziedzinie genetyki miały charakter elementarny, lecz gdy w ciągu kilku minionych lat doszło do niezwykłego udoskonalenia technik, wzrosły też nadzieje Jiaying związane z tym, co niegdyś zaczęła.

Potem nastąpił przełom, odkrycie, które wszystko zmieniło, a do którego doszło na świętych zboczach góry Kajlas w Tybecie...

Przez ponad dziesięć lat w tej odległej dolinie działała niewielka stacja badawcza antropologów studiujących genomy lokalnej ludności. Miejsce to wybrano z powodu znacznego napływu pielgrzymów; przyciągało ono ludzi nawet z dalekich stron. Naukowcy tworzyli genetyczną bazę danych związaną z pradawnymi trasami migracyjnymi w owym regionie. Przedsięwzięcie było finansowane przez wojsko w celu wzmocnienia chińskich roszczeń podczas lokalnych sporów granicznych, rodzących konflikty z Tybetem, Nepalem, Indiami i Butanem.

Prócz gromadzenia próbek materiału genetycznego antropologowie zajmowali się również zbieraniem opowieści – relacji świadków, którzy napotkali rzadkie zwierzęta, na przykład nieuchwytnego leoparda śnieżnego czy tybetańskiego niedźwiedzia błękitnego. Z czasem miejscowi pasterze i właściciele stad zaczęli przynosić naukowcom relikty: kawałki skamieniałych kości, stare rozpadające się skóry, fragmenty spetryfikowanego drewna.

Przed ośmiu laty pewien tybetański pasterz zaprowadził jednego z badaczy do jaskini znajdującej się wysoko na zboczach Kajlasu, daleko za linią wiecznego śniegu, leżącą na terenie uważanym za zbyt święty, by wolno było go deptać. Pasterz twierdził, że znalazł kryjówkę yeti, osławionego potwora Himalajów. Tego rodzaju opowieści rozkwitały przez wieki, niemal w każdym okolicznym kraju, tajemnicza istota zaś nazywana była różnie. W Bhutanie yeti był znany jako Migo, a wśród chińskich plemion górskich nazywano go Almy. Jednakże tamtego dnia odkryto nie legowisko yeti, lecz jaskinię skrywającą naukowy skarb przewyższający swym znaczeniem wszystko, co dotąd znaleziono.

Badacz, o którym mowa, był przypadkiem pracownikiem Akademii Nauki Wojskowej. Swe odkrycie zachował w tajemnicy i skontaktował się z zastępcą szefa akademii, a ten wysłał na miejsce Jiaying Lau. Uświadomiwszy sobie w pełni wagę znaleziska – i związane z nią możliwości – skonfiskowała je i przewiozła do

Pekinu, gdzie następnie zajęła się w ścisłym sekrecie rekrutacją najwybitniejszych i najbystrzejszych przedstawicieli chińskiego środowiska naukowego: zoologów, archeologów, biologów molekularnych, specjalistów inżynierii genetycznej, nawet ekspertów w dziedzinie studiów nad reprodukcją i rozwojem gatunków.

Ogród zoologiczny i jej ośrodek stanowiły idealne miejsce do badań nad enigmą, która mogła na zawsze zmienić ludzkość. By jednak misja się powiodła, zwłaszcza w wyznaczonym terminie, nie wolno było sobie pozwolić na najmniejsze uchybienia w systemie zabezpieczeń.

– Qǐng bú shě – powtórzył błagalnie mężczyzna.

Jej podwładny – dwudziestoosmioletni technik komputerowy, niejaki Quon Zheng – skorzystał ostatniej nocy z wojskowej komunikacji satelitarnej, by przeprowadzić nieautoryzowaną rozmowę telefoniczną. Próbował połączyć się ze swoją dziewczyną w Szanghaju. Choć w postępku młodego człowieka nie kryły się złe zamiary, taki kontakt ze światem zewnętrznym był w przypadku zatrudnionych tu ludzi surowo zakazany.

Jiaying zamknęła oczy, wspominając trudną wspinaczkę na świętą górę Kajlas, domniemaną siedzibę Pana Śiwy, niszczyciela złudzeń.

Jej nazwisko, Lau, znaczyło „zniszczyć”.

Czerpała z tego siłę.

– Zabierzcie go – rozkazała dwóm żołnierzom stojącym przy drzwiach. – I wrzucie do Arki.

Z ust Quona wyrwał się krzyk przerażenia i strachu. Jako szeregowy pracownik nie miał dostępu do wielu tajemnic i nie pojmował w pełni, dokąd jest zabierany, ale w tak niewielkiej społeczności krążyły plotki o ludziach, którzy znikali i o których nikt więcej nie słyszał.

Wyprostowała plecy, gdy go wywlekano. Popatrzyła w stronę niebieskiego rozlewiska, na żurawie przechadzające się z wolna po

wodzie.

Zaskoczona, usłyszała jakiś głos za plecami.

– Chéngmahn, Shrójińg Lau.

Te przeprosiny za najście zostały wypowiedziane w dialekcie kantońskim. Choć w tonie pobrzmiwał szacunek, zjeżyła się na tę zawołaną obelgę. Dorastała w ubogiej wiosce w prowincji Guangdong na południu Chin, gdzie posługiwano się właśnie dialektem kantońskim. Domyślała się, że rozmówca przypomina w ten sposób o jej niskim pochodzeniu i wie doskonale, że urzędowy dialekt kraju, mandaryński, to jej drugi język.

Jiaying odwróciła się od okna.

– Nie przeszkadza pan, Zhôngxíró Sun – odparła energicznie, posługując się mandaryńskim. Zachowała grzeczny ton, ale podkreśliła rangę mężczyzny, podpułkownika, przypominając mu o jego niższym statusie. – O co chodzi?

Chang Sun skłonił głowę, nim się odezwał. Dorównywał jej wzrostem i miał na sobie taki sam mundur w kolorze khaki, ale był o dwadzieścia lat młodszy i mógł się pochwalić wszelkimi oznakami swego wieku: zwartymi mięśniami, kruczoczarnymi włosami i twarzą wolną od zmarszczek; oczy błyszczały nieskrywaną ambicją.

Był tym samym oficerem, którego tybetański pasterz zaprowadził do jaskini na ośnieżonych zboczach góry Kajlas. To odkrycie i rola, jaką Chang przy okazji odegrał, zapewniły mu awans – ale podobnie jak ona pragnął, by ten fakt wyniósł go jeszcze wyżej, nawet gdyby miało to oznaczać, że dotrze na szczyt po jej karku.

– Pomyślałem, że powinna pani o czymś wiedzieć: moi ludzie przybyli wraz z pakunkiem z Chorwacji – oznajmił. – Ściągają ich tu w tej chwili.

– Bardzo dobrze. A co z drugim pakunkiem, tym ze Stanów Zjednoczonych?

– Wciąż w drodze, ale powinni w ciągu paru godzin wylądować.

Skinęła głową, okazując mu z niechęcią uznanie. Choć kierowała tym ośrodkiem, Chang Sun nadzorował stronę militarną i

wywiadowczą przedsięwzięcia. Pełnił rolę jej silnej ręki poza granicami kraju – ale zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia mógłby bez wahania obrócić tę rękę przeciwko niej.

Wiedząc o tym, postanowiła utrzyć mu nosa.

– Słyszałam, że straciliśmy swój kontakt w placówce naukowej Białego Domu. Że została zastrzelona podczas operacji w Atlancie.

Chang spuścił wzrok.

– Godna pożałowania strata, musimy jednak dowieść, że nie poszła na marne.

Rozumiała, że te ostatnie słowa są skierowane pod jej adresem. To ona, jako szef naukowy projektu, i jej zespół musieli zrobić wszystko, by można było usprawiedliwić ową stratę.

– A co z tymi nieprzewidzianymi kłopotami w Chorwacji? – nie dawała za wygraną. – Uporano się z nimi?

Panowała nad głosem, ale wciąż odczuwała głębokie niezadowolenie. Źródła wywiadowcze Changa ustaliły zbyt późno, że na stanowisku archeologicznym w górach przebywa siostra bliźniaczka amerykańskiej biolog molekularnej specjalizującej się w genetyce. Kobieta przyjechała tam dzień wcześniej, niż się spodziewano. Plan polegał na tym, by uprowadzić ją z Lipska, jeszcze nim opuści Niemcy. Trzymając w garści obie siostry, Jiaying mogłaby, przy zastosowaniu odpowiednich nacisków, zapewnić sobie ich współpracę. Co więcej, to potknięcie wywiadowcze wymagało przyspieszenia akcji w amerykańskim ośrodku zajmującym się naczelnymi. Przyczyniło się to w jakimś stopniu do wyeliminowania ich agentki w Białym Domu.

– Uważamy, że doktor Lena Crandall nie żyje – powiedział Chang.

– Trwają jednak poszukiwania w celu potwierdzenia tego faktu.

– A dziesięciu ludzi, których tam straciliście?

Chang westchnął, okazując nietypową dla siebie irytację.

– Ich ciała są czyste. Nikt nie będzie w stanie powiązać ich z nami. Przygotowaliśmy już na wypadek ewentualnych oskarżeń stosowne oświadczenie.

– Kto zlikwidował pańskich ludzi? Jak pan sądzi?

Chang pokręcił głową, mrużąc oczy z gniewu, którego źródłem nie była śmierć towarzyszy, tylko skaza na reputacji.

– Sprawcy wciąż nieznani.

– Może powinien się pan tym zająć – poradziła, zadowolona, że może skupić jego uwagę na czymś innym. Wskazała drzwi. – Muszę się przygotować na przyjęcie naszych gości.

– Tak, generał Lau. – Skłonił się i wyszedł.

Znów skierowała się do okna i spojrzała na błękitne rozlewisko w promieniach wschodzącego słońca. Ona jednak miała przed oczami inne jezioro, to, które leżało w cieniu góry Kajlas w Tybecie: Rakas Tal, Diabelskie Jezioro, zwane tak z powodu gorzkiej wody i dziesięciogłowego demona, który rzekomo krył się w jego głębinach.

Zmarszczyła czoło, widząc swe odbicie w szybie. Wiedziała, że są na tym świecie istoty gorsze niż demony.

Zwłaszcza że przyłożyłam rękę do ich stworzenia.

Godzina 7.44

Quon Zheng włókł się korytarzem, dłonie miał skute na plecach. Prowadzili go dwaj żołnierze. Jeden trzymał go za łokieć, drugi ponaglał do marszu, dźgając paralizatorem. Przeszli przez długi i szeroki hol biegnący przez samo serce ośrodka i skierowali się ku przeciwległemu krańcowi, gdzie wpuszczano jedynie nielicznych. Kilka twarzy obróciło się w jego stronę, spojrzenia jednak umykały w przestkach. Odsuwano mu się pospiesznie z drogi.

Z bocznego korytarza wyłoniła się grupa czterech żołnierzy pilnujących dwóch starszych mężczyzn, którzy wyglądali na wyczerpanych; oni też mieli dłonie skute na plecach. Kolejnych dwóch żołnierzy zamykało pochód, niosąc skrzynię podobną do trumny. Domyślił się, że ta grupa nadeszła od strony lądowiska dla helikopterów wojskowych.



Popatrzył na nich z niepokojem i przypomniał sobie, jak sam przybył tu dziesięć miesięcy wcześniej, tak pełen nadziei, tak dumny. Teraz oczy miał zamglone od łez, w myślach widział swą podstarzałą matkę, która uwielbiała odwiedzać ogrody herbaciane w Szanghaju, i młodszą siostrę troskliwie się nią opiekującą. Wspominał też blask oczu swojej dziewczyny w ciemności, muśnięcie jej warg.

Jego uwagę przyciągnęły jakieś głosy. Nowo przybyli jeńcy szeptali do siebie po angielsku, rozglądając się. Obu prowadzono pospiesznie, najprawdopodobniej do gabinetu generała Lau. Quon uchwycił spojrzenie starszego z nich. Mężczyzna wyglądał na równie wystraszonego jak on, głos miał jednak pewny, akcent brytyjski. Nieznajomy zawołał do Quona, być może wyczuwając sprzymierzeńca w kimś, kto też jest pod strażą.

– Hej, ty! Co to za miejsce?

Quon znał angielski na tyle, by zrozumieć, o co chodzi, i wydusił z siebie jedno słowo, stanowiące zarówno ostrzeżenie, jak i opis wspomnianego miejsca.

– Děyũ... – Wykręcił szyję, przechodząc obok i powtórzył: – Tâ shě děyũ!

Mężczyźni, ponaglani, zaczęli oddalać się korytarzem, ale do Quona dotarło pełne szoku wołanie drugiego z więźniów, którego słowa zabarwione były francuskim akcentem.

– Ten człowiek powiedział... powiedział, że to miejsce jest piekłem.

Quon chciał krzyknąć, przekazać im jeszcze więcej, ale plecy eksplodowały mu bólem – to pręt elektryczny dźgnął go w bok. Sapnął, utrzymując się na nogach tylko dzięki żelaznej dłoni zaciśniętej na jego łokciu.

Na wpół go wleczono, a na wpół popychano przez labirynt korytarzy. W sąsiednich pomieszczeniach widział wybiegi dla owiec, nawet zagrody z włochatymi cielskami jaków. W końcu dotarli do

wysokiego łukowatego sklepienia nad ogromnymi stalowymi drzwiami. Powyżej świeciły ognistym karmazynem dwa znaki.

方舟

– Nie! – jęknął Quon, odczytując nazwę.

Arka.

Przekazywano sobie szeptem plotki o owym sławetnym lochu, choć tylko nieliczni widzieli kiedykolwiek, co kryje się za tymi wysokimi stalowymi wrotami.

Jeden z jego strażników przyłożył dłoń do jarzącego się niebiesko czytelnika na ścianie. Po chwili wrota rozwarły się z westchnieniem podnośników hydraulicznych.

Quon poczuł powiew zimnego powietrza, pachnącego czymś bardziej nawet piżmowym niż jaki, które zauważył po drodze. Zjeżyły mu się włosy na karku. Cofnął się odruchowo pod wpływem przerażenia, jednak za barki chwyciły go silne dłonie. Uwolniono mu nadgarstki i popchnięto.

Upadł na kolana tuż za progiem i stwierdził, że znajduje się w klatce. Za grubymi kratami otwierał się przed nim wielki habitat wycięty w naturalnym podłożu skalnym. Jego ściany wznosiły się na wysokość dwudziestu metrów, tworząc zagłębienie o stromych zboczach; podłoże usiane było czarnymi głazami. Po obu stronach dostrzegł jaskinie, niektóre znajdowały się nisko przy gruncie, inne wyżej.

Gdy kulił się w przestrachu, za jego plecami zamknęło się wejście do tej rozległej krypty.

Serce waliło mu boleśnie w piersi.

Błagam, nie...

W jaskiniach poruszyły się cienie. Potem, bliżej, jeden z głazów poruszył się i przemienił w coś niewypowiedzianie przerażającego.

Quon krzyknął, przywierając do stalowych drzwi za plecami – a krata z przodu jego małej klatki podjechała z grzechotem do góry.

CZEŚĆ DRUGA  
**SZCZĄTKI EWY**

Σ

# 10

## Zagrzeb

30 kwietnia, godzina 5.45 czasu miejscowego

Gray, wchodząc do małej kuchni, dostrzegł w twarzy Leny Crandall nadzieję i jednocześnie strach. Niski sufit wspierały ręcznie obrobione belki, a ściany z surowych cegieł pochodziły jeszcze z siedemnastego wieku. Sama kuchnia należała do kościoła Świętej Katarzyny w stolicy Chorwacji. Doktor Crandall siedziała w głębi, przy wiekowym stole z dębowych desek. Za jej plecami, w przyczernionym sadzą kamiennym kominku, trzaskał ogień.

– Jakież wiadomości o Marii? – spytała.

Seichan też patrzyła wyczekująco. Odsunęła się od szafki i podała Grayowi parujący kubek kawy. Przyjął go, wziął z półmiska kawałek strudla serowego – nazywanego tu štrukli – i podszedł do stołu.

– Otrzymałem informację z Waszyngtonu – powiedział. – Wciąż monitorują nadajnik GPS, który ma przypuszczalnie pani siostra, ale otrzymują tylko przerywany sygnał.

Lena spuściła wzrok, trzymając zaciśnięte dłonie na stole.

– Te opaski miały w założeniu tylko krótki zasięg. Środek ostrożności, żeby namierzyć Baako, gdyby przypadkiem zagubił się na terenie ośrodka albo wydostał poza ogrodzenie.

Gray próbował sobie wyobrazić tego hybrydowego goryla. Podczas nocnej i niebezpiecznej jazdy przez omiatane burzą góry z Ogulinu do Zagrzebia Lena opisywała swój projekt naukowy – a także jego niezwykły „przedmiot”. Atak na centrum badań nad naczelnymi musiał mieć związek z tym, co wydarzyło się tutaj.

Ale jaki?

Ujrzał w myślach twarz Kowalskiego, zastanawiając się, czy jego kolega wciąż żyje.

Lena sprawiała wrażenie równie zatroskanej o los siostry.

Próbował ją pocieszyć.

– Na razie nadajnik pracuje na tyle dobrze, że wiemy, że sygnał przesuwa się na zachód nad Pacyfikiem. W powietrzu jest już specjalny zespół, który podąża w tamtym kierunku, ograniczając obszar poszukiwań. Gdy tylko porywacze zechcą lądować, zaciśniemy wokół nich pętlę.

Celowo nie wspomniał o największej obawie Paintera: że oba ataki zostały przeprowadzone przez jakieś chińskie ugrupowanie i że gdy porywacze znajdą się na łodzi stałym, ocalenie Marii, Kowalskiego i goryla może się w najlepszym razie okazać problematyczne.

W najgorszym niemożliwe.

Lena zwróciła uwagę na jeszcze jedną niesprzyjającą okoliczność.

– Te opaski działają przez mniej więcej dzień. Jeśli baterie się wyczerpią, zanim ci ludzie wylądują, w ogóle nie będzie można ich namierzyć.

Gray rozsiadł się na ławce przy stole. Painter nie wspomniał o tym szczególe.

Zakładając, że w ogóle o tym wiedział.

Tak czy inaczej, niewiele można było zrobić. Dyrektor Sigmy zlecił mu dostarczyć Lenę bezpiecznie do Stanów. Oczekiwali instrukcji dotyczących tej podróży.

– Co z profesorem Wrightsonem i doktorem Arnaudem? – spytała.

Pokręcił głową. Jeśli brytyjski geolog i francuski paleontolog wciąż żyli, to najprawdopodobniej dawno już ich zabrano z tego terenu. Jego priorytetem było przyciąć się i ukrywać ocalenie Leny, dopóki nie udałoby się jej stąd wyciągnąć. Dopomagał w tym ojciec Novak, który, gdy tylko dotarli do miasta, zaoferował im schronienie

w swoim kościele, gdzie mogli się zaszyć na resztę nocy. Udało im się kilka godzin przespać na pryzkach znajdujących się w niewielkim pomieszczeniu na tyłach, ale do świtu została tylko godzina.

Niebawem znów mieli wyruszyć.

Słyszając szuranie butów, Gray skupił uwagę na drzwiach kuchni. Pojawił się w nich ojciec Novak, dźwigając pod pachą wielką księgę o rozmiarach atlasu. W drugiej dłoni trzymał mniejszą książkę, a także prostokątną metalową płytkę. Młody ksiądz był wymizerowany, miał wory pod zaczerwienionymi oczami. Wydawało się, że w ogóle nie zmrużył oka. Mimo wszystko drżał z podniecenia.

– Powinniście wszyscy to zobaczyć – rzucił, podchodząc do stołu i pociągając za sobą Seichan.

Położył na blacie większy wolumin, na którego skórzanej oprawie wytłoczono pozłacanymi literami tytuł: *Mundus Subterraneus*.

– To egzemplarz dzieła ojca Atanazego Kirchera, wydane w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym – wyjaśnił, a potem położył obok znacznie mniejszą książkę. – A to znaleźliśmy w tej drugiej jaskini. Dziennik, który należał do duchownego, jak sądzę.

Gray spoglądał na labirynt wytłoczony na oprawie.



Wcześniej Roland i Lena opisali to, co odkryli w jaskiniach pod górami: gotycką kaplicę z zachowanymi szczątkami neandertalskiego mężczyzny, którego kości zostały później zrabowane przez napastników. Wyglądało na to, że kaplica miała

jakiś historyczny związek z Atanazym Kircherem, siedemnastowiecznym jezuickim duchownym, który być może zabrał inne kości, należące najprawdopodobniej do neandertalskiej kobiety.

Roland poświęcił zapewne kilka ostatnich godzin na badanie tego tropu. Pasja księdza – nie wspominając już o harcie ducha, jakim się wykazał w obliczu niebezpieczeństwa – przypominała Grayowi młodsze wcielenie jego drogiego przyjaciela, innego watykańskiego księdza, który zginął, poszukując prawd z przeszłości.

Przydałaby mi się teraz twoja rada, Vigor, pomyślał.

Pełen szacunku dla tego wspomnienia, Gray słuchał słów Rolanda.

– Niestety, cokolwiek zapisano w tym dzienniku, uległo przez wieki zniszczeniu – powiedział ksiądz. – Pozostało jedynie kilka tropów i wskazówek.

– Jak klucz, który znaleźliśmy – dodała Lena.

Wyjęła z kieszeni duży klucz i położyła go na stole. Pomimo patyny czasu, można było bez trudu dostrzec cherubina i łuk czaszek.

Roland skinął głową.

– Nie mam pojęcia, do jakiego zamka ten klucz pasuje, ale postanowiłem zbadać najpierw oczywisty ślad. – Przesunął palcem po zewnętrznej krawędzi labiryntu widniejącego na oprawie księgi. – Wydawało mi się, że wygląda znajomo. Sądzę, że jest to rysunek labiryntu ze starożytnej Krety, gdzie według mitologii uwięziony był niesławny Minotaur. Spójrzcie na to. – Duchowny wyjął spomiędzy stronic większej księgi szarą kopertę i wysunął z niej kartkę, na której widniała podobizna starej srebrnej monety. – Była bita w Knossos, stolicy Krety.

Gray porównał labirynt na monecie z labiryntem na oprawie księgi.





– Są niemal identyczne.

– A z moich badań wynika, że tego rodzaju budowle charakterystyczne są nie tylko dla Krety. Na całym świecie spotyka się wyryte w kamieniu petroglify przedstawiające ten wzór. We Włoszech, w Hiszpanii, Irlandii, nawet daleko na północy, w Finlandii. I nie chodzi w tym przypadku wyłącznie o petroglify. Starożytny hinduski epos sanskrycki Mahabharata opisuje szlak bitewny zwany padmavyuha, oparty na tym samym wzorze.

– Interesujące. – Lena przysunęła do oczu zdjęcie monety. – Najwyraźniej pradawne ludy świata dzieliły się zasadniczą wiedzą o tym kształcie i włączały go do swojej mitologii. Na Krecie było to siedlisko Minotaura. W Indiach szlak bitewny.

– Niewykluczone, że przedstawia jakieś rzeczywiste miejsce. – Roland spoglądał na oprawę dziennika. – Tak czy inaczej, sądzę, że wzór ten musiał być bardzo ważny, skoro ojciec Kircher postanowił umieścić go w tak eksponowanym miejscu. Wyszukałem więc inne przykłady świadczące o zainteresowaniu autora tymi labiryntami. I znalazłem ich wiele w tym tomie. – Położył dłoń na wielkim egzemplarzu Mundus Subterraneus.

Seichan usiadła obok Leny.

– Kim właściwie był ten ksiądz? Nigdy o nim nie słyszałam.

Roland uśmiechnął się, podnosząc oprawę większej książki. Gray wiedział, że duchowny został wysłany na stanowisko archeologiczne ze względu na swoją rozległą wiedzę dotyczącą jezuitów. Jeśli

ktokolwiek mógł zrozumieć, jak to wszystko ze sobą powiązać, to właśnie ten człowiek.

Roland, wertując kartki, zatrzymał się przy portrecie mężczyzny w sutannie i spiczastej czapce.



P. ATHANASIVS KIRCHERVS FVL.DENSIS

ē Societ: Iesu Anno ætatis LIII.

*Honoris et observantia: ego sculpsit et D.D. C. Bloemaert Romæ 2. May A. 1655.*

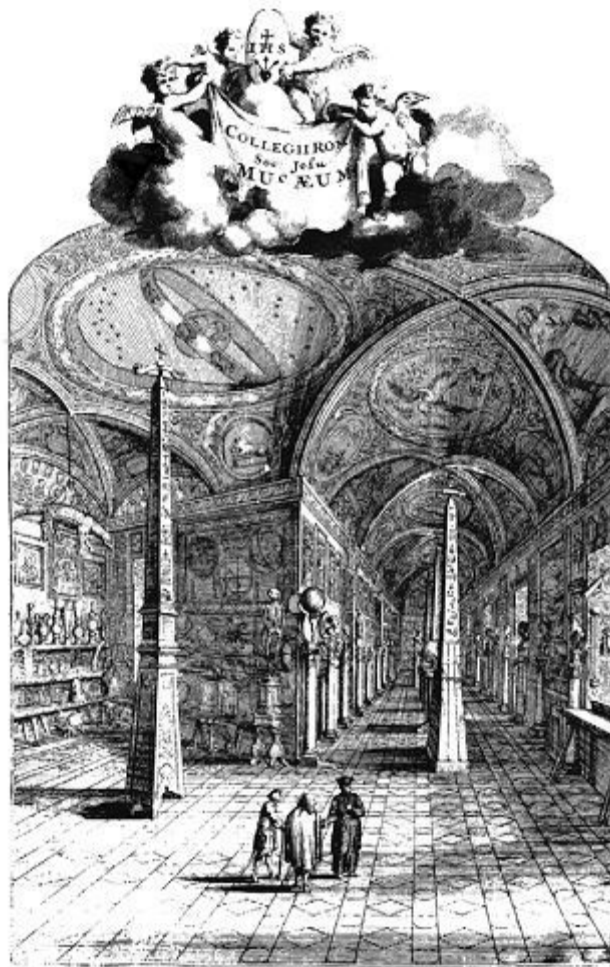
– Ojciec Kircher uchodził za Leonarda da Vinci swojego czasu. – W jego głosie pobrzmiewał pełen powagi szacunek. – Był prawdziwym człowiekiem renesansu, przejawiającym żywe zainteresowanie wieloma dziedzinami: biologią, medycyną, geologią, kartografią, optyką, nawet inżynierią. Ale jedną z jego największych pasji były języki. Jako pierwszy uświadomił sobie, że istnieje bezpośredni związek między starożytnymi językami egipskimi a współczesnymi językami koptyjskimi, którymi ludzie posługują się współcześnie. W opinii wielu naukowców Kircher był prawdziwym prekursorem egiptologii. Co więcej, stworzył wielkie dzieła na temat egipskich hieroglifów. Pod koniec życia nabrał przekonania, że stanowią one zaginiony język Adama i Ewy, i nawet

zaczął rzeźbić własne hieroglify w egipskich obeliskach, które można znaleźć w Rzymie.

Gray poczuł, jak rodzi się w nim głębokie zainteresowanie tym człowiekiem. Przyglądał się jego obliczu na rycinie, pełnym zamyślenia oczom i przez chwilę powracał pamięcią do swego starego przyjaciela monsignora Vigora Verony. Ci dwaj ludzie, choć ich żywoty dzieliły wieki, mogliby być braćmi – i niewykluczone, że pod pewnymi względami byli. Obaj nosili sutannę i próbowali zrozumieć boże dzieło stworzenia nie tylko za sprawą Biblii, ale też poprzez studiowanie świata naturalnego.

– Ojciec Kircher założył w końcu muzeum na watykańskiej uczelni, gdzie wykładał i studiował – mówił dalej Roland. – Muzeum Kircherianum mieściło w swych murach ogromny zbiór antyków, bogatą bibliotekę i kilka jego własnych wynalazków. By dać wam pojęcie o rozległości tego przedsięwzięcia i roli, jaką ten człowiek odgrywał w swoich czasach... oto rycina przedstawiająca wnętrze wspomnianego muzeum.

Roland sięgnął ponownie do szarej koperty i wyjął z niej następną kartkę.



Gray przyjrzał się z uwagą rycinie ukazującej ogromną i zwieńczoną kopułą przestrzeń mieszczącą dzieło życia jednego człowieka. Musiał przyznać, że wygląda imponująco.

Seichan nie wydawała się równie poruszona.

– Więc jak ten jezuicki duchowny trafił w odległe góry Chorwacji?

Roland pokręcił nieznacznie głową.

– Tak naprawdę nikt nie wiedział, że tu był. Jak ustaliłem podczas zbierania materiałów do pracy doktorskiej na temat ojca Kirchera, przybył do Zagrzebia wiosną roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego dziewiątego, by nadzorować wznoszenie fortyfikacji miejscowej katedry.

Gray przypomniał sobie wysokie gotyckie wieże, które zauważył po drodze. Nie sposób było ich nie dostrzec, skoro stanowiły najwyższe budowle tego miasta.

– Wobec istniejącej wówczas groźby najazdu otomańskiego wokół katedry wzniesiono masywne mury – wyjaśnił Roland. – Ojciec Kircher został wezwany osobiście przez świętego cesarza

rzymskiego Leopolda Pierwszego. Miał dopomóc w budowie wieży strażniczej znajdującej się od południowej strony i pomyślanej jako punkt obserwacyjny. W trakcie badań znalazłem jednak wiele nieścisłości dotyczących tej historii, dowodów na to, że wielbny ojciec zniknął na całe tygodnie. Pośród miejscowej ludności krążyły plotki, że cesarz być może wezwał Kirchera z innego powodu i że ta historia z wieżą stanowiła jedynie kamuflaż dla jakiegoś innego, tajemniczego celu.

– Celu, który nie musi być już żadnym sekretem – wtrącił Gray, wskazując głową dziennik. – Ale nawet jeśli ktoś znalazł tę jaskinię pełną kości i malowideł, to po co cesarz miałby prosić o przybycie ojca Kirchera?

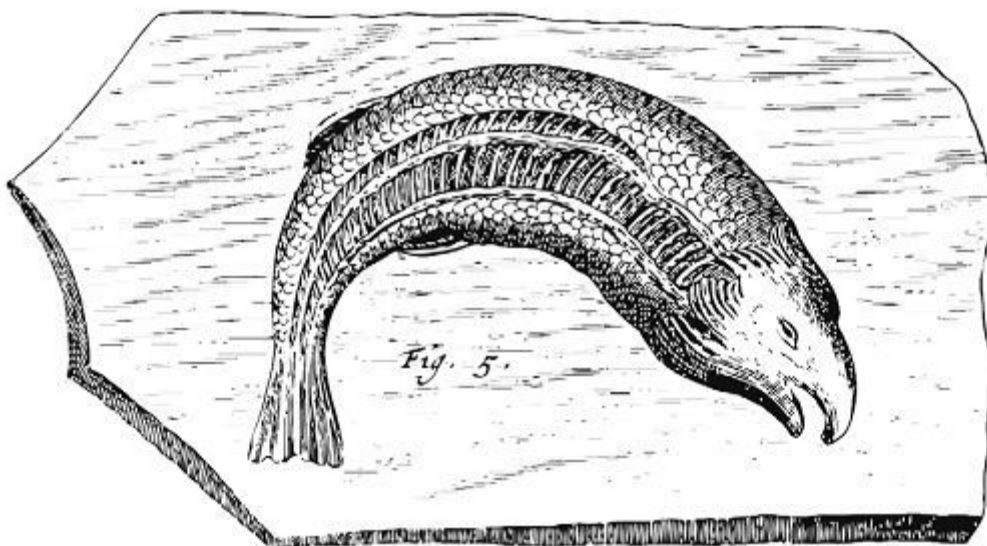
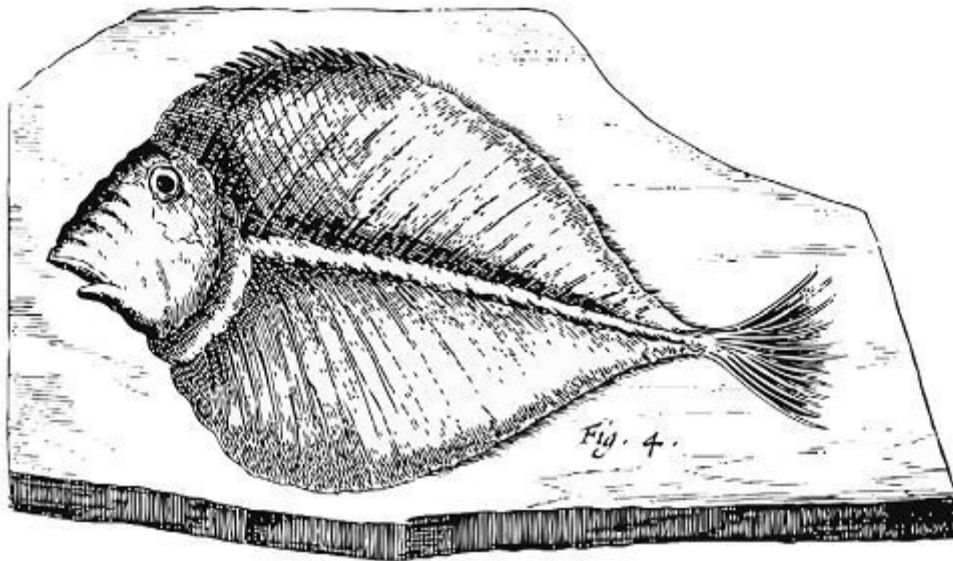
– Nie wiem z całą pewnością, ale duchowny znany był ze swego zainteresowania skamielinami i szczątkami pradawnych ludzi – odparł Roland, wertując stronicę swego egzemplarza *Mundus Subterraneus*. – Dzieło ojca Kirchera dotyczy każdego aspektu życia ziemskiego, od geologii i geografii po chemię i fizykę. Inspiracją tego przedsięwzięcia była wyprawa na Wezuwiusza, krótko po jego erupcji w roku tysiąc sześćset trzydziestym siódmym. Wykorzystał nawet liny, by opuścić się w głąb dymiącego krateru i lepiej zrozumieć zjawisko wulkanizmu.

Facet oddawał się swojej pracy całym sercem, musiał przyznać Gray.

– Kircher doszedł do przekonania, że pod powierzchnią ziemi kryje się rozległa sieć tuneli, źródła i zbiorniki wodne wielkości oceanów. Badając ten podziemny świat, zgromadził tysiące skamielin i udokumentował wszystko, co udało mu się znaleźć. – Ksiądz zatrzymał się na stronie przedstawiającej rysunki kopalnych ryb.

# DE LAPIDIBUS.

T A B. Altera,  
*Piscium figuras exprimens.*



– Jest tu mnóstwo stronic przedstawiających takie ryciny – dodał.  
– Lecz ojciec Kircher odkrył też jaskinie w północnych Włoszech, gdzie znalazł ogromne kości. Były to szczątki mamucich nóg, ale on uznał błędnie, że należały do gatunku olbrzymów, którzy zamieszkiwali ziemię wraz z ludźmi.

Roland przewrócił kartkę, żeby pokazać, jak Kircher próbował odtworzyć wygląd owych mistycznych gigantów i przedstawić ich w porównaniu z normalnymi ludźmi.



Musiał dostrzec pełen rozbawienia sceptycyzm na ich twarzach i uśmiechnął się nieznacznie.

– Przyznaję, Kircher doszedł do dość dziwnych wniosków, ale powinniście rozumieć, że był człowiekiem swoich czasów, próbującym pojąć świat za pomocą narzędzi i wiedzy dostępnych w jego epoce. Mundus Subterraneus zawiera wiele takich fantastycznych spekulacji, począwszy od pradawnych potworów, a skończywszy na zaginionym lądzie Atlantydy.

Gray, który dotąd pochylał się nad stołem, wyprostował się, by ulżyć plecom. Tracił z wolna cierpliwość.

– Co to wszystko ma wspólnego z tajemnicą tej jaskini?

Ksiądz nie wydawał się w najmniejszym stopniu zmieszany tym pytaniem.

– Wiem, dlaczego ojca Kirchera sprowadzono w te góry.

Komandor przyjrzał mu się uważniej, dostrzegając błysk podniecenia w jego oczach.

Roland sięgnął po metalową płytkę leżącą na stole i obrócił ją. Jej srebrzysta powierzchnia wyglądała na świeżo oczyszczoną.

– Ta tabliczka była przytwierdzona do zewnętrznej ściany skalnej kaplicy.

Gray zauważył łacińskie wersy wyryte w metalu i szereg symboli wzdłuż dolnej krawędzi.

– Potrafił ksiądz to przetłumaczyć?

Roland skinął głową.

– Przesłanie to z grubsza przestroga, by nie wkraczać do tych jaskiń. To zbrodnia karana śmiercią.

– Dlaczego? – spytała Seichan. – Czego według niego strzegły?

Ksiądz przesunął kciukiem pod linijką łacińskiego tekstu i przetłumaczył ją głośno.

– Tutaj spoczywają kości Adama, ojca rodzaju ludzkiego. Niechaj nikt nie zakłóci mu snu wiecznego... – zaczerpnął tchu i dokończył: – ...by nie nastąpił koniec świata.

Godzina 6.14

Lena, słysząc te słowa, poczuła dreszcz. Ona też spoglądała na otwarty tom *Mundus Subterraneus*, na stronę przedstawiającą pradawnego giganta, i przypominała sobie taniec cieni na ścianach jaskini. Mroczne postaci wznoszące się ponad stadami namalowanych zwierząt wydawały się ogromne.

Taniec cieni rzucanych jakby przez olbrzymów Kirchera.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Graya:

– Dlaczego Kircher wierzył, że te kości neandertalczyka to szczątki Adama?



– Najpewniej się mylił, jak w przypadku kości mamutów. – Roland wzruszył ramionami. – Może wysnuł taki nieprawdopodobny wniosek na podstawie wieku kości. A może chodziło o coś innego, co znalazł. Były te dziwne petroglify, te odciski dłoni w kształcie gwiazdy... – Popatrzył na Lenę, szukając wzrokiem wsparcia.

Pokręciła głową, niezdolna do jakiegokolwiek wyjaśnienia, ale przypomniała sobie o innej tajemnicy.

– A te drugie szczątki, te, które ojciec Kircher być może stamtąd zabrał? Uważał, że należą do Ewy?

– Możliwe – przyznał Roland. – Ale nic tu nie napisano o tych brakujących kościach.

– Zakładając, że Kircher wierzył, że chodzi o szczątki Ewy, to dlaczego je zabrał? – nie dawała za wygraną. – Dlaczego nie pozostawił ich w miejscu wiecznego spoczynku, jak kości Adama?

– Nie wiem. – Roland zmarszczył czoło. – Przynajmniej na razie. Seichan postukała w znak u dołu metalowej tabliczki.

– A ta linia symboli?

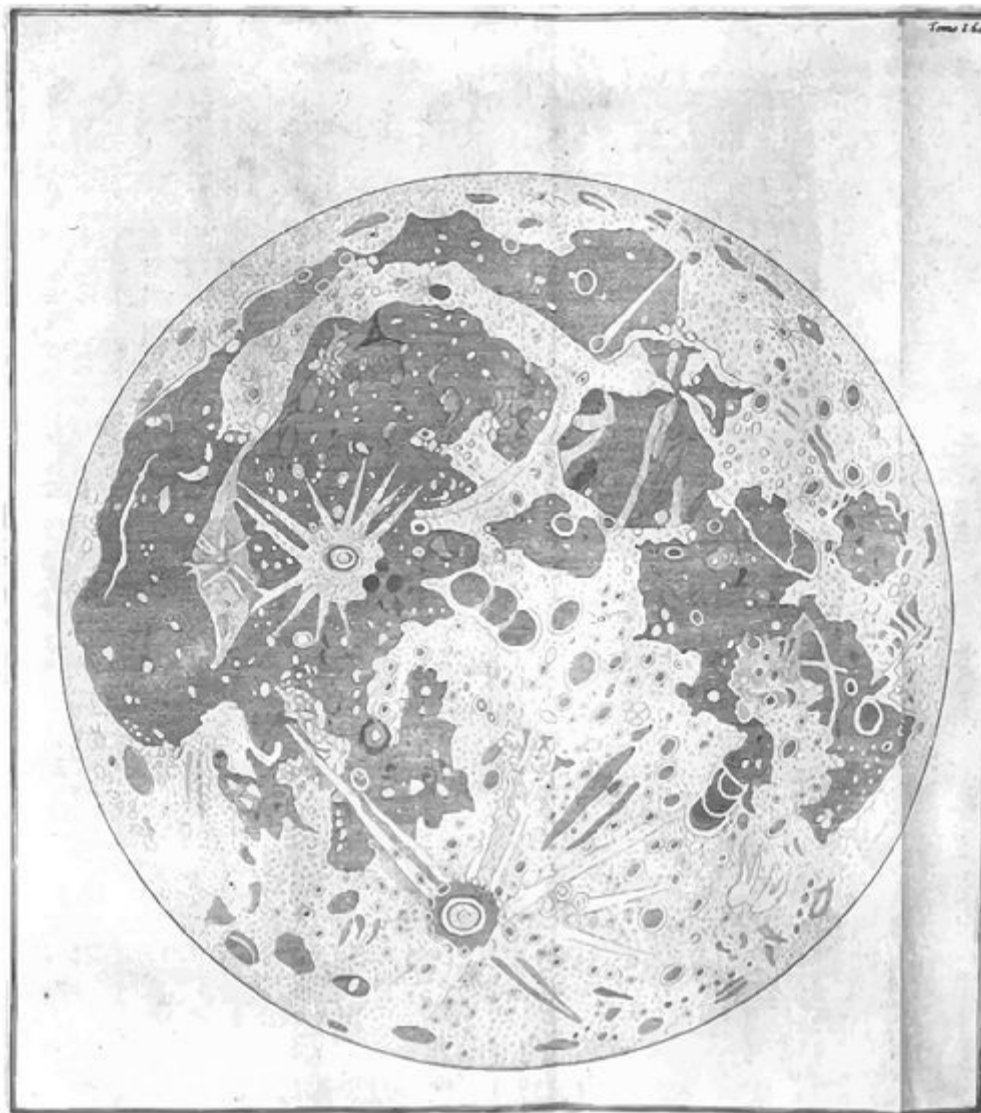


Lena też zauważyła niewyraźny rząd maleńkich kółek, w różnym stopniu cieniowanych, wzdłuż całej jego długości.

– Wyglądają jak fazy Księżyca. Jest ich dwadzieścia osiem... to liczba pełnego cyklu lunarnego.

– Myślę, że doktor Crandall ma rację – przyznał Roland. – Wiem, że ojciec Kircher z czasem uległ obsesji, jaką stał się dla niego Księżyc. Uważał, że ma on zasadnicze znaczenie nie tylko dla funkcjonowania Ziemi, chociażby w przypadku pływów, ale też dla istnienia ludzkości. Posługiwał się teleskopami, żeby stworzyć jego mapy, z których wiele znajdziecie w Mundus Subterraneus.

Jakby na potwierdzenie tych słów, ksiądz przewertował kilka kartek, aż natrafił na odręczny rysunek powierzchni Księżyca.



Stopień osiągniętej w tamtej epoce szczegółowości – kratery, góry, wyschnięte morza – robił wrażenie. Lena przyłapała się na tym, że odczuwa podziw dla dzieła tego duchownego i jednocześnie lekceważenie wobec jego bardziej fantastycznych hipotez.

Gray nie odrywał wzroku od drugiej książki.

– Kircher próbował coś najwyraźniej przekazać, zostawiając ten dziennik w jaskini pełnej naturalnych formacji – powiedział.

Lena musiała się z tym zgodzić, przypominając sobie wnęki w jaskini pokryte wyźłobieniami i wzgórkami kalcytu. Ujrzała w myślach połamane kawałki w miejscu, w którym była ukryta książka.

– Ojciec Kircher nie zabrał jedynie tych kości – wyraziła głośno swe przypuszczenie. – Z drugiej jaskini też wziął jakiś przedmiot, a w jego miejscu zostawił swój dziennik. Niczym okruchy chleba dla przyszłego odkrywcy.

– Ale co to znaczy? – spytał Gray.

Wiedząc, w jakim stanie znajdował się dziennik, pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Jakiegokolwiek przesłanie zamierzał przekazać, zatarło się już dawno temu. – Dotknęła klucza leżącego na stole. – Ale mogę się założyć, że miało nas naprowadzić na to, co otwiera ten klucz.

Gray wciąż wpatrywał się w dziennik. Lena mogła niemal dostrzec w jego niebieskich oczach burzę myśli. W końcu wyciągnął rękę i położył palec na dacie widniejącej pod labiryntem.

– Tysiąc sześćset siedemdziesiąty dziewiąty – przeczytał głośno, po czym zwrócił się do Rolanda. – Czy ksiądz nie powiedział, że ojciec Kircher został wezwany do Zagrzebia w tysiąc sześćset sześćdziesiątym dziewiątym?

Roland stanął obok Graya.

– To prawda – przyznał. – Sam powinienem był zauważyć tę niezgodność. Oznacza, że Kircher musiał powrócić do tych jaskiń dziesięć lat później. I zostawić tę książkę wraz z kluczem.

– Dlaczego? – spytała Lena.

Ksiądz popatrzył na nich.

– Nie wiem, ale następnego roku umarł. Może, jak powiedziałaś, chciał przed śmiercią przekazać potomnym jakąś wiadomość.

Wzięła do ręki klucz; wyczuwała jego ciężar, wytartą stal obarczoną brzmieniem wieków. Co ten klucz otwierał? Co ów Leonardo da Vinci swych czasów ukrył?

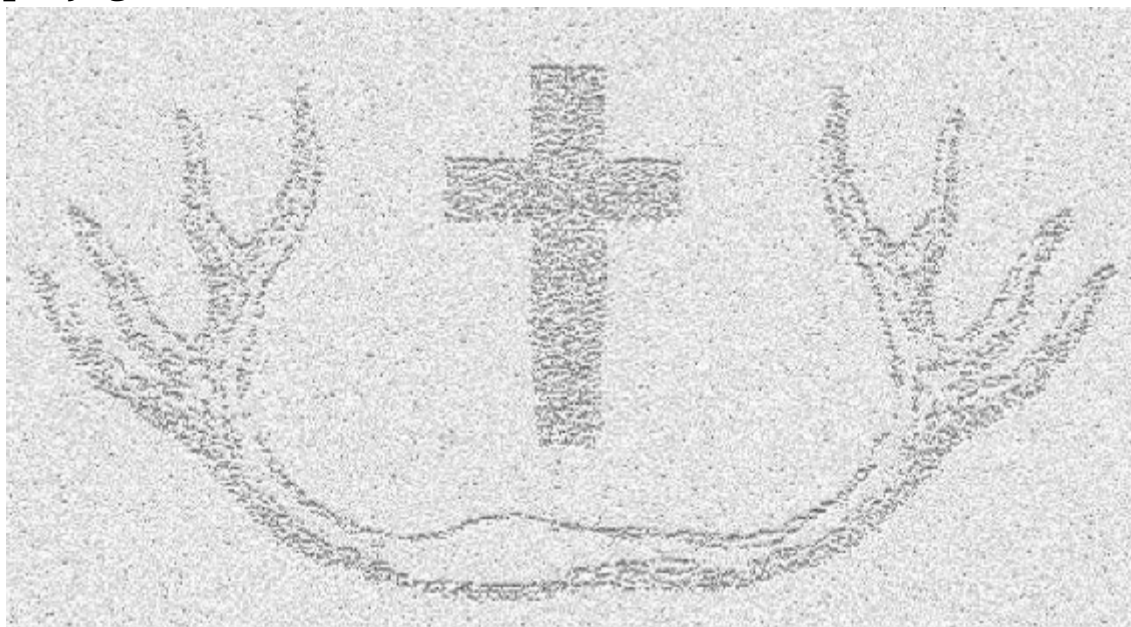
Gray wziął dziennik do ręki i otworzył go ostrożnie, a potem przyjrzał się plikowi zbutwiałych kartek, które kiedyś zawierały słowa tajemniczego księdza. Przyglądał się z uwagą odciskowi klucza, potem obejrzał okładki po wewnętrznej stronie. Nagle ściągnął usta. Przysunął się do ognia i zbliżył książkę do płomieni – nie po to, by ją spalić, tylko lepiej widzieć.

– Coś tutaj wytłoczono – rzucił. – Ledwie to widać.

Roland wraz z Leną spojrzeli mu przez ramię.

– Ma rację – mruknęła, wpatrzona zmrużonymi oczami w wypłowiały wizerunek krzyża i, jak się zdawało, dwa unoszące się

skrzydła po jego bokach.



Seichan doszła do innego wniosku.

– Czy to, co widnieje pod krzyżem, to płomień?

Roland cofnął się o krok.

– Nie, nie płomień. To rogi.

Rogi?

Spojrzał na nich szeroko otwartymi oczami.

– Wiem, dokąd chce nas zaprowadzić ojciec Kircher.

Godzina 6.33

Gray patrzył, jak Roland porzuca obie książki i pradawne przesłania, po czym zmierza w stronę lodówki. Wyjął z niej butelkę schłodzonego alkoholu, znów podszedł do stołu i postawił naczynie obok starych woluminów, klucza i tajemniczych informacji łacińskich.

Seichan sięgnęła po zieloną butelkę i przechyliła ją, by odczytać niemiecki napis na etykiecie.

– Jägermeister? Jeśli zamierzamy to uczcić, to dlaczego nie otworzymy butelki wina mszalnego?

– Monsignor lubi łyknąć przed snem kieliszeczek albo dwa – wyjaśnił Roland. – Ten trunek jest w Chorwacji bardzo popularny. Ale nie dlatego go wam pokazuję.

Obrócił butelkę tak, aby Gray mógł spojrzeć na etykietę, jakby sprawa była oczywista.

Gray nachylił się i od razu zrozumiał.

– Symbol...

Na butelce widniał znak firmowy: jeleń o szerokich rogach, które otaczały promieniujący krzyż.



– Według firmy produkującej ten trunek symbol przedstawia świętego Huberta, patrona myśliwych – wyjaśnił ksiądz. – Jägermeister nazywano niemieckich leśniczych i gajowych. Stąd związek z tym napojem.

– Ale co to ma wspólnego z ojcem Kircherem? – spytała Lena.  
Roland podniósł dłoń, prosząc o cierpliwość.

– Historia świętego Huberta wiąże się z wizją, jaką miał podczas polowania. Ukazał mu się wspaniały jeleń ze złotym krzyżem między rogami, lecz wielu katolickich uczonych łączy tę opowieść z postacią świętego, który żył pół tysiąca lat wcześniej, ze świętym Eustachym. Według legendy pewien rzymski generał imieniem Placidus polował

w okolicach Rzymu na jelenia, gdy miał podobną wizję, po czym od razu przeszedł na chrześcijaństwo, przybierając imię Eustachy.

– Jaki ma to jednak związek z tym wszystkim? – spytał nieustępliwie Gray.

– W późniejszych latach życia, kiedy wiek i zniedołężnienie zaczęły mu doskwierać, Kircher przeniósł się na włoską prowincję, gdzie podczas swych wędrówek odkrył ruiny niewielkiego kościoła nad doliną Giovenzano, sanktuarium na Mentorelli. Zostało wzniesione przez cesarza Konstantyna na cześć świętego Eustachego.

Gray spojrział na butelkę z trunkiem i etykietę.

Na cześć patrona myśliwych...

– Po odkryciu tego zapomnianego kościółka znajdującego się na odludziu – ciągnął ksiądz – Kircher postanowił go odbudować. Zgromadził fundusze i zaczął nadzorować rekonstrukcję. Mówi się, że był niezwykle aktywny, asystował przy pracach inżynierskich i czuwał troskliwie nad samą rekonstrukcją.

– Sądzi ksiądz, że mógł coś tam ukryć – domyślił się Gray.

– Według źródeł historycznych miejsce to stało się jego obsesją. Spędził tam ostatnie lata życia. Nalegał nawet, by pochowano go w tym sanktuarium.

– I został tam pogrzebany? – spytała Lena.

– O dziwo, tylko jego serce. – Roland rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy pojęli znaczenie jego słów. – Nawet ówczesny papież, Innocenty Trzynasty, poprosił, by tam spoczęło.

Najwidoczniej przywiązywano wagę do tego miejsca.

Gray wziął do ręki stary klucz leżący na stole i przesunął kciukiem po półkolu czaszek, przypominając sobie kości skradzione przez ojca Kirchera.

Nazwałbym go bez wahania kluczem do szkieletu.

– Warto tam zajrzeć – przyznała Seichan, a on dostrzegł w jej twarzy błysk pragnienia, by znów ruszyć w drogę, zamiast siedzieć

tu i czekać na instrukcje. – Możemy dostać się do Rzymu w niespełna dwie godziny.

Kusiło go – i nie tylko jego.

– Jestem gotów jechać – oznajmił Roland, co nie wzbudziło zdziwienia. – Przyda się wam moja fachowa wiedza.

– Ja też jadę – powiedziała Lena, co z kolei wzbudziło zdziwienie.

Gray miał zamiar się sprzeciwić, ona jednak stanęła przy kominku, wyraźnie zdecydowana.

– Ktoś ukradł z jaskini te kości – powiedziała. – I wiemy wszyscy, że nie z powodu czarnorynkowej ceny takich szczątków. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę koordynację obu ataków tutaj i niedaleko Atlanty. – Pomyślała o siostrze i jej głos załamał się na chwilę, nie dawała jednak za wygraną. – Te kości muszą mieć jakieś genetyczne znaczenie. Przyglądałam się im tylko przez moment, ale dostrzegłam coś szczególnego w budowie czaszki. Gdybym mogła się lepiej przyjrzeć...

– Ma rację. – Roland przysunął się do niej, jakby chciał ją wesprzeć nie tylko słowami, ale też fizyczną bliskością. – Gdybyśmy się dowiedzieli, dokąd ojciec Kircher zabrał kości, moglibyśmy poznać powód tego ataku. Uważam, że odkrył coś znaczącego w tych jaskiniach, i może będziemy potrzebowali kogoś, kto orientuje się w kwestii neandertalczyków i pradawnych ludzi, by dojść do tego, co to było.

– Oboje mają rację. – Seichan wzruszyła ramionami. – Coś nam w tym wszystkim umyka. Zresztą i tak niewiele możemy zrobić, by dopomóc Painterowi w tej operacji w Chinach.

Gray nie chciał ustąpić, nawet jeśli był w mniejszości. Miał za zadanie strzec Leny.

Domyśliła się, o co mu chodzi.

– Nikt by nie podejrzewał, że wyjadę do Rzymu – oznajmiła z naciskiem. Jej oczy zdradzały niecierpliwość i determinację, tak jak oczy Seichan. – Poza tym nie zamierzam siedzieć beczynnym w sytuacji, kiedy Marii wciąż grozi niebezpieczeństwo.

Nim zdążył odpowiedzieć, odezwał się jego telefon satelitarny, wydając znajomy dźwięk, który oznaczał rozkaz Sigmy. Odebrał i usłyszał głos Paintera Crowe'a:

– Komandorze Pierce, właśnie załatwiłem wam wyjazd. Dzięki naszemu człowiekowi w chorwackich siłach powietrznych wejdziecie na pokład transportowca lecącego do...

Gray przerwał dyrektorowi, patrząc na grupę ludzi, którzy stali przy kominku.

– Nastąpiła zmiana planów...

Godzina 7.22

Mężczyzna siedział w niewielkiej kawiarni i trzymał przed sobą złożony egzemplarz gazety, lecz wzrok miał wbity w okno. Po drugiej stronie placu Świętej Katarzyny wznosił się barokowy kościół pod tym samym wezwaniem; jego biała fasada lśniła w porannym słońcu. Była to jedna z wielu świątyń katolickich w tym niezwykle religijnym mieście. Nawet stąd można było dostrzec bliźniacze wieże gotyckiej katedry, sięgające jasnego nieba.

Trzymali tam wartę dwaj ludzie, inni zaś przebywali na lotnisku międzynarodowym i na miejskim dworcu.

Obserwowano te miejsca kultu katolickiego z powodu informacji, że w grupie, która poprzedniego dnia weszła do jaskiń, znajdował się ksiądz. Nie było wiadomo, czy mężczyzna i Amerykanka wydostali się z tych gór, ale Zhôngxiro Sun upierał się stanowczo przy tym, by obstawić stolicę i szukać jakiegokolwiek śladu uciekinierów.

Nie miał pretensji o te rozkazy. Czuł we wnętrzościach pałacy ogień, przypominając sobie swych towarzyszy, którzy zginęli w górach. Ich przelana krew domagała się zemsty.

Jakiś ruch odciągnął jego uwagę od kościoła ku sąsiedniej galerii sztuki. Było jeszcze zbyt wcześnie, by ją otwierać. Dowiedział się z



przewodnika turystycznego, że Klovićevi Dvori był niegdyś klasztorem służącym kościołowi Świętej Katarzyny. Chwilę wcześniej obok wejścia zaparkował czarny sedan. Jego silnik był na chodzie, z rury wydechowej dobywały się spaliny.

Po chwili w drzwiach galerii ukazała się czteroosobowa grupa, która pospieszyła do czekającego samochodu. Dostrzegł pośród nich kobietę, jasne włosy kontrastowały z ciemnym ubraniem. Gdy otworzyły się drzwi po stronie pasażera, zauważył w środku kierowcę w mundurze chorwackich sił powietrznych.

Na ten widok zabiło mu żywiej serce; był już pewien.

Podniósł gazetę, wziął ze stolika komórkę i przyłożył ją do ucha, wciskając jeden klawisz. Gdy tylko uzyskał połączenie, powiedział:

– Zhôngxió Sun... znalazłem ich.

Przestrzeń powietrzna nad Morzem Wschodniochińskim  
30 kwietnia, godzina 14.05 czasu miejscowego

Steward pochylił się, w rękach trzymał tacę z parującymi serwetkami zwiniętymi starannie w rożki.

– Za niecałą godzinę lądujemy w Pekinie. Może ma pan ochotę się odświeżyć?

Monk wziął jedną z serwetek, wyczuwając palcami protezy wilgotne ciepło.

– Dziękuję.

– A pańska żona? – Steward podsunął kobiecie tacę.

Monk zwrócił się do swej towarzyszki.

– Moja droga?

– Búyíó xiǎxie – odmówiła grzecznie kobieta, machając ręką.

Gdy mężczyzna się oddalił, Monk otarł twarz parującym materiałem, by pozbyć się zmęczenia.

– Tak zazwyczaj podróżujesz? – spytała kobieta z uśmiechem, obrzucając go spojrzeniem ciemnych oczu i odsuwając sprzed ładnej twarzy w kształcie serca włosy o hebanowej barwie. – Jeśli tak, to może ponownie rozważę propozycję Kat. Namawiała mnie, żebym wstąpiła do waszej agencji.

Wzruszył ramionami.

– Niestety, zazwyczaj podróżujemy skrupowani w bagażniku samochodu.

Kimberly Moy była w tym samym wieku co on, ale dzięki urodzie wydawała się znacznie młodsza, co – biorąc pod uwagę ich

małżeński kamuflaż – specjalnie nie pomagało.

Mimo wszystko długa podróż była znacznie znośniejsza.

Przykro mi, Kat, pomyślał Monk.

Jego prawdziwa żona przebywała w Waszyngtonie, w siedzibie Sigmy, koordynując działania wraz z dyrektorem Crowe'em. To właśnie ona zarekomendowała Kimberly Moy do tej operacji. Przyjaźniły się podczas studiów w Amerykańskiej Akademii Marynarki Wojennej. Kimberly wstąpiła ostatecznie do kontrwywiadu wojskowego, ale obie wciąż były bliskimi sojuszniczkami w tajnym świecie bezpieczeństwa USA. Kat ręczyła za umiejętności przyjaciółki, która prócz biegłej znajomości każdego dialektu Chin kontynentalnych potrafiła posługiwać się po mistrzowsku karabinem snajperskim i miała doświadczenie w walce wręcz, przewyższając pod tym względem wielu mężczyzn w agencji.

Teraz odchyliła oparcie fotela.

– Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Znajdowali się na pokładzie boeinga 757, przerobionego na maszynę pierwszej klasy z zaledwie pięćdziesięcioma dwoma fotelami, z których ledwie połowa była w tej chwili zajęta. Plan trasy tego niby-prywatnego samolotu obejmował osiem krajów w ciągu dwudziestu czterech dni. Kat załatwiła im lot z Tokio do Pekinu; odgrywali bogatą amerykańską parę w podróży dookoła świata.

Na razie mieli tył kabiny pasażerów wyłącznie dla siebie.

Monk wpatrywał się w swój telefon satelitarny, na którego ekranie widniała mapa chińskiego wybrzeża. Painter przekazywał mu stale najświeższe dane z GPS-u zamontowanego w nadajniku, który Baako nosił na nadgarstku. Wyglądało na to, że sygnał napływa stale ze stolicy Chin, ale wciąż prowadzili obserwację, by sprawdzić, czy to się nie zmieni.

Monk i Kimberly odgrywali rolę grupy rozpoznawczej; jej zadaniem było zlokalizowanie miejsca, do którego porywacze mogli zabrać Marię, Kowalskiego i Baako. Oddział uderzeniowy był już w drodze, podążając ich śladem; jego członkowie przemieszczali się

różnymi trasami. Potem mieli czekać na rozkaz, by zebrać się w wyznaczonym punkcie i przystąpić do akcji ratunkowej.

Monk zauważył, że jego telefon znów wibruje, co oznaczało nową wiadomość od dyrektora. Przebiegając ją wzrokiem, zaczął sobie uświadamiać zakres czekającego ich wyzwania. Sigma dowiedziała się, że zasadzkę w ośrodku badań nad naczelnymi zorganizowała doktor Amy Wu z National Science Foundation. Wszystko wskazywało na to, że była chińską wtyczką w NSF i że zdołała przeniknąć do samej rady naukowej Białego Domu.

Motywacja kryjąca się za tą zdradą pozostawała jak dotąd niejasna. Amy Wu była Amerykanką w czwartym pokoleniu i raczej nie uległaby łatwo chińskiej ideologii. Nawet analiza jej przeszłości i korespondencji nie dowiodła jakichkolwiek sympatii wobec komunizmu. Mimo wszystko udało się odkryć strumień pieniędzy płynących z Pekinu na konto Wu, przeznaczonych na różne projekty naukowe.

Podał telefon Kimberly, by mogła zapoznać się z raportem. Po chwili oddała mu komórkę.

– Od dziesiątków lat monitorujemy chińską aktywność w USA – oznajmiła cicho, choć najbliżsi pasażerowie siedzieli trzy rzędy dalej ze słuchawkami na uszach, zajęci rozrywką dostarczaną przez linie lotnicze. – Infiltracja ich szpiegów i wtyczek wykracza znacznie poza działania hakerskie, o których można się dowiedzieć w mediach. W Stanach Zjednoczonych na studia magisterskie i podyplomowe, w każdej dziedzinie nauki i technologii, uczęszcza mnóstwo Chińczyków. Zdobywają tu kwalifikacje i wracają do kraju, gdzie ich wiedza jest często wykorzystywana przeciwko nam.

– Dlaczego na to pozwalamy?

– Dobre pytanie. Najprostsza odpowiedź sprowadza się do tego, że mamy za mało rodowitych absolwentów, którzy są dostatecznie wykształceni, by spełniać wymogi naboru na studia doktoranckie. Obecnie połowa doktorantów z fizyki to obcokrajowcy, z których większość wraca z dyplomami do domów. W pewnym sensie można

to nawet uznać za pomoc innym krajom, skoro edukacja ich obywateli jest w znacznym stopniu opłacana przez amerykańskiego podatnika poprzez granty naukowe i system stypendiów, nie wspominając o częściowym zwolnieniu od podatku dla college'ów i uniwersytetów.

– Więc nie tylko umożliwiamy im zdobycie wiedzy, którą zabiorą za granicę, ale jeszcze za to płacimy.

– Niektórzy twierdzą, że to na dłuższą metę korzystne.

– Jak to?

– Uważa się, że to sposób na promocję amerykańskiego kapitalizmu, działalności biznesowej, a nawet metod edukacji. Ryzyko polega oczywiście na tym, że sami tworzymy dla siebie rynkową konkurencję. Naukowcy i inżynierowie stanowią siłę napędową innowacji, a my przenosimy ten kapitał intelektualny za granicę.

Monk zaczynał rozumieć, dlaczego Kat wybrała właśnie Kimberly do tej misji. Kobieta z pewnością знаła się na rzeczy.

– Podam ci przykład – ciągnęła. – Przez lata pewna chińska studentka pracowała na Harvardzie z naszymi najlepszymi genetykami i bioinżynierami. Niedawno wróciła do Szanghaju, żeby wykorzystać swoją wiedzę do czegoś, co jest w większości krajów zachodnich uważane za sprzeczne z etyką.

– Czym się zajmowała?

– Zapoczątkowała program mający na celu genetyczne zmiany ludzkiego embriona. – Kimberly usiadła wygodnie i pokręciła ze smutkiem głową. – Takie działania są już zakazane w ponad czterdziestu krajach, i to nie bez powodu. Tego typu badania mogłyby stanowić pierwszy krok do eugeniki i wykorzystywania nauki w celu stworzenia lepszego człowieka. Mówimy o wprowadzeniu do ludzkiego genomu cech dziedzicznych, co nie tylko spowoduje jego naruszenie, ale może też zwiastować przyszłość, w której narodzi się nowa klasa ludzi, zaprojektowanych jako ci lepsi i wybrani.

Monk zmarszczył czoło.

– Sądziś, że taki właśnie cel krył się za tym ostatnim atakiem? Amy Wu przekazywała fundusze na prowadzone przez siostry Crandall badania związane z genetycznymi początkami ludzkiej inteligencji.

– Trudno powiedzieć. Ale jeśli chodzi o doktor Wu, to podejrzewam, że jej lojalność nie była motywowana ideologią, lecz wyłącznie pasją naukową. We współczesnych badaniach rzecz sprowadza się do tego, by zobaczyć, czy coś da się osiągnąć pomimo wątpliwości, czy powinno się do tego dążyć. To wiedza dla samej wiedzy, bez względu na koszty, jakie może ponieść świat.

Monk przypomniał sobie słowa Amy Wu na temat inżynierii genetycznej. Nie mogliśmy uzyskać zgody na te badania przy wykorzystaniu ludzkich embrionów, nie wzbudzając fali protestów. W jej przypadku trzymanie się od tego z daleka nie było podyktowane względami etycznymi, a jedynie lękiem przed przyłapaniem na gorącym uczynku.

Poczuł, jak jego komórka znów wibruje. Nadeszła nowa wiadomość od Paintera.

SYGNAŁ PRZERWANY.

NADAJNIK ODKRYTY ALBO ROZŁADOWANY.

PRZEKAZUJĘ OSTATNIĄ ZNANĄ LOKALIZACJĘ.

Monk powrócił do mapy i powiększył zaznaczone miejsce, które migąło na planie ulic Pekinu. Kropeczka zatrzymała się przy rozległej polaci zielonego terenu.

Nachylając się, Kimberly spojrzała na ekran.

– To pekińskie zoo.

Skinął głową. Biorąc pod uwagę fakt, że przeciwnik porwał również goryla, miejsce to wydawało się sensowne.

– Co dalej? – spytała Kimberly.

Popatrzył na nią.

– Moja droga żono, wygląda na to, że trzeba będzie złożyć wizytę tym słynnym chińskim pandom.

Maria skuliła się pod wirującymi śmigłami helikoptera. Maszyna przewiozła ich z wojskowego lotniska pod Pekinem na lądowisko dla śmigłowców obok szerokiej rzeki. Jej nurt biegł łukiem pod zasłoną wierzb płaczących. Gdy zaczęli się zniżać, dostrzegła porośnięte zielenią tereny, które ciągnęły się na południe; zauważyła klatki, wybiegi i duże budynki. Wzdłuż labiryntu krętych ścieżek spacerowały tłumy ludzi.

Park zwierząt... prawdopodobnie pekińskie zoo.

Gdy wydostali się już poza zasięg wirnika, rozprostowała plecy. Obok stanął Kowalski, który krzywił się bezustannie.

– Śmierdzi tu – zauważył.

Musiała się z tym zgodzić. Powietrze cuchnęło spalinami. Drapacze chmur po drugiej stronie rzeki tonęły w żółtawej mgle. Czytała o prześladowających Pekin zanieczyszczeniach atmosfery, ale nie wyobrażała sobie, że jest aż tak źle. Już piekły ją oczy, musiała też zakrywać usta, by stłumić gwałtowny kaszel.

– Nie zatrzymywać się – rzucił rozkazująco ktoś za ich plecami.

Odwróciła się i zobaczyła wysoką, szczupłą postać szefa tej grupy. Dowiedziała się w drodze, że nazywa się Gao, ale nie mogła się zorientować, czy to jego imię, czy nazwisko. Wyglądał na człowieka po trzydziestce. Ciemne włosy miał przy uszach przycięte do samej skóry, ale na czubku głowy były dłuższe.

Dojrzała ponad jego ramieniem niewielki podnośnik widłowy, który wyjechał przez tylny właz wojskowego helikoptera transportowego, unosząc klatkę z Baako. Goryl zaciskał palce na prętach i patrzył w jej stronę; w jego oczach malował się strach; wargi, pomiędzy których dobywało się fukanie – prośba o pomoc – były wysunięte, ale przy tym warkocie silników śmigłowca nie mogła go usłyszeć.

Ruszyła w stronę podopiecznego, ale Gao zagroził jej drogę.

– Idź! – nakazał surowo i dla podkreślenia swych słów wymierzył

do niej z pistoletu.

Ta sama broń, która zabiła Jacka, przypomniła sobie. Poczula, jak na myśl o zamordowanym z zimną krwią studencie wzbiera w niej wściekłość. Zacisnęła z całej siły pięść i wlepiła wzrok w tego drania, by uświadomić mu swój gniew.

Kowalski chwycił ją za ramię, odwrócił i pociągnął za sobą.

– Innym razem – mruknął pod nosem. Zabrzmiało to jak obietnica.

Pozwoliła się poprowadzić po betonowym pasie. Patrzyła przed siebie, próbując zorientować się w sytuacji. W dali wznosił się duży budynek o łukowato sklepionym dachu. Ponad linią drzew widać było ogromny mural przedstawiający oceaniczną scenę pełną baraszkujących fok, orzek i delfinów.

Oceanarium...

Miejsce ich przeznaczenia znajdowało się jednak bliżej: niepozorny dwukondygnacyjny budynek z betonu, z gąszczem talerzy satelitarnych i anten. Duże drzwi z boku podjechały do góry, odsłaniając windę towarową.

Tuż obok przemknął wózek widłowy z Baako uwięzionym w klatce i wjechał na platformę. Maria przyspieszyła kroku. Gao ją wyprzedził.

– Nie – rzucił rozkazująco i wskazał Kowalskiego. – Ty pojedziesz z gorylem. Uspokoisz go.

Kowalski zerknął w jej stronę. Wydawało się, że ich fortel „opiekun Baako” wciąż jest skuteczny.

By podtrzymać to wrażenie, Maria skinęła Kowalskiemu głową.

– Zrób wszystko, by się za bardzo nie bał.

Uniósł brew, dając jasno do zrozumienia, o co mu chodzi.

Kto, ja?

– Baako musi widzieć znajomą twarz, kogoś, kogo zna – powiedziała z naciskiem.

Nawet jeśli jest to ktoś, z kim przebywał tylko krótko.



Baako był jednak bystry. Wiedział, że Maria ufa Kowalskiemu; liczyła na to, że obecność olbrzyma doda zwierzakowi otuchy, zwłaszcza w tak dziwnym otoczeniu. Miała nadzieję, że agent nie pozwoli jej podopiecznemu wpaść w panikę. Obawiała się o Baako, przypominając sobie, jak porywacze posłużyli się w jego przypadku paralizatorem. Nie chciała, by znów został tak potraktowany.

Ta myśl zrodziła głębszą obawę, gdy klatka została umieszczona w windzie. Czego od niego chcą... albo od niej?

Kowalski musiał chyba dostrzec na jej twarzy niepokój.

– Nie martw się – uspokoił ją. – Zaopiekuję się tym małym gościem.

Bez chwili zastanowienia zbliżyła się do mężczyzny i objęła go. Zesztywniał zaskoczony, ale potem się odprężył, otoczył ją ramionami i przytulił; okazał czułość kłócącą się z jego topornym wyglądem. Poczwała ciepło ciała i siłę mięśni, która dodawała odwagi bardziej niż słowa.

– Jazda! – wrzasnął Gao, dźgając Kowalskiego lufą pistoletu w żebra.

Olbrzym puścił Marię i spojrzał na niego dostatecznie groźnie, by Chińczyk cofnął się o krok i skierował wzrok na Marię.

– Ty idziesz ze mną! – rozkazał.

Inny żołnierz trzymający w rękach karabin pchnął Kowalskiego w stronę windy towarowej. Marię skierowano ku mniejszym drzwiom.

– Dokąd mnie zabieracie? – zwróciła się do Gao.

– Generał Lau czeka na ciebie. Przekonamy się, czy wyjdiesz z tego żywa.

Godzina 14.45

Daleko jeszcze? Jak daleko?

Kowalski, czując ściskanie w żołądku, wiedział, że winda zjeżdża pod ziemię, ale nie potrafił się w żaden sposób zorientować, jak

głęboko. Odliczył piętnaście sekund, nim kabina się w końcu zatrzymała. Czekał, stojąc obok klatki Baako, która wciąż znajdowała się na wózku widłowym. Wewnątrz dźwigu przebywało z nimi jeszcze czterech uzbrojonych strażników, zbyt wielu, by mógł ich obezwładnić i wydostać się stąd.

Coś pociągnęło go za rękaw.

Skierował spojrzenie w dół, na włochate palce zaciskające się na materiale jego kombinezonu i na twarz przywierającą do krat. Popatrzyły na niego ciemne oczy.

Tak, tak, wiem... boisz się, kolego.

Gdy drzwi windy rozsunęły się z metalicznym grzechotem, uwolnił rękę. Nie miał czasu na rozpraszające uwagę drobnostki. Pragnął się skoncentrować, poznać rozkład pomieszczeń w tym podziemnym kompleksie. Jeśli miał żywić jakąkolwiek nadzieję na ucieczkę, musiał poznać drogę prowadzącą ku wyjściu.

Baako wydał ciche, pełne przerażenia fuknięcie, gdy wózek widłowy wyjechał z windy wprost do przepastnego magazynu, który miał wysokość dwóch pięter; wszędzie ciągnęły się rzędy półek. Krążyły tu inne wózki ze skrzyniami i pudłami.

Kowalski, trącony lufą karabinu, wyszedł z windy i ruszył w ślad za klatką Baako. Przemierzając ten magazyn, starał się za wszelką cenę wyglądać na zastraszonego. Garbił się, wodząc jednocześnie wzrokiem po półkach w poszukiwaniu czegoś przydatnego, lecz na wszystkich pojemnikach widniały chińskie znaki. Nie sposób było się zorientować, co w nich jest: może broń półautomatyczna, a może zupy instant.

Opuścili magazyn i zaczęli podążać labiryntem korytarzy, coraz bardziej w dół, wreszcie przez rozsiewające woń piżma podziemne zagrody z wybiegami dla kóz, owiec i ponurych z wyglądu macior.

Co to za miejsce, do cholery? – zastanawiał się.

W miarę wędrówki liczba personelu – głównie w fartuchach laboratoryjnych, mundurach albo kombinezonach roboczych –

znacząco malała, aż w końcu dotarli do strefy oznaczonej symbolami, które płonęły gniewną czerwienią.

Nawet Kowalski domyślił się ich znaczenia.

Obszar ograniczonego wstępu... Nie wchodzić.

Ich grupa posuwała się jednak dalej, nie napotykając po drodze już żadnych ludzi. Wreszcie dotarli do czegoś w rodzaju długiego bloku więziennego z rzędem zakratowanych wybiegów po jednej stronie, o rozmiarach pojedynczego garażu. Klatki były puste, ale sądząc po zadrapaniach, rysach i plamach widocznych na betonie, często z nich korzystano.

Na przeciwległym końcu znajdowały się zamknięte drzwi, masywne i stalowe, niczym wejście do skarbcza bankowego, ze świecącym czerwonym znakiem u góry. Jeden ze strażników wskazał w tamtym kierunku, ale drugi uderzył go w rękę i złajał. Najwidoczniej sama ciekawość, którą budziło pomieszczenie za tymi drzwiami, była niestosowna.

Kowalski zerknął w tamtą stronę.

Interesujące...

Nie był to jednak cel ich wędrówki. Wózek widłowy zatrzymał się w połowie korytarza, a obsługujący go człowiek warknął coś po chińsku. Zbliżył się bezzwłocznie wartownik i otworzył jeden z wybiegów, podczas gdy operator wózka opuścił klatkę Baako na podłogę. Natychmiast podeszli dwaj żołnierze, zarzucili sobie karabiny na ramię i wyjęli paralizatory. Czwarty strażnik mierzył w tym czasie z broni w pierś Kowalskiego, ale trzymał się w bezpiecznej odległości, na wypadek gdyby ten czegoś próbował.

Żołnierze z paralizatorami wrzeszczeli i dźgali Baako, gdy goryl kulił się w głębi klatki. Gdy drzwi zostały otwarte, próbowali zmusić go do wejścia na wybieg. Kowalski mógł sobie wyobrazić przerażenie drżącego zwierzaka.

– Dosyć! – wrzasnął w końcu. Podniósł dłonie, by pokazać, że jest gotów do współpracy. – Pozwólcie, żebym go wyprowadził, zanim dostanie cholernego ataku serca.

Nie miał pojęcia, czy któryś z nich mówi po angielsku, ale dał do zrozumienia, co zamierza zrobić, podchodząc do otwartej klatki i przywołując kudłatego czworonoga do siebie.

– W porządku, Baako – powiedział. – Zrobimy to razem.

Niezależnie od tego, czy żołnierze go zrozumieli, czy nie, odsunęli się na bok.

Olbrzym nachylił się do wnętrza klatki. Baako dyszał ciężko, wargi miał zaciśnięte z przerażenia, wodził wokół siebie niespokojnym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał się całkowicie rozkleić.

Kowalski poklepał się po piersi.

Spójrz na mnie, kolego.

Baako skierował na niego wzrok.

Kowalski podniósł ręce i zaczął powoli pokazywać, odwołując się do wiedzy zwierzaka, posługując się czymś znajomym, by uwolnić go od ślepej paniki. W końcu ścisnął dłonie w pięści, skrzyżował ramiona na wysokości nadgarstków i zaczął nimi o siebie pocierać.

Będę cię strzegł.

Baako wciąż oddychał ciężko, ale jego wzrok już się uspokoił. Oderwał dłonie od włochatych kolan i złączył pięści, mrużąc cicho.

Kowalski skinął głową.

– W porządku.

Goryl wysunął do niego rękę. Olbrzym przypomniał sobie natychmiast swoją młodszą siostrę Anne. Często wyciągała tak do niego dłoń, szukając pociechy u starszego brata, gdy była przestraszona – albo w gabinecie lekarza, albo podczas pijackich wybryków ojca.

Poczuł, jak jego dłoń obejmują ciepłe palce.

Właśnie tak, kolego.

Wyprowadził Baako z wózka i pomógł mu zejść na podłogę, a potem poszedł z nim na betonowy wybieg. Z jednej klatki do drugiej.

Któryś z wartowników coś do nich warknął. Palce goryla niemal zmiażdżyły dłoń Kowalskiego, który zacisnął zęby pod wpływem bólu. Wolną ręką pomachał do żołnierzy.

– Cofnijcie się, do cholery! – rzucił, wchodząc z Baako w głąb wybiegu.

Było to żalosne schronienie. Betonowe podłoże zakrywała rozrzucona słoma. Wiadro w kącie wypełniała do połowy zielonkawa woda. Nie było tu żadnych zabawek, żadnych lin, na których można by się huścić, jednym słowem niczego, co pozwalałoby choć na chwilę zapomnieć o ponurym otoczeniu. Najgorsze wydawały się stalowe kajdany wiszące złowieszczo na tylnej ścianie.

Jeden ze strażników zawołał do niego; tym razem przynajmniej się nie wydzierał. Machając ręką, dał znak, by wyszedł na zewnątrz.

Kowalski spojrział na palce, które wciąż przywierały do jego dłoni.

Pieprzyć to, pomyślał.

Usiadł na zimnym betonie i poklepał słomę tuż obok, zachęcając Baako, by się do niego przyłączył, a potem zwrócił się do żołnierza:

– Zostaję.

Lepiej tutaj niż gdziekolwiek indziej.

Tamten zaczął naradzać się z towarzyszami; wydawało się, że po chwili doszli do identycznego wniosku. Jeden z nich wziął wiklinowy pojemnik z kiśćmi poczerniałych bananów, marchwią i liściastymi gałązkami. Postawił go za progiem klatki i pchnął nogą do środka. Drugi zatrzasnął z brzękiem drzwi i przekręcił duży klucz w zamku.

– Chyba skapowali, o co chodzi – mruknął do siebie Kowalski.

Wózek widłowy zaczął się cofać, a wraz z nim żołnierze. Gdy już opuścili więzienny korytarz, zamknęły się za nimi podwójne wrota, ale Kowalski zdążył zauważyć, że jeden ze strażników zostaje na warcie.

Nie zamierzają ryzykować z nowymi więźniami.

Kowalski wysunął dłoń z palców Baako i wstał. Spojrzał ku drugiemu końcowi korytarza, gdzie znajdowały się zamknięte na głucho stalowe drzwi zwieńczone łukiem. Dostrzegł obok jarzący się czytnik dotykowy i rząd kamer zainstalowanych na suficie wzdłuż klatek; ich obiektywy skierowane były na wybiegi.

Baako też skorzystał z okazji, by spenetrować otoczenie, i zaczął węszyć. Potem przysunął nos do ciemnej plamy pod słomą. Cokolwiek wyczuł, sprawiło to, że cofnął się czym prędzej.

Kowalski nie okazał zdziwienia. Wyglądało to jak zaschnięta krew.

By zająć czymś towarzysza niedoli, przyniósł kosz z jedzeniem.

– Nie jest to może pizza i piwo, ale musi nam wystarczyć.

Postawił pojemnik na ziemi, wyjął z niego banana i podsunął Baako. Goryl przysiadł na zadzie i obrócił się ramieniem, odmawiając. Nie jadł od chwili schwytania. Marii udało się dać mu coś do picia, ale nic więcej.

– Musisz jeść – upomniął go Kowalski.

Baako znów się odwrócił i dotknął warg. W jego oczach wciąż widniał strach.

Cholera, zapomniałem o tej opasce z nadajnikiem...

Kowalski stanął między kamerami a gorylem i wyciągnął rękę.

– W porządku. Wypluj to.

Goryl zrozumiał i posłuchał. Na dłoń olbrzyma spadła zaśliniona opaska. Wciąż obrócony do kamer plecami, Kowalski przyjrzał się jej uważnie. Zielone światełko, którym zwykle jarzyło się urządzenie GPS, teraz było ledwie widoczne. Sprzęt był prawie rozładowany.

Zresztą i tak na niewiele by się przydało pod tymi warstwami betonu...

Zaklął pod nosem.

Baako fuknął zaniepokojony, pochylając głowę i być może sądząc, że nowy opiekun jest na niego zły.

– Nie chodzi o ciebie, kolego. – Kowalski schował nadajnik do kieszeni. W tej chwili miał inne zmartwienia. – Damy ci coś do

jedzenia.

Znowu podsunął goryłowi banana, ale napotkał jedynie żalosne spojrzenie swego towarzysza z celi. Jego siostra, Anne, też tak patrzyła, kiedy próbował nakłonić ją do jedzenia. Czasem miało to związek z jej anoreksją, ale najczęściej reagowała w ten sposób na żalosne próby kulinarne brata.

Kowalski przysiadł obok Baako. Położył sobie owoc na kolanach, rozłożył ręce, zacisnął pięści i napiął bicepsy.

Musisz być silny.

Powtórzył ten znak, zmieniając go nieznacznie; ułożył dłonie w kształt szponów, potem zacisnął je w pięści.

I odważny.

W końcu złączył palce i podniósł je do warg.

Musisz więc jeść.

Baako popatrzył na banana. Kowalski podniósł go, obrał częściowo ze skórki i znowu podsunął towarzyszowi.

Ten sięgnął w końcu po owoc. Włożył obrany kawałek między wargi, a następnie powtórzył pierwszy gest Kowalskiego, podnosząc pięści i rozprostowując ramiona. Potem wskazał na niego.

Ty też musisz być silny.

Odgryzł kawałek banana i oddał nieobraną ze skórki połówkę.

Olbrzym patrzył skrzywiony na to, co mu zaoferowano, wreszcie wzruszył ramionami.

Do diabła...

Wziął banana, obrał do końca i włożył sobie w usta.

Facet powinien jeść.

Godzina 15.13

Dokąd mnie zabierają?

Lękając się tego, co ją czeka, Maria szła okazałym korytarzem. Ściany pokrywał karmazynowy drukowany jedwab, gzymsy nad

oknami były połączone. Pod stopami ugiął się ręcznie tkany chodnik, który wyglądał jak gobelin.

Gdzie ja jestem?

Po rozstaniu z Kowalskim i Baako Gao zaprowadził ją do windy. Zjechali do podziemnego kompleksu pod ogrodem zoologicznym, gdzie czekał drugi żołnierz obsługujący wózek elektryczny, i ruszyli przez znajdujący się głęboko pod powierzchnią obiekt. Mogła zajrzeć przez okna do wnętrza wielkich laboratoriów. Rozpoznała sprzęt wykorzystywany w badaniach genetycznych: termocyklery służące do amplifikacji DNA, piece hybrydyzacyjne do inkubacji próbek nukleotydów, centryfugi do rozdziału makromolekuł. W jednym z pomieszczeń znajdował się nawet aparat służący do sekwencjonowania DNA, identyczny jak ten, którym dysponowało jej laboratorium: SequiGene Vertical Gel Apparatus.

W końcu dotarli do innej windy. Gao wprowadził do niej Marię, trzymając ją na muszce, i ruszyli w górę. Patrząc na boazerię i antyczne meble tego wnętrza, miała wrażenie, że przeniosła się ze współczesności w wiek siedemnasty. Okna biegnące wzdłuż korytarza otwierały się na rozlewisko pełne brodzących ptaków, za drzewami zaś ciągnął się widok na cały park.

Więc wciąż jestem na terenie zoo.

Zobaczyła człowieka stojącego przed zamkniętymi drzwiami; miał na sobie mundur khaki i wysokie czarne buty. Choć starszy od niej o kilka lat, był w jakiś szelmowski sposób przystojny, co podkreślał jeszcze ciepły uśmiech, kiedy ich powitał, czy raczej jej opiekuna.

– Gao, huânyíng hui jiâ dēdi.

Gao schował pistolet do kabury i objął drugiego mężczyznę.

– Xiǎ xie, Chang.

Widząc ten pełen czułości gest i dostrzegając teraz ich niezwykle podobieństwo, domyśliła się, że są braćmi. Gdy rozmawiali przyciszonymi głosami, zauważyła pewien szacunek okazywany



przez Gao starszemu bratu – nie tylko z powodu różnicy wieku, ale też zapewne wyższej rangi.

W końcu ten drugi – Chang – zapukał do drzwi, zza których dobiegła przytłumiona odpowiedź, i otworzył je. Wszedł pierwszy, Gao zaś pchnął Marię w ślad za bratem.

Przypomniała sobie wcześniejsze ostrzeżenie i prośbę tego, dokąd ją zabierają.

Generał Lau czeka na ciebie. Przekonamy się, czy wyjdiesz z tego żywa.

Spodziewała się, że będzie przesłuchiwana przez starszego oficera armii chińskiej, człowieka o stoickiej twarzy, tymczasem, kiedy weszła do pokoju, zastała w nim stojącą za szerokim biurkiem chudą kobietę w sztywnym zielonym mundurze. Miała na piersi mnóstwo baretek, a na każdym pagonie gwiazdkę. Sądząc po szarych włosach i zmarszczkach na twarzy, Maria oceniła jej wiek na pięćdziesiąt kilka lat.

I kobieta nie była sama.

Przebywali tu także dwaj starsi mężczyźni; siedzieli na kanapie obok biurka. Po obu stronach dużego okna za plecami kobiety stali dwaj uzbrojeni wartownicy.

Starszy z mężczyzn podniósł się. Gdy poprawił okulary, w jego oczach pojawiło się niedowierzanie połączone z szokiem; przyjrzał się Marii od stóp do głów.

– Lena?

Była przyzwyczajona do tego, że jest często mylona z siostrą.

– Lena to moja siostra bliźniaczka – sprostowała. – Ja jestem Maria.

– Oczywiście, oczywiście – przyznał mężczyzna, siadając z powrotem, wyraźnie speszony z powodu swojej pomyłki.

Nawet nie słysząc jego brytyjskiego akcentu, wiedziałyby, że to profesor Alex Wrightson, geolog, który odkrył system jaskiń w Chorwacji. Monk, jeszcze gdy byli w ośrodku badawczym, pokazał jej zdjęcia dwóch wprowadzonych naukowców. Drugim musiał być

doktor Dayne Arnaud. Choć był o dwadzieścia lat młodszy od geologa, wyglądał równie mizernie i staro.

Kobieta wyszła zza biurka.

– Podziwiam pani pracę, doktor Crandall. Jestem Jiaying Lau, generał dywizji Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Generał Lau wyciągnęła rękę. Maria uścisnęła jej dłoń, nie chcąc traktować niegrzecznie kobiety, która miała decydować o jej losie.

Jiaying popatrzyła na Gao i jego starszego brata. Powiedziała coś szybko w dialekcie mandaryńskim i wskazała drzwi. Chang wyraził jakąś obiekcję, wyraźnie poruszony, ale dostrzegając lekceważenie przełożonej, wyszedł sztywno z gabinetu, a Gao za nim.

Widząc ich irytację, Maria nabrała cieplejszych uczuć wobec kobiety.

Mimo wszystko odchrząknęła i przeszła do ofensywy. Wyprostowała się i spytała twardym tonem.

– Skąd pani wie o mojej pracy?

Jiaying wskazała krzesło naprzeciwko kanapy.

– Jak pani myśli, kto finansował pani badania?

Maria usiadła ciężko, bardziej pod wpływem szoku niż zaproszenia.

– Co... co to znaczy?

– Pani orędowniczka z National Science Foundation, kobieta, która zasiadała w radzie naukowej Białego Domu i pomogła pani i siostrze zdobywać fundusze...

– Amy...

Generał skinęła głową.

– Doktor Wu otrzymywała znaczne wynagrodzenie za umożliwianie przepływu pieniędzy z pekińskiej Akademii Nauki Wojskowej do pani ośrodka badań nad naczelnymi w Stanach Zjednoczonych. Szkoda, że ją straciliśmy.

Straciliśmy?

Maria, rozważając gorączkowo wszystko, czego się właśnie dowiedziała, starała się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Jeśli

ta historia była prawdziwa, to razem z Leną przez cały czas pracowały dla Chińczyków. Obie były kukielkami, a za sznurki pociągała Amy Wu.

Jak to możliwe?

Zawsze uważała Amy za przyjaciółkę. Okazało się jednak, że ta kobieta była czymś w rodzaju wtyczki. Nagle Marii zabrakło tchu w piersi; chciała się pochylić i wsunąć głowę między kolana. Przypomniała sobie, jak Amy naciskała na nią i Lenę, zmuszając je do wydajniejszej pracy, do odrzucenia początkowych wątpliwości, jakie budziła koncepcja stworzenia hybrydowego goryla w celu przetestowania na nim ich teorii.

Maria zawsze żywiła odrazę wobec wykorzystywania w badaniach dużych małych człekokształtnych. Prowadziła na ten temat ożywione dyskusje z Amy. Te zwierzęta były inteligentnymi stworzeniami o bogatym życiu zarówno emocjonalnym, jak i kognitywnym. Okazywały samoświadomość i zdolność do pojmowania swej indywidualnej roli w przeszłości i przyszłości. Czy człowiek ma prawo więzić je i dręczyć w imię nauki?

W końcu jednak Amy zdołała ją przekonać, rozwiązać obawy, skłonić do przekroczenia granicy, za którą zaczynały się wątpliwości.

I oto jest tego rezultat, pomyślała.

W głębi duszy wiedziała, że Amy nie ponosi w tym wypadku całej winy. Pozwoliła jej się namówić, ponieważ sama chciała poznać prawdę, udowodnić hipotezę dotyczącą Wielkiego Skoku. Przede wszystkim jednak chciała się przekonać, czy osiągnie sukces tam, gdzie tylu innych poniosło porażkę.

Nie wyłączając Chińczyków.

We dwie, ona i Lena, opracowały innowacyjną hybrydyzację i inżynieryjne techniki zarodkowe; wszystko to było tajne i nie mogło być publikowane. Nawet Amy nie była w pełni informowana.

Chwała Bogu.

Maria zaczynała rozumieć, dlaczego ją uprowadzono, jednak umiejętności, które pragnęli wykorzystać Chińczycy, stanowiły

raczej domenę Leny. To siostra była ekspertem technicznym, czuwającym nad tym projektem na jego poziomie molekularnym, natomiast jej rola sprowadzała się do wychowania, edukacji i analizowania zachowań Baako.

– Mamy nadzieję, że zechce pani kontynuować swoje badania tutaj – powiedziała Jiaying, potwierdzając jej obawy. – Rozumiem, że sposób, w jaki sprowadziliśmy panią i pani podopiecznego, może się pani nie podobać, ale obie jesteśmy naukowcami szukającymi prawdy. Jakie ma ostatecznie znaczenie, czy pani badania są prowadzone tutaj, czy w Stanach? Jeśli zechce pani z nami współpracować, czeka panią wspaniałe życie. Będzie pani miała do dyspozycji wszelkie środki oferowane przez chiński rząd, bez tej biurokracji czy etycznych ograniczeń, które wiązały pani ręce w Stanach.

Maria, chcąc ukryć przerażenie, udała zainteresowaną.

– Oczywiście, odnosi się to również do pani siostry – dodała Chinka.

– Do Leny?

Zanim Maria została uprowadzona, oczekiwała z Chorwacji wiadomości o akcji poszukiwawczo-ratunkowej, której celem było wydobyć jej siostrę z jakichś zalanych jaskiń. Potem już niczego jej nie przekazano.

– Czy ona... żyje? – spytała bez tchu.

– Zlokalizowano ją w Zagrzebiu – oznajmiła Jiaying. – Mamy nadzieję, że uda nam się niebawem doprowadzić do waszego spotkania.

Maria zacisnęła na kolanach drżące dłonie. Zerknęła na obu mężczyzn.

Profesor Wrightson odpowiedział jej słabym uśmiechem.

– Dopóki żyje, zawsze jest nadzieja.

Doktor Arnaud unikał jej wzroku; najwyraźniej nie podzielał optymizmu brytyjskiego kolegi.

Maria próbowała zmienić temat.

– Dlaczego zaatakowaliście te jaskinie? Żeby schwycić moją siostrę?

– Tak naprawdę chcieliśmy uprowadzić ją z Niemiec, z Instytutu Maxa Plancka. Ale z powodu złej pogody wyjechała o dzień wcześniej, niż początkowo zamierzała. Takie są kaprysy losu, niweczące nawet najlepiej przemyślane strategie.

– Co chcieliście więc zdobyć w tych jaskiniach?

– Pokażę pani.

Jiaying zachęciła ją, by zbliżyła się do długiego plastikowego pojemnika stojącego obok kanapy. Zamki były już otwarte, więc generalnie musiała jedynie podnieść wieko. Maria zajrzała do środka. Od razu rozpoznała skamieniałe fragmenty szkieletu. Choć serce podchodziło jej do gardła, nie potrafiła stłumić zawodowej ciekawości.

Zaskoczona doskonałym stanem czaszki, przyklękła na jedno kolano, żeby obejrzeć ją dokładnie.

– Te kości... nie są ludzkie... czy raczej nie należą do Homo sapiens.

– Neandertalczyk – podsunął Wrightson.

Marszcząc czoło, wskazała palcem grzbiet nosa.

– Nie sędzę. W każdym razie niezupełnie. Twarz jest zbyt płaska, a trzonowce, jak mi się wydaje, są zbyt małe.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Jiaying uśmiecha się do niej.

Ale to Dayne Arnaud się odezwał, a jego ton wydawał się grobowy.

– Też to zauważyłem. I po dość dokładnych badaniach uważam, że mamy do czynienia ze szczątkami hybrydy, jakiegoś potomka bardzo bliskiego temu, co wyniknęło ze skrzyżowania się niegdyś anatomicznie współczesnego człowieka i neandertalczyka.

Maria przysiadła na piętach.

– Jeśli ma pan rację...

– ...byłoby to pierwsze tego rodzaju wykopalisko w historii – dokończył Arnaud. – Okaz niezwyklej rzadkości, znaleziony w

doskonałym stanie. Profesor Wrightson za pomocą datowania węglem ustalił wiek szczątków na ostatnie zlodowacenie, około czterdziestu tysięcy lat temu.

Geolog skinął głową.

– Najbardziej jednak intrygujące są sprzeczności, jeśli chodzi o...

– Wystarczy, Alex – przerwał mu ostro Arnaud. – Nikogo nie obchodzą takie szczegóły.

Wrightson był gotów się sprzeciwić, ale odchylił się na oparcie kanapy i skrzyżował ramiona na piersi. Najwidoczniej ci dwaj naukowcy byli przyzwyczajeni do bezustannych sporów.

Arnaud zamknął oczy, potem znów je otworzył, próbując najwidoczniej zapanować nad sobą.

– Właśnie z powodu tego odkrycia skontaktowałem się z Instytutem Maxa Plancka. I dlatego poprosiłem pani siostrę, żeby przyjechała do Chorwacji.

– W związku z naszymi badaniami nad neandertalską hybrydyzacją – powiedziała Maria.

Paleontolog skinął głową.

– Uważałem, że w odpowiednim ośrodku istniałaby duża szansa uzyskania DNA. Zależało mi na wiedzy fachowej pani siostry.

Maria rozumiała. To mogło stanowić klucz do wielkich tajemnic, pomóc w odkryciu, czym są ludzie jako gatunek i skąd pochodzą.

Gdybyśmy z Leną miały taki okaz...

Jiaying odciągnęła jej uwagę od tych naukowych rozmyślań, przywołując ją do groźnej rzeczywistości.

– Dowiedzieliśmy się o odkryciu doktora Arnauda dzięki jednemu z naszych agentów, który pracował już w Instytucie Maxa Plancka, i postanowiliśmy działać szybko. Może zbyt szybko.

Maria pokręciła nieznacznie głową, dziwiąc się skuteczności chińskiej siatki wtyczek i szpiegów. Wiedziała, że chińscy studenci zapisują się na uczelnie techniczne w Stanach Zjednoczonych i za granicą, ale najwidoczniej wielu z nich nie zasypiało gruszek w

popiele i było gotowych powiadomić kogo trzeba o każdym istotnym odkryciu.

– Tak szczęśliwy przypadek, z jakim mamy do czynienia, mógłby skrócić nasze badania nawet o całą dekadę – ciągnęła Jiaying. – Zwłaszcza gdybyśmy mieli zapewnioną współpracę odpowiedniego zespołu.

Skinęła głową Marii i obu mężczyznom.

Maria wstała.

– Co konkretnie chce pani tu osiągnąć?

– Będzie lepiej, jak pani pokażę.

General wskazała drzwi. Dwaj mężczyźni wstali z miejsc. Wrightson zrobił to z jękiem, chwytając się za krzyż.

– Nie dadzą człowiekowi odpocząć.

Arnaud przepchnął się obok niego obcesowo.

– Mam nadzieję, że zapewnię sobie pani współpracę – zwróciła się Jiaying do Marii. – A jeśli chodzi o pana, doktorze Arnaud, pańskie doświadczenie paleontologa też może się okazać przydatne. Co do pana, profesorze Wrightson, na niewiele zda się nam geolog, ale może się pan spełnić w innej roli.

Starszy mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego.

Jiaying wyjęła pistolet, wycelowwała w niego i pociągnęła za spust.

Na twarzy geologa wciąż malowało się zdumienie, kiedy osunął się na kanapę; w jego czole dymiła niewielka dziura.

Niespodziewany huk w tej niewielkiej przestrzeni ogłuszył Marię. Zatoczyła się do tyłu, bliska upadku, ale Jiaying podtrzymała ją, chwytając za ramię. Maria spojrzała osłupiała na Chinkę, uświadamiając sobie od razu, jaki zamiar kryje się w jej brutalnym postępowaniu.

To była lekcja.

Maria pojęła ją w mig.

Będiesz użyteczna... albo martwa.

# 12

Guadagnolo, Włochy

30 kwietnia, godzina 11.10 czasu miejscowego

Gray pokonywał SUV-em Mercedesa kolejną serpentynę Gór Prenestyńskich. Choć dotarli tu z rzymskiego lotniska zaledwie w godzinę, mieli wrażenie, że wkraczają w inną epokę. Gwar wielkiego miasta został daleko w tyle, kiedy wspinali się ku polom uprawnym i winnicom wiejskich okolic.

Siedząca z tyłu Lena Crandall spuściła szybę, chłonąc świeże ciepłe powietrze tego wiosennego dnia, ale w jej oczach wciąż malowała się udręka zrodzona z troski o siostrę. Po przybyciu do Włoch otrzymali informację, że nadajnik GPS monitorowany przez Sigmę w końcu zamilkł, wskazując Pekin jako ostatnie znane miejsce pobytu Marii. Monk właśnie tam wylądował, by kontynuować poszukiwania uprowadzonych.

Tymczasem grupa Graya prowadziła własne poszukiwania.

Ojciec Roland siedział z tyłu obok Leny z nosem w małym przewodniku turystycznym, a na kolanach trzymał iPada, w którym przechowywał wszystkie informacje dotyczące Atanazego Kirchera. Kupił ten przewodnik, kiedy zatrzymali się na krótko w wiosce Guadagnolo, żeby zjeść lunch; wybrali Ristorante da Poppe, urokliwą rodzinną knajpkę z kominkiem, w którym huczał ogień i który był obwieszony ręcznie wyrabianymi kiełbasami. Roland skorzystał też z okazji, by rozpytać miejscowych gości o cel ich podróży: Santuario. Della Mentorella.



To katolickie sanktuarium – którego ruiny odkrył ojciec Kircher i które potem odbudował – znajdowało się na niedalekim szczycie góry Guadagnolo. Usadowiło się niczym orle gniazdo na samym wierzchołku, na występie skalnym, z którego rozciągał się widok na dolinę Giovenzano. Jak głosiła legenda, to właśnie tutaj święty Eustachy miał wizję jelenia dźwigającego między rogami ognisty krzyż.

Gray zobaczył w myślach wyblakłą rycinę w dzienniku ojca Kirchera.

Miejmy nadzieję, że nie jest to szukanie wiatru w polu, pomyślał.

Gdy pokonał ostatnią serpentynę, ukazało się przed nimi wieńczące szczyt skupisko kamiennych budynków krytych glinianymi dachówkami. Minął tablicę informacyjną z tekstem polskim, włoskim i angielskim.

Seichan, która zajmowała fotel pasażera, trzymając łokieć za oknem, zmarszczyła czoło.

– Dlaczego jest tu tyle napisów po polsku?

Nie myliła się. Nawet w tej małej wiosce, w której zatrzymali się na posiłek, znajdowała się księgarnia z wieloma książkami w tym języku.

– W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym papież Pius Dziewiąty przekazał ten kościół pod opiekę Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, polskiego zakonu – wyjaśnił Roland. – Ale co ciekawe, sanktuarium to często odwiedzał Jan Paweł Drugi, przyjechał tu nawet zaraz po swym wyborze na papieża. Podobnie jak jego następca, Benedykt.

– Więc ojciec Kircher zakochał się w tym miejscu – zauważył Gray. – Podobnie jak ówczesny papież. A Jan Paweł Drugi i Benedykt udają się tu w swoją pierwszą pielgrzymkę. Nie ulega wątpliwości, że ma ono jakieś ogromne znaczenie.

Roland pokazał przewodnik.

– Tu jest napisane, że w sanktuarium pogrzebano szczątki ponad dwustu świętych.

Lena odwróciła się od okna, najwyraźniej poruszona tą dziwną informacją.

– Dlaczego tak wielu?

– Prawdopodobnie dlatego, że większość ludzi sądzi, iż jest to najstarsze sanktuarium maryjne na świecie.

Zmarszczyła czoło.

– Maryjne?

– Miejsce to jest poświęcone Madonnie, Maryi Dziewicy – wyjaśnił Roland. – Początki sanktuarium sięgają czasów cesarza Konstantyna, który założył je w czwartym wieku. Przez niemal tysiąc lat, nim popadło w ruinę, znajdowało się pod opieką benedyktynów. Uważa się nawet, że święty Benedykt żył tu w odosobnieniu, skupiony na modlitwie, mieszkając w jaskini kilka kroków od kościoła. Wciąż można oglądać tę grootę.

– Chwilowo mam chyba dosyć jaskiń – wyznała Lena, a Seichan, co rzadko się jej zdarzało, parsknęła śmiechem.

Gray pokonał ostatni odcinek krętej drogi, przejeżdżając obok małego cmentarza, i zatrzymał się na niemal pustym parkingu przy klasztorze. Tuż obok stał kościół. Jego niepozorna romańska fasada niewiele mówiła o znaczeniu tego miejsca. Okno w kształcie rozety nad prostymi drewnianymi drzwiami odbijało promienie słońca, niżej zaś ustawiono brązowy posąg papieża z ręką uniesioną w geście błogosławieństwa.

– To tutaj? – spytała Lena wyraźnie rozczarowana.

Gray wspiął się wyżej i rozejrzał się. Jeśli kościołowi brakowało okazałości, to widok rozciągający się z występu skalnego wynagradzał to po wielekroć. Od strony północnej i południowej ciągnęły się ginące gdzieś w dali pasma gór, a od wschodu otwierała się szeroka dolina, która opadała urwiskami i lasami ku odległym polom uprawnym.

Pozostali przyłączyli się do Graya.

– Najpierw powinniśmy zajrzeć do kościoła – poradził Roland. – Tutejsze zakonnice wiedzą zapewne o tajemnicach tego miejsca

więcej, niż moglibyśmy wyczytać w jakimkolwiek przewodniku turystycznym.

Ruszył w stronę wejścia, poprawiając koloratkę. Gray podążył za nim wraz z obiema kobietami, pozwalając przejąć księdzu dowodzenie. Jeśli ktoś miał wydobyć jakieś sekrety od sióstr zakonnych, to z pewnością duchowny tego samego wyznania.

Słońce stało wysoko na niebie, a dzień był ciepły i pogodny; zimne i burzowe góry Chorwacji nikły w odległym wspomnieniu. Mimo wszystko Seichan obserwowała uważnie okolicę, zerkając często w stronę samotnej drogi, która ich tu przywiodła. Kiedy dotarli do drzwi kościoła, przystanąła.

– Coś nie w porządku? – spytał Gray.

– Trasa, która tu prowadzi... – Zmrużyła oczy. – W górę i w dół... jest tylko jedna.

Nie mógł zaprzeczyć. Byli na tym szczycie odizolowani. Ktoś mógłby bez trudu przyprzeć ich tu do muru. Poprawił lekką kurtkę, wyczuwając pod pachą ciężar SIG sauera.

Dostrzegła ten nieznaczny ruch i spojrzała mu w oczy.

– Zostanę tutaj, a wy się rozejrzyjcie – zaproponowała Seichan.

Doceniał jej ostrożność. Choć nic nie wskazywało na to, by ich śledzono, nie należało ryzykować. Dotknął jej dłoni w odruchu wdzięczności i musnął palcami nadgarstek po wewnętrznej stronie, przypominając sobie, jak całował to delikatne ciało, teraz jednak wyczuł stalową rękojeść sztyletu w pochwie ukrytej pod mankietem. Uświadomiło mu to prawdziwą naturę kobiety, którą kochał – niezwykle połączenie delikatności i stali.

To była Seichan.

Roland otworzył drzwi kościoła.

– Bierz się do roboty – wyszeptała Seichan chrapliwie do Graya. W gniewnym szmaragdzie jej oczu kryło się wyzwanie, ale i groźba. „Nie każ mi zbyt długo czekać. Kto wie, jakie psoty przyjdą mi do głowy”.

Roland wszedł do kościoła, zanurzył palce w kropielnicy tuż za progiem i odmówił krótką modlitwę. Potem, czyniąc znak krzyża, namaścił się nieznacznie wodą święconą. Jak zwykle, wkraczając do domu bożego, doznawał lęku i nabożnej czci. Nawet nieznaczna woń starego kadzidła, zmieszana z waniliowym zapachem dymu świec wotywnych, powitała go jak stary przyjaciel.

Choć sanktuarium wydawało się z zewnątrz niepozorne i szare, to pokryte białym tynkiem ściany w środku tchnęły świętością, wznosząc się wysoko ku gotyckim podporom. Przejście między rzędami drewnianych ławek prowadziło do ołtarza, a na wysokim podeście dumnie stały wspaniałe osiemnastowieczne organy piszczałkowe. Kilka okien po boku jaśniało szkłem witrażowym, oświetlając stuletnie freski i malowidła. Lecz to główny ołtarz skrywał prawdziwy skarb sanktuarium na Mentorelli.

Za nim, w niszy, znajdował się duży drewniany posąg Madonny. Pochodził z XII wieku i przedstawiał wyrzeźbioną postać Maryi na tronie z malutkim Jezusem w ramionach. Oboje mieli na głowach korony wysadzone klejnotami. Postać Maryi otaczały z obu boków wysokie brązowe lampy, a ich blask sprawiał, że rzeźba promieniowała wewnętrznym światłem, jakby samo drewno przepełnione było świętością.

Ruszył ku posągowi, przyciągany jego pięknem.

– Od czego zaczniemy poszukiwania? – odezwała się za jego plecami Lena, zakłócając czar tej chwili.

Zwolnił kroku, przypominając sobie, po co się tu zjawili: znaleźć to, co ojciec Kircher zabrał z jaskiń. Pozwolił, by dwójka Amerykanów ruszyła przed nim wzdłuż głównej nawy. Rozejrzał się, dostrzegając, jak niewielu ludzi przebywa w kościele. Para turystów – mąż i żona – krążyła powoli wokół ławek; w jednej z nich klęczała starsza kobieta z przewiązanymi włosami i głową pochyloną w modlitwie.

Zauważył jeszcze kobietę w czarnym habicie zakonnicy. Stała z boku ołtarza z założonymi rękami, chowając dłonie w rękawach. Zważywszy na wiek zakonu, spodziewałby się zastać tu kogoś znacznie starszego, ale ona wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Włosy miała upięte pod kornetem, lecz jasnoniebieskie oczy iskrzyły się młodzieńczością. Skierowała spojrzenie na jego koloratkę i skinęła powściągliwie głową w uznaniu dla jego stanu duchownego.

– Sprawdźmy, czy może nam pomóc – powiedział Roland, zmierzając w stronę ołtarza.

– Dzień dobry – powitała ich po polsku i powtórzyła już po włosku: – Buongiorno.

Uśmiechnął się, widząc tę próbę przyjmowania wszystkich gości w tym miejscu – albo przynajmniej tych, którzy musieli zaglądać tu najczęściej.

– Lei parla inglese? – spytał.

– Oczywiście, proszę księdza, jak najbardziej – odparła. W jej słowach wciąż wyczuwało się polski akcent. – Prawdę powiedziawszy, spędziłam dwa lata w Atlantic City. Jako krupier przy stole do blackjacka.

Roland się roześmiał.

– Nieczęsta droga do służby bożej.

Uśmiechnęła się wstydliwie i trochę zażenowana opuściła wzrok.

– To była niezła praca, dobrze opłacana, no i pozwoliła zobaczyć kawałek świata.

– Rozumiem. – Dodał jej odwagi ciepłym uśmiechem, kiedy przedstawiał swoich towarzyszy. – Mogę poznać imię siostry?

– Clara.

– Doskonale. Mamy nadzieję, że siostra nam pomoże.

– Jeśli tylko będę mogła.

– Przyjechaliśmy tu aż z Chorwacji, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym sanktuarium. Interesują nas szczególnie informacje na temat księdza, który nadzorował w siedemnastym wieku jego odbudowę.

– Ma ksiądz na myśli ojca Kirchera?

Roland nie krył przez chwilę zdumienia, a potem sobie uświadomił, że każda z tutejszych zakonnice z pewnością zna szczegółowo dzieje tego miejsca.

– Tak, zgadza się – odparł. – Wykładałem na uniwersytecie katolickim w Zagrzebiu i pisałem pracę doktorską o tym duchownym. Przyjechałem tu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jego późniejszych latach, ustalić, dlaczego tak bardzo zależało mu na odnowieniu sanktuarium, a zwłaszcza dlaczego zaangażował się w to tak osobiście. Liczyłem na to, że siostra i inne zakonnice mogą wiedzieć więcej, niż napisano w jakimkolwiek podręczniku.

– Nawet jeśli to tylko legenda albo plotka – dodał Gray. – Cokolwiek, co pozwoliłoby nam lepiej poznać jego dzieło.

Siostra Clara wskazała marmurową posadzkę.

– Możemy zacząć od tego. Serce ojca Kirchera pogrzebano u podnóża ołtarza, sam prosił o to papieża. Pragnął, by zawsze służyła na niego łaska Madonny.

– Więc ojciec Kircher miał obsesję na punkcie Matki Bożej – wtrąciła Lena.

– Sądzę, że trafniejszym określeniem będzie „darzył ją czcią”. Dlatego poprosił o zgodę na odbudowę tego sanktuarium. Było to najstarsze miejsce kultu maryjnego.

Roland spojrzał pytająco na Lenę, dostrzegając w jej oczach błysk zrozumienia. Odciągnął ją i Graya na bok.

– Co ci chodzi po głowie, Leno?

– Ewa była kobietą, matką nas wszystkich – szepnęła. – Jeśli ojciec Kircher szukał miejsca, żeby i ją czcić...

To tutaj nadawało się doskonale, by pogrzebać w nim jej kości.

– Ale jeśli masz rację, jak zdołałby ukryć jej grób? – spytał Roland. – Jak by go oznaczył?

Rozwiązanie podsunął Gray.

– Nie wspominałeś, że ojciec Kircher był zafascynowany hieroglifami? Że nawet wycinał własne symbole na egipskich

obeliskach?

– Owszem, ale co to ma wspólnego z...

– I czy nie uwierzył, że hieroglify mogą być zaginionym językiem Adama i Ewy? – nie ustępował Gray.

W szeroko otwartych oczach księdza malowały się szok i zrozumienie. Popatrzył na Amerykanina z uznaniem.

– Dowiedzmy się – powiedział i podszedł do Clary. – Siostro, mogę się domyślać, że kiedy ojciec Kircher nadzorował odbudowę sanktuarium, sam kładł niektóre cegły, a także pomagał przy odtwarzaniu dzieł sztuki i ornamentyce.

– To prawda.

– Fascynujące. Wiem, że może zabrzmieć to dziwnie, ale czy gdzieś w tym miejscu posłużył się hieroglifami jako elementem dekoracyjnym?

Zdumiona zakonnica uniosła brwi.

– Prawdę powiedziawszy, tak, proszę księdza. – Zwróciła się w stronę bocznych drzwi kościoła. – Tam, w kaplicy Świętego Eustachego. Mogę wam pokazać, gdzie to jest, jeśli chcecie.

Roland skłonił głowę, starając się zachować spokój.

– Bylibyśmy wdzięczni.

Zaprowadziła ich obok ołtarza do niewielkich drewnianych drzwi i otworzyła je. Do wnętrza napłynęło światło z małego dziedzińca za kościołem. Przez dziki ogród drzewek oliwnych i krzewów różanych, pośród marmurowych posągów wiodła wysypana żwirem ścieżka.

– Idźcie tędy, a dotrzecie do rozwidlenia – wyjaśniła. – Schody po lewej prowadzą do jaskini Świętego Benedykta, ale po prawej znajdziecie Scala Santa, Świętą Drabinę. Po tych marmurowych stopniach wejdziecie do kaplicy Świętego Eustachego.

Gray ruszył pierwszy, skinąwszy jej głową.

– Dziękujemy, siostro.

Clara zatrzymała Rolanda, dotykając jego ramienia.

– Pytał ksiądz o legendy dotyczące ojca Kirchera. – Wskazała głową samotną kaplicę stojącą na najwyższym punkcie wierzchołka.

– Podobno pracował przy tym budynku tylko z jednym kamieniarzem. Pozwalał jeszcze doglądać rekonstrukcji jedynie swojemu przyjacielowi, biskupowi Nicolausowi Steno. Według naszych źródeł biskup Steno i ojciec Kircher spędzali tu razem dużo czasu. Na dobrą sprawę to właśnie biskup zaniósł po śmierci czcigodnego kapłana jego serce do sanktuarium na Mentorelli.

– To doprawdy niezwykle interesujące – odparł Roland. – Dziękuję, siostrze.

Skłoniła głowę z nieznacznym uśmiechem, cofnęła się i zamknęła drzwi kościoła.

Gdy Roland ruszył za Grayem, Lena przysunęła się do niego.

– O co chodziło?

– Może o nic szczególnego, ale podczas studiów nad życiem Kirchera zetknąłem się z postacią Nicolausa Steno. Był duńskim uczonym, młodszym od Kirchera o kilkadziesiąt lat. Zajmowali się podobnymi dziedzinami nauki i zostali przyjaciółmi. Ale najciekawsze jest to, że przedmiotem badań Steno było to, co dzisiaj jest nazywane paleontologią. Analiza skamielin, starych kości i tak dalej.

– Sądzisz, że jeśli ojciec Kircher wszedł w posiadanie szczątków Ewy, jak uważał, to mógł w to wtajemniczyć przyjaciela.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki. Roland wskazał strome marmurowe schodki po prawej stronie.

– Z tego, co mówiła siostra Clara, wynikało, że ci dwaj ludzie zaangażowali się w coś sekretnego dotyczącego tej kaplicy.

Gray przystanął, żeby przyjrzeć się drugiej ścieżce, która prowadziła w dół, ku urwisku z ciemnym poziomym otworem.

– To jest pewnie ta słynna grota. – Wskazał osłonięty szkłem relikwiarz przy wejściu. Był pełen czaszek i kości. – Co to takiego?

– Ossuarium – wyjaśnił Roland. – Według przewodnika są to szczątki zakonników i braci, którzy pełnili tu posługę. Inskrypcja na marmurowym piedestale głosi: Pamiętaj: jesteś, czym byłem. Będziesz, czym jestem.



– To pewnie prawda, ale zdecydowanie złowieszcza. – Gray skierował się ku marmurowym stopniom i ruszył pod górę.

Lena podążyła w ślad za nim, ale spojrzała przez ramię na ossuarium.

– Miejmy nadzieję, że nie stanie się to w najbliższym czasie.

Roland uśmiechnął się.

I musiał się z nią zgodzić.

Gray poprowadził ich niebezpiecznie stromą Scala Santa. Stopnie wykonane były z białego marmuru, wygładzonego w ciągu wieków przez niezliczone sandały, pantofle i trzewiki. Niski murek po lewej stronie stanowił jedyne zabezpieczenie przed upadkiem w dół urwiska po tej stronie.

– Rozumiem, dlaczego nazywają to Świętą Drabiną – odezwała się Lena, dysząc z wysiłku.

– To w zamierzeniu wyzwanie i jednocześnie lekcja pokory dla pielgrzymów, którzy chcą dotrzeć do kaplicy – wychrypiał Roland.

– Z pewnością spełnia swoją rolę.

Roland, pokonując schody, patrzył w górę, osłaniając dłonią oczy. Mała, kryta dachówkami kaplica sprawiała wrażenie skromnej; jej sylwetka malowała się na tle błękitnego nieba, przywierając do półki skalnej nad drugą doliną. Cztery łukowato sklepione okna wychodziły na cztery strony świata.

Gdy dotarł do wejścia, był zdyszany. Zatrzymał się, żeby złapać oddech, i chłonął wzrokiem panoramę białych skalnych urwisk i zboczy porośniętych jodłami. W końcu, czując dreszcz niepokoju, obrócił się ku drzwiom kaplicy.

Co ukrył tutaj ojciec Kircher... i dlaczego?

Godzina 11.48

Lena przekroczyła próg za Rolandem i wkroczyła w mrok niewielkiej kaplicy. Po tak trudnej wspinaczce spodziewała się

ujrzeć coś wspaniałego i podniosłego, wewnątrz było jednak spartańskie. Jedynym ozdobnym elementem okazał się mały marmurowy ołtarz na przeciwległym końcu, z dopalającymi się świecami pod prostym kamiennym krucyfiksem. Pomieszczenie z łukowatymi oknami otwierającymi się na cztery strony świata było niewiele większe od garażu na dwa samochody.

Roland popatrzył na sklepienie i krzyżujące się kamienne łuki.

– To ta sama konstrukcja co w tej kaplicy w jaskini.

Miał rację i Lena zaczęła się zastanawiać: jeśli tamta kaplica została zbudowana po to, by pogrzebać w niej męskie szczątki neandertalczyka, to czy identyczna konstrukcja mogła stanowić odpowiedź na pytanie, co zrobiono ze szczątkami kobiety?

Ksiądz rozejrzał się.

– Siostra Clara mówiła, że znajdują się tutaj hieroglify.

Gray obchodził pomieszczenie, przesuwał palcami po ścianach pod oknami i przyglądając im się uważnie.

– Na wszystkich tych ceglach widać wyryte niewyraźne napisy. Biegną dookoła, szereg za szeregiem. Te na górze są po łacinie. Niżej po grecku.

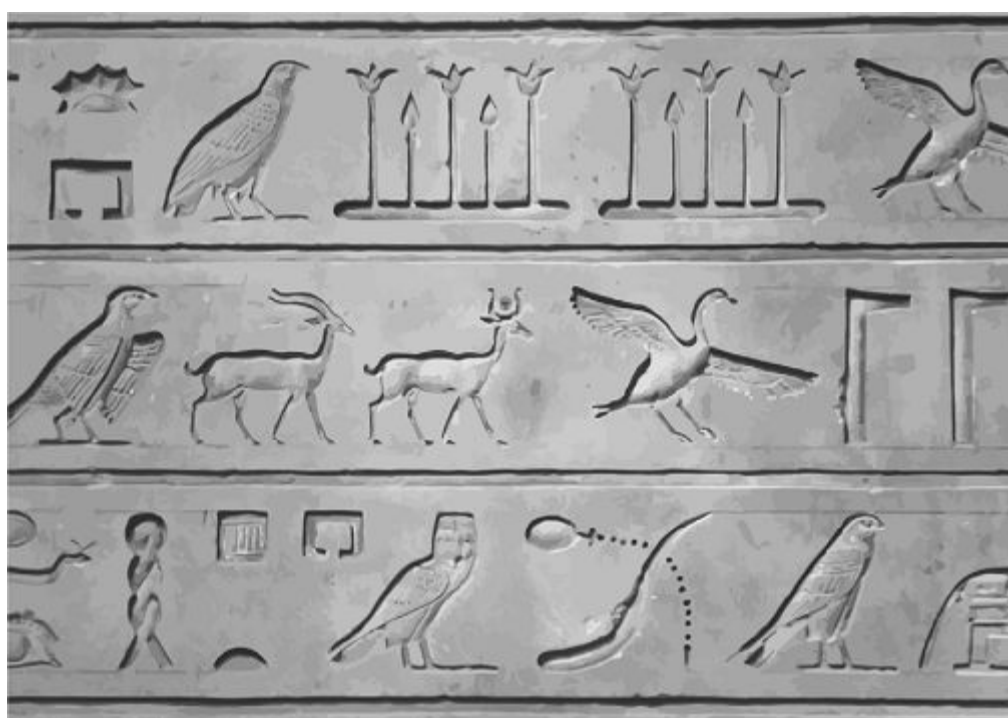
Lena podeszła do niego, gdy przyklęknął.

– Ten rząd to chińskie znaki. – Gray spojrział przez ramię. – A na samym dole biegnie pasmo egipskich hieroglifów.

Roland też przykucnął.

– Wygląda niemal tak, jakby umieszczał je tutaj według wieku, cofając się w czasie.

Lena przesunęła opuszkami palców po najniższym poziomie, pełna podziwu dla umiejętności Kirchera. Podążała wolno wzdłuż ścian, przyglądając się uważnie potrójnej linii hieroglifów tuż nad podłogą.



Roland trzymał się blisko niej.

– Jedną z największych ogłoszonych drukiem prac ojca Kirchera było trzypiętomowe dzieło pod tytułem *Oedipus Aegyptiacus*. To jego główny traktat o Egipcie, hieroglifach i starożytnej wiedzy. Łączył greckie mity, matematykę pitagorejską, arabską astrologię, historie biblijne i nawet alchemię, a wszystko po to, by pojąć uniwersalne źródło wszechwiedzy.

– Coś w rodzaju wielkiej jednolitej teorii inteligencji – zauważyła Lena.

Książdz skinął głową.

Odczuła nagle powinowactwo z tą historyczną postacią.

Maria i ja próbowałyśmy osiągnąć to samo, odkryć prawdziwe źródło ludzkiej inteligencji.

Gray przyglądał się rzędom hieroglifów.

– Możesz coś z tego przetłumaczyć?

Roland zmarszczył czoło.

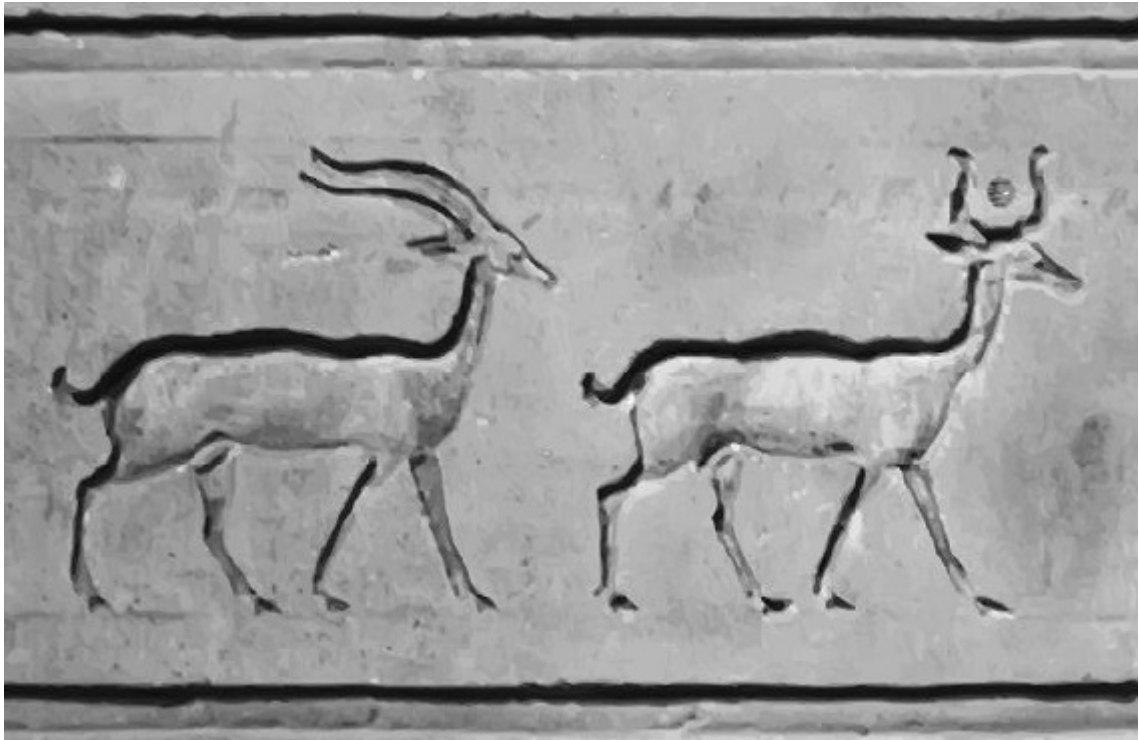
– Wszystko to prawdopodobnie jest pozbawione jakiegokolwiek sensu. Kircher uważał, że odkrył sposób rozszyfrowania hieroglifów, ale koniec końców oszukiwał samego siebie.

– Co więc możemy z tego wyczytać? – spytała Lena.

Nie znajdując satysfakcjonującej odpowiedzi, pograżyli się w milczeniu.

Po kilku minutach, gdy była już gotowa przyznać się do porażki, Gray poruszył się niespokojnie i przysunął do ściany.

– Spójrzcie tutaj. Na te dwie antylopy w środkowym rzędzie. Zauważcie, że ta po prawej stronie ma uniesione rogi. – Wskazał palcem małe wgłębienie między nimi. Potem popatrzył na Lenę i Rolanda. – To prawie jak hieroglificzne przedstawienie symbolu świętego Eustachego. Rogi jelenia i krzyż.



– Jak to, co znaleźliśmy w starym dzienniku Kirchera. – Lena przysunęła się bliżej. – Ale co to znaczy?

Gray obrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę.

– Mogę zobaczyć ten klucz, który znaleźliście?

Skinęła głową, wyjęła klucz z kieszeni i podała mu.



Przysunął czubek klucza do wgłębienia między rogami. Okazało się, że ma taką samą średnicę.

– Zwróćcie uwagę na tę centymetrową końcówkę trzpienia. Wygląda niemal jak stalowy wbijak.

Roland popatrzył na niego niepewnie.

– Chcesz tego użyć, żeby odetkać ten otwór?

Gray wyjął długopis i zaczął grzebać nim w zagłębieniu.

– To zdecydowanie luźniejszy materiał. – Potarł wygrzebane resztki między palcami. – Drobnny piasek i może wosk.

Ksiądz przełknął nerwowo ślinę i potarł się po brodzie.

– Spróbuj.

Komandor przysunął się bliżej, umieścił czubek klucza w odpowiednim miejscu, a potem uderzył mocno kłębem kciuka. Przy akompaniamencie typowego dla kamienia zgrzytu klucz zagłębił się do pierwszego ząbkowanego elementu. Gray wyciągnął go z powrotem i dmuchnął w powstały otwór.

– Chyba się udało – oznajmił. – Uderzenie odłupało nawet część zakrywającą pionową szczelinę u dołu. Wygląda na to, że ząbki będą

pasować.

By się upewnić, wyjął z pochwy w bucie sztylet i oczyścił jego czubkiem otwór. Potem ponownie spróbował użyć klucza. Musiał pchać i dźgać – wreszcie klucz wszedł do końca, razem z ząbkami, i zatrzymał się przy ozdobionym czaszkami uchwycie.

Gray popatrzył pytająco na Lenę i Rolanda.

Ten zamek z pewnością nie będzie działał po tylu wiekach, pomyślała Lena.

– Zrób to – rzucił ksiądz, w którego oczach błysnęła nadzieja. – Poza studiowaniem wymarłych języków ojciec Kircher był mistrzem inżynierii. Konstruował wszelkiego rodzaju mechaniczne urządzenia, od zegarów magnetycznych po nakręcane roboty. Miał nawet w swym rzymskim muzeum posągi, które mówiły, wzmacniając głos kogoś, kto przebywał w innym pomieszczeniu.

Mając pozwolenie duchownego, komandor ścisnął mocniej uchwyt klucza i przekręcił go zdecydowanym ruchem.

Lena wstrzymała oddech, nie bardzo wiedząc, czego może się spodziewać.

Z wnętrza ściany dobyło się echo zgrzytliwego szczęku. Po chwili u podnóża ołtarza zaczęła opadać wielka marmurowa płyta na ukrytych zawiasach, by utworzyć coś w rodzaju rampy prowadzącej w dół. Ze środka buchnęła chmura skalnego pyłu.

Lena stanęła w bezpiecznej odległości od otworu. Roland przysunął się do jej boku, a Gray wyjął klucz z zamka i przyłączył się do nich.

– To niemal jak ciemne lustro Świętej Drabiny na zewnątrz – wyszeptał Roland.

Lena myślała z niepokojem o czymś innym.

Dokąd ta droga prowadzi?

Seichan stała w cieniu klasztornych murów. Na przejmująco błękitnym niebie wisiało południowe słońce. Patrzyła, jak na prądach termicznych unoszących się znad nagranych gór krąży jastrząb. Powietrze pachniało świeżymi sosnami, wyczuwało się też nieznaczną woń krzewów różanych w pobliskich ogrodach. Słyszała niewyraźne głosy zakonnic wewnątrz budynku; ich słowa narastały i cichły w modlitewnych kadencjach.

Próbowała sobie wyobrazić, jak by to było żyć w takim osamotnieniu i odosobnieniu, trwać w zgodzie ze sobą i swoim bogiem. Jej dorastanie i wychowanie pełne było strachu i rozpacz, gdy walczyła o przetrwanie w slumsach południowo-wschodniej Azji. Tam ją zwerbowano i wyszkolono w brutalny sposób, by zmiażdżyć w niej resztki człowieczeństwa. Dopiero niedawno zaczęła się godzić ze swoją przeszłością i ruszyła ścieżką pozwalającą naprawić zło, jakie wyrządziła, i znaleźć choć odrobinę wewnętrznego spokoju.

Spokoju, któremu wciąż nie ufała.

Wiedziała, jak łatwo może być odebrany.

Spojrzała w stronę kościoła, ku kaplicy stojącej wyżej na wzgórzu. Widziała kilka minut wcześniej, jak Gray wspinał się tam z pozostałymi. Nie wątpiła w jego miłość, nie mogła też zaprzeczyć temu, co sama do niego czuje. Ale choć bardzo starała się to ukryć – a była mistrzynią w zakładaniu masek – nie potrafiła stłumić nieufności, jaką przy nim odczuwała. Prześladował ją strach, że go straci, i poczucie winy, że na niego nie zasługuje.

Ani na to nowe życie.

Dźwięk zamykanych drzwi znów przyciągnął jej uwagę do kościoła. W stronę niewielkiego parkingu zmierzała para w średnim wieku. Kobieta ujęła dłoń męża ruchem tak naturalnym i prostym, jaki towarzyszy ptakowi lądującemu na gałęzi. Powiedziała coś, co wywołało uśmiech na jego twarzy. Idąc razem, przysunęli się do siebie niedostrzegalnie. Był to stary jak świat taniec, który czerpał

siły z dwóch serc uderzających zgodnie, zsynchronizowanych dzięki upływającym latom w doskonały rytm.

Poruszyła się i zeszywniała. Ten widok ją irytował – nie dlatego, by im zazdrościła, wręcz przeciwnie. Uważała ich za naiwnych, szczęśliwie nieświadomych brutalnych realiów życia. Taka błogość była w jej przekonaniu złudzeniem, celową ślepotą, niczym zakładanie kłapek na oczy konia, by nie przestraszył się niebezpieczeństw czających się wokół.

Koniec końców, jedynie prawdziwy i trwały spokój przynosiła śmierć.

I nie zamierzam odejść bez walki.

Usłyszała jakiś warkot; przestała się interesować parą i spojrzała w stronę drogi. W górę, pokonując ostatnią serpentynę, wspinał się jasnoczerwony autokar ze smokiem wymalowanym na boku. Widywała podobne w całej Europie, pełne azjatyckich turystów z aparatami fotograficznymi; zawsze trzymali się razem, w jednym stadzie, trwając przy swojej kulturze jak przy fortyfikacjach broniących przed obcymi wpływami. Wiedziała, że niektóre agencje turystyczne zniechęcały nawet swoich klientów do kosztowania lokalnej kuchni, nakłaniając do korzystania z azjatyckich knajpek i restauracji.

Choć widok takiego autokaru był w Europie czymś zwyczajnym, Seichan przyczała się w cieniach klasztornego budynku. Wiedziała, że to jakaś chińska frakcja uprowadziła Kowalskiego i siostrę Leny i najprawdopodobniej zorganizowała zasadzkę w Ogulinie.

Na wszelki wypadek przysunęła się do wąskiego okna, otwartego na delikatny wiatr omiatający szczyt wzgórza. Głosy zakonnic pogrążonych w popołudniowej modlitwie nabrały mocy, napływając z wnętrza wiekowej budowli. Wcześniej obeszła cały teren, obserwując go z uwagą i wyszukując trasy podejścia i ucieczki.

Teraz, przykucnąwszy, nasłuchiwała chrzęszczenia żwiru pod kołami autokaru, kiedy zajechał na parking. Wykorzystała dogodny moment, żeby podskoczyć i wsunąć się przez okno do pustego



pomieszczenia w środku. Bezpiecznie ukryta przed wzrokiem, obserwowała autobus, który zatrzymał się w chmurze kurzu i spalin.

Po chwili jego drzwi otworzyły się z głośnym sapnięciem i z wozu zaczęli wysypywać się ludzie; rozprostowywali mięśnie, ziewali, sprawdzali aparaty. Przewodniczka grupy – małeńka kobieta w jasnoczerwonym żakiecie, pasującym do koloru karoserii autokaru – otworzyła parasolkę o tej samej barwie. Służyła jej jako osłona przed słońcem i jednocześnie centrum uwagi, gdy mówiła głośno w dialekcie mandaryńskim, starając się zebrać podopiecznych w jednym miejscu. Po krótkich sporach zaczęła prowadzić grupę do drewnianych drzwi kościoła.

Seichan przyglądała się uważnie turystom. Wszyscy byli Chińczykami w różnym wieku, od dzieci do przygarbionych staruszków. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest to oddział uderzeniowy. Mimo wszystko taki tłum stanowił doskonałą przykrywkę dla kogoś, kto chciałby się zbliżyć do jej towarzyszy. Obserwowała czujnie każdą osobę, zwracając uwagę na to, jak się rusza, z kim rozmawia, jak komunikuje się z pozostałymi.

Jej niepokój wzbudziło sześciu mężczyzn – wszyscy pod trzydziestkę albo po trzydziestce. Nie szli razem ani nie porozumiewali się z nikim. Zbyt intensywnie omiatali wzrokiem szczyt wzniesienia, a jeden trochę za długo przyglądał się ich SUV-owi. Kiedy się odwrócił, zauważyła wymowne wybrzuszenie pod lekką kurtką.

Mógł być to aparat – ale nie zamierzała w to wierzyć.

Cofnęła się od okna, próbując obmyślić jakiś plan, lecz jedno wiedziała z całą pewnością.

Czas spokoju dobiegł końca.

Godzina 12.32

Gray prowadził ich w dół ciemnymi schodami. Zejście było wąskie i zdradziecko strome; musieli posuwać się gęsiego. Oświetlał im drogę małą latarką, podczas gdy idąca za nim Lena trzymała włączoną komórkę, by lepiej widzieć stopnie. Powietrze było tu o kilka stopni chłodniejsze niż w zalanej słońcem kaplicy na górze i bardziej suche, niż się spodziewał.

Jakbyśmy wkraczali do zakurzonego egipskiego grobowca.

Roland przesunął palcami po ścianie.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że te schody prowadzą do jakiejś jaskini pod górami, podobnej do groty Świętego Benedykta.

Kiedy pokonali kolejne stopnie, przypuszczenie księdza okazało się słuszne – światło Graya zniknęło w jaskini. Była niewielka, miała niespełna pięć metrów długości. Gdy zszedł z ostatniego stopnia, obcas jego wysokiego buta zagłębił się w żwirze pokrywającym podłoże. Odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce towarzyszom. Chrzęst ich kroków w tej zamkniętej przestrzeni był głośny, ale nie na tyle, by stłumić pełne szoku westchnienia.

Lena podniosła wyżej telefon.

Ksiądz zachwiał się w miejscu; sprawiał wrażenie człowieka, który za chwilę osunie się na kolana.

Naprzeciwko stał tron wycięty w skale, na nim zaś siedziała wykonana z brązu postać Maryi Dziewicy. Stanowiła doskonałą replikę drewnianej Madonny w kościele – począwszy od wysadzanej klejnotami korony na głowie, a skończywszy na dzieciątku Jezus na kolanach.

– Jest piękna – wymamrotał Roland.

– Ale nie zeszedliśmy tu po to, żeby ją podziwiać – przypomniała mu Lena, studząc jego zachwyty. Przyjrzała się ścianom jaskini. – To tylko jeszcze jedna kaplica. Może prywatne miejsce Kirchera, gdzie modlił się do Maryi Dziewicy.

– Mimo wszystko... znaleźć takie miejsce, ukryte przez wieki... – W głosie księdza pobrzmiwała pasja bliska płaczu. – To cudowne.

Gray podszedł bliżej, przesuwając strumieniem światła po figurze.

– W tej chwili bardziej zajmują mnie odpowiedzi niż cuda. Na przykład dlaczego ojciec Kircher schował tutaj ten posąg.

Popatrzył w łagodne oczy Madonny, przypominając sobie, jak siostra Clara opowiadała, że Kircher chciał, by pochowano jego serce w kościele w zasięgu jej świętego spojrzenia.

Musi tu być coś więcej.

Skierował wzrok ku butom obsypanym żwirem. Ten granulowany materiał nie przypominał pozostałości po budowie, raczej żwirek dla kota. Roland oderwał uwagę od posągu, dostrzegając ruch Graya, który schylił się i podniósł kilka drobinek, a potem zaczął je obracać między palcami.

– Przypomina w dotyku to, co wygrzebałem z otworu na klucz. Jakiś rodzaj piasku.

Roland też się schylił i obejrzał materiał.

– To nie piasek – zawyrokował i uniósł głowę z nieznacznym uśmiechem na ustach. – To kamionka.

– Kamionka? – zdziwiła się Lena.

– Forma dwutlenku krzemu – wyjaśnił. – Jak to, co można znaleźć w tych torebkach wkładanych do buteleczek z tabletkami, żeby nie zawilgotniały.

Nic dziwnego, że powietrze wydaje się tutaj takie suche.

– Ten materiał był w czasach ojca Kirchera naukową osobliwością – ciągnął Roland. – Napisał całe rozdziały na temat jego syntezy i właściwości wysuszających. Używał go nawet do konserwacji wewnętrznych mechanizmów w swoich wynalazkach.

Lena spojrzała na schody.

– Jak ten zamek na górze.

Ksiądz skinął głową.

– Może nie tylko to – wtrącił Gray i zwrócił się do duchownego: – Czy nie wspominałeś, że Kircher konstruował ruchome posągi, z których kilka wystawiono w jego muzeum?

Roland otworzył szeroko oczy.

– Nie sądzisz chyba... – odwrócił się ku posągowi z brązu. – To niemożliwe.

Jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Gray podszedł do figury i zaczął omiatać ją strumieniem światła z latarki, domyślając się, co znajdzie. Odkrył to w koronie na głowie Maryi: otwór w kształcie krzyża w półksiężycu klejnotów.

Jak poroże.

Roland przeżegnał się, wymawiając szeptem modlitwę.

Lena była równie poruszona.

Gray wręczył księdzu latarkę i wyjął stary klucz Kirchera. Musiał wspiąć się na kolana posągu, żeby sięgnąć korony.

– Ostrożnie – rzucił ostrzegawczo Roland.

Komandor wsunął klucz w krzyż i umieścił na swoim miejscu. Potem wykonał nim pełen obrót – ale nic się nie stało. Spróbował jeszcze raz, znów bez powodzenia.

– Może coś jest uszkodzone. – Lena nerwowo skrzyżowała na piersi ramiona.

Gray ponawiał wysiłki, wyczuwając za każdym razem narastający opór.

– Jakby coś się w środku naprężało.

– Nie przestawaj – zachęcił Roland z błyskiem nadziei w oczach.

Gray, obracając klucz, wyczuwał przy każdym ruchu wzrastające napięcie. Rozumiał, na co ksiądz liczy.

Coś w ten sposób nakręcam.

Niebawem musiał się zmagać z kluczem, żeby nim obrócić, a małe stalowe czaszki wrzynały mu się w dłoń. A potem, wreszcie, coś trzasnęło wewnątrz posągu i brąz zadźwięczał jak dzwon.

Gray cofnął się wystraszony, wyjmując gwałtownym ruchem klucz z otworu.

Roland chwycił go za łokieć, raczej w geście osłupienia niż pomocy.

– Spójrzcie! – zawołał.

Z posągu dobył się cykający terkot, a w postaci Madonny pojawiła się ciemna szczelina, od korony aż do stóp. Figura rozwarła się, rozkładając na połowy, niczym sarkofag z brązu.

Tym razem nawet Grayowi wyrwało się z ust westchnienie.

Wewnątrz pustej rzeźby umieszczono pradawny szkielet. Ale nie był to bezładny stos kończyn i fragmentów czaszki. Kości zostały starannie poskładane i połączone brązem, w pozycji takiej samej jak Madonna. Postać sprawiała wrażenie błogiej; spoglądały na nich kościane oczodoły zwieńczone wystającymi łukami brwiowymi, różniącymi się anatomicznie od współczesnego człowieka.

– Znalezliśmy ją – wyszeptała Lena. – Znalezliśmy Ewę.

– To nie wszystko – powiedział Roland, przysuwając się bliżej posągu. – Spójrzcie, co trzyma.

W jednej ręce dzierżyła kość metrowej długości, jak miarkę; opierała ją o uda, naśladując Madonnę, która tak właśnie tuliła dzieciątko Jezus, ale nie to przyciągało przede wszystkim uwagę. Na jej kolanie balansowała kula z kamienia, wielkości mniej więcej grejpfruta.

Gray oświetlił ją, dobywając z mroku szczegóły wyryte na powierzchni – kratery w kształcie gwiazdy i gładkie płaszczyzny jezior.



– To rzeźba Księżyca – zauważył Roland. – Perfekcyjnie oddająca strukturę jego bliższej strony.

Lena przysunęła się do posągu.

– Nieprawdopodobne.

Gray nie rozumiał tej pełnej zdumienia reakcji. Roland pokazywał im wcześniej rysunki Kirchera przedstawiające powierzchnię Księżyca. Więc skąd to głębokie zdumienie, które zdradzały twarze tych dwojga? Zmarszczył zaskoczony czoło. Nic z tego nie pojmował.

– Coś nie tak? – spytał.

Lena popatrzyła na niego. Musiała przełknąć ślinę, nim się odezwała.

– Do kuli wciąż przywierają od tyłu ciemniejsze kawałki kalcytu. Nadal nie rozumiał.

– To nie pochodzi z czasów Kirchera – wyjaśnił mu Roland. – Musiało zostać zabrane z tamtej niszy w prehistorycznej galerii rzeźb, o której ci opowiadaliśmy. Wyrwano to z warstwy kalcytu, który ściekał przez tysiące lat i zamarzał na powierzchni kuli.

– Co oznacza, że ten model Księżyca liczy całe milenia – oznajmiła Lena.

Gray przyglądał się tajemniczemu przedmiotowi.

To było niemożliwe.

Ksiądz cofnął się o krok, unosząc dłoń do czoła.

– Nic dziwnego, że Kircher miał obsesję na punkcie Księżyca i badania źródeł pradawnej wiedzy – powiedział. – Tak jak my musiał uświadamiać sobie nieprawdopodobieństwo tego odkrycia.

– Może dlatego zapieczętował tamten system jaskiń – zasugerowała Lena. – I opatrzył surowym zakazem wkraczania w jego obręb.

– I dlatego, w końcu, ukrył wszystko tutaj – dodał Roland.

– Udowodnił tym samym, że jest prawdziwym naukowcem. – Dotknęła ramienia księdza. – Chronił i zachowywał swe znalezisko z myślą o potomności.

Roland westchnął.

– Strawił pewnie późniejsze lata życia na badaniu tych wszystkich sekretów i ujawniał jedynie garstce najbliższych współpracowników to, co wiedział – oznajmił. – I choć nigdy nie pojął w pełni swego odkrycia, najwyraźniej otaczał je czią.

Gray przyglądał się uważnie pięknej rzemieślniczej robocie mechanicznej Madonny i nie mógł się nie zgodzić ze słowami duchownego.

Lena wskazała ręką długi kij spoczywający w szkieletowych palcach neandertalskiej kobiety.

– Myślę, że wycięto to z jakiejś kości, może z mamuciego kła.

– Co to takiego? – spytał Gray.

– Nie wiem. Może kobieta się na tym wspierała. Sądząc po artretycznych zmianach widocznych gdzieś, była bardzo stara, kiedy umarła.

Komandor patrzył na kostur, wyczuwając, że jest to coś więcej niż tylko prehistoryczna laska, zważywszy zwłaszcza na jej eksponowane miejsce. Dostrzegał nawet nieznaczne nacięcia na całej długości; przypominało to jakiś pradawny pręt mierniczy.

Lena przysunęła się bliżej.

– Spójrzcie – rzuciła. – Mały palec tej dłoni jest zniekształcony z powodu jakiejś starej kontuzji.

– Złamany. – Roland spojrział jej przez ramię. – Taki sam jak ten, który zostawił ślady na tamtym miejscu pochówku.

– I w jaskini z niszami i posągami. Co oznacza, że to ta sama kobieta. To ona musiała wykonać malowidło ściennie i zapewne sporządziła to odwzorowanie Księżyca.

Gray trzymał się z tyłu, kiedy oboje skupiali uwagę na szkielecie. Ze swego miejsca dostrzegał coś, co tamci przeoczyli. Wewnętrzne powierzchnie połówek wydrążonego posągu Madonny kryły więcej tajemnic. Po jednej stronie wryto w metalu jakąś mapę. Był w stanie zidentyfikować dużą wyspę, ale inne szczegóły okazały się zbyt niewyraźne, by dało się je ocenić właściwie z takiej odległości.

W drugiej połowie, w rękawie z brązu, spoczywała oprawiona w skórę książka. Górna część była widoczna; znajdował się na niej znajomy pozłacany labirynt.

Kiedy skierował w tamtą stronę światło, jego ruch przyciągnął wzrok Rolanda. Ksiądz westchnął gwałtownie, uświadamiając sobie to, co Gray już rozumiał.

Roland sięgnął po książkę, ale po chwili się powstrzymał.

– To egzemplarz dziennika Kirchera.

Nim zdecydowali, co robić dalej, rozległ się sygnał komórki w kieszeni Graya. Odebrał i od razu usłyszał głos Seichan.

– Próbuję się do ciebie dodzwonić. Mamy towarzystwo.



# 13

Pekin

30 kwietnia, godzina 17.04 czasu miejscowego

– Według planu zoo wybieg dla goryli powinien znajdować się za następnym zakrętem – powiedział Monk.

Trzymając Kimberly za rękę, z podniesionym kołnierzem kurtki, szedł ścieżką, która wiła się między drzewami i małpimi klatkami z pleksiglasu. Spacerowali po pekińskim ogrodzie zoologicznym, wciąż udając męża i żonę.

Spojrzał na zegarek.

Wkroczyli do parku przed piętnastoma minutami, przechodząc przez wysokie łukowate bramy, które pyszniły się wspaniałymi płaskorzeźbami smoków. Ten majestatyczny początek wędrówki nie przygotował Monka na dość obskurny widok, jaki przedstawiało pekińskie zoo.

Większość zwiedzających kierowała się ku głównej atrakcji, Domowi Pandy, który dla ich wygody znajdował się tuż przy głównym wejściu. Jako siedziba narodowego skarbu Chin – wielkiej pandy – wyglądał nowocześnie i zachęcająco. Opierając się pokusie, by skręcić w tamtą stronę, Monk i Kimberly szli dalej.

To, co ujrzeli po chwili, było nie tylko zniechęcające, lecz wręcz bolesne.

Mijali właśnie wybieg, na którym siedziało stado złotowłosych małp. Szyba była brudna, wybieg nie prezentował się lepiej. Co gorsza, kilku zwiedzających przeszło pod barierką ochronną i pukało w szkło, krzycząc i drażniąc przerażone zwierzęta.

Na ile Monk zdążył się zorientować, takie zachowanie spotykało się z całkowitą akceptacją. Nie zjawił się żaden pracownik, by zwrócić komukolwiek uwagę. Wcześniej widzieli otwarty wybieg z mongolską niedźwiedzicą; cementowa podłoga była zaśmiecona odpadkami rzucanymi w biedne stworzenie: opakowaniami po cukierkach, papierowymi kubkami, serwetkami. Monk przyglądał się, jak rozbawiony nastolatek wylewa zawartość butelki coli na głowę przygnębionej niedźwiedzicy. Musiał się siłą powstrzymać, by nie wrzucić dzieciaka do wybiegu.

Kimberly wyczuła jego narastającą irytację.

– Wiem, że to budzi rozczarowanie – wyszeptała. – Brak należytej opieki, skandaliczne zachowanie ludzi, żalosny stan wybiegów...

– Żalosny to mało powiedziane. – Monk wskazał ręką za siebie. – To miejsce jest piekłem.

– Odzwierciedlenie rzeczywistości tego kraju – powiedziała, starając się go uspokoić. – Tak, nie przypomina to współczesnego ogrodu zoologicznego, ale z tego, co przeczytałam, zanim tu wylądowaliśmy, planuje się przeniesienie ogrodu na przedmieścia, gdzie ziemia jest tańsza, więc zwierzęta będą miały większe siedliska.

– Dlaczego z tym zwlekać? – spytał. – Skoro wpakowali tyle pieniędzy w wioskę olimpijską, mogli również zrobić coś tutaj. Chociażby zaangażować policję. Władze nie mają w tym kraju problemu z przywoływaniem obywateli do porządku. Dlaczego więc tolerują coś takiego? – Wskazał turystę, który kopał w ogrodzenie siedliska czerwonego lisa. Zwierzak trząśł się i kulił w głębi wybiegu. – Co się dzieje z tymi ludźmi? – mruknął.

– Musisz pamiętać, że dla Chińczyków zwierzęta to wciąż pożywienie, medycyna i źródło rozrywki. Kiedyś z tabliczek na klatkach można się było dowiedzieć, jakie części zwierzęcia stanowiły największy przysmak, a z jakich wyrabiało się najlepsze lekarstwa. – Kimberly obróciła się w jego stronę. – Sam więc widzisz, że już idzie ku lepszemu.

Zniechęcony, przyspieszył kroku, zmierzając w stronę sektora przeznaczanego dla dużych małp człekokształtnych. Do zamknięcia ogrodu pozostała godzina, chciał więc obejść w tym czasie jak największy teren. A że obszar ogrodu zoologicznego obejmował osiemdziesiąt hektarów, musieli się spieszyć. Plan polegał na tym, by skoncentrować poszukiwania na siedlisku małp człekokształtnych. Jeśli Baako zabrano do zoo, to logika nakazywała zacząć właśnie od tego miejsca.

Po zamknięciu ogrodu zamierzali obejść teren zewnętrzny w nadziei, że natrafią na jakikolwiek ślad Kowalskiego i Marii Crandall. W siedzibie Sigmy Painter starał się nadal namierzyć sygnał z nadajnika GPS-u, podczas gdy Kat pracowała nad szczegółową mapą tej okolicy, zarówno części naziemnej, jak i podziemnej.

Monk wlepił wzrok w swoje stopy. Z tego, co mówił im Painter, ogród miał wiele podziemnych obiektów, ale ich rozmiar i zasięg nie był dokładnie znany.

Kimberly zauważyła jego spojrzenie i domyśliła się, co mu chodzi głowie.

– Wszystko może się tam znajdować – zauważyła.

– To znaczy?

– Inną popularną atrakcją turystyczną w Pekinie jest Dǎxiǐ Chéng, podziemne miasto. Zbudowane w latach siedemdziesiątych jako schron przeciwlotniczy dla ludności, zajmuje ponad osiemdziesiąt kilometrów kwadratowych. Podobno prowadzi do niego ponad sto wejść, z których większość jest ukryta w sklepach i na ulicach. Niewielką część udostępniono zwiedzającym, ale reszta pozostaje zamknięta.

Monk próbował sobie wyobrazić tak ogromną infrastrukturę pod swoimi stopami.

– Myślisz, że może ciągnąć się równie daleko?

– Niewykluczone. Łączy większość ważnych punktów Pekinu: centralny dworzec kolejowy, plac Tiananmen, nawet Zakazane

Miasto.

Potarł w zamyśleniu brodę. Z pewnością warto by było to sprawdzić.

– Patrz – powiedziała Kimberly, znów skupiając jego uwagę na otoczeniu. – Szympanasy.

Monk rozejrzał się. Wydawało się, że dotarli w końcu do części ogrodu, w której przebywały małe człekokształtne.

Wybieg dla szympanasów nie przedstawiał się wiele lepiej niż te, które widzieli dotychczas. Szyby były pomazane, podłoga upstrzona odchodami i kałużami uryny. Zwierzęta sprawiały wrażenie przygnębionych, kulily się na betonie, iskając się nawzajem. Turyści walili w szyby i domagali się ich uwagi.

W sąsiednim pomieszczeniu siedział samotny goryl. Jego klatka przypominała betonową celę. Duże zwierzę przycupnęło w kącie, obrócone plecami do napastliwego gwaru na zewnątrz. Monk nie potrafił sobie wyobrazić, jak może wyglądać takie życie – całkowita izolacja, brak jakiejkolwiek stymulacji umysłowej, bezustanne drażnienie. Jeśli takie rzeczy działy się w stolicy Chin, to wolał nie myśleć o tym, co mógłby zobaczyć w jakimś mniejszym ogrodzie zoologicznym tego kraju.

– Nie widzę nawet śladu Baako. – Kimberly zniżyła głos do szeptu, rozglądając się po sąsiednich klatkach.

Choć Monk pragnął znaleźć uprowadzone zwierzę, musiał przyznać, że jest zadowolony, że nie ma go tutaj. Żadna żywa istota nie zasługuje na takie traktowanie.

Być może wyczuwając jego współczucie, goryl obrócił się w stronę Monka, spoglądając na niego oczami pełnymi zagubienia i żalości. Duże nozdrza rozdymały się, wężąc w powietrzu. Potem, sapnąwszy głęboko, obrócił się z powrotem do ściany.

Przykro mi, wielkoludzie. Gdybym mógł cię ocalić, zrobiłbym to, pomyślał Monk.

– To ślepa uliczka – rzuciła Kimberly.

Nie mógł zaprzeczyć.

– Zabierajmy się stąd – zdecydował.

Zanim kogoś zastrzele, dodał w myślach.

Szli dalej, kierując się z powrotem w stronę głównego wejścia. Pomijając wybiegi, teren ogrodu wyglądał atrakcyjnie – rozległe błękitne stawy, po których brodziły ptaki, strumienie z rosnącymi nad nimi wierzbami, drewniane pawilony i barwne kolumnady.

Ale nawet takie piękno nie mogło przyćmić cierpień, jakie tu zadawano.

Monk sposepniał jeszcze bardziej, przygnębiony tym, że nie znaleźli najmniejszego nawet śladu porwanych. Mimo wszystko żywił jeszcze jakąś nadzieję.

Maria i Baako nie byli sami.

No, dalej, Kowalski, daj nam jakiś znak.

Godzina 17.18

– Zrób to – warknął Kowalski.

Pokazał to towarzyszowi z celi, obrócony plecami do kamery zainstalowanej na zewnątrz. Nie był pewien, czy ktoś ich obserwuje, ale nie zamierzał ryzykować.

Baako wlepił w niego wzrok, sprawiając wrażenie niechętnego.

Kowalski pokazał na palcach „okay”, zachęcając goryla do współpracy. Rzecz musiała wyglądać odpowiednio. Przez ostatnią godzinę migał w miarę możliwości ukradkiem, próbując przetłumaczyć wszystko zwierzakowi.

Znowu pokazał.

Musisz, kolego... jeśli chcesz zobaczyć Marię ponownie.

Nie miał pewności, ile pojmuje jego włochaty towarzysz, ale ten plan był ich jedyną nadzieją.

Baako zawahał się, pohukując, wyraźnie zaniepokojony i przestraszony. Potem uniósł dłoń i postukał kciukiem w brodę, rozkładając przy tym sztywno palce. Mruknął pytająco.

Dla mamy?

– Zgadza się – potwierdził Kowalski, uświadamiając sobie, że Baako mówi o Marii.

Ten dzieciak jest cholernie bystry. Może się uda.

Przysunął się bliżej i schylił. Baako napotkał jego spojrzenie. Olbrzym skinął głową.

Teraz albo nigdy, mały gościu.

Baako wyciągnął wysoko rękę, potem machnął nią gwałtownie i walnął swego towarzysza w twarz, rozrywając mu policzek paznokciami. Kowalski nie spodziewał się aż tak silnego ciosu i poleciał do tyłu, zastanawiając się, czy wciąż ma głowę na karku.

Baako skulił się odrobinę.

Kowalski usiadł na cementowej podłodze i zaczął się cofać przed Baako, pokazując jednocześnie ukradkiem:

Nic mi nie jest.

Potem zwinął palce i wycelował je w Baako, dając mu do zrozumienia, by zaatakował ponownie.

Goryl zaszarżował. Kowalski nie musiał udawać strachu, gdy cofał się pospiesznie. Baako był znacznie silniejszy, niż się wydawało. Zwierzak wpadł na człowieka, waląc go barkiem w pierś i rzucając na kraty.

Kowalski sapnął, żeby złapać oddech, którego pozbawił go impet uderzenia, i wrzasnął ile sił w płucach:

– Hej! Niech ktoś mi pomoże! Zabierzcie mnie stąd!

Chwilę później na końcu korytarza otworzyły się gwałtownie drzwi. Kowalski zerknął przez ramię i zobaczył dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy biegli w jego stronę, jeden z paralizatorem, drugi z karabinem.

Stłumił jęk rozczarowania. Liczył na to, że pojawi się tylko jeden strażnik, ktoś, z kim bez trudu by sobie poradził, zyskując szansę ucieczki.

A więc trzeba przejść do planu B.

Nim strażnicy zdążyli się zbliżyć, uniósł obie ręce do piersi i wykręcił nimi. Wyglądało to tak, jakby próbował się obronić, ale w rzeczywistości był to prosty znak.

Bądź agresywny.

Baako nie potrzebował zachęty, by sprawiać wrażenie rozzłoszczonego. Oczy błysnęły mu wściekłością na widok żołnierzy i wydającego trzaski pręta. Stał twardo dwa metry dalej, wspierając się na kłykciach jednej dłoni, a drugą, zwiniętą w pięść, uderzał w pierś, groźnie obnażając kły.

– Wypuście mnie stąd! – wrzasnął Kowalski.

Strażnik z paralizatorem wsunął pospiesznie klucz do zamka i szarpnął drzwi, a potem zamachał na Baako iskrzącym końcem swojej broni. Dało to Kowalskiemu szansę ucieczki. Przepychał się w panice ze strażnikiem, nim został w końcu wypchnięty na zewnątrz.

Drugi żołnierz stał w bezpiecznej odległości z karabinem przy ramieniu, celując na przemian w goryla i człowieka.

Kowalski dał Baako ukradkiem znak, opuszczając dłoń.

Cofnij się.

Baako fuknął głośno, wyraźnie poirytowany, ale posłuchał, po czym potruchtał na czworakach w głąb klatki.

Strażnik zatrzasnął z głośnym brzękiem drzwi i zamknął je na klucz.

Kowalski dotknął szram na twarzy, rozmazując krew, tak by jego obrażenia wyglądały jeszcze gorzej.

– Chciał mnie chyba zabić – poskarżył się.

Obaj żołnierze rozmawiali w dialekcie mandaryńskim. Dopiero teraz Kowalski rozpoznał strażnika z paralizatorem. To był ten sukinsyn, Gao, szef grupy, która ich uprowadziła. Drań zaprowadził dokądś Marię, a teraz wrócił, żeby skontrolować pozostałych więźniów.

Gao splunął przez kraty na Baako, a potem ponaglił Kowalskiego, grożąc mu paralizatorem. Ten z karabinem pilnował go z drugiej strony.

Olbrzym uniósł ręce, starając się wyglądać na potulnego.

– Zaprowadźcie mnie do doktor Crandall. Powinna się o tym wszystkim dowiedzieć.

Nikt mu nie odpowiedział, więc dał się po prostu wyprowadzić z bloku więziennego. Nim drzwi się za nim zamknęły, zerknął na Baako; miał wyrzuty sumienia, że porzuca tego małego gościa na pastwę losu. Zacisnął uniesione dłonie w pięści i przycisnął je do piersi.

Bądź dzielny.

Godzina 17.22

Baako patrzy, jak duży człowiek odchodzi, widzi, jak zamykają się drzwi. Pamięta jego ostatnie słowa, ale nie znajduje w sobie niczego prócz strachu. Nie pomaga też to, że jego czuły nos wychwytuje woń krwi pod paznokciami. Trudniej mu oddychać, musi się więc osunąć na podłogę.

Obejmuje kolana; wolałby obejmować mamę.

Rozgląda się z wolna po pomieszczeniu. Nie ma tu zabawek, tablicy do rysowania, lin. Spogląda w stronę jedzenia w wiadrze, ale nie czuje głodu.

Czuje tylko strach.

Przywiera plecami do najdalszego kąta, odwrócony od cuchnącej kupy – od miejsca, w którym kazał mu się załatwić duży człowiek. Nie ma tu toalety jak w domu. Wstydzi się – nie tylko dlatego, że uczono go, by nie załatwiał się na podłodze, ale też dlatego, że wie, co duży człowiek tam ukrył.

Wyraża głośnym fuknięciem swoje zagubienie, swoją frustrację.

Pociera się kciukiem o brodę, kołysząc się na boki.

Mama, mama, mama...

Nagle rozlega się głośny dźwięk – ryk, przenikliwy krzyk. Dociera zza wielkich błyszczących drzwi na drugim końcu pomieszczenia. U



góry świecą czerwone litery, gniewne niczym ostrzeżenie. Coś wali mocno o te drzwi.

Baako nieruchomieje, bojąc się poruszyć; nie chce przyciągnąć do siebie tego, co tak głośno krzyczy. Jego cienkie włoski drżą ostrzegawczo. Słyszy w tym ryku krew, tak jak wyczuwa ją na swoich palcach. Jego dwie matki opowiadały mu wieczorem historie, często z obrazkami. W niektórych występowały potwory: cienie kryjące się pod łóżkiem albo trolle chowające się pod mostami.

Przypomina sobie, jak mama mu mówiła, że trolle zjadają kozy.

Baako nie wie, co wydało z siebie ten ryk, który cichnie, ale boi się, że może się stać kozą z tamtej historii.

Odwraca się od błyszczących drzwi ku podwójnym drzwiom na drugim końcu pomieszczenia, tam gdzie zniknął duży człowiek, ale myśli o kimś innym.

Mamo, gdzie jesteś?

Godzina 17.42

Maria krążyła po pokoju w kształcie ośmioboku. Podłoga była z wypolerowanego betonu, ściany pokrywał biały gładki tynk. Otaczały ją zewsząd oszklone nisze z pradawnymi artefaktami i narzędziami; ich wiek kontrastował z nowoczesną sterylnością wnętrza.

Doktor Dayne Arnaud stał przed jedną z tych gablot, lekko zgięty wóół, ręce trzymał za plecami. Patrzył na kamień wielkości ludzkiej pięści, odpowiednio obrobiony, by służyć jako prehistoryczna siekiera. Jednak niepokój malujący się na jego twarzy dowodził, że nie interesuje się zbytnio tym, czemu się przygląda, lecz stara się jedynie zapomnieć na chwilę o swoim położeniu.

Rozumiała to. Brutalna i niespodziewana egzekucja profesora Wrightsona przygnębiła ich oboje.

Zerknęła w stronę dwóch uzbrojonych strażników trzymających wartę przy drzwiach. Jiaying Lau sprowadziła ją i Arnauda do podziemnego kompleksu pod powierzchnią zoo i zostawiła w sali muzealnej, obiecawszy, że niebawem wróci.

Od tej pory upłynęła ponad godzina, a Maria miała nerwy napięte jak struny fortepianu. W końcu stanęła obok francuskiego paleontologa.

Może, gdybyśmy wymienili się spostrzeżeniami...

– Doktorze Arnaud – odezwała się, odciągając jego uwagę od kamienia. – Ma pan jakieś przypuszczenia dotyczące tego, co się tu dzieje?

Zerknął w stronę wyjścia i pokręcił nieznacznie głową.

Westchnęła, starając się uporać z tym wszystkim.

– Najwidoczniej prowadzi się tu jakieś badania genomiczne, związane z pradawnym DNA – powiedziała. – Ale dzieje się coś jeszcze, coś, co Chińczycy trzymają w ścisłej tajemnicy. Czy kiedy już was porwano, pana i profesora Wrightsona, zdołał pan cokolwiek podsłuchać?

– Hélas, docteur Crandall – zaczął Arnaud, ale po chwili przeszedł na angielski. – Przykro mi. Niestety, nie znam dialektu mandaryńskiego, więc to, co do mnie dotarło, było całkowicie niezrozumiałe.

Była w identycznej sytuacji.

– Ale z tego, co tu zgromadzono, mogę wysnuć pewne przypuszczenia – dodał Francuz.

– Co pan ma na myśli?

– Pokażę pani.

Zaprowadził ją do jednej z większych gablot. Na półce, oświetlona tylnym panelem, spoczywała masywna czaszka, znacznie większa niż ludzka, ale o podobnych cechach.

Coś z rodziny małp człekokształtnych, domyśliła się Maria.

– Nigdy nie znaleziono niczego takiego – powiedział, a ona dosłyszała w jego głosie zazdrość. – W każdym razie w równie

doskonałym stanie.

– Co to jest?

– Wymarły gatunek goryla. Gigantopithecus blacki. Takie stworzenia zamieszkiwały wyżyny południowych Chin i Wietnamu, dopóki sto tysięcy lat temu nie wymarły.

Oceniła rozmiar czaszki.

– Musiał być ogromny.

– En effet – przyznał. – Miał trzy metry wzrostu i ważył co najmniej pięćset kilogramów.

Próbowała wyobrazić sobie taką półtonową bestię.

– Wszystko, co wiemy o tym gatunku, opiera się na kilku siekaczach i paru fragmentach szczęki – ciągnął Arnaud. – Pierwsze zęby znaleziono w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku w sklepie zielarskim w Hongkongu.

– Co tam robiły?

– W przypadku chińskiej medycyny skamieniałe kości ścierano często na proszek, żeby wyrabiać z niego eliksiry.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z tym, co się tu dzieje?

Popatrzył na zgromadzone w pomieszczeniu zbiory.

– Sądząc po tych okazach i kilku innych, zaryzykowałbym twierdzenie, że ktoś dokonał niebywale ważnego odkrycia, znalazł jakieś miejsce pełne skamielin i szczątków, które mogą rzucić zupełnie nowe światło na nasze wczesne dzieje.

Spojrzała ze zmarszczonym czołem na czaszkę goryla.

– Nasze dzieje? Co pan ma na myśli?

– Tak jak powiedziałem, Gigantopithecus wymarł zaledwie sto tysięcy lat temu, co oznacza, że żył w tym samym czasie co wczesny człowiek w tamtym regionie. – Podszedł do kolejnej gabloty. – Proszę spojrzeć na wszystkie te kości, rogi i narzędzia kamienne, które tu wystawiono. Sądzę, że pochodzą z górnego paleolitu.

Skinęła głową. Dzięki swoim badaniom знаła ten okres dobrze. To wtedy neandertalczyki koegzystowali z ludźmi i garstką innych plemion hominidów, które wciąż funkcjonowały: z denisowianami,

podobnymi do hobbitów *Homo floresiensis*, a nawet z nielicznymi spośród ocalałych krewnych *Homo erectus*.

Był to punkt zwrotny w dziejach ludzkości.

Arnaud skierował jej uwagę na kamienną toporną figurkę, przedstawiającą ciężarną kobietę w przysiadzie eksponującym jej duży brzuch.

– Takie wenusjańskie postaci często pojawiały się w górnym paleolicie. Wenus z Willendorfu, Wenus z Laussel i tak dalej. Jeśli dobrze się pani przyjrzy, dostrzeże pani ślady czerwonej ochry na tych figurkach, widomy znak zachowań rytualnych.

– Więc uważa pan, że cała ta kolekcja pochodzi ze stosunkowo krótkiego okresu w dziejach?

– Nie tylko z krótkiego okresu, ale też z tego samego miejsca. Sądząc po obecności tej nietkniętej czaszki gigantopiteka, powiedziałbym, że zgromadzone tu artefakty pochodzą gdzieś z południowej części Chin, może z Himalajów. Co doprowadza nas do tego nadzwyczajnego okazu. – Podszedł z nią do następnej gabloty z kolejną czaszką, tym razem znacznie mniejszą. – Proszę zwrócić uwagę w tym przypadku na połączenie cech archaicznych i współczesnej anatomii. Płaska twarz, wydatne kości czaszki, szeroki nos.

– Wygląda na człowieka.

– Ale niezupełnie. – Spojrzał na nią. – Ta czaszka należy do ludzi zamieszkujących jaskinie... do plemienia, które zostało dopiero niedawno odkryte na terenie południowych prowincji Chin. Są nazywani ludźmi z Jaskini Czerwonego Jelenia, a ich istnienie wciąż zastanawia paleontologów i archeologów.

– Dlaczego?

– Bo nie powinni istnieć. Przez bardzo długi czas przyjmowano, że neandertalczyki byli ostatnimi z naszych najbliższych krewniaków, a potem, jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy lat temu, wymarli. Tyle że kości ludzi z Jaskini Czerwonego Jelenia pochodzą z okresu sprzed zaledwie jedenastu tysięcy lat.

Otworzyła szeroko oczy. W geologicznym czasie było to ledwie mgnienie oka.

– Większość paleontologów uważa ich za podgatunek ludzi, krzyżówkę Homo sapiens i starszego plemienia hominidów, denisowian, co tylko dowodzi, że nasz przodek jest znacznie bardziej złożony, niż wcześniej podejrzewano.

Wiedziała już, że to prawda. Udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że ludzie mieli geny zarówno neandertalczyków, jak i denisowian, których populacja różniła się procentowo w zależności od danego obszaru. Ale wiele wciąż pozostawało tajemnicą, na przykład ostatnie wyczerpujące badania dowodziły, że nasze genetyczne dziedzictwo zawdzięcza bardzo dużo dotąd nieznannej archaicznej grupie.

Zaintrygowały ją wszelkie związane z tym możliwości.

Gdyby dało się rozwiązać tę zagadkę, to czego można by było się dowiedzieć o naszej przeszłości?

– Sądzi pan, że właśnie to badają tu Chińczycy? – spytała. – Próbują odtworzyć genetyczne korzenie wszystkiego, co uczyniło nas ludźmi?

– Nie wiem. – Powiódł spojrzeniem po sali. – Ale sądząc po nieskazitelnym stanie tych skamielin i szczątków, z których wszystkie noszą oznaki tego istotnego momentu w czasie, Chińczycy odkryli coś ważnego... coś, co uznali za dostatecznie cenne, by ukryć to przed całym naukowym światem.

Pomyślała o kosztach budowy tego podziemnego kompleksu laboratoryjnego. Musiał być znaczny, niemal taki, jakiego wymagał projekt Manhattan. Ale jeszcze bardziej niepokojące było pytanie, kto to wszystko nadzoruje.

Spojrzała na umundurowanych strażników.

– Jeśli nie myli się pan co do tego odkrycia, to dlaczego sprawuje nad tym pieczę chińska armia?

Arnaud zmarszczył brwi.

– Może to, co odkryli, zamierzają wykorzystać w celach militarnych.

Maria westchnęła głęboko; była przerażona tym, co to może oznaczać.

– Z drugiej strony, doktor Crandall, czy pani badania nie były finansowane przez DARPA, wydział naukowy armii amerykańskiej?

Bez wątpienia prawda.

Czy mam czystsze ręce?

Pieniądze płynęły z wydziału zwanego Biurem Technologii Biologicznych, którego zadanie polegało na penetrowaniu granicy między naukami biologicznymi i fizycznymi. Nim przyjęła grant, zapoznała się z innymi projektami biura; wiele z nich dotyczyło zwiększenia możliwości bojowych żołnierza w różnoraki sposób, poprzez zaawansowane protezy i implanty korowe. Ale jeden z nich miał też na celu podniesienie ludzkiej inteligencji na wyższy poziom poprzez manipulacje genetyczne. Podejrzewała, że prowadzone wspólnie z Leną badania nad Baako są powiązane z tym dalekosiężnym zamierzeniem.

Zamknęła oczy, nie mogąc już dłużej zaprzeczać prawdzie. Czy jej się to podobało, czy nie, na świecie narastał biotechnologiczny wyścig zbrojeń. Obie, ona i siostra, brały w nim udział.

Ale dla kogo tak naprawdę pracowałyśmy? Ujrzała w myślach uśmiechniętą twarz Amy Wu. Dla Chin czy Stanów Zjednoczonych?

Westchnęła, uświadamiając sobie, że jeśli chce żyć, to w obecnej sytuacji nie ma wielkiego wyboru. Pamiętała brutalną lekcję, jaką była egzekucja profesora Wrightsona.

Będiesz użyteczna... albo martwa.

Popatrzyła w stronę wyjścia, wiedząc doskonale, kto będzie decydował o jej losie.

Jakby na zawołanie drzwi się otworzyły, a ona zobaczyła człowieka prowadzonego przez uzbrojonego żołnierza. Nie był to jednak ktoś, kogo Maria się spodziewała.

Kowalski wszedł niepewnym krokiem do pomieszczenia i popatrzył ze złością na człowieka z pistoletem – był to ten drań Gao – a potem obrócił się do Marii. Na lewym policzku miał świeży opatrunek i był ubrany w szary kombinezon.

– Tu jesteś – mruknął.

– Co się stało? – Przyglądała się jego twarzy. – Czy Baako...

Olbrzym dotknął opatrunku.

– Dostał szau. Zaatakował mnie.

Maria poczuła, jak zamiera w niej serce, ale Kowalski rozprostował palce i podniósł je szybko pod brodę, dając jej znak.

Kłamię.

Popatrzył na nią znacząco.

– Powinniśmy pójść do niego razem i spróbować go uspokoić.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Gao wepchnął go w głąb pokoju.

– Generał powiedziała, że macie tu poczekać.

Kowalski zacisnął szczęki, wyraźnie niezadowolony.

Wygląda na to, że na razie nigdzie się nie ruszymy.

Bez jakichkolwiek wyjaśnień Gao odwrócił się na pięcie i wypadł z sali, nie kryjąc zdenerwowania.

– O co chodzi? – spytała Maria.

Olbrzym popatrzył na nią twardo.

– Myślę, że nas zlokalizowali – oznajmił szeptem.

Godzina 18.05

– Jestem pewien, że mój brat nie zostawił Amerykanom żadnego śladu – przekonywał Chang Sun. Podpułkownik stał na baczność, ale oczy płonęły mu gniewem. – Ręczę za to swoim życiem.

A ja będę cię trzymała za słowo, pomyślała Jiaying.

Przebywała w biurze ochrony kompleksu. Wcześniej otrzymała ostrzeżenie z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, które nadzorowało operacje wywiadowcze Chińskiej Republiki Ludowej.

Pogłoski docierające ze służb USA dowodziły, że Amerykanie domyślają się, kto stał za atakiem na ośrodek badań naczelnych pod Atlantą. A jeśli tak, to musiała zakładać, że mogą przysłać tu swoich ludzi.

Jeśli już tego nie zrobili...

By zorientować się w sytuacji, osobiście zeszła do biura, głównego centrum kierowanego przez Changa. Było to z jej strony celowe najście, by pokazać, jak bardzo jest wściekła – dowód, że nie ma zaufania do fachowości podpułkownika.

Przesunęła spojrzeniem po szeregu monitorów zakrywających trzy ściany pomieszczenia. Niżej, przy stole w kształcie podkowy, siedzieli zazwyczaj technicy, obserwując obraz z różnych kamer zainstalowanych w podziemnym kompleksie i ogrodzie zoologicznym na powierzchni. Kazała wszystkim wyjść, żeby pomówić z Changiem na osobności.

Nie zwracała uwagi na jego wzburzenie wywołane jej reprimendą, tylko wpatrywała się w monitor, na którym widać było siedzącego w swojej klatce i przygnębionego goryla doktor Crandall.

– I kazał pan sprawdzić dokładnie ciało tego zwierzęcia i całe pomieszczenie, żeby stwierdzić, czy nie znajdują się tam jakieś nadajniki?

– Gao właśnie to zrobił. Wcześniej poddał mężczyznę kontroli osobistej. Niczego nie znalazł. Tak jak powiedziałem, mój brat nie popełnił żadnego błędu, który mógłby skierować na nas podejrzania Amerykanów.

– Ale według doniesień Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego tak właśnie jest.

– Wobec tego musieli się dowiedzieć czegoś od tej agentki w wydziale naukowym Białego Domu. Kto wie, co doktor Wu powiedziała im przed śmiercią albo co Amerykanom udało się ustalić potem?

Jiaying musiała przyznać, że jest to prawdopodobny scenariusz; na szczęście doktor Wu nie знаła żadnych szczegółów dotyczących



tych laboratoriów. Mimo wszystko generał nie zamierzała chwilowo odpuścić Changowi ani jego młodszemu bratu. Musiała się najpierw upewnić, że Amerykanie nie mają pojęcia o istnieniu tego ośrodka.

– Co z doktor Crandall? – spytał Chang.

Kobieta skupiła uwagę na drugim monitorze, na którym można było obserwować z lotu ptaka pomieszczenie z przebywającą w nim Amerykanką i francuskim paleontologiem. Dołączył do nich opiekun goryla, przyprowadzony tam przez Gao.

– Wezmę ze sobą technika i sprawdzę ją na miejscu – powiedziała. – Wciąż mam z nią dużo do omówienia.

– Wierzy pani, że zechce współpracować?

– To będzie w dużej mierze zależało od tego, czy zdoła pan schwytać jej siostrę. Jak rozwija się sytuacja we Włoszech?

Jiaying z wielką przyjemnością wytknęła Changowi kolejne niepowodzenie. Wszystko wskazywało na to, że Lena Crandall przeżyła w chorwackich jaskiniach i uciekała z niewielką grupą ludzi, których tożsamość i powiązania wciąż pozostawały nieustalone. Zagadką była też ta dziwna ścieżka, którą Lena i jej towarzysze podążyli we Włoszech.

Nie miało to sensu.

Po co wybrali się do jakiegoś odległego katolickiego sanktuarium?

– Wszystko powinno być załatwione w ciągu godziny – oznajmił sztywno Chang.

– Miejmy nadzieję, że w sposób satysfakcjonujący. Sugeruję, by właśnie na tym się pan skupił, a kwestię ewentualnej współpracy doktor Crandall pozostawił mnie.

Spojrzała na kolejny ekran, tym razem ciemny. Potrzeba było specjalnego klucza, by go uruchomić – klucza, który miała tylko ona i Chang. Po włączeniu monitora ukazywało się na nim wnętrze Arki. Problemy, z jakimi musiał się zmierzyć ośrodek, można by

rozwiązać o wiele szybciej, gdyby na miejscu pojawiły się obie siostry.

Z drugiej strony, gdyby zaszła taka konieczność, Jiaying poradziłaby sobie z pomocą tylko jednej bliźniaczki.

Odwróciła się do Changa i przeszła go lodowatym spojrzeniem.

– Proszę dopilnować, by teren zewnętrzny był pod stałą obserwacją. I zwracać szczególną uwagę na obcokrajowców.

– A mój brat?

Ruszyła w stronę drzwi.

– Niebawem zjawi się pracownik ministerstwa, żeby przesłuchać Gao. Potem niech pański brat opuści ośrodek i zaczeka do chwili, aż w pełni ocenimy konsekwencje jego błędów.

– Ale...

– Kwestionuje pan moje rozkazy, Zhôngxió Sun?

Czuła na plecach jego palące spojrzenie. Wolą rozdzielić braci i pozbawić Changa jakiegokolwiek wsparcia. Wiedziała, że podpułkownik będzie wykazywał więcej rozwagi i szacunku, mając świadomość, że kariera Gao jest zagrożona.

– Bù, Shrójińg Lau – powiedział.

Uśmiechnęła się, słysząc w głosie Changa uniżoność.

No, teraz już lepiej.

Wyszła z pomieszczenia, gotowa równie skutecznie nagiąć do swej woli kogoś innego.

Godzina 18.18

Maria rozkładała szeroko ręce, podczas gdy technik w białym fartuchu laboratoryjnym przesuwiał wzdłuż jej ciała elektronicznym wykrywaczem. Generał Lau stała z boku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Poprosiła Marię, by ta poddała się rewizji, ale nie wyjaśniła ani słowem, dlaczego ma to zrobić.

Domyślam się, przemknęło przez głowę Marii.

Chińczycy musieli podejrzewać obecność nadajnika GPS-u, ale z tych przypadkowych poszukiwań wynikało, że nie są do końca pewni. Odnosiło się wrażenie, że robią to na wszelki wypadek, dla spokoju sumienia. Maria spojrzała ponad ramieniem mężczyzny w stronę Kowalskiego. Wyglądał na nieporuszonego. Strażnicy już go zapewne przeszukali, użyli też wykrywacza w przypadku Baako.

Technik powiedział coś w dialekcie mandaryńskim do Jiaying, pochylając nieznacznie głowę, po czym się odsunął. Maria domyślała się, co przekazał przełożonej: „Jest czysta”. Co się więc stało wcześniej z nadajnikiem? Czy Kowalski zdołał ukryć go w celi? Czy może Baako go połknął?

Prześladowało ją tak wiele pytań, ale nim zdążyła wyciągnąć cokolwiek od swego towarzysza, Jiaying znów się pojawiła.

Generał podeszła do niej.

– Skoro mamy to już za sobą, doktor Crandall, możemy kontynuować naszą wcześniejszą rozmowę na temat badań, które są tu prowadzone. Wierzę, że gdy już doceni pani w pełni to, co staramy się osiągnąć, zechce pani w tym uczestniczyć.

Akurat, pomyślała Maria, ale odwróciła się i rozejrzała po ośmiokątnej sali pełnej skamielin i kości.

– Zaryzykowałabym twierdzenie, że wasz projekt ma na celu stworzenie za pomocą genetyki bardziej odpornego żołnierza.

Jiaying nie okazała żadnej reakcji, skłoniła tylko lekko głowę.

– Być może tak to wygląda na pierwszy rzut oka, ale źródłem największych osiągnięć nauki zawsze były bardziej podstawowe potrzeby świata.

– Innymi słowy, potrzeba jest matką wynalazku – zauważyła Maria.

– Taka jest prawda od zarania dziejów. Ale bardzo często to, co finansuje w tajemnicy wojsko, dociera w końcu do szerszego świata. Chociażby internet. Zaczął się od niewielkiej militarnej sieci informacyjnej, ale niebawem osiągnął rozmiary globalne. To samo

dotyczy przeszkód, które dzisiaj tu pokonujemy. Jutro zmienią one losy ludzkości.

– Ale pani mówi o trwałej zmianie ludzkiego genomu. Kto wie, jakie to na dłuższą metę przyniesie szkody?

Jiaying westchnęła.

– Nie myśli pani racjonalnie. Ludzka aktywność już zmienia nasz genom. Palenie tytoniu wywołuje mutacje w ludzkim nasieniu. W przypadku starszych mężczyzn, którzy płodzą dzieci, prawdopodobieństwo przekazania podobnych mutacji jest znacznie większe. Jedyna różnica polega na tym, że są one przypadkowe. Dlaczego więc nie poddać kontroli tak niszczycielskich dla naszego genomu konsekwencji?

– Słowo kluczowe: kontrola. To, o czym pani mówi, jest śliską drogą ku eugenicie. Życie ludzkie stanie się tworem inżynieryjnym. Będzie się projektować dzieci, a słabsze jednostki zostaną wyplenione jak chwasty albo zredukowane do poziomu drugiej klasy. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

– Nic dobrego? Moglibyśmy usunąć choroby dziedziczne, leczyć raka, przedłużać życie i... owszem, moglibyśmy nawet poprawiać naturę. Od kiedy to natura jest nieomylna? Dlaczego to takie straszne wyobrazić sobie, że ludzkość ujmuje ster własnej ewolucyjnej przyszłości? Nawet pani kraj nie zakazał oficjalnie zajmowania się takimi kwestiami.

Maria wiedziała o tym aż za dobrze. Jej badania też można było interpretować jako krok w tym właśnie kierunku. Na czym polegała etyczna różnica między stworzeniem Baako w laboratorium a robieniem tego samego z ludzkim życiem?

Ciszę, która zapadła, przerwał Dayne Arnaud.

– General Lau, czy odkryła pani coś, co skierowało panią na taką drogę? Coś dostatecznie ważnego, by podjąć ryzyko stworzenia w tajemnicy podobnego kompleksu. Mogę spytać, co to jest?

– Dziękuję, doktorze Arnaud, że mi pan przypomniał. Dlatego sprowadziłam was oboje tu, na dół. – Chinka podeszła do ściany

naprzeciwko wejścia. – Znana jest wam góra Kajlas w południowym Tybecie?

– Non – odparł. – Nie słyszałem o niej.

– To święta góra w Himalajach, miejsce kultu zarówno dla hinduistów, jak i buddystów. Powiada się, że to właśnie na jej szczycie trwa w wiecznej medytacji bóg, Pan Śiwa. Pielgrzymi przybywają tam od wieków. Osiem lat temu pewien tybetański pasterz, który szukał zaginionej owcy, odkrył na zboczach góry grupę jaskiń i wziął ze sobą miejscowego antropologa, by pokazać mu, co znalazł.

Maria rozejrzała się po pomieszczeniu.

– I tam właśnie udało się wam zebrać to wszystko?

– W tych jaskiniach i kilku innych, na które natrafiono w pobliżu sąsiednich szczytów. – Jiaying sięgnęła do ściany i położyła dłoń na niepozornym kwadracie, który rozbłysnął światłem, odsłaniając ukryty czytnik dotykowy. – Ale to w tej pierwszej jaskini, tej odkrytej przez pasterza, znaleźliśmy właśnie to.

Ze ściany wysunęła się powoli sekretna szuflada. Była szeroka i głęboka, niczym wielka trumna. Jej wnętrze zamigotało blaskiem, który przemienił się niebawem w łagodną iluminację.

– Pasterz uważał, że prowadzi antropologa do jaskini yeti – wyjaśniła Jiaying. – I może nie do końca się mylił. Niewykluczone, że kości, które znaleźliśmy, mają jakiś związek z mitami o tej istocie zamieszkującej śnieżne pogórza. Albo że takie jaskinie zrodziły legendy o śpiącym bogu na szczycie góry. Ostatecznie jednak prawda była o wiele bardziej ekscytująca.

Generał odsunęła się na bok, żeby Maria i Arnaud mogli sami zobaczyć, co znaleziono. Nawet Kowalski się zbliżył, żeby popatrzeć. Francuski paleontolog od razu sapnął z wrażenia. Maria w odruchu zaskoczenia uniosła dłoń do szyi.

W szufladzie spoczywał kompletny szkielet antropoida. Budową czaszki przypominał ludzi współczesnych, tyle że miał większe czoło i podwójny grzebień strzałkowy wieńczący kość ciemieniową. Ale

tym, co wywołało taki szok, były same rozmiary szkieletu. Mierzył ponad dwieście czterdzieści centymetrów, czaszka zaś była dwa razy większa niż u przeciętnego człowieka.

Były to kości istnego olbrzyma.

Kowalski parsknął ironicznie.

– To nie może być prawdziwe.

– Jest – zapewnił Arnaud przyciszonym i jednocześnie pełnym przejęcia głosem. – Widziałem już fragmenty czaszki tego hominidy, ale nigdy nic tak kompletnego. Według starszej nomenklatury został sklasyfikowany jako megantrop albo Wielki Człowiek.

– No cóż, nazwa pasuje do tego faceta – mruknął Kowalski.

– Większość paleontologów przychyliła się obecnie do nazwy Homo erectus palaeojavanicus, uważając go za linię boczną naszego starszego przodka. Szczątki tego szczególnie dużego potomka Homo erectus znajdowano na terenie południowej Azji.

– Ile ważył ten okaz za życia? – spytała Maria.

– Sądząc po gęstości kości długich i rozmiarze czaszki, szacujemy, że jego waga wahała się od trzystu do trzystu pięćdziesięciu kilogramów – odparła Jiaying.

Kowalski spojrzał na nią pytająco.

– To od sześciuset do ośmiuset funtów – wyjaśniła Maria.

Dwukrotnie więcej niż przeciętny goryl.

– Ale o ile mogę się zorientować, okaz ten odznacza się kilkoma niecharakterystycznymi cechami, budową odmienną od typowego megantropa – zauważył Arnaud, patrząc na Jiaying.

Ta skinęła głową.

– Nie myli się pan. Na podstawie badań porównawczych doszliśmy do wniosku, że okaz ten jest rezultatem krzyżówki megantropa i wczesnych ludzi. Dlatego nazwaliśmy go Homo meganthropus. Naszą teorię potwierdza mapowanie genomu, które udało się przeprowadzić.

Maria nie potrafiła ukryć zdumienia.

– To znaczy, że zdołaliście uzyskać nienaruszone DNA?

– Tak.

Przyjrzała się bliżej szczątkom i zauważyła małe otwory w miednicy i kości piszczelowej. Wyprostowała się, coś sobie nagle uświadomiwszy. Genetycy i antropologowie już dawno wysunęli hipotezę, że genom współczesnego człowieka został wzbogacony przez DNA jakiegoś trzeciego – nieznanego – przedstawiciela hominidów i że była to niesklasyfikowana dotąd boczna linia Homo erectus, jak te szczątki. Co ważniejsze, na podstawie badań dryftu genetycznego ci sami naukowcy ustalili, że to nieznanne plemię żyło gdzieś w centralnej Eurazji.

Popatrzyła na zawartość szuflady.

Czy patrzę teraz na przedstawiciela tego gatunku? Czy jest to nasz dawno zaginiony krewniak?

Arnaud podążył tym samym tropem, ale z nieco innej strony.

– Jeśli macie rację co do tego gatunku krzyżującego się ze wczesnym człowiekiem, to o jakim przedziale czasowym mówimy? Z pewnością określiliście wiek tych kości?

– Tak. Liczą z grubsza trzydzieści tysięcy lat.

Nawet Kowalski zrozumiał znaczenie tych słów.

– Więc twierdzi pani, że te giganty chodziły po ziemi razem z nami?

– Przez pewien okres – przyznała Jiaying. – A biorąc pod uwagę to, że pojawiają się bezustannie relacje o spotkaniach z yeti w Himalajach, może wciąż jeszcze istnieją. W odległych wioskach krążą legendy o yeti, które porywają kobiety, parzą się z nimi i mają potomków. Więc kto wie? – Uśmiechnęła się nieznacznie i w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia na myśl o takich przesadach.

Maria jednak się zastanawiała, czy w takich opowieściach nie ma ziarna prawdy, jakiejś zbiorowej pamięci czy legend sięgających tamtych czasów. Nawet w Starym Testamencie napisano, że obok pradawnych ludzi żyły giganty o wzroście trzech metrów.

– Czy ci ogromni goście żyli tylko na tych terenach? – spytał Kowalski. – W Chinach?

– Trudno to ustalić – odparła Jiaying.

– A może nie – powiedział Arnaud. – Jeden z moich rodaków, antropolog Georges Vacher de Lapouge, odkrył w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku w Castelnau-le-Lez we Francji skupisko kości neolitycznych. Ochrzczono je mianem Giganta z Castelnau, ponieważ osobnik ten odznaczał się trzymetrowym wzrostem. Szczątki zostały przebadane na uniwersytecie w Montpellier przez zoologów, paleontologów i anatomów. Wszyscy potwierdzili odkrycie Vachera. Podobne kości znaleziono we Francji także później, podczas prac nad zakładaniem zbiorników wodnych. Czaszki dwukrotnie przekraczały wielkością typową czaszkę człowieka. Wszystkie te odkrycia dotyczą szczątków datujących się na okres ostatnich zlodowaceń w Europie, tak jak mniej więcej kości w tej szufladzie.

– Co się więc stało z tymi gigantami? – Kowalski wykonał ruch ręką, jakby chciał nim objąć rozmiary szkieletu. – Coś mi mówi, że nasi mizerni przodkowie nie wykończyli tych gości... w każdym razie nie bez pomocy.

– Może po prostu przewyższaliśmy ich inteligencją. – Arnaud pochylił się nad szufladą. – Sądząc po pojemności czaszki tego osobnika, można założyć, że wcale nie był inteligentny. Pewnie dostatecznie bystry, żeby posługiwać się narzędziami i korzystać z ognia, jak Homo erectus, ale niewiele więcej.

Maria zmarszczyła czoło i rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Skąd zatem pochodzą te wszystkie artefakty? Kości i narzędzia wyrabiane z rogów, nie wspominając już o figurkach Wenus. Twierdzi pan, że nie są dziełem tej hybrydy?

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odparł Arnaud, prostując się nad pojemnikiem ze szczątkami.

– I słusznie – rzuciła Jiaying. – Przez pięć lat analizowaliśmy zachowania tego plemienia, badaliśmy ich jaskinie, studiowaliśmy sąsiednie klany.



– Jak ludzi z Jaskini Czerwonego Jelenia – wtrącił Arnaud, spoglądając na mniejszą czaszkę.

Generał skinęła głową.

– Zaawansowane narzędzia, które tu widzicie, są dziełem właśnie tego plemienia, ale znaleźliśmy kilka kryjówek z tą samą bronią i artefaktami w jaskiniach góry Kajlas. A także to... – Dotknęła innego panelu, a wtedy odsunął się fragment ściany, odsłaniając niszę z półkami za szkłem. W świetle lamp halogenowych widać było kolekcję szerniałych i połamanych kawałków czaszki, a także fragmenty miednic i kości udowych. Przypominało to kostnicę. – Głęboko w jaskiniach stanowiących siedziby megantropa znaleźliśmy prymitywne krematorium. Z popiołów wydobyliśmy te spalone szczątki ludzi z Jaskini Czerwonego Jelenia.

Maria nie potrafiła zapanować nad obrzydzeniem.

– To znaczy, że hominidy megantropa były kanibalami?

Jiaying spojrzała na nich.

– Z naszych archeologicznych badań wynika, że było to plemię wojowniczych dzikusów. Nie ulega wątpliwości, że polowali na swoich sąsiadów, a takie zachowanie wynikało z głęboko zakorzenionej ksenofobii. I choć megantrop nie odznaczał się wrodzoną pomysłowością pozwalającą wyprodukować własne narzędzia i broń, potrafił je kraść i wykorzystywać na swój użytek.

– Ale co się z nimi stało? – spytała Maria.

– Sądzymy, że ich wojowniczość obróciła się ostatecznie przeciwko nim i doprowadziła do tego, że zaczęli się pożerać. W tym samym krematorium znaleźliśmy spalone fragmenty czaszki innego megantropa.

Maria westchnęła.

Więc zjadali swoich.

– Może takie zachowanie tłumaczy, dlaczego odkryliśmy tak niewiele dowodów na istnienie tego plemienia – zasugerował Francuz. – Jeśli zjadali i palili swoich zmarłych, trudno było zostawić trwałe ślady w skamielinach.

– Dlatego właśnie to rzadkie odkrycie jest tak ważne – zauważyła Jiaying. – Mamy okazję wejrzeć głęboko w nasze wspólne dziedzictwo genetyczne, dokonać ekstrakcji genów kompatybilnych z genami współczesnego człowieka, a także utraconych sekwencji DNA, które mogłyby okazać się dobrodziejstwem dla ludzkości.

– Dobrodziejstwem? – rzuciła Maria. – W jaki sposób?

– Dzięki samemu istnieniu Homo megarthropusa wiemy, że moglibyśmy być silniejsi, więksi. To tylko kwestia odzyskania tego pradawnego potencjału.

– By stworzyć lepszego żołnierza – dopowiedziała Maria.

– Rozumuje pani zbyt wąsko. Na pani macierzystym uniwersytecie genetycy wyizolowali dziesięć naturalnych wariantów genowych, które mogą przynieść korzyść całej ludzkości. Jeden z nich na przykład przyczynia się do zwiększenia gęstości kości, dzięki czemu kończyny stają się silniejsze i mniej podatne na złamania. Inny wariant chroni przed chorobą Alzheimera. Trzeci ogranicza ryzyko chorób serca. – Wskazała wysuniętą szufladę. – Więc dlaczego w pełni nie wykorzystać tego źródła genetycznego? Dlaczego nie sięgnąć po ten pradawny potencjał z korzyścią dla wszystkich?

– Właśnie dlatego. – Maria wskazała głową gablotę ze spalonymi kośćmi. – Czysta, pierwotna siła, pozbawiona kierującej nią inteligencji, to gwarancja klęski.

Te słowa, zamiast wywołać sprzeciw Jiaying, skłoniły ją do szerokiego uśmiechu.

– Właśnie, doktor Crandall.

Maria zamrugła parę razy, pojmując nagle, dlaczego została sprowadzona do tego laboratorium i dlaczego kości hybrydy neandertalskiej znalezione w Chorwacji były tak ważne. Jej własne badania dotyczyły ewolucyjnych korzeni inteligencji, tej wyjątkowej sekwencji genów, które zapewniły wczesnemu człowiekowi hegemonię nad jego przodkami.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami na szufladę ze szkieletem. Nie ulegało wątpliwości, że Chińczycy odkryli brutalną siłę, a teraz chcieli, by wsparła ją inteligencja.

Nim Maria zdążyła zaprotestować, za ich plecami otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wkroczył Chang. Ignorując całkowicie pozostałych, wlepił spojrzenie w przełożoną. Mówił szybko w dialekcie mandaryńskim, najwyraźniej podniecony.

Cokolwiek powiedział, pogłębiło to uśmiech na twarzy Jiaying.

Maria poczuła, że serce bije jej szybciej.

Coś, co uszczęśliwia tę zimną kobietę, nie może być dobre dla nas.

Po krótkiej wymianie zdań z podwładnym Jiaying zwróciła się do niej:

– Doktor Crandall, mam wspaniałe wiadomości. Wszystko wskazuje na to, że pani siostra niebawem do nas dołączy.

Guadagnolo, Włochy

30 kwietnia, godzina 13.00 czasu miejscowego

– Co robimy? – spytała Lena.

Kilka minut wcześniej w ciszy niewielkiej jaskini usłyszała rozbrzmiewające w telefonie Graya ostrzeżenie Seichan: „Mamy towarzystwo”. Komandor stał teraz u stóp schodów, które prowadziły do kaplicy Świętego Eustachego. Trzymał w dłoni czarny pistolet, strzegąc jedyne wyjścia z tego miejsca. Popatrzyła na tę ciemną drogę. Nawet gdyby dotarli na górę, co mogliby zrobić? Znalezliby się na szczycie, wróg zaś czekałby na dole.

– Uporałaś się już ze zdjęciami? – spytał Gray.

– Tak – odparła, podnosząc komórkę.

Po telefonie Seichan Lena zrobiła serię zdjęć, starając się w krótkim czasie uchwycić pod każdym możliwym kątem postać Ewy. Próbowwała uwiecznić każdy szczegół szkieletu wraz z relikwiami ściskanymi w tych chudych dłoniach: rzeźbą Księżycy i dziwnym kosturem. Sfotografowała też wydrążony posąg z brązu, skrywający te szczątki od wieków.

Roland odsunął się od postaci Madonny.

– Ja też już skończyłem – oznajmił.

Uniósł oprawiony w skórę dziennik Atanazego Kirchera, pokazując pozłacany labirynt na okładce. Wyjął wcześniej książkę z metalowego rękawa po wewnętrznej stronie pustej figury. Wskazał jej drugą połowę.

– Udało ci się wykonać dobre zdjęcie tej mapy, Leno?

– Robiłam, co w mojej mocy, ale jest niewyraźna.

– Nieważne – rzucił, pociągając ją za sobą. – Widziałem już coś takiego. Chodźmy.

Wyczuwała, że coś go poruszyło głęboko, ale nie miała czasu zadawać pytań. Podeszli szybko do Graya stojącego przy schodach.

– Wszystko załatwione – powiedział ksiądz, choć wciąż spoglądał tęsknie ku brązowej Madonnie. Wykonał kilka pomiarów. Wziął nawet tę kamienną rzeźbę Księżyca i schował do torby na ramieniu. Mimo wszystko wydawało się, że nie chce opuszczać Ewy Kirchera.

Nawet czując, jak serce podchodzi jej ze strachu do gardła, rozumiała doskonale to wahanie. Żałowała, że nie może zabrać tych kości i zachować ich z myślą o przyszłych badaniach genetycznych, ale szkielet został złożony za pomocą grubego drutu z brązu i był w całości przymocowany do mechanicznej rzeźby. Nie dysponując nożycami do metalu i czasem, musiała się zadowolić tym, co zarchiwizowała w telefonie i co udało się zabrać Rolandowi. Wiedziała, że jeśli zdołają przeżyć, zawsze będzie mogła tu powrócić.

– Idźcie za mną – nakazał Gray, wspinając się na schody. – Ale zachowajcie odpowiednią odległość. Najpierw sprawdzę, jak wygląda sytuacja na górze. Czekać na mój sygnał, dopiero potem wyjdźcie.

Posuwali się gęsiego. Lena oddychała ciężko, Roland chrypiał za jej plecami. Gray wchodził szybciej, poruszając się bezgłośnie. Zgasił swoją małą latarkę, więc jedynym źródłem światła był jasny kwadrat w podłodze kaplicy, tam gdzie znajdował się włącz.

Komandor dotarł do wyjścia, wyprzedzając ich znacznie. Zatrzymał się, by przyjrzeć się grubej marmurowej płycie, która pełniła rolę rampy prowadzącej do kaplicy. Zdyszana Lena znieruchomiała cztery stopnie niżej.

Gray spojrzął za siebie i wskazał ścianę.

– Znalazłem tu dźwignię. Sądzę, że służy ona do ręcznego podnoszenia i opuszczania tej rampy.

– Co mamy robić? – spytał Roland.

Lena się domyślała, a Gray potwierdził jej przypuszczenia.

– Jedno z was będzie trzymało rękę na tej dźwigni. Jeśli pojawi się problem, z którym nie będę mógł sobie poradzić, pociągniecie ją i pozostaniecie tu, w ukryciu.

– A ty? – spytała.

– Postaram się odciągnąć wroga. Jeśli nie uda mi się wrócić, zaczekacie do zmroku, a potem się stąd wymkniecie.

Twarz Graya, widoczna na tle światła w górze, pogrążona była w nieprzeniknionym cieniu. Lena nie potrafiła się zorientować, jak pewien jest powodzenia własnego planu.

– Masz wciąż numer tego telefonu do Waszyngtonu? – zwrócił się do duchownego.

– Tak.

– Jeśli się rozdzielimy, dyrektor Crowe pomoże wam przedostać się w bezpieczne miejsce.

Ten plan awaryjny, zamiast uspokoić Lenę, pogłębił tylko jej obawy.

– Dobrze. – W głosie Rolanda wyczuwało się napięcie.

Gray skinął głową, potem odwrócił się i pochyłony ruszył po rampie.

Lena pokonała ostatnie stopnie i zajęła pozycję obok wystającej ze ściany dźwigni zrobionej z brązu. Chwyciła ją oburącz, czerpiąc odrobinę siły z jej solidności. Popatrzyła w dół, na księdza, którego twarz była skąpana w płynącym z góry świetle. W oczach Rolanda malował się strach. Za jego ramionami rozciągała się tylko ciemność.

Zacisnęła palce na dźwigni.

Błagam, Boże, obym nie musiała tego pociągnąć.

Gray przysunął się do drzwi kaplicy. Był niewidoczny od strony stromych schodów – Świętej Drabiny – które prowadziły tu od głównego kościoła. Dotknął mikrofonu, który miał przytwierdzony taśmą do szyi.

– Seichan? – wyszeptał. Przycisnął palcem słuchawkę, czekając na odpowiedź.

Cisza.

Gdzie jesteś?

Już wcześniej, czekając, aż Roland i Lena uporają się ze swoją robotą na dole, kilka razy próbował się z nią skontaktować, zarówno przez radio, jak i telefon satelitarny, ale po tej pierwszej wiadomości zamilkła na dobre.

Coś się stało.

Przesunął się do sąsiedniego okna i uniósł dostatecznie wysoko, by wyjrzieć za róg. Ten punkt obserwacyjny był mniej wyeksponowany niż drzwi. Niżej, w popołudniowym słońcu, jaśniały białe marmurowe stopnie Świętej Drabiny. Chwilowo na schodach nie było nikogo, lecz ze swego miejsca widział dokładnie ogrodowy dziedziniec za kościołem. Wokół przewodniczki z czerwoną parasolką zebrała się tam grupka ludzi.

Nim zamilkła, Seichan doniosła mu o przybyciu autokaru pełnego chińskich turystów, którym towarzyszyła podejrzana grupa co najmniej sześciu mężczyzn.

Przewodniczka opuściła parasolkę i wskazała w stronę kaplicy.

Gray zacisnął zęby.

Czy turyści zamierzali się tu skierować?

Pragnął za wszelką cenę, by pozostali na dziedzińcu. Nie chciał narażać cywilów na niepotrzebne ryzyko, zwłaszcza gdyby musiał użyć broni, by wydostać się z tej półki skalnej.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Z tylnych drzwi kościoła wyłoniła się znajoma postać siostry Clary, wkraczając w blask słońca. Towarzyszyło jej dwóch Chińczyków. Osłoniła oczy dłonią i

podniosła rękę, wskazując kaplicę. Obaj mężczyźni spojrzeli w tym kierunku.

Gray cofnął się od okna, przeklinając gorliwość zakonnicy. Czy ci dwaj dopytywali się o jego grupę, czy też siostra Clara opowiadała im po prostu historię tego miejsca, legendę o świętym Eustachym? W końcu jeden z nich skłonił głowę w geście podziękowania. Drugi się oddalił i zbliżył do dwóch niewyraźnych postaci czekających na rozwidleniu ścieżki. Wymienili jakieś słowa; po chwili ci dwaj ruszyli w stronę grotty Świętego Benedykta, otrzymawszy najwidoczniej rozkaz przeszukania dawnej siedziby pustelnika.

Do człowieka, który wydał rozkaz, przyłączył się jego partner i podniósł wzrok na kaplicę.

Gray cofnął się, znikając z jego pola widzenia.

Więc to już czterech ludzi oddziału uderzeniowego.

Domyślał się, że dwaj pozostali wciąż przebywają w kościele albo na zewnątrz pilnują możliwych tras ucieczki z tej góry. Wróg zamierzał otoczyć jej szczyt zwartym pierścieniem. Druga – jedyna – droga w dół wiodła wprost z krawędzi urwiska.

A ja nie mam spadochronu.

Z otworu w podłodze za jego plecami dobiegł stłumiony szept. Gray uchwycił jedynie kilka słów, ale zrozumiał, o co chodzi. Roland i Lena chcieli wiedzieć, co się dzieje.

– Zostańcie na dole – rzucił ostrzegawczo, kładąc się płasko na brzuchu obok drzwi.

Trzymał w wyciągniętej ręce SIG sauera, celując w dwóch ludzi, którzy zaczęli się wspinać z wysiłkiem w stronę kaplicy. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie przetoczyć się po prostu ku włączowi i nie ukryć razem z Rolandem i Leną, ale wróg najwyraźniej wiedział, że jego cel znajduje się na szczycie góry. Gray bał się tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby napastnicy ich nie znaleźli, i co mogliby zrobić cywilom albo zakonnikom w klasztorze.

No i gdzieś tam w dole była jeszcze Seichan.

Wiedząc to, musiał zostać na miejscu, by ją wspierać.



Idący przodem mężczyzna w połowie drogi na szczyt rozpiął kurtkę do pól uda, odsłaniając kuloodporną kamizelkę z kevlaru i niewielki karabin automatyczny na brzuchu. Uniósł broń, niewidoczną dla ludzi na dole. Gray rozpoznał ZH-05, najnowszy sprzęt chińskich sił specjalnych. Był wyposażony w granatnik z celownikiem laserowym.

Jeszcze tylko tego brakuje...

Na dziedzińcu w dole turyści zaczęli się odsuwać od przewodniczki i rozdzielać: niektórzy skierowali się ku górze, inni ruszyli w stronę groty. Gdyby Gray ostrzelał schody, ryzykowałby, że jakiś zabłąkany pocisk dosięgnie tych cywilów.

Potrzebował nowego planu.

Zerknął przez ramię. W kaplicy były cztery okna, każde wychodziło na inną stronę świata. Musiał zwabić tu tych dwóch ludzi, odciągnąć ich od turystów. Odczołgał się na brzuchu ku ołtarzowi za plecami. Znajdujące się wyżej okno otwierało się na półkę skalną po tej stronie. Gdyby ukrył się na zewnątrz i zaczekał, aż tamci wejdą do środka, mógłby liczyć na to, że uda mu się ich zaskoczyć.

Ale najpierw musiał się upewnić, że Roland i Lena są bezpieczni.

Gdy dotarł do wjazdu przed ołtarzem, ujrzał dwie poblądłe twarze.

– Zamknijcie to – nakazał. – Zaraz będziemy mieli towarzystwo.

Choć wyraźnie przestraszona, Lena skinęła głową i pociągnęła mocno za dźwignię z brązu, która nie drgnęła. Na czole kobiety, gdy zmagala się z kilkusetletnim mechanizmem, pojawiły się głębokie zmarszczki.

Roland przysunął się do niej i próbował pomóc – wreszcie coś ustąpiło. Podłoga zadrżała, a rampa zaczęła się podnosić z rytmicznym terkotaniem kół zębatych.

Widząc to, Gray ruszył w stronę okna nad ołtarzem.

Przynajmniej ci dwoje byli bezpieczni.

A teraz... znaleźć Seichan.

Wspiął się na ołtarz i rzucił kuparapetowi otwartego okna... i w tym momencie usłyszał za plecami huk broni docierający z zewnątrz. Gdy tylko poczuł oparcie pod stopami, odwrócił się błyskawicznie.

Do środka wleciał z gwizdem jakiś przedmiot.

Granat.

Ledwie go dostrzegł. Niewielki ładunek 20 mm uderzył o sklepienie i odbił się od niego rykoszetem, potem uderzył w ołtarz, wreszcie podskoczył i potoczył się ze stukotem ku jego krawędzi.

Nie mając innego wyboru, Gray wyskoczył przez okno – ale zdążył jeszcze dostrzec, że granat wpadł do włazu w podłódze, nim ten się zamknął.

Przeklinając, rzucił się na płask i przywarł do granitowego szczytu wzniesienia. Zakrył głowę, gdy detonacja wstrząsnęła ziemią, którą czuł pod sobą. Z góry spadały dachówki, roztrzaskując się wokół niego.

Ujrzał w myślach wystraszone twarze Rolanda i Leny.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Godzina13.08

Co ty najlepszego zrobiłeś, Gray?

Gdy doszło do eksplozji, Seichan przycupnęła w niewielkiej jaskini. Płomienie kilkunastu małych świec i gromnic wotywnych wciąż drżały od wybuchu, rzucając roztańczone cienie na kamienne ściany grotty Świętego Benedykta. Seichan napinała mięśnie nóg, gotowa skoczyć w stronę oświetlonego słońcem wyjścia.

Na zewnątrz narastał krzyk, gdy turyści zareagowali na wybuch, starając się najprawdopodobniej uciec z tego miejsca. Dobrze, pomyślała ponuro. Gdyby stąd zniknęli, ryzyko przypadkowych ofiar w razie wymiany ognia byłoby mniejsze – a nie wątpiła, że do wymiany ognia dojdzie.

Kiedy już się upewniła, że sklepienie jaskini jej nie przywali, znów skupiła myśli na Grayu. To on musiał być celem tej eksplozji, ale będąc w tej jaskini, nie miała żadnej możliwości kontaktu.

Wszystko po kolei.

Osunęła się na jedno kolano i wyciągnęła stalowy sztylet z szyi martwego napastnika. Jego towarzysz leżał rozciągnięty jak długi metr dalej, z szyją rozplataną od ucha do ucha. Domyśliła się wcześniej, że wróg przeszuka tę ciemną grootę, dlatego przygotowała tu zasadzkę. Miała nadzieję załatwić przynajmniej jednego adwersarza.

Dwóch – jeszcze lepiej.

Zdażyła się już pozbyć trzeciego, strażnika pozostawionego blisko parkingu. Bez trudu zbliżyła się do niego, podchodząc tak, że nie mógł jej zobaczyć – od strony klasztoru, w którym się wcześniej ukrywała. Zaskoczony, zareagował zbyt powolnie. Potem schowała jego ciało pod autokarem i obesza kościół, żeby zastawić sidła w grocie.

Gotując się do kolejnego ataku, otarła sztylet do czysta o pierś ofiary i wsunęła go do pochwy przy nadgarstku. Potem obciągnęła rękaw, by ukryć broń. Na wszelki wypadek sięgnęła pod kurtkę martwego człowieka, wyciągnęła pistolet tkwiący w kaburze i włożyła go sobie za pasek u dołu pleców. Tak przygotowana, wygładziła pomięte ubranie i sprawdziła, jak wygląda.

Czerń materiału maskowała kilka śladów krwi. Wcześniej, kiedy nadjechał autokar z turystami i chowała się w klasztorze, zaczęła przetrząsać pomieszczenia, aż znalazła w szafie odpowiedni strój i dokonała szybko kamuflażu. Czy istniał lepszy sposób zmylenia przeciwnika niż odgrywanie roli zwykłej zakonnicy na przykościelnym terenie?

Zadowolona ze swego wyglądu, ruszyła w stronę wyjścia. Gdy wydostała się z jaskini i wyszła na nasłonecznioną ścieżkę, napotkała młodą Chinkę z czteroletnią córką. Obie chowały się za oszkloną kostnicą, jakby kości zmarłych braci zakonnych mogły je ochronić.

Kobieta spojrzała jej w oczy, na jej twarzy malował się strach, ramiona obejmowały z całych sił dziecko.

– Xiún, jiu ming! – rzuciła błagalnie w dialekcie mandaryńskim.  
Siostró, pomóż mi!

Nie demaskując się, Seichan wskazała furtkę w murze wokół kościoła, prowadzącą na parking.

– Idź tam, moje dziecko – powiedziała w tym samym dialekcie, starając się mówić cichym, troskliwym głosem. – Nie przystawaj. Trzymaj się drogi, która prowadzi w dół.

Kobieta tylko przytuliła dziecko mocniej, najwidoczniej zbyt przerażona, by się ruszyć.

Seichan przewróciła oczami, decydując się na bardziej skuteczne działanie. Przez rozcięcie w habicie wyjęła pistolet i pomachała lufą w stronę furtki.

– Jazda! I to już!

Tym razem poskutkowało.

Kobieta ruszyła przed siebie biegiem niczym przerażony królik.

Mając wreszcie drogę wolną, Seichan dotarła ostrożnie do rozwidlenia ścieżek. Widziała teraz wyraźnie kaplicę w górze. Dostrzegła dwóch mężczyzn wbiegających po stromych stopniach. Jeden trzymał pistolet, drugi ścisnął dymiący karabin automatyczny. Obaj dotarli do celu i przypadli plecami do ściany po obu stronach drzwi.

Serce zabiło jej mocniej z niepokoju o Graya.

Uniosła pistolet, ale tamci znajdowali się zbyt daleko, by mogła być pewna skutecznego strzału. Dotknęła mikrofonu.

– Gray, wszystko w porządku?

Jego głos napłynął niemal natychmiast.

– Żyję, jeśli o to ci chodzi – rozległ się szept w jej uchu.

Poczuła przypływ ulgi, ale rzuciła lakonicznie:

– Zaraz zapuka do ciebie dwóch gości.

– Rozumiem. Możesz zająć się pozostałymi? Musimy wydostać się z tej skały.

Zerknęła w stronę kościoła.

– Pracuję nad tym.

Ostatni napastnik musiał wciąż przebywać w sanktuarium, co stanowiło problem w sytuacji, gdy kryli się tam turyści. Wystarczyło jedno spojrzenie na dziedziniec, by zauważyć, że ogrody niemal opustoszały. Przewodniczka pozostała na zewnątrz; spoglądała z niepokojem w stronę kaplicy. Drobną kobietą najwyraźniej uświadamiała sobie zagrożenie, a jednak próbowała odważnie wprowadzić resztkę swych podopiecznych do kościoła.

Seichan widziała przez otwarte drzwi świątyni kłębiący się w środku tłum.

To się nie skończy dobrze.

Wsunęła dłonie, a przy okazji zabrano napastnikowi pistolet, w szerokie mankiety habitu. Pochyliła głowę i ruszyła pospiesznie do tylnych drzwi, mając nadzieję, że zdoła dostatecznie długo zachować swój kamuflaż i zaskoczyć ostatniego napastnika. Nie chciała, by w zatłoczonym sanktuarium wybuchła strzelanina.

Przewodniczka zauważyła ją i ponagliła gestem dłoni. Kobieta wciąż trzymała parasolkę nad głową, chroniąc się nie tyle przed słońcem, ile przed strzelcami na górze.

Seichan przyspieszyła kroku.

Gdy była już blisko wejścia, huk z broni palnej znów przyciągnął jej uwagę do kaplicy na szczycie wzniesienia. Jeden z mężczyzn zaczął strzelać w otwarte drzwi z karabinu automatycznego, podczas gdy drugi schylił się nisko i wturlał do środka.

Odczuwała pokusę, by pobiec na górę i pomóc Grayowi, ale miała własną robotę do wykonania. Kiedy podeszła do drzwi, z głównej nawy wypadł na dziedziniec jakiś osobnik. Seichan od razu go rozpoznała. Musiał go wywabić ponowny odgłos strzałów. Biegł w jej stronę, nieświadomy niebezpieczeństwa stojącego mu na drodze.

Uśmiechnęła się, wyjęła skradziony pistolet i opróżniła niemal do końca magazynek, strzelając mężczyźnie w pierś. Impet kanonady powstrzymał jego szarżę. Ostatni pocisk wpakowała w środek jego

czoła. Zachwiał się w pół kroku – jego twarz wyrażała zdumienie – a potem runął plecami na zwirową ścieżkę.

Odrzuciła opróżnioną broń i sięgnęła przez otwór w habicie. Wyszarpnęła z kabury SIG sauera – na wypadek gdyby pojawili się inni przeciwnicy. Wcześniej zidentyfikowała co najmniej sześciu, ale mogło być ich więcej.

Okazało się, że się nie myliła co do liczby mężczyzn.

Przewodniczka opuściła parasolkę, jakby chciała się nią zakryć. Seichan napotkała jej wzrok nad górną krawędzią osłony – i nie dostrzegła w tych oczach strachu.

Niedobrze.

Z miejsca uświadomiła sobie swój błąd.

Okazuje się, że nie ja jedna jestem w przebraniu.

Odskoczyła w bok, gdy kule rozdarły materiał parasolki i zmusiły ją, by rzuciła się na ziemię. Jeden pocisk trafił SIG sauera i wytrącił jej broń z ręki.

Kobieta zakręciła barwną osłoną i ruszyła w stronę Seichan.

Godzina 13.12

Gdy z dołu dobiegło echo strzałów, Gray przesuwiał się nisko pochyłony wzdłuż ścian kaplicy. Jeden z mężczyzn zawołał coś ze środka, informując prawdopodobnie swego partnera, że pomieszczenie jest puste. Gray dosłyszał w jego głosie zaskoczenie. Obaj musieli być równie zdziwieni brakiem zniszczeń wywołanych eksplozją granatu.

Komandor miał własne zmartwienia związane z tym wybuchem – niepokoił się o los Rolanda i Leny.

Kiedy dotarł do okna po południowej stronie, wyprostował się i strzelił do człowieka wewnątrz kaplicy. Pociągnął za spust dwukrotnie, mierząc za każdym razem w głowę przeciwnika; wiedział, że wrogowie noszą pod ubraniami kamizelki kuloodporne.

Oba pociski trafiły w cel i rzuciły mężczyznę na podłogę. Gray odskoczył, gdy od strony drzwi okno zasypał grad kul z broni automatycznej.

Ruszył z powrotem pod osłoną budynku. Okno, które miał nad sobą, znajdowało się naprzeciwko wejścia. Wyobraził sobie kryjącego się tam strzelca, który obserwuje trzy pozostałe okna, by dostrzec jakikolwiek ruch.

Przywarł plecami do ściany. Trzymał pistolet oburącz, przyciskając go do piersi, gotowy do walki; chciał się przekonać, kto będzie szybszy w tej chwili impasu.

Wtedy usłyszał serię głośnych huków – trzy.

Przez okno nad jego głową wyleciał mały granat, uderzył w ścianę dziesięć metrów dalej, odbił się i zaczął skakać po ziemi w jego stronę. Gray wyobraził sobie takie same ładunki wylatujące przez dwa pozostałe okna. Najwidoczniej jego przeciwnik próbował wypłoszyć go z ukrycia.

Było to z pewnością skuteczne.

Gdy pierwszy granat toczył się ku niemu, Gray nie miał innego wyboru, jak tylko odwrócić się i rzucić szczupakiem przez najbliższe okno. Skoczył głową naprzód nad parapetem w chwili, gdy granaty eksplodowały na zewnątrz serią ogłuszających grzmotów. Lecąc w powietrzu, wyciągał przed siebie ręce, ściskając pistolet w obu dłoniach i strzelając w stronę drzwi.

Jego przeciwnik nie musiał chować się przed tą kanonadą. Leżał na brzuchu, ukryty za framugą drzwi, i zasypywał wnętrze kaplicy gradem pocisków z karabinu automatycznego. Gray poczuł, jak coś palącego przemyka po jego bicepsie, kiedy uderzył o marmurową podłogę i wpadł bokiem na ciało napastnika, którego zabił.

Leżał na plecach i wykorzystując zwłoki mężczyzny jako tarczę, strzelał nad nim.

Nie ulegało wątpliwości, że ta sytuacja nie może trwać długo – co dotarło do niego wraz z następnym oddechem.

Od strony drzwi dobiegła znajoma już riposta o ostrym dźwięku. Obok nosa Graya przeleciał granat, uderzył w ołtarz, odbił się i poleciał prosto na niego. Oczekując tym razem takiego ataku, komandor zasłonił się zwłokami, a kiedy granat zatrzymał się na piersi martwego człowieka, przykrył ładunek bezwładnym ciałem.

Wgramolił się na nie, skulony; nieżywy człowiek stanowił skuteczną osłonę przed eksplozją. Widział kątem oka, jak przeciwnik odsuwa się gwałtownie od drzwi.

Wybuch cisnął Grayem; uniósł się wysoko w chmurze krwi i dymu, a potem runął w dół, ale zamiast uderzyć o posadzkę, wpadł na ukryte schody, bo granat roztrzaskał zakrywającą je grubą marmurową płytę.

Walnął z całej siły o pogrążone w ciemności stopnie.

Ogłuszony i oszołomiony, czując ból w uszach, dźwignął się na kolana, potem na nogi. Wspiął się niepewnym krokiem na gruzy i wysunął głowę przez otwór w podłodze. Mroczne wnętrze kaplicy wypełniał dym. W tym nieprzeniknionym całunie jaśniał słoneczny prostokąt – drzwi. Pojawił się tam jakiś cień.

Jego przeciwnik.

Ukryty bezpiecznie za zasłoną dymu Gray uniósł bez pośpiechu SIG sauera. Nie stracił pistoletu – cały czas ścisnął go w prawej dłoni. Starając się za wszelką cenę mierzyć w głowę, opróżnił do końca magazynek.

Z ponurą satysfakcją zobaczył, jak ciemna postać osuwa się bezwładnie na ziemię.

Nieźle.

Ugięły się pod nim nogi; upadł bokiem, waląc się na pogrążone w mroku schody. Wzrok mu się rozmazał, ale po chwili z dołu rozblysło jasne światło, ukazując dwa niewyraźne kształty.

Poczuł, jak za ramiona chwytają go czyjeś ręce.

– Gray?

To była Lena.

Odetchnął z trudem, a jego usta wymówiły imię.



Godzina 13.15

Następny pocisk odłupał skrzydło posągu anioła w ogrodzie.

Dziewięć...

Seichan, chowając się za posągiem, liczyła strzały oddane przez azjatycką zabójczynię z parasolką. Jeśli była to ta sama broń co pistolet, który zabrała martwemu człowiekowi w grocie – chiński QSZ-92 – to podwójny magazynek mieścił piętnaście nabojów, co oznaczało, że jej przeciwniczka ma jeszcze mnóstwo amunicji.

Przez ostatnie dwie minuty Seichan bawiła się na terenie przykościelnych ogrodów w kotka i myszkę z niebezpiecznie groźną kobietą. Ich zmagania przerwały głośne eksplozje docierające z kaplicy na górze. Seichan wykorzystała ten sprzyjający moment, by zmieniać co chwila kryjówkę i zmuszać wroga do marnowania amunicji.

Przez cały czas starała się stłumić lęk o Graya, ignorować terkot broni automatycznej. Musiała się maksymalnie koncentrować. Jej wróg był zdyscyplinowany i dobrze wyszkolony. I miał serce równie zimne jak ona.

Seichan dostrzegała przelotnie tę kobietę, gdy przesuwała się niemal tanecznymi ruchami po ogrodach i kryła za tą przeklętą parasolką, którą z wprawą się posługiwała. Jej przeciwniczka miała nie więcej niż dwadzieścia lat, może nawet mniej. Proste czarne włosy były przycięte w surową linię nad czołem i przy uszach. Seichan obliczała jej wzrost na co najwyżej sto pięćdziesiąt centymetrów, ale dziewczyna odznaczała się giętkimi mięśniami i sylwetką stworzoną do szybkości, co z powodzeniem wykorzystywała.

Seichan próbowała uporczywie sięgnąć SIG sauera, który wytrącono jej z dłoni, ale przeciwniczka nie pozwalała jej na to, więc

uzbrojona jedynie w noże Seichan rzuciła już dwa w kobietę – pierwszy przeciął materiał parasolki, ale nie sięgnął celu za zasłoną; drugi został zablokowany przez wprawny obrót stalowych prętów.

Kucając za posągiem anioła, Seichan sięgnęła pod rozdarty brzeg habitu i wysunęła z pochwy przy kostce ostatni sztylet.

Muszę to dokładnie obliczyć.

Posłużyła się wypolerowaną powierzchnią ostrza, by obserwować tamtą, pozostając w ukryciu. Widziała w tym prowizorycznym lustrze, jak kobieta przysuwa się bliżej. Jej ciało kryło się całkowicie za parasolką, chwilami nad jej krawędzią błyskały ciemne oczy, za każdym razem w innym miejscu.

Za tą groźną postacią Seichan widziała wyraźnie tylne wejście kościoła. Drzwi były wciąż uchylone, w środku kłębiły się cienie. Najwidoczniej ludzie, słysząc huk broni palnej i eksplozje, odczuwali zbyt duży strach, by wybiec na zewnątrz. Dochodził stamtąd płacz dzieci i głosy rodziców, którzy starali się je uciszyć. Wyobraziła sobie, że wezwano już miejscowe siły bezpieczeństwa.

Wiedziała jednak, że pomoc nie nadejdzie dostatecznie szybko.

Świadoma tego, czekała, aż kobieta znów wejdzie na żwirową ścieżkę, a potem wykonała ostatni manewr. Udała, że rzuca się na lewo od posągu, jakby znów próbowała odzyskać utracony pistolet, prowokując przeciwniczkę do wykonania ruchu w tamtą stronę. Potem skoczyła w przeciwnym kierunku, obracając się błyskawicznie pod lewym skrzydłem anioła.

Trzymany nisko sztylet poszybował z jej dłoni, przeleciał pod parasolką i trafił zaskoczoną kobietę w łydkę.

Seichan rzuciła się na ziemię, przetoczyła na bok i wślizgnęła za cementowy gazon. Spojrzała przez kolczaste krzewy różane i zobaczyła, że przeciwniczka cofnęła się na ścieżce o kilka niepewnych kroków. Mimo to nie wydała najmniejszego dźwięku, żadnej skargi; wciąż skrywała ciało za parasolką. Cofając się, strzeliła zza zasłony do Seichan. Choć zrobiła to na ślepo, dwa pociski trafiły w gazon.

Ta kobieta była cholernie dobra.

Ale ja jestem lepsza, pomyślała Seichan.

Tamta zatrzymała się w końcu, by ponownie podjąć atak, i za bardzo zbliżyła się do otwartych drzwi kościoła – tak jak pragnęła tego Seichan, która dojrzała niespodziewanie sprzymierzeńca. Skupiając uwagę na wrogu w zakonnym habicie, kobieta nie zauważyła ciemnej postaci, która wyłoniła się z drzwi za jej plecami.

Seichan uśmiechnęła się z satysfakcją.

Nie jestem jedyną zakonnicą, której powinnaś się obawiać.

Siostra Clara rzuciła się bez wahania, wzięła zamach ciężkim mosiężnym krucyfiksem trzymanym w dłoni i rąbnęła Chinkę od tyłu.

Wiatr porwał parasolkę, którą upuściła zabójczyni, i zaczął toczyć po ogrodzie. Potem kobieta osunęła się na kolana, wreszcie upadła na bok.

Seichan podbiegła, chwytając po drodze swój pistolet. Gdy stanęła nad młodą Chinką, ciemne oczy tamtej błysnęły białkami, a gęsta krew wsiąkała w żwir, lecz jej pierś unosiła się i opadała miarowo.

Żyła.

Jak długo jeszcze?

Seichan wycelowała w blade czoło, siostra Clara stanęła jednak między nią a jej ofiarą.

– Nie – powiedziała.

Seichan spojrzała na nią morderczym wzrokiem, ale zakonnica nie cofnęła się nawet o krok. Na jej młodej twarzy malowało się zarówno zdecydowanie, jak i współczucie. Mogła skłaniać się ku przemocy, by chronić niewinnych ludzi wewnątrz kościoła, ale z niezachwianą pewnością i przekonaniem odrzucała zabójstwo z zimną krwią.

Seichan warknęła niezadowolona, lecz miała wobec zakonnicy dług wdzięczności. Poza tym pomyślała, że mogliby wyciągnąć z

zabójczynie informacje, kiedy już odzyska przytomność. Gray z pewnością chciałby skorzystać z okazji i ją przesłuchać.

Seichan spojrzała w stronę kaplicy, którą wciąż spowijał dym. Ogień broni palnej ustał tam przed minutą. Co to jednak oznaczało?

Zniecierpliwiona i pełna obaw podniosła broń kobiety, wciąż rozgrzaną, i podsunęła ją zakonnicy.

– Wiesz, jak się tym posługiwać?

Clara cofnęła się o krok.

– Tak, ale...

– Albo jej popilnujesz, albo ją zastrzelę.

Zakonnica przełknęła z wysiłkiem ślinę i wzięła broń. Seichan zaczekała, aż Clara wyceluje w bezwładną postać leżącą na ziemi, dopiero wtedy odwróciła się i ruszyła biegiem po stromych schodach. Obawy, które tłumiała, rozpały się w jej piersi z coraz większą siłą.

Żyj, Gray. Proszę, żyj.

Godzina 13.18

Roland wygramolił się z sekretnego tunelu do kaplicy. Wyciągnął rękę i niemal dźwigając oszołomionego Graya, pomógł mu wydostać się z tej ciemnej studni. Komandor miał postrzępione ubranie, skórę zakrwawioną od licznych zadrapań. Z rany na głowie spływała po twarzy szkarłatna struga.

Ale ocaliłeś nam życie.

Gray podpełzł do ołtarza i usiadł ciężko, po czym zaczął pić łąpczywie wodę z butelki, którą na dole dała mu Lena. Trzymała teraz wartę przy drzwiach.

– Idzie tu jakaś zakonnica – powiedziała, wyraźnie zaniepokojona. – Z bronią.

Roland poczuł, jak przyspiesza mu puls.

Komandor przyklęknął i wyjął pistolet.

Lena odwrócił się do nich.

– To Seichan – oznajmiła z ulgą w głosie.

Gray znowu przysiadł.

– Dzięki Bogu – wymamrotał.

Chwilę później w dymie ukazała się niewyraźna kobieca postać, która wpadła do kaplicy jak mroczny sokół. Wydawało się, że wystarczyło jej jedno spojrzenie, by ocenić sytuację, potem skierowała wzrok na wyrwaną przez wybuch dziurę w podłodze.

– Widać, że byliście zajęci – rzuciła.

– A ty oddajesz się nowemu powołaniu – wychrypiął Gray, patrząc na jej postrzępiony habit. – Muszę przyznać, że ten strój na mnie działa.

Roland zmarszczył czoło na tę niestosowną wymianę zdań, ale dostrzegął w niej też mechanizm obronny, wzajemną troskę, promyk miłości, który sięgał głębiej niż zawodowe partnerstwo.

– Dosyć tego wysiadywania – powiedziała zdecydowanym tonem Seichan. Podeszła do Graya i obcesowym ruchem wyciągnęła do niego pomocną dłoń. – Czas zniknąć z tej góry, zanim pojawi się ktoś jeszcze.

Choć zakrwawiony, uśmiechnął się i pozwolił, by dźwignęła go na nogi.

– Dzięki, moja droga.

– Ktoś musi ci ratować tyłek.

– Trochę się spóźniłaś. – Pokuśtykał w stronę drzwi, ale zerknął przez ramię na sekretne schody. Był wyraźnie zdezorientowany. Ten pierwszy granat... ten, który wpadł do włazu przed jego zamknięciem... Co się stało?

– Spadł tuż za nami i stoczył się po tych stromych stopniach – oznajmiła Lena.

– Ekspłodował w jaskini – dodał Roland. – Jeszcze huczy mi w głowie od tego wybuchu.

– Ale przynajmniej wciąż mamy głowy – zażartowała Lena.

– A co z Madonną Kirchera i szkieletem?

– Sprawdziliśmy... zanim na nasspadłeś. – Ksiądz pokręcił głową.  
– Granat musiał się rozerwać u stóp posągu. Był przewrócony na bok, rozbity i osmalony.

Lena westchnęła ciężko.

– Kościom najbardziej się dostało. Zamieniły się w pył i spalone kawałki. Ale mamy to, co zabraliśmy wcześniej. Miejmy nadzieję, że...

Przerwał jej pojedynczy strzał, który odbił się głośnym echem na szczycie góry.

Roland obrócił się w stronę drzwi, ale Seichan wyprzedziła go błyskawicznie, popychając Lenę w głąb kaplicy, i wycelowała w stronę zewnętrznych schodów – po czym zaklęła kwieciście.

Ksiądz przysunął się do okna, skąd widać było kościelny dziedziniec. Na zwirowej ścieżce leżała zakonnica. Dostrzegł mniejszy kształt, który przesadził ogrodzenie i zniknął w dali.

– Co się dzieje? – spytała Lena.

Bez słowa wyjaśnienia Seichan wypadła z kaplicy i rzuciła się biegiem po Świętej Drabinie w stronę kościoła.

Gray pokuśtykał za nią.

– Zostańcie tutaj – rozkazał.

Roland popatrzył na Lenę, a ona zagryzła wargę i pokręciła głową.

– Pieprzyć to – rzuciła.

Może sam by tak tego nie wyraził, ale musiał się z nią zgodzić. Miał dość ukrywania się w mroku i bezradnego wyczekiwania. Wyszli oboje zdecydowanym krokiem z zadymionej kaplicy na blask słońca, a potem zbiegli po schodach.

Seichan dotarła na dziedziniec przed nimi. Przyklęła na jedno kolano obok leżącej na ziemi kobiety. Była to siostra Clara. Seichan trzymała w jednej dłoni uniesioną broń, drugą sprawdzała obrażenia zakonnicy.

Roland i Lena znaleźli się na dziedzińcu tuż za Grayem, który chwiał się na nogach od wysiłku.

– Co się stało? – spytał.

Seichan obróciła się do niego. Jej twarz wyrażała wściekłość.

– Ta suka posłużyła się moim sztyletem – wyjaśniła, nie kryjąc wzburzenia. – Musiała wyciągnąć go z nogi i ugodzić siostrę Clare. Nie przyszło mi do głowy go zabrać, zanim sprawdziłam, co się z wami dzieje.

Roland wiedział, że popełniła ten błąd, bo martwiła się o swojego partnera. Uklęknął obok zakonnicy. Zobaczył z ulgą, że młoda kobieta wciąż żyje, ale była poważnie ranna; jej twarz przypominała maskę bólu. Przez habit przesiąkała krew, zbierając się wokół stalowej rękojeści ostrza wbitego w brzuch.

– Próbowałam do niej strzelić... – odezwała się chrapliwie, chwytając księdza za rękaw. – Zbyt szybko.

– W porządku – powiedział uspokajająco.

– Wybacz mi, ojczy – zwróciła się do niego błagalnie.

– Nie ma czego wybaczać, moje dziecko.

Spojrzał na pozostałych, nie bardzo wiedząc, co robić.

Gdzieś w dali, z dna doliny, dobiegł dźwięk syren. W bocznych drzwiach kościoła pojawiły się dwie zakonnice, jedna trzymała zestaw pierwszej pomocy w czerwonym plastikowym pojemniku.

– Musimy się stąd zabierać – ponagliła Seichan, podnosząc się z klęczek.

Lena spojrzała na nią niepewnie.

– Ale siostra Clara...

Roland ujął palce zakonnicy, też nie chcąc jej zostawiać.

– Nie wydaje mi się, by doszło do uszkodzenia jakichś ważnych organów – powiedziała Seichan. – Powinna przeżyć do nadejścia pomocy.

Jej słowa miały w sobie twardą nutę, ale ksiądz dosłyszał w nich także ból i poczucie winy.

Poczuł zaciskające się na jego dłoni mocne palce. Siostra Clara popatrzyła na niego, potem na pozostałych.

– Idźcie – wyszeptała słabym głosem, ale zdecydowanie. –  
Czegokolwiek chcą te potwory, powstrzymajcie ich.

– Obiecuję – odparł Roland.

Lena też skinęła głową.

Roland, pokrzepiony tym, co mu powiedziała Clara, podniósł się i stanął z boku, powierzając młodą zakonnice opiece jej towarzyszek. Spojrzał w oczy Graya i Seichan. Nie był pewien, do czego to wszystko prowadzi, ale wiedział, że będzie trwał niezłomnie przy swoim postanowieniu.

Dotrzymam tej obietnicy.



Pekin

30 kwietnia, 19.22 czasu miejscowego

– Dokąd nas zabierają? – mruknął Kowalski pod nosem.

Maria pokręciła głową, wiedząc tyle samo co on. Siedziała obok niego z tyłu pojazdu elektrycznego, który przemykał przez głębiny podziemnego kompleksu. Zauważyła, że olbrzym dotyka opatrunku na swojej twarzy, i przypomniała sobie historię o Baako, który go zaatakował. Przypomniała sobie również ten ukradkowy znak.

Kłamię.

Martwiła się o Baako, odczuwała też wyrzuty sumienia. Wyobraziła sobie swojego małego chłopca, samotnego w dziwnym i nieznanym miejscu. Musiał być przerażony. Żałowała, że nie może pójść do niego, pocieszyć go, ale nie tam teraz zmierzali.

Po ujawnieniu skamieniałych kości nowo odkrytego przedstawiciela gatunku hominidów – Homo megarthropusa – generał Jiaying Lau rozkazała przewieźć ich do nowego miejsca. Siedziała z przodu, obok kierowcy, i gniewnym tonem rozmawiała z kimś przez komórkę.

W końcu pojazd elektryczny zwolnił przed podwójnymi drzwiami. Czekala na nich znajoma postać w mundurze w barwach ochronnych, stojąca sztywno ze stoickim wyrazem twarzy. Był to brat Gao, Chang Sun.

Jiaying obróciła się na siedzeniu.

– Zostańcie tutaj – nakazała, wysiadła z pojazdu i odciągnęła Changa na bok.

– A dokąd mielibyśmy pójść? – odezwał się Kowalski, wzdychając ciężko.

Tuż za nimi pojawił się drugi pojazd z doktorem Dayne'em Arnaudem i dwoma uzbrojonymi żołnierzami. Po chwili, przynaglany, paleontolog przyłączył się do nich. Popatrzył na podwójne drzwi. Nad wrotami, wzdłuż sufitu, biegła stalowa prowadnica.

Francuz westchnął.

– Chyba poznamy wkrótce powód, dla którego została pani tu sprowadzona, doktor Crandall.

Maria też tak sądziła. Po obejrzeniu tamtych szczątków wiedziała, że Chińczycy szukają sposobów pobrania konkretnych sekwencji DNA z kości giganta, by stworzyć silniejszego żołnierza.

Ale co zdołali już osiągnąć?

Arnaud skrzyżował ręce na piersi, myśląc najwyraźniej o tym samym.

– Tak jak ja to rozumiem, pani badania, a także pani siostry, polegały na udowodnieniu, że Wielki Skok ludzkiej inteligencji dokonał się dzięki nowym genom, uzyskanym poprzez skrzyżowanie wczesnego człowieka i neandertalczyków.

– Taka była zasadniczo nasza hipoteza. Że ta właśnie hybrydyzacja stworzyła niewielkie plemię osobników, którzy byli zdolni do większego, intuicyjnego postępu i patrzyli na świat inaczej niż którekolwiek z ich rodziców.

– I to dzięki tym nielicznym i wyjątkowym jednostkom dokonał się Wielki Skok.

Dosłyszała nutę niedowierzania w jego głosie.

– Taką teorię potwierdza wiele modeli statystycznych – oznajmiła zdecydowanie. – Wiedza jest jak wirus, zdolny w pewnych warunkach rozwijać się wykładniczo. Wystarczyła kreatywność i innowacyjność niewielkiej grupy wyjątkowo zaawansowanych jednostek, by zmienić świat: rozprzestrzeniać nowe poglądy, dzielić się nowymi narzędziami, uczyć nowych metod sztuki i rytuałów. Na

dobłą sprawę stanowi to jedno z niebezpieczeństw związanych z odkrywaniem tej ścieżki. Jeśli tak zaawansowane jednostki można stworzyć dzisiaj, to oznaczałoby to zmianę świata.

– Albo jego koniec – dodał Arnaud, spoglądając w stronę Jiaying.  
– Zwłaszcza w niewłaściwych rękach.

Maria zrozumiała.

– Jak blisko pani i siostra byłyście osiągnięcia tego celu? – spytał.

Ujrzała w myślach Baako, model tej samej neandertalskiej hybrydyzacji, i przypomniała sobie zdumiewające zdolności, jakie już zdradzał. Choć razem z Leną dokonały ogromnych postępów, wiele pozostawało jeszcze w sferze domysłów.

– Geny, które odpowiadają za inteligencję, są wciąż słabo poznane. Chodzi tu zapewne o skomplikowane interakcje wielokrotnych sekwencji. To, co badamy, jest całkowicie nowym terytorium.

– Ale pani i siostra jesteście pionierami, którzy wytyczają drogę w głąb tego terytorium. – Nie spuszczał wzroku z obojga chińskich oficerów. – Musicie obawiać się tych, którzy podążą za wami.

Wymiana zdań między Jiaying i Changiem wyraźnie nabrała temperatury. W potoku mandaryńskiego dialektu Maria kilkakrotnie usłyszała imię Leny. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Ale jakie to miało konsekwencje dla losu jej siostry?

– Zdaje się, że we Włoszech zrobiło się nieprzyjemnie – mruknął pod nosem Kowalski. Skrzywił wargi w pełnym zadowolenia złośliwym uśmiechu. – I domyślam się, komu za to dziękować.

Godzina 19.29

– I nie ma pan pojęcia, dokąd się udali? – spytała Jiaying. Wciąż krzyżowała ręce na piersi, czekając, aż podpułkownik Chang wyjaśni swoją ostatnią porażkę.

Pochylał nisko głowę, a milczenie stanowiło odpowiedź na jej pytanie.

Niedawne doniesienia wywiadowcze z Włoch były przygnębiające. Nie dość, że Lena Crandall wymknęła się z pułapki zastawionej przez starannie dobrany zespół Changa, to na dodatek włoski kontrwywiad wojskowy przejął ciała zabitych członków zespołu.

– Niewykluczone, że Włosi podejrzewają, kto wysłał tych ludzi – powiedział Chang. – Ale możemy wszystkiemu zaprzeczyć. Ci, których wyznaczyłem do tego zadania, byli duchami, innymi słowy cieniami, które nie mają nic wspólnego z Chińską Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Poza tym nie zginął nikt z miejscowych, więc całą sprawę można przedstawić jako atak terrorystyczny na chrześcijański cel.

Choć ta ocena sytuacji mogła się okazać trafna, nie umniejszała rozmiarów porażki Changa. Siostra Marii umknęła ponownie.

Wiedząc o tym, podpułkownik spróbował zrzucić z siebie częściowo ciężar winy, rozszerzając zakres odpowiedzialności.

– Gdyby mi pani powiedziała o swoim człowieku na miejscu akcji, wynik operacji byłby może inny.

Jiaying zacisnęła wargi w zimnym uśmiechu.

– Duě – przyznała. – Ale przynajmniej porucznik Wei przeżyła ten atak i teraz, gdy tu rozmawiamy, podąża za namierzonymi celami.

Porucznik Shu Wei była jednym z najmłodszych członków sił specjalnych regionu Chengdu, oddziału o kryptonimie Sokół, który specjalizował się w porwaniach, a także operacjach sabotażowych i działaniach zaczepnych. Była też siostrzenicą Jiaying. Generał wykorzystwała swoje kontakty w wywiadzie wojskowym, by potajemnie włączyć Shu Wei do tej misji w celu infiltracji i interwencji, gdyby zaszła taka konieczność.

– Porucznik Wei dowiedziała się także, kto towarzyszy Lenie Crandall i temu chorwackiemu księdzu – ciągnęła Jiaying. – To Amerykanie, prawdopodobnie tajna grupa powiązana z ich armią.

Dzięki rozmowie przeprowadzonej z zakonnicą przed atakiem pańskich ludzi Wei dowiedziała się też, czego poszukiwali.

– O co chodziło? – spytał Chang już bardziej przygaszonym tonem.

– O informację dotyczącą siedemnastowiecznego księdza, Atanazego Kirchera.

Chang zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony – podobnie jak Jiaying, która jednak zachowała obojętny wyraz twarzy.

– Wei podąży tym tropem – mówiła dalej generał. – Żeby ustalić, jak ten dość zaskakujący aspekt sprawy może zaszkodzić naszym zamierzeniom, i wyeliminować Lenę Crandall.

– Wydawało mi się, że chcemy schwytać ją żywcem.

– Po tylu niepowodzeniach z pańskiej strony doszłam do wniosku, że taki plan jest zbyt ryzykowny. Pozyskanie jej w sposób bezpieczny wymaga delikatności, na którą nie możemy sobie w tej chwili pozwolić. Więc Shu Wei formuje zespół uderzeniowy spośród ludzi własnego oddziału, by wytropić i wyeliminować to zagrożenie raz na zawsze.

Chang się wyprostował.

– Więc jestem pewien, że z moim wsparciem...

Odwróciła się na pięcie, okazując mu lekceważenie.

– Nie będzie ono konieczne. Niewątpliwie ma pan dość obowiązków tu, na miejscu. – Oddaliła się, widząc oczami wyobraźni, jak ciemnieje mu twarz. Postanowiła wykorzystać sytuację i poniżyć go jeszcze bardziej. – Zważywszy na to, że skupi pan w pełni uwagę na swoich obowiązkach, wierzę, że zdoła pan przynajmniej chronić odpowiednio nasz ośrodek. – Spojrzała na niego przez ramię. – Oczywiście, jakikolwiek kolejny błąd zasłuży na surowszą nagane.

Wskazała głową podwójne drzwi.

Choć twarz Changa wciąż zdradzała gniew, w jego oczach płonął niekłamany strach, kiedy zerknął w tamtą stronę.

Doskonale, pomyślała.

Popatrzyła na Marię, Kowalskiego i francuskiego paleontologa.  
A teraz trzeba uświadomić tym ludziom wszelkie konsekwencje porażki.

Godzina 19.37

Pojawiają się kłopoty.

Kowalski patrzył, jak chińska generał znów się do nich zbliża. Sprawiała wrażenie zbyt zadowolonej jak na jego gust.

– Chodźcie – powiedziała. – Pokażę wam, co osiągnęliśmy... i jak możecie pomóc. – Dała im znak, by ruszyli za nią, i rozkazała szorstko dwóm strażnikom trzymać się z tyłu.

– Domyślam się, że nie jest to wycieczka fakultatywna – mruknął Kowalski do Marii, kiedy podążyli za swoją przewodniczką.

Nie odpowiedziała, ale dostrzegł nerwowość na jej bladej twarzy. Przesuwała palcami po tatuażu w kształcie podwójnej spirali pod uchem – symbolu jej profesji i zapewne przyczynie niepokoju. Chińczycy pragnęli wykorzystać jej zawodowe doświadczenie i wiedzę... Ale w jakim celu?

Gdy Jiaying podeszła do wysokich stalowych drzwi, rozsunęły się przed nią. Ze środka dobył się podmuch powietrza, przynosząc ze sobą piżmową woń zwierząt wraz z zapachem antyseptyku i wybielacza.

Za progiem ciągnęło się białe pomieszczenie o długości połowy boiska piłkarskiego, pełne sprzętu z nierdzewnej stali. Po jednej stronie wznosiła się ściana z klatkami; po drugiej stało dziesięć stalowych stołów. Miejsce to przypominało Kowalskiemu kostnicę. Tyle że dwa najbliższe stoły zaopatrzone były w podniesione strzemiona, jakie spotyka się w gabinetach ginekologicznych.

Jeden z nich wyglądał tak, jakby korzystano z niego niedawno. Pracownik w białym fartuchu zmywał za pomocą małego węża krew i tkankę wzdłuż nachylonego blatu, spłukując nieczystości do

stalowego wiadra przy jednym końcu. Co wydawało się jeszcze bardziej niepokojące, to szereg słoików na kontuarze za stołem. W środku pływały organy, między innymi coś, co okazało się przerośniętym sercem.

Kowalski stłumił obrzydzenie i odwrócił wzrok.

Kiedy weszli do środka, wszędzie kręcili się technicy zajęci swoimi obowiązkami, a głównym było schodzenie z drogi generała Lau.

Maria przyglądała się z uwagą stalowym klatkom po przeciwległej stronie. W kilku znajdowało się to, czego mógłby się spodziewać Kowalski w takim laboratorium: białe szczury poruszające różowymi nosami; wybieg dla królików; samotny szympan, który kulił się w głębi swojego lokum. Miał ręce wygolone do pach, podobnie jak czubek głowy.

Nim Kowalski zdążył się zastanowić, dlaczego zwierzę tak wygląda, odpowiedź pojawiła się w sąsiedniej klatce. Ze środka spoglądał na nich młody szympan; odprowadzał ich spojrzeniem brązowych oczu, kiedy go mijali. Biedak mógł poruszać tylko żrenicami. Jego szyja tkwiła w perforowanej stalowej półce, która go unieruchamiała i nie pozwalała sięgnąć dłońmi powyżej ramion. Cel takiego uwięzienia był jasny. Szympanowi usunięto górną część czaszki, odsłaniając mózg. Na wilgotnej różowej powierzchni znajdowała się poduszczone, z której sterczały elektrody podłączone do sprzętu na zewnątrz klatki. Spomiędzy rozciągniętych na zębach warg stworzenia dobywało się bezustanne kwilenie.

– Skur... – zaczął Kowalski, ale natychmiast zamknął usta, kiedy generał Lau spojrzała na nich przez ramię. Nie była to odpowiednia chwila, by obrażać gospodynię.

– To laboratorium wiwisekcyjne – wyszeptała Maria, której oczy lśniły od szoku, a może też łez.

W następnej klatce siedziała niewielka małpa człekokształtna – może małeńki goryl – i przywierała do drewnianego słupa z przybitą do niego postrzępioną szmatą, jakby to była matka.

Francuz zwolnił kroku, by przyjrzeć się dokładniej tej drobnej postaci, jej wystraszonej twarzy wtulonej w jedyny przynoszący ukojenie przedmiot w tym przerażającym miejscu. Arnaud zmarszczył czoło, rzucając Marii zatroskane spojrzenie, ale nim zdążył się odezwać, generał Lau skierowała ich w głąb laboratorium.

– Tędy – nakazała.

Jak się okazało, jej celem było wielkie okno na końcu pomieszczenia. Obejmowało swoimi rozmiarami całą ścianę. Za grubym szkłem, oświetlona z góry, otwierała się rozległa niecka.

Skierowano ich w tamtą stronę.

– Doktor Crandall, dzięki technikom, które udoskonaliła pani wraz siostrą, może pani zobaczyć, co udało się nam już osiągnąć – oznajmiła generał Lau.

Gdy dotarli do okna, Kowalski przysunął się bliżej, mając po bokach Marię i doktora Arnauda. Spojrzał w tę ogromną przestrzeń w dole i tym razem nie potrafił się powstrzymać.

– Wy skurwiele...

Godzina 19.48

Monk siedział z Kimberly Moy na ławce nad rzeką Nanchang. Ciemna woda, oświetlona gdzieniegdzie blaskiem lamp ulicznych, przepływała przez sam środek pekińskiego ogrodu zoologicznego. Pobliski przystanek promowy, zamknięty o tej porze, oferował przejażdżki po zoo i do Letniego Pałacu. Monk widział dokładnie rzekę, której brzegi spinały gdzieniegdzie łukowate kamienne mosty.

– Co sądzisz? – spytał cicho.

Kimberly masowała sobie łydkę. Mieli za sobą trzygodzinny spacer: najpierw przemierzili zoo, a potem teren zewnętrzny. W końcu dotarli do najbardziej na północ wysuniętego punktu, okrążywszy niemal cały ogród.



– Zdecydowanie jeden z nowszych helikopterów armii – oznajmiła, nie podnosząc wzroku. – Śmigłowiec wielozadaniowy zet osiemnaście a, jeśli się nie mylę. Do transportu wojska i sprzętu.

Na pewno dostatecznie duży, by przewieźć goryla w klatce.

Wcześniej Monk zauważył maszynę na lądowisku w niepozornym zakątku ogrodu zoologicznego, niedaleko dużego budynku oceanarium. Zza ogrodzenia widział tylko kawałek kadłuba helikoptera. Starając się nie wzbudzać podejrzeń, podążyli wzdłuż rzeki i usiedli na ławce, skąd wciąż widać było cały śmigłowiec.

– Spory ruch tam panuje – zauważył Monk.

Przez ostatnie dziesięć minut obserwowali umundurowanych ludzi, którzy krążyli tam i z powrotem, zajmując się głównie wnoszeniem skrzyń do części załadunkowej. Wydawało się, że trwają przygotowania do startu. Obawiając się, że Chińczycy mogą znowu przewieźć dokądś uprowadzoną grupę, Monk wypatrywał gdzieś uzbrojonej eskorty prowadzącej cywilów w stronę maszyny.

– Szkoda, że nie mogę podejść bliżej – mruknął. – By sprawdzić, czy nie ma ich już na pokładzie.

– I co dalej? – spytała Kimberly. – Teren roi się od personelu. Dopóki nie ustalimy, że nasi wciąż tu są, narazisz się tylko na niepotrzebne ryzyko.

Miała rację, ale z trudem znosił to beczynne siedzenie i czekanie na jakiś znak.

Jego uwagę zwrócił dźwięk dochodzący od strony pobliskiej drogi. Obok nich przemknął duży transporter opancerzony z czerwoną gwiazdą na wieżyczce i zatrzymał się gwałtownie przed północną bramą zoo. Z tylnej części pojazdu wysypali się żołnierze; jeden wysunął się z górnego wjazdu i zajął stanowisko przy działku. Oddział rozstawił się przy bramie, a krótko potem żołnierze, po dwóch, ruszyli w przeciwnych kierunkach, chcąc bez wątplenia spenetrować teren ogrodu zoologicznego.

Monk domyślał się, że pozostałe wyjścia są pilnowane w taki sam sposób.

Trącił Kimberly.

– Czy nie dowodzi tego, że nasi przyjaciele są wciąż przetrzymywani na tym terenie?

Skinęła głową.

– Ale może też oznaczać, że chiński wywiad wie o naszej obecności. Albo przynajmniej coś podejrzewa.

Ujęła go za rękę. Wiedział, co chce mu przekazać.

Czas się zbierać.

Wstał i oboje ruszyli przez nadrzeczny park, podczas gdy dwóch żołnierzy zmierzało w ich stronę. Monk trzymał się blisko Kimberly, udając przypadkowego turystę. Szli ręką w rękę wzdłuż brzegu, oddalając się od terenów ogrodu zoologicznego. Monk miał podniesiony kołnierz kurtki i nie patrzył na żołnierzy. Spodziewał się w każdej chwili krzyku, rozkazu, by się zatrzymać, ale usłyszał tylko narastający warkot, któremu towarzyszył znajomy łoskot wirnika.

– Nie patrz – powiedziała Kimberly, ściskając mu rękę.

Nie musiał spoglądać przez ramię. Potrafił bez trudu wyobrazić sobie helikopter unoszący się nad betonowym lądowiskiem ku nocnemu niebu. Nie wiedział, czy Kowalski i Maria są na jego pokładzie, ale dręczyło go dojmujące poczucie porażki.

Nie mając innego wyboru, szli dalej, podczas gdy żołnierze deptali im po piętach. Nawet jeśli Kowalski i Maria wciąż znajdowali się na tym terenie, to szanse na ich ocalenie były coraz mniejsze, bo całe zoo zostało otoczone przez chińskie wojsko.

– Co teraz? – spytała Kimberly.

– Czekamy – odparł, choć ta odpowiedź nie podobała mu się ani trochę. – Miejmy nadzieję, że Kat i Crowe dostaną nowy sygnał z nadajnika. W przeciwnym razie jesteśmy załatwieni.

Wcześniej odebrał telefon od Paintera i ten poinformował go, że ludzie z oddziału wyznaczonego do tej operacji przylecieli już do Pekinu, każdy innym samolotem. Pięciu komandosów docierało

właśnie na miejsce zbiórki; mieli czekać na sygnał do rozpoczęcia akcji ratunkowej.

Skrzywił się.

Wygląda na to, że poczekamy jeszcze trochę.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, popatrzył na zoo.

Co się tam dzieje, do cholery?

19.50

Maria próbowała zrozumieć za wszelką cenę to, na co patrzyła.

To nie może być...

Stała z Kowalskim i Arnaudem przed zaokrągloną szybą i patrzyła na habitat wielkości boiska do koszykówki razem z trybunami. Wydawało się, że wykuto to w pierwotnej skale, ściany zaś upstrzone były ciemnymi jaskiniami. Jej uwagę przyciągało jednak dno tej niecki.

Trzy piętra niżej, pośród sztucznych, bezlistnych drzew z betonu, z których kilka zostało roztrzaskanych na kawałki przez mieszkańców, włóczyły się i siedziały wielkie włochate bestie. Każda z nich odznaczała się wzrostem od dwustu czterdziestu do dwustu siedemdziesięciu centymetrów i wagą około pół tony, przewyższając dwukrotnie przeciętnego goryla górskiego. Ich nogi były równie grube jak pnie drzew, ręce wydawały się niewiele cieńsze. Niektóre poruszały się ociężale, wsparte na kłykciach, ale największy stał wyprostowany, ukazując w całej okazałości swe rozmiary i srebrzysty odcień futra. Patrzył na nich i obnażał zęby w bezgłośnym ryku, odsłaniając żółte kły, długie jak wyciągnięta dłoń.

Ten olbrzym pilnował niedawnej zdobyczy, najwyraźniej czując się zagrożonym ze strony obserwujących go ludzi. Zmasakrowane ciało u jego stóp wciąż miało na sobie strzępy uniformu podobnego do kombinezonów pracowników, których Maria tu widziała.

Nim zdążyła odwrócić wzrok, wyprostowana bestia sięgnęła za siebie, chwyciła coś i cisnęła tym w ich kierunku. Maria cofnęła się o

krok, kiedy uderzyło to w szybę, zarówno zdumiona samym pokazem siły, jak i przerażona widokiem oderwanej ręki, która walnęła w szybę i zsunęła się powoli, zostawiając po sobie krwawą smugę.

Ten brutalny akt wyrwał ją z szoku.

– Co... co to jest? – spytała.

– Nazywamy to Arką, tygłem służącym obserwacji naszych tworów. Niewiele się różni od pani sali szkolnej w waszym ośrodku badań nad naczelnymi.

Maria odrzuciła takie porównanie. Pokręciła nieznacznie głową, próbując zapanować nad trwogą.

– To goryle...

– Hybrydy – skorygowała Jiaying niepotrzebnie.

Maria zdążyła się już zorientować, że nie są to zwykłe małe człekokształtne. Przypomniała sobie wielką czaszkę prehistorycznego goryla, *Gigantopithecusa blacki*. Stworzenia, na które teraz patrzyła, były podobnych rozmiarów i budowy, ale wiedziała, że nie jest to monstrualny gatunek przywrócony do życia.

Miała czas pozbierać myśli, bo odezwał się Arnaud:

– Wyobrażam sobie, że aby stworzyć takie okazy, musieliście połączyć łańcuchy DNA tego megantropa, którego pokazała nam pani wcześniej.

Jiaying skinęła głową, potwierdzając jego przypuszczenie.

– Żeby to osiągnąć, posłużyliśmy się różnorodnymi technikami i doskonaliliśmy je metodą prób i błędów. W końcu wykorzystaliśmy dokumentację sióstr Crandall, co bardzo przyspieszyło realizację naszego programu. Ale podczas gdy Maria i jej siostra dokonały ekstrakcji neandertalskiego DNA, by stworzyć swoją hybrydę, my przeprowadziliśmy sekwencjonowanie genów z kości megantropa. – Wskazała okno. – Jednak, podobnie jak panie Crandall, postanowiliśmy posłużyć się gorylami w charakterze pierwotnego modelu. Rezultaty są zgodne z naszymi oczekiwaniami. Nawet muskulatura tych okazów okazała się nadzwyczaj mocna:

dwukrotnie większa niż u typowego goryla i dziesięciokrotnie większa niż u przeciętnego człowieka.

Maria, czując przerażenie, z trudem oddychała. W jej głowie rozbrzmiewało echo słów generała: Wykorzystaliśmy dokumentację sióstr Crandall.

Popatrzyła na masywnego stwora o srebrzystym futrze, który pochylił się nad swoją zdobyczą i podniósł do pyska coś, co przypominało kawał wątroby, i zatopił w tym kły.

Co myśmy zrobiły?

– Oczywiście, nim przejdziemy do etapu ludzkiego, musimy rozwiązać kilka zasadniczych problemów – oznajmiła Jiaying.

Maria spojrzała na nią.

– Jakich problemów?

– Te bestie okazały się dziksze niż typowy goryl. Zabijają się nawzajem, jeśli nie dostarczamy im dostatecznie dużo jedzenia.

Maria przypomniała sobie opowieść o plemieniu megantropa polującego na sąsiednie klany, a także na swoich pobratymców. Wydawało się, że tutejsi genetycy przekazali tym hybrydom nie tylko wrodzoną siłę przodków, ale też skłonność do kanibalizmu.

Może nawet jedno idzie z drugim w parze.

Jiaying wbiła w Marię zimny wzrok.

– Dlatego potrzebna jest nam pani pomoc. Chcemy znaleźć równowagę między tym, co tu osiągnęliśmy, a zaawansowaną inteligencją, którą zaszczepiła pani obiektowi swoich badań.

Maria pomyślała o łagodnej duszy Baako. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak miałyby połączyć jego dobroć z tym, co zamieszkiwało tę krwawą Arkę.

Nie zamierzała milczeć.

– By osiągnąć to, o co pani prosi, trzeba by przeanalizować setki zmiennych, nie wspominając już o nieznannej liczbie epigenetycznych czynników, co jeszcze bardziej komplikuje zagadnienie. Osiągnięcie takiego celu wymagałoby dziesiątków lat prób i błędów, jeśli w ogóle jest to możliwe.

– Też tak uważaliśmy – przyznała Jiaying. – Dlatego, wykorzystując nieoficjalne kanały, finansowaliśmy wasze badania.

Dzięki Amy Wu, pomyślała z goryczą Maria.

General wyprostowała się dumnie.

– A potem dowiedzieliśmy się o odkryciu doktora Arnauda w górach Chorwacji.

Francuz też nie krył oburzenia, że jego badania mogłyby być w jakikolwiek sposób powiązane z horrorem, na który tu patrzyli.

– Co moje odkrycie ma z tym wszystkim wspólnego?

– Chodzi o możliwości genetyczne zawarte w kościach pierwszego pokolenia hybrydy wczesnego człowieka i neandertalczyka. Gdyby udało się nam odzyskać DNA z tych szczątków, mielibyśmy szansę znaleźć i wyizolować konkretne czynniki genetyczne, które przyczyniły się do rozwoju inteligencji u takiej hybrydy.

Maria skrzyżowała ramiona na piersi, uświadamiając sobie, że ta kobieta ma prawdopodobnie rację. Dysponując takim DNA, zdefiniowanie i ekstrakcja specyficznego kodu leżącego u podstaw ewolucyjnego Wielkiego Skoku byłyby możliwe.

Albo przynajmniej znacznie przyspieszone.

Zaczęła pojmować rozmiar całego przedsięwzięcia. Ktokolwiek kontrolował ten wyjątkowy i unikalny magazyn genetyczny, miałby ogromną przewagę w bioinżynieryjnym wyścigu zbrojeń, który obejmował cały glob. Te kości mogłyby się okazać Świętym Graalem następnego etapu ludzkiej ewolucji. I nie dotyczyło to jedynie Chińczyków. Nawet podległe DARPA Biuro Technologii Biologicznych miało za cel rozszyfrowanie kodu ludzkiej inteligencji.

Nic dziwnego, że Chińczycy działali tak szybko i bezwzględnie. Zwycięstwo w tej rozgrywce oznaczało nie tylko dominację jednego kraju, ale też kontrolowanie przyszłości rodzaju ludzkiego.

– No i jest Baako – dodała Jiaying, skupiając na sobie uwagę Marii.

– To znaczy? – spytał Kowalski, którego twarz zastygła.

Jiaying spojrzała w stronę wielkiego okna.

– Poza problemem agresji natrafiliśmy na inną trudność. Chodzi o rozrodczość. Żeńskie hybrydy są płodne, w przeciwieństwie do wszystkich bez wyjątku osobników męskich.

Maria wiedziała, że nie jest to niczym niezwykłym. Hybrydy powstałe z krzyżówki spokrewnionych gatunków często były bezpłodne, jak w przypadku muła. Samce zawsze odznaczały się bezpłodnością, podczas gdy samice czasem ją zachowywały.

Arnaud zwrócił uwagę na pewien istotny szczegół:

– Większość paleontologów uważa, że to samo dotyczy hybryd neandertalskich. Osobnicy męscy byli prawdopodobnie bezpłodni, niewykluczone natomiast, że kobiety mogły mieć potomstwo.

– Jeśli tak jest rzeczywiście, oznaczałoby to, że geny neandertalczyków, które w sobie nosimy, musiały pochodzić od hybryd żeńskich, nie męskich – dodała Maria.

– I dlatego Baako jest taki ważny – oświadczyła Jiaying. – Rozumiem, że wasz podopieczny został poddany odpowiednim badaniom i uznany za zdolnego do reprodukcji.

Maria podniosła dłoń.

– Niekoniecznie. Jak dotąd, jest to genetycznie potwierdzone, ale nie możemy niczego być pewni, ponieważ Baako wciąż jest bardzo młody i seksualnie niedojrzały. Upłyną jeszcze trzy albo cztery lata, nim zdołamy ocenić definitywnie jego płodność.

– Być może – odparła Jiaying. – Ale nie chodzi nam o to, by Baako parzył się fizycznie. Musimy tylko dokonać sekwencji tej rozrodczej zdolności zawartej w jego chromosomie Y. Oczywiście, jeszcze ważniejsze są te unikalne geny neandertalskie, które, jak to udowodniono, wpłynęły znacznie na jego inteligencję.

Maria poczuła, jak zamiera w niej serce.

Biedny Baako...

– Zresztą wszystko to możemy uzyskać za sprawą kilka wymazów z wewnętrznej strony policzka i próbek krwi – ciągnęła Jiaying. – I właśnie tak zrobimy, łącznie z biopsją szpiku kostnego. Ale jego

prawdziwą wartość docenimy wtedy, gdy uda się nam uzyskać dostęp do wyjątkowej architektury jego mózgu. Szansa zbadania żywego osobnika pod kątem działania tych wyjątkowych genów mogłaby się okazać bezcenna.

– Zamierzacie zbadać jego mózg? – Maria przypomniała sobie serię badań rezonansem magnetycznym, jakim Baako był poddawany od niemowlęctwa. – Żeby sprawdzić, jak się rozwinął?

– Zgadza się. Wasze podejście do tej kwestii należy uznać za zbyt konserwatywne. Uważamy, że bardziej inwazyjne metody dadzą wszechstronniejszy obraz. – Jiaying spojrzała na szympansa, którego odsłonięty mózg pokrywały elektrody. – Okazało się, że możemy utrzymać takie okazy przy życiu do dwóch lat. Sądzymy, że w przypadku większych osobników moglibyśmy wydłużyć ten okres dwukrotnie.

Maria uświadomiła sobie, że zamierzają dokonać takiego samego zabiegu na Baako.

– Nie! – wypaliła bez namysłu. – Nie pozwolę na to.

– Tak się stanie, niezależnie od tego, czy się pani zgodzi, czy nie. Chirurgi weterynaryjni przygotowują się w tej chwili do operacji.

– Kiedy? – spytała słabym głosem Maria.

– Rano, jak już odpocznie po trudach podróży.

Maria szukała rozpaczliwie jakiegoś sposobu, by temu zapobiec.

– Jeśli... jeśli to zrobicie, odmówię współpracy. Będziecie musieli mnie zastrzelić.

Jiaying zerknęła na Kowalskiego.

– Jeśli będzie to konieczne, nie panią pierwszą zastrzelę. I nie będę tak litościwa jak w przypadku profesora Wrightsona.

Maria spojrzała na Kowalskiego.

Wzruszył ramionami.

– Niech robią to, co najgorsze – rzucił.

Choć silił się na nonszalancję, zauważyła, że oblizwał nerwowo wargi.



Jiaying jednak jeszcze nie skończyła. Skinęła głową uzbrojonej eskortie, ta zaś podprowadziła ich do ściany pełnej klatek. Zatrzymali się przed szympansem, który kwilił ze strachu i zdenerwowania. Jiaying sięgnęła do sprzętu wiszącego na zewnątrz i przekręciła pokrętło na potencjometrze.

Szympanś drgnął gwałtownie, z jego małej piersi dobył się przeraźliwy skowyt. Szeroko rozwarte i oślepienie bólem oczy wychodziły mu z czaszki.

– Przestań! – krzyknęła Maria.

General stała bez ruchu, obojętna na to straszliwe cierpienie.

Ktoś jednak nie był obojętny.

Kowalski rzucił się nagle do tyłu, szybciej, niż Maria mogła sobie wyobrazić, że jest to możliwe. Wpadł na jednego ze strażników i chwycił lufę karabinu. Choć broń wciąż była przypasana do ramienia żołnierza, Kowalski sięgnął do spustu.

Karabin wypalił z ogłuszającym hukiem.

Pocisk przeleciał między prętami klatki i oderwał połowę czaszki szympanśa. Krzyk zwierzęcia urwał się gwałtownie, a ciało zawisło bezwładnie na metalowej obręczy.

Kowalski natychmiast podniósł ręce i odsunął się na bok. Wycelowano w niego dwa karabiny, a Jiaying trzymała w dłoni pistolet. Maria czekała na egzekucję olbrzyma.

Jiaying schowała jednak broń.

– Widzę, że ten opiekun goryla ma serce równie miękkie jak pani. – Obróciła się do Marii. – Ale to w niczym nie pomoże. Jeśli pragnie pani, by zwierzę przetrwało to wszystko w miarę bezboleśnie, oczekuję nie tylko współpracy, ale też rezultatów.

Dała strażnikom znak, by wyprowadzili więźniów z laboratorium.

– To był długi wieczór – powiedziała. – Zostaniecie odprowadzeni do swojego pokoju.

Maria się sprzeciwiła.

– Niech pani zaczeka! Chcę zobaczyć Baako. Chcę spędzić z nim ostatnią noc.

Jiaying popatrzyła na nią twardo.

– Błagam – powiedziała Maria.

– Jeśli wyrządzi mu pani jakąś krzywdę, nawet uznając to za akt miłosierdzia, jego miejsce zajmie ktoś inny – ostrzegła generał. Spojrzała na martwego szympansa, a potem popatrzyła znacząco na Kowalskiego.

Maria nawet nie rozważała popełnienia takiego „aktu miłosierdzia”, więc po prostu skinęła głową.

– Ja też chcę iść – powiedział Kowalski, dotykając opatrunku na twarzy. – Pomóc uspokoić Baako, chronić doktor Crandall, jeśli zajdzie taka konieczność.

Chinka westchnęła, mając najwidoczniej dość dyskusji.

– Niech tak będzie. Każę przynieść wam posłania. Ale pamiętajcie, że będziecie przez całą noc obserwowani.

Maria dotknęła opuszkami palców dłoni Kowalskiego, dziękując mu bez słów. Gdy tylko przeszli przez rozsuwane drzwi laboratorium wiwisekcyjnego, nagle wszystko do niej dotarło, przygniatając swym brzemieniem.

Co zrobimy? Jak mam spojrzeć na Baako, wiedząc o tym, co się z nim rano stanie?

Jej nogi ogarnęła słabość, a kolana zaczęły drżeć.

Poczuła, jak obejmuje ją wpeł i podtrzymuje mocna ręka.

– Poradzimy sobie – szepnął Kowalski.

– Jak? – Spojrzała na niego.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Więc co...

– Pomyślałem, że chcesz coś takiego usłyszeć.

Zaskoczona stwierdziła, że jego szczerość podniosła ją na duchu.

Niemal wniósł ją do pojazdu elektrycznego.

– Sprawdźmy, co słyhać u tego wielkiego dzieciaka.

Baako dostrzega swoją matkę, gdy tylko otwierają się podwójne drzwi. Na jej widok w jego sercu wybucha radość. Podbiega w podskokach do krat i przywiera do nich, pohukując i dając do zrozumienia, jaki jest szczęśliwy.

Ona, przysuwając się bliżej, przykłada pięści do ciała, pokazując coś, co on doskonale zna.

Kocham cię.

Odskakuje od prętów, kołysząc się na nogach, i powtarza znak.

Baako kocha mamę.

Ona się uśmiecha, ale nie tak szeroko jak zwykle. Baako dostrzega smutek w kącikach jej oczu, węszy i wyczuwa jej strach. Uderza się dłonią w drugą rękę ponad łokciem. Robi tak tylko wtedy, kiedy się boi.

Ona to widzi i łączy nadgarstki.

Jesteś bezpieczny.

Baako czeka, aż jeden ze złych ludzi otworzy drzwi. Nienawidzi ich zapachu. Między kraty zostaje wetknięty długi czarny pręt, który pluje na niego iskrami. Baako boi się tego i odskakuje, ale pomrukuje w głębi piersi i obnaża zęby.

Wreszcie drzwi otwierają się na oścież i do klatki wchodzi mama. Razem z nią jest ten duży człowiek, ten, który potrafi mówić rękami. Wczoraj mama pokazała jego imię za pomocą liter – J-O-E. To było jeszcze w domu, gdzie Baako miał telewizor, swoje łóżko, zabawki i najlepszego przyjaciela, Tanga.

Baako cieszy się, że Tanga nie ma w tym złym miejscu.

Mama podchodzi i obejmuje go. Ścisza i wydaje dźwięki, które są pełne ciepła i miłości. On w odpowiedzi pofukuje cicho. Ona się odchyła. Baako widzi w jej oczach łzy. Mama ociera je jedną dłonią, ale napływa ich jeszcze więcej. Odwraca się. Baako posapuje na nią, sięgając wierzchem dłoni do jej policzka.

Mama lubi, kiedy tak robi.

Ale nie uśmiecha się teraz i nie całuje go w nos. Z jej oczu spływa jeszcze więcej łez.

Baako opuszcza rękę, a wtedy duży człowiek – Joe – kuca przed nim, wspierając się na kłykciach jednej dłoni, jak robi to Baako. Drugą ręką pokazuje:

Wszystko dobrze?

Baako kręci głową. Odwraca się, żeby mama nie mogła zobaczyć, i macha palcami przy piersi.

Boję się.

Joe przysuwa się bliżej. Jego wielkie dłonie układają się w słowa.

Będziemy razem dzielni... ty i ja.

Joe wskazuje na mamę.

Dla niej... okay?

Baako kiwa głową i powtarza ostatni gest.

Dla mamy.

Ku ramionom Baako wysuwa się wielka dłoń. Silne palce ściskają mocno – ale Baako wie, że nie chodzi o to, by go zabolalo. Patrzy w oczy tego człowieka, potem łączy obie pięści i porusza nimi.

Razem.

Joe uśmiecha się szeroko i wypowiada słowa, które Baako zna.

– Zgadza się.

Źli ludzie już odeszli, ale przedtem wrzucili do klatki dwa zwinięte wałki. Są czerwone i pachną jak pióra. Przypomina to Baako jego poduszki w domu. Mama raz go złajała za to, że rozerwał je zębami, by dostać się do tych piór.

Mama i Joe rozwijają wałki i potrząsają nimi, żeby się rozłożyły.

Zaciekawiony Baako wciska się między nich.

Mama pokazuje mu coś, nachylając głowę ku otwartej dłoni.

To są łóżka.

Baako parska, nie wierząc jej. Czasem mama się z nim drażni. Teraz jednak pokazuje mu zamek błyskawiczny. Próbuje się z nim uporać, przesuważąc tam i z powrotem.

Joe mówi coś, co rozśmiesza mamę. To dla niej dobre. Potem Joe pokazuje Baako, jak rozpiąć jedno z łóżek. Kiedy jest już otwarte, człowiek wsuwa do środka swoje ciało, z rękami i nogami, i udaje, że śpi.

Baako obwąchuje brzegi, podczas gdy Joe i mama rozmawiają zbyt szybko, by mógł zrozumieć, ale ożywia się, ilekroć pada jego imię. Mama w końcu nakłania go, żeby zjadł trochę bananów. Potem wsuwa się do swojego łóżka.

Baako patrzy na oboje, dotykając zamka błyskawicznego.

Joe wysuwa rękę z łóżka i klepie miejsce między sobą a mamą.

Baako rozumie i podchodzi ostrożnie. Okrąża ich kilka razy, a Joe stęka, kiedy nadeptuje na niego przypadkowo. Potem Baako się sadowi i zwija między nimi w kłębek.

Mama całuje go w czoło, jak zawsze przed snem. Przysuwa się do niej, a ona go obejmuje. Baako wzdycha zadowolony.

Po raz pierwszy czuje się tu bezpieczny.

Mimo wszystko wysuwa rękę w stronę Joego.

Oczy tego człowieka błyszczą w ciemności. Potem, czemu towarzyszy cichy pomruk, spomiędzy ząbkowanych brzegów łóżka wysuwa się duża dłoń i odnajduje dłoń Baako. Palce obejmują jego palce. Zaciskają się raz, potem rozwierają – ale nie puszczaają.

Joe kręci głową, zakopując się głębiej. Dobiegają stłumione słowa.  
– Zadowolony?

Baako wpatruje się w ich złączone palce, odczytując w nich milczące przesłanie, tak jasne jak ruchliwe ręce i dłonie. To jedno słowo i obietnica.

Razem.

Zamyka oczy i odpowiada Joemu z całego swego serca.

Tak.

Rzym

30 kwietnia, godzina 17.44 czasu miejscowego

– Uważamy, że Chińczycy wciąż przetrzymują Kowalskiego i Marię Crandall gdzieś na terenie ogrodu zoologicznego – powiedział Painter, korzystając z bezpiecznej linii.

Trzymając telefon przy uchu, Gray stał przy oknie na drugim piętrze Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Gabinet należał do jednego z dawnych przyjaciół Rolanda, historyka zajmującego się średniowieczem, który przebywał obecnie na urlopie naukowym. Po ucieczce z gór Roland zaproponował, by zaszyli się tutaj, dzięki czemu mogliby spokojnie spędzić popołudnie i zastanowić się, co robić dalej. Duchowny pragnął też skorzystać z przepastnej biblioteki uniwersyteckiej, żeby sprawdzić coś, co według niego mogło mieć znaczenie dla całej tej sprawy.

Gray skorzystał z okazji i skontaktował się z centralą Sigmy.

– A co z tym nadajnikiem GPS-u? – spytał. – Udało wam się wychwycić więcej sygnałów?

– Nie, ale sądząc po wzmożonej obecności wojska wokół zoo, Chińczycy są prawdopodobnie świadomi, że wiemy o ich zaangażowaniu. Tak przynajmniej twierdzi Kat po otrzymaniu wiadomości od Monka.

Gray był pewien, że Kat martwi się o męża, i to nie bez powodu. Jego twarz nie mogła pozostać niezauważona pośród mieszkańców Pekinu.

– Więc jaki jest następny ruch Monka? – spytał komandor, nie kryjąc troski.

– Poleciałem jemu i jego partnerce na razie się wycofać, chodzi o to, by nie wzbudzali podejrzeń. Kat stara się dowiedzieć więcej, wykorzystując do tego kanały nieoficjalne. W tej chwili jednak nie znamy szczegółów dotyczących ataku w USA.

Nie wspominając o tym, co dzieje się tutaj.

Twarz Graya, a także jego ręce i nogi, pokrywał istny patchwork opatrunków, reszta ciała zaś była posiniaczona i pokiereszowana. Starał się rozgryźć to wszystko.

– Chińczykom zależało bez wątpienia na tych kościach odkrytych w Chorwacji – powiedział. – I jest to w jakiś sposób powiązane z badaniami sióstr Crandall dotyczącymi genetycznych źródeł ludzkiej inteligencji.

– Prawdopodobnie. Wiemy, że Chińczycy finansowali po cichu te badania, przekazując pieniądze za pośrednictwem Amy Wu, swojej agentki w National Science Foundation. Ale poza tym poruszamy się po omacku. Musimy się dowiedzieć, dlaczego te kości są takie ważne. Wygląda na to, że właśnie to odkrycie wszystko zapoczątkowało.

– Analizujemy tu pewne tropy – odparł Gray. Poinformował już szefa o tym, co znaleźli w sanktuarium na Mentorelli, i że ma to związek z Atanazym Kircherem. – W tej chwili Chińczycy badają tę sprawę z perspektywy czysto naukowej, ale może zdołamy się czegoś dowiedzieć, podążając historycznymi śladami umyślnie pozostawionymi przez tego księdza.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo Kircher najwyraźniej wpadł na jakiś trop, znalazł coś, co uznał za warte zachowania, a jednocześnie na tyle niepokojące, że postanowił to dobrze ukryć. Gdybyśmy się dowiedzieli, co to takiego, moglibyśmy uzyskać przewagę nad Chińczykami albo przynajmniej lepiej zrozumieć ich zainteresowanie kośćmi i badaniami Marii i Leny Crandall.

– Rób, co tylko możesz – powiedział Painter, choć w jego głosie wyczuwało się powątpiewanie. – W tej chwili mamy impas, więc przypuszczam, że każdy nowy ślad może okazać się przydatny.

– Będę cię informował na bieżąco.

Gray rozłączył się, ale pozostał przy oknie; obserwował ulice w dole. Nic nie wskazywało na to, by ich śledzono od chwili, gdy opuścili góry, lecz wiedział, że jedna osoba z chińskiej grupy – kobieta – przeżyła i uciekła pieszo. Kat monitorowała rozmowy prowadzone przez tamtejsze siły porządku publicznego. Jakiś właściciel gospodarstwa niedaleko wioski Guadagnolo zgłosił kradzież motocykla ze stodoły.

To nie mógł być przypadek.

Komandor wypatrywał w dole ukradzionego motoru, ale co drugi pojazd dwukołowy był vespą czy innym jednośladem. Kiedy tak stał na swoim posterunku, spojrzął na górne okno po prawej stronie. Ceglana fasada wokół framug była trochę osmalona, a szyby niedawno wymienione. Słyszał niemal huk eksplozji sprzed miesiąca. Było to okno dawnego gabinetu monsignora Vigora Verony, archiwisty watykańskiego i profesora uniwersytetu papieskiego.

Wspominając utratę drogiego przyjaciela – i oczywiście jego siostrzenicy – Gray przygarbił się pod ciężarem złego przeczucia. Poczul też ukłucie winy.

Rachel...

Drgnął gwałtownie, gdy jego ramienia dotknęła czyjaś dłoń. Nie usłyszał nawet, jak Seichan się zbliża. Myślał, że w sąsiednim pokoju pilnuje Leny, która drzemała na kanapie.

Teraz otoczyła go ramieniem w pasie i odwróciła od okna. Popatrzyła mu głęboko w oczy, bez trudu odczytując jego myśli; wiedziała, co go dręczy.

– Matka powiedziała mi kiedyś, że świat jest pełen duchów – wyszeptała. – I im dłużej żyjesz, tym bardziej cię prześladowają.



– Duch mojej kazał mi właśnie siedzieć prosto i nie trzymać łokci na stole.

Seichan westchnęła; rozumiała, że próbował rozładować napięcie. Nachyliła się i przycisnęła wargi do jego ust, by go uciszyć. Poczł jej ciepł, posmakował ją, wdychając leciutką woń jaśminu. Cofnęła się po chwili, by coś powiedzieć.

– Duchy przypominają nam, że wciąż żyjemy, że wciąż mamy serca, które biją, ciało, które płonie, płuca, które łakną powietrza. – Znowu musnęła mu wargi ustami, a jej słowa zawisły między nimi. – Nigdy o tym nie zapominaj... bo w przeciwnym razie ci ludzie umarli na darmo.

Gray przyciągnął ją, objął mocno i pocałował, czując na piersi bicie jej serca.

Nie zapomnę, obiecał sobie.

W zamku drzwi za ich plecami zachrobotał klucz. Gray wyswobodził się z objęć Seichan, a jego dłoń spoczęła na kolbie pistoletu w kaburze. Seichan odsunęła się o krok i w jej palcach błysnął już sztylet. W otwartych drzwiach pojawił się ojciec Novak.

Dźwigając naręcze książek, nie zauważył ich czujnej postawy.

– Chyba znalazłem coś ważnego.

Godzina 17.52

Hałas zbudził Lenę, przyprawiając ją z miejsca o panikę. Uniosła się na łokciu i poczuła, jak wali jej serce. Rozpoznała podniecony głos Rolanda dobiegający z sąsiedniego pokoju.

Musiał się czegoś dowiedzieć.

Wcześniej pragnęła mu towarzyszyć – choćby po to, żeby zobaczyć na własne oczy słynną bibliotekę Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego – ale stosy rzadkich książek, które zamierzał przejrzeć, były dla zwykłych zjadaczy chleba niedostępne.

Otarła oczy, zdziwiona, że naprawdę zasnęła, nawet na tę krótką i niespokojną chwilę. Kiedy przymknęła powieki, była przekonana, że strach o siostrę nie pozwoli jej się zdrzemnąć.

Byłam bardziej zmęczona, niż sądziłam, uznała teraz.

Zerknęła na wąskie okno w tym prywatnym pokoju, który należał do przyjaciela Rolanda. Był niewiele większy od garderoby; stała tu kanapa i niewielki klęcznik pod krzyżem. Sprawiał bardziej wrażenie monastycznego miejsca kontemplacji niż gabinetu.

Przyciągana podnieceniem dosłyszonym w głosie Rolanda, wstała i podeszła do drzwi. W sąsiednim pokoju, pod dużym oknem, stało małe biurko, a po obu stronach wznosiły się wysokie półki z książkami, pełne zakurzonych woluminów. Środek pokoju zajmował szeroki stół biblioteczny otoczony krzesłami, każde w innym kształcie. Wyczuwało się tu silną woń dymu fajkowego i tytoniu, jakby właściciel tego lokum opuścił je dopiero przed chwilą.

– Chodź coś zobaczyć! – zawołał do niej Roland, układając książki na stole. – Jeśli mam rację, to rzecz jest zdumiewająca.

Nie mogła się oprzeć ciekawości rozbudzonej żarliwością w jego głosie i zachowaniu.

Książ sięgnął do marynarki i wyjął ostrożnie stary dziennik ojca Kirchera, ten znaleziony w kaplicy, wewnątrz posągu Madonny z brązu. Położył go z czcią na stole obok pozostałych książek. Wytłoczony złoty labirynt błyszczał w blasku słońca wpadającym do pokoju.

Gray podszedł do nich, podczas gdy Seichan trzymała się blisko okna, obserwując ulice w dole. Jej czujność przypominała o zagrożeniu, które wciąż wisiało nad ich głowami. Ostudziło to ciekawość Leny, ale nieznacznie. Wiedziała, że może pomóc Marii tylko w jeden sposób: odkryć tajemnicę kryjącą się za tym wszystkim.

Wpatrywała się w dziennik Kirchera, podejrzewając, że odpowiedzi znajdują się pośród tych starych stronic. W trakcie podróży do Rzymu zdołała zajrzeć na chwilę do książki. Zobaczyła

zapełnione starannym pismem łacińskim kartki, ryciny, mapy i liczby.

– Dowiedziałeś się więc czegoś z tego dziennika? – spytała.

Roland zmarszczył czoło.

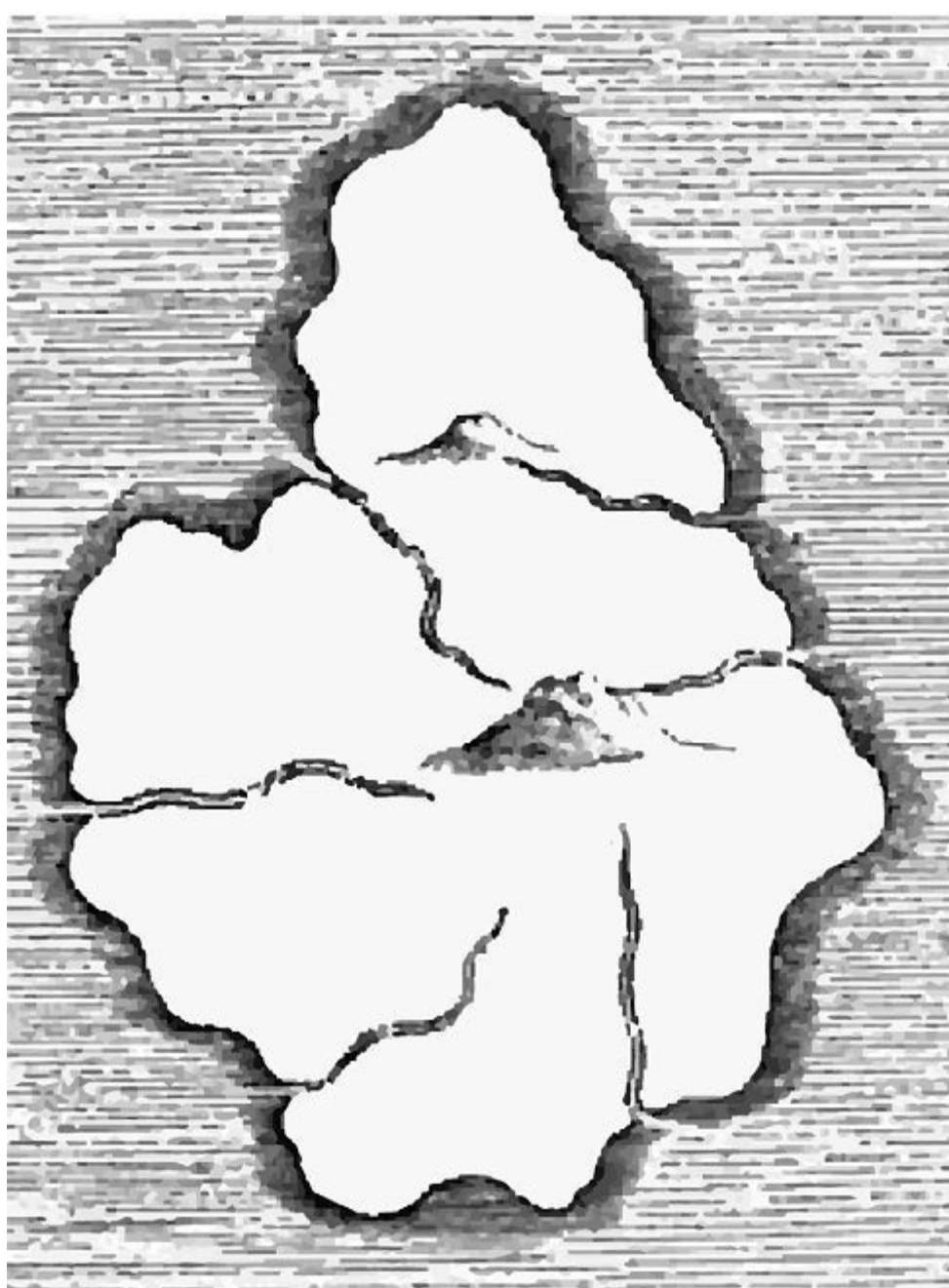
– Szczerze mówiąc, tylko go przejrzałem pobieżnie. Potrzeba wielu godzin, może nawet tygodni, by w pełni pojąć przesłanie zawarte na tych stronicach. Ale poczyniłem pewne postępy.

– Więc czego szukałeś w bibliotece? – spytał Gray. – Nie powiedziałaś nam.

– Chciałem przestudiować mapę wygrawerowaną na wewnętrznej stronie posągu Madonny. – Wyjął z torby iPod'a i położył go na stole. – Wyglądała znajomo. Poznałem ją dzięki wcześniejszemu dziełu ojca Kirchera.

Wyświetlił zdjęcie mapy zrobione przez Lenę.

Wyglądała, jakby była na niej wyspa z topornie zaznaczonymi rzekami i dwiema górami.



– Co to ma przedstawiać? – spytał Gray.

Ksiądz podniósł wzrok; jego twarz wyrażała głębokie zdumienie.

– Nie uwierzycie, dopóki nie wyjaśnię wam wszystkiego. Ledwo sam w to uwierzyłem.

Lena przysunęła się bliżej.

– Mów.

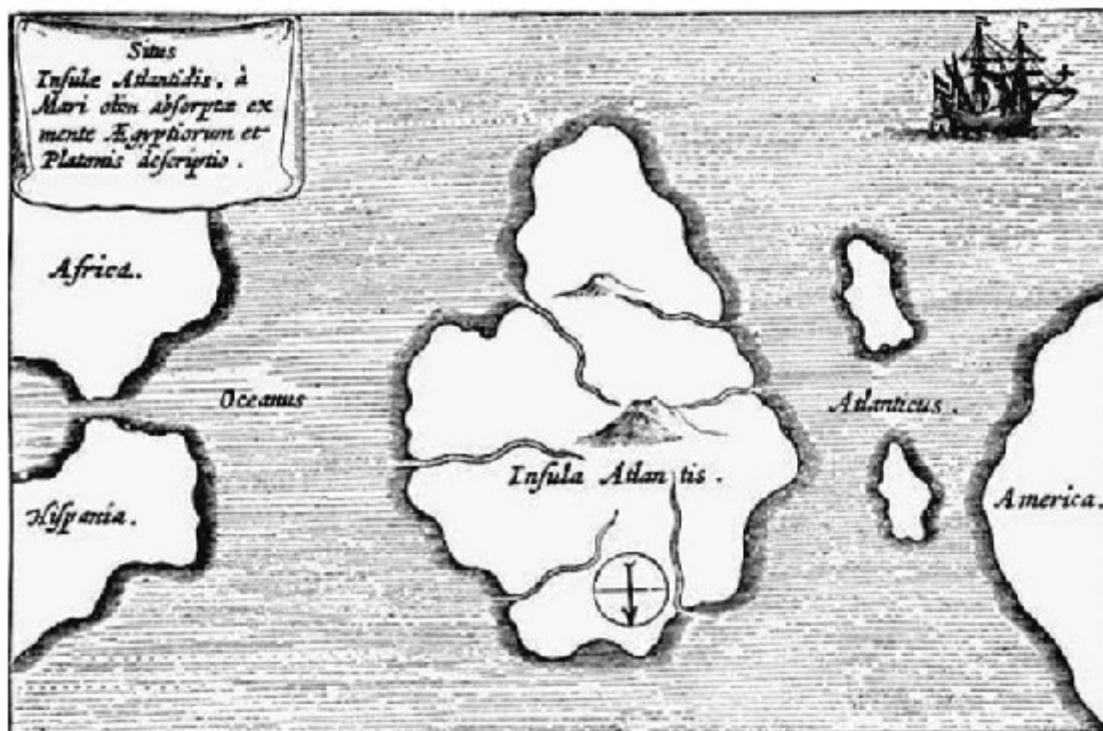
Roland postukał w ekran iPoda.

– Rozpoznałem tę mapę, jak tylko ją zobaczyłem. Pełną wersję można znaleźć w dziele Kirchera *Mundus Subterraneus*.

Lena przypomniała sobie, że pokazywał im rysunki z księgi jezuickiego duchownego, z tomu pełnego ilustracji przedstawiających zarówno rzeczy prawdziwe, jak i fantastyczne.

– Pozwólcie, że to znajdę. – Zaczął przeglądać zawartość plików dotyczących ojca Kirchera, w tym pełną kolekcję jego książek. – Jest!

Wszyscy popatrzyli na mapę skopiowaną z *Mundus Subterraneus*.



Wyspa znajdująca się pośrodku była bez wątpienia identyczna z tą wyrytą w brązie posągu. Tyle że w tym przypadku umieszczono więcej szczegółów, łącznie z nazwami i łacińską legendą u góry.

Z wyjątkiem nazwy widniejącej na środku wyspy Lena niewiele mogła odszyfrować.

– Czy to jest to, co myślę?

Roland uśmiechnął się szeroko i odczytał tekst legendy.

– Situs Insulae Atlantidis, a Mari olim absorptae ex mente Egyptiorum et Platonis descriptio. Co się tłumaczy: „Miejsce, w którym znajduje się wyspa Atlantyda, na morzu, ze źródeł egipskich i opisu Platona”.

– To ma być Atlantyda? – W głosie Graya wyczuwało się niedowierzanie.

– Owszem. Według tego, co Kircher napisał w *Mundus Subterraneus*, ta mapa została opracowana na podstawie starożytnych papirusów, które odkrył podczas badań dotyczących Egiptu, i informacji zawartych w pismach Platona. Według filozofa wyspa ta była siedzibą wyższej cywilizacyjnie rasy, ludzi, którzy

uchodzili za wielkich nauczycieli. Egipskie papirusy mówią o podobnych bogom mieszkańcach wyspy, którzy przybyli z darami wiedzy i mądrości i przekazali ją najdawniejszym faraonom.

Lena uświadomiła sobie, jak bardzo przypomina to ich teorię, jej i siostry: że Wielki Skok został zapoczątkowany przez nieliczną grupę wyjątkowych jednostek.

– Musicie zrozumieć, że legenda o tych niezwykłych i tajemniczych nauczycielach nie dotyczy jedynie Greków i Egipcjan – mówił dalej Roland. – Starożytnie teksty sumeryjskie też wspominają o istnieniu rasy wysokich istot nazywanych Czuwającymi. Identyczne wzmianki znajdziecie w tekstach żydowskich, nawet w Biblii. Najbardziej jednak znacząca relacja pochodzi z księgi Henocha. Według tego starożytnego tekstu to Czuwający imieniem Uriel uczył Henocha o ruchu gwiazd. Ten sam tekst wymienia innych Czuwających, a także dziedziny wiedzy, którą przekazywali. – Wyjął ze stosu jedną z książek, otworzył na zaznaczonej stronie i przeczytał na głos: – „Semjaza nauczył zaklęć... Barakiel astrologów... Kokabiel złowieszczów... Arakiel nauczył znaków ziemi... Asradel dróg księżyca”. – Odłożył książkę. – Widzicie więc, że we wszystkich starożytnych kulturach występują identyczne mitologie. – Zwrócił się do Leny: – A jeśli chodzi o twoje studia nad hybrydowym gatunkiem wczesnego człowieka, to zwoje znad Morza Martwego wspominają o krzyżowaniu się Czuwających z innymi ludźmi i mówią o dzieciach zrodzonych z tych związków.

Lena przełknęła z trudem ślinę, starając się wchłonąć to wszystko. W wyobraźni przyoblekała kości Ewy Kirchera w ciało, zastanawiając się, czy starożytne hybrydy neandertalczyka i wczesnego człowieka mogły być źródłem takich legend.

– Więc ojciec Kircher uwierzył, że Ewa jest jedną z tych Atlantydów, tych Czuwających? – spytała zaintrygowana. – Dlatego umieścił tę mapę wewnątrz posągu skrywającego kości?

– Możliwe. Pomyślcie tylko. Kiedy posąg Madonny został zapieczętowany, puste oczodoły Ewy wpatrywałyby się przez

wieczność w wyspę, miejsce, które według Kirchera było jej dawną ziemią rodzinną.

– Jeśli tak, to daleko się posunął – zauważył Gray. – Powiązał te kości z mitologią Atlantydy.

Lena, która nie do końca się z tym zgadzała, wskazała rzeźbę Księżyca spoczywającą na stole bibliotecznym obok torby Rolanda.

– Kircher ukradł to z prehistorycznego ogrodu rzeźb, który znaleźliśmy w jaskiniach w Chorwacji – powiedziała. – Tak jak my, z pewnością się zorientował, że ludzie zamieszkujący te groty byli bardziej zaawansowani, niż ktokolwiek się tego spodziewał czy sobie wyobrażał. Pamiętasz, że błędnie uznał kości mamuta za szczątki jakiegoś wymarłego gatunku olbrzymów? Bez trudu wysnułby podobnie fantastyczny wniosek w odniesieniu do tych jaskiniowych szczątków.

– Tyle że w tym przypadku wielebny ojciec mógł mieć rację – oznajmił Roland z błyskiem w oku.

Lena odwróciła się do niego, nie mogąc tym razem ukryć niedowierzania.

– O czym ty mówisz? Jak to możliwe?

Ksiądz spojrział na mapę na ekranie iPoda, a potem popatrzył na wszystkich.

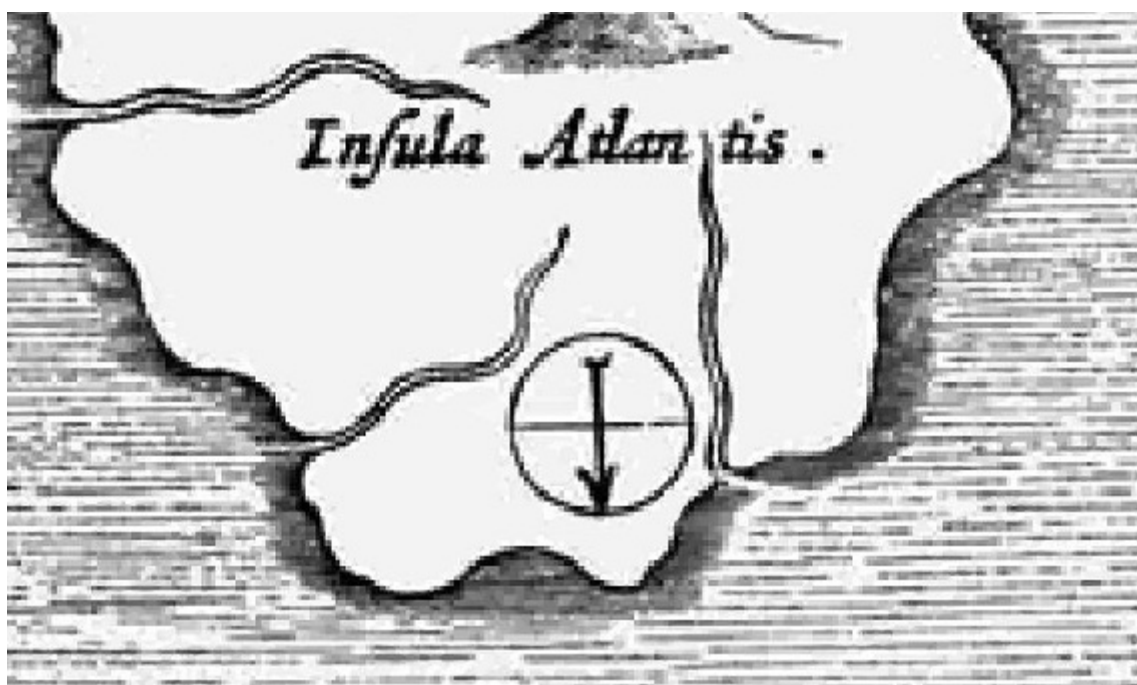
– Bo wiem, gdzie leży Atlantyda.

Godzina 18.07

Roland, widząc ich zszokowane miny, poczuł odrobinę złośliwej satysfakcji.

– Tak jak powiedziałem, pozwólcie, bym wszystko wam wyjaśnił. Wtedy lepiej zrozumiecie przesłanie pozostawione przez ojca Kirchera.

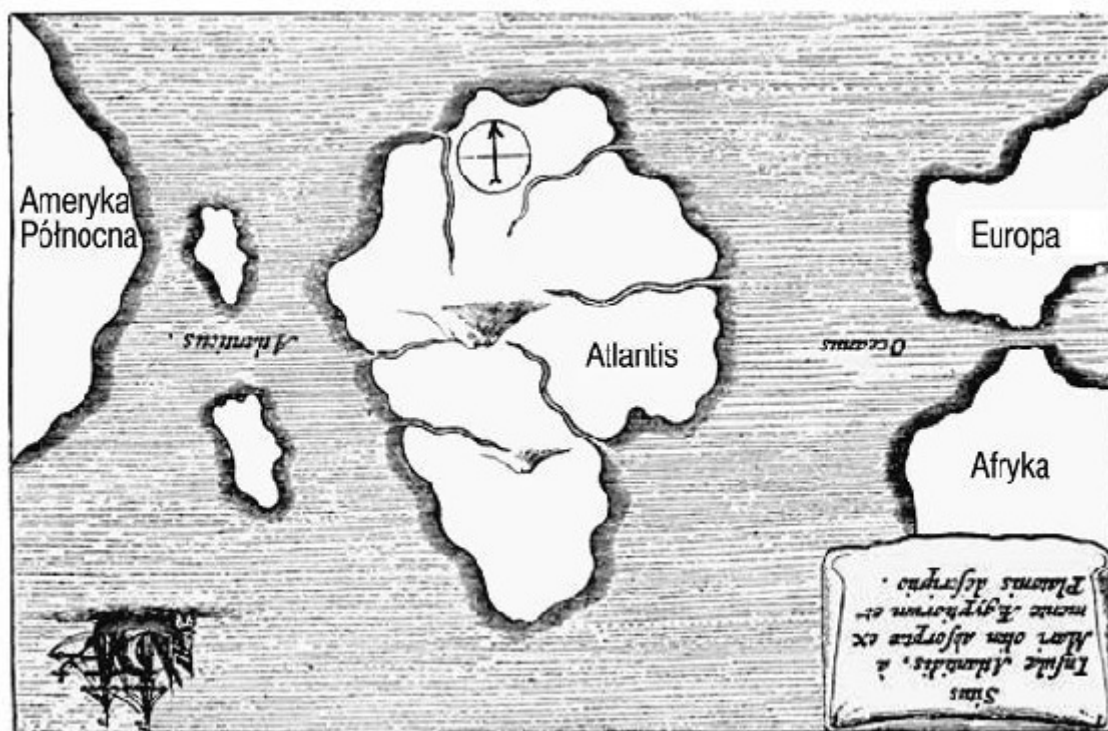
Powiększył na ekranie obraz Atlantydy znaleziony w Mundus Subterraneus.



– Jeśli spojrzycie na widoczną tutaj różę kompasu, zauważycie, że strzałka jest skierowana ku dołowi, co dowodzi, że mapa została narysowana tak, że północ jest na dole, a południe na górze.

– Odwrotnie niż na większości map – zauważyła Lena.

– Otóż to. Ale w tamtych czasach nie było to nic niezwykłego. Czasem rysowano mapy w ten właśnie sposób. – Dotknął ekranu iPoda i wyświetlił rysunek, który wgrał do telefonu w bibliotece uniwersyteckiej. – Obróciłem mapę i oznaczyłem sąsiednie kontynenty.



Pokazał im rezultat.

Gray przyglądał się temu przez krótką chwilę.



– Kiedy na to patrzę – odezwał się – wydaje mi się, że Atlantyda jest nakreślona gdzieś pośrodku Atlantyku... albo przynajmniej gdzieś między Ameryką Północną a Europą.

– Potwierdzenie tego, co Platon napisał w Timajosie. – Roland wziął ze stosu książek jeden egzemplarz i otworzył na zaznaczonej stronie. – Jak twierdzi, Atlantyda leży poza „cieśniną, którą wy nazywacie Słupami Herkulesa”, czyli obecnie Cieśniną Gibraltarską.

– Zlokalizował ten ląd poza Morzem Śródziemnym – podsumował Gray.

– Zgadza się. – Ksiądz wskazał książkę, którą trzymał. – Ale Platon twierdzi też, że ta wyspa jest „większa niż Libia i Azja razem wzięte”.

Komandor zmarszczył czoło.

– Co oznaczałoby, że Atlantyda to nie tyle wyspa, ile kontynent.

– A jaki kontynent leży poza Cieśniną Gibraltarską i blisko Ameryki Północnej?

Gray potarł się po brodzie.

– Jedyne, jaki się tam znajduje, to Ameryka Południowa.

– Właśnie!

– Twierdzisz więc, że Atlantyda to w rzeczywistości kontynent Ameryki Południowej? – spytał Gray, unosząc sceptycznie brwi. Wskazał mapę Kirchera na ekranie iPoda. – Przyznaję, że pod względem linii brzegowej ta wyspa przypomina Amerykę Południową, ale została narysowana na środku Atlantyku.

Roland rozumiał jego wątpliwości, bo sam się z nimi wcześniej zmagił.

– Musisz pamiętać, że to, co tu przedstawiono, zostało zaczerpnięte ze starych map. Więc może ci pradawni kartografowie błędnie zlokalizowali ten kontynent albo umieścili go w takim właśnie miejscu, by podkreślić jego ważność, by lepiej uwypuklić charakterystykę tego rozległego lądu. – Ksiądz sięgnął do iPoda i wyświetlił dwa inne obrazy. – Jeśli porównacie te kształty, to od razu

zauważycie, że podobieństwo nie ogranicza się tylko do linii brzegowej. Nawet delty rzek i góry z grubsza pasują.



– Masz rację – przyznała Lena, nachylając się, by lepiej porównać obie mapy. – Amazonka... Orinoko... i inne główne rzeki. Naprawdę się zgadza.

Gray machnął lekceważąco ręką.

– Mimo wszystko nie ma to sensu – rzucił. – Jeśli Ameryka Południowa była niegdyś Atlantyda, siedzibą jakiegoś wielkiego imperium podobnych bogom nauczycieli, to jakim cudem nie zachowały się żadne dowody ich istnienia?

– A kto powiedział, że się nie zachowały? – Roland wydobyl ze stosu książek najnowszy numer magazynu archeologicznego i rzucił go na stół. – Na początku dwa tysiące dwunastego roku zespół honduraskich archeologów, wspierany przez oddział brytyjskich żołnierzy jednostki SAS, odkrył ruiny zagubionego miasta pogrzebane w lesie deszczowym. Uważali, że udało im się odnaleźć Ciudad Blanca, legendarne Białe Miasto Złota, kompleks wzniesiony przez tajemniczą prekolumbijską cywilizację, która zniknęła dawno temu. Jedyna relacja naoczego świadka na temat tego miasta pochodzi z roku tysiąc pięćset dwudziestego szóstego, z listów konkwistadora Hernána Cortęsa do hiszpańskiego króla. Opisał w nich niezwykle miejsce, którego mieszkańcy pochodzili rzekomo od

Małpiego Boga, a ich dzieci wciąż odznaczały się małpimi rysami twarzy.

– Małpie rysy twarzy – powtórzyła w zamyśleniu Lena. – Jeśli jacyś konkwistadorzy naprawdę napotkali istniejące jeszcze plemię hominidów, czy nawet hybryd w rodzaju Ewy Kirchera, to rozumiem, że mogli pomylić ich z krewniakami prymitywnych naczelnych.

– A to jest tylko jedna opowieść – zaznaczył Roland. – Kartowanie z wykorzystaniem zdjęć satelitarnych i georadaru odsłania powoli to, co jest ukryte pod dżunglami tego kontynentu: kolejne warstwy starożytnych cywilizacji, ruiny budowli, które powstały na tysiące lat przed epoką Azteków, Inków i Majów.

Gray wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– Naprawdę wierzysz, że jedna z tych zaginionych cywilizacji była domem Czuwających?

– Niewykluczone. Jeśli byli dostatecznie zaawansowani w nawigacji i żeglowaniu, to mogli od czasu do czasu wysyłać emisariuszy, którzy oferowali nowe narzędzia i uczyli nieznanymi wcześniej technik. Ci zaś osiedlili się w obcych krainach, mieli dzieci i zasymilowali się z wieloma starożytnymi kulturami. – Książd postukał w mapę na ekranie iPoda. – A może właśnie tu postanowili się w końcu ukryć.

Lena skinęła wolno głową, coś jednak nie dawało jej spokoju.

– Ale czy Platon nie napisał, że Atlantyda została zniszczona, że zatopiło ją morze? Jeśli się nie mylę, Ameryka Południowa wciąż istnieje.

Roland wskazał książki leżące przed nim na stole.

– Musisz brać pod uwagę fakt, że te greckie i egipskie historie były spisywane przez ludzi, którzy nie byli w stanie przyjąć do wiadomości istnienia czegoś tak wielkiego jak kontynent za Cieśniną Gibraltarską. Co więcej, uważna lektura pozwala stwierdzić, że kataklizm opisany przez Platona odnosi się raczej do zatopienia

miasta na wyspie albo wyizolowanego kawałka większej części lądu, zniszczonego przez trzęsienia ziemi i powódź.

– Mimo wszystko, nawet jeśli ojciec Kircher wierzył, że te kości, które pogrzebał pod kaplicą, są szczątkami Ewy i mają związek z pradawnymi Czuwającymi, to do czego prowadzą nas te wszystkie domysły na temat Ameryki Południowej? – nie dawał za wygraną Gray.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Prowadzą nas do tego miasta, do zagubionego domu Czuwających, do samego serca tajemnicy, której badaniu Kircher poświęcił ostatnie jedenaście lat swego życia. To z kolei może wyjaśnić, dlaczego Chińczycy ukradli te kości i porwali siostrę Leny.

Godzina 18.12

Gray westchnął, słysząc w słowach Rolanda echo swej wcześniejszej rozmowy z Painterem Crowe'em: o tym, że podążanie historycznym szlakiem wytyczonym przez Atanazego Kirchera może prowadzić do odpowiedzi, które pozwolą zyskać przewagę nad Chińczykami.

Z pewnym zniecierpliwieniem skinął głową, patrząc na Rolanda; domyślał się, że duchowny ma jeszcze więcej do ujawnienia.

– Mów dalej – zachęcił. – Skoro Kircher przez ostatnie jedenaście lat życia zgłębiał tę tajemnicę, to co jeszcze odkrył?

– Chodzi nie tyle o to, co sam odkrył, ile o to, co odkrył jego drogi przyjaciel, biskup Nicolaus Steno.

Komandor przypomniał sobie tę postać z opowieści siostry Clary o wznoszeniu sanktuarium na Mentorelli – o tym, jak biskup Steno był jedynym człowiekiem, któremu Kircher pozwolił odwiedzić miejsce budowy kaplicy skrywającej szczątki Ewy. Młodszy mężczyzna był też początkującym paleontologiem, interesującym się żywo skamielinami i starymi kośćmi.

Roland wziął ze stołu dziennik.

– Według tego, co tu napisano, Kircher wysłał Nicolausa w podróż i nakazał mu podążać wskazanymi tropami. Ksiądz potrzebował oczu młodszego przyjaciela i jego siły, by badać sprawę poza granicami kraju. Na Krecie, w Egipcie, Afryce, wreszcie w Nowym Świecie.

– Czego miał szukać? – spytała Lena.

– Prawdy kryjącej się za tymi kośćmi. – Roland pokazał dziennik.  
– Choć nie miałem okazji sprawdzić wszystkiego, co jest tu zawarte, zapoznałem się ze skopiowaną na tych stronicach korespondencją, która wyszła spod ręki Nicolausa Steno, łącznie z kilkoma mapami z jego podróży. Jedna z nich zwróciła moją uwagę. Może nam powiedzieć, od czego mamy zacząć.

Gray przysunął się bliżej.

– Co znalazłeś?

– Żeby to pojąć, musicie najpierw zobaczyć coś innego. – Wyświetlił na iPodzie kolejny obraz. – Oto inna mapa, którą ojciec Kircher zamieścił w swoim Mundus Subterraneus. Przedstawia kontynent Ameryki Południowej bardziej szczegółowo.



Gray wpatrywał się w ekran, wyraźnie zmieszany.

– Czy Kircher nie opublikował tej książki na długo przed odkryciem kości Ewy?

– Owszem – przyznał Roland. – W rzeczywistości nakreślił tę mapę, próbując opisać unikalny system hydrologiczny kontynentu i pokazać, jak rzeki spływają z Andów do morza. Ale zwróćcie uwagę na ten przypominający krater element terenu w samym centrum łańcucha górskiego.

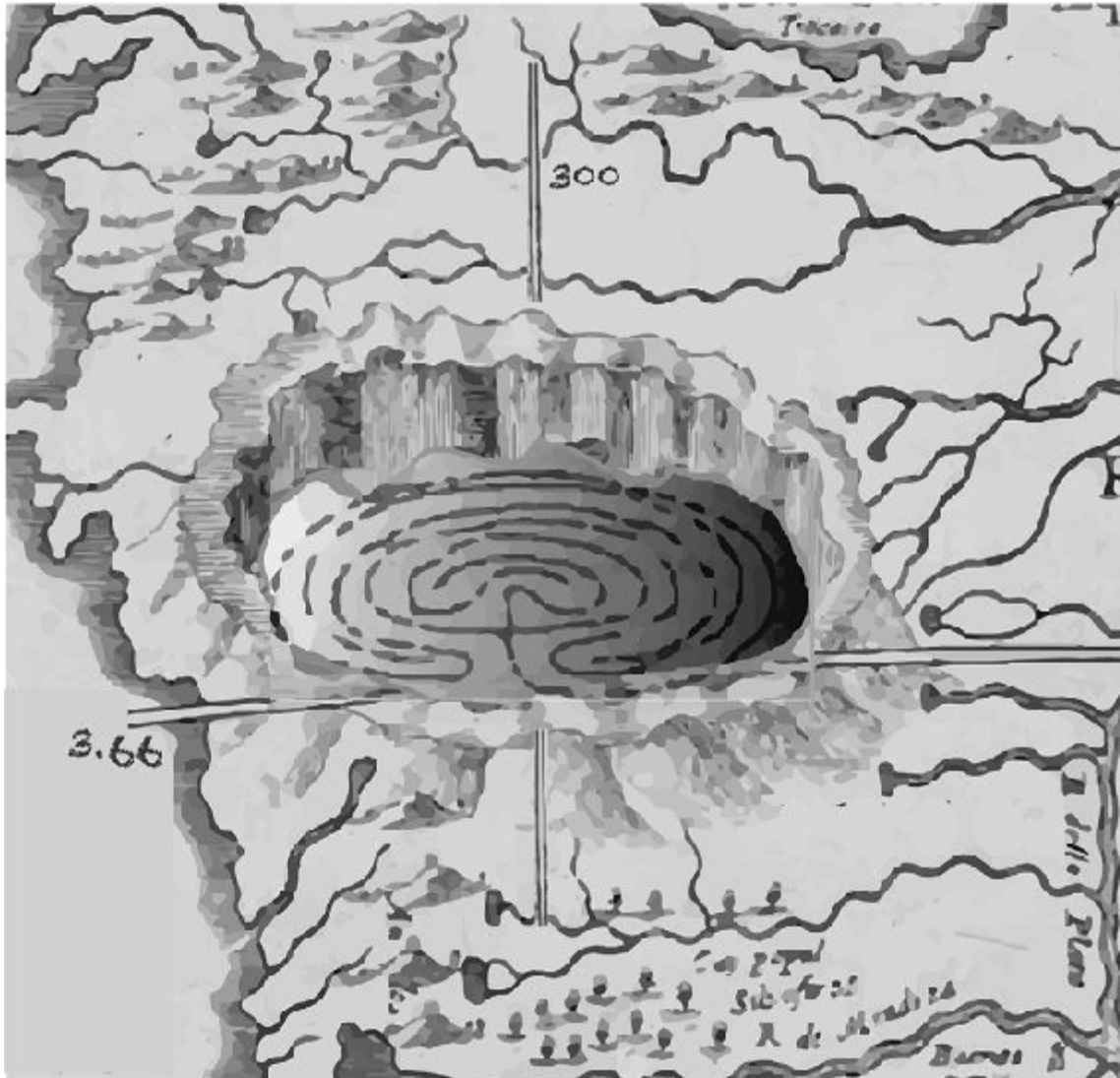
– Tak? – zaciekawiał się Gray.

– Ojciec Kircher wysunął hipotezę, że Andy skrywają ogromny rezerwuar, wielkie podziemne morze, które zaopatruje ten kontynent w wodę.

– No dobrze – rzuciła niepewnie Lena. – Ale co to ma wspólnego...

– Popatrzcie na to. – Ksiądz przerwał jej i otworzył dziennik Kirchera. – Znalazłem tę ilustrację pośród korespondencji przesyłanej przez Nicolausa. Jest to kopia części tej samej mapy, ale naniesiono na nią coś, co, jak sądzę, ma z tym wszystkim związek.

Położył dziennik na stole, żeby wszyscy mogli zobaczyć.



Rzeczywiście, wyglądało to jak dokładniejsze przedstawienie tego samego podziemnego jeziora; tyle że tym razem na powierzchni niemal połyskującej wody umieszczono nową ilustrację.

Lena westchnęła cicho.

– Ten zewnętrzny obraz... Jest taki sam jak na okładce dziennika. Roland skinął głową.

– Słynny labirynt Minotaura z Krety.

Gray przypomniał sobie opowieść o labiryncie, o wzorze wyrytym na skałach nie tylko na Krecie, ale też we Włoszech,

Hiszpanii, Irlandii i daleko na północy, w Finlandii. Przedstawiono go nawet w sanskryckim eposie.

Ksiądz popatrzył na nich.

– Sądzę, że Nicolaus Steno, podążając tropem wskazówek znalezionych w Chorwacji i opierając się na spostrzeżeniach ojca Kirchera, odkrył pradawną siedzibę tych zaginionych Czuwających i zaznaczył ją za pomocą tego labiryntu.

Komandor wpatrywał się w wielkie jezioro na ilustracji.

– Wspomniałeś wcześniej, że zagłada Atlantydy mogła być w rzeczywistości historią zatopionego miasta. – Wskazał otwarty dziennik. – Chcesz powiedzieć, że chodzi właśnie o to miejsce?

– Możliwe. Przynajmniej Kircher tak uważał, ale oczywiście niewykluczone, że połączył w jedno doniesienia Nicolausa Steno ze starą opowieścią Platona. Ale tak czy owak, Steno odkrył w tych górach Ameryki Południowej coś, co spaja to wszystko w całość.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie się to miejsce znajduje – odezwała się Lena i w jej głosie wyczuwało się lęk. – Wyobrażasz sobie, że moglibyśmy się tam udać?

– Oczywiście – odparł duchowny.

– Jak? – spytał Gray.

Roland postukał w krater na ilustracji.

– Wiem dokładnie, gdzie to jest – oznajmił Roland.

Gray przyjrzał się uważnie mapie i zrozumiał.

– Linie przecinające to miejsce... Są ponumerowane.

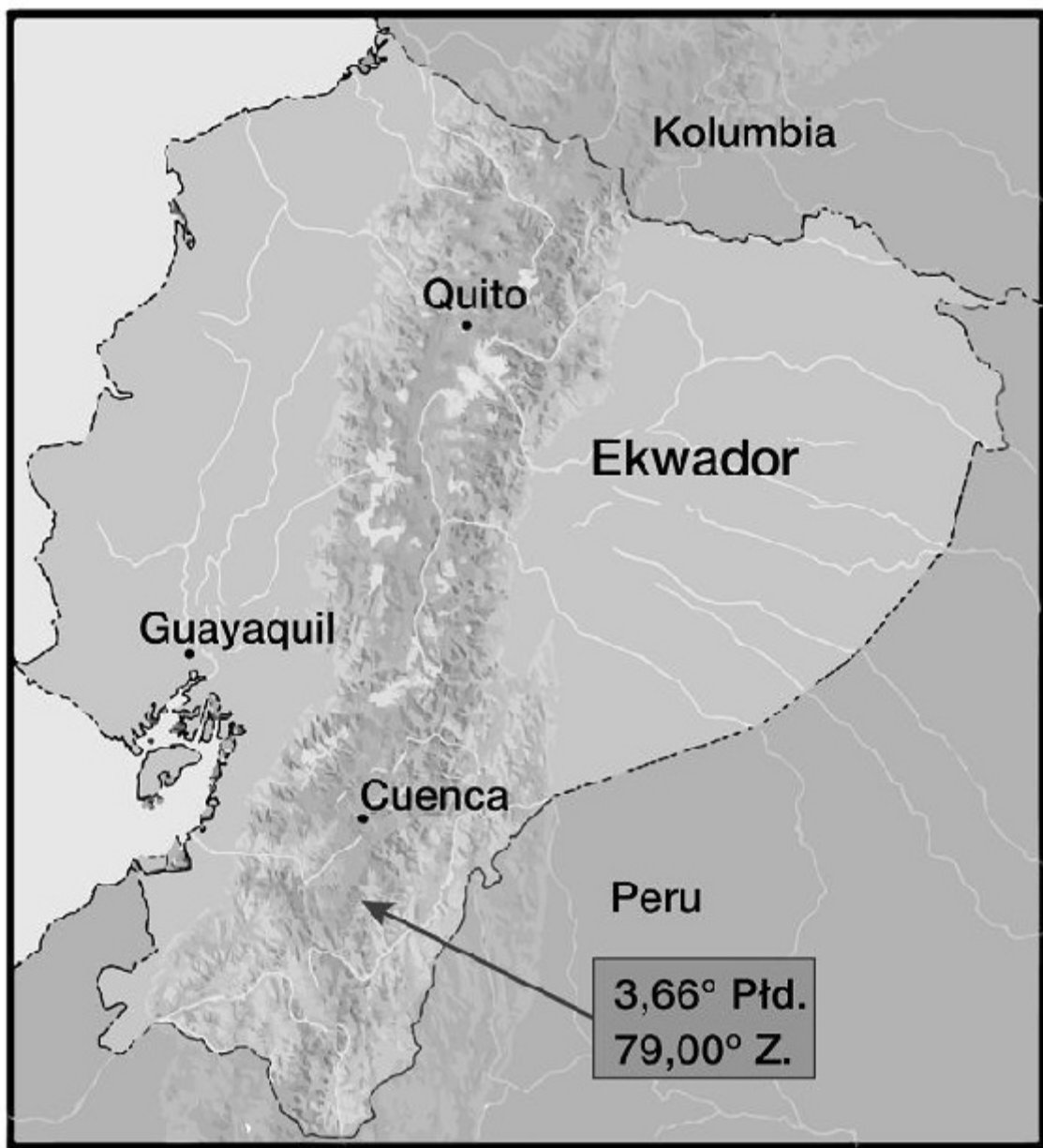
– Oznaczają długość i szerokość geograficzną. W czasach ojca Kirchera szerokość była obliczana podobnie jak dzisiaj, ale długość według południka Ferro zamiast południka zerowego.

– I zdołałeś to przeliczyć? – spytał Gray, dostrzegając w oczach księdza błysk podniecenia.

– Nie tylko. Ustaliłem też położenie tego miejsca.

Roland znów skupił uwagę na iPodzie i wyświetlił mapę ze strzałką wskazującą współrzędne.





- To Ekwador – zauważył Gray.  
Ksiądz skinął głową.
- Głęboko w Andach – uściślił. – Mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów na południe od Cuenca.  
Lena podzielała sceptycyzm Graya.
- Ale skąd możemy wiedzieć, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?  
Przecież to na pierwszy rzut oka bezludzie.  
Rolandowi błysnęły oczy.
- Nie my pierwsi podążymy w to miejsce tropem wskazanym przez Kirchera.
- Co masz na myśli? – Gray nie ukrywał zaskoczenia.
- Dzięki materiałom, które zebrałem do doktoratu, wiem, że był jeszcze jeden katolicki duchowny, zakonnik Carlos Crespi, którego na początku dwudziestego wieku oczarowała postać Atanazego

Kirchera. Człowiek ten naśladował wielebnego ojca, zgłębiając różne nauki z równą gorliwością, co swoją religię. Ojciec Crespi był zapalonym botanikiem, antropologiem, historykiem i muzykiem. W końcu założył misję w Cuenca, gdzie przez pięćdziesiąt lat, aż do śmierci, pełnił posługę kapłańską.

– Cuenca? – Lena patrzyła na mapę Ekwadoru. – To blisko tego miejsca.

– Właśnie. Zawsze wydawało mi się bardzo dziwne, że tak znakomity i wykształcony człowiek jak ojciec Crespi wybrał odludną wioskę w Andach, by spędzić w niej resztę życia... to znaczy do teraz.

– Sądysz, że pojechał tam z powodu Kirchera?

– Pośród rzadkich zbiorów tej biblioteki wciąż znajdują się dziesiątki prac Kirchera, większość z okresu, kiedy muzeum Kircherianum zamknęło swe podwoje. Obejmowało zbiór jego korespondencji: notatki, listy, nawet wczesne szkice dzieł, których nigdy nie opublikowano. Większość popadła przez wieki w zapomnienie i nikt tego nie skatalogował. Dopóki nie zajął się tym pewien człowiek.

– Niech zgadnę – powiedział Gray. – Ojciec Carlos Crespi.

– Pomógł uporządkować tę spuściznę, odtworzył i zachował większość listów, w tym także korespondencję Nicolausa Steno.

– Więc uważasz, że Crespi znalazł w niej coś, co zaprowadziło go do Ekwadoru.

– Trudno mi sobie wyobrazić, by pojął w pełni wagę i znaczenie tego wszystkiego, ale musiał sądzić, że jest to coś, co warto zbadać.

– I założył misję w Cuenca? – wtrąciła Lena. – Jako przykrywkę? Roland skrzywił się nieznacznie na to określenie.

– Nie. Myślę, że dostrzegł szansę podążania wskazanym tropem, ale pragnął jednocześnie iść za głosem prawdziwego powołania, by pomagać mieszkańcom tego regionu. Ci, którym służył, w końcu go pokochali.

– A te poszukiwania związane z odkryciami Kirchera? – spytał Gray. – Doprowadziły do czegokolwiek?

Ksiądz uśmiechnął się enigmatycznie.

– Do tajemnicy, która od dziesięcioleci wprawia w zdumienie archeologów, a która w końcu zaowocowała brytyjską wyprawą w Andy, z udziałem ponad stu żołnierzy i naukowców. Wszystkim kierował pewien słynny amerykański bohater.

Amerykański bohater?

– O kim konkretnie mówisz? – spytał Gray.

Roland wziął ze stołu kamienną kulę; ważył ją w dłoni, pokazując, jak doskonale na połowie jej powierzchni przedstawiono lunarny krajobraz.

– Ekspedycją dowodził Neil Armstrong – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Pierwszy człowiek, który stanął na Księżycu.

Nim Gray miał czas zareagować na tę wiadomość, zza jego pleców dobiegł ostry i gniewny krzyk.

– Ta suka!

Odwrócił się i zobaczył, jak Seichan odskakuje gwałtownie od okna i macha na nich energicznie.

– Uciekajcie! – krzyknęła, a w jej oczach malowała się panika.

Godzina 18.22

Seichan rzuciła się za narożnik biurka.

Chwilę wcześniej dostrzegła grupkę zakonnic w ciemnych habitach, opuszczających głównym wejściem bibliotekę uniwersytecką Watykanu. Ledwie zdążyła im się przyjrzeć, gdy jedna z nich odłączyła się od pozostałych i ruszyła, trochę kulejąc, w stronę zaparkowanego motocykla. Ten osobliwy chód od razu zwrócił uwagę Seichan. Już przy krawężniku zakonnica odwróciła się nagle, rozchyliła habit i wyciągnęła spod niego niewielki automat.

Kiedy odwróciła się błyskawicznie i wycelowała w okno, Seichan dostrzegła przelotnie twarz ukrytą pod kornetem. To była chińska zabójczyni. Najwidoczniej pozbyła się swego pierwszego przebrania – przewodniczki – i przyjęła rolę zakonniczki, jakby wykorzystując pomysł swej oponentki.

Gdy tylko Seichan skoczyła za biurko, zza jej pleców dobiegł dźwięk tłuczonego szkła. Wysoko w górze przeleciał ciemny przedmiot i odbił się od belki sufitowej.

Granat.

Stojący nieco dalej Gray nie zwlekał. Objął jedną ręką Lenę wpół, a drugą porwał dziennik Kirchera ze stołu. Wpadł na Rolanda i pchnął go w stronę drzwi.

Seichan wiedziała, że nie zdąży do nich dotrzeć, więc rzuciła się na podłogę za biurkiem, przekręciła na plecy i wślizgnęła pod stół. Odwróciła się i kopnęła krawędź mebla, przewracając go na bok i tworząc zasłonę między sobą a granatem, który stuknął o podłogę po drugiej stronie biurka.

Pokojem wstrząsnęła eksplozja; zahuczało jej w głowie i uszach. Siła wybuchu pchnęła Seichan razem ze stołem ku drzwiom, pośród istnej ulewy drewnianych odłamków i w chmurze dławiącego dymu.

Gray zdołał się wydostać na korytarz i ukryć za progiem. Chwycił Seichan za kostkę i jednym szarpnięciem wyciągnął z pokoju.

Przykucnęła natychmiast, rozglądając się po holu w poszukiwaniu jakiegokolwiek zagrożenia. Nikogo nie zauważyła. Ta część budynku uniwersyteckiego była chroniona kodowanym wejściem, ale Seichan wiedziała, że po takim zamieszaniu i w chaosie, jaki nastąpił, ominięcie zabezpieczeń nie będzie trudne.

I o to zapewne chodziło.

Ktoś chciał wykurzyć ich na otwartą przestrzeń.

Gray doszedł do tego samego wniosku.

– Musimy się stąd wydostać! – wrzasnął, przekrzykując dzwoniące w jej uszach. – Ale nie przez jedno z głównych wyjść.

– Piwnica! – Roland wskazał w głąb korytarza. – Jest tam tunel, część dawnego rzymskiego akweduktu. Prowadzi na zewnątrz, kilka przecznic dalej.

– Prowadź – rzucił Gray przynaglająco.

Seichan ruszyła za nimi, ale coś nie dawało jej spokoju. Spojrzała za siebie, na ciemną chmurę dobywającą się z drzwi gabinetu. Przypomniała sobie fruujące szczątki roztrzaskanego biurka, ale eksplozja wywołała głównie dym i huk.

To nie był szrapnel.

Gray zauważył, że jego partnerka zwleka.

– Co jest? – spytał.

Znowu się odwróciła, nie wiedząc, co o tym myśleć, i skinęła na niego, pewna tylko jednego.

– Cholera, wynośmy się stąd.

Godzina 19.31

Porucznik Shu Wei siedziała na motocyklu w ulubionym miejscu spotkań rzymian niedaleko Piazza Navona. Słońce stało nisko na horyzoncie, plac w dali wypełniały cienie. Wszędzie widać było turystów i miejscowych, którzy pogrążeni w rozmowach zmierzali niespiesznie w stronę restauracji pod gołym niebem.

Nikt nie zwracał na nią uwagi.

W ciągu ostatniej godziny pozbyła się swego przebrania i broni, cały czas utrzymując kontakt z trzema ludźmi, których przydzielono jej w Rzymie. Teraz trzymała przy uchu komórkę, czekając na bezpieczne połączenie z Pekinem.

– Melduj – odezwał się surowy głos.

Rozpoznała oschły ton generał Lau i wyprostowała się, jakby ciotka stała teraz przed nią.

– Cele są w trakcie ucieczki. Niestety, ludzie pilnujący wyjść nie zauważyli ich śladu.

– Niestety – powtórzyła generał.

Siostrzenica zjeżyła się, słysząc gniew w jej głosie. Po wydarzeniach, do jakich doszło w górach, ledwie miała czas przygotować skuteczną zasadzkę. To przecież tylko dzięki jej pomysłowości i bystrości udało im się zachować tę odrobinę przewagi.

Przed ucieczką ze szczytu i kradzieżą motocykla umieściła nadajnik w kole samochodu stojącego samotnie na parkingu, co pozwoliło jej podążać za celami i zlokalizować je w rzymskim tłumie. Zjawiała się w ostatniej chwili i zobaczyła, jak czworo tych ludzi wchodzi do budynku uniwersyteckiego.

Potem było już łatwo obezwładnić jakąś zakonnicę w pustym holu, ukryć jej ciało w szafie ściennej i przebrać się w ukradziony habit. Bez większego trudu zasięgnęła informacji o tak rzucającej się w oczy grupie ludzi i dowiedziała się o ich miejscu pobytu. Potem zauważyła chorwackiego księdza zmierzającego do biblioteki. Chcąc wykorzystać nadarzącą się szansę i od razu wyeliminować jeden z celów, podążyła za nim, ale nim zdążyła wpakować mu sztylet między żebra, duchowny wszedł do działu, do którego nie miała dostępu.

Mimo wszystko z jego pytań zadawanych bibliotekarzowi zdołała wywnioskować, że coś go bardzo interesuje. Przypomniała sobie, jak zakonnicą, która zaatakowała ją na dziedzińcu sanktuarium na Mentorelli, mówiła, że ci ludzie dopytywali się o jakiegoś siedemnastowiecznego księdza.

Najwyraźniej wciąż podążali tym tropem.

Czekając, aż duchowny powróci z magazynu bibliotecznego, zadzwoniła do generał Lau i zameldowała o tym, co się dzieje. Jak zwykle jej ciotka nie zamierzała odpuścić. Lau, najwyraźniej skupiona bez reszty na informacji, na której tamtym tak bardzo zależało, poleciła jej ustalić, czego ci ludzie szukają.

Więc Shu czekała cierpliwie w bibliotece. Po blisko godzinie chorwacki ksiądz znów się pojawił i skierował do chronionej części

uniwersytetu, gdzie znajdowały się prywatne gabinety wykładowców uczelni. Shu chciała podsłuchać rozmowy prowadzone przez tych ludzi, ale dostęp do tych kwater był chroniony specjalnym kodem. A stojąc na ulicy, bez mikrofonu laserowego, nie miała szans usłyszeć czegokolwiek.

General Lau zasugerowała, by wywabić cele na zewnątrz, zmusić do ucieczki, a następnie ruszyć za nimi, dokądkolwiek podążą. Dzięki granatowi dymnemu udało się osiągnąć pierwszą część zleconego zadania, lecz namierzone cele wykazały się pomysłowością i zniknęły niezauważone, nim zdołała dotrzeć do gabinetu.

– Jeśli ich zgubiłaś, musisz się liczyć z konsekwencjami, mimo że jesteś moją siostrzenicą, którą tak bardzo cenię – ostrzegła Lau.

– To nie ma znaczenia – odparła Shu.

– Dlaczego?

Dziewczyna popatrzyła na drugą dłoń, na przedmiot, który zabrała z gabinetu w trakcie zamieszania, jakie nastąpiło po eksplozji granatu dymnego. Włączyła iPoda i jego ekran ożył. Urządzenie należało do księdza; zostawił je w całym tym zamieszaniu.

Wlepiała spojrzenie w ostatni obraz, który oglądali tamci, wciąż widniejący na ekranie, i uśmiechnęła się.

– Bo wiem, dokąd się udają.

CZEŚĆ TRZECIA  
**ZAGINIONE MIASTO**

Σ



Pekin

1 maja, godzina 8.04 czasu miejscowego

Cokolwiek robisz, nie ruszaj się.

Kowalski leżał nieruchomo w śpiworze. Obudził się przed chwilą i stwierdził, że jego ręka jest przygnieciona ciałem goryla. Baako pochrapywał cicho, zwinięty w kłębek, z głową w zagięciu jego łokcia. Maria spała po drugiej stronie swego ulubieńca, wtulona w niego. Obejmowała ramiona zwierzaka, a opuszki jej palców dotykały policzka Kowalskiego.

Bał się ich budzić, zdając sobie sprawę, że oboje czeka koszmarny dzień. Choć nie mógł sprawdzić godziny, podejrzewał, że jest wczesny ranek. I wiedział, że według planów generał Lau ktoś się zjawi, żeby zabrać Baako na zabieg. Kowalski zobaczył w myślach torturowanego szympansa, unieruchomionego, z odsłoniętym i podłączonym do monitorów mózgiem.

Pieprzeni dranie...

Spojrzał na niewielką twarz na swym ramieniu, dostrzegając nieznaczny ruch gałek ocznych śniącego Baako. Tuż obok Maria oddychała równo i głęboko, wargi miała lekko rozchylone. Sen złagodził jej rysy, przez co wydawała się jeszcze młodsza. Przyłapał się na tym, że wlepia wzrok w jej rzęsy.

Pragnął za wszelką cenę chronić obydwójce, ale teraz mógł tylko ich nie budzić, dzielić się tą ostatnią wspólną chwilą... choćby odrobinę dłużej.

Popatrzył na rząd kamer zainstalowanych pod sufitem i przesunął spojrzeniem aż do stalowych wielkich drzwi na przeciwległym końcu tego więzienia. W mroku świecił tam jasnoczerwony neon. Przyjrzał się mu.

# 方舟

Choć nie potrafił czytać po chińsku, był pewien, że to te same znaki, które widział w laboratorium wiwisekcyjnym, nad zaokrąglonymi oknami wychodzącymi na siedlisko hybrydowych goryli. Poprzedniego dnia, gdy oglądał te ociężałe bestie, zauważył stalowe wrota na poziomie wybiegu, zabezpieczone dodatkowo klatką z grubych prętów.

To muszą być te same drzwi.

Rozumiał teraz przeznaczenie głębokich wyłobień w betonie i grubych łańcuchów zwisających z sufitu.

Przeprowadzają tu doświadczenia na tych istotach.

Przypomniał sobie najwyższego osobnika, goryla o szerokich plecach porośniętych srebrzystym futrem... łatwość, z jaką ten zwierz rzucił w nich zakrwawioną ręką, wściekłość w jego oczach i ryk. Bestie mogły być dzikie i brutalne z natury, skłonne genetycznie do wrogości i agresji, ale Kowalski był pewien jeszcze czegoś.

Były cholernie wkurzone na swoich stwórców.

I zapewne nie bez powodu.

Jakby w odpowiedzi na jego rozważania, zza drzwi na drugim końcu więzienia dobiegło głośnie wycie, które przemieniło się po chwili w zawodzący i przenikliwy krzyk.

Maria drgnęła na ten dźwięk, jej powieki uniosły się gwałtownie, twarz wykrzywiła się ze strachu; jej umysł powracał stopniowo do rzeczywistości. Baako zareagował podobnie; kulił się przez krótką chwilę, a potem zerwał się na równe nogi i przycupnął w pełnym

czujności przysiadzie. Wyraził swój niepokój prychnięciem, wodząc wokół spojrzeniem.

– W porządku – odezwał się Kowalski.

Owszem, było to kłamstwo, ale co mógł innego powiedzieć, do diabła?

Maria odetchnęła kilka razy niepewnie, usiadła i położyła dłoń na biodrze Baako.

– Spokojnie – przemówiła do niego kojącym głosem. – Jestem tutaj.

Baako fuknął raz, potem przycupnął na zadzie. Wlepiając spojrzenie dużych brązowych oczu w stalowe drzwi, otoczył ręką włochate kolana, nie kryjąc nerwowości, a drugą wyciągnął do Marii.

Ujęła jego dłoń i przyciągnęła go do siebie.

Kowalski wykorzystał ten moment, żeby wygrzebać się ze śpiwora; dźwignął się powoli na nogi i zaczął rozciągać mięśnie.

– Która godzina? – spytała Maria.

Wzruszył ramionami.

– Jest rano... to wszystko, co wiem.

Oblizła wargi i popatrzyła ku przeciwległemu końcowi bloku więziennego, w stronę stalowych drzwi prowadzących do pozostałej części tego podziemnego kompleksu. Choć nie odezwała się słowem, Kowalski bez trudu wyczytał z jej twarzy troskę. Przyciągnęła Baako do boku, jakby za sprawą samej woli mogła uchronić go przed krzywdą.

Goryl drżał pod jej dotykiem, najwidoczniej wyczuwając napięcie i strach opiekunki.

– Co zrobimy? – zwróciła się do Kowalskiego.

– Będziesz współpracować – odparł po prostu, nie widząc powodu, by upiększać sytuację. – Jakakolwiek inna decyzja oznacza twoją śmierć, a Baako pójdzie pod nóż. Jeśli ocalejesz, to przynajmniej z nim zostaniesz, nawet gdyby miało dojść do najgorszego.

Jego słowa nie mogły zgasić trwogi w jej oczach, zresztą nie spodziewał się tego. Powiedział to, co powiedział, z myślą o tych, którzy mogli ich w tej chwili obserwować i podsłuchiwać w celi.

Niech im się wydaje, że zamierzamy współdziałać.

Obrócił się plecami do kamer i podniósł rękę. Chciał dać Marii jakąś nadzieję, choć musiał przyznać, że jest ona mizerna. Pokazał palcami trzy litery.

GPS.

Zmarszczyła czoło, próbując zrozumieć. Wiedział, że musiała się zastanawiać, co stało się z opaską Baako z zainstalowanym nadajnikiem. Nie wspominał o tym aż do tej pory, obawiając się, że jakakolwiek wzmianka może ujawnić to, co zrobił poprzedniego dnia.

Zerknął na zimny wzgórek odchodów w narożniku celi. Był zadowolony, że tak rzadko tu sprzątano, zresztą inna sprawa, że Chińczycy niczego by w tych resztkach nie znaleźli prócz pogryzionych kawałków gumy.

Poprzedniego dnia, kiedy Baako jadł – albo udawał, że je – Kowalski kazał mu rozgryźć opaskę na tyle, by dało się z niej wyciągnąć nadajnik. Elektroniczne urządzenie miało wielkość zaledwie jednocentówki. Gdy Kowalski już je odzyskał, polecił goryłowi ukryć fragmenty przeżutej gumy w odchodach. Potem umieścił nadajnik w miejscu, które dawało największe szanse dostarczenia go na powierzchnię, gdzie znów można by wychwycić sygnał.

Dotknął opatrunku, który wciąż miał na twarzy. Przypomniał sobie udawany atak goryla, swoją paniczną ucieczkę z klatki, to, jak wpadł na wartownika, który otworzył drzwi, by go wypuścić. W sytuacji gdy mężczyzna skupiał uwagę na Baako, Kowalski bez trudu wsunął urządzenie do kieszeni jego munduru. Sądził, że przy odrobinie szczęścia strażnik opuści to miejsce, schodząc ze służby, i wyjdzie na powierzchnię. Jeśli ktokolwiek wciąż monitorował sygnał

nadajnika, to szybko natrafił na trop tego człowieka – i ślad tego miejsca.

Kowalski, zakrywając swoim ciałem rękę, pokazał na palcach trzy litery – imię.

GAO.

Godzina 8.23

Kat mówiła szybko, w jej głosie pobrzmiwały podniecenie i niecierpliwość.

- Właśnie wychwyciliśmy pojedynczy sygnał nadajnika w opasce.
- Gdzie? – spytał Monk.
- Przesyłam ci dane na temat lokalizacji i jego ścieżkę w czasie rzeczywistym.

Monk, czekając, wyjrzał przez okno hotelu, który stał w odległości około ośmiuset metrów od ogrodu zoologicznego. Poprosił o pokój na najwyższym piętrze, co zapewniało mu widok na wieżę oceanarium i północną bramę zoo. Przez całą noc zmieniali się z Kimberly, żeby obserwować obecnych tam żołnierzy, wypatrując przez lornetkę jakichkolwiek zmian w ruchu i położeniu wojska.

Teraz, słuchając rozmowy telefonicznej, Kimberly włożyła zakiet. Chwilę wcześniej rozmawiała z mężem, który przebywał w Wirginii; jej głos nabrał cieplejszego tonu, na ustach błąkał się czuły uśmiech. Monk mógł się bez trudu zorientować, kiedy słuchawkę po drugiej stronie wzięła trzyletnia córeczka jego partnerki. W słowach Kimberly pojawiła się słodczy, wyższa nuta. Monk sam miał dwie córki i z łatwością wyczuł tę pełną miłości troskę.

- Powinieneś otrzymać już informację – powiedziała Kat.

Kimberly podeszła do Monka i spojrzała ponad jego ramieniem na ekran komórki. Maleńka niebieska kropczka wskazywała

miejsce, w którym po raz pierwszy pojawił się sygnał nadajnika, a kropkowana linia przesuwiała się po mapie Pekinu.

– To dziwne – mruknęła Kimberly.

Monk spojrzał na nią.

– Ten pierwszy sygnał pochodzi z miejsca około półtora kilometra na południe od zoo. – Odwróciła się i otworzyła swojego laptopa. Przebiegła palcami po klawiaturze, wyświetlając mapy satelitarne i różne okna z danymi. W końcu parsknęła niezadowolona.

– O co chodzi? – spytał Monk.

– To dawna restauracja. Zamknięto ją w dwa tysiące dwunastym i nigdy nie otwarto ponownie. – Zatrzasnęła laptopa i wskazała drzwi. – Bierzmy sprzęt i ruszajmy.

Zrozumiał jej pośpiech, gdy na mapie pokazała się inna niebieska strzałka, która posuwała się powoli. Musieli dotrzeć do tej ścieżki, nim sygnał znów zaniknie.

Monk chwycił swój plecak i przyłączył się do Kimberly stojącej już przy drzwiach. Pobiegli do windy i zjechali do holu. Kiedy już siedzieli w taksówce, jego partnerka wyjaśniła, o co chodzi.

– Sygnał pojawił się daleko od ogrodu zoologicznego, więc mogę się założyć, że ta restauracja stanowi jedno z wejść, które prowadzi do Dēxiǐ Chéng, podziemnego miasta.

Przypomniawszy sobie, jak mówiła mu o dawnym labiryncie schronów przeciwlotniczych z czasów zimnej wojny, obejmującym niemal sto kilometrów kwadratowych pod Pekinem i łączącym ważniejsze punkty miasta.

– Sądzisz, że prowadzą Kowalskiego i Marię przez te tunele? – spytał.

– To jedyne sensowne wyjaśnienie. Kiedyś chińska armia często je wykorzystywała, by maskować ruchy swoich wojsk. Jeszcze w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, podczas zamieszek na placu Tiananmen, przemieszczano tymi podziemnymi korytarzami żołnierzy, by ukryć ich ruchy przed resztą świata.

– I wyobrażam sobie, że można by równie łatwo transportować sprzęt budowlany, dzięki czemu Chińczycy byli w stanie wznieść podziemne centra, a świat o niczym by nie wiedział.

– Nie byłoby to szczególnie trudne – przyznała Kimberley. – Podobno niektóre z tych tuneli mają szerokość czteropasmowych autostrad, po których mogłyby się poruszać bataliony czołgów.

Kiedy taksówka skręciła za róg, Monk wpatrywał się w ekran komórki.

– Jesteśmy czterysta metrów dalej.

Kimberly pochyliła się i zwróciła w dialekcie mandaryńskim do kierowcy. Przekazawszy mu szybko, dokąd chcą dojechać, znów oparła się o siedzenie.

– Wygląda na to, że zmierzamy w stronę dzielnicy mieszkaniowej – powiedziała. – To jedno z osiedli hutong.

– Hutong?

– Wąskie uliczki i alejki, które tworzy labirynt połączonych siheyuan, tradycyjnych chińskich domków z podwórzami. Kazałam kierowcy podjechać tam jak najbliżej, potem będziemy musieli dotrzeć na miejsce pieszo.

Monk zmarszczył czoło.

– Dlaczego mieliby wlec Kowalskiego i Marię przez taką dzielnicę mieszkaniową, zwłaszcza z Baako?

– Nie wiem. Ale mnie to niepokoi. – Popatrzyła z uwagą na swojego partnera. – Podobnie jak twoja obecność w takiej okolicy.

Skinął głową.

Nie wtapiam się w otoczenie.

– Czekał. – Zaczęła wyjmować z plecaka rekwizyty. Podała mu czapkę z wyhaftowanymi chińskimi znakami, okulary przeciwsłoneczne i niebieską papierową maskę chirurgiczną. – Włóż to wszystko.

Monk przesunął palcami po masce. Widział wielu mieszkańców, którzy nosili coś takiego jako ochronę przed wszechobecnym pekińskim smogiem. Miał nadzieję, że czapka, ciemne okulary i ta

zasłona na twarz zamaskują skutecznie jego rysy, zwłaszcza jeśli będzie pochylał nisko głowę.

Kiedy naciągał czapkę na wygoloną głowę, Kimberly znów rzuciła coś warkliwie do kierowcy i wskazała następne skrzyżowanie.

Chyba tu wysiadziemy.

– Od tej pory tylko ja rozmawiam z ludźmi – udzieliła mu ostatniej rady. – Te okolice słyną z izolacji. Patrzą tu nieufnie na przybyszy z zewnątrz, zwłaszcza obcokrajowców.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Kimberly zapłaciła kierowcy gotówką, a potem oboje wysiedli. Monk rozejrzał się. Po drugiej stronie ulicy zauważył typowy dla Pekinu widok – wysokie hotele otaczające duże centrum handlowe.

Kimberly poprowadziła go w przeciwnym kierunku, w alejkę biegnącą między ceglanyimi murami. Była tak wąska, że z trudem szli obok siebie. Po kilku krokach miał wrażenie, że zostawił za sobą współczesny świat i wkroczył w jakiś fragment pekińskiej przeszłości. Najbardziej zewnętrzną warstwę tworzyły maleńkie sklepiki sprzedające wyroby tytoniowe, antyki albo słodczyce w jaskrawych barwach. Następna warstwa wydawała się bardziej osobowa; pojawiły się herbaciarnie, a od strony małej świątyni napływała woń kadzidła.

– Kawalek dalej – wyszeptała Kimberly, zerkając ukradkiem na mapę widoczną na ekranie jego telefonu.

Zagłębiając się w serce hutong, Monk zaglądał czasem w głąb podwórek; widział małe ogródki i sznury obwieszane bielizną, gdzieśgdzie gołębniki.

Oślaniając telefon dłonią, zauważył, że punkcik na ekranie skręcił za następny róg i teraz zbliżał się do nich. Pokazał to Kimberly.

Rozejrzała się i pociągnęła go do małej galerii. Ledwie się w niej mieścili. Musieli wciskać się między stojaki z pędzelkami do kaligrafii, stosami papieru, kałamarzami i kamieniami do rozcierania tuszu. Właścicielka – drobna pomarszczona kobieta,



która mogła mieć sześćdziesiąt albo i równie dobrze sto lat – uśmiechnęła się, pokazując bezzębne dziąsła.

Kimberly odezwała się do niej cicho, tonem pełnym szacunku. Monk, obrócony do nich plecami, obserwował zarówno ekran, jak i otwarte wejście.

W końcu ruchoma niebieska kropka dotarła do miejsca, w którym się znajdowali – i minęła ich. W tym samym momencie przed witryną sklepu przemaszerowała wysoka sylwetka w mundurze armii chińskiej.

Monk odczekał chwilę, wypatrując innych żołnierzy czy jakiejś eskorty prowadzącej dyskretnie Kowalskiego i Marię przez tę dzielnicę. Pojawił się jednak tylko rząddek rozgadanych dzieci w wieku przedszkolnym, które zmierzały zapewne do swojego przybytku.

Zerknął na Kimberly i dał jej znak, by ruszyła za nim. Wyszedł ze sklepu, słysząc, jak jego partnerka przepaszającym tonem żegna się z właścicielką. Już na wąskiej ulicy wskazał głową żołnierza, gdy ten skręcił za następny róg.

– Sygnał dociera od tamtego faceta – poinformował szeptem, gdy podążali za grupką dzieci.

Kimberly popatrzyła za siebie, potem skierowała wzrok w stronę następnego rogu.

– Co myślisz?

Wiedział, co jej chodzi po głowie.

Że to pułapka.

Ktoś mógł znaleźć ten nadajnik i teraz, posługując się żołnierzem, próbował zwabić tego, kto namierzał sygnał.

Nas.

Monk rozważał ryzyko, podążając za celem. Mądrym posunięciem byłoby wycofać się i ponownie rozważyć sytuację, ale po niemal całym dniu niepewności i czekania zniecierpliwienie wzięło górę nad ostrożnością. Wiedział, że największą szansę ocalenia porwanych ma się w ciągu pierwszych dwudziestu czterech

godzin. Martwy student znaleziony na łące ośrodka badań nad naczelnymi w Yerkes dowodził bezwzględności ludzi kierujących tą operacją.

Na ile Monk się orientował, właśnie ten żołnierz mógł zastrzelić młodego człowieka.

– No i co? – spytała Kimberly.

Przyspieszył kroku, wiedząc, że jest tylko jeden sposób, by naprawdę otrzymać odpowiedzi na pytania.

– Załatwmy go.

Godzina 9.02

Maria spięła się, gdy podwójne drzwi na końcu korytarza otworzyły się z głośnym brzękiem. W końcu jednak zapanowała nad sobą i stanęła między Baako i drzwiami ich więzienia. Pojawił się wózek widłowy, wiozący tę samą klatkę, do której wsadzono goryla dzień wcześniej.

– Wygląda na to, że nasz czas dobiegł końca – mruknął Kowalski; jego twarz pociemniała z gniewu.

Przy wózku stało czterech żołnierzy. Wszyscy mieli broń długą, ale jeden z nich trzymał paralizator.

Baako przywarł do boku Marii; kulił się przy jej udzie, przypominając sobie najwyraźniej tę klatkę i ból wywołany ognistymi porażeniami. Wyciągnął rękę do Kowalskiego, prosząc w milczeniu o pomoc.

Olbrzym ujął dłoń Baako i obrócił się w stronę strażników.

Kiedy dźwig znalazł się pod ich lokum, z kabiny wyskoczył jeszcze jeden żołnierz. Wydał rozkaz kierowcy i ten opuścił klatkę na betonową posadzkę. Maria poznała Changa Suna ubranego w sztywny mundur; czarne włosy miał lśniące i mokre, jakby dopiero co wziął prysznic. Była zaskoczona, widząc tego człowieka zamiast

jego brata, Gao. Sądząc po grymasie na twarzy i sztywnych plecach, był najwyraźniej poirytowany tym poślednim zadaniem, jakie mu zlecono – dostarczeniem goryla.

Dał znak strażnikowi, polecając otworzyć klatkę, i warknął coś do tego, który trzymał paralizator. Obaj żołnierze stanęli na baczność. Drzwi klatki otwarto pospiesznie; w więźniów wymierzono lufy karabinów, a koniec paralizatora splunął iskrami.

Baako drżał już na całym ciele. Kowalski skrzywił się, spoglądając na swoją dłoń, którą goryl niemal miażdżył w pełnym przerażenia uścisku. Mimo to olbrzym nie wyswobodził ręki, tylko wysunął się do przodu i popatrzył wyzywająco na Changa.

– Nie wsadzicie go z powrotem do tej klatki – powiedział. – Zostanie z nami.

Grymas na twarzy Changa pogłębił się jeszcze bardziej.

Maria stanęła obok Kowalskiego, wspierając go.

– Jeśli Baako ma przejść dziś rano operację, narażanie go na stres może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. Jestem pewna, że generał Lau...

Chang przerwał jej, dobywając z kabury u boku duży pistolet. Maria od razu uświadomiła sobie swój błąd. Przypomniawszy sobie o nieporozumieniach między obojgiem oficerów, zrozumiała, że nie należy wspominać o tej kobiecie. Zorientowała się także, co Chang trzyma w dłoni – broń na ładunki usypiające.

Kowalski podniósł rękę, gotów się sprzeciwić, ale zanim zdążył się odezwać, Chang wycelował i strzelił.

Pierzasta strzałka pomknęła między Kowalskim i Marią i trafiła w ramię Baako. Goryl zaskowyczał i trzepnął dłonią w ładunek, uwalniając się od igły. Ale środek został już zaaplikowany. Pohukując ze strachu, Baako puścił dłoń Kowalskiego i wycofał się na tyły klatki.

Maria poszła za nim.

Olbrzym, klnąc jak szewc, podążył natychmiast za nią.

Osunęła się na kolana, podczas gdy Baako kulił się w kącie. Zwinął się w kłębek, jego ciemne oczy były szeroko rozwarte ze strachu. Przygarnęła go do piersi i zaczęła kołysać.

Kowalski przysunął się do nich.

– W porządku, mały gościu.

Baako obrócił się do niego. Drżąc, uniósł pięści, stukając o siebie kłykciami i wykręcając nieznacznie ręce.

Razem.

– Nie zostawię cię – obiecał Kowalski. – Jesteśmy drużyną.

– Zgadza się – potwierdziła Maria, nie wiedząc do końca, ile Baako zrozumiał, ale starała się tchnąć w swój głos jak najwięcej pewności.

Goryl wodził między nimi wzrokiem, który był już szklisty; środek zaczynał działać. Sądząc po tej szybkiej reakcji, Maria podejrzewała, że podano mu M99, silny specyfik usypiający, stosowany powszechnie w ogrodach zoologicznych.

Baako, osuwając się powoli, rozwarł zaciśnięte dłonie i pokazał na palcach znak „okay”, potem ułożył dłonie, pokazując coś innego i patrząc to na jedno, to na drugie. Choć jego gestykulacja nie była już taka wyraźna, Maria odczytała ją właściwie. Spojrzała Kowalskiemu w oczy i zauważyła, że i on zrozumiał.

Baako skorygował wcześniejsze słowa mężczyzny. Zamiast „jesteśmy drużyną” pokazał „jesteśmy rodziną”.

– Masz rację, mały gościu – rzucił zdecydowanym tonem Kowalski.

Jakby wiedząc, że jego przesłanie zostało zrozumiane, Baako odchylił głowę, a jego kończyny opadły ciężko na zimny beton.

Usłyszeli za plecami kroki.

Maria spojrzała przez ramię i zobaczyła stojącego obok Changa.

– Jest teraz spokojny – oznajmił z pogardliwym uśmiechem. – Żadnego stresu.

Kowalski dźwignął się na nogi, gotów zaatakować oficera, ten jednak nie cofnął się nawet o krok i skierował lufę pistoletu w jego

pierś. M99 było śmiertelnie niebezpieczne dla ludzi; nawet kilka kropeł mogło niemal natychmiast zabić.

Olbrzym wciąż patrzył groźnie, ale po chwili przysiadł na piętach. Chang spojrział na Marię.

– Pójdiesz z nami. – Pistolet wciąż był wycelowany w jej towarzysza. – On tu zostanie.

– Nie ma mowy – ostrzegł złowrogo Kowalski.

Maria ujęła go za nadgarstek, wiedząc, że nie mają szans.

– W porządku. Zaopiekuję się Baako.

Kowalski odetchnął ciężko przez nos, gotów oponować, ale nawet on uświadamiał sobie bezcelowość wszelkiego oporu.

– Niech będzie – parsknął mrukliwie.

Do klatki wepchnęło się trzech żołnierzy i wspólnymi siłami przenieśli Baako na wózek widłowy. Maria nie odstępowała ich na krok, podtrzymując głowę podopiecznego, by nie doznał jakichkolwiek kontuzji podczas tego niezbyt delikatnego transportu, choć wiedziała, że tego ranka czeka go coś znacznie gorszego.

Ujrzała w myślach brutalnie potraktowanego szympansa, którego widziała poprzedniego dnia. Owszem, była tym przerażona, nie mogła jednak uwolnić się od poczucia wstydu. Czy ona postępowała z Baako łagodniej? Trzymała go w zamknięciu, wypuszczając czasem na spacer w lesie i badając przy każdej okazji.

Przypomniała sobie jego ostatni znak.

Jesteśmy rodziną.

Poczuła w oczach łzy, a w sercu ból winy. Kiedy umieszczono go bezwładnego w klatce, wciąż trzymała dłoń na jego głowie, wiedząc, jaki jest wyjątkowy.

Powinieneś być wolny, pomyślała.

Jeden z żołnierzy odsunął ją od klatki i krata została zatrzaśnięta z metalicznym grzechotem. Chang poprowadził Marię do wyjścia; wózek jechał za nimi.

Zerknęła przez ramię na Kowalskiego, który stał samotnie w celi. Patrzył na nią uporczywie, skłaniając ją w milczeniu do zachowania

spokoju. By jeszcze bardziej dodać jej odwagi, uniósł dłonie i powtórzył znak Baako.

Rodzina.

Skinęła mu głową, biorąc sobie do serca jego przesłanie. Tak, dzielili razem ten los. Mimo wszystko, gdy przechodziła przez podwójne drzwi, prześladował ją strach i przeczucie tego, co nieuniknione. Pogłębiło się ono jeszcze bardziej, gdy ruszyli w stronę laboratorium wiwisekcyjnego.

Jak ktokolwiek z nas może to przeżyć?

Godzina 9.07

Monk obserwował, jak cel przy następnym skrzyżowaniu przechodzi na drugą stronę ulicy. Wyglądało na to, że mężczyzna kieruje się w stronę czteropiętrowego kompleksu na obrzeżach hutong.

Dom, miły dom.

Kimberly też to sobie uświadomiła i oboje przyspieszyli kroku, żeby zmniejszyć dystans. Nie chcieli tracić mężczyzny z oczu w tym rozległym labiryncie budynków. Sygnał GPS-u nie był na tyle dokładny. Gdyby zgubili cel, byłoby bardzo trudno zlokalizować precyzyjnie jego mieszkanie.

Podążyli za żołnierzem na drugą stronę ulicy, umykając przed porannym strumieniem samochodów. Facet przystanął przed małym frontowym podwórzem stanowiącym wejście do kompleksu mieszkalnego.

Monk tego nie przewidział. Nie mając innego wyboru, szli dalej w jego stronę. Nie chcieli ryzykować i wzbudzać podejrzeń gwałtownym zatrzymywaniem się albo zawracaniem.

Kimberly wskazała ławkę na przystanku autobusowym naprzeciwko osiedla.

Spuścił głowę i podciągnął maskę, zakrywając sobie nos. Przeszli przez ulicę w odległości kilku kroków za celem i usadowili się na ławce. Kimberly trzymała się blisko ramienia Monka i wzięła go za rękę, jakby byli parą zmierzającą do pracy.

Monk, obserwując odbicie w szybie zaparkowanego samochodu, patrzył, jak mężczyzna zapala papierosa. Kupił nową paczkę w jednym ze sklepów w hutong. Jego zachowanie wobec właściciela było obcesowe, prawie niegrzeczne. Żołnierz był wyraźnie podenerwowany. Zaciągnął się kilka razy głęboko, potem wyjął komórkę.

Kimberly zacisnęła palce na dłoni Monka. Żołnierz mówił dostatecznie głośno, by można go było usłyszeć, w jego tonie pobrzmiwały gniew i frustracja. Najwyraźniej ktoś bardzo go wkurzył.

Monk ujrzał w wyobraźni Kowalskiego. Wiedział z własnego doświadczenia, jak irytujący bywa ten wielki facet – ale też zaskakująco bystry. To właśnie on musiał podrzucić żołnierzowi nadajnik i wykorzystać tego człowieka, by urządzenie znalazło się na powierzchni.

Teraz trzeba obrócić to na naszą korzyść.

Kimberly przysunęła się bliżej, opierając policzek na ramieniu Monka, jakby była zmęczona.

– Rozmawia ze swoim bratem – oznajmiła szeptem. – Wygląda na to, że po jakiejś kontroli facet został wydalony z roboty. Powiedział, że przesłuchiwał go godzinami ktoś z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Urwała, wsłuchując się z uwagą. Monk zobaczył w szybie, że mężczyzna rzuca papierosa na ziemię i gniecie go obcasem. Warknął coś jeszcze gniewnie, potem się rozłączył i ruszył w stronę kompleksu.

Zaczekali, aż żołnierz zniknie z pola widzenia, i dopiero wtedy wstali oboje z ławki.

Kimberly przywierała do boku Monka.

– Ktoś się chyba wziął na faceta. Może także i na jego brata. Ktoś, kto nazywa się Lau. Kobieta, która ma wyższy stopień niż oni.

Monk rozważał to, zastanawiając się, czy nie mogliby wykorzystać tych nieporozumień na swoją korzyść.

– Gdybym miała dość czasu, żeby sprawdzić swoje źródła wywiadowcze, dowiedziałabym się pewnie, kim jest ta kobieta – ciągnęła Kimberly. – Moglibyśmy się zorientować, o co tu chodzi.

– Po kolei – odparł szeptem Monk.

Wyłonili się zza rogu i weszli na główny dziedziniec. Nie był zadaszony i otaczały go od wewnątrz galerie chronione balustradami.

Ich cel skierował się ku schodom, a potem na górę. Monk, który stał tuż za rogiem, po chwili przyklęknął, żeby zawiązać sznurowadło, obserwując jednocześnie żołnierza. Ten dotarł na pierwsze piętro galerii i ruszył wzdłuż szeregu mieszkań, by w końcu zatrzymać się przy siódmych z kolei drzwiach. Stojąc tam, sięgnął do kieszeni i wyjął klucze. Gdy to robił, coś srebrzystego błysnęło w porannym słońcu i spadło na ziemię, przyciągając jego uwagę; zmarszczył głęboko czoło.

Monk cofnął się za narożnik. Popatrzył na Kimberly i zorientował się po jej minie, że też to widziała.

To musiał być ten nadajnik GPS.

Jesteśmy załatwieni.

Godzina 9.10

Maria patrzyła bezradnie, jak żołnierze wyciągają Baako z klatki i wrzucają na nosze na kółkach. Następnie ruszyli wraz z bezwładnym ciężarem w stronę wysokich drzwi laboratorium wiwisekcyjnego. Cały czas towarzyszyła goryłowi, chcąc się upewnić, że wciąż oddycha. Serce podjeżdżało jej ze strachu do gardła, a w głowie kołatała posępna myśl.



Może byłoby lepiej, gdyby umarł na stole operacyjnym.

Taki koniec wydawał się znacznie bardziej humanitarny niż ta żalosna egzystencja, która czekała go po zabiegu. Znów poczuła łzy w oczach, ale je powstrzymała, nie chcąc się poddawać.

W laboratorium za drzwiami panował większy ruch niż wczoraj, zwłaszcza przy jednym ze stalowych stołów. Zespół ludzi w niebieskich fartuchach przygotowywał właśnie narzędzia chirurgiczne. Jej wzrok przyciągnęło jedno z nich, wysterylizowane i zamknięte w plastikowej torbie.

Akumulatorowa piła do kości.

Na ten widok ugięły się pod nią kolana.

Zbliżyło się dwóch ludzi z zespołu operacyjnego, żeby uwolnić żołnierzy od ich ciężaru. Podjechali z noszami do stanowiska i ustawili je obok stołu.

Maria pospieszyła za nimi, lękając się, że zostanie wyprowadzona z laboratorium, ale jedna z pielęgniarek podeszła i wręczyła jej czepek i maskę chirurgiczną. Oznaczało to, że Maria będzie mogła obserwować zabieg przeprowadzany na Baako – jego okaleczenie, jak sobie uświadomiła. Pielęgniarka dostrzegła zapewne dręczący ją niepokój, bo dotknęła współczująco jej łokcia, lecz już po chwili zajęła się swoimi obowiązkami.

Maria stała z maską i czepkiem w ręce; zapragnęła nagle uciec, odwrócić się od tego, co miało się tu wydarzyć. Wciągnęła jednak na głowę niebieski elastyczny czepek i wsunęła pod spód niesforne kosmyki włosów.

Nie opuszczę cię, Baako.

Przysunęła się bliżej, kiedy przełożyli go z noszy na stół. Nadgarstki i kostki nóg zabezpieczono mu pasami z miękkimi wewnętrznymi podkładkami, co wydało jej się osobliwe. Podeszła jeszcze bliżej i ujęła go za rękę. Poczuła grube skórzaste poduszki palców i przesunęła kciukiem po sierści porastającej krawędź dłoni. Była niemowlęco miękka, co ponownie jej uświadomiło, że Baako to

na dobrą sprawę tylko dziecko. Przypomniała sobie, jak trzymała go za rękę, zakrzywiając delikatnie te palce i ucząc go pierwszych słów.

Jednym z nich było „mama”.

Teraz po jej policzkach spłynęły łzy. Nie potrafiła ich powstrzymać. Nie mogła ich nawet otrzeć, nie chcąc puścić jego ręki, którą ścisnęła obiema dłońmi.

Och, mój słodki chłopczyku, co ja zrobiłam?

Jakiś ruch skierował jej uwagę na wysokie drzwi laboratorium. Pojawiła się w nich znajoma postać Jiaying Lau. Towarzyszył jej Dayne Arnaud. Francuski paleontolog miał podkrążone oczy i wyglądał mizernie. Kiwał głową, słuchając czegoś, co mówiła mu generał.

Maria, wciąż trzymając Baako za rękę, obróciła się do kobiety.

Generał sprawiała wrażenie doskonale wypoczętej, do twarzy miała przyklejony uśmiech zadowolenia. Powiedziała coś do wysokiego mężczyzny w fartuchu, zapewne głównego chirurga. Wymienili kilka słów, potem Jiaying skinęła głową i pozwoliła mu skupić się na przygotowaniach do zabiegu.

– Wydaje się, że wszystko przebiega zgodnie z planem – zwróciła się do Marii. – Doceniam pani współpracę.

Współpracę?

Maria miała ochotę rzucić się na tę kobietę, wydłubać jej oczy. Ale popatrzyła tylko na Arnauda, na którego twarzy malował się strach.

Jiaying musiała wyczuć jej nastrój, ale zignorowała go.

– W tej chwili chciałabym z panią porozmawiać o nieco dalszej współpracy.

– Nie zostawię Baako – oznajmiła Maria stanowczo.

– Nawet bym tego nie oczekiwała, doktor Crandall. Co więcej, zespół chirurgiczny uważa, że może być pani dzisiaj rano bardzo pomocna.

Maria zmarszczyła czoło.

– Pomocna? W jaki sposób?

– Przeprowadzą zabieg będący zmodyfikowaną wersją procedury montrealskiej. Kraniotomia i założenie elektrod dokona się u przytomnego pacjenta.

– Przytomnego? – Maria nie potrafiła ukryć przerażenia.

Jiaying podniosła uspokajającym gestem dłoni.

– To bezpieczne i względnie bezbolesne. – Wskazała głównego chirurga. – Doktor Han użyje leku odwracającego skutki środka nasennego, potem za pomocą wlewu dożylnego zaaplikuje propofol. Po zastosowaniu miejscowego znieczulenia będzie można przeprowadzić kraniotomię. Kiedy dojdzie do całkowitego odsłonięcia mózgu, pacjent zostanie w pełni wybudzony. I w tym momencie będzie potrzebna pani wiedza i doświadczenie.

– Do czego?

– Chodzi o to, żeby rozmawiała pani ze swoim obiektem badań.

Pomimo brutalności całej tej sytuacji Maria zrozumiała, czego się od niej oczekuje.

– Chce pani, żebym zadawała Baako pytania, podczas gdy wy będziecie stymulować elektrycznie różne obszary jego mózgu.

Generał skinęła głową.

– Na podstawie odpowiedzi zespół badawczy opracuje bardzo dokładną mapę architektury mózgu. Pomoże im to umieścić elektrody w najważniejszych miejscach, jeśli chodzi o późniejsze badania neurologiczne.

Maria z trudem przełknęła ślinę. Choć brzmiało to przerażająco, miało swój chłodny kliniczny sens. Próbowała sobie wyobrazić przytomnego Baako, z głową unieruchomioną na stole i otwartą czaszką. Nic dziwnego, że przywiązali mu nadgarstki i kostki u nóg. Wiedziała, że przerażony będzie szukał u niej pociechy i ukojenia.

Jak mogę spojrzeć w te oczy, tak pełne ufności i miłości?

Chciała odmówić, ale wiedziała, że musi tu być ze względu na Baako.

Mimo to z jej ust dobył się cichy jęk.

– Błagam, nie róbcie tego.

– Doceniam pani troskę, doktor Crandall, ale nauka musi być beznamiętna. Wszyscy mamy tu swoje role do spełnienia. – Jiaying skinęła na francuskiego paleontologa. – Doktor Arnaud przeprowadzi dzisiaj dogłębną analizę szczątków tego hybrydowego neandertalczyka znalezionych w Chorwacji. Kiedy już tu skończymy, chcę, żeby mu pani towarzyszyła, by uzyskać z tych kości jak najwięcej DNA.

Maria już od jakiegoś czasu jej nie słuchała. Potrafiła myśleć tylko o tym, co się stanie z Baako. Nic innego się nie liczyło.

Nagle poczuła, jak Jiaying zaciska palce na jej ręce, wyrywając ją z zamyślenia.

– ...by zagwarantować sobie pani współpracę.

– Co? – spytała Maria, kręcąc zaskoczona głową.

General pociągnęła ją na tyły laboratorium.

– Właśnie tłumaczyłam, że niepowodzenie ma swoją cenę. Ale może skuteczniej będzie coś pani pokazać.

Maria została zaprowadzona do okna wychodzącego na posępny habitat znany jako Arka. Znów popatrzyła w głąb dołu usłanego głazami. Szukała wzrokiem hybrydowych stworów, ale nie dostrzegła żadnego. Najprawdopodobniej spały w tych mrocznych jaskiniach w ścianach niecki. Zauważyła jednak na podłożu stos połamanych kości; wszystkie były obgryzione do czysta. Przypomniała sobie oderwaną rękę ciśniętą w szybę. Szkło wciąż było umazane zaschniętą krwią.

Nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch z boku, przy klatce stojącej przed masywnymi stalowymi drzwiami. Wrota się rozwarły i do klatki wepchnięto jakąś wysoką postać. Człowiek ten osunął się na kolana, a drzwi za jego plecami z powrotem się zamknęły. Obrócił się twarzą w stronę okna.

Kowalski...

– Ten pani opiekun goryli nie będzie nam po dzisiejszej operacji specjalnie potrzebny – wyjaśniła Jiaying. – Chyba że jako motywacja do pani współpracy.

Maria zrozumiała i znów spojrzała na stos kości.

Pomogę im... albo Kowalski zginie.

Usłyszała jakiś cichy dźwięk docierający z głębi laboratorium. Odwróciła się i ujrzała Baako, który poruszał się niespokojnie na stole operacyjnym. Z jego krtani dobyło się żalosne, pełne przestachu parsknięcie, gdy zaczął się zmagać z więzami na nadgarstku. Musieli mu już podać specyfik neutralizujący skutki środka usypiającego; zaczynał się budzić.

Jiaying spojrzała w tym samym kierunku.

– Doktor Crandall, czas zabrać się do pracy.

Godzina 9.19

Teraz albo nigdy...

Monk, świadomy, że mają coraz mniej czasu na działanie, obserwował z dziedzińca, jak żołnierz schyla się i sięga po nadajnik. Wiedział, że ich cel lada moment się zorientuje, co umieszczono mu w kieszeni.

Ruszył ku schodom, ale Kimberly chwyciła go za ramię.

– Ja to zrobię – wyszeptała, powstrzymując go, po czym ruszyła przed siebie. – Idź za mną.

Podążył za nią, kiedy skierowała się zdecydowanym, choć niespiesznym krokiem w stronę schodów. Zaczęła wchodzić na górę, cały czas mówiąc do niego coś gniewnie w dialekcie mandaryńskim, jakby go łajała. Choć było to jedynie przedstawienie – rozzłoszczona żona i krnąbrny mąż – patrzyła na niego morderczym wzrokiem, upominając, by schylał głowę i zachowywał się pokornie.

Monk naciągnął na czoło daszek czapki. Przez lata wpoił sobie lekcję, której udzieliła mu Kat. Żona ma zawsze rację. A w tym przypadku nawet żona fałszywa.

Dotarli do galerii, która biegła wzdłuż piętra, na którym zatrzymał się ich cel. Przed nimi ciągnęły się drzwi do mieszkań.

Wciąż strofując Monka, Kimberly zmierzała w stronę żołnierza, który, klęcząc na jednym kolanie, oglądał trzymany w palcach nadajnik GPS-u.

Pochylając nisko głowę, Monk rozejrzał się; dostrzegł kilku innych mieszkańców, którzy opierali się o balustrady albo palili, rozmawiając z sąsiadami. Z dziedzińca dobiegał śmiech dzieci na huśtawkach.

Monk zorientował się, jak lekkomyślny był jego pierwszy odruch. Gdyby ruszył bez wahania w stronę celu, mogłoby się rozpętać piekło. Albo, w najlepszym razie, ich kamuflaż przestałby w jednej chwili istnieć.

Choć w tym momencie jedno i drugie było bardzo prawdopodobne.

Żołnierz wyjął komórkę, gotów zameldować o swoim odkryciu.  
Niedobrze.

Kimberly dotarła do niego pierwsza i warknęła, żeby odsunął się z drogi. Najwidoczniej jej umiejętność chłostania językiem dorównywała talentom szpiegowskim.

Żołnierz wymamrotał coś przepraszająco. Obrócił się w stronę swojego mieszkania i wsunął z brzękiem klucz do zamka. Gdy otworzył drzwi, Kimberly wpadła na niego od tyłu i powaliła na podłogę za progiem, po czym błyskawicznie weszła do środka.

Monk starał się dotrzymać jej kroku.

– Zamknij drzwi – rozkazała, kopiąc Chińczyka w głowę. Mężczyzna po chwili zrobił się całkowicie bezwładny i stracił przytomność. – Weź jego broń i wciągnij go do mieszkania.

Kimberly wyminęła leżącego mężczyznę i wyjęła z kabury pod żakietem glocka. Szybko ogarnęła wzrokiem dwupokojowe lokum, podczas gdy Monk zabierał żołnierzowi broń. Potem chwycił go za ramiona i zaciągnął do pokoju dziennego. Pod wpływem gwałtownego ruchu mężczyzna wydał z siebie jęk.

– Pacjent się budzi – wyszeptał Monk.

Rzuciła mu rolkę taśmy samoprzylepnej. Nie potrafił się zorientować, czy znalazła ją, czy też miała przy sobie. Przewrotność tej kobiety budziła respekt.

Zakleił usta mężczyźnie, potem owinął mu kilkakrotnie taśmą nadgarstki i kostki. Kimberly tymczasem przeszukiwała mundur żołnierza, wyciągając przedmioty z kilku kieszeni: złożoną mapę, plik elektronicznych kart do otwierania drzwi, wreszcie portfel, który przejrzała.

– Przywitaj się z Gao Sunem. Z dokumentów i oznaczeń na pagonach wynika, że jest porucznikiem w chińskiej armii.

Mężczyzna zdołał już oprzytomnieć na tyle, by spojrzeć na nich wściekłym wzrokiem. Monk przyciskał kolano do jego gardła.

– I co teraz? – spytał. – Nie jest to moja pierwsza akcja, ale z pewnością znasz ten kraj lepiej ode mnie.

Przyglądała się ich więźniowi.

– Mało prawdopodobne, by ujawnił coś istotnego. Z tego, co czytałam na temat wydarzeń w Chorwacji, członkowie tego chińskiego oddziału popełnili samobójstwo, nim ktokolwiek zdążył ich schwytać i przesłuchać.

– Więc co z nim zrobimy?

Uniosła glocka, biorąc jednocześnie poduszkę z kanapy.

– Może się uwolnić albo ktoś go znajdzie. Nie wolno nam ryzykować.

Monk zastanawiał się, czy jego partnerka odznacza się dostatecznie twardym sercem, by zabić tego człowieka z zimną krwią.

– Zaczekaj – powstrzymał ją.

Wstał i ruszył w stronę drzwi, żeby wziąć telefon komórkowy, który mężczyzna tam upuścił. Próbował uzyskać dostęp do danych, ale urządzenie było zabezpieczone.

Kimberly dostrzegła jego niezadowolenie i wyciągnęła rękę.

– Pokaż to.

Podał jej telefon, a ona obejrzała go dokładnie.

– Reaguje na odcisk palca. – Odwróciła się do więźnia i z pomocą Monka przycisnęła kciuk mężczyzny do czujnika. Ekran ożył. Przejrzała kilka aplikacji i skinęła głową. – Mogę zmienić ręcznie hasło, więc będziemy mieli dostęp do telefonu bez konieczności wykorzystywania jego linii papilarnych.

– Świetnie.

– Po co ci ona? – spytała, oddając Monkowi komórkę.

– Załatwię sobie polisę ubezpieczeniową. – Cofnął się, włączył w telefonie aparat i sfotografował skrepowanego Gao Suna.

– Co robisz? – zdziwiła się Kimberly.

– Wspomniałaś, że ostatnią rozmowę facet przeprowadził z bratem. Sądząc po jej treści, założę się, że tamten też pracuje pod ziemią. A Gao jest w naszych rękach. Można by to wykorzystać.

– Pewnie masz rację. – Podeszła do stołu, na którym stały oprawione zdjęcia, i wzięła jedno do ręki. – Już wcześniej zwróciłam na to uwagę.

Monk wpatrywał się w fotografię dwóch mężczyzn, którzy obejmowali się i uśmiechali szeroko, obaj w mundurach. Jednym z nich był Gao.

– Ten drugi to pewnie jego brat – powiedział.

Skinęła głową, wyjęła zdjęcie z ramki, włożyła do kieszeni, a pustą ramkę rzuciła na kanapę.

– I co teraz?

Monk wyciągnął telefon satelitarny.

– Czas zebrać ludzi, których przysłał Painter. Zlecę komuś pilnowanie naszego przyjaciela, a my poszukamy tego wejścia do podziemnego miasta.

– To z pewnością labirynt.

– Ale wiemy, dokąd się skierować: w stronę zoo.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy – rzuciła.

Monk zdawał sobie sprawę z ogromu poszukiwań, jakie ich czekają. Wystukując numer, liczył na to, że nie jest za późno.

Trzymaj się, Kowalski...



Opierając się plecami o stalowe drzwi, Kowalski starał się ignorować smród otoczenia, które cuchnęło zepsutym mięsem i zwierzęcymi odchodami. Ta obezwładniająca woń przypominała mu dni, kiedy to za dodatkową opłatą wybierał gnój z obór w Riverdale Stables w Bronxie, zwłaszcza wtedy, gdy podczas fali letnich upałów zdechła w swoim boksie stara klacz.

Bądź co bądź, to nie smród mnie tu zabije.

Położył dłoń na stalowych drzwiach za plecami i popatrzył na kraty z przodu, zaopatrzone w ciężkie suwnice. Wyobraził sobie, jak te kraty podjeżdżają do góry, a on staje bezbronny wobec tego, co kryło się wewnątrz Arki.

Wcześniej, przy zwieńczonej łukiem szybie wysoko nad jego głową, dostrzegł Marię stojącą obok umundurowanej generał Lau. Był pewien, że Chińczycy wykorzystali go jako środek nacisku na jego towarzyszkę.

Przysunął się do krat z przodu – każda miała grubość jego nadgarstka; wiedział, jaki czeka go los, jeśli Maria nie zgodzi się na współpracę.

Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy z jaskini znajdującej się w odległości około dziesięciu metrów wyłoniły się jakieś cienie. W polu widzenia ukazał się wielki kształt, wsparty na obu kłykciach. Sierść goryla była czarna jak smoła, gruba i gęsta na ramionach, lśniąca na zadzie. Bestia musiała ważyć ponad trzysta pięćdziesiąt kilogramów, z których większość stanowiły mięśnie; jej czoło przechodziło nad wystającymi brwiami w spiczasty czubek. Poniuchała kilka razy w powietrzu, potem skierowała ciemne ślepia w jego stronę.

Kowalski dostrzegł na szyi stwora błyszczącą metalową obręcz, obciążoną na wysokości gardła stalowym pudełkiem. Domyślił się, że to obroza elektryczna, służąca do kontrolowania tych bestii.

Cofnął się o krok i odsunął od prętów.

Ten nieznaczny ruch wywołał gwałtowną reakcję. Goryl zaszarżował wprost na niego. Kowalski skulił się, niemal przekonany, że ta potężna istota przebije kraty. Jednak w ostatnim momencie przyhamowała, przesunęła się kawałek na tylnych kończynach, a w końcu obróciła się nieznacznie i przysiadła za zadzie.

Stwór oparł twarz o pręty i sapał tak głęboko, że Kowalski poczuł na policzkach tchnienie oddechu. Potem bestia zawyla, rozwierając paszczę, która mogłaby przegryźć na pół piłkę do koszykówki, i odsłaniając żółte kły długości trzydziestu centymetrów.

Kowalski, ogłuszony rykiem, zasłonił sobie uszy dłońmi.

A już zacząłem lubić mały.

Potem, nagle, to zwaliste cielsko odpadło od klatki, czy raczej zostało odepchnięte. Na jego miejscu pojawił się inny osobnik.

Kowalski rozpoznał srebrzysty połysk sierści na grzbiecie przybysza. To był ten osobnik, którego widział poprzedniego dnia, ten, który rozszarpał szczątki jakiegoś laboranta. Był o połowę większy od tego czarnego i ważył ponad pięćset kilogramów. Ten pierwszy podniósł się z miejsca, w które został ciśnięty, i cofnął się na tylnych kończynach, uderzając dłonią o pierś.

Większy osobnik warknął na niego tylko raz. Efekt był natychmiastowy. Czarno umaszczony goryl przyjął pozycję na czworakach, czym prędeż się obrócił i umknął.

Najwidoczniej szef tego interesu pokazał, kto tu rządzi.

Srebrzysty osobnik znów obrócił się do Kowalskiego i przysiadł, patrząc wprost na niego. Nie było żadnego wybuchu wściekłości, wycia, groźby – tylko to niewzruszone spojrzenie, bez jednego mrugnięcia. Wydawało się to o wiele bardziej niepokojące, zwłaszcza z tym błyskiem przebiegłej złośliwości w oczach.

Kowalski przywierał plecami do stalowych drzwi, oceniając przeciwnika. Stwór o srebrzystym futrze siedział niemal bez ruchu. Tylko jego masywna klatka piersiowa unosiła się i opadała w swobodnym rytmie – ucieleśnienie cierpliwości. Kowalski nie

potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób Chińczycy zamierzają stworzyć łagodniejszą i bystrzejszą wersję tych półtonowych potworów. Zwłaszcza że plan tej bestii był bardzo łatwy do odczytania i zupełnie nieskomplikowany.

Musiała tylko oczekiwać gongu wzywającego na posiłek.

Przestrzeń powietrzna nad Ekwadorem

30 kwietnia, godzina 20.45 czasu miejscowego

Pilot gulfstreama G650 połączył się przez radio z kabiną pasażerską.

– Uwaga, ludzie, za trzydzieści minut lądujemy w Cuenca.

Gray spojrział przez okno na księżyc wiszący nisko na nocnym niebie. Sprawdził godzinę. Choć czas lotu wynosił dziewięć godzin, przy uwzględnieniu zmiany czasu mieli wylądować tylko o godzinę później, niż wystartowali w Rzymie.

Znów popatrzył na przestronną kabinę wyłożoną skórą i egzotycznym drewnem. Mogło się tu bez trudu pomieścić dwanaście osób, ale w tej chwili było tylko ich czworo. Siedzący z tyłu Roland znowu zagrzebał się w książkach, choć przez większość czasu ślęczał nad dziennikiem Kirchera. Asystowała mu w tym Lena; wymieniali cicho uwagi, chyląc ku sobie głowy. Seichan głównie drzemała na rozkładanym fotelu po drugiej stronie przejścia. Przekręciła się na bok i mruknęła, zirytowana komunikatem pilota.

Gray rozumiał, że ma prawo być wyczerpana. Sam uciął sobie czterogodzinną drzemkę, wiedząc, że gdy tylko dotrą do odległego miasta Cuenca wysoko w Andach, od razu zabiorą się do roboty. Skontaktował się kilka minut wcześniej z Painterem i dowiedział, że los Kowalskiego i siostry Leny wciąż pozostaje nieznanym, ale że Monk wpadł na potencjalny trop. Grayowi pozostawało więc podążać historycznym śladem pozostawionym przez ojca Kirchera i szukać zaginionego miasta w dżungli.

Opierając się na dzienniku Kirchera i adnotacjach na jego mapie, Nicolaus Steno wyruszył do Ameryki Południowej i powrócił, ustalwszy w przybliżeniu współrzędne wyznaczające położenie miasta. Wbrew żywionemu przez Kirchera przekonaniu Gray wciąż wątpił, czy owa siedziba starożytnych nauczycieli – Czuwających, o których wspominały pradawne teksty – była naprawdę mityczną Atlantydą. Przez większość lotu zagłębiał się w dzieje tego regionu.

Jego uwagę przyciągnął ruch w tyle kabiny. Podeszła do niego Lena z książką w ręce.

– Roland chciał, żebym ci to pokazała, zanim wylądujemy – powiedziała i przysiadła się do niego, zajmując fotel naprzeciwko i kładąc książkę na niewielkim stoliku.

Otworzyła ją na stronie przedstawiającej kamień z wyrytym labiryntem. Był taki sam jak ten na okładce dziennika Kirchera – wzór znajduwany na całym świecie w różnych pradawnych miejscach.

– To kawałek wypolerowanego diorytu – wyjaśniła. – Odkrytego w dżunglach niedaleko Cuenca, tam dokąd zmierzamy.

Gray nachylił się do niej. A więc labirynt znaleziono nawet tutaj.

– Członek miejscowego plemienia dał ten kamień w darze ojcu Crespiemu.

Podniósł wzrok.

– Misjonarzowi? Temu, który tu przybył, zafascynowany postacią Atanazego Kirchera?

Skinęła głową.

– Siedzibą jego misji był kościół Marii Auxiliadory, czyli Marii Wspomożycielki Wiernych – dodała. – Jeszcze jeden kościół poświęcony Maryi Dziewicy, tak jak sanktuarium maryjne, w którym Kircher ukrył kości Ewy. – Zaczekała, aż Gray przyjmie jej słowa do wiadomości. – Przez pięćdziesiąt lat, które tu spędził, aż do śmierci w wieku prawie pięćdziesięciu, zgromadził znaczną kolekcję artefaktów, które przekazali mu miejscowi Indianie z plemienia

Shuarów. Przechowywał je w kościele, łącznie około siedemdziesięciu tysięcy przedmiotów.

– Skąd wzięło się całe to bogactwo?

– Według Indian wszystko pochodziło z rozległego systemu jaskiń pod powierzchnią dżungli. Roland uważa, że te artefakty nie weszły w posiadanie ojca Crespiego przez przypadek, ale dlatego, że duchowny rozpytywał Indian o miejsce, w którym się znajdowały.

– Nie znał jednak współrzędnych, którymi teraz dysponujemy.

– Nie. Prawdopodobnie, analizując to, co zdołał ustalić Kircher, zdołał odszukać ten region.

– Ale nie zaginione miasto. – Gray wskazał głową książkę. – Co jeszcze dostał?

Lena przewertowała książkę, pokazując mu inne artefakty: ponaddwumetrowe sarkofagi dla mumii, które przypominały z wyglądu egipskie, komplety paradnych inkaskich zbroi, półki pełne ekwadorskich wyrobów garncarskich, zwoje srebrnych i złotych arkuszy ozdobionych wizerunkami, które wydawały się w kontekście tego obszaru niedorzeczne.

Wskazała też inne anomalie.

– Według archeologów, którzy badali tę kolekcję, motywy i wizerunki występujące na wielu przedmiotach pasują do innych kultur: asyryjskiej, babilońskiej, egipskiej. – Otworzyła książkę na ilustracji miedzianej rzeźby mężczyzny ze skrzydłami i głową jaszczurki. – Pierwszy przykład z brzegu. Jest to niewątpliwie postać Nisrocha, boga starożytnej Asyrii, czyli mezopotamskiej cywilizacji sprzed czterech tysięcy lat. – Przeszła następnie do złotych tabliczek pokrytych pismem linearnym. – A tutaj mamy przykłady pisma protofenickiego. Eksperti stwierdzili, że na innych artefaktach widnieją egipskie hieroglify, pismo libijskie i punickie, nawet celtyckie symbole. Ojciec Crespi nabrał przekonania, że te przedmioty stanowią dowód związku między zaginioną cywilizacją ukrytą w tych dżunglach i pozostałą częścią starożytnego świata, związku, który poprzedza wszelkie udokumentowane świadectwa

historyczne. – Przerzuciła kartki, by odszukać kolejne ilustracje. – Co jeszcze dziwniejsze, tubylcy przynosili mu twarde jak stal miedziane przekładnie zębate, a także osobliwe mosiężne tuby, które nie nosiły śladów toczenia. Wszystko to były przykłady metalurgii wykraczającej poza techniczne możliwości miejscowych plemion.

Gray wziął książkę i zaczął przeglądać kolejne zdjęcia uwieczniające kolekcję ojca Crespiego. Większość stanowiły złote tabliczki i zwoje przedstawiające kalejdoskop astrologicznych postaci, piramidy i bogów. Na jednej ze złotych płytek widniała pochylona postać pisząca coś gęsim piórem.

Pokręcił głową.

– To musi być fałszerstwo.

Lena wzruszyła ramionami.

– Ojciec Crespi też tak twierdził. Uważał, że z czasem miejscowi mogli sami wytworzyć niektóre z tych darów, żeby go zadowolić. Ale nawet on potrafił odróżnić falsyfikaty od autentyków. Kto chciałby z własnej woli pozbyć się takiej ilości złota tylko po to, żeby oszukać starego księdza?

Na potwierdzenie swoich słów odszukała w książce ilustrację przedstawiającą długiego na metr złotego krokodyla z rubinowymi oczami. Musiał być wart fortunę; z pewnością nie była to podróbka wykonana rękami któregoś z mieszkańców tych terenów.

– Co się stało z kolekcją ojca Crespiego? – spytał Gray.

– To tajemnica sama w sobie. Po jego śmierci w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim cały ten zbiór szybko został rozproszony. Większość znalazła się z polecenia rządu ekwadorskiego pod kluczem, w muzealnych skarbcach. Można to oglądać tylko za specjalnym pozwoleniem. Inne przedmioty trafiły do ekwadorskiej bazy wojskowej Cayambe, głęboko w dżungli.

– Bazy wojskowej? – zdziwił się komandor.

Lena zerknęła ku tylnej części odrzutowca.

– I jak twierdzi Roland, chodzą słuchy, że najważniejsze przedmioty z tej kolekcji zostały wysłane do Watykanu.

Gray znów rozsiadł się wygodnie.

– Jeśli to prawda, to ojciec Kircher nie był jedynym księdzem katolickim, który próbował trzymać coś w sekrecie.

– Ale co próbowano ukryć?

– By uzyskać odpowiedzi, będziemy musieli znaleźć ten system jaskiń oznaczony na mapie Kirchera, ten z labiryntem – powiedziała Lena.

Seichan, siedząca po drugiej stronie przejścia, odezwała się wreszcie, zakrywając ramieniem oczy. Musiała udawać, że śpi.

– Wszystko to przypomina bardziej podania ludowe, plotki i opowieści o ukrytych skarbach.

– Może nie – odparł Gray.

Opuściła rękę i obróciła się do niego, unosząc sceptycznie brew.

Podczas gdy pozostali analizowali przeróżne elementy tej układanki, Gray przez ostatnie kilka godzin rozważał możliwość istnienia zaginionego miasta, pogrzebanego gdzieś w dżungli Andów.

– Zostało dobrze udokumentowane, że jakiś rozległy system jaskiń rzeczywiście przecina góry na tym obszarze i ciągnie się na bardzo długim dystansie – powiedział. – Brytyjsko-ekwadorski zespół badawczy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym sfotografował dość znaczne odcinki i sporządził ich mapy.

– Ten prowadzony przez Neila Armstronga – dodała Lena.

– Był honorowym szefem całej ekspedycji. Choć nie znaleźli zaginionego miasta, odkryli w tych jaskiniach pozostałości pradawnego grobowca, a także zidentyfikowali setki nowych gatunków roślin, nietoperzy i motyli.

Seichan przewróciła oczami.

– Ale, jak sam przyznałeś, nie znaleźli zaginionego miasta. Wierz mi, to tylko podania ludowe.

– Nie jestem pewien. Pewna stara legenda dotycząca tego regionu mówi o sekretnych jaskiniach, w których znajduje się ogromna biblioteka z metalowymi księgami i kryształowymi tablicami.



Niejaki Petronio Jaramillo twierdził, że gdy miał kilkanaście lat, pewien Indianin z plemienia Shuarów zaprowadził go do tych jaskiń. Działo się to w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Potem, obawiając się, by to miejsce nie zostało splądrowane, nikomu przez dziesiątki lat o nim nie wspominał. W końcu zgodził się zaprowadzić tam garstkę ludzi, ale pod warunkiem, że w tej wyprawie będzie uczestniczył Neil Armstrong. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym, kilka tygodni przed zaplanowanym terminem ekspedycji, Jaramillo został zastrzelony pod swoim domem.

Lena drgnęła.

– Zastrzelony?

– Niektórzy uważają, że zrobiono to, by go uciszyć. Inni, że został zamordowany, kiedy ktoś próbował zdobyć jego sekrety. Tak czy inaczej, informacja o położeniu tego miejsca umarła wraz z nim.

Lena wzięła ze stolika książkę.

– Sądysz, że kolekcja ojca Crespiego też mogła stamtąd pochodzić?

– Niewykluczone. Stamtąd albo z tuneli prowadzących do tej zaginionej biblioteki.

Seichan wyciągnęła się na rozłożonym fotelu.

– Ale dlaczego ten zastrzelony facet upierał się, żeby Neil Armstrong wziął udział w tej nowej ekspedycji?

Gray wzruszył ramionami.

– Może temu człowiekowi zależało na obecności kogoś o nieposzlakowanej reputacji. A może był jakiś inny powód. Wciąż wydaje mi się dziwne, że Armstrong zgodził się uczestniczyć w obu wyprawach. Nie był archeologiem. A po misji Apollo Jedenaście stał się odludkiem i udzielił tylko kilku wywiadów. Więc po co się w to wszystko angażował?

– Chyba wiem – odezwał się za nim Roland.

Podszedł do nich niezauważony, oczy błyszczały mu ze zmęczenia i zdumienia. Przyciskał do piersi dziennik Kirchera,

spoglądając jednocześnie w iluminator, za którym wisiał na niebie doskonale widoczny świetlisty krąg.

– Dlaczego? – spytała go Lena.

– Z powodu Księżyca... który nie jest tym, czym się nam wydaje.

Godzina 21.02

Roland nie zwrócił uwagi na ich pełną niedowierzania reakcję. Szukał odpowiednich słów, by wyjaśnić, co znalazł na stronicach dziennika ojca Kirchera.

Nic dziwnego, że siedemnastowieczny duchowny trzymał to wszystko w tajemnicy.

Zaledwie czterdzieści lat przed odkryciem szczątków Ewy inkwizycja skazała Galileusza na śmierć za to, że ośmielił się sugerować, jakoby Ziemia nie była centrum wszechświata. Rewelacje zapisane w dzienniku przypieczętowałyby los Kirchera i wszystkich związanych z tym odkryciem.

– Jeśli Księżyc nie jest tym, czym się nam wydaje, to czym jest? – spytał Gray.

Roland pokazał dziennik.

– Kircher doszedł do wniosku, że Księżyc nie jest naturalnym obiektem. – Nim ktokolwiek zdążył zaprzeczyć, ksiądz wyprostował się dumnie. – A ja się z nim zgadzam.

Seichan postawiła pionowo oparcie fotela i obróciła się w ich stronę. Wskazała w stronę iluminatora i Księżyca w pełni.

– Twierdzisz, że nie jest rzeczywisty?

Duchowny przysiadł się do nich.

– Przez całą noc analizowałem szczegóły, które znalazłem w dzienniku Kirchera. Starłem się w jakiś sposób obalić jego wnioski. Zamiast tego jednak natykałem się bezustannie na potwierdzenia.

– Może będzie lepiej, jak nam to wyjaśnisz – zaproponował Gray, wskazując głową książkę. – Czego się dowiedziałeś?

– Nie chodzi wyłącznie o to, co znalazłem w tym dzienniku. – Popatrzył na lśniąca tarczę za szybą iluminatora. – Nigdy się nie zastanawialiście, dlaczego podczas całkowitego zaćmienia Słońca tarcza Księżyca pokrywa się dokładnie z powierzchnią Słońca? Czy to doskonale wizualne zrównanie nie wygląda na osobliwy astronomiczny zbieg okoliczności?

Zorientował się po ich twarzach, że ten dziwny fakt umknął ich uwadze.

Jak większości ludzi.

– Dochodzi do tego fenomenu dlatego, że Księżyc jest czterysta razy mniejszy od Słońca, a jego pozycja to jedna czterechsetna odległości między Ziemią a Słońcem. – Pokręcił głową, jakby zdumiony niezwykłością tej relacji. – To nie wszystko. Księżyc precyzyjnie odzwierciedla roczny ruch Słońca. Podczas letniej pełni zajdzie na horyzoncie pod takim samym kątem i w tym samym miejscu co zachodzące w zimie Słońce. I znów, czy taka symetria nie zaprzecza przypadkowości?

– Ale to jeszcze nie jest dowodem na to, że Księżyc jest czymś sztucznym – zauważyła cicho Lena, jakby przemawiała do szaleńca.

Może naprawdę przemawiam do szaleńca... może wpadłam zbyt głęboko w króliczą norę.

Roland nie zamierzał się poddawać.

– Naukowcy nie są nawet pewni, jak Księżyc powstał. Aktualna hipoteza, zwana teorią wielkiego zderzenia, mówi, że jakiś obiekt wielkości Marsa zderzył się z Ziemią na wczesnym etapie jej formowania i wyrzucił na orbitę dostatecznie dużo materii, by uformował się z niej właśnie Księżyc.

– I co ci się nie podoba w tej teorii? – spytał Gray.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, wszyscy astronomowie zgadzają się, że takie planetarne zderzenie sprawiłoby, że Ziemia obracałaby się szybciej niż obecnie. Na poparcie tej teorii wysuwają hipotezę o drugim zderzeniu z naszą planetą, o takiej samej sile, tym razem jednak z przeciwnego kierunku.

– Które miałyby przyhamować szybszy ruch Ziemi. – Gray zmarszczył czoło, jakby uświadamiając sobie nieprawdopodobieństwo czegoś takiego.

– Nawet astronomowie przyznają, że nie ma konkretnego dowodu na to, że doszło do takiego kataklizmu. Co każe się nam zastanowić nad drugim problemem teorii wielkiego zderzenia. Dotyczy on dziwnej ilości wyrzuconej z Ziemi materii, która zespoliła się i utworzyła Księżyc.

– Pod jakim względem dziwnej? – dociekał Gray.

– Kiedy kurz już opadł, okazało się, że obwód Ziemi jest o trzysta sześćdziesiąt sześć procent większy niż obwód Księżyca. Czy ta liczba nie wydaje się osobliwa?

– Liczba trzysta sześćdziesiąt sześć... – Lena zmarszczyła czoło. – To prawie tyle samo, ile dni w roku.

– Na dobrą sprawę Ziemia obraca się trzysta sześćdziesiąt sześć razy podczas jednego okrążenia Słońca. – Roland popatrzył na dziennik, który trzymał na kolanach, i przesunął palcem po labiryncie starożytnej Krety, wytłoczonym złotymi liniami na okładce. – Dlatego minojscy astronomowie-kapłani na Krecie podzielili koło na trzysta sześćdziesiąt sześć stopni. Sumerowie uczynili to samo, dodatkowo dzieląc stopnie na sześćdziesiąt minut, a minuty na sześćdziesiąt sekund.

– Tak jak my dzisiaj – zauważyła Lena.

– Tyle że zaokrąglamy to do trzystu sześćdziesięciu stopni – skorygował ksiądz. – Wróćmy jednak do Księżyca. Są też inne osobliwości dotyczące naszego siostrzanego satelity: jest lżejszy, niż przypuszczano, jego pole grawitacyjne jest w niektórych miejscach silniejsze, a w niektórych słabsze, a jądro ma wyjątkowo małe. Tyle że bez tego dziwnego Księżyca na naszej planecie nie byłoby życia.

Lena zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Biologowie uważają, że siła grawitacyjna Księżyca, która rządzi zmianami pływów i powstawaniem basenów pływowych, pomogła

prawdopodobnie przenieść się wczesnym stworzeniom wodnym na ląd. Co ważniejsze, astrofizycy wiedzą, że masa Księżyca okrążającego naszą planetę pomaga ustabilizować oś ziemską, utrzymać ją pod nieznacznym kątem w stosunku do Słońca. Bez Księżyca Ziemia chwiałyby się bardziej, co prowadziłoby do ekstremalnych wahań temperatury i pogody, a to z kolei uniemożliwiłoby powstanie złożonych form życia.

– Zatem bez Księżyca nie byłoby nas tutaj – wtrąciła Seichan. – Ale jednocześnie jego doskonała symetria i istnienie zaprzeczają racjonalności. To właśnie próbujesz nam powiedzieć?

Roland wzruszył ramionami, jakby zachęcając ich do własnych wniosków.

– Może dlatego Neil Armstrong zaangażował się w to wszystko. Może przebywając na powierzchni Księżyca, doświadczył czegoś, co skłoniło go do podążenia tym tropem.

Gray zmarszczył czoło, patrząc na pełny Księżyc w obramowaniu iluminatora.

– NASA ma dwie brakujące minuty – mruknął.

Wszyscy popatrzyli na niego.

– Jakie dwie minuty? – spytała Seichan.

Godzina 21.07

Gray nie wiedział, ile wagi przypisywać rewelacjom Rolanda. Mimo wszystko zagadkowy udział Neila Armstronga w ekspedycji archeologicznej w Andach przypomniawszy mu o jeszcze jednej tajemnicy związanej z misją Apollo 11.

– Usłyszałem pewną historię od znajomego kolegi, astrofizyka, który pracował w NASA – wyjaśnił. – Podczas telewizyjnej relacji z lądowania na Księżycu dwie kamery przypuszczalnie się przegrzały, co spowodowało dwuminutową ciszę radiową. Potem, według pewnych źródeł, NASA ukrywała coś, co Armstrong i jego

towarzysze zobaczyli podczas lądowania. Zostało to później potwierdzone przez emerytowanego inżyniera zatrudnionego w dziale komunikacji NASA, który przyznał, że ta awaria została celowo zainscenizowana, by zataić to, co znaleziono na powierzchni Księżyca.

– Co? – spytała Lena. – Istoty pozaziemskie?

– To jedna z wielu teorii. – odparł Gray i zwrócił się do Rolanda: – Ale niektórzy twierdzą, że ukrywano jakąś tajemnicę związaną z samym Księżycem.

– Może mieli rację – przyznał ksiądz. – Ojciec Kircher żywił niewątpliwie przekonanie, że Księżyc ma w sobie coś cudownego. Poświęcił temu całe stronicę swojego dziennika.

– Czego się jeszcze dowiedział? – spytał Gray.

Roland wziął do ręki dzieło siedemnastowiecznego jezuitę.

– Większość jego ustaleń skupia się na dziwnych symetriach między Ziemią a Księżycem. Czy potraficie na przykład odgadnąć, ile razy Księżyc obraca się wokół Ziemi w ciągu dziesięciu tysięcy dni?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć.

– Trzysta sześćdziesiąt sześć razy – wyjaśnił. – A liczba ta jest niezwykle ważna pod wieloma innymi względami. Możecie uznać ją za niemal fundamentalny kod w przypadku naszej planety. I jest to wiadome znacznie dłużej, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić.

– Od kiedy? – spytał Gray.

– Pamiętasz ten kij, który widzieliśmy przy kościach Ewy? – Ksiądz wyciągnął telefon, wyświetlił zdjęcie, które Lena zrobiła szczałkom, i pokazał kościste ręce ściskające długą rzeźbioną łaskę wyciętą z kła mamuta. – Kircher nazwał to de Costa Eve, czyli „żebrem Ewy”. I jeśli przyjrzycie się uważnie, pewnie dostrzeżecie małe stopnie skali wyryte na powierzchni.

Powiększył zdjęcie i zaczął im po kolei pokazywać.

– O co konkretnie chodzi? – spytał Gray.

– Jest tak oznakowane, ponieważ to pradawne narzędzie miernicze.

– I co miało mierzyć? – zainteresowała się Seichan.

– Wszystko. To może być klucz do naszego świata.

Komandor popatrzył na niego zniecierpliwiony, ale Roland nie dał się zniechęcić.

– W tamtej kaplicy we Włoszech zmierzyłem długość laski – powiedział. – Ma osiemdziesiąt trzy centymetry.

Gray wzruszył ramionami.

– Niewiele mniej od metra albo jardu.

– Zgadza się, ale...

– O mój Boże! – przerwała mu nagle Lena, skupiając na sobie ich uwagę. – Ta długość! Wiem, do czego zmierzasz. To nie jest zwykła miarka, jakiej używamy w dzisiejszych czasach. To przymiar megalityczny.

Roland skinął głową.

– Właśnie. Natknąłem się na to samo określenie, kiedy studiowałem źródła w związku z twierdzeniami Kirchera.

– Co to jest przymiar megalityczny? – Gray spoglądał to na księdza, to na Lenę.

– Pewien szkocki inżynier w latach trzydziestych... – zaczęła podekscytowana Lena. – Nie pamiętam, jak się nazywał...

– Alexander Thom – podsunął Roland.

Skinęła głową.

– Badał megalityczne ruiny w całej Szkocji i Anglii i zauważył, że prehistoryczni budowniczowie układali swe olbrzymie kamienne bloki wzdłuż linii lunarnych albo solarnych. Co ciekawe, dokonał analizy statystycznej pradawnych stanowisk neolitycznych zarówno w Zjednoczonym Królestwie, jak i we Francji, i dostrzegł dziwną anomalię. Zasadniczo wszystkie zostały wzniesione przy użyciu standardowej jednostki miary.

– Przymiaru megalitycznego – wyjaśnił Roland. – Jest tej samej długości co laska trzymana przez Ewę. Ta długość pojawiała się raz za razem w różnych kulturach. Stara hiszpańska vara, japońskie shaku, gaz stosowany w cywilizacji harrapańskiej doliny Indusu...

wszystkie są zbliżone pod względem długości do przymiaru megalitycznego. Nawet w przypadku minojskiej Krety. Tysiąc minojskich stóp to trzysta sześćdziesiąt sześć megalitycznych przymiarów.

– Znowu ta liczba – mruknął Gray.

– I jeśli dobrze pamiętam, obszar w obrębie piaskowcowego kręgu Stonehenge to dokładnie tysiąc megalitycznych przymiarów kwadratowych – dodała Lena.

Seichan obróciła się do niej.

– Skąd wiesz tak dużo o tym wszystkim? – spytała, zastanawiając się pewnie, jak specjalistka od genetyki posiadała równie rozległą wiedzę.

– Razem z Marią studiowałam tego rodzaju przymiary, wskazujące na globalny zasięg wiedzy w okresie paleolitu. Wszystko to wiąże się z naszą hipotezą, że istniała niewielka grupa ludzi, która przyczyniła się do Wielkiego Skoku wytyczającego ścieżkę ku współczesnej cywilizacji.

– Jak Czuwający, o których wspomniał Roland – zauważył Gray. – Ci nieziemscy nauczyciele ze starodawnej świętej księgi.

Seichan się skrzywiła.

– Twierdzisz więc, że ówczesne społeczeństwa posługiwały się jakąś uniwersalną jednostką miary rozpowszechnioną przez tych Czuwających.

Gray wpatrywał się w kości Ewy na ekranie telefonu. Przyglądał się z uwagą wyjątkowym rysom świadczącym o tym, że była hybrydą między wczesnym człowiekiem a neandertalczykami.

Czy patrzę w oblicze jednego z Czuwających?

W końcu skupił uwagę na pozostałych.

– Ale co jest takiego istotnego w tej długości? – zapytał. – Dlaczego ma stanowić klucz do świata?

Lena podjęła się próby wyjaśnienia.

– Ponieważ przymiar megalityczny został skalkulowany na podstawie wymiarów naszej planety... zwłaszcza obwodu Ziemi.



– Nawet ojciec Kircher to sobie uświadomił. – Roland otworzył dziennik na stronie z obliczeniami wokół ilustracji globu ziemskiego. – Możecie tu zobaczyć, jak duchowny podzielił obwód Ziemi na trzysta sześćdziesiąt sześć stopni, a te z kolei podzielił na sześćdziesiąt minut, te zaś na sześćdziesiąt sekund.

Postukał palcem w ostatnią liczbę.

## 36.6 Costa Eve

– Znowu ta sama sekwencja... trzysta sześćdziesiąt sześć – zauważył Gray.

Seichan też popatrzyła na stronę.

– Ale jak ci prehistoryczni ludzie poznali obwód Ziemi i obliczyli coś takiego?

– Najprawdopodobniej pośrednio. Można do tego dojść za pomocą sznurka, kamyka i kijka. – Przeszedł do następnej strony w dzienniku, przedstawiającej toporne wahadło. – Ojciec Kircher jako punktem odniesienia posłużył się w tym przypadku planetą Wenus.

– Roland może mieć rację – rzuciła Lena. – Wiemy już, że starożytni budowniczości znali ruch gwiazd, a wiele wczesnych kultur czciło planetę Wenus. Weźcie na przykład odkryte w Irlandii neolityczne ruiny Newgrange. Twórcy tego obiektu umieścili drzwi w miejscu umożliwiającym w czasie przesilenia zimowego przenikanie do wnętrza światła słonecznego.

Gray rozsiadł się wygodnie.

– Więc uważacie, że ktoś skalkulował tę megalityczną długość na podstawie obwodu Ziemi i potem przekazał ją innym jako uniwersalną jednostkę miary.

– Tak właśnie sądził ojciec Kircher – przyznał Roland. – Zorientował się, że te kości są pradawne, że w ich budowie jest coś nie do końca ludzkiego i że artefakty znalezione w pobliżu... łaska z kła mamuta, doskonale wyrzeźbiony Księżyc... dowodzą zaawansowanej wiedzy astronomicznej.

– I kiedy już doszedł do takiego wniosku, starał się w tajemnicy dowiedzieć czegoś więcej o tych ludziach – powiedział Gray.

Książd skinął głową.

– Jednakże jako człowiek pobożny szukał także potwierdzenia w tekstach religijnych. Zaczął wierzyć, że również Biblia skrywa wskazówki dotyczące tych wyjątkowych liczb, o których właśnie rozmawialiśmy.

– Co masz na myśli? – spytał nieustępliwie Gray.

Godzina 21.09

Roland z trudem przełknął ślinę, niemal lękając się ujawnić ostateczną prawdę, którą odkrył w dzienniku Kirchera. Przypuszczał, że jezuita przeżywał jeszcze większe rozterki.

– Znacie określenie „gematria”? – spytał w końcu. Wszyscy pokręcili przecząco głowami. – To babiloński system numerologii, przejęty przez Hebrajczyków, w którym każdej literze przypisana jest jakaś liczba, co, na podstawie owych liczb, nadaje słowom dodatkowy sens. Stał się on podstawą średniowiecznego kabalistycznego systemu objaśniania świętych pism. Później również chrześcijanie przejęli tę mistyczną metodę interpretowania Biblii. A ponieważ ojciec Kircher był matematykiem, taka numerologia go zainteresowała. Jak wynika z zawartych w jego dzienniku zapisków, fascynował się jedną konkretną liczbą i jej związkiem z Pismem Świętym.

– Jaką liczbą?

– Liczbą pierwszą trzydzieści siedem. – Powrócił do strony przedstawiającej długość „zebra Ewy” powiązaną z obwodem planety. – Z początku myślałem, że ojciec Kircher po prostu zaokrąglił tę liczbę: trzydzieści sześć, przecinek sześć do trzydziestu siedmiu. Ale odnosi się też do tego, co Lena i ja zobaczyliśmy nad grobem Adama w Chorwacji.

Zaczął przewijać obrazy na ekranie swojego telefonu, aż doszedł do wizerunków dłoni odcisniętych nad grobem neandertalskiego mężczyzny.



– Jeśli policzycie te odciski, otrzymacie liczbę trzydzieści siedem.  
– Roland zwrócił się do Leny: – Zrobiłaś też zdjęcie podobnego petroglifu w kształcie gwiazdy nad grobem Ewy, lecz w nim tych dłoni było znacznie więcej. Nie mam tego zdjęcia, ale czy mogłabyś policzyć odciski, które tworzą gwiazdę Ewy?

Marszcząc czoło, Lena wyjęła komórkę i odszukała właściwą fotografię.



Policzyła odciski dłoni i podniosła wzrok.

– Jest ich siedemdziesiąt trzy.

Roland skinął głową.

– Ojciec Kircher odnotował to samo w swoim dzienniku.

– Liczby trzydzieści siedem i siedemdziesiąt trzy – odezwał się Gray. – To liczby pierwsze stanowiące swoje zwierciadlane odbicie.

– Kircher nazwał to stella numeros... lub liczbami gwiazdnymi, z powodu wzoru, który tworzą. – Ksiądz przewertował fragment dziennika. – Posłużył się także gematrią, żeby rozwikłać ukryte przesłania w Biblii, i doszedł do wniosku, że liczba trzydzieści siedem jest fundamentalna dla zrozumienia Pisma Świętego.

– Dlaczego? – spytał komandor.

– Kilka przykładów. Słowo „wiara” występuje w Ewangeliach trzydzieści siedem razy. Jeśli zamienicie hebrajskie słowo oznaczające mądrość, chokmah, na jego kabalistyczny odpowiednik, otrzymacie numeryczną wartość trzydzieści siedem. – Roland spojrzał na Lenę. – Badasz korzenie ludzkiej inteligencji. A jedynym słowem w Biblii, które odpowiada trzydziestemu siedmiu, to chokmah.

Na jej twarzy pojawiło się zamyślenie.

– Mądrość – rzuciła.

– Ojciec Kircher wymienia wiele innych tego rodzaju biblijnych powiązań z liczbą trzydzieści siedem, ale najbardziej przykuwa uwagę pierwszy wers Pisma Świętego z Księgi Rodzaju. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”.

Roland pokazał stronę dziennika z tym samym wersem napisanym po hebrajsku, pod którym Kircher nakreślił numerologiczny odpowiednik dla każdego słowa.

בראשית ברא אלהים את השמים ואת הארץ  
296 407 395 401 86 203 913

– Jeśli dodacie do siebie te kabalistyczne liczby, otrzymacie dwa tysiące siedemset jeden – powiedział.

Gray zmarszczył czoło.

– Jakie jest tego znaczenie? – spytał.

Ksiądz przeszedł do następnej strony i pokazał obliczenia autora.

$$2701 = 37 \times 73$$

Gray przysunął się bliżej.

– To te same zwierciadlane liczby pierwsze pomnożone przez siebie – zauważył.

– Gwiazdne liczby ojca Kirchera. – Roland skinął głową. – Takie odkrycie wykracza poza statystyczny przypadek, zwłaszcza że Kircher przeanalizował to dogłębniej. Odkrył, że jeśli w tym samym werse przemnoży się wartość każdej litery przez liczbę liter, a potem podzieli się przez wartości słów, to otrzyma się inną liczbę, która zaprzecza racjonalnemu wyjaśnieniu.

Wręczył dziennik Grayowi, by ten mógł sprawdzić matematyczne obliczenia siedemnastowiecznego jezuitę i ostateczny wynik zakreślony u dołu kółkiem.

3.1415

– To liczba pi! – W głosie Graya pobrzmiwało zdumienie.

– Liczba dobrze znana w czasach ojca Kirchera.

Lena odchyliła się na oparcie fotela, jakby błędziła myślami gdzie indziej.

– Ja i siostra studiowałyśmy historię pi na potrzeby naszej dysertacji dotyczącej korzeni inteligencji... Posługiwaliśmy się nim jako wskaźnikiem ewolucji wiedzy. Najwcześniejsze przybliżone obliczenia pochodzą z czasów babilońskich.

Roland wziął od Graya dziennik.

– Okazuje się więc, że nie tylko te gwiazdne liczby są zaszyfrowane w pierwszym wersie Księgi Rodzaju, ale też wartość pi – powiedział.

Gray wyciągnął rękę i znów wziął książkę, po czym odszukał ilustrację Ziemi. Postukał w końcowe obliczenie u dołu: 36.6 Costa Eve.

– Jak wspomniałeś, to też można zaokrąglić do trzydziestu siedmiu. Liczba, która... jeśli masz rację... zdaje się łączyć Słońce, Księżyc i Ziemię z precyzją szwajcarskiego zegarmistrza.

Twarz Leny zrobiła się wyraźnie blada.

– Może chodzić nie tylko o gwiazdy.

Wszyscy obrócili się w jej stronę.

– Ta sama liczba jest zakodowana w naszych genach.

Godzina 21.12

Lena bała się poruszyć tę sprawę. Gdy tylko dowiedziała się o znaczeniu liczby 37, przypomniała sobie coś, co przeczytała w piśmie naukowym jeszcze w 2014 roku. Wtedy chciała potraktować treść tego artykułu jako statystyczną anomalię, ale teraz zaczęła się nad nim zastanawiać.

– O czym mówisz? – spytał Roland, przyglądając się jej uważnie.

Wlepiała wzrok w swoje dłonie.

– Niemal wszystko, co żyje na naszej planecie, posługuje się DNA jako materiałem kodującym, ale wewnątrz tego kodu znajduje się

jeszcze jeden kod, który nie ulega mutacji i zmianom. To złożony zbiór zasad decydujących o tym, jak DNA tworzy białko. Pewien biolog i pewien matematyk, pracujący razem, odkryli ostatnio serię doskonałych symetrii zawartych w tym kodzie. Wzór oparty w całości na wielokrotnościach pojedynczej liczby pierwszej.

– Niech zgadnę! – zawołał Gray. – Trzydzieści siedem?

Skinęła głową.

– Pamiętam przykład wymieniony w tym artykule: masa atomowa każdego z dwudziestu aminokwasów, które tworzą nasze ciało, stanowi wielokrotność trzydziestu siedmiu. Obliczono, że szansa przypadkowego wystąpienia takiego wzoru wynosi jeden do jedynki z trzydziestoma trzema zerami.

– Innymi słowy jest niewielka – skomentowała Seichan.

Roland zmarszczył czoło.

– Nie trzeba patrzeć w kategoriach tak mikroskopijnych, by dostrzec związek z naszą biologią. Wystarczy wziąć pod uwagę prawidłową temperaturę ludzkiego ciała. – Popatrzył na nich. – To trzydzieści siedem stopni Celsjusza.

W kabinie odrzutowca zapanowało milczenie.

– Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, to ta liczba określa wszystko – odezwał się Gray przyciszonym głosem. – Wiąże nasze DNA i nasze ciała z każdym ruchem Słońca, Księżycy i Ziemi.

– Ale co to oznacza? – spytała Seichan.

Ksiądz pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że wie tyle, co pozostali.

– Jeśli istnieją jakiegokolwiek odpowiedzi, to znajdziemy je tutaj – oznajmił.

Znowu skupił uwagę na dzienniku Kirchera, powracając do ilustracji, którą pokazał im wcześniej. Był to fragment Ameryki Południowej z labiryntem nakreślonym na powierzchni podziemnego jeziora. To tu, jak wierzył Kircher, ukryta była Atlantyda. Lena przypomniała sobie dzieje tego regionu, wzmianki o zaginionym mieście, pogrzebanym pod tymi górami, miejscu

pełnym niewiarygodnych skarbów, gdzie w starożytnych bibliotekach zgromadzono księgi z metalu i kryształu.

Czy takie miejsce może istnieć naprawdę?

Seichan, jakby czytała w jej myślach, spytała:

– Jak możesz być tego wszystkiego taki pewien?

Ksiądz wskazał dziennik.

– Spójrzcie, dokąd zmierzamy. Popatrzcie na szerokość geograficzną zaznaczoną na tej mapie.



Gray nachylił się nad książką.

– Trzy, sześćdziesiąt sześć – odczytał głośno współrzędne.

– Ktoś chce się upierać, że to tylko przypadek? – Roland się uśmiechnął.

W głośniku odezwał się pilot:

– Zapnijcie pasy. Zaczynamy podchodzić do lądowania w Cuenca.

Lena spojrzała przez iluminator. Zobaczyła ciemny las ginący pośród skupiska jasno oświetlonych domów, potem skierowała uwagę na rozległą dżunglę i ostre szczyty w dali. Gdzieś tam czekało być może największe odkrycie w dziejach ludzkości.

Wiedząc jednak, ile przelanej krwi ich tu sprowadziło, i przypominając sobie, że Maria wciąż jest w niebezpieczeństwie, pragnęła jednocześnie, by samolot położył się na skrzydło i zawrócił.



Popatrzyła na Księżyc, na tę tajemnicę zawieszoną na nocnym niebie. Pomijając wszelkie rozważania dotyczące obliczeń, pamiętała to, co na samym początku powiedział Roland: że podczas całkowitego zaćmienia tarcza Księżyca idealnie zakrywa Słońce. Była to przecząca zdrowemu rozsądkowi symetria ruchów orbitalnych i rozmiarów ciał niebieskich. A jednak trwał tam od tysiącleci, dowodząc tego cudu każdemu, kto miał odwagę spojrzeć i zastanowić się.

Przypomniała sobie też komentarz Graya o tym, jak to wszystko – Słońce, Księżyc i Ziemia – wydaje się stworzone przez szwajcarskiego zegarmistrza.

Nagle w jej umyśle pojawiło się przerażające pytanie.

Jeśli to prawda, to kto jest tym zegarmistrzem?

Odrzutowiec zadrżał, schodząc do lądowania.

Może niedługo się dowiemy.

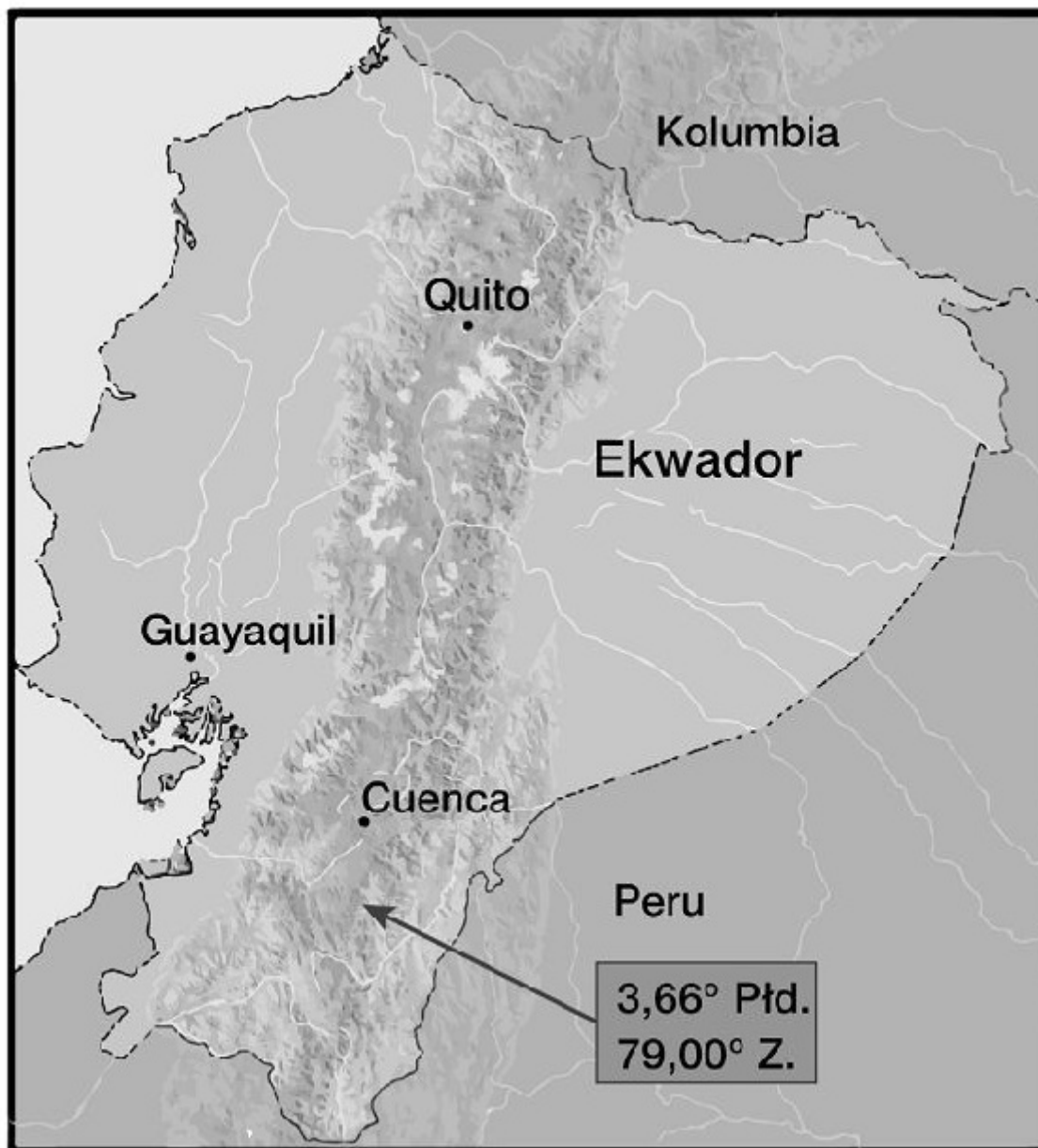
Godzina 22.03

W zacienionym hangarze, który sąsiadował z głównym lotniskiem w Cuenca, Shu Wei wbiła sztylet tuż pod uchem kulącego się mężczyzny i szarpnęła ostrzem ku górze. Jego usta otworzyły się do krzyku, ale nim zdążył wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, zawładnęła nim śmierć. Ciało osunęło się bezwładnie do tyłu, ześlizgując się z noża, i runęło na betonowe podłoże.

Odwróciła się, ocierając szmatą krew z ostrza. Uzyskała od tego człowieka informacje, jakich potrzebowała. Jej cele odleciały przed czterdziestoma pięcioma minutami wynajętym helikopterem, kierując się w stronę dżungli. Grupa, której towarzyszył jedynie pilot, udała się w odludne miejsce głęboko w górach, gdzie miała się spotkać z dwoma lokalnymi przewodnikami z plemienia Shuar.

Wyjęła z kieszeni kurtki iPoda. Znalazła go w zadymionym gabinecie uniwersyteckim w Rzymie. Należał do ojca Rolanda

Novaka. W trakcie lotu specjaliści od urządzeń cyfrowych sprawdzili zawartość dysku. Większość informacji dotyczyła pewnego księdza, Atanazego Kirchera, a także jego ogromnego dzieła. Wydawało się, że nie ma to wszystko związku z tym polowaniem, oprócz jednej rzeczy, którą obejrzała na samym początku. Ponownie to wyświetliła.



Była to mapa Ekwadoru z zaznaczonym na niej konkretnym miejscem.

Wynajęty helikopter ze ściganymi leciał w tamte okolice.

Zmarszczyła czoło, załując, że tamci nie zaczekali do rana z wyruszeniem na poszukiwania w dżungli. Miała nadzieję rozprawić się z nimi tutaj, w Cuenca, zaskoczyć ich w trakcie snu.

Mimo wszystko przygotowała się na tę ewentualność.

Podeszła do dziesięciu mężczyzn stojących w pobliżu drzwi hangaru. Sama wybrała każdego z nich. Wszyscy należeli do Sił Specjalnych Wojskowego Okręgu Chengdu i wchodzili w skład jej oddziału o kryptonimie Gu. Zyskali to miano – Sokół – dzięki swej umiejętności tropienia i eliminowania celów z bezwzględnością prawdziwego ptaka drapieżnego.

Nie okryję dziś w nocy tej nazwy hańbą, obiecała sobie.

Podszedł do niej zastępca – sierżant Kwan, wyższy od niej o głowę, z mocno umięśnionymi rękami i nogami i ciemnymi włosami zebranymi w mały kucyk. Wielu zwało go Czarnowronem w związku z zamiłowaniem do odbierania trofeów tym, których zabił: pierścionków, obrączek ślubnych, kosmyków włosów, nawet kapci. Kiedyś spytała go o to dziwactwo. Nie chodziło o gloryfikację mordów, wyjaśnił, tylko o pewną miarę honoru, uszanowanie życia tych, których zabił.

Z czasem nauczyła się mu ufać, bardziej niż komukolwiek innemu. On z kolei nigdy nie okazał urazy z powodu jej stanowiska, wieku czy płci, co było rzadką i cenioną postawą.

– Helikopter jest zatankowany – zameldował głosem zwodniczo miękkim i spokojnym jak na kogoś o takim kamiennym obliczu. – Silniki się grzeją.

Skinęła głową, spoglądając ponad lotniskiem w stronę ciemnych gór.

Więc czas zacząć polowanie.

Pekin

1 maja, godzina 11.04 czasu miejscowego

W porządku, dziecinko. W porządku.

Maria trzymała Baako mocno za rękę. Ponieważ nadgarstek miał unieruchomiony więzami, mogła tylko ścisnąć mu palce. Jego skóra była rozogniona jak podczas gorączki. Choć oczy szklily mu się z powodu lekkiego środka uspokajającego, wciąż patrzył na nią błagalnym wzrokiem, próbując zrozumieć, co się z nim dzieje i dlaczego pozwala mu to robić. Z kącików oczu spływały łzy. Nie mógł poruszyć głową, która była unieruchomiona za pomocą stalowej obręczy.

Jedna z pielęgniarek przesuwiała po jego czaszce golarką elektryczną.

Upłynęło niemal półtorej godziny od chwili, kiedy Maria znalazła się wraz z Baako w laboratorium wiwisekcyjnym. Przygotowania przed operacją ciągnęły się w nieskończoność, obejmując między innymi dokładne badania fizyczne, wielokrotną analizę krwi, nawet rezonans magnetyczny. W trakcie trwania tej procedury generał Lau wyszła w końcu wraz z Arnaudem, który miał się zająć badaniem skradzionych w Chorwacji kości neandertalczyka.

Chwilę wcześniej pojawił się technik laboratoryjny z wynikami nakłucia lędźwiowego. Główny chirurg, doktor Han, przejrzał je. Najwidoczniej wszystko było w porządku, ponieważ nakazał kontynuowanie przygotowań do operacji.

Podczas gdy pielęgniarki wciąż krząły się przy pacjencie, chirurg czekał ze strzykawką z lidokainą, gotów zastosować natychmiast miejscowe znieczulenie. Pozostali członkowie zespołu operacyjnego zaczęli otwierać pojemniki z narzędziami.

Baako fuknął na nią ochryple.

– Wiem, że się boisz – wyszeptała do niego.

Pochyliła się i pocałowała koniuszki jego palców. Puściła na chwilę jego dłoń, by skrzyżować pięści i przycisnąć je do piersi.

Kocham cię.

Znowu wzięła go za rękę – w tym momencie jedna z pielęgniarek wypróbowała trzymany w ręce sprzęt. Maria skuliła się, słysząc rozdzierający warkot piły do kości. Baako zareagował gwałtowniej. Wygiął się w więzach, próbując dostrzec źródło tego dźwięku i uciec przed nim. Przerażony, zacisnął dłoń na palcach Marii, omal ich nie łamiąc.

Ona jednak trwała przy nim.

– Jestem tu, Baako. Spójrz na mnie.

Jego pełne paniki oczy zerkwały dziko na wszystkie strony, ale w końcu skupił na niej spojrzenie.

– O, tak. Nie opuszczę cię.

Na jego policzkach pojawiło się jeszcze więcej łez. Zakwilił cicho, a ten odgłos rozdarł jej serce.

Starła się za wszelką cenę go pocieszyć, myśląc rozpaczliwie o tym, jak go uwolnić. Zdawała sobie jednak sprawę z daremności takich nadziei. Laboratorium pilnowali na zewnątrz strażnicy. Poza tym, kiedy Baako był poddawany badaniu rezonansem magnetycznym, Maria poszła sprawdzić, co dzieje się z Kowalskim, którego życie zależało od jej współpracy. Wciąż siedział w klatce na najniższym poziomie kompleksu. Tyle że nie był już sam. Przed drzwiami jego więzienia przycupnął ten wielki osobnik o srebrzystym grzbiecie. Inne hybrydowe bestie czaiły się za plecami swego przywódcy.

Wiedząc, jaki los czeka Kowalskiego, jeśli ona odmówi współpracy, nie miała innego wyboru, jak tylko okazywać posłuszeństwo i robić wszystko, czego się po niej oczekuje.

Co innego mogę uczynić?

Patrzyła w oczy Baako, przekazując mu całą swoją miłość, starając się dodawać mu odwagi. Wiedziała jednak, że jego zmysły są o wiele bardziej wyostrzone, a studnia empatii jest równie głęboka jak w przypadku człowieka. W jego przepełnionym bólem spojrzeniu dostrzegła pragnienie skomunikowania się z nią, lecz mając unieruchomione ręce, był prawie niemy. Choć potrafił przeliterować parę słów na palcach, nie mógł wyrazić prawdziwej głębi swego strachu i zagubienia, co tylko potęgowało jego udrękę.

Palce Baako coraz mocniej gniotły jej dłoń. Zacisnął wargi i przestał kwilić, by zaczerpnąć oddechu, potem znowu zaczął wydawać z siebie ten jęk – tym razem jednak ułożył się on w dwie sylaby.

– Ma... ma.

Maria z trudem przełknęła ślinę i poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Nawet ludzie z zespołu chirurgicznego to usłyszeli. W stronę pacjenta leżącego na stole obróciły się twarze. Zewsząd dobiegły szepty zdumienia. Choć goryle nie posiadają narządów umożliwiających normalną mowę, Baako najwidoczniej odznaczał się zdolnością naśladowania dobrze znanych dźwięków, które wyrwały się w jego sercu.

– Mama – powtórzył, wlepiając w Marię wzrok.

Nie mogła już dłużej się powstrzymać. Osunęła się na kolana i przywarła policzkiem do palców Baako. Wstrząsał nią szloch dobywający się z głębi duszy.

Niech nam ktoś pomoże.

– Te poszukiwania mogą zająć cały dzień, jeśli nie tydzień – zauważył Monk.

Stał na progu Dǎxiǐ Chéng – pekińskiego podziemnego miasta – i przyglądał się łukowatemu pasażowi, który biegł od podnóża schodów. Tunel był pomalowany na szpitalną biel, poznaczoną zielonymi smugami pleśni. Podłoga kryła się pod powierzchnią głębokiej do kostek czarnej wody. Cieszył się, że ma na ustach i nosie papierową maskę; potrafił sobie wyobrazić, jakie patogeny unoszą się w tym klaustrofobicznym miejscu. Nawet mając twarz zasłoniętą, wyczuwał w powietrzu smród alg, grzybów i zgnilizny.

Kimberly oddała mu telefon.

– Wątpię, czy pomoże nam to znaleźć właściwą drogę.

Na ekranie komórki pojawił się nieregularny plan tego podziemnego labiryntu – mapa dostarczona im przez Kat, która opracowała schematyczny plan tych osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych, oparty na informacjach dostarczonych przez jej źródła w chińskim wywiadzie. Dǎxiǐ Chéng wykopano jednak pół wieku wcześniej, z czasem zaś zostało ono poszatkwane i pokawałkowane przez rozrastającą się sieć pekińskiego metra.

Kat przyznała ostatecznie, że „ta mapa to w najlepszym razie twór naszych domysłów”.

Co gorsza, jej źródła nie znalazły żadnych dowodów na to, że podziemne miasto sięga pekińskiego zoo, które leżało w odległości mniej więcej półtora kilometra od zamkniętej knajpki.

Monk zebrał ludzi z oddziału Painterera właśnie w tej knajpce. Było to pierwsze miejsce, w którym ponownie pojawił się sygnał GPS-u. Włamali się do opuszczonej restauracji przez tylne okno i po krótkich poszukiwaniach odkryli w piwnicy schody prowadzące do podziemnego miasta. Według Kimberly to wejście do rozległego labiryntu było jednym z setki innych.

Stalowe drzwi u dołu schodów wyglądały na nowe; nie ulegało wątpliwości, że zamontowano je niedawno. Były zamykane

elektronicznie, ale wystarczył jeden ruch karty magnetycznej odebranej żołnierzowi, żeby je bez trudu otworzyć.

Okazało się, że schwytanie Gao Suna zapewniło im źródło dodatkowych informacji. Dzięki swoim kontaktom Kat zdołała ustalić, jak nazywa się jego brat: Chang Sun. Człowiek ten był podpułkownikiem w Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, absolwentem Akademii Nauki Wojskowej. Jego bezpośrednia przełożona, generał dywizji Jiaying Lau, ukończyła tę samą uczelnię. Kat przesłała zdjęcie kobiety stojącej sztywno w zielonym mundurze. To ona była zapewne powodem narzekań i gniewu okazywanych przez Gao podczas jego rozmowy telefonicznej z bratem.

Znamy prawdopodobnie głównych graczy, ale jak mamy znaleźć tych drani? – zastanawiał się Monk.

Jego uwagę zwrócił plusk wody. Z ciemności wyłonił się jeden z członków oddziału. Monk wysłał czterech komandosów z poleceniem zbadania najbliższego terenu. Piąty przebywał w mieszkaniu Gao, pilnując tego dodatkowego ubezpieczenia.

– Czysto – zameldował tamten. – Ale powinien pan zobaczyć coś, co znaleźliśmy.

Pięciu ludzi wybranych do tej misji przez Paintera było amerykańskimi rangersami chińskiego pochodzenia, dzięki czemu mogli bez trudu wtopić się w tłum. By jeszcze bardziej zamaskować ich obecność na obcej ziemi, wszyscy, nie wyłączając Monka i Kimberly, zostali wyposażeni w mundury chińskiej armii.

Kiedy wejdiesz między wrony...

– Pokaż mi – powiedział Monk.

Żołnierz – krępy sierżant John Chin – poprowadził ich zalany tunelem, przechodząc obok pomieszczeń pełnych zardzewiałych rowerów i mebli pokrytych warstwą pleśni. Wąski pasaż wznosił się łagodnie; wkrótce znaleźli się na suchym podłożu. Wszechobecny mrok zniknął, kiedy z przodu pojawiło się światło.



Monk przyłączył się niebawem do pozostałych rangersów: dwóch braci o stalowych oczach – Henry’ego i Michaela Shaw – i niższego komandosa, znanego po prostu jako Kong. Monk nie wiedział, czy to nazwisko, czy ksywa, której źródłem był wzrost tego człowieka.

Kimberly westchnęła cicho, zaskoczona tym, co znajdowało się na końcu wąskiego pasażu. Przechodził w ogromny tunel, dostatecznie duży, by mógł się w nim pomieścić czołg. Ściany i łukowate sklepienie pomalowane były na nieskazitelną szarość i oświetlone szeregiem lamp sodowych u góry. Tunel ciągnął się w obu kierunkach, na północ i południe, i ginął za widocznymi w dali zakrętami.

– Myślę, że to właściwa droga – powiedział Monk. – I na szczęście dla nas Gao zostawił nam środek transportu.

Przy wjeździe do mniejszego tunelu stał wojskowy jeep – półtonowy BJ2022 z napędem na cztery koła. Był pomalowany na zielono, a na przednich drzwiach widniała czerwona gwiazda, symbol chińskiej armii. Gao Sun musiał zaparkować pojazd w tym miejscu, nim wyszedł na powierzchnię i ruszył w drogę powrotną do domu.

Kimberly sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kluczyki zabrane więźniowi.

– Kto ma ochotę na przejażdżkę? – spytała z nieznacznym uśmiechem, który niebawem udzielił się wszystkim.

Wsiedli do jeepa, ona zajęła miejsce za kierownicą. Gdyby wpakowali się w kłopoty, jej ładna twarz i niewyparzony język stanowiłyby najpewniejszą gwarancję ominięcia jakichkolwiek posterunków.

Monk usiadł z tyłu, wciskając się między braci Shaw, żeby lepiej się zakamuflować. Opuścił czapkę na czoło i podciągnął maskę wyżej, choć wiedział, że zapewni mu to anonimowość tylko w wypadku pobieżnej kontroli.

Trudno.

Wychylił się i wskazał ku północy, w kierunku ogrodu zoologicznego.

– Ruszaj. Przekonajmy się, dokąd zaprowadzi nas ta droga.  
Silnik ożył z warkotem, który odbił się echem od ścian tunelu.  
Monk odchylił się na oparcie siedzenia.  
I miejmy nadzieję, że nie jest za późno.

Godzina 11.14

Baako czuje wybuch ognia na czubku swojej głowy.

Rzuca się w panice i bólu, ale ręce i nogi ma skrępowane. Nie może poruszyć głową. Może tylko przewracać oczami, próbując widzieć. Patrzył, jak ten wysoki człowiek pochyła się nad nim z igłą w ręce.

Baako zna igły. Mama czasem go kłuła i dawała potem smakołyki: banany oblane miodem.

Ale to boli bardziej... o wiele bardziej.

Kieruje teraz wzrok na mamę. Ona trzyma Baako za rękę. Mówi cicho, a jej policzki są mokre. Wyczuwa jej strach. Ta woń przenika ostrzejsze zapachy i dociera do niego, podsycając jego przerażenie.

Mamo, niech się to skończy. Będę dobrym chłopcem.

Ale to się nie kończy. Igła kłuje go co chwila w głowę, za każdym razem pozostawiając po sobie rozlewisko ognia.

W końcu ten człowiek odchodzi.

Mama przysuwa się bliżej.

– Wszystko w porządku – mówi mu.

Musi jej wierzyć; przełyka bezustannie ślinę i nie potrafi stłumić łupania w uszach. Potem ogień na jego głowie przygasa, pozostawiając po sobie chłód, który sprawia, że jego skóra wydaje się martwa i gruba.

To też mu się nie podoba.

– Jesteś moim chłopcem – mówi mama. – Moim dzielnym chłopcem.

Wypowiada te dobre słowa, lecz jej oczy płaczą. Muska jego czoło, ale zimno przenika nawet tam. Baako ledwie wyczuwa dotyk jej palców.

– Śpij teraz, mój mały chłopcze – mówi do niego szeptem, jak robiła to tyle razy w domu. – Będę tu, kiedy się obudzisz.

Mama patrzy na wysokiego człowieka bawiącego się mleczną torbą, która łączy się z ręką Baako za pomocą plastikowej rurki. Baako czuje, jak wszystko staje się lżejsze, jakby się unosił. Przypomina sobie niebieski balon, którym pozwoliła mu się bawić mama. Na dworze sznurek wysunął mu się z dłoni i balon zaczął się wznosić ku niebu, coraz wyżej i wyżej.

On sam jest teraz tym balonem.

Twarcz mamy rozmazuje się i zanika.

Baako pohukuje, próbując jej powiedzieć, by została.

Mamo, nie odchodź.

A potem czerń.

Godzina 11.28

Kiedy ciało Baako opadło bezwładnie na stół, Maria puściła w końcu jego rękę. Odsunęła się i otuliła ramionami, drżąc od mrozącej krew w żyłach pewności. Widziała przerażenie i ból, gdy Baako otrzymywał znieczulenie. Ale przynajmniej teraz spał, uległszy krótkotrwałemu efektowi propofolu. Jego pierś unosiła się i opadała miarowo; sprawiał wrażenie spokojnego.

Wiedziała jednak, że ten moment ukojenia przeminie.

Zespół operacyjny, który składał się z dwóch chirurgów i trzech pielęgniarek, już okrywał jego ciało. Mieli utrzymać go w stanie uśpienia na tyle długo, by zdjąć skórę z głowy i dokonać

kraniotomii. Po otwarciu czaszki i odsłonięciu mózgu Baako miał się obudzić w ciągu kilku minut.

Wtedy zacznie się jego prawdziwy koszmar, pomyślała.

Nie mogąc przyglądać się tym ostatnim przygotowaniom, Maria zbliżyła się do wypukłego okna wychodzącego na hybrydowy habitat. Przycisnęła czoło do szyby i spojrzała w dół. Kowalski wciąż był uwięziony w klatce przy wejściu, podczas gdy poruszający się niezgrabnie mieszkańcy tej ogromnej jamy czekali cierpliwie pod wodzą swego potężnego przywódcy o srebrzystym grzbiecie.

Maria zastanawiała się, jak naukowcy kontrolują tak agresywne osobniki. Przyłożyła dłoń do szyby. Czy ta bariera była dostatecznie gruba, by powstrzymać ich przed wtargnięciem do laboratorium? Z pewnością potrafiliby wspiąć się po skalnych ścianach, żeby dotrzeć na wysokość tych okien.

Jej uwagę przyciągnął odgłos kroków. Jedna z pielęgniarek, młoda kobieta o jasnych oczach, która robiła sobie przerwę przed końcowym etapem operacji, stanęła obok niej, popijając wodę z lodem. Była to ta sama pielęgniarka, która wcześniej okazała Marii odrobinę współczucia. Teraz, odgadując zapewne jej myśli, skinęła głową w stronę okna.

– Nie mogą się tu dostać – powiedziała. Mówiła szeptem, ale nie dlatego, że bała się wyjawiać sekrety. Po prostu miała łagodny głos. Wskazała rząd dużych pojemników pod oknami. – Wysyłają fale na częstotliwości zakodowanej w obrożach tych zwierząt.

Maria zdążyła już zauważyć stalowe obręcze na szyjach hybrydycznych stworów.

– To obroże elektryczne?

– Tak. Sygnał tworzy tarczę ochronną wokół habitatu, tuż pod poziomem okien.

Maria skinęła głową. Gdyby bestie wspięły się zbyt wysoko i dotarły do niewidzialnej bariery, zostałyby porażone i ściągnięte z powrotem na dno dołu.

– A jeśli chodzi o dodatkowe zabezpieczenia... – Pielęgniarka wskazała w lewo, na oszkloną szafkę z karabinem na ładunki usypiające. Tuż obok, w wielkim oknie, widać było uchylną szybę. – Ale proszę się nie obawiać. Jak dotąd nigdy nie zaszła konieczność użycia tej broni. Nic pani nie grozi.

Maria nie zadawała sobie nawet trudu, by wskazać na ironię tych słów. Patrzyła uporczywie na Kowalskiego. Zauważył ją i podniósł rękę. Znowu przyłożyła dłoń do szyby, próbując go zapewnić, że robi wszystko, co w jej mocy, by i jemu zapewnić bezpieczeństwo.

Stojący za jej plecami doktor Han warknął rozkazująco; pielęgniarka drgnęła gwałtownie, skłoniła się pospiesznie Marii i natychmiast oddaliła. Maria odwróciła się i zobaczyła, że Baako jest już w pełni gotowy do zabiegu. Zespół operacyjny stał z boku, przygotowując się do zabiegu.

Ogarnął ją lodowaty strach.

A więc zaczyna się.

Godzina 11.35

– Nie wygląda to dobrze – odezwał się Monk z tylnego siedzenia.

Kiedy Kimberly pokonała długi zakręt, ich oczom ukazała się drewniana barykada zwieńczona zwojami drutu kolczastego, bramy zaś strzegła budka wartownicza. Dalej widać było niewielki plac, na którym stało kilka jeepów i motocykli.

– Co ty na to? – spytała Kimberly, podjeżdżając wolno do tej niespodziewanej przeszkody.

– Położenie tej barykady odpowiada południowej granicy zoo – odparł Monk. – Więc sądzę, że tam właśnie musimy się udać.

Podczas jazdy monitorował ich drogę za pomocą akcelerometru wbudowanego w telefon satelitarny, ale po pokonaniu pierwszych czterystu metrów ich ścieżka wykroczyła znacznie poza granice mapy dostarczonej przez Kat i zaczęła przecinać ziemię niczyją.

Napotkali mnóstwo mniejszych odnóg, a raz czy dwa nawet tunel większy od tego, w którym się znajdowali. Był to istny labirynt. Nie mogąc kierować się jakimikolwiek drogowskazami, podążali z grubsza w stronę zoo.

Wydawało im się, że tak należy zrobić.

Teraz jednak pojawiło się nowe wyzwanie.

Droga chroniona była przez rząd stalowych słupków sięgających do pasa. Z budki wyszedł im na spotkanie wartownik.

Nie okazując najmniejszego wahania, Kimberly skierowała wóz w stronę przejazdu. Gdy zahamowała przed słupkami, wartownik, wyraźnie znudzony, zbliżył się do jeepa od jej strony. Rozpoznał najwidoczniej pojazd, więc nie zdjął karabinu z ramienia.

Zapewne na tym podziemnym posterunku nie dzieje się zbyt wiele.

Mężczyzna dotarł do pojazdu i nachylił się do okna po stronie kierowcy.

Monk trzymał głowę nisko, udając, że drzemie – po prostu jeszcze jeden żołnierz zgłaszający się na służbę. Kimberly powiedziała coś zdecydowanym tonem do wartownika, odwracając się od niego jednocześnie, jakby chciała sięgnąć po dokumenty czy formularze rozkazów.

W tym momencie żołnierz wsunął głowę przez okno i przyjrzał się pozostałym pasażerom jeepa. Monk poczuł, jak jeden z braci Shaw sięga po broń.

Spokojnie, upomniał w myślach rangersa.

Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, Kimberly chwyciła wartownika za szyję. Zaskoczywszy go całkowicie, bez trudu wbiła mu w gardło igłę, faszeringując jego krwiobiegi dużą dawką środka usypiającego – dwutlenku węgla. Trzymała go w żelaznym uścisku przez chwilę, dopóki się nie upewniła, że stracił całkowicie przytomność.

Sierżant Chin skorzystał z okazji, wyskoczył z wozu i pobiegł do budki wartowniczej. Znalazł w środku panel sterowniczy, uderzył

pięścią w jeden z przycisków, a gdy słupki schowały się w jezdni, wrócił pospiesznie do jeepa, chwycił bezwładne ciało żołnierza i ukrył je w budce.

– Będzie nieprzytomny przez co najmniej godzinę – oznajmiła Kimberly, przejeżdżając na drugą stronę barykady. – Ale musimy działać szybciej. Nie upłynie dużo czasu, nim się zorientują, że ten posterunek jest niestrzeżony.

Chin biegł obok jeepa, zmierzając w stronę parkingu i wypatrując innych żołnierzy. Za parkingiem tunel kończył się podnoszoną bramą, dostatecznie wysoką, by mógł się w niej zmieścić piętrowy autobus. Tyłem do niej stała wywrotka, co wskazywało, że znajdowała się w tym miejscu rampa wyładowcza. Chin wspiął się do szoferki, potem zeskoczył i dał znak, że wszystko w porządku.

Kimberly zaparkowała jeepa i wszyscy wysiedli. Wskazała mniejsze drzwi na lewo od dużej bramy. Obok klamki jarzył się na niebiesko czytnik elektroniczny.

Wyciągnęła kartę magnetyczną Gao.

– Miejmy nadzieję, że tu też będzie działała.

– I módlmy się, by nie było tu dodatkowo biometrycznych czujników – szepnął Monk. – Czytników dłoni albo skanerów siatkówki.

Jego partnerka wzruszyła ramionami.

– Jeśli będzie trzeba, przywlecjemy tu tego wartownika. Posłużymy się jego dłonią lub okiem.

Prawda...

Monk podziwiał tę kobietę za jej zdolność błyskawicznego myślenia. Kat się nie myliła, wybierając właśnie ją. Kimberly podeszła do czytnika i przesunęła kartą po świecącej powierzchni.

Zamek ustąpił, wydając głośny metaliczny trzask.

– Dość proste – mruknęła.

Pociągnęła drzwi – i nagle stanęła twarzą w twarz z mężczyzną w niebieskim roboczym uniformie. Miał na czapce te same oznaczenia, jakie widniały na drzwiach wywrotki. Cofnął się zaskoczony,

mamrocząc przeprosiny. Przesunął spojrzeniem po grupie umundurowanych ludzi i odsunął się na bok, żeby ich przepuścić.

Kimberly skłoniła się nieznacznie, wyrażając mu podziękowanie, i ruszyła dalej. Monk trzymał się z tyłu, poprawiając okulary i modląc się, by ciemne szkła noszone w tym podziemnym świecie nie uruchomiły dzwonka alarmowego w głowie mężczyzny – ale okazało się, że to nie o niego powinien się martwić.

Chin podążył za Kimberly. Gdy tylko sierżant przekroczył próg, Monk zauważył zmianę na czytniku przy drzwiach, którego niebieska barwa przeszła w karmazynową.

Poczuł, jak zamiera w nim serce.

O cholera.

Syreny zamontowane nad drzwiami rozdarły się jak klakson, a dźwięk popłynął w dal.

Kimberly odwróciła się błyskawicznie, na jej twarzy malował się szok, ale też świadomość tego, co się stało. Drzwi musiały być zaopatrzone w czujnik reagujący na każdą osobę, która nie miała przy sobie karty magnetycznej.

Kierowca wywrotki próbował uciec, ale Chin rąbnął go pistoletem od tyłu, zwalając na ziemię jednym ciosem.

Kimberly pomachała na Monka, patrząc w górę.

– Wchodź do środka! Szybko!

Ciężkie wrota zaczęły już opadać. Bracia Shaw przeskoczyli przez próg. Monk ruszył ich śladem, turlając się, by zdążyć przed zniżającą się barierą. Ostatni z nich, Kong, rzucił się do przodu z zadziwiającą szybkością, skacząc szczupakiem i prześlizgując się pod dolną krawędzią bramy.

Niestety, zahaczył paskiem o próg, który go zatrzymał w połowie drogi.

Na jego twarzy pojawiła się panika.

Nie, tylko nie to.

Monk chwycił dolną krawędź bramy swoją protetyczną ręką i spiął się, słysząc zgrzyt trybów i wiedząc, że nie wytrzyma dłużej niż



krótką chwilę. Chin chwycił Konga za ręce i wciągał przez zwężającą się szczelinę, upadając jednocześnie do tyłu i wykorzystując ciężar ciała, by uratować mniejszego towarzysza. Metalowa bariera opadła z głośnym łoskotem tuż za piętami Konga, odgradzając ich od tunelu.

Gdy alarm rozbrzmiewał uparcie, Monk odrzucił okulary i popatrzył z ciężkim westchnieniem na Kimberly.

Proste.

Godzina 11.42

Maria wpatrywała się w żywy obraz, który miała przed oczami.

Wraz z pierwszym zawodzeniem syreny zespół chirurgiczny zastygł bez ruchu wokół stołu. Doktor Han stał z uniesionym skalpelem w ręce. Dokonał właśnie pierwszego nacięcia na ogolonej czaszce Baako.

Nie mogła oderwać wzroku od strużki krwi, która ściekała z siedmiocentymetrowej rany. Była niemal odrętwiała, ledwie uświadamiała sobie dźwięk alarmu. W końcu w jej głowie zaczęły się kłębić myśli; zadawała sobie pytanie, co się dzieje.

Wszyscy obrócili twarze w stronę wysokich drzwi na końcu laboratorium. Zaniepokojeni członkowie zespołu operacyjnego zaczęli wymieniać cichym głosem uwagi; nie wiedzieli najwyraźniej, czy mają kontynuować zabieg, czy nie.

Nim zdążyli cokolwiek ustalić, Maria podjęła za nich decyzję. Bardziej odruchowo niż świadomie zbliżyła się błyskawicznie do stołu, zdecydowana bronić Baako, nawet jeśli oznaczało to jedynie opóźnienie tego, co nieuchronne. Kopnęła doktora Hana od tyłu w nogi, zwalając go na posadzkę i wyrywając mu skalpel z palców. Potem chwyciła go za kołnierz fartucha, przyciągnęła do siebie i przystawiła mu ostrze do tętnicy szyjnej.

– Obudźcie Baako! – wrzasnęła na pozostałych.

Doktor Han, kiedy już otrząsnął się z pierwszego szoku, zaczął się szarpać. Dopiero gdy przebiła mu czubkiem skalpela skórę, raniąc go do krwi, znieruchomiał.

– Natychmiast! – ryknęła.

W końcu jedna z osób się poruszyła – pielęgniarka, która okazała jej wcześniej serce. Młoda kobieta zablokowała dopływ propofolu.

– Wyciągnij też cewnik – nakazała jej Maria i popatrzyła gniewnie na innych. – Uwolnijcie go!

Nikt nie drgnął, więc zacisnęła dłoń na fartuchu doktora Hana i wbiła mu ostrze jeszcze głębiej. Sapnął z bólu, a potem krzyknął na podwładnych, każąc im najwyraźniej wykonać polecenie. Podobnie jak Maria, uświadamiał sobie prawdopodobnie, że i tak nie da się nigdzie uciec z pacjentem, więc dlaczego nie współpracować?

Gdy wciąż trzymała ostrze przy szyi chirurga, z Baako zdjęto szybko prześcieradło operacyjne i uwolniono mu kończyny unieruchomione skórzanymi pasami.

– Zabandażujcie nacięcie – rozkazała drugiemu chirurgowi już nieco cichszym głosem; pierwsza fala adrenaliny zaczęła opadać i Maria zaczęła odczuwać zdenerwowanie.

Mimo wszystko lekarz usłuchał – założył na ranę opatrunek i zabezpieczył go gazą oraz plastrem. Nim skończył, syrena umilkła.

W ciszy, która zapadła, wszyscy popatrzyli na nią, czekając na instrukcje.

Maria spojrzała na nich, dręczona jednym pytaniem.

Co mam dalej robić?

Godzina 11.44

General Lau stała w samym oku cyklonu.

Usłyszawszy sygnał alarmu, postąpiła zgodnie z tym, co nakazywał protokół w razie naruszenia zasad bezpieczeństwa, i udała się prosto do centrum łączności. Przy stołach pod ścianą pełną

monitorów siedziało sześciu ludzi. Na największym ekranie jaśniała trójwymiarowa mapa czterech poziomów obiektu, obejmująca kilometry tuneli i dziesiątki hektarów laboratoriów badawczych, biura i magazyny, kwatery mieszkalne, a także niezliczone pomieszczenia i korytarze.

Do naruszenia systemu bezpieczeństwa doszło przy południowej bramie kompleksu, gdzie ośrodek graniczył z dawnym systemem schronów przeciwlotniczych i tunelami podziemnego miasta.

– Ilu jest intruzów? – zwróciła się do Chang Suna.

– Na razie nie wiadomo. – Podpułkownik trzymał przy uchu słuchawkę, odbierając meldunki od oddziałów zbliżających się do tego miejsca. Drugą ręką wskazał monitory. – Ściągamy nagrania z kamer znajdujących się w pobliżu tego miejsca.

Na ekranach pojawiły się obrazy przewijane od tyłu. W końcu jeden z techników podniósł rękę.

– Tam – powiedział Chang.

Jiaying stanęła obok podpułkownika, a gdy technik włączył nagranie pochodzące z kamery zainstalowanej przy rampie wyładunkowej, zobaczyła grupę ludzi, którzy weszli do środka i na samym progu obezwładnili jakiegoś pracownika.

Chang sięgnął ponad ramieniem technika, zatrzymał obraz, potem zrobił najazd na twarze; pojawiły się w niewyraźnym zbliżeniu.

– Sześcioro – oznajmił, odpowiadając wreszcie na pytanie. – Jedna kobieta, pięciu mężczyzn. Wszyscy w mundurach wojskowych.

Generał nachyliła się nad monitorem.

– To nasi ludzie?

Nie mogła wykluczyć, że Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego postanowiło sprawdzić stan zabezpieczeń ośrodka. Wyczuwała jednak, że to nie są ćwiczenia.

Chang potwierdził jej przypuszczenie, wskazując jedną z twarzy na powiększeniu. Mężczyzna zdjął okulary przeciwsłoneczne,

odsłaniając rysy mieszkańca Zachodu.

– To Amerykanie – oznajmił, patrząc na nią. – Jestem tego pewien.

Tak bezczelne wtargnięcie wzbudziło jej głęboki gniew.

– Gdzie oni teraz są?

Westchnął zezłoszczony.

– Po sforsowaniu wejścia wydostali się poza strefę obserwacji wokół drzwi rampy. Nie mogą jednak długo pozostać niewidoczni. Jeśli następna kamera ich nie zarejestruje, to wykurzy ich jeden z moich oddziałów.

– Ilu ludzi z ochrony ma pan na terenie kompleksu?

– Ponad stu. – Chang wyprostował się. – W sytuacji gdy wszystkie wejścia zostaną zamknięte, a posterunki wzmocnione, ta szóstka utknie w środku. Jest tylko kwestią czasu, kiedy ich dopadniemy.

Skinęła głową, zmuszając się do spokojnego oddechu. Choć była zaniepokojona i poruszona tym atakiem, po części czuła też ulgę. Podejrzewała wcześniej, że Amerykanie przyślą tu swoich agentów, ale do tej pory taka groźba była jedynie hipotetyczna, niczym niewiadoma poza jakąkolwiek kontrolą z jej strony. Teraz przybrała konkretną postać – zagrożenia, które mogła wyeliminować, a nawet obrócić na swoją korzyść.

– Zhôngxíáo Sun! – zawołał ostro jeden z techników do Changa.

Jiaying podeszła wraz z podpułkownikiem do innego monitora, mając nadzieję, że zauważono intruzów. Ekran ukazywał jednak wnętrze laboratorium wiwiskcyjnego. Zmarszczyła czoło na widok Marii Crandall, która przyciskała ostrze noża do szyi zakładnika, nie dopuściwszy najwyraźniej do operacji.

General pokręciła ze smutkiem głową, zdumiona bezcelowym uporem tej kobiety, zrodzonym ze współczucia wobec jej obiektu badań.

Spodziewałam się czegoś mądrzejszego ze strony naukowca, pomyślała.

No, ale Amerykanie już dawno dowiedli, że zachowują się delikatnie wtedy, gdy powinni wykazywać się twardością. Są zbyt rozpieszczeni, zbyt pewni swej wyższości, zbyt ślepi na dokonującą się w nowym tysiącleciu zmianę globalnych potęg.

Nie jak w Chinach, gdzie ludziom od najmłodszych lat udzielano twardych i brutalnych lekcji.

Wydaje się, że w pani edukacji występują spore braki, doktor Crandall.

– Połączcie mnie z laboratorium – rozkazała.

Chang wydał instrukcje technikowi i ten wystukał coś na klawiaturze, a potem wręczył Jiaying mikrofon bezprzewodowy.

– Będzie pani słyszała odpowiedzi przez głośnik monitora.

– Świetnie. – Podniosła mikrofon do ust. – Doktor Crandall, czy mogę prosić panią o uwagę?

Widoczna na ekranie Maria cofnęła się o krok, ciągnąc ze sobą chirurga, i spojrzała w stronę głośników zainstalowanych pod sufitem.

– Widzę, że uległa pani panice, ale zapewniam, że te syreny to tylko alarm ćwiczebny. – Generał posłużyła się kłamstwem, by stłumić wszelkie nadzieje Amerykanki na ratunek. – Powinnam panią jednak poinformować, że zgodnie z protokołem wszystkie pomieszczenia są zamknięte.

To akurat nie było kłamstwem.

Maria nie miała dokąd uciec.

– Doktor Crandall, pani i pani podopiecznemu nic się nie stanie. Niestety, nie można powiedzieć tego samego o pani towarzyszu.

Maria spojrzała na oszkloną ścianę za plecami.

– Ostrzegaliśmy panią dostatecznie często – przypomniała Jiaying. Czas, byś otrzymała lekcję.

Godzina 11.55

Kowalski podniósł się w małej klatce, zaskoczony nagłą ciszą po ogłuszającym dźwięku syren. Siedział tu już od niemal trzech godzin i zaczął postrzegać swoje więzienie jako automat z przekąskami dla tych bestii na zewnątrz. Kiedy odezwał się alarm, był pewien, że właśnie rozbrzmiał gong na obiad, oznaczający jego koniec.

I nie on jeden niepokoił się tym dźwiękiem.

Hałas – dostatecznie głośny, by jego echo obiegiło betonowy habitat – rozdrażnił wielkie goryle. Niektóre poszukały schronienia w jaskiniach, chyląc głowy przed tym dźwiękiem, inne przysunęły się bliżej do swego przywódcy. Wążący pół tony srebrzysty osobnik nadal kuczał przy drzwiach klatki, najwyraźniej nieporuszony tym całym rabanem. Jedyłą reakcją na ten dźwięk było pełne złości spojrzenie, które posłał w stronę oszklonej ściany u góry.

Nawet Kowalski popatrzył na zaokrągloną szybę, mając nadzieję, że dojrzy Marię, i zadając sobie uparcie jedno pytanie:

Co się tam dzieje?

Bał się, że chirurdzy przeprowadzili już operację. Żałował, że nie może pocieszyć Marii, ofiarować jej chociaż odrobiny wsparcia, nieważne jakiego. Starał się też nie myśleć o losie Baako, bo tylko rozbudzało to w nim koszmarny gniew.

Nagły ruch przyciągnął jego uwagę do włochatej góry przy drzwiach klatki. Osobnik o srebrzystym grzbiecie zaczął kołysać się z wolna na zadzie. Kowalski napotkał spojrzenie ciemnych ślepi, które ani na chwilę nie oderwało się od jego twarzy.

Wygląda na to, że ten sukinsyn coś wie.

Przywarł jeszcze mocniej do solidnej stali za plecami, żałując, że nie może jej przeniknąć swoim ciałem. Nagle nad jego głową rozbrzmiał głośny zgrzyt kół zębatych... i drzwi klatki zaczęły podjeżdżać nieubłaganie ku górze.

O cholera...

## 20

Andy, Ekwador

30 kwietnia, 23.02 czasu miejscowego

Siedząc na miejscu drugiego pilota, Gray penetrował wzrokiem dżunglę w dole, podczas gdy wynajęty helikopter wznosił się nad górami. Choć do północy brakowało zaledwie godziny, blask księżyca odbijał się od ciemnozielonego baldachimu roślinności, poprzetykanej wstęgami srebrzystej mgły. Teren wydawał się nietknięty ludzką stopą, poznaczony głębokimi szczelinami i ostrymi granitowymi wychodniami.

Spojrzał na wysokościomierz maszyny. Niewielkie miasto Cuenca, z którego wystartowali, leżało na poziomie prawie trzech tysięcy metrów. Miejsce, do którego zmierzali – w odległości około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na południe – znajdowało się jeszcze wyżej w Andach ekwadorskich.

Usłyszał w słuchawkach głos Leny.

– Trudno uwierzyć, że ktoś zbudował tu miasto.

– To nie jest takie nieprawdopodobne – odparł Roland. – W trakcie swoich badań odkryłem, że Ekwador ma dość korzystne warunki. Po pierwsze, gleba jest za sprawą aktywności wulkanicznej wyjątkowo żyzna, dzięki czemu nadaje się idealnie do uprawy. Poza tym w tym regionie stykają się aż cztery andyjskie szlaki migracyjne, łączące amazoński las deszczowy z Oceanem Spokojnym. Jest to dosłownie główne skrzyżowanie tego kontynentu. Nawet imperium inkaskie traktowało Cuenca jako swoją północną stolicę.

– Wygląda na to, że było to bardzo popularne miejsce – mruknęła Seichan, nie kryjąc sarkazmu.

Roland zignorował jej uwagę.

– Co ważniejsze, Ekwador jest jedynym na świecie źródłem drewna balsy.

– Balsy? – spytała Lena.

– Lekki materiał, który w tym regionie służył od tysiąca lat do budowy dawnych łodzi pełnomorskich. Więc jeśli ktoś szukał dogodnego miejsca na stałą siedzibę i jednocześnie punktu wyjściowego wędrówek migracyjnych, to Ekwador nadawał się znakomicie.

Gray słuchał tego wszystkiego, wyobrażając sobie ową zaginioną cywilizację; przypomniła mu się książka, którą pokazała mu Lena – pełna zdjęć uwieczniających kolekcję ojca Crespiego, starych artefaktów, które pochodziły, jak się zdawało, ze wszystkich zakątków świata.

– No i na koniec wspomnę, że w pradawnym języku tutejszych Indian określenie „stare Andy” tłumaczy się jako Atl Antis – oznajmił Roland.

– Atlantyda? – W głosie Leny pobrzmiwały zdumienie i wątpliwość.

Nawet Gray spojrział przez ramię, szukając w twarzy księdza oznak, że żartuje.

Ten jednak wzruszył tylko ramionami.

– Tak czytałem.

Odezwał się pilot, którego angielski był naznaczony wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Ta polana przed nami, señor, to miejsce najbliższej współrzędnych, które mi pan podał.

Gray znów skupił uwagę na lesie pokrytym całunem mgły. W tym gęstym listowiu nie dostrzegął nigdzie najmniejszego przesmyku. Teren sprawiał wrażenie równie niegościnnego jak poprzednio. Ale



potem zauważył w tym burzliwym ciemnozielonym morzu maleńkie zagłębienie.

Nie chce chyba...

– Może pan tam wylądować? – spytała Seichan z niekłamanym niedowierzaniem.

– Sě, żaden problem.

Pilot skierował niewielką maszynę w stronę małej polanki. Nie była zarośnięta, ale otaczały ją strzeliste drzewa. Unosiła się nad nią mgła, zasłaniając jakiegokolwiek ślady gruntu.

Kiedy pilot obrócił maszyną i zawisł nad przecinką, a potem zaczął szybko schodzić w dół, Gray chwycił za rączkę nad głową. Pęd powietrza wzbijany przez wirnik siekł gałęzie, które znajdowały się zaledwie centymetry od obracających się łopat. Pilot sprawiał wrażenie absolutnie nieporuszonego; kontynuował manewr, zanurzając maszynę we mgle.

Nic nie widząc, Gray wstrzymał oddech, czekając, aż wirnik zahaczy o drzewa, a oni runą ku ognistej katastrofie. Jednak, po gwałtownym i przyprawiającym o zawrót głowy nurkowaniu, płozy dotknęły bezpiecznie ziemi.

Pilot spojrzał w ich stronę.

– Żaden problem – powtórzył.

Łatwo ci mówić...

Gray, pełen ulgi, klepnął go w ramię, dziękując mu w milczeniu, po czym zwrócił się do pozostałych:

– Wszyscy wysiadać. – Popatrzył na zegarek. – Nasi przewodnicy powinni się wkrótce zjawić.

Mam nadzieję, dodał w myślach.

W trakcie lotu Roland skontaktował się z ojcem Pelhamem, duchownym z kościoła Marii Auxiliadory w Cuenca, człowiekiem, który zajął w tej misji miejsce ojca Crespiego. I tak jak Crespi, duchowny był poważany i kochany przez miejscowych Indian z plemienia Shuar. Dzięki poparciu Watykanu Roland mógł nakłonić ojca Pelhama do skontaktowania się z pobliskim centro Shuarów,

wioską liczącą około dwudziestu domostw, niedaleko od miejsca, w które zamierzali dotrzeć.

Jeśli ktokolwiek znał ten teren i jego tajemnice, to z pewnością Indianie z plemienia Shuar.

Zapewnienie sobie współpracy mogło się jednak okazać nie lada wyzwaniem. Miejscowi służyli z podejrzliwości wobec obcych. Ludzie wciąż znikali w tych lasach, padając ofiarą drapieżników, jadowitych węży albo chorób. Ale nikt nie zaprzeczał, że kilku z tych podróżników zginęło z rąk tubylców w najciemniejszych zakątkach dżungli, gdzie wciąż grasowali łowcy głów i kanibale. Zdarzało się nawet, że wprost z tych mrocznych lasów trafiała na czarny rynek tsantsa, czyli skurczona i zasuszona głowa.

Kiedy wysiadali z helikoptera, Lena otuliła się kurtką.

– Strasznie zimno.

Roland nie mógł zaprzeczyć.

– Nie jest to z pewnością parna dżungla, jakiej się spodziewałem.

– To z powodu wysokości – wyjaśnił Gray, wskazując spowite mgłą gałęzie nad ich głowami. – Tak wysoko w górach dżungla zamienia się w las mglisty.

Powietrze było tu tak niewiarygodnie rozrzedzone, że z trudem oddychał.

Seichan wlepiła wzrok w ciemność, która rozciągała się poza obszarem oświetlonym przez reflektory helikoptera.

– To jak inny świat.

Gray odpiął latarkę od paska i skierował w dżunglę snop światła, dobywając z mroku samo serce tego bujnego zielonego krajobrazu. Lasy mgliste służyły z nadmiaru wilgoci, a ten tutaj nie był wyjątkiem. Pnie, konary i pnącza pokrywała pierzasta warstwa mchu. Wszędzie rosły orchidee w niezliczonych odcieniach i o przeróżnych kształtach kwiatów. Paprocie wystrzelały nie tylko z ziemi, ale też z gałęzi drzew. Nawet liście ociekały algami.

I wszędzie obłoczki mgły zwieszały się w powietrzu albo oplatały delikatnie konary i listowie. Gray musiał wytężyć płuca i czuł, jak

serce bije mu szybciej niż zwykle. Łagodny wiatr niósł ze sobą bogatą woń gleby pod stopami, zmieszana z odurzającym zapachem rozwijających się nocą kwiatów.

Rzeczywiście, był to inny świat.

Wydawało się, że wkraczają na zakazany teren.

Gdy warkot silników helikoptera ucichł w dali i przemienił się w ledwie słyszalny stukot, las jakby ożył bzyczeniem owadów i łamliwym skrzypieniem gałęzi nad głowami, kiedy jakieś stworzenie umknęło na ich widok; czasem rozlegało się ożywione wołanie ptaka. Stanowiło to przypomnienie, że rozkwita tu nie tylko życie roślinności. Lasy te były domem wielkich drapieżników, takich jak jaguary i anakondy, ale spotykało się tu też tapiry, leniwce, pekari i wszelkiego rodzaju małpy.

Znad krawędzi lasu wzbiło się stado papug i zatoczyło spiralę nad polaną, wykrzykując swój sprzeciw, a po chwili zniknęło.

Lena odprowadziła je wzrokiem, potem popatrzyła na Graya.

– Jak tu pięknie.

– I niebezpiecznie – ostrzegła ją Seichan, próbując ostudzić jej entuzjazm i skupić uwagę na otoczeniu. – Takie piękno to podstęp natury, by zwabić cię w pułapkę.

Lena sprawiała wrażenie wystraszonej.

Gray stłumił uśmiech i przysunął się do Seichan.

– Może sobie trochę odpuścisz? Pamiętaj, że potrzebujemy ich pomocy.

Wsunęła mu dłoń w rękę i nachyliła się do niego.

– Potrzebujemy ich także żywych – szepnęła mu do ucha, owiewając jego szyję gorącym oddechem. – Poza tym naprawdę sobie odpuściłam. Nie wspomniałam nawet o wężu owiniętym wokół gałęzi nad jej głową.

Gray spojrział w górę i zobaczył podłużne szmaragdowe ciało oplatające konar.

– Jadowity? – spytał.

– Sądząc po trójkątnej głowie, to wąż z rodziny grzechotnikowatych. – Przywarła do niego, kiedy próbował się odsunąć i ostrzec Lenę. – Nie martw się. Jest w tej chwili za zimno, by mógł być niebezpieczny.

Gray nie był do końca przekonany. Dręczyły go wątpliwości.

– Może byłoby lepiej poczekać do rana, zanim wejdziemy w dżunglę z kilkoma łowcami głów.

Seichan odsunęła się i popatrzyła na niego.

– Nie, miałeś wcześniej rację. Potrzebowaliśmy dziesięciu godzin, żeby tu dotrzeć, i nie powinniśmy marnować ani chwili. Poza tym, jeśli znajdziemy ten zaginiony system jaskiń, to pod ziemią nie będzie miało znaczenia, czy jest dzień, czy noc.

Prawda, ale wpierw trzeba znaleźć tamto miejsce, pomyślał.

– Mamy towarzystwo – oznajmił Roland, który podszedł do nich wraz z Leną.

Po prawej stronie, na brzegu lasu, stały w milczeniu dwie postaci. Gray nie potrafił powiedzieć, jak długo tu przebywają. Można było odnieść wrażenie, że zmaterializowały się nagle z cieni.

Nieufny, dał znak pozostałym, żeby zostali na miejscu, i ruszył w stronę tamtych dwóch.

Wyższy okazał się członkiem starszoznał Shuarów. Twarz miał poznaczoną plemiennymi bliznami, na jego policzkach, brodzie i czole widniały geometryczne tatuaże. Szare włosy zaplótł za chudymi ramionami w warkocz. Nagą pierś zdobił jedynie wyszukany naszyjnik z piór, torebek nasiennych i – chyba – kości.

Obok niego stała mniejsza postać, chłopiec w wieku dwunastu czy trzynastu lat. Ciemne włosy były kudłate i rozczochrane. Choć bosy, tak jak starszy towarzysz, nosił obszerne szorty i zielony T-shirt z nadrukiem maskotki drużyny sportowych Uniwersytetu Notre Dame. Obdarzył Graya szerokim, pełnym radości uśmiechem, co stanowiło kontrast z poważną miną starszego.

– Witam – powiedział Gray i przedstawił się. – Mówicie po angielsku?

Chłopiec skinął głową.

– Jestem Jembe. – Wskazał starszego mężczyznę. – To jest Chakikui. Będę za niego mówił, powtarzał mu to, co powiecie.

– Dziękuję. – Gray nie krył zadowolenia, że ma tłumacza. – Znasz ojca Pelhama z kościoła Marii Auxiliadory?

Chłopiec uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bardzo go lubię. Nauczył mnie w szkole misyjnej angielskiego i hiszpańskiego.

Dobrze. Bliska znajomość może pomóc.

– Ojciec Pelham powiedział nam, że możecie nas zaprowadzić do pewnych jaskiń w tej okolicy.

Jembe skinął energicznie głową.

– Jaskinie, tak. Dużo jaskiń pod górami.

Starszy odezwał się w tym momencie, mówiąc coś srogim tonem i ani na chwilę nie odrywając wzroku od Graya.

Jembe słuchał, a potem przetłumaczył:

– Wuj Chakikui mówi, że zna te jaskinie, których szukacie.

Gray odetchnął z ulgą.

– Ale nie zabierze was tam – dodał chłopiec, z wyraźnym bólem. – Jeśli spróbujecie tam dotrzeć, plemię was zabije.

Przekazawszy tę wiadomość, Chakikui odwrócił się i ruszył z powrotem do lasu, ciągnąc za sobą Jembego, który posłał Grayowi przez ramię przepaszające spojrzenie.

Komandor patrzył, jak obaj znikają w mroku.

Nici z bliskiej znajomości.

Godzina 23.22

– Zaczekajcie! – wrzasnął Roland. Skoczył do przodu, gdy tylko chłopiec przetłumaczył słowa starszego mężczyzny. – Proszę!

Gray zatrzymał go, nie pozwalając pójść za tamtymi w głąb lasu.

– Ostrożnie – uprzedził. – Nie wiadomo, czy zjawili się tutaj sami. Jeśli ich wystraszysz, możesz dostać strzałą w pierś.

Roland nie zamierzał ustępować i wysunął się przed Graya.

– Jestem ojciec Novak! – zawołał w ciemność. – Przebyłem daleką drogę. Proszę!

Nie bardzo wiedząc, co dalej robić, ksiądz rozpiął kurtkę i odsłonił białą koloratkę, oznakę swego powołania. Jeśli ojciec Pelham cieszył się tu poważaniem, to może na podobny szacunek zasługiwał też ktoś inny noszący ów symbol.

Czekał, stojąc z odsłoniętą pierśią, nie zapominając o ostrzeżeniu ze strony Graya.

W końcu, bez najdrobniejszego szelestu liści pod stopami, cienie zespoliły się w powracające postaci starszego mężczyzny i chłopca.

Stary Indianin wystąpił naprzód, wlepiając spojrzenie w koloratkę Rolanda. Po chwili odezwał się surowym tonem, ale z pewną wyrozumiałością. Jembe tłumaczył:

– Chakikui mówi, że będzie słuchał. Ponieważ księża okazali dobroć naszemu plemieniu.

Roland zwrócił uwagę na słowo „księża”... w liczbie mnogiej. Mężczyzna był z pewnością dostatecznie stary, by żyć w czasach, gdy misję w Cuenca prowadził poprzednik ojca Pelhama. Roland postanowił zagrać tą kartą.

– Znałeś ojca Carlosa Crespiego – powiedział. Zauważył, że starszy mężczyzna zmrużył oczy na dźwięk imienia i nazwiska misjonarza, i postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Przybyliśmy tu dzisiejszej nocy, by uczcić pamięć dobrego ojca i kontynuować z nadzieją jego dzieło w tych lasach.

Jembe przełożył odpowiedź Chakikui:

– Wielu przychodzi po złoto.

– Nie my – zapewnił Roland. – Przybywamy po wiedzę. Pragniemy znaleźć miasto pradawnych nauczycieli, miejsce oświecenia.

Wyciągnął spod kurtki stary dziennik ojca Kirchera i pokazał Chakikui i chłopcu pozłocaną okładkę. Starszy mężczyzna skupił uwagę na labiryncie, znowu mrużąc oczy, jakby zobaczył coś znajomego.

Ciekawe...

– Słyszeliśmy historie o jaskiniach skrywających wiele takich księzek – ciągnął Roland, przypominając sobie opowieść Petronia Jaramilla o zaginionej bibliotece gdzieś pod ziemią. – Możesz nas tam zabrać?

Starszy odezwał się, kręcąc głową. Jembe, spoglądając posepnie, przetłumaczył:

– Chakikui mówi, że zaprowadził jednego człowieka do tych jaskiń. Dawno temu. Mówi, że to był błąd.

Roland zerknął na Graya. Czy to ten Indianin jeszcze w latach czterdziestych zabrał Petronia Jaramilla do jaskiń?

– Nie wolno tam wchodzić – wyjaśnił Jembe, dalej tłumacząc słowa starego człowieka. – Nawet dla uczczenia pamięci ojca Crespiego. – Chłopiec, wymawiając nazwisko duchownego, uczynił znak krzyża. – Niech spoczywa w spokoju.

Ksiądz westchnął i otarł czoło, próbując za wszelką cenę przekonać w jakiś sposób starszego Indianina do współdziałania. Zauważył, że podczas całej tej rozmowy Chakikui bezustannie kieruje wzrok ku księżce.

Mając nadzieję, że jest to klucz do zapewnienia sobie wsparcia z jego strony, Roland wyciągnął rękę, w której trzymał dziennik.

– Tę księżkę napisał inny wielebny duchowny. Setki lat temu. Tak jak ojciec Crespi, poszukiwał tego zaginionego miasta pradawnych nauczycieli. – Zaczął wertować strony, aż doszedł do mapy Ameryki Południowej z zaznaczonym na niej labiryntem. – Przekazał nam, byśmy odszukali to miejsce.

Chakikui zbliżył się, wyciągając rękę. Roland podał mu dziennik. Starzec zaczął przewracać inne stronicę. Zatrzymał się na kartce, na

której ojciec Kircher skopiował gwiazdny petroglif znaleziony nad grobowcem Adama i Ewy.

Wyszeptał coś do Jembego.

Chłopiec zwrócił się do Rolanda:

– Chakikui pyta, kim jest ten drugi ksiądz? Mówi, że jedno imię, innego duchownego z dawnych czasów, otworzy ścieżkę do jaskiń.

Roland poczuł przypływ ulgi i pewności.

– Nazywał się Atanazy Kircher. – Wskazał dziennik. – To są jego słowa, jego pisma.

Chakikui zamknął książkę i oddał ją Rolandowi. Odwrócił się, wygłaszając ostateczny werdykt, który chłopiec powtórzył:

– To nie ten.

Obaj znów zaczęli zagłębiać się w las.

Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, Roland nie wiedział, co może jeszcze zrobić, by przekonać tego człowieka.

Gray przepchnął się obok niego i sięgnął do ramienia starca, ale cofnął w ostatniej chwili rękę, bojąc się, że ta fizyczna bliskość może być uznana za zagrożenie.

– Zaczekaj – rzucił pośpiesznie. – Ten drugi ojciec... Czy nazywał się Nicolaus Steno?

Roland zeszywniał, uświadamiając sobie swój błąd.

Oczywiście!

Ojciec Kircher nigdy nie postawił stopy na tym kontynencie. Już zbyt słaby pod koniec życia, wysłał emisariusza, młodszego mężczyznę, zdolnego odbyć tak trudną podróż, czyli swego drogiego przyjaciela Nicolausa Steno. Czy jednak było możliwe, by w przekazach ustnych lokalnego plemienia Shuar przetrwała pamięć o takim człowieku i by jego imię wciąż otaczano czcią?

Odpowiedź pojawiła się, gdy Chakikui znów na nich spojrział – oczy błyszczały mu intensywnie.

– Nikloss... Steno? – powiedział, wpatrując się badawczo w ich twarze.

Roland skinął głową.



Chakikui odetchnął głęboko, jakby robił to po raz pierwszy od wieków. Potem szepnął coś chłopcu.

Jembe skinął głową, gdy starszy mężczyzna się odwrócił.

– Zabierze was do domu pradawnych, do miasta Starych Andów.

Roland ledwie słuchał przekazu chłopca; w jego głowie rozbrzmiewały ostatnie słowa starca. Rozpoznał określenie, jakiego użył Chakikui w narzeczu indiańskim.

Atl Antis.

Obrócił się do pozostałych; na ich twarzach malował się szok. Też to usłyszeli.

Czy mogła to być prawda?

Godzina 23.58

Lena szła za Grayem i Rolandem, Seichan zamykała pochód.

Po czterdziestu minutach wędrówki przez las deszczowy całe ubranie przylegało jej do ciała – nie od potu, tylko uporczywej wilgoci uwiecznionej pod wysokim kobiercem listowia. Ta wilgoć kapiała z gałęzi, zbierała się pod dywanem gnijących liści i wisiała w powietrzu. Lena z każdym kolejnym oddechem wchłaniała tę lepkość. Nawet płuca zaczęły ją boleć; każdy haust był w tym rozrzedzonym powietrzu coraz bardziej urywany.

Starła się trzymać blisko Graya, który oświetlał mocną latarką ich szlak wiodący przez ten zielony tunel pod baldachimem konarów. Mimo wszystko jej wzrok bezustannie przyciągała ciemność po obu stronach. Las szeleścił, skrzypiał i bzyczał, wybuchając czasem ostrym pohukiwaniem małpy albo gwizdzącym głosem ptaka. Jej myśli biegły ku innym wyimaginowanym niebezpieczeństwom ukrytym za zasłoną ciemności – zwłaszcza węzom.

Pełzające macki mgły tylko potęgowały jej niepokój.

Wydawało się, że cały las jest w ciągłym ruchu.

Noc przeszył nagły krzyk, pełen lwiej wściekłości, bliski i jednocześnie odległy. Ruszyła szybszym krokiem, by trzymać się blisko pozostałych.

Jembe szedł tuż za nią, oddając pierwszeństwo starszemu Indianinowi, który prowadził ich przez ten bezdrożny las.

– Jaguar – wyjaśnił. – Mnóstwo ich tutaj. Ale nie podejdu blisko. Jest nas dużo i robimy wielki hałas.

Wielki hałas?

Nikt od prawie piętnastu minut nie wypowiedział słowa. Słyszała tylko oddechy i cichy chlupot butów w wilgotnej glebie.

Jembe poklepał ją po ramieniu, spoglądając na nią błyszczącymi oczami, najwyraźniej zauroczony.

– Chronię cię – oznajmił. – Jestem szybki. Tak jak moje imię. Oznacza kolibera.

– Kolibra? – sprostowała z uśmiechem.

Uniósł dumnie głowę, naśladując jedną ręką przelot ptaka.

– Bardzo szybki.

– Nie wątpię.

Wędrowali dalej – zdawało się kilometrami – wspinając się na strome ścieżki i schodząc serpentynami. Dwukrotnie musieli pokonać w bród bystre strumienie pędzące po śliskich od mchu głazach. Za drugim razem woda była głęboka do pól uda.

Potem stopniowo zaczął narastać w dali głośniejszy huk.

Co teraz? – zastanawiała się Lena.

Nim dotarli do źródła tego ogłuszającego dudnienia, Chakikui zatrzymał ich na szczycie grani. Jembe przetłumaczył jego ostrzeżenie.

– Dalej ziemia jest zakazana. Strzeżona przez... – Szukał odpowiedniego słowa. – Przez diabły.

Na potwierdzenie tych słów Chakikui zbliżył się do wysokiego kamiennego bloku na krawędzi grani. Pokrywały go porosty, ale powierzchnia od ich strony była dostatecznie czysta, by mogli rozpoznać prymitywnie wyrytą w kamieniu postać. Petroglif powstał

poprzez zdrapanie ciemniejszej wierzchniej warstwy głazu i odsłonięcie białego podłoża; nadawało to temu obrazowi upiorny charakter.

– Diabeł – powiedział Jembe, krzywiąc się na widok wizerunku bestii.

Stała wyprostowana na tylnych łapach, pazury były uniesione, jakby warczała na nich groźnie.

Lena podeszła bliżej.

– To nie diabeł – oznajmiła z głębokim zdumieniem i przesunęła opuszką palca po pysku i wokół uszu, potem spojrzała na pozostałych. – To niedźwiedź jaskiniowy. Podobny do tego, którego widzieliśmy na malowidłach w Chorwacji.

Roland skinął głową.

– Rzeczywiście – przyznał.

– Ale paleolityczne terytorium, na którym występował *Ursus spalaeus*, nie obejmowało Ameryki Południowej – szepnęła. – Tego rysunku nie powinno tu w ogóle być.

– Chyba że ktoś nakreślił to z pamięci – podsunął Roland.

Wyprostowała się i spojrzała nad szczytem wzniesienia. Strone z bocze poza tym totemicznym słupem usłane było głazami. Nawet z tego wysokiego miejsca mogła dostrzec inne petroglify wyryte na skalnych powierzchniach. Większość miała charakter abstrakcyjny: geometryczne kształty, fantastyczne zawijasy, nawet coś, co przypominało prymitywne pismo. Ale było tam też jeszcze więcej wizerunków zwierząt: węży, ptaków, jaguarów, małp, a także wielkiej bestii z rogami i kopytami, prawdopodobnie bizona.

Nic dziwnego, że miejsce to budziło lęk w miejscowych Indianach.

Chakikui zagroził im drogę ramieniem, wyjaśniając jeszcze jeden powód niedostępności tego miejsca.

– Ojciec Nikloss Steno – wyjaśnił Jembe. – Dawno temu powiedziec, że nie pozwalać nikomu tu przychodzić. Chyba że zna jego imię.

– Dlaczego? – spytał Gray.

Stary Indianin zmarszczył czoło i odpowiedział z pomocą chłopca.

– Niebezpieczne. – Poklepał się po nagiej piersi. – Dla ciała i ducha. – Zatoczył ręką szeroki łuk. – I dla świata. – Popatrzył na Graya, chcąc się przekonać, czy pragnie kontynuować wędrówkę.

– Rozumiem. – Komandor machnął ręką w stronę zbocza. – Pokaż nam.

Chakikui, zanim usłuchał, podniósł dłonie do ust i wydał ostry gwizd przypominający wołanie ptaka.

– Odsyła innych – wyjaśnił Jembe. – Z powrotem do wioski. Nie mogą z nami iść.

Lena wlepiła wzrok w ciemny las.

Seichan nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Byliśmy śledzeni od momentu, w którym wysiedliśmy z helikoptera. Naliczyłam co najmniej dwunastu.

Zszokowana Lena wciąż spoglądała przez ramię, kiedy ruszyli w dół zbocza, podążając w ślad za Chakikui.

Roland szedł obok niej. Wskazał obie strony ich szlaku.

– Jak twierdził Jaramillo w swej relacji z podróży do zaginionej biblioteki, droga do jej wejścia wiodła przez labirynt rzeźbionych głazów. – Wyciągnął rękę w kierunku, z którego dochodził odległy grzmot wody. – Ścieżka kończąca się wzburzoną rzeką.

W miarę jak Chakikui ich prowadził, liściasty okap w górze zaczął się przerzedzać, ukazując przelotnie świetlistą i fragmentaryczną tarczę księżyca.

Lena popatrzyła na nią, zadowolona z dodatkowej iluminacji, ale też zaniepokojona wcześniejszymi słowami Rolanda o tym satelicie. Przypomniała sobie dziwną synergię zbieżności i proporcji, które określały relacje Ziemi, Księżyca i Słońca.

Ksiądz dostrzegł, że patrzy ku górze.

– Znów się zastanawiam nad udziałem Neila Armstronga w całej tej sprawie – wyznał.

– To znaczy?

– Może naprawdę doświadczył tam czegoś dziwnego. – Spojrzał zamyślony na księżyc. – Może to właśnie skłoniło go do udziału w tej brytyjskiej ekspedycji? Pragnienie poznania prawdy. Wiemy, że utrzymywał kontakt z organizatorem pierwszej wyprawy, szkockim inżynierem Stanem Hallem, człowiekiem, który kontaktował się także z Petroniem Jaramillem. Hall organizował również drugą wyprawę, już z Armstrongiem, nim zamordowano Jaramilla.

Teraz gdy grzmot wody nabierał mocy, trudno było rozmawiać. Przed nimi pojawiła się rzeka, połyskując srebrzyście w blasku księżyca. Pędziła kataraktami i spadała z wysokiej skały do krystalicznie czystego rozlewiska, by kontynuować swój bieg przez kolejną stromiznę, zamieniając się w ogłuszający wodospad, i w końcu znikła w lesie, który rozciągał się w dole.

Gray, kiedy zbliżali się do brzegu, sprawdził swój telefon satelitarny.

– Dziwne – mruknął.

– Co? – spytała Lena.

– GPS pokazuje, że jesteśmy mniej więcej w poszukiwanym miejscu. Na tej samej szerokości i długości geograficznej co w dzienniku Kirchera. Ale spójrz na to. – Postukał w kompas w lewym dolnym rogu ekranu. – To odczyt magnetyczny, nie skutek sygnału satelitarnego.

Lena zobaczyła, że igła obraca się zgodnie ze wskazówkami zegara i w przeciwną stronę, wirując bez ładu i składu.

Nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, zawołał ich Jembe. Stał wraz z Chakikui obok wielkiego rozlewiska. Na ich sylwetkach połyskiwały krople wody rozbryzgującej się na kataraktach.

Gdy Lena i pozostali przyłączyli się do nich, stary Indianin wskazał skalne urwisko na przeciwległym brzegu rzeki.

– Tam jest wejście – wyjaśnił Jembe.

Lena zmrużyła oczy, ale widziała tylko gładki kamień.

Roland jęknął cicho. Wszyscy obrócili się do niego.

– Popatrzcie na linię wody. Dostrzegam wejście do tunelu. Widać tylko górną część, jakieś trzydzieści centymetrów. O tym chyba mówią.

– Więc wejście jest zalane – zauważył Gray.

– A czego innego się spodziewałeś? – spytała Seichan z westchnieniem. – Jeśli to jest Atlantyda, to czy nie miała znajdować się właśnie pod wodą?

Gray pokręcił ze smutkiem głową.

– Wygląda na to, że będziemy musieli pływać.

Lena zareagowała znacznie gorzej; jej oddech przyspieszył, serce zaczęło uderzać trwożliwie. Przypomniała sobie inne tunele zalane wodą – miejsce, z którego ledwie umknęła.

Roland musiał wyczuć jej obawy i starał się ją pocieszyć.

– Przynajmniej tym razem nikt nie będzie do nas strzelał.

Godzina 0.04

Wiatr szarpał ubranie Shu Wei, gdy spadała w głąb mglistej studni. Wypatrywała lądowiska, spoglądając przez gogle zaopatrzone w noktowizor. Urządzenie potrafiło wychwycić ogniska ciepła.

W dole jarzył się intensywnym karmazynem największy obiekt, oznaczając lokalizację namierzanego helikoptera; jego silniki wciąż były rozgrzane, emitując sygnał na tle chłodnego otoczenia lasu chmurowego.

Mniejsze jasne punkty wskazywały pozostałych członków jej oddziału, kiedy lecieli w dół i lądowali na spadochronach na polanie.

Wreszcie na poziomie ziemi rozbłysła jaśniejsza iskra – raca zapalona przez jej zastępcę, sierżanta Kwana. Zdążył już wylądować i dawał sygnał, że wszystko w porządku.

Pociągnęła za rączkę spadochronu i usłyszała satysfakcjonujący łopot materiału rozwijającego się nad jej głową. Potem poczuła gwałtowne szarpnięcie pasków uprzęży, gdy czasza otworzyła się gwałtownie. Swobodny spadek po skoku z jednosilnikowego samolotu tracił na szybkości. Manipulowała z wprawą linkami, by wylądować na polanie w ślad za pozostałymi.

Chwilę później przeleciała obok rozjarzonego kadłuba maszyny i opadła z cichym odgłosem na leśne podłoże. Odcięła czaszę, uwolniła się z uprzęży, zdjęła gogle i oceniła sytuację.

Sierżant Kwan klęczał nad ciałem leżącym twarzą do ziemi obok helikoptera. W odległości metra od wyciągniętej ręki spoczywała strzelba.

Kwan wyprostował się.

– Nie miałem wyboru, musiałem zabić pilota.

Zmarszczyła czoło. Uznała to za niekorzystne. Wcześniej żywiła nadzieję, że uda im się przesłuchać tego człowieka, nim się go pozbędą. Ostatecznie było to jednak bez znaczenia.

– Cele już wyruszyły? – spytała.

Kwan skinął głową i podniósł się z ziemi, ale zauważyła, że wcześniej włożył do kieszeni kosmyk włosów, trofeum, które odciął z głowy pilota. Z każdą zadaną śmiercią Czarnowron żądał opłaty.

Skupiając się na zadaniu, nie skarciła go za to.

– Jak daleko się znajdują?

– Nie dalej niż czterdzieści minut drogi stąd.

Więc bliżej... ale nie dość blisko.

Mimo wszystko była zadowolona z tempa, w jakim się posuwali. Oddział mógł przybyć tu szybciej na pokładzie helikoptera, ale jego odgłos niósłby się po lesie i zaalarmowałby zwierzynę. Warto było poświęcić kilka minut, by ukryć swoją obecność.

– Już unieruchomiliśmy śmigłowiec – poinformował ją Kwan. – Wróg nie powróci tą samą drogą, którą tu przybył.

Nie powróci w ogóle.

Popatrzyła w ciemny las. Jej ludzie mieli od tej pory posuwać się na ślepo, wykorzystując noktowizory.

– Niech Zhu i Feng ruszą przodem – rozkazała.

Obaj byli najlepszymi tropicielami w jej zespole.

Kwan skinął głową i oddalił się, by przypilnować wszystkiego.

Shu Wei stała w milczeniu, wsłuchując się w szept wiatru, bzyczenie komarów, daleki świergot ptasiej pieśni. Wyobraziła sobie wszystkie drapieżniki ukryte w tym ciemnym lesie, pewna jednego...

To, co naprawdę zagrażało jej celom, już się pojawiło.

Wszyscy byli gotowi; Kwan patrzył na nią, oczekując sygnału.

Doskonale.

Wkroczyła w całun mroku.

Czas to dokończyć.



Pekin

1 maja, godzina 12.04 czasu miejscowego

Muszę coś zrobić...

Maria stała plecami do wypukłego okna wychodzącego na hybrydowy habitat. Wciąż zaciskała palce na kołnierzu fartucha chirurgicznego doktora Hana i przystawiała mu skalpel do szyi. Wcześniej dostrzegła kątem oka, że krata małej klatki Kowalskiego zaczęła się podnosić, czyniąc go bezbronnym wobec tych bestii.

Olbrzymi osobnik o srebrzystym grzbiecie wciąż tkwił w przysiadzie w odległości metra, czekając cierpliwie na wypuszczenie swego posiłku.

Maria starała się znaleźć jakiś sposób, by pomóc Kowalskiemu. Jej spojrzenie spoczęło na zamkniętej gablocie, w której znajdowała się dwulufowa broń na środki usypiające. Zwróciła się do personelu, mocniej przyciskając skalpel do gardła doktora Hana.

– Niech jedno z was otworzy gablotę! – rozkazała.

Ktoś pospieszył bezzwłocznie w tamtą stronę. Była to ta sama młoda pielęgniarka, która jak dotąd okazała jej największą sympatię. Stała przed oszkloną witryną, wystukała kod na zamku elektronicznym i otworzyła drzwiczki.

Maria odepchnęła chirurga, a gdy ten zatoczył się i upadł na kolana, cisnęła skalpel na podłogę i chwyciła karabin ze stojaka. Przeszkolono ją w posługiwaniu się taką bronią, co było wymagane w ośrodku badań nad naczelnymi. Sprawdziła szybko, czy jest

załadowana, i stwierdziła z ulgą, że w komorach obu luf znajdują się strzałki z pierzastymi lotkami.

Złapała jednak dwa zapasowe i zabezpieczone kapturkami ładunki z tacy na dolnej półce szafki, odbezpieczyła karabin i wycełowała w ludzi z zespołu chirurgicznego.

– Nie zbliżać się – ostrzegła.

Jej uwagę zwrócił nieznacznym jękem dobiegającym od strony stołu operacyjnego. Spojrzała tam i zobaczyła, że Baako się porusza i unosi zabandażowaną głowę znad stalowej obręczy, która wcześniej unieruchamiała mu czaszkę. Otworzył oczy, co oznaczało, że środek usypiający przestaje działać. Oszołomiony, przewrócił się na bok i zsunął ze stołu, ale miał dość przytomności, żeby nie upaść; wyładował na czterech kończynach i zwrócił się w jej stronę.

Pielęgniarki i chirurdzy usunęli mu się z drogi.

– Baako! – zawołała do niego. – Chodź do mamy!

Fuknął i ruszył ku niej niezgrabnie, nisko pochylony i wciąż otępiały.

Nie mając odwagi czekać ani chwili dłużej, doskoczyła do otwieranego skrzydła w oknie obserwacyjnym. Zaczęła zmagać się z zamknięciem, spoglądając jednocześnie w dół.

Krata w klatce Kowalskiego uniosła się już do końca. Mężczyzna wciąż przebywał w swoim schronieniu, przywierając plecami do stalowych wrót. Stwór o srebrzystym grzbiecie też tkwił na swoim miejscu, kucając tuż przy progu niczym kot przy mysiej dziurze, jakby czekał, aż ofiara wybiegnie na zewnątrz.

Maria wiedziała jednak, że ten impas nie będzie trwał wiecznie.

Kiedy wciąż zmagала się z zamkiem otwieranego skrzydła, Baako stanął przy niej i przywarł do jej biodra. Być może zauważył, na czym skupia uwagę, bo uniósł głowę dostatecznie wysoko i też spojrzał w dół.

– No, dalej – mruknęła, przeklinając ten cholerny zamek przy szybie.

Przyłączyła się do niej młoda pielęgniarka. Odsunęła roztrzęsione dłonie Marii i sprawnie poradziła sobie z zabezpieczeniem ruchomego skrzydła. Szerokie na sześćdziesiąt centymetrów okienko ustąpiło.

– Dziękuję – wymamrotała Maria.

Wsunęła lufę broni w otwór w oknie, ale zrobiła to za późno.

Kowalski wyskoczył z klatki.

Godzina 12.07

No, dalej, pieprzone małpy...

Kowalski dał nura przez otwarte drzwi. Czekał tak długo, jak to było możliwe, wiedząc doskonale, że cierpliwość tej bestii za progiem nie będzie trwać wiecznie. Kiedy z tej potężnej piersi dobył się głuchy pomruk irytacji, uznał to za sygnał do działania. Gdy goryl o srebrzystym grzbiecie uniósł rękę i sięgnął ku klatce, Kowalski już rzucił się do wyjścia.

Umknął przed tą mięsistą łapą i przeturlał się pod uniesionym ramieniem. Ominąwszy to ogromne cielsko, zerwał się na równe nogi i odskoczył.

Pozostałe stwory skupiały się wokół swego przywódcy, ale nagła ucieczka Kowalskiego zaskoczyła je na chwilę. Na chwilę... Mimo wszystko niektóre były na tyle wystraszone – zapewne na skutek wyjących syren – by usuwać mu się z drogi. A może żywiły za duży respekt wobec osobnika o srebrzystym grzbiecie, żeby rościć sobie prawo do zdobyczy, której ta wielka bestia od trzech godzin nie spuszczała z oka.

Niezależnie od powodu, Kowalski wykorzystał sytuację w pełni, przedzierając się przez ten kordon mięśni, kości i zębów, i wydostał się na wolną przestrzeń.

Za jego plecami rozbrzmiał ogłuszający ryk.

Nie musiał się odwracać, żeby poznać jego źródło. Pobiegł ile sił w nogach w stronę tej części habitatu, która oferowała najlepsze schronienie, tam gdzie wśród betonowych drzew zalegały głazy.

Jakby w kontrapunkcie do ryku rozległ się inny dźwięk: ciężkie dudnienie.

Kowalski dotarł do niecki usłanej wielkimi kamieniami i zatrzymał się gwałtownie, po czym się odwrócił. Osobnik o srebrzystym grzbiecie stał przed otwartą klatką. Zaskoczony, unosił się na tylnych łapach i tłukł szeroką skórzastą pierś obiema pięściami, okazując swą zwierzęcą wściekłość. Z warg spłynęły mu grube strugi śliny, gdy obnażył ostre jak brzytwa zęby, których przeznaczeniem było odrywanie ciała od kości.

Dysząc ciężko, Kowalski przykucnął. Zastanawiał się gorączkowo nad następnym ruchem, oczekując, że to półtonowe cielsko zaszarżuje na niego równie niepowstrzymane jak pociąg towarowy pędzący z maksymalną szybkością. Szukał wzrokiem jakiegokolwiek kryjówki, choćby na chwilę.

Muszę trzymać się z dala od...

Wtedy rąbnęło go coś, łamiąc mu żebra w ognistym rozbłysku straszliwego bólu. Impet uderzenia rzucił go na podłoże niecki. Zdążył przekręcić się w powietrzu i wylądować na niekontuzjowanym boku. Dojrzał znajomego goryla o czarnym futrze, tego samego, który stał wcześniej przy drzwiach jego klatki, zanim został przepędzony przez osobnika o srebrzystym grzbiecie.

Najwidoczniej drań wciąż żywi urazę.

Godzina 12.08

Stojąc przy otwartym oknie, Maria usłyszała skowyt wściekłości. Dobył się z krtani goryla o czarnej sierści, który zwałił Kowalskiego z nóg, wyrzucając go z kryjówki. Bestia skoczyła ponad głazem i rzuciła się na człowieka, zamierzając go zabić.

Maria przestała natychmiast mierzyć do wielkiego osobnika i skupiła się na bezpośrednim zagrożeniu. Strzeliła do mniejszego goryla, obawiając się, że jest już za późno.

Kowalski w ostatniej chwili przeturlał się w bok, unikając zmiżdżenia pod masywnym cielskiem. Bestia machnęła ręką i chwyciła go za udo, szarpiąc i przyciągając go niczym szmacianą lalkę.

Maria ponownie wymierzyła i spojrzała przez celownik teleskopowy, nie wiedząc, czy pierwszy ładunek dosięgnął bestii. Ponownie pociągnęła za spust. Huk wystrzału niemal ją ogłuszył, ale, w pełni skoncentrowana, nawet nie mrugnęła. Tym razem dostrzegła czerwone pióra wystające z szyi goryla.

Samiec puścił Kowalskiego i chwycił się za gardło, wyrywając sobie ten ostry kolec.

Potem zwrócił twarz ku górze, w jej stronę, domyślając się źródła tego ataku. Wyprostował się, zaryczał na nią i zatoczył do tyłu. Potknąwszy się, usiadł ciężko na zadzie.

Skoro środek usypiający podziałał tak szybko, jej pierwszy strzał musiał być celny. Czym prędzej przełamała karabin i sięgnęła do kieszeni po kolejne ładunki. W całym tym pośpiechu jeden z nich wysunął się z jej palców i spadł pod stopy. Przeklinając, wsunęła drugi w komorę lufy.

W dole, na dnie betonowej niecki, młody samiec runął na bok, jego potężne kończyny nagle zwiotczały. Ale ta bestia nie była jedynym zagrożeniem.

Zanim zdążyła naładować karabin, goryl o srebrzystym grzbiecie wyryczał swą wściekłość, podnosząc się na całą wysokość. Nawet teraz Maria z trudem mogła uwierzyć w jego rozmiary. Choć rozumiała genetykę, która zrodziła takie monstrum, jej umysł wciąż nie mógł przyjąć tego do wiadomości. Ujrzała w myślach gigantyczne kości, które pokazano jej poprzedniego dnia, kości megantropa, jednego z najwcześniejszych przodków człowieka, i

zorientowała się, że te hybrydy obdarzono nie tylko rozmiarami owego hominidy – ale też jego dzikością i ksenofobiczną naturą.

Osobnik o srebrzystym grzbiecie oparł się na pięściach i zaszarżował w stronę Kowalskiego, który wciąż był na czworakach, pokiereszowany i posiniaczony. Nie miał szansy umknąć przed tym atakiem.

Wysunęła karabin za okno i wystrzeliła ładunek, celując w pędzącą bestię, ale goryl poruszał się zbyt szybko. Dostrzegła, jak strzałka z czerwonymi piórami odbija się rykoszetem od jednego z tych sztucznych drzew.

Do diabła...

Sięgnęła po drugą, leżącą na podłodze, choć wiedziała doskonale, że nie zdąży naładować broni na czas.

Ktoś inny uświadomił sobie to samo.

Nim zdołała go powstrzymać, Baako odsunął się od niej gwałtownie i rzucił głową w przód, przez otwarte okno. W ostatniej chwili chwycił się za parapet, odwrócił, a potem zaczął się zsuwać błyskawicznie w dół, znajdując na powierzchni kamiennej ściany oparcie dla dłoni.

– Baako! Wracaj! – zawołała do niego Maria.

Po raz pierwszy w swym młodym życiu jej nie posłuchał.

Godzina 12.09

Monk siedział z Kimberly w pustym gabinecie. Sierżant Chin pilnował drzwi, podczas gdy bracia Shaw i Kong obserwowali korytarze.

– Jak długo jeszcze? – spytał.

Kimberly stukała wściekle w klawisze. Podłączyła już swój telefon satelitarny do terminalu komputerowego.

– Dobra, uzyskałam dostęp do monitoringu. Nie mogę go wyłączyć, ale mogę dorzucić coś od siebie.

– Zrób to.

Weszła w filmy na swoim telefonie i wgrała plik w system monitoringu.

– To powinno załatwić sprawę.

Monk skinął głową, ściskając w ręce radio. Odebrał je strażnikowi, którego obezwładnili krótko po wejściu na teren kompleksu.

– Zamieszczę też informację pod zdjęciem, które wysyłam – oznajmiła Kimberly. – Podam bezpieczny kanał twojego radia.

– Możesz to zrobić?

Spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

Monk uniósł uspokajającym ruchem dłoni. Powinien już wiedzieć, że nie należy kwestionować umiejętności jego partnerki.

– W porządku, miejmy nadzieję, że nasz przekaz dotrze do właściwej widowni.

Godzina 12.10

Jak się okazuje, wszystko muszę robić sama.

Jiaying Lau oparła się o stół, niemal dotykając nosem ekranu monitora. Starła się nie zwracać uwagi na chaos panujący w centrum ochrony. Już odebrała kilka telefonów z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i zastępcy szefa Akademii Nauki Wojskowej. Wiadomość o naruszeniu zabezpieczeń wyszła poza granice podziemnego ośrodka.

Mogła się domyślać źródła tego przecieku.

Chang Sun za jej plecami wykrzykiwał rozkazy do mikrofonu, dodając ducha oddziałom poszukującym intruzów. Wiedziała, że gdy już ich znajdzie – co prędzej czy później mu się uda – z pewnością posłuży się jeńcami, by przedstawić się w pozytywnym świetle, umniejszając jednocześnie jej rolę. Wyczuwała niemal bijącą z jego spoconego czoła woń ambicji.

Skupiała jednak uwagę na innym potencjalnym problemie – na kolejnej czarnej skazie zagrażającej jej reputacji. Widziała na monitorze, jak wszystko w laboratorium wiwisekcyjnym zmierza ku ruinie. Doktor Randall uzyskała dostęp do broni i próbowała pomóc swemu towarzyszowi w Arce. Sprawa już dawno powinna znaleźć swój krwawy finał, który byłby dla Marii odpowiednią lekcją posłuszeństwa.

Co gorsza, Baako wyskoczył przez okno i wylądował w samym sercu betonowej niecki. Jiaying poświęciła wiele – nie wyłączając niezwykle cennej agentki – by przejąć ten wyjątkowy okaz. Gdyby ta zdobycz została rozerwana na strzępy przez ich hybrydy, mogłoby się to okazać fatalne dla jej kariery – niewykluczone nawet, że w związku z tą klęską skończyłaby z kulą w głowie.

Uderzyła pięścią w stół, zdecydowana poradzić sobie z tą sytuacją osobiście. Lecz nim zdążyła się odwrócić, w rogu monitora ukazało się mniejsze okienko. Nachyliła się jeszcze bardziej. Ziarniste nagranie ukazywało jakiegoś żołnierza przywiązanego do krzesła. Ktoś, kto był niewidoczny, przyciskał mu lufę pistoletu do skroni.

– Powiększ to – rozkazała technikowi.

Z innych stanowisk za jej plecami dobiegły mamrotania. Rozejrzała się i zobaczyła, że to samo nagranie jest wyświetlane w narożnikach ekranów z wszystkich kamer. Obok niej stanął Chang, mrużąc oczy ze zdumienia.

– Co to jest? – spytał.

– Niech pan sam mi powie. – Wskazała ekran. – To pański system.

– Ktoś musiał się do niego włamać.

Przysunął się bliżej, kiedy technik powiększył nowy obraz, ukazując wyraźniej twarz skrupowanego żołnierza. Choć był zakneblowany, Jiaying rozpoznała jego rysy.

– To pański brat?

Podpułkownik zacisnął trzymaną przy boku dłoń w pięść.

– Gao...



General wskazała numer przesuwający się u dołu ekranu. Było to żądanie połączenia z kanałem radiowym. Domyślała się, kto odbierze po drugiej stronie.

– Może pan ustalić, skąd to nadają? – spytała Jiaying.

Chang odetchnął gwałtownie.

– Tak. To potrwa około minuty.

Ale czy Amerykanie wciąż tam będą?

Chwycił technika za ramię, ponaglając go, by jak najszybciej uzyskał tę informację; w tym geście wyraźnie kryła się groźba.

Technik zaczął stukać energicznie w klawiaturę, przebiegając wzrokiem po ekranach.

Jiaying spojrzała gniewnie na monitor.

– Tak jak cały czas podejrzewałam, okazało się, że to pański brat jest źródłem tego przecieku. Świadomie czy nieświadomie, to on ściągnął tu wroga.

Chang, nie mogąc temu zaprzeczyć, dosłownie kipiał gniewem.

Odwróciła się i stuknęła palcem w pierś podpułkownika.

– Więc niech pan naprawi błąd swojego brata. Niech pan wywabi tych intruzów na otwartą przestrzeń i ich wyeliminuje. – Popatrzyła na ekran rejestrujący obraz Arki. – Idę chronić nasze nabytki, zanim wszystko skończy się klęską.

Wypadła jak burza z centrum ochrony, zdecydowana przejąć nad sytuacją kontrolę, ale już analizowała wszystkie ewentualności, gdyby sprawy przybrały niewłaściwy obrót.

Podczas budowy tego ośrodka poleciła zainstalować w infrastrukturze różne pułapki. Pomyślała, że nie pozwoli się pogrążyć. Że nie zamierza ścierpieć hańby, jaką byłoby pozbawienie jej władzy nad tym ośrodkiem.

Jeśli mam upaść, to pociągnę za sobą innych.

Z radia, które trzymał Monk, dobiegło buczenie.

Czas się popisać.

Wsiadł do pojazdu elektrycznego, który zarekwirowali, zielonej wojskowej ciężarówki z odsłoniętą skrzynią ładunkową. Sierżant Chin zajął miejsce za kierownicą, podczas gdy Kong i bracia Shaw zaciągnęli nieprzytomnego chińskiego kierowcę do sąsiedniego laboratorium.

Monk podniósł buczące radio i usadowił się obok Kimberly.

– To połączenie na bezpiecznym kanale – powiedział. – Chyba dostali twoją wiadomość.

Nachylił się do niej, wciskając guzik, by jego partnerka mogła słuchać i w razie potrzeby tłumaczyć.

Osoba, która się odezwała, mówiła coś ostro w dialekcie mandaryńskim.

– Chce wiedzieć, kim jesteście – wyszeptała Kimberly.

Monk podniósł mikrofon do ust, licząc na to, że rozmówca zna angielski.

– Wiecie, kim jesteście. I domyślam się, że to Zhôngxió Sun. – Miał nadzieję, że wymawia stopień podpułkownika prawidłowo. – Brat Gao Suna.

Nie było odpowiedzi. Cisza się przeciągała, więc Monk klepnął China w ramię, ten zaś ruszył, gdy tylko bracia Shaw i Kong wskoczyli na skrzynię.

Monk rzucił pełne niepokoju spojrzenie Kimberly.

Jeśli się nie udało...

Wtedy nadeszła odpowiedź, a w głosie rozmówcy wyczuwało się wściekłość.

– Tu podpułkownik Sun. Jeśli chcecie żyć, poddajcie się bezzwłocznie... i uwolnijcie mojego brata.

Monk dosłyszał w ostatnim słowie nutę rozpacz.

Dobrze.

Kimberly, wykorzystując swoje źródła wywiadowcze, otrzymała wcześniej informacje na temat obu braci. Chang był starszy, żonaty,

miał małą córkę. Gao był kawalerem. Obaj stracili rodziców, kiedy mieli po kilkanaście lat, i krótko potem wstąpili do wojska, by służyć w tej samej jednostce. Kimberly przypuszczała, że taka tragedia bardzo związała obu mężczyzn.

Trzeba to wykorzystać.

Monk przysunął mikrofon do ust.

– Jeśli chce pan jeszcze zobaczyć brata żywego, proszę mnie wysłuchać.

Kiedy czekał na odpowiedź, ciężarówka posuwała się długim korytarzem, mijając po drodze laboratoria pełne stalowego sprzętu i klatek. Jak dotąd napotkali niewielu członków personelu. Najwyraźniej alarm zapędził wszystkich do miejsc zakwaterowania.

– Jakie są wasze żądania? – spytał zwięźle Chang.

– Proste. Pomoże pan nam, my pomożemy panu.

Znowu nastąpiła dłuższa chwila ciszy, wreszcie powrócił głos Changa, już znacznie spokojniejszy.

– Jak?

– Jeśli udzieli nam pan wsparcia, nic nie zrobimy pańskiemu bratu, poza tym dostarczymy niepodważalnych dowodów wskazujących na to, że generał dywizji Lau współpracowała z nami. Będzie kozłem ofiarnym. Każda nasza wygrana w ciągu następnej godziny będzie oznaczała jej porażkę.

Monk wstrzymał oddech. Powodzenie tego planu opierało się na animozjach między Changiem i jego przełożoną, ale czy zawodowa ambicja mogła w tym wypadku przeważać lojalność?

– Skąd mam wiedzieć, czy możecie zrobić to, o czym mówicie? – spytał Chang.

– Czy nie dostaliśmy się do waszego kompleksu? – odpowiedział Monk. – To dostateczny dowód naszych umiejętności i doświadczenia.

– Ale dlaczego miałbym wam ufać?

– Nie ma pan wielkiego wyboru. Jeśli nie zdołamy przekazać naszym agentom w Pekinie, że nasz plan się powiódł, ciało

pańskiego brata zostanie znalezione niedaleko ambasady USA, wraz z niezaprzeczalnymi dowodami, że próbował uciec do tej bezpiecznej strefy. – Monk podkreślił śrubę. – Znajdą przy nim dowody wskazujące na pana i pańską żonę jako amerykańskich szpiegów. – Odczekał chwilę, by sens jego słów dotarł do rozmówcy. – Proszę posłuchać. Jeśli dostaniemy to, czego chcemy, okaże się pan bohaterem, a generał Lau straci stanowisko. W przeciwnym wypadku ucierpi pan wraz z rodziną, a Lau będzie pławić się w glorii jako ktoś, kto nas powstrzymał. Wybór należy do pana, Zhôngxió Sun.

Tym razem milczenie nie trwało nawet sekundy.

– Co mam zrobić?

Monk uśmiechnął się szeroko do Kimberly.

– Niech pan nam powie, gdzie znajdują się porwani Amerykanie, i ułatwi nam dotarcie do nich.

Kimberly trzymała już swój telefon satelitarny. Wyświetliła schemat ośrodka, który wcześniej pobrała z terminalu komputerowego. Kiedy Chang przekazywał konieczne informacje, skinęła głową.

– Mam to – wyszeptała. – Wiem, gdzie są.

– Co jeszcze? – spytał gorzko Chang.

– Jedna rzecz.

– To znaczy?

Monk powiedział mu i rozłączył się.

Kimberly obróciła się do niego i westchnęła.

– Możemy mu ufać?

Wskazał przed siebie.

– Wkrótce się dowiemy.

Kiedy wyruszyli, pojawiło się jeszcze jedno pytanie.

A jeśli jest już za późno?

Ziemia drżała, gdy potężny osobnik o srebrzystym grzbiecie szarżował na Kowalskiego. Ten, w pozycji na czworakach, nie mógł zrobić nic więcej, niż tylko przygotować się na to, co miało lada chwila nastąpić. Mimo wszystko, starając się za wszelką cenę znaleźć jakieś schronienie, przeturlał się w stronę hybrydowego stwora o czarnym futrze, który leżał rozwalony po lewej stronie i pochrapywał.

Niewiele mi to pomoże, pomyślał Kowalski i w tym momencie rozległ się przeraźliwy skowyt, jakby dochodzący zewsząd i odbijający się echem od kamiennych ścian. Ten krzyk był pełen gniewu i groźby.

Co teraz?

Podniósł głowę i zobaczył, że osobnik o srebrzystym grzbiecie zatrzymuje się gwałtownie w odległości metra. Wsparł się na kłykciu i odwrócił, szukając źródła tego dźwięku.

Kowalski zrobił to samo, wykorzystując jednocześnie okazję, by się wycofać jeszcze dalej, i wpełzł za skupisko głazów pośrodku habitatu.

Potem dostrzegł ciemny kształt, który odbił się od ściany pod oknem obserwacyjnym; poruszał się szybko, podskakując i pędząc w jego stronę. Kowalski potrzebował zaledwie chwili, by rozpoznać Baako.

Nie...

Co on tu robił?

Baako, pokonując ostatnią przeszkodę, wylądował w przysiadzie obok Kowalskiego. Dysząc, malec obrócił się ku górze mięśni, która majaczyła groźnie tuż obok. Wyprostował się i zaczął uderzać pięściami w pierś, rzucając wyzwanie rządzącemu tym habitatem osobnikowi alfa.

Niezbyt mądre, dzieciaku, pomyślał Kowalski.

– Uciekaj, Baako! – wrzasnęła, machając ręką, co roznieciło nowy ogień bólu w jego połamanych żebrach. – Zjeżdżaj stąd!

Baako nawet nie drgnął.

Samiec o srebrzystej sierści tkwił w miejscu, próbując najwyraźniej pojąć to gwałtowne wtargnięcie na jego teren, nie wspominając już o buntowniczej postawie małego goryla. Zaskoczenie ustąpiło jednak szybko, wyparte przez irytację i gniew.

Z szerokiej piersi dobył się ryk. Półtonowa bestia rzuciła się do przodu i machnęła potężną ręką – ale Baako zdążył już umknąć.

Podskoczył wysoko, wykonał salto nad barkiem wielkiej bestii i wylądował na jego zadzie.

Olbrzymi samiec wyprostował się gwałtownie, wymachując rękami.

Baako, widząc kończynę zmierzającą w jego stronę, odskoczył. Tym razem nie zdążył uciec dostatecznie szybko. Łokieć trafił go w biodro i odrzucił daleko, on jednak, nim uderzył o ziemię, zdołał się przekręcić, przetoczył się przez bark i przekoziółkował po ziemi.

Stary samiec zagrzmiał, uderzając pięścią o głaz.

Inni mieszkańcy habitatu – początkowo zaskoczeni sytuacją – zaczęli z wolna reagować. W sytuacji gdy uwaga ich przywódcy skupiona była gdzie indziej, ruszyli ku Kowalskiemu.

Niedobrze.

Wciąż cofał się ku obszarowi głazów, obserwując jednocześnie, jak Baako ucieka przed górą mięśni i pazurów. Kowalski dotarł do skupiska skał i skoczył za wielki głaz. W jednej ręce trzymał spory kamień, w drugiej betonową gałąź, która odłamała się z jednego ze sztucznych drzew. Zamierzał zachowywać się wobec tych stworów jak dziki jaskiniowiec.

Przywarł plecami do wielkiego kamienia, dostrzegając jednocześnie, że Baako, wyraźnie zmęczony, porusza się wolniej. Wielka bestia deptała mu już po piętach.

Kowalski skulił się w sobie, nie chcąc na to patrzeć; wtedy Baako uskoczył w lewo, umykając przed przeciwnikiem. Tamten nie mógł obrócić się równie szybko. Zwinność Baako brała górę nad rozpędzoną masą ciała bestii, ale ta w końcu zaczęła hamować

gwałtownie na podłożu pokrytym luźnymi kamykami, przyginając grube jak konary nogi. Jeszcze nim się zatrzymała, zwróciła się w stronę Baako, który, pechowo, ruszył wprost ku kryjówce Kowalskiego.

Ten się wychylił, machając na Baako i wskazując otwarte okno.

– Spieprzaj tam!

Tak jak wszyscy w jego życiu, Baako go zignorował.

Malec wykonał ostatni skok w jego stronę, wyciągając ręce, ale zabrakło mu szczęścia i szybkości. Stary samiec chwycił go za kostkę i cisnął jego drobnym ciałem w bok, poza zasięg dłoni Kowalskiego.

Nie!

Godzina 12.14

Nogę Baako przeszywa ból, gdy jego ciało zostaje gwałtownie szarpnięte. Skalne ściany są rozmazane. Wie jednak, że musi walczyć. I wie, gdzieś głęboko w swym sercu, że wszystko inne to śmierć.

Wciąż uwięziony, czuje, jak jego ciało unosi się wysoko nad potworem. Ta bestia to jakiś horror z historii, które mama opowiadała mu do poduszki. Bestia chce rąbnąć nim o podłogę. Zdając sobie z tego sprawę, Baako wykręca się i gryzie dłoń zaciśniętą na jego kostce u nogi.

Rozlega się ryk; ucisk słabnie.

Baako wyrywa się i spada bezwładnie w dół. Wymachuje rękami i nogami, starając się odzyskać równowagę. Po chwili monstrualnie silne palce chwytają go wpół, w powietrzu, i ściskają tak mocno, że nie może oddychać.

Potwór znów go trzyma, rycząc z wściekłości i pragnienia krwi. Paszcza rozwiera się szeroko, kły zbliżają do krtani Baako. Mały przewraca z przerażenia oczami, odnajduje wzrokiem twarz u góry, tak samo przerażoną.

Łapie oddech i pohukuje do niej.

Żegnaj, mamoo...

Ostatnie słabiutkie zawodzenie Baako dotarło do Marii, rozdzierając jej serce.

W matczynym odruchu – by chronić – nacisnęła spust karabinu, ale iglica uderzyła o pustą komorę. Zużyła ostatni ładunek, przeładowawszy już broń trzykrotnie podczas tej krótkiej walki w dole. Starła się trafić srebrzystego samca, ale bestia poruszała się zbyt szybko, umykając przed pociskami. Jedyne celne strzały dosięgnęły zwałistej samicy, która zbliżyła się za bardzo do kryjówki Kowalskiego.

Żądło tego ładunku wystarczyło, żeby odstraszyć zwierzę, ale musiała upłynąć minuta, by środek usypiający je powalił.

Jeśli w ogóle jedna strzałka wystarczy na tak potężną bestię.

Nie mając więcej amunicji, Maria mogła tylko patrzeć, jak samiec szykuje się, by rozerwać gardło Baako.

Nagle powietrze przeciął duży odłamek skalny i trafił potwora między oczy. Ten znieruchomiał na chwilę i podniósł wzrok, bardziej zaskoczony tym atakiem niż zraniony.

Kowalski wspiął się na jeden z kamieni, unosząc wysoko betonową maczugę

Spróbuj z kimś równym sobie, ty włochaty sukinsynu!

Godzina 12.15

Tyle że nie jestem mu równy...

Nawet stojąc na głazie, Kowalski był mniejszy od samca, który wciąż trzymał Baako, zapominając na chwilę o malcu.

– No, dalej! – rzucił wyzwanie goryłowi, machając swoją bronią w nadziei, że przeciwnik uwolni Baako.

Samiec o srebrzystej sierści ruszył w jego stronę, a potem zatoczył się na bok i przytrzymał jednego z betonowych drzew.



Gałęzie pękły pod tym ruchliwym ciężarem. Bestia osunęła się na jedno kolano.

Co, u diabła...

Rzucony kamień nie mógł spowodować aż takich obrażeń. To było jak strzelenie ziarnkiem grochu do byka.

Wielki stwór puścił jednak małego goryla i wbił pięść w podłogę, by się wyprostować. Uwolniony Baako czmychnął w stronę głązów.

Kowalski rozejrzał się. Inne stwory zastygły w miejscu, najwidoczniej zastraszone widokiem swego ogłuszonego przywódcy. Samiec osunął się na biodro, zmagając się z własną bezwładnością. Dopiero teraz Kowalski zauważył czerwone piórka sterczące z zadu potwora.

Spojrzał w górę, ku Marii. Udało jej się mimo wszystko trafić tego sukinsyna? Ale i ona sprawiała wrażenie zszokowanej.

Krzyknęła do niego, wskazując stalowe drzwi.

– Uciekaj! Jeden ładunek nie wystarczy!

Godzina 12.16

Maria uświadomiła sobie, co się stało. Wcześniej nie znalazła na podłodze upuszczonego ładunku. Teraz zrozumiała, gdzie się podział.

Zanim Baako wskoczył do Arki, musiał chwycić porzuconą igłę. Uczyła go w Lawrenceville o takiej broni, ponieważ stanowiła wyposażenie ośrodka. Chciała, by zrozumiał, że zwierzęta obezwładnione w ten sposób nie są martwe, tylko chwilowo uśpione.

Nigdy jednak nie była pewna, ile z tego wszystkiego pojął.

Jak widać, dostatecznie dużo.

Samiec w tym betonowym dole wciąż się chwiał, walcząc ze skutkami działania środka usypiającego.

Wykorzystując sytuację, Kowalski i Baako popędzili w stronę stalowych drzwi – wyjścia z Arki. Pozostałe goryle, pobudzone nagłym ruchem i prawdopodobnie ośmielone tym, że ich przywódca jest chwilowo unieszkodliwiony, zaczęły okazywać niepokój. Maria zwróciła się do młodej pielęgniarki, która wcześniej jej pomogła.

– Musisz otworzyć im drzwi.

Kobieta popatrzyła na nią żałośnie.

– Nie mogę. Stąd nie da się tego zrobić. Ktoś na dole musi przyłożyć dłoń do czytnika znajdującego się na zewnątrz.

A my wszyscy jesteśmy tu zamknięci.

Odwróciła się przygnębiona do okna. Kowalski i Baako wciąż biegli w stronę wyjścia, prowokując hybrydy do pogoni.

Ale zmierzali w niewłaściwą stronę.

Godzina 12.17

Kiedy Kowalski wskoczył do klatki przy drzwiach, usłyszał, jak ktoś go woła głosem pełnym strachu i zniecierpliwienia. To była Maria.

– Nie mogę stąd otworzyć drzwi! Musisz do mnie wrócić.

Coś wysunęło się przez okno i opadło wzdłuż skalnej ściany.

Wąż gaśniczy.

Chciała, by wydostali się za pomocą tej prowizorycznej liny.

Co nie było takie proste.

Popatrzył na gęstniejący pod klatką mur futra i mięśni. Nie sposób było się przebić przez tę ciżbę. Może zdołałby odwrócić uwagę stworów i umożliwić Baako ucieczkę, ale wątpił, czy malec zechce go opuścić.

Baako pociągnął go za ramię, jakby chciał mu coś przekazać. Rozpostarł kciuk i mały palec i skierował dłoń w dół.

Zostań.

Nim Kowalski zdążył zareagować, Baako wyskoczył z klatki i ruszył w podskokach ku stadu. Biegł w linii prostej, ale zdołał w ostatniej chwili ominąć zaskoczone stwory, umykając zwinnie przed próbami schwytania.

No i zostawił mnie.

Gdy hybrydy zaczęły się zbliżać do Kowalskiego, spróbował opuścić kratę w drzwiach klatki, ale była zablokowana.

Wtedy przepastnym habitatem wstrząsnął budzący grozę ryk, który dobył się z krtani samca o srebrzystym futrze.

Kowalski wycofał się ku stalowym drzwiom, pocieszając się jedną myślą.

Przynajmniej Baako zdołał uciec.

Godzina 12.18

Baako rzuca połamaną kamienną pałkę i ucieka.

Chwilę wcześniej podniósł ją z podłogi i ruszył na potwora, który miał opuszczone powieki i ciężki oddech. Nie zwalniając, Baako wyskoczył do góry i rąbnął z całej siły maczugą trzymaną w dłoniach. Pałka roztrzaskała się o wybrzuszenie nad tymi otępiałymi oczami, które natychmiast się rozwarły.

Wcześniej chciał, by potwór spał; teraz pragnął, by się ocknął.

I znów ryk goni Baako. Ból przeszywa jego prawą nogę, więc biegnie na czworakach, jak najszybciej. Potwór pędzi za nim z wściekłością.

Baako nie ucieka w stronę mamy... bo potwory nie zagrażają mamie.

Nie, kieruje się ku innemu członkowi swojej rodziny.

Kowalski zacisnął zęby, spodziewając się najgorszego, kiedy usłyszał, jak samiec o srebrzystym futrze znowu zmierza w jego kierunku. Ze zdumieniem zobaczył Baako, który przeskoczył nagle

ścianę klatki. Młody goryl wylądował na betonowym podłożu i popędził wprost do klatki.

Kowalski chwycił malca w ramiona, ale impet uderzenia rzucił go na stalowe drzwi, pozbawiając tchu w płucach. Mimo wszystko nie wypuścił Baako z objęć.

Ponad ramieniem malca widać było, jak zbita masa stworów rozpryskuje się na boki, gdy srebrzysty samiec wpadł między nich niczym pociąg towarowy. Wciąż oszołomiona bestia nie zdążyła zatrzymać się odpowiednio szybko i rąbnęła bokiem o klatkę tuż przy wejściu.

Kowalski skulił się od impetu uderzenia tej góry mięsa, bojąc się, że może ich mimo wszystko zmiażdżyć. Jednak potężny stwór odbił się od krat i wpadł z powrotem w tłum pobratymców, znów powalając ich na ziemię.

Baako chwycił Kowalskiego za rękę i pociągnął w stronę wyjścia.

Kowalski zrozumiał.

Zabierajmy się stąd, dopóki jest to jeszcze możliwe.

Przemknęli obok otępiałego cielska, przedzierając się przez tłum wciąż zagubionych goryli. Kowalski wiedział jednak, że to zaskoczenie nie będzie trwało wiecznie.

Popędził po betonowej podłodze, nie zwracając uwagi na ból, który przeszywał mu lewy bok.

Kiedy dotarli do ściany pod oknem, chwycił Baako wpół i podsunął go gwałtownym i szybkim ruchem do węża gaśniczego. Włochate ręce uchwyciły się mocno tej liny, ale malec spojrzął za siebie, wyrażając głośnym fuknięciem troskę.

– Jazda! – rzucił Kowalski. – Będę tuż za tobą!

Na potwierdzenie tych słów chwycił wąż i ruszył za Baako, gdy ten zaczął się wspinać.

– Pospieszcie się! – zawołała do nich Maria z wysokości drugiego piętra.

Nadchodzą!

Nie próbował nawet patrzeć w dół. Co by to dało? Podciągał się na rękach, pomagając sobie stopami. Zazdrościł malcowi, który pomknął ku górze i dotarł do Marii, znacznie go wyprzedzając.

Kiedy Baako zanurkował w otwarte okno, ukazała się w nim twarz Marii. Kowalski dostrzegł w jej rysach strach, w oczach ponaglenie.

Szybciej!

Godzina 12.19

Maria zobaczyła, jak tłum goryli rusza ku nim. Nawet największy samiec dźwignął się na nogi, rycząc i spoglądając w ich kierunku. Cios zadany mu przez Baako – a potem pościg i uderzenie o kraty – wystarczyły, by podnieść ciśnienie krwi i stłumić działanie środka usypiającego.

Ruszył ociężale, pociągając za sobą maruderów. Kilka bestii zaczęło atakować się nawzajem – oznaka rozbudzonych morderczych instynktów w stadzie – większe naskakiwały na mniejsze, dając dowód brutalności przekazanej im w genach będących tworem inżynierii biologicznej.

Kowalski był już w połowie drogi na górę, ale nie dość wysoko.

Maria spojrzała na rząd stalowych skrzyń pod łukiem okna, przypominając sobie słowa młodej pielęgniarki o barierze elektrycznej zakodowanej w srebrnych obrożach wokół szyj goryli hybrydowych. Ta niewidzialna tarcza miał utrzymać stwory w ryzach i razić je, gdyby chciały przedostać się wyżej.

Kowalski nie miał takiej obroży.

– Musisz wspiąć się ponad ogrodzenie elektryczne! – zawołała do niego.

Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem, nie rozumiejąc.

– Wchodź! – rzuciła przynaglająco.

Pochylił głowę i przyspieszył wspinaczkę. Nagle osłabły mu ręce i zsunął się o dobry metr, nim znowu ujął mocniej wąż.

Wisiał, łapiąc oddech, kiedy pierwszy goryl dotarł do ściany w dole. Na szczęście, był to jeden z mniejszych osobników, mający najwyżej dwa metry wzrostu. Podskoczył i musnął palcami obcas butów Kowalskiego.

To bezpośrednie zagrożenie wystarczyło, by dodać Kowalskiemu sił. Zaczął się wspinać szybciej, ale odczuwał ból. Po jego wykrzywionej twarzy spływały krople potu.

Większe stwory dotarły do ściany i ruszyły w górę, wciskając palce dłoni i stóp w skalne zagłębienia.

Maria wiedziała, że Kowalski nie zdąży.

Poczuła, jak wąż nagle się przesuwa.

Obejrzała się i zobaczyła, że Baako chwycił tę prowizoryczną linę. Ciągnął ją, starając się pomóc Kowalskiemu.

Dlaczego nie przyszło mi to do głowy?

Zaparła się nogami o ścianę i też zaczęła ciągnąć.

Wtedy przyłączyła się do niej młoda pielęgniarka. Po chwili pospieszyli z pomocą pozostali członkowie zespołu operacyjnego; zebrali się razem, zapominając w tym momencie o wszelkich dzielących ich różnicach. Obserwowali bohaterką walkę na dole i teraz postanowili uhonorować ten niezwykły wysiłek. Nawet gdyby miało to wszystko spełznąć na niczym, nie chcieli zostawiać człowieka na pastwę tych bestii.

Wspólnym wysiłkiem podciągnęli Kowalskiego pod samo okno.

Chwycił parapet jedną ręką, potem drugą, ale wyglądał na zbyt słabego, by precyzyjnie się przez uchylone skrzydło okna. Maria puściła wąż i pomogła mu dostać się do laboratorium. Osunął się ciężko na podłogę i przekręcił na plecy.

Z jego płuc przy każdym oddechu dobywał się świszczący oddech, ale zdołał wysapać:

– Co... co mówiłaś o jakimś ogrodzeniu?

Spod okna dobiegł trzask wyładowania elektrycznego, któremu towarzyszył ostry wrzask bólu. Maria dostrzegła goryla odpadającego od ściany. Kiedy leciał w dół, stalowa obręcz na jego szyi zostawiała po sobie spiralną strużkę dymu. Inne stwory albo znieruchomiały, albo zaczęły zeskakiwać ciężko na betonowe podłoże.

– Teraz to już nieważne – odparła i schyliła się, żeby pomóc mu wstać.

Baako pospieszył i objął niedźwiedzim uściskiem wielkiego mężczyznę, gdy ten podniósł się z podłogi.

– Dzięki, że nie pozwoliłeś skrzywdzić Baako – powiedziała Maria.

Kowalski położył dłoń na ramieniu goryla.

– Myślę, że to on nie pozwolił skrzywdzić mnie. – Obrócił gniewne spojrzenie na ludzi z zespołu chirurgicznego. – Ktoś chce nas zatrzymać?

W odpowiedzi wszyscy bez wyjątku pokręcili głowami – co zresztą nie miało większego znaczenia.

– Jesteśmy tu zamknięci – wyjaśniła Maria. – Od kiedy zawyły syreny.

– Więc wciąż tkwimy w pułapce.

Dotknęła jego łokcia.

– Ale przynajmniej nic nam nie grozi przez...

Światło zamigotało i zgasło, pogrążając laboratorium w ciemności.

Nikt się nie odzywał.

– Wymówiłaś to w złą godzinę – mruknął w końcu Kowalski.

Baako przysunął się do niej i chwycił ją za rękę. Nie lubił ciemności, ale po kilku pełnych napięcia chwilach wzdłuż górnych krawędzi ścian rozbłysły światła awaryjne o szkarłatnej barwie.

Maria westchnęła z ulgą.

– Może przy wyłączonej elektryczności uda się nam stąd wydostać – podsunął Kowalski.

Przeszedł szybkim krokiem przez salę i pociągnął masywne stalowe skrzydła drzwi, ale nawet nie drgnęły. Oparł pięści na biodrach, patrząc ze zmarszczonym czołem na drzwi, jakby mógł je w ten sposób otworzyć.

Baako zacisnął palce na dłoni Marii. Spojrzała w dół i zobaczyła, że malec wlepia wzrok w wąż gaśniczy, który wciąż wisiał za uchylnym oknem.

Poruszał się i trzeszczał.

O, nie.

Popatrzyła na okno, gdy ukazała się w nim masywna dłoń chwytająca za parapet.

Przy wyłączonym zasilaniu bariera elektryczna nie działała.

Maria cofnęła się przerażona i zwróciła ku uwięzionym w laboratorium ludziom.

– Nadchodzą!



Andy, Ekwador

1 maja, godzina 0.32 czasu miejscowego

Gray sapnął z zimna, kiedy wkroczył w mroczne rozlewisko, zakłócając w zwierciadlanej powierzchni doskonałe odbicie gwiazd i księżyca. Inni ruszyli w ślad za nim, wchodząc do wody. Chakikui i Jembe zostali na brzegu. Starszy człowiek dotrzymał obietnicy i doprowadził ich do zaginionego miasta.

Jak widać, owo zobowiązanie kończyło się u wrót tej metropolii.

Pozostawiony sam sobie Gray prowadził trójkę pozostałych przez wodę. Musiał przepłynąć ostatni odcinek, by dotrzeć do wylotu tunelu, który otwierał się w ścianie urwiska na przeciwległym brzegu. Między jego sklepieniem a poziomem wody było tylko trzydzieści centymetrów prześwitu.

Gdy tam dotarł, okazało się, że może dotknąć butami dna. Wsunął głowę w wejście i uniósł wodoodporną latarkę.

– Dalej jest głębiej. Sklepienie zniża się jeszcze bardziej – ostrzegł.

– Przedostaniemy się? – spytała Lena.

– Nie wiem. Niewykluczone, że trzeba będzie płynąć i szukać kieszeni powietrznych.

Nie wyglądała na zadowoloną.

On też nie był zachwycony tą perspektywą.

Roland dobrnął do Graya.

– W swej relacji z podróży do zaginionej biblioteki Petronio Jaramillo twierdzi, że aby do niej dotrzeć, musiał nurkować.

Seichan ponagliła ich ruchem dłoni.

– Dość gadania. Tylko w jeden sposób możemy się przekonać, czy coś tam jest. Sprawdzić to.

Gray dosłyszał nieskrywany sceptycyzm w jej głosie. Miała rację. Niewykluczone, że gonili wiatr w polu, ale nie pozostawało im nic innego, jak zrobić to, co sugerowała.

Sprawdzić to.

Przecisnął się do tunelu; niektóre odcinki musiał pokonywać niemal w pław. Powietrze w środku było wilgotne, wyczuwało się w nim woń mokrej skały i mchu. Strumień światła jego latarki dobywał z mroku dalszą część korytarza i krystalicznie czystą wodę; Gray miał wrażenie, że unosi się w płynnym szkle.

Usłyszał za plecami głosy – pozostali ruszyli za nim gęsiego, Seichan na samym końcu.

– Ściany – wyszeptała Lena do Rolanda. – Są zbyt gładkie jak na naturalny materiał.

Komandor przesunął opuszkami palców po sklepieniu i uświadomił sobie, że Lena się nie myli. Poza tym tunel biegł w zbyt prostej linii. Posuwali się w milczeniu głównie dlatego, że woda zaczęła niebawem sięgać im ponad usta. Gray trzymał głowę wysoko uniesioną, oddychając ciężko przez nos; stopniowo narastała w nim panika wywołana klaustrofobią. Sądząc po chrapliwych odgłosach, które docierały z tyłu, nie on jeden tak się czuł.

Zrobił kolejny krok i podłoże zniknęło mu pod nogami. Zaskoczony, zanurzył głowę, przyświecając sobie latarką. W jej blasku ukazały się stopnie schodów prowadzące w dół.

Odwrócił się i wypłynął na powierzchnię, uważając, by nie uderzyć głową o sklepienie. Wysunął usta nad linię wody.

– Schody – wysapał. – Zostańcie tutaj. Zanurkuje i sprawdzę, czy dalej jest jakieś przejście.

– Uważaj – zdołała wychrypieć Lena.

Zamierzał właśnie to robić. Był zły na siebie, że nie pomyślał o wypożyczeniu w Cuenca sprzętu do nurkowania, ale czy w tej górskiej wiosce znaleźliby jakikolwiek sklep specjalistyczny? Tak czy

owak, jeśli mogli dotrzeć bez aparatów tlenowych tylko do tego miejsca, i tak musieliby tu powrócić nazajutrz odpowiednio wyekwipowani.

Mimo wszystko czuł, jak coś go przynagla, nie daje mu spokoju. Chciał wierzyć, że jest to spowodowane długim lotem, ale wiedział, że chodzi o coś więcej. Ufając intuicji, wziął głęboki oddech i zanurkował.

Pracując mocno nogami, podążał za strumieniem światła latarki w dół stromych schodów. Wokół niego krążyły mącące czystą wodę tumany mułu, który wzbijał swoimi ruchami. Poczul w uszach ból od narastającego ciśnienia; w tym momencie dotarł do podnóża schodów i odkrył kolejny ciemny tunel.

Znieruchomiał, zastanawiając się, czy kontynuować podwodną wędrówkę, czy zawrócić.

Zacisnął zęby, odepchnął się od ostatniego stopnia i – zarówno przyciągany tajemnicą, jak i przynaglany napięciem – popłynął przed siebie. Po obu stronach otwierały się niewielkie komory. Światło latarki ujawniało niewyraźne przedmioty zagrzebane w mule i oblepione algami. Nie miał czasu zwiedzać tych pomieszczeń, więc parł przed siebie, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Te pomieszczenia nosiły jednak ślady wcześniejszego zamieszkania.

Wreszcie korytarz skończył się drugimi schodami, tym razem biegnącymi wąską spiralą w górę.

Skierował tam latarkę; czuł, jak jego płuca łakną powietrza. Wiedział, że dotarł do punktu krytycznego. Dosłownie. Miał dość oddechu, by wrócić do pozostałych – albo zaryzykować i popłynąć dalej.

Przypomniął sobie to, co Roland mówił o relacji Jaramilla. Ten człowiek twierdził, że istnieje przejście, ale to było dziesiątki lat wcześniej, gdy był jeszcze chłopcem. Nikt nie wiedział, czy ten podziemny system nie został z upływem czasu zalany bardziej... albo czy są to te same tunele, które przemierzał młody Jaramillo.

Gray odsunął od siebie wszelkie wątpliwości, ufając radzie udzielonej przez kogoś innego.

W jego głowie rozbrzmiewały słowa wypowiedziane przez Seichan.

Sprawdzić to.

Godzina 0.54

Seichan prześlizgnęła się obok Rolanda i Leny, ocierając się o ściany, i znalazła się na przedzie. Skierowała latarkę ku głębinie. Tumany mułu blokowały strumień światła, kryjąc nawet górny stopień schodów.

Za długo go nie ma.

W ciągu ostatnich lat Seichan miała dość dowodów na kompetencję Graya i jego umiejętności przetrwania w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Ale w tym momencie była przekonana, że nie żyje – nie z powodu własnego błędu, ale dlatego, że nie zasługiwała na szczęście, jakie z nim znalazła. Zanim go poznała, jej życie było samotne, wolne od wszelkich zobowiązań natury emocjonalnej. Choć pełne rozlanej krwi i terroru, miało dla niej sens jako pozbawione moralnej dwuznaczności. W pojedynkę łatwiej było zbroić się przed światem.

Ale teraz było inaczej i miotają ją sprzeczne uczucia.

Czasem leżała obok niego w łóżku i przyglądała się, jak oddycha. I walczyła ze sobą, zastanawiając się, czy wziąć go w ramiona i chronić, czy udusić poduszką, by się od niego uwolnić.

Teraz jednak nie odczuwała żadnej moralnej dwuznaczności, a jedynie pewność i determinację. Przesuwała snopem światła po mrocznej wodzie, robiąc to z bijącym sercem i wiedząc, czego pragnie.

Przywlecz tu swój tyłek, Gray. Nie waż się mnie zostawiać.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, zaczęła zmierzać w jej stronę gęstsza chmura mułu. Po chwili pojawił się jaśniejszy kształt. Seichan odsunęła się, by zrobić mu więcej miejsca.

Gray wynurzył się spod wody, unosząc usta i nos ku sklepieniu tunelu i łapiąc spazmatycznie powietrze. Chwyła go – nie dbając o to, że wciąż brakuje mu tchu – i przywarła do tych zimnych warg ustami.

W pierwszej chwili zeszywniał z zaskoczenia, a potem objął ją i przyciągnął do siebie. Kiedy się od niej odsunął, oczy błyszczały mu z rozbawienia.

– Więc się martwiłaś?

Odepchnęła go.

– Wiem, do cholery, że nie mogłeś tak długo wstrzymać oddechu. Musiałeś coś znaleźć.

– Co znalazłeś? – spytała zza jej pleców Lena.

Gray popatrzył na nią.

– Mam nadzieję, że dobrze pływasz.

Godzina 1.08

Jak daleko jeszcze?

Czując, jak jej płuca domagają się rozpaczliwie powietrza, Lena podążała za Grayem i nie odrywała spojrzenia od blasku jego latarki. Poprowadził ich w górę spiralnych schodów, które zdawały się ciągnąć bez końca. Lena zaczęła puszczać ustami bąbelki, żeby złagodzić nacisk w płucach i oszukać ciało, że zamierza wziąć oddech.

Wtedy przysunął się do niej Roland i zatrzymał nad nią. Wystrzeliła obok niego i chwilę później poczuła, jak jej głowa wynurza się gwałtownie z wody, ku powietrzu. Wzięła kilka spazmatycznych oddechów.

Dzięki Bogu...

Seichan wydostała się na powierzchnię obok niej. Odetchnęła tylko raz, jakby ten długi podwodny dystans nie zrobił na niej większego wrażenia.

Poirytowana Lena odwróciła się, starając odzyskać orientację.

Wynurzyli się w zalanej komorze, której kamienne sklepienie wznosiło się nad ich głowami na wysokości metra. W porównaniu z klaustrofobicznym tunelem ta przestrzeń wydawała się przepastna. Z wody wyłaniały się stopnie schodów.

Ruszyła za pozostałymi.

Roland pomógł jej wydostać się na kamienne podłoże i obrócić się.

– Jest tu cieplej – zauważył.

Uświadomiła sobie, że to prawda. Nawet przemoczona do suchej nitki, wyczuwała ciepło i wilgotność, których mogłaby się bardziej spodziewać w lesie deszczowym. W powietrzu wyczuwało się też wyraźną woń siarki.

– Dowód aktywności geotermalnej – wyjaśnił Gray, patrząc na Rolanda. – Wspominałeś, że ten rejon Andów jest niezwykle wulkaniczny?

– Owszem. Dlatego gleba jest tu taka żyzna.

Seichan otrzepywała z wody ubranie i ręce.

– Nic dziwnego, że ten, kto zbudował to wszystko, wybrał właśnie te tunele. Od razu miał ogrzewanie.

– Dokąd prowadzą? – spytała Lena, wskazując stopnie.

– Zobaczcie sami. – Gray znów ruszył przed siebie. – Wszedłem na samą górę, by się upewnić, że nie jest to ślepa uliczka.

Roland zapalił swoją latarkę, by tym lepiej oświetlić drogę. Stopnie kończyły się szerokim podestem. Lena dotarła tam i zatrzymała się przy księdzu, który znieruchomiał w pół kroku.

Snop światła jego latarki przesunął się po sklepionym wejściu prowadzącym do długiej sali. Było zrobione ze złota, w którym wyrzeźbiono wyszukane „rusztowanie” z kości i czaszek, bez

wyjątku ludzkich. Wraz z upływem czasu wilgoć i siarka zmatowiły wgłębienia, ale powierzchnia pozostała olśniewająca.

– Niesamowite – westchnął Roland.

I makabryczne, dodała Lena w myślach. Nic dziwnego, że miejscowi, którzy tu docierali, uważali to miejsce za niebezpieczne, zwłaszcza że w powietrzu unosił się zapach siarki.

Poczuła dreszcz niepokoju, pokonując sklepione wejście.

Inni nie mieli takich oporów. Gray poprowadził ich, oświetlając długie pomieszczenie. Pasaż wykuty w skale był szeroki i dostatecznie wysoki, by mogły nim maszerować obok siebie dwa słonie.

– Spójrzcie na ściany. – Roland przesunął strumieniem światła od podłogi do sklepienia. – Są pokryte pismem.

Lena przysunęła się bliżej i przyjrzała rzędom znaków. Jeden rzut oka wystarczył, by rozpoznała pismo sumeryjskie, egipskie hieroglify, glify Majów i greckie litery. Języki nakładały się na siebie, pokrywały całą ścianę aż do góry i biegingy na całej długości sali.

– Jak to, co widzieliśmy w kaplicy Świętego Eustachego – zauważył Roland.

Przykucnęła i zaczęła przyglądać się najniższemu rzędowni pisma, najstarszemu, jak wszystko na to wskazywało. Ujrzała te same proste i prymitywne znaki, które widziała wyrze na kamiennych słupach w lesie chmurowym. Przesunęła palcami po kilku liniach.

– Czy patrzę na najwcześniejszy język pisany?

Wyprostowała się i spojrzała na swoich towarzyszy.

– Masz chyba rację. – Roland ruszył w głąb sali, wodząc wokół wzrokiem. – I jestem pewien, że ojciec Kircher, ozdabiając swoją kaplicę, wzorował się na tym miejscu. Co sugeruje, że Nicolaus Steno musiał przemierzać tę samą salę i wrócił, żeby powiedzieć o tym przyjacielowi.

Gray patrzył na ściany.

– To z pewnością potwierdza słowa ojca Crespiego. Nie ma wątpliwości, że ci starożytni budowniczoie komunikowali się z

resztą świata.

Lena spoglądała przed siebie; próbowała sobie wyobrazić, co znajduje się poza zasięgiem światła latarek, i wspominała opowieści o rozległym systemie jaskiń pod Andami, rozciągającym się daleko i szeroko pod kontynentem. Według miejscowych artefakty ojca Crespiego pochodziły z okolicznej dżungli, zostały wydobyte z pieczar, tuneli i pokrytych winoroślą ruin.

– Wygląda na to, że tunel kończy się w tamtym miejscu. – Seichan wskazała ręką.

Podążyli dalej i odkryli kolejne schody – biegły spiralnie w dół. Przystanęli na ich szczycie.

Roland westchnął.

– Miejmy nadzieję, że nie prowadzą do jakiejś zalanej części.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – rzucił Gray i poprowadził ich krętymi stopniami.

Lena wstrzymała oddech, pewna przy każdym kolejnym zakręcie, że za chwilę ujrzy czarne rozlewisko odbijające światła ich latarek. Schody wciąż jednak były suche.

– Znajdujemy się z pewnością głęboko pod poziomem wody – powiedział Roland, wyrażając głośno obawę, którą wszyscy żywili.

Ta myśl przyprawiła Lenę o dreszcz.

Gray dotknął ścian.

– Ta część budowli musi być w jakiś sposób odgradzona od okolicznych wód.

Nie znalazła szczególnej pociechy w jego słowach.

Wreszcie schody się skończyły i znaleźli się w kolistej sali. Była równie wysoka jak ta poprzednia i tak rozległa, że światło latarek ledwie dobywało z mroku przeciwległą ścianę.

Okazało się, że Seichan ma ostrzejszy wzrok od Leny.

– Wygląda na to, że prowadzą stąd następne schody. – Spojrzała na Graya. – Jeszcze głębiej w dół.

Lena ledwie spojrzała w tamten zacieniony zakątek. Podobnie jak Roland, który popatrzył na nią z uniesionymi brwiami. Szedł z nią



wzdłuż kolistej ściany, w której wycięto tysiące małych nisz. W tych otworach znajdowały się rzeźby różnych zwierząt, od tak niewielkich jak jej kciuk po tak duże jak koń naturalnej wielkości.

– To przypomina tę galerię, którą znaleźliśmy w Chorwacji – zauważył ksiądz.

Skinęła odruchowo głową.

– Tyle że tamta była kilkakrotnie mniejsza.

Pełna podziwu, nie mogła się oprzeć ciekawości. Dostrzegала zwierzęta wszelkiego rodzaju, pochodzące z każdego zakątka świata. Chrząszcze o opalizujących kryształowych pancerzach, stonogi ze złotymi odnóżami, krokodyle inkrustowane szmaragdami, mały przybrane kunsztownie miedzianym futrem, bizona i jelenie pyszniące się rogami z kości słoniowej, skorpiony okryte czarnym metalem.

W niszach na wyższym poziomie królowały niezliczone ptaki, wszystkie o upierzeniu z kryształowych odłamków tworzących istny kalejdoskop odcieni: jastrzębie, wróble, orły, pelikany, kolibry. Niektóre siedziały w gniazdach, inne były usadowione na złotych gałęziach. Jeszcze inne w niewytłumaczalny sposób zastygły w locie wewnątrz swych nisz.

Na niższych poziomach umieszczono, odtworzone w najdrobniejszych szczegółach, istoty żyjące w głębinach mórz albo pod ziemią: porcelanowe ryby, szeregi mrówek, homary w kolorze miedzi, srebrne robaki wijące się w kwarcowych kulach... Całe mnóstwo.

Na widok tego bogactwa Roland niemal dostał oczopląsu.

– To zapis życia na planecie – powiedział, nie kryjąc zdumienia. Wskazał hipopotama wyrzeźbionego w złocie, z czarnymi diamentami zamiast oczu. – Nie wyłączając wielu gatunków nieznanymi temu kontynentowi.

– Myślę, że to także zapis sztuki – dodała Lena. – Umiejętność, z jaką wyrzeźbiono ten ogród życia, dowodzi zastosowania mnóstwa technik rozwiniętych w wielu kulturach. Wytapianie przeróżnych

metali, cięcie kryształów i kamieni szlachetnych, obróbka emalii i porcelany. – Zatoczyła ręką szeroki łuk. – Pod wieloma względami przedstawia to ewolucję wiedzy równie wyczerpująco jak ta sala pisma na górze.

Zdążyli już obejść całe pomieszczenie i dotrzeć do schodów. Stopnie prowadziły w dół, tym razem w linii prostej, nie spiralnej. Nawet z wysokości podestu światło latarki Rolanda odbijało się od powierzchni tego, co znajdowało się na dole.

– Więcej złota – zauważył Gray.

Lena nie potrzebowała zachęty, by ruszyć w dół, przyciągana nie obietnicą bogactwa, lecz ciekawością zrodzoną z pytania, co jeszcze mogą odkryć. Schody były dostatecznie szerokie, by mogli iść obok siebie, ramię w ramię. Wstrzymali oddech, gdy ich oczom ukazała się następna podziemna komora.

Kiedy dotarli na dół, Roland uczynił znak krzyża, a potem dotknął ramienia Leny.

– Byliśmy już tutaj.

Godzina 1.33

Bojąc się wkroczyć głębiej, Roland, stał przy wejściu i omiatał salę światłem latarki. Przestrzeń miała te same rozmiary i kształt co galeria wyżej, ale tutaj każda powierzchnia – podłoga, ściany, sufit – była pokryta kutym złotem i ozdobiona wyszukanymi mozaikami z krystalicznych płytek. Przypominało to wejście w średniowieczny iluminowany manuskrypt. Nawet motywy były gotyckie – wizerunki ludzi i zwierząt w stylizowanej, sztywnej formie, wszystko pośród wyrafinowanych pędów winorośli, drzew i krzewów.

A jednak miało to w sobie jakiś znajomy element.

Lena też to dostrzegła.

– Jakby ktoś wziął za wzór te malowidła jaskiniowe w Chorwacji i stworzył tu ich repliki w złocie i kamieniach szlachetnych.

Roland skinął głową i razem z nią, Grayem i Seichan wszedł do sali.

Ściany pokrywały obrazy życia ujawniającego się ich oczom w całym swym nieokiełznanym bogactwie: lwy, stada jeleni i bizonów, galopujące konie, nawet niedźwiedź jaskiniowy unoszący się na tylnych łapach. Ale pośród zwierząt umieszczono mniejsze postaci, niewątpliwie mężczyzn i kobiet.

Ksiądz podszedł do ściany, by przyjrzeć się rysom jednej z nich, skomponowanej z płytek nie większych niż paznokieć jego małego palca. Wskazał wystające czoło i zwrócił się do Leny, szukając u niej potwierdzenia.

– Przypuszczam, że to wizerunek jednej z neandertalskich hybryd, takich jak Ewa Kirchera – wyszeptała. – Sądząc po tym, jak zostały tu przedstawione, próbują chronić i zachować zwierzęta. Ale wydaje mi się, że ta sztuka ma bardziej metaforyczne znaczenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Gray, podchodząc do nich.

– Myślę, że pokazuje ludzi być może jako strażników przyszłości, broniących życia w jego wszelkich formach.

– Jak Czuwający opisani w starożytnych tekstach – uświadomił sobie Roland.

– Albo Atlantydy Platona – dodała Lena.

– Nosili też inne imiona – dodał Roland i wszyscy na niego spojrzeli. – Kiedy czytałem o Crespim i jego wierze w istnienie zaginionej cywilizacji w Ekwadorze, natrafiłem na wzmianki o Towarzystwie Teozoficznym założonym pod koniec dziewiętnastego wieku. Jego członkowie uważali, że niewielka grupa, którą zwali Bractwem Świętych, stanowiła tajną siłę napędową ludzkiego rozwoju, strzegąc wiedzy i ją rozpowszechniając. – Skinął Lenie głową. – Przypomina to twoją hipotezę o pradawnych nauczycielach, zrodzonych z hybrydyzacji neandertalczyków i wczesnego człowieka.

Seichan stała kilka kroków dalej, z twarzą zwróconą w górę.

– Czuwający, Atlantydzi, święci czy jakkolwiek ich nazwiecie...  
Jeśli są strażnikami, to nietrudno powiedzieć, czego strzegli.

Roland zrozumiał. Wykręcił szyję i spojrzął ponad zwierzętami i garstką ich obrońców na postaci, które majaczyły groźnie w górze. W Chorwacji były to złowieszcze cienie rzucane przez wyrzeźbione stalagmity. Ale tutaj wróg został przedstawiony równie szczegółowo jak zwierzęta i ich strażnicy.

Przesunął latarkę, by lepiej oświetlić te sylwetki. Miały włochate głowy i potężne kości, oczy pod wystającymi brwiami płonęły ognistą krwiożerczością. Atakowały otaczające je zwierzęta maczugami i prymitywnymi włóczniami. Seichan zatrzymała się przed najbardziej makabrycznym obrazem: dwoma olbrzymami rozrywającymi dziecko, którego pozbawiały kończyn.

– Co to ma przedstawiać? – spytał Gray.

– Nie wiem. – Roland zmarszczył czoło. – Może te istoty też zostały przedstawione metaforycznie. Obraz brutalności związanej z ignorancją, ilustrujący to, przed czym bronili się ci strażnicy.

Lena pokręciła głową.

– Nie. Szczegóły i budowa tych dużych postaci są zbyt dokładne. Spójrzcie na ich twarze, na kończyny. Myślę, że był to realny wróg.

Gray nie krył zdumienia.

– Kto?

– Może jakiś rywalizujący z nimi klan hominidów, jeszcze jedno dawne odgałęzienie rodzaju ludzkiego. Wiemy, że człowiek pierwotny żył nie tylko pospołu z neandertalczykami. Istniały też mniejsze plemiona.

– Ale gatunek odznaczający się takimi rozmiarami? – zdziwiła się Seichan.

Lena wzruszyła ramionami.

– Niektórych przedstawicieli bocznych linii Homo erectus uważa się za istnych gigantów. Jak gatunek zwany megantropem albo Wielkim Człowiekiem. – Wskazała obrazy na ścianach. – Myślę, że jest to obraz prawdziwej wojny z tym innym plemieniem, walki o

przyszłość ludzkości, bitwy między siłą fizyczną a rozumem, między ignorancją a inteligencją.

Gray wyciągnął rękę ku jednej z tych monstrualnych postaci.

– Jeśli masz rację, to ten wróg mógł stanowić siłę jednoczącą neandertalskie hybrydy. Bez tego zewnętrznego zagrożenia plemię pradawnych nauczycieli mogłoby nigdy nie powstać.

Lena skinęła głową.

– Może takie niebezpieczeństwo wyjaśnia też, dlaczego ci nauczyciele potrzebowali własnego domu. Miejsca ucieczki od świata, schronienia, w którym mogli studiować i uczyć się w spokoju, zachowując to, co ważne, i z którego mogli wyruszać, by dzielić się swoją wiedzą.

Roland popatrzył w stronę kolejnych schodów po drugiej stronie sali.

– Ale co się z nimi stało? Dokąd odeszli?

Kiedy skierowali się ku tym mrocznym stopniom, obawiał się, że mogą nigdy nie poznać prawdy – ale w równym stopniu bał się, że ją poznają.

Godzina 1.47

Gray prowadził ich w dół szerokich schodów. Zdawało się, że stopnie ciągną się przed nim w nieskończoność. Według jego obliczeń znajdowali się na głębokości co najmniej piętnastu, a nawet dwudziestu pięter pod powierzchnią. Widział w myślach, jak schodzą w głąb suchej studni, którą ze wszystkich stron otacza woda.

Jak głęboko sięgają te schody?

Otarł pot z czoła. Z każdym kolejnym poziomem robiło się coraz goręcej, woń siarki w powietrzu była coraz silniejsza, jakby schodzili do samego piekła.

Wreszcie wyłoniło się przed nim podnóże schodów. Docierała stamtąd srebrzysta iluminacja. Początkowo sądził, że znajduje się tam jakieś źródło światła, ale gdy dotarł do ostatnich stopni, przekonał się, że to blask ich latarek odbija się od krystalicznych powierzchni.

– Niewiarygodne – mruknął Roland.

Tak jak złota komnata wyżej, ta też była kolista i miała podobne rozmiary, tyle że tutaj każdą płaszczyznę pokrywały kryształy. Podłogę i ściany wyłożono czymś, co przypominało płachty kwarcu z osadzonymi w nich kamieniami szlachetnymi i kawałkami kolorowego kwarcu. Na sklepieniu znajdował się bezksiężycowy gwiazdny krajobraz utworzony z bryłek kwarcu osadzonych w płytach z obsydianu. Wszystko to wspierało się na kolumnadzie kryształowych filarów w stylu gotyckim, z piedestałami i kapitelami ozdobionymi kamieniami szlachetnymi, połączonych ze sobą za pomocą łuków.

Niżej widać było krąg wysadzanych klejnotami drzwi o węgarach zabezpieczonych czarnym woskiem. Dwoje z nich – po przeciwległych stronach sali – zostało wyważonych. Podłogę zaściełały kawałki pieczęci.

Roland ruszył w stronę jednych, a Lena drugich.

Gray i Seichan skierowali się ku środkowi pomieszczenia, przyciągani tym, co tam stało.

– To biblioteka! – zawołał Roland. Z wnętrza komnaty, do której wszedł, docierał blask jego latarki. – Są tu setki półek, wszystkie połączone, ciągną się bez końca. I tyle książek... – Uklęknął. – Jedna leży na podłodze, jakby ktoś ją wyciągnął i zostawił w tym miejscu. Może nawet zrobił to Jaramillo.

– To samo znalazłam tutaj – poinformowała z przeciwnej strony Lena, przyświecając sobie latarką. – Złote półki. W głębi widzę jeszcze więcej sal.

Roland przyjrzał się uważnie porzuconej księdze.

– Nic dziwnego, że Jaramillo nie umieścił jej z powrotem na półce. Waży chyba ze dwadzieścia kilo. Oprawa jest wykonana z czarniawego metalu, a strony wyglądają jak cienkie arkusze miedzi. Pismo w środku jest nie do rozszyfrowania, ale to ten sam linearny ciąg znaków, jakie widzieliśmy na kamiennych blokach w dżungli i u dołu ściany w tamtej sali języków.

– Moje książki... książki, które się tu znajdują, są wykonane z jakiegoś krystalicznego materiału, precyzyjnie grawerowanego! – zawołała Lena głosem pełnym zdumienia. – Widzę geometryczne kształty, a wewnątrz dziwne wzory, i mogłabym przysiąc, że przypomina to formuły matematyczne.

Nim oboje zdążyli zagłębić się w biblioteki, Gray nakazał im wrócić.

– Potrzebuję tu wszystkich.

Zatrzymał się wraz z Seichan przy największej tajemnicy tego pomieszczenia.

Pośrodku znajdowało się długie podwyższenie wykute z dużego bloku półprzezroczystego kwarcu. Na nim spoczywał wyrzeźbiony ze złota ludzki szkielet; każda kość została doskonale ukształtowana. Postać spoczywała na boku, trzymając znajomy już złoty pręt.

– Co wy na to? – spytał Rolanda i Lenę, kiedy stanęli obok niego.

– To musi być żebro Ewy, to, które widzieliśmy wycięte z kości słoniowej w kaplicy. – Ksiądz przesunął strumieniem światła wzdłuż pręta, dobywając z mroku precyzyjne prążkowanie widniejące na starożytnym pomiarze, którego długość korespondowała z obwodem ziemi. – Jest na ten temat wzmianka w Apokalipsie świętego Jana. W rozdziale dwudziestym pierwszym, wers piętnasty. A ten, który mówił ze mną, miał złotą trzcinę jako miarę, by zmierzyć Miasto i jego bramy, i jego mur<sup>1</sup>. Czy jest możliwe, by chodziło o to samo złote narzędzie pomiaru?

Nikt mu nie odpowiedział.

Lena oświetliła szkielet.

– To dziwne – mruknęła.

– Co? – Gray zorientował się po budowie czaszki, że to neandertalska hybryda, ale reakcja Leny dowodziła, że musiała ona odkryć coś jeszcze.

Pokręciła nieznacznie głową.

– Odwzorowanie anatomiczne jest zdumiewające... ale też niewłaściwe.

– To znaczy? – spytała Seichan.

– Spójrzcie na miednicę. – Lena skierowała tam strumień światła.

– Jedna połowa jest pod względem anatomicznym kobieca, ale druga męska. Podobne nieścisłości można dostrzec w całym szkielecie, połączenie budowy żeńskiej i męskiej.

Gray zmarszczył czoło.

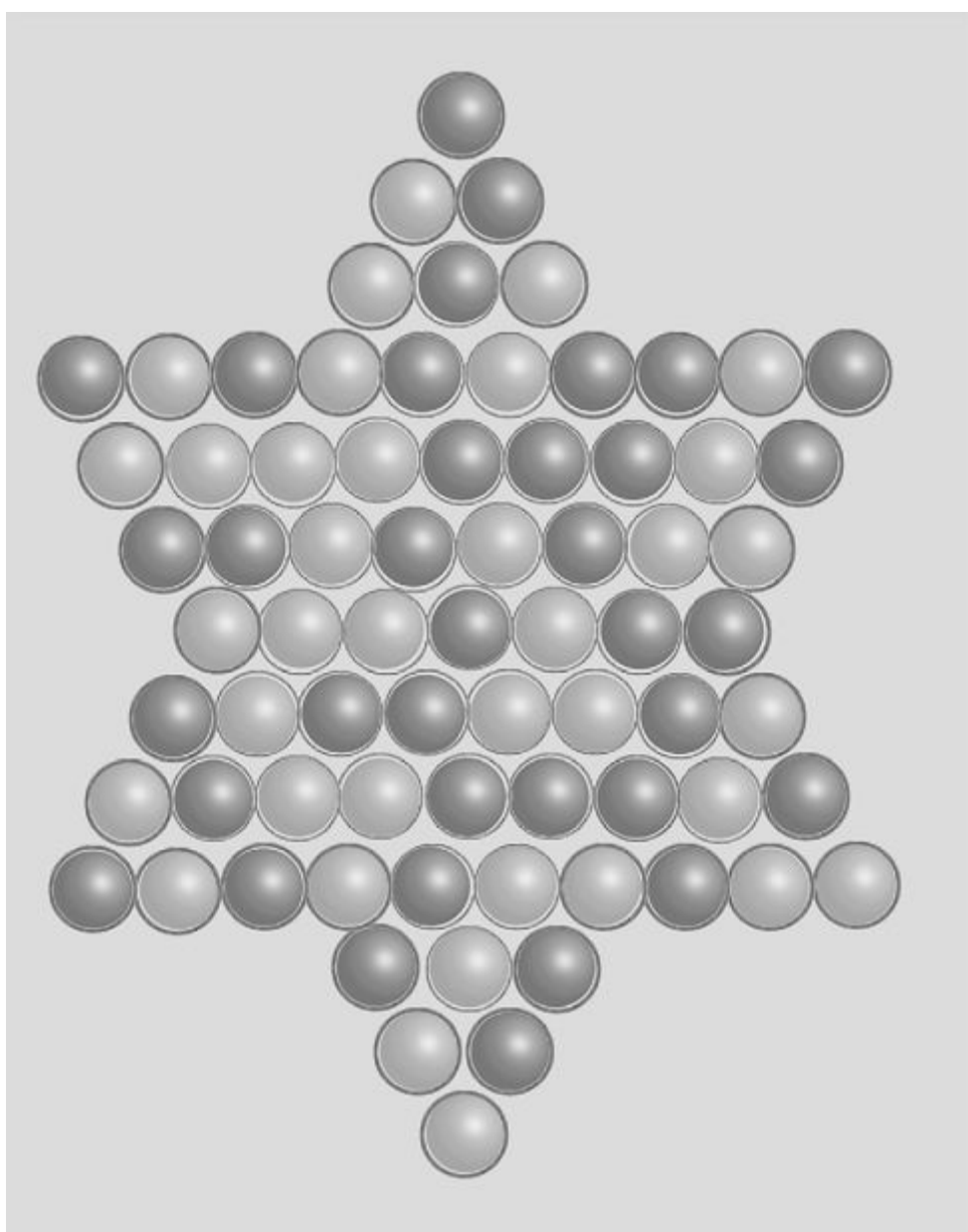
Dziwne.

Seichan zbliżyła się do podestu, przed którym stała wysoka do pasa kolumna.

– A co to takiego?

Gray podszedł do niej. Górna powierzchnia kolumny była ścięta pod kątem, na niej zaś umieszczono symbol, który już wcześniej widzieli. Była to sześcioramienna gwiazda składająca się z siedemdziesięciu trzech elementów.





– Identyczny jak petroglif na grobie Ewy – zauważyła Lena. – Tyle że zamiast odcisków dłoni tworzą go metalowe i marmurowe kulki.

– Skąd on się tu wziął? – spytał Roland.

– Nie wiem – przyznała Lena. – Ale umieszczenie go na tak widocznym miejscu musi mieć jakieś znaczenie.

Seichan wzruszyła ramionami.

– Albo może ktoś naprawdę lubił chińskie warcaby.

Gray wyjął jedną z metalicznych kulek z jej wklęsłej panewki, chcąc przyjrzeć się dokładniej. Gdy tylko usunął ją ze swego miejsca, rozległ się głęboki dźwięk, rozbrzmiewający ze wszystkich stron, jakby w kryształowym pomieszczeniu ktoś uderzył w gong.

Wszyscy zastygli bez ruchu.

– Odłóż to z powrotem – poradziła bezzwłocznie Lena.

Gray usłuchał i umieścił kulę na swoim miejscu. Wstrzymali oddech. Chwilę później donośny dźwięk rozbrzmiał ponownie.

– Za późno. – Seichan przyklękła i obejrzała dokładnie cokół. – Coś uruchomiłeś, a teraz nie da się tego zatrzymać.

Ujrzał w myślach ściany wody otaczające tę suchą studnię. Czy to pułapka?

Może trzeba było wziąć sobie do serca ostrzeżenie Chakikui dotyczące tego miejsca?

Znów rozległ się ten dźwięk.

Seichan wpatrywała się w podstawę filaru.

– Spójrzcie na to. Widzę cienkie nitki miedzi albo złota wychodzące z tych panewek u góry. Znikają w podłodze.

Gray przyklęknął i skierował strumień światła latarki na kolumnę.

– Masz rację. To prawdopodobnie coś w rodzaju mechanizmu wyzwalającego. – Podniósł się i zaczął uważnie oglądać wzór na górnej powierzchni. – A to być może sposób, by go zatrzymać.

– Jak? – spytała Lena. – Sądysz, że to swoisty test?

– Niewykluczone.

– Niczym łamigłówka, wyzwanie rzucone czyjejs wiedzy – zauważyła zamyślona.

Skinął głową.

– Może, jeśli ktoś chciał zawędrować dalej, budowniczowie wymagali od niego, by udowodnił, że jest tego wart.

Seichan skrzyżowała ręce na piersi.

– Więc sugeruję, żebyś nie zawiódł.

Jakby dla podkreślenia tych słów, w sali znów rozległ się donośny gong.

– Wydaje mi się... Sądzę, że ten rozbrzmiał szybciej – zauważył Roland.

Gray rozejrzał się.

Jeśli interwał się skraca...

– Myślę, że działa jak timer. – Ksiądz dokończył jego myśl.

Komandor zorientował się, że wszyscy na niego patrzą. Wiedząc, że liczą na niego, jeśli chodzi o rozwiązanie tej zagadki, wziął

głęboki oddech. Przypominając sobie uwagę Seichan o chińskich warcabach, znów skoncentrował się na gwiazdzistym wzorze.

Jakie są jednak zasady tej gry?

Świadomy, że i tak już przekroczył pewną granicę, ponownie wyjął metaliczną kulę i zważył ją w dłoni.

– Powiedziałaś – zwrócił się do Rolanda – że oprawy w tej twojej bibliotece zostały wykonane z czegoś ciemnego. Uważasz, że to ten sam materiał?

Książd przyjrzał się kuli z bliska i skinął głową.

– Tak mi się wydaje.

Gray wyjął z kolumny jeden z kwarcowatych kamieni i podsunął go Lenie.

– A to jest kryształ, podobnie jak książki w drugiej bibliotece.

– Myślisz, że ma to jakieś znaczenie? – spytała.

– Może. – Trzymał kule w obu dłoniach, czując różnicę w ciężarze. – Jest tu wzór przeciwieństw. Nieprzezroczysty i przezroczysty. Metal i kryształ. – Wskazał głową złoty szkielec. – Męski i żeński.

Westchnął ciężko, przeczuwając, że jest bliski zrozumienia czegoś, nie mógł się jednak zorientować, co to takiego. Jednym z powodów, dla których zwerbowano go do Sigmy, była jego wyjątkowa umiejętność wynajdywania prawidłowości tam, gdzie nikt ich zauważał, odkrywania związków między odrębnymi elementami, dostrzegania całości pośród części, istoty rzeczy pośród szczegółów.

Może jej nie dostrzegam. Może tym razem zawiodę.

Gong znów się odezwał, zmuszając go do koncentracji.

– Przeciwieństwa – mruknął, wiedząc, że taka jest właśnie odpowiedź.

Metal i kryształ...

Ciemny i jasny...

Ciężki i lekki...

Męski i żeński...

Czuł, że jest już blisko. Starał się znaleźć inne biegunowe właściwości zawarte w tej tajemnicy. Wziął kolejną z metalowych kul i położył obok pierwszej. Stuknęły i przywarły do siebie.

Otworzył szeroko oczy.

– Są magnetyczne.

Popatrzył na kulę w drugiej dłoni.

A kryształowe nie.

Kolejna para przeciwieństw.

Zamknął oczy.

Ale co to znaczy?

Kiedy znów rozległ się gong, zaczął przebiegać w myślach wszystko, co wydarzyło się w ciągu dwóch ostatnich dni. Oddychał z coraz większym wysiłkiem. Świadomość, że czas ucieka, potęgowała tylko jego napięcie. O co chodziło z tymi przeciwieństwami? Co mu umykało?

Nagle otworzył oczy.

Nie tylko przeciwieństwa...

Spojrzał na szkielet, na to połączenie męskiego i żeńskiego, dwie strony jednej monety.

– Są dla siebie zwierciadłami. – Obrócił się do pozostałych. – Chyba wiem, co robić.

Seichan spojrzała na niego ponuro.

– Obyś miał rację. Coś mi się zdaje, że masz tylko jedną szansę.

Sala znowu rozbrzmiała gongiem, dźwięk nastąpił zdecydowanie szybciej i był głośniejszy.

Gray wpatrywał się we wzór na górnej powierzchni kolumny.

A jeśli się mylę?

Godzina 1.58

– Dokąd poszli? – spytała Shu Wei chłopca, pochylając się groźnie nad drobną sylwetką.

Jego lewe oko już puchło od ciosu, który zadał mu kolbą pistoletu sierżant Kwan. Jej zastępca przyciskał teraz tę broń do skroni starego wytatuowanego Indianina, który klęczał obok sadzawki zasilanej przez kaskadę strumienia.

Jej ludzie schwytali tych dwóch, gdy podążając śladami czterech namierzonych celów, przebyli las. Grupa wędrowała w ciemności, posługując się jedynie noktowizorami. Bez trudu namierzyli tamtych w gęstwinie poprzetykanej mgłą. Grunt był nieodmiennie mokry, łatwo więc było dostrzec odciski stóp.

Kiedy jednak dotarli do brzegu rzeki, ślad się urwał. Najlepsi tropiciele w jej grupie – Zhu i Feng – spenetrowali przeciwny brzeg, ale po powrocie zameldowali, że tamtych nigdzie nie ma.

Podczas gdy ci dwaj prowadzili poszukiwania, Shu Wei starała się wraz z Kwanem wydobyć jak najwięcej informacji z tubylców, lecz ci okazali się uparci. Uświadomiła sobie szybko, że starszy nie mówi po angielsku, skupiła więc uwagę na chłopcu.

Po jego twarzy płynęły teraz łzy, ale w oczach malowała się zawziętość. Wyciągnęła z buta sztylet i przesunęła tępą stroną ostrza po jego policzku – po czym jednym ruchem nadgarstka obróciła stal.

– Drugi raz nie spytam już tak grzecznie – ostrzegła.

Od brzegu rzeki dobiegł głos starego Indianina. Chłopiec spojrzał na niego i odpowiedział coś gniewnie. Wychudzony mężczyzna powtórzył swoje słowa rozkazującym tonem.

Chłopiec przygarbił się, zamykając na chwilę oczy. Gdy je otworzył, wskazał wysokie skalne urwisko na przeciwnym brzegu rozlewiska.

– Tam poszli – powiedział. – W dół, do zakazanego miejsca.

Popatrzyła w tamtym kierunku, ale zobaczyła tylko nagą skałę. Uniosła nieco nóż.

– To jakaś sztuczka?

Chłopiec westchnął poirytowany i machnął w stronę wody.

– Jaskinia... na dnie.

Zmrużyła oczy i dostrzegła zalany wylot tunelu.

– Tam weszli?

Skinął głową i opuścił ją zawstydzony.

– Pokażesz nam. – Chwyliła go za ramię i zawlokła nad brzeg rzeki. – Zabierzesz nas tam.

Wyswobodził się, a strach dodał mu sił.

– Nie. To niebezpieczne.

– Pokażesz nam albo obedrę tego starego człowieka ze skóry. Na twoich oczach.

Ruchem głowy dała znak Kwanowi, a on wydobył nóż do filetowania. Wiedziała z doświadczenia, z jaką wprawą potrafi się nim posługiwać. To ostrze rozwiązało już niejednen język – w przenośni i dosłownie.

Chłopiec przełknął nerwowo ślinę, wpatrzony w swoje stopy.

Osunęła się na jedno kolano i uniosła mu głowę, podsuwając czubek sztyletu pod brodę.

– Nie chcemy skrzywdzić żadnego z was. – Mówiła teraz głosem cichym i łagodnym. – Kiedy będzie już po wszystkim, opuścimy wasze lasy. A wy będziecie mogli żyć sobie dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Chłopiec wziął głęboki oddech. Nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale obrócił pełne winy spojrzenie na rozlewisko.

– Zabiorę was tam.

Dobrze, pomyślała.

Wstała i popatrzyła na Kwana.

– Niech Zhu zostanie ze starym człowiekiem. Zagwarantuje nam to współpracę chłopca. – Obróciła się w stronę wody. – Wyciągniemy ich z tej dziury.

Skinął głową, a ona wskazała jego nóż.

– Trzymaj go pod ręką.

Jej ciotka – generał Lau – zażądała, by wydobyć z tych ludzi to, co wiedzą, a potem się ich pozbyć. I Shu Wei właśnie tak zamierzała zrobić.

I pozwolić Czarnowronowi zdobyć trofea.



Pekin

1 maja, godzina 12.22 czasu miejscowego

Przynajmniej Chang Sun zrobił to, o co poprosiliśmy.

Monk śledził wzrokiem wstęgę ciemnego tunelu, gdy ich skonfiskowany wóz mknął do przodu. Drogę oświetlały czasem światła awaryjne.

Gdy ustalili, gdzie Chińczycy przetrzymują zatrzymanych, rozkazał Changowi odciąć dopływ prądu do obiektu – by spowodować jeszcze więcej zamieszania i zamaskować ich przejazd przez podziemia. Poza tym, zgodnie z poleceniem, podpułkownik skierował oddziały poszukiwawcze z dala od drogi, którą poruszał się ich pojazd.

Mimo to, nie ufając Changowi, Monk nakazał wszystkim zachowanie czujności. Bracia Shaw, usadowieni na odkrytej skrzyni, strzegli obu flank, podczas gdy najmniejszy z zespołu, Kong, przycupnął z karabinem bojowym za tylną klapą i pilnował tyłów.

– Jesteśmy prawie na miejscu – zameldowała Kimberly. Uniosła swój telefon satelitarny, na którego ekranie świecił się schemat podziemnego kompleksu laboratoryjnego. – Na następnym rozwidleniu w prawo.

Siedzący za kierownicą sierżant Chin skinął głową i nachylił się gwałtownie, skręcając ostro w węższy pasaż.

– Dalej powinna znajdować się rampa. Dostaniemy się przez nią na poziom, na którym przetrzymują doktor Randall i Baako. – Kimberly nie miała wesołej miny. – Ale wciąż jesteśmy daleko od



miejsca, gdzie według Changa uwięzili Kowalskiego. Nazywają to miejsce Arką.

Monk wskazał przed siebie.

– Najpierw Maria, potem Kowalski.

Chin przyspieszył, jakby wyczuwając obawy szefa.

Mam nadzieję, że nie jest za późno, pomyślał Monk.

Nagle z przodu wybuchł ogień broni palnej, przerażająco głośny w tej ograniczonej przestrzeni. W ciemności błysnęły wystrzały karabinów. Przednia szyba ciężarówki rozprysła się, kiedy Monk chwycił Kimberly i pociągnął ją w dół. Chin zaczął zwalniać, ale nie był to czas na ostrożność.

– Gaz do dechy! – wrzasnął Monk. – Jedź dalej!

Ze skrzyni wozu też odpowiedziano ogniem. Monk z bronią w dłoni wychylił się przez okno po stronie pasażera. Wycelował we wroga. Nie wiedział, czy to pułapka zastawiona przez Changa, czy też ich pojazd natknął się przypadkiem na jeden z oddziałów poszukiwawczych.

Był jednak pewien, że ta zasadzka będzie ich kosztować sporo cennego czasu.

Jeśli w ogóle przeżyjemy...

Zaczął strzelać, zwracając się w myślach do tych, którym spieszyli na ratunek.

Wytrzymajcie jeszcze chwilę...

Godzina 12.24

Kowalski szarpnął klamkę gigantycznych stalowych drzwi, które więziły ich w laboratorium wiwisekcyjnym. Nawet nie drgnęły. Nagle zza jego pleców dobiegł koszmarny dźwięk rozrywanego metalu i tłuczonego szkła. Spojrzał przez ramię.

Za oknem obserwacyjnym majaczył potężny ciemny kształt. Włochata łapa chwyciła framugę uchylonego okna i wyrwała ją

całkowicie. Straciwszy oparcie, goryl runął w dół, pociągając za sobą niemal całe okno.

Przez szeroki otwór do laboratorium wdarła się odrażająca woń piżma.

Maria kulila się przy ścianie obok Kowalskiego, trzymając Baako za rękę. Ludzie z zespołu operacyjnego skupili się po jego drugiej stronie.

Dotarł do nich dźwięk szurania i darcia, kiedy wąż napiął się i zaczął drzeć. Nadchodziło więcej stworów, które wspinały się po skale w stronę dużego otworu.

Kowalski powiódł wzrokiem po laboratorium, przyglądając się mniejszym stalowym klatkom, ale ich pręty były zbyt cienkie, by mogły stanowić jakąkolwiek ochronę. Widział na własne oczy, jaką siłą odznaczają się te potwory. Wdarłyby się w te schronienia jak w kartonowe pudła.

Jedna z bestii zaryczała tuż pod oknem.

Maria chwyciła go za ramię, błagając wzrokiem o ratunek dla niej i Baako.

Zacisnął pięść, wiedząc, że musi coś zrobić, nawet gdyby miało to tylko opóźnić nieuniknione.

– Zostańcie tutaj – nakazał wszystkim.

– Co chcesz...

Nie odpowiedział Marii, obawiając się, że jeśli zacznie cokolwiek wyjaśniać, jego plan wyda się tym bardziej daremny. Odsunął się od drzwi i ruszył w głąb laboratorium, obok rzędu stołów chirurgicznych, w stronę miejsca, gdzie zamierzano operować Baako. Gdy tam dotarł, chwycił jedno z narzędzi. Trzymając je w dłoni, podskoczył do naprężonego węża gaśniczego, który bezustannie podrygiwał.

Nie ma innego wyjścia.

Przesunął włącznik akumulatorowej piły do kości i usłyszał z ulgą, jak ożywa mu w rękach. Już wcześniej zauważył to urządzenie.

Nie różniło się tak bardzo od bezprzewodowej piły tłokowej, którą trzymał w swoim garażu.

Podniósł wibrujące ostrze i przyłożył je do powierzchni węża wykonanego z gumy i tkaniny. Po chwili materiał pękł, a koniec węża umknął, znikając za oknem. Rozległ się pełen rozgoryczenia skowyt, a po chwili – z dna niecki – łoskot.

Usatysfakcjonowany Kowalski uśmiechnął się szeroko, wyobrażając sobie zdziwienie bestii, która nagle runęła w dół. Wiedział jednak, że zyskali niewiele czasu. Ściany betonowego habitatu miały dość zagłębień i otworów, by dało się je pokonać, zwłaszcza w przypadku stworzeń obdarzonych małpią siłą i zręcznością.

Głośne, pełne agresji fuknięcie znów przyciągnęło jego uwagę do okna. W polu widzenia ukazała się monstrualna dłoń, która chwyciła krawędź otworu okiennego. Nawet w tym kiepskim świetle Kowalski rozpoznał jaśniejsze futro po wierzchniej stronie tej szponiastej łapy.

To był ten największy samiec.

Cholera, tylko nie to...

Godzina 12.28

Przyciskając pięść do szyi, Maria patrzyła, jak Kowalski rzuca się w stronę okna. Podniósł piłę i przejechał małym ostrzem po wielkich kłykciach.

Rozległ się ogłuszający ryk. Stwór cofnął gwałtownym ruchem skaleczoną kończynę – ale wcześniej chwycił się drugą dłonią. Wciąż tkwiąc przy oknie, ukazał się w całej okazałości, wypełniając swoim ciałem otwór; z bliska sprawiał wrażenie jeszcze większego. Zacisnął skaleczoną łapę w pięść i wpakował rękę niczym tłok w sąsiednią szybę, powiększając wejście.

Zwalony z nóg jego ciosem Kowalski wylądował na tyłku, ale nie wypuścił piły z rąk. Machnął nią na zakrwawione palce, odpychając się jednocześnie nogami i sunąc do tyłu.

Baako puścił dłoń Marii i ruszył mu na pomoc.

Rzuciła się w ślad za nim.

Mały goryl znalazł się przy Kowalskim pierwszy, chwycił go za kołnierz i odciągnął. Jednak potężna łapa sięgnęła głębiej i złapała za but Kowalskiego. Bestia szarpnęła mocno, rzucając człowieka na plecy.

Kowalski zamachnął się piłą, która nagle umilkła, bo kiedy runął na podłogę, wypadł z niej akumulator. Maria podniosła go błyskawicznie, gdy tylko znalazła się dostatecznie blisko.

– Joe! Piła!

Zrozumiał i pchnął narzędzie w jej stronę. Na jego twarzy malowała się desperacja, kiedy próbował się wyswobodzić. Baako cały czas trwał przy nim, starając się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by jego przyjaciela wyciągnięto za okno.

Maria wsunęła akumulator na miejsce, włączyła piłę i cięła po palcach bestii. Ostrze weszło głęboko, uderzając ze zgrzytliwą skargą w kość. Gdy trysnęła krew, łapa wymierzyła cios. Maria uchyliła się przed nim, lecz piła wypadła z jej dłoni i poleciała po podłodze pod znajdujące się obok klatki.

Kowalski wykorzystał ten moment, by wstać, chwycić Baako za ramię i odsunąć się od okna. Maria trzymała się blisko nich. We trójkę dotarli do ogromnych drzwi i wpadli na tę stalową barierę. Potem się odwrócili, by zmierzyć się z konsekwencjami swoich działań.

Nie wyglądało to dobrze.

Wielki samiec zacisnął łapska na framugach otworu i wpakował połowę cielska do wnętrza laboratorium. Bestia zawyła, rozwierając paszczę, obnażając kły i tryskając śliną. Ryk był ogłuszający, oddech cuchnął mięsem i krwią.

Mój Boże...

Stwór zaczął się wciskać do środka.

Wiedząc, że to koniec, Maria przywarła plecami do stalowej zapory – i poczuła, jak ta się porusza. Zaskoczona odsunęła się i odwróciła. Gigantyczne drzwi podjeżdżały na prowadnicach do góry.

Kowalski pchnął ją w tamtą stronę.

– Biegnij!

Próbowała wykonać polecenie, ale ludzie z zespołu chirurgicznego wpadli na ten sam pomysł i w desperackiej próbie ucieczki tłoczyli się przy wyjściu. Wtedy rozbrzmiał pojedynczy strzał i doktor Han zatoczył się do tyłu; wyglądał na zaskoczonego i oszołomionego. Osunął się na kolana, potem przewrócił na bok – w jego policzku widniała dziura po kuli.

Do laboratorium wtargnęła grupa chińskich żołnierzy. Maria dostrzegła w holu Jiaying Lau wraz z doktorem Arnaudem. Generał trzymała dymiący pistolet. Sprawiała wrażenie oszołomionej, spoglądała gdzieś ponad ramieniem Marii.

Potężny goryl zdołał już precyzyjnie się przez otwór. Drżąc z wściekłości, wsparł się na kłykciach obu sztywnych rąk. Za jego plecami pojawiło się więcej ciemnych postaci.

Jiaying krzyknęła; w jej głosie słychać było nutę paniki. Żołnierze otworzyli ogień. Jeden z nich chwycił Marię za ramię i wyciągnął za drzwi wraz z personelem medycznym. Zdawała sobie sprawę, że ratunek zawdzięcza nie ludzkiemu współczuciu, lecz chęci ocalenia cennego nabytku.

Kowalski ruszył za nią, popychając przed sobą Baako.

Wciąż trwała kanonada, której towarzyszyło przeraźliwe wycie. Maria wiedziała, że żołnierze dysponują zbyt małą siłą ognia, by powstrzymać długo atak bestii. Jiaying też musiała być tego świadoma, bo wydała szczekliwym głosem jakiś rozkaz. Jej ludzie na korytarzu wykonali go bezzwłocznie, opuszczając wielkie stalowe drzwi i zamykając kilku towarzyszy wewnątrz laboratorium.

Bez najmniejszego wahania generał ruszyła w głąb holu, gdzie czekał już jeep.

– Prędszej – nakazała pewnym głosem, choć jej twarz była trupio blada.

Arnaud szedł obok Marii.

– Lau przyszła po mnie już wcześniej. Zjawiała się tutaj, żeby się z panią rozprawić, zanim zgasły światła.

Rozprawić?

– Widziała, jak próbuje pani uwolnić swojego przyjaciela – wyjaśnił, spoglądając z niepokojem na Kowalskiego, i to nie bez powodu.

Kiedy dotarli do końca korytarza, Jiaying obróciła się na pięcie i skierowała broń w stronę mężczyzny.

– Doktor Crandall, niech pani wsadzi swoje zwierzę do jeepa.

Maria znieruchomiała.

– Na pani miejscu bym posłuchał – rzucił ostrzegawczo Arnaud.

Kowalski pchnął Baako.

– Weź go.

Nim zdążyła się choćby poruszyć, coś ciężkiego rąbnęło w stalowe wrota w głębi holu, i to z takim impetem, że zatrzęsła się podłoga. Górna prowadnica wygięła się na zewnątrz.

Kowalski stanął między Marią a drzwiami do laboratorium.

– Idź – ponaglił ją.

Oboje wiedzieli, że bez względu na to, czy Maria posłucha, czy nie, Jiaying i tak go zabije.

– Idź – powtórzył, zdumiewająco spokojny.

Arnaud dotknął jej łokcia, próbując nakłonić ją do spełnienia tej prośby.

Zdając sobie sprawę, że paleontolog i Baako ucierpią, jeśli odmówi, Maria zrobiła krok, oddalając się od Kowalskiego, przygnieciona smutkiem i poczuciem winy.

Ruszyła w eskorcie żołnierzy, ale generał pozostała z tyłu.

Gdy Maria się oddalała, Kowalski ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku, nawet kiedy stalowe wrota za jego plecami znowu zatrzęsły się od uderzenia, a prowadnice wygięły jeszcze bardziej.

Jiaying uniosła broń – i w tym momencie rozległ się kolejny łoskot.

Tym razem dobiegł zza pleców Marii.

Odwróciła się i zdążyła zobaczyć, jak jakaś ciężarówka uderza z impetem w jeepa i spycha go na bok. Duży wóz zahamował gwałtownie, obracając się nieznacznie. Z tylnej skrzyni wyłonili się chińscy żołnierze, którzy tuż przed kraksą trzymali się mocno burt. Teraz skierowali broń na żołnierzy otaczających Marię i otworzyli ogień.

Skuliła się, osłaniając Baako.

Dokoła padali ludzie z jej eskorty.

Generał krzyknęła; z jej ramienia trysnęła krew, gdy runęła na ziemię. Mimo to zdołała oddać strzał, ale nie w stronę napastników. Arnaud upadł na Marię; w jego szeroko otwartych oczach malował się szok, z krtani chlustała krew. Próbował coś powiedzieć, lecz wykrztusił tylko jeszcze więcej krwi i osunął się bezwładnie w ramionach Marii.

Starła się ułożyć go ostrożnie.

– Trzymaj się – powiedziała.

Ale nim dotknął podłogi, jego ciało wydało ostatnie tchnienie.

Nie...

Kowalski ją odciągnął.

– Wszyscy tutaj! Prędezej! – wrzasnął ktoś od strony ciężarówki.

Maria potrzebowała chwili, by rozpoznać mężczyznę, który wychylił się przez okno pasażera. Ostatnim razem widziała tego człowieka w swoim ośrodku badawczym.

Był to partner Kowalskiego, Monk.

Kiedy próbowała zrozumieć jego niespodziewaną obecność w tym miejscu, wybuchła nowa kanonada, tym razem z głębi korytarza za ciężarówką.

Nadciągało więcej żołnierzy.

Kowalski pchnął ją w stronę ciężarówki.

– Ruszaj się! – ponaglił ją.

Nie potrzebując dalszej zachęty, pobiegła z Baako. Kowalski podążał za nimi, dysząc chrapliwie z powodu kontuzjowanych żeber.

Nim dotarli do wozu, z głębi korytarza od strony laboratorium dobiegł ponownie łoskot uderzonej stali. Maria obejrzała się w chwili, gdy jedno ze skrzydeł drzwi zostało wyrwane z prowadnic i walnęło o ścianę. Do holu zaczęły się wpychać ciemne zwaliste postaci.

Kowalski chwycił Marię za ramię.

– Czas się stąd zabierać.

Pokonali kilka ostatnich kroków dzielących ich od ciężarówki. Kowalski dźwignął Marię na pake, a potem sam na nią wskoczył wraz z Baako. Niemal natychmiast kierowca wrzucił wsteczny i ruszył na pełnym gazie.

Od tylnej klapy odbijały się z wizgiem pociski. Jeden z przebranych żołnierzy dał znak Marii i Kowalskiemu, by się schowali.

– Kładźcie się.

Posłuchali bez wahania. Ciężarówka zaczęła nabierać szybkości i po chwili jej tył uniósł się gwałtownie; Maria poczuła, jak serce wali jej panicznie, ale okazało się, że pojazd wjeżdża tylko na rampę. Wóz obrócił się na samej górze i wystrzelił do przodu.

Wciąż ścigał ich jazgot strzałów, lecz już wkrótce zamarł w dali.

Maria wciąż jednak leżała na brzuchu, otaczając ramieniem Baako, który z kolei obejmował Kowalskiego; tulili się do siebie we troje, znowu tworząc rodzinę.

Ale jak długo jeszcze?



Niemal oślepiąca bólem Jiaying trzymała kierownicę uszkodzonego jeepa jedną ręką, drugą przyciskając do tułowia; czuła ból, który przepływał przez nią ognistymi falami. Jej prawe ramię roztrzaskał pocisk, pozbawiając władzy w kołach. Przez mundur przeciekała krew.

Ale wciąż żyję, pomyślała generał.

Uznała, że miała mnóstwo szczęścia.

Nie, to nie szczęście, upomniała się. To wytrwałość.

Musiała zebrać wszystkie siły, by przewyciężyć ból wywołany postrzałem i utrzymać się na nogach. Gdy tylko ciężarówka z Amerykanami ruszyła na pełnym gazie, wykorzystwała mrok panujący w holu, by pokuśtykać za narożnik korytarza i wsiąść do porzuconego jeepa. Usiadła za kierownicą, mając nadzieję, że wcześniejsza kolizja nie uszkodziła akumulatora ani silnika. Przekręciła kluczyk i z ulgą usłyszała pomruk motoru elektrycznego. Zawróciła przodem i czym prędzej ruszyła.

W ostatniej chwili.

Gdy tylko pokonała pierwszy zakręt, na rozwidleniu korytarza za jej plecami pojawił się jakiś wielki kształt. Nawet kucając, wypełniał sobą niemal cały hol; ryczał z wściekłości i żądy krwi. Ten głos ścigał ją daleko w głąb kompleksu.

Parła przed siebie, chcąc uciec od uwolnionych bestii. Dopiero gdy znalazła się wystarczająco daleko od nich, skupiła się na nowym planie. Potrzebowała pomocy medycznej i miejsca umożliwiającego przegrupowanie sił. Wiedziała, dokąd się udać.

Zanim jednak zbliżyła się do celu, była osłabiona i targana mdłościami. Traciła kontrolę nad jeepem, który zbaczał gwałtownie z drogi, ale wkrótce ukazało się centrum ochrony. Drzwi stały otworem.

Zahamowała ostro i wygramoliła się z wozu, niemal padając na kolana przy kolejnej fali palącego bólu. Oparła się o bok jeepa, żeby

odetchnąć kilka razy, a potem pokonała chwiejnym krokiem dystans dzielący ją od wejścia.

Dowódca centrum był na miejscu, tam gdzie go wcześniej zostawiła.

Chang Sun stał pośrodku pomieszczenia, obrócony do niej plecami. W monitorach odbijał się blask świateł awaryjnych, nadając pomieszczeniu niesamowity charakter. Gniew, jaki odczuła na widok podwładnego, pomógł jej odzyskać koncentrację.

Zawiódł ją pod każdym względem.

Gdy zataczając się, weszła do środka, zobaczyła w końcu techników. Wszyscy leżeli bezwładnie przy swoich stanowiskach, jeden zaś u stóp Changa. Po podłodze rozlewała się krew, odbijając karmazynowy blask świateł awaryjnych.

– Ach, zjawiała się pani – powiedział Chang, odwracając się. – A już myślałem, że będę musiał panią wytropić.

Uniósł trzymany w dłoni pistolet.

Sięgnęła do swojej kabury, ale ta okazała się pusta. W pośpiechu towarzyszącym jej ucieczce straciła broń.

Dostrzegłszy jej bezowocny wysiłek, obrócił swój pistolet, odciągnął suwadło i nacisnął spust – rozległ się metaliczny trzask, znak, że komora była pusta.

Chang odłożył broń na stół. Nie miał amunicji. Opróżnił zapewne magazynek, pozbywając się techników. Podszedł do generała, podnosząc rękę, jakby chciał ją objąć.

Wiedziała, o co chodzi, ale nie zamierzała się cofnąć i narazić na hańbę.

Wysunął błyskawicznym ruchem drugą rękę i wbił jej w brzuch długi sztylet. Zakrztusiła się – nie tyle z bólu, ile od siły tego brutalnego uderzenia. Podciągnął ostrze wyżej, szukając jej serca. W końcu coś się w niej rozwarło, pozbawiając płuca tchu.

Gdy wyszarpnął nóż, osunęła się na podłogę i wsparła plecami o framugę drzwi.

Cofnął się bez pośpiechu, wytarł ostrze i schował sztylet do pochwy, następnie sięgnął po pistolet i starannie go wytarł. Zadowolony, pochylił się i wsunął broń w bezwładne palce kobiety. Zamierzał obarczyć ją winą za śmierć tych ludzi i ucieczkę Amerykanów. Wiedział, że jej nazwisko już zawsze będzie kojarzone z klęską i zdradą – jej najgorszym koszmarem.

Popatrzyła na niego i dostrzegła w jego zimnych oczach ambicję, która przewyższała wielokrotnie jej własną.

Podszedł do jednego ze stanowisk i przesunął kilka dużych dźwigni. Wraz z włączeniem zasilania w pomieszczeniu rozbłysły światła. Monitory zaczęły migotać – znak, że serwery się resetują.

Półprzytomna, nie potrafiła zrozumieć, co Chang robi.

– Wezwałem już wojsko – wyjaśnił, jakby wyczuwając jej konsternację. – Teraz, kiedy Amerykanie osiągnęli swój cel, będzie się można ich skutecznie pozbyć. Wraz z ich śmiercią mój triumf będzie tym większy, moja lojalność niepodważalna. – Spojrzał na nią. – Bez względu na to, jak bardzo Amerykanie spróbują mnie później oczernić. – Dojrzał dezorientację na jej twarzy. – Zagrozili, że przedstawią fałszywe dowody mojej zdrady, jeśli nie zgodzę się z nimi współpracować. – Parsknął głośno. – Jakbym miał kiedykolwiek ukorzyć się przed takimi psami. Tymczasem posłużę się nimi, by wytyczyć sobie chwalebny drogę, tak wspaniałą, że nikt nie poda jej w wątpliwość. Być może będzie to kosztowało życie mojego brata, ale jego pamięć przetrwa we mnie, w moich dzieciach i wnukach.

Jiaying przymknęła oczy, uświadamiając sobie, jak bardzo nie doceniała tego człowieka.

Popełniłam błąd, pomyślała.

Wiedziała też, że musi go naprawić, nawet gdyby miało to na zawsze okryć ją hańbą. Zbierając resztki sił, wsunęła dłoń do kieszeni. Gdy ciemność zamykała się wokół niej, generalnie sięgnęła do swojego telefonu i otworzyła palcami małą przegródkę z tyłu obudowy. Nie musiała widzieć podświetlonego guzika, który się tam

znajdował. Wystarczyło przycisnąć kciuk do czytnika linii papilarnych.

Należało to robić przez dziesięć sekund. Zabezpieczenie przed przypadkową aktywacją środków zaradczych, które kazała w tajemnicy zainstalować na terenie ośrodka. Uczyniła to na wypadek obcej ingerencji w laboratorium, ale chodziło też o potencjalny odwet na wrogu.

Nigdy nie przyszedł jej do głowy scenariusz, w którym dojdzie do obu tych sytuacji jednocześnie.

Jakże byłam krótkowzroczna...

Jiaying przestawała już cokolwiek odczuwać. Nie potrafiła się zorientować, czy wciąż trzyma palec na czytniku ani czy tych dziesięć sekund już upłynęło.

W końcu zaczęła niespokojnie odpływać, nie dowiedziawszy się nigdy prawdy.

Dojmujący ból tej udręki towarzyszył jej w drodze do wieczności.

Godzina 12.45

Kiedy wzdłuż korytarza znów rozbłysły światła, Monk poczuł ucisk w dołku.

To nie jest dobry znak, pomyślał.

Ten zdrajca Chang Sun wycofał się zapewne ze współpracy. Monk podejrzewał już to wcześniej, kiedy wpadli w zasadzkę. Dlatego, obawiając się, że Chang wzmocnił swoje siły przy rampie wyładunkowej – tam gdzie wkroczyli na teren ośrodka – kazał Kimberly znaleźć inne wyjście.

Teraz wskazała przed siebie.

– Na końcu tego korytarza, jakieś sto metrów stąd, powinna być winda. Prowadzi do budynku publicznego na terenie zoo. To jakaś dziewiętnastowieczna rezydencja o nazwie Changuanlou.

– Zgadza się! – zawołała Maria przez tylne okno w kabinie ciężarówki. – Generał Lau ma tam swój gabinet.

– Zoo jest najprawdopodobniej zamknięte albo ewakuowane – zwróciła się do Monka Kimberly. – Ale jak już znajdziemy się na górze, będziemy musieli uważać, żeby nie przyciągnąć...

Przerwała jej seria silnych wybuchów.

Sierżant Chin starał się panować nad wozem, taranując rząd czerwonych pojemników na niebezpieczne odpady. Przed maską kłębił się dym napływający od strony wind. Po chwili światła zamrugały i zgasły, pogrążając ich w ciemności.

Chin zatrzymał ciężarówkę i włączył przednie reflektory.

Przenikając kłęby dymu i pyłu skalnego, dwa bliźniacze strumienie blasku dobyły z mroku zawalony sufit. Drogę zagradały wielkie kawały betonu i poskręcane belki. Gdzieś z dali dobiegał trzask i huk. Docierało do nich niewyraźne echo krzyków.

– Co, u diabła? – wyszeptał Monk.

Kimberly pokręciła głową.

– Ktoś pewnie próbuje zniszczyć ten ośrodek. Rozbić go w pył.

– Kto? Chang?

Zmarszczyła czoło.

– Nie wiem. To nie miałoby sensu.

– Nie obchodzi mnie, kto to robi! – zawołał z tyłu Kowalski, dając do zrozumienia, co o tym myśli. – Zabierajmy się stad, zanim nas rozpląszczy jak naleśniki!

Monk skinął głową.

– A rampa rozładunkowa? To dwie kondygnacje niżej. Może wjazd jest wciąż otwarty?

Kimberly podniosła telefon satelitarny i przyjrzała się schematowi tras.

– Możemy spróbować, ale... – Urwała.

– Ale co?

– Ta droga prowadzi przez teren, po którym biegają te hybrydowe goryle.

Monk odetchnął głęboko.

– Wspaniale... nie mamy chyba wyboru.

Zgodziła się z nim i poinstruowała China, dokąd ma jechać.

Niebawem pędzili tam, skąd przyjechali, a blask przednich reflektorów wdzierał się w kłęby dymu. Wszystko wokół zamieniało się w perzynę. Kimberly starała się za wszelką cenę ich prowadzić, ale musiała bezustannie modyfikować trasę; podążali zygzakiem, omijając zawałone korytarze i ogniska pożarów.

Pojawiało się coraz więcej ludzi, niektórzy w fartuchach laboratoryjnych, inni w mundurach. Wszyscy byli oszołomieni, zakrwawieni, spanikowani. Kilku żołnierzy zaczęło strzelać w kierunku ich wozu, na chybił trafił, ale bez większego przekonania. Chin bezustannie wciskał klakson, przeganiając maruderów na swojej drodze, a ogień broni palnej zniechęcał skutecznie tych bardziej upartych.

W głębi jednego z bocznych tuneli Monk zauważył plamę światła. Zawołał, żeby się zatrzymali; okazało się, że wyłom po zawałeniu sięga powierzchni, niestety, droga ku górze była zbyt wąska i niebezpieczna. Kiedy sprawdzał tę trasę ucieczki, wszystko zaczęło się zapadać.

Widok nieba, choćby chwilowy, budził jednocześnie nadzieję i rozczarowanie.

Tak blisko, a jednak tak daleko.

Podążyli dalej i natknęli się na jeszcze dziwniejszy widok. Gdy pędzili w stronę jakiegoś rozwidlenia, w dymie pojawił się szereg widmowych kształtów i zniknął.

– To były wilki? – spytał Monk.

Kimberly skierowała wzrok ku dachowi kabiny.

– Zoo ewakuują, ale zwierzęta wciąż tam są.

Monk ujrzał w myślach, jak w wałącym się sklepieniu powstają otwory w obrębie różnych wybiegów, a ich mieszkańcy uciekają ze swoich więzień i kryją się pod ziemią. Z każdą chwilą, gdy zagłębiali się w ten labirynt, widział coraz więcej śladów tej inwazji.

Kiedy ciężarówka posuwała się do przodu, jego uwagę zwrócił jakiś ruch w zdewastowanym laboratorium. Dostrzegł za stołem dwie lwice ciągnące ciało. W głębi innej sali rozbrzmiewał złowieszczo skrzekliwy śmiech hien, przerywany przez donośniejszy krzyk.

Chin, przygarbiony nad kierownicą, przyspieszył jeszcze bardziej.

– Następny zjazd! – rzuciła Kimberly, wskazując przed siebie.

Kierowca wykonał polecenie, ale okazało się, że na niższym poziomie szaleje ogień, a korytarze wypełnia oleisty dym. Z dali dobiegało echo świetlistych eksplozji; wybuchały przewody gazowe i zbiorniki z propanem – rozprzestrzeniająca się ognista reakcja łańcuchowa.

– Damy radę przejechać? – spytał Monk.

– To jedyna droga, by dotrzeć do wyjścia – wyjaśniła Kimberly.

Popatrzył na ten piekielny krajobraz; wiedział, że szalejące płomienie strawią niebawem główne wsporniki i cała ta budowla zwali im się na głowy.

Musieli posuwać się do przodu, i to szybko.

Gdy ruszyli w głąb tego podziemnego piekła, usłyszeli ryk jakiegoś wielkiego stworzenia; wydawało się, że rozbrzmiewa zewsząd, więc nie sposób było się zorientować, skąd właściwie dochodzi.

Nie ulegało jednak wątpliwości, co jest źródłem tego głosu.

Z tyłu dobiegł jęk Kowalskiego.

– Są tutaj.

Andy, Ekwador

1 maja, godzina 2.13 czasu miejscowego

W kryształowej komnacie znów rozległ się głośny dźwięk, przypominając Grayowi, że ma coraz mniej czasu. Przyglądał się z uwagą gwiaździstemu wzorowi utworzonemu z kul czarnego metalu i białego kryształu, rozważając wszelkie opcje.

Musi mi się udać za pierwszym razem.

Kiedy się koncentrował, Roland przechadzał się obok złotego szkieletu. Z drugiej jego strony stała Lena, nerwowo krzyżując ramiona na piersi. Seichan czekała po prostu obok niskiej kolumny z tym tajemniczym wzorem.

– Masz jakąś koncepcję? – spytała.

– Chyba setną – odparł z wymuszonym uśmiechem.

– Oby ta sto pierwsza była właściwym zaklęciem.

Też żywił taką nadzieję, ale wiedział, że trzeba czegoś więcej niż tylko zaklęcia, by rozwiązać tę zagadkę.

Przez ostatnie kilka minut obracał ten wzór w swojej głowie na wszystkie strony. Już dwukrotnie poprosił o dziennik ojca Kirchera, który Roland trzymał w wodoodpornym rękawie. Analizował długo obliczenia jezuitę, świadomy jego fascynacji numerologią – zarówno czystą matematyką liczb pierwszych, jak i kabalistycznym mistycyzmem gematrii.

Gray przebiegał myślami mnogość przeciwieństw zawartych w tej łamigłówce.

Jasny i ciemny...



Ciężki i lekki...

Czarny i biały...

Metalowy i kryształowy...

Bezustannie powracał do tej samej konkluzji.

Zwierciadlane odbicia, bez wyjątku.

– To musi być to – mruknął. – Zwierciadlane pary.

– Do czego zmierzasz? – spytała Lena. – Może gdybyś nam wyjaśnił, zdołalibyśmy ci pomóc.

I znów salą zatrzęsł donośny gong.

Seichan zmarszczyła czoło.

– Ten nastąpił tylko dziesięć sekund po poprzednim. Przy tempie, w jakim te interwały się skracają, masz niespełna minutę, żeby rozwiązać zagadkę albo dać fant.

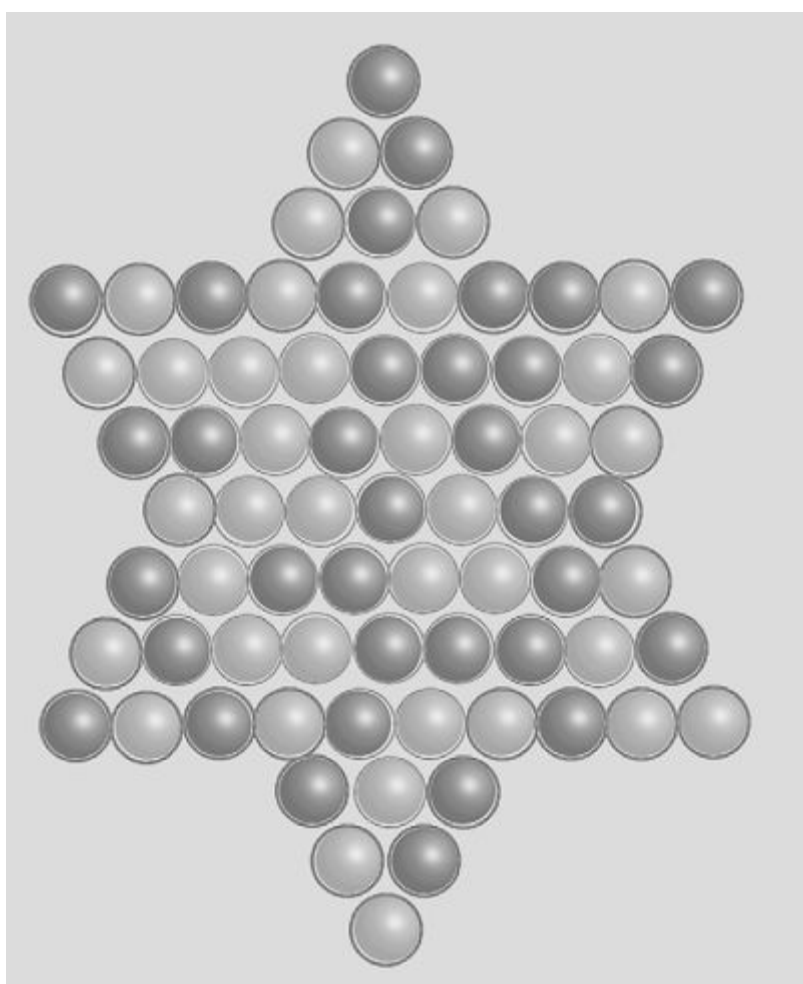
Wyobraził sobie ściany wody otaczające tę suchą studnię w samym sercu zaginionego miasta. Mógłby przysiąc, że czuje hydrauliczne ciśnienie przeklętej cieczy, ale wiedział, że to tylko wynik jego frustracji.

– Może rzeczywiście powinieneś to z nami omówić – podsunęła Seichan. – Nie jesteś tu sam.

Skinął głową. Zamierzał przedstawić im swoją teorię, ale najpierw pragnął poukładać sobie wszystko w głowie. Wreszcie wskazał małe kule ułożone w gwiazdzisty wzór.

– Sądząc po tej symetrii, odpowiedź musi być związana ze zwierciadlanymi odbiciami. Widać to tutaj, na tej planszy... czarny metal i biały kryształ... Ale to samo powtarza się na zewnątrz, w bibliotekach po obu stronach sali. – Wskazał dwoje otwartych drzwi. – W jednej znajdują się książki z metalu, w drugiej teksty wycięte z kryształu. Ale jest tu jeszcze jedna para, ukryta w tym wzorze, para związana z matematyką, zwłaszcza z liczbami pierwszymi.

Roland wskazał głową planszę.



- Siedemdziesiąt trzy elementy układanki. To liczba pierwsza.
- I wiemy, że odzwierciedleniem tej liczby pierwszej jest trzydzieści siedem, które, o czym już wcześniej rozmawialiśmy, ma znaczenie w kontekście DNA i ruchu gwiazd.
- Ale co trzydzieści siedem ma wspólnego z tą konkretną zagadką? – spytała Seichan.
- To. – Gray odwrócił się i wskazał złoty szkielec na szklanym podwyższeniu. – Ta rzeźba też skrywa zwierciadlaną parę. Łączy budowę męską i żeńską, tworząc określoną całość. To jest odpowiedź.

Spojrzał na ich zaskoczone twarze, gdy w sali znów rozbrzmiał znajomy dźwięk, tym razem na tyle głośno, by z kapiteli filarów otaczających komnatę pospadały klejnoty.

Czas ucieka.

Lena i Roland zdradzali takie samo zaniepokojenie jak on, ale Seichan wydawała się jedynie zniecierpliwiona; ufała mu całkowicie i czekała na dalszy ciąg.

Czerpiąc siłę z jej pewności, oznajmił:

– W Chorwacji grobowiec Ewy był ozdobiony takim samym gwiazdzistym wzorem składającym się z siedemdziesięciu trzech elementów.

Lena skinęła głową.

– A kości męskiej hybrydy neandertalskiej, Adama, były oznaczone mniejszym gwiazdzistym wzorem, składającym się z trzydziestu siedmiu elementów – dodała.

Gray rozpostarł dłoń nad układanką.

– Widzicie tu wyraźnie gwiazdę Ewy, złożoną z siedemdziesięciu trzech elementów. – Popatrzył na nich. – Ale gdzie jest mniejsza gwiazda Adama?

Nikt nie odpowiedział.

Wskazał planszę.

– Tutaj – powiedział. – Czeka na odkrycie, na to, by ten wzór stał się jednością, jak te złote kości.

Komnata znów się zatrzęsała od ogłuszającego dźwięku, a na ścianach pojawiły się pęknięcia.

– Pokaż nam, Gray – rzuciła przynaglająco Seichan i rozejrzała się. – Teraz albo nigdy.

Wiedział, że ma rację. Pozbywając się wątpliwości, zaczął umieszczać metalowe i kryształowe kule we właściwych miejscach, by powoli ujawnić mniejszą gwiazdę w obrębie większej.

Usłyszał zbiorowe westchnienie; pozostali też dostrzegli ten wzór.

– Dwie gwiazdy... obie tutaj są... – Głos Leny zdradzał zdumienie.

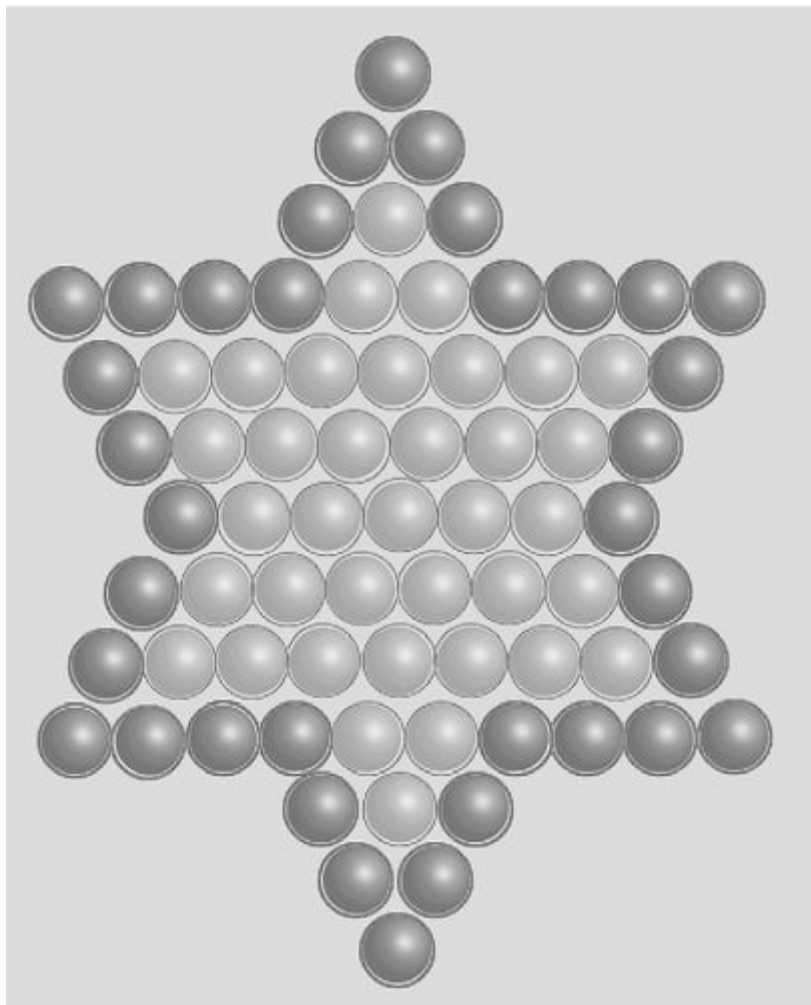
Gray spieszył się, wyczuwając to, co nadchodzi. Nim skończył, znów rozległo się ogłuszające echo dźwięku metalu uderzającego w kryształ, ale tym razem nie zamarło, tylko nabierało mocy, wznosząc się ku ostatecznemu crescendo.

Umieścił czym prędzej ostatnią kulę na swoim miejscu, tworząc kompletny wzór. Kiedy to zrobił, w powietrzu zawisła czysta krystaliczna nuta, która poruszyła każdą molekułę w pomieszczeniu, a potem przerodziła się w śmiertelną ciszę.

Wszyscy wstrzymali oddech, ale nic złego już nie nastąpiło.

– Udało ci się – rzuciła Lena bez tchu.

Wszyscy patrzyli na planszę na kolumnie.



Gray zgromadził trzydzieści siedem kryształowych kul wewnątrz większej gwiazdy, formując tym samym mniejszą, tę Adama, w obrębie większej gwiazdy Ewy.

– Wzór – odezwał się Roland. – Jedna gwiazda wewnątrz drugiej. To co męskie wewnątrz tego co żeńskie. Ma to chyba odzwierciedlać akt prokreacji... życia, obietnicy przyszłych pokoleń.

Ale nie było to jedyne objawienie zwiastowane przez ten nowy układ kul.

Za niską kolumną otworzyła się ściana, rozdzielając dwie płyty kwarcu pokrywającego kamienną powierzchnię. Ukazał się im nowy korytarz ze schodami prowadzącymi w dół.

Nikt się przez chwilę nie poruszał.

W ciszy, która zapadła, zza progu dobiegło echo głośnego tykania.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest kolejny timer i że nie odlicza czasu do jakiegoś nieszczęścia – szepnęła Seichan.

Obawiając się, że może mieć rację, Gray nakazał wszystkim ruszyć się z miejsca, a kiedy skierowali się ku schodom, przystanął na ich szczycie i oświetlił je, nie potrafił jednak dostrzec tego, co znajduje się na samym dole. Bał się tam wkraczać, ale przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Seichan, gdy zaczęli odkrywać to zagubione miasto.

Sprawdzić to.

Sprawdzić... To pragnienie stanowiło przez wieki siłę napędową ludzkiego postępu, prosty imperatyw sycony wrodzoną ciekawością: odkryć to, co jest za następnym zakrętem, za następnym horyzontem. Ta dociekliwość zmuszała człowieka do szukania odpowiedzi na pytanie, kim jest, skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Gray zrobił jeden krok, potem drugi, prowadząc pozostałych na dół.

Kiedy schodzili, powietrze nasycalo się energią. Łaskotała skórę i podnosiła każdy włoszek na jego ciele. Mógł nawet wyczuć jej zapach, jak woń letniego powiewu podczas burzy z piorunami.

Gdy wreszcie dotarł do ostatniego stopnia, spojrział w głąb rozległej komnaty, która się przed nim otwierała. Jego umysł próbował pojąć to, co widziały oczy. Zszokowany, zdołał wypowiedzieć jedynie trzy słowa.

– O mój Boże.

Godzina 2.21

Nagła cisza zaniepokoiła Shu Wei.

Od chwili gdy znalazła się w tym podziemnym mieście, towarzyszyły jej odległe dźwięki brzmiące jak gong. Kiedyś wędrowała po Himalajach i słyszała podobne, ich echo rozbrzmiewające w górach i płynące z klasztorów oddalonych o całe kilometry. Uznała to za dobry znak i podążała za tym rozbrzmiewającym chwilami głosem, prowadząc swój oddział od

zalanej komory długim korytarzem pokrytym rzędami pradawnego pisma.

Dźwięk był coraz donośniejszy i wyraźniejszy, pobrzmiwała w nim pewność, że wreszcie zbliżają się do swoich celów. Czekala z niecierpliwością na ten moment, wiedząc, że przewyższają tamtych liczebnie – dziewięć do czterech.

No i dysponuję elementem zaskoczenia.

Wędrując przez to zagrzebane pod ziemią miasto, kazała swoim ludziom poruszać się bezgłośnie, przy użyciu minimalnego światła. Tutaj, w tej bezustannej ciemności, nie mogła polegać wyłącznie na noktowizorach, które potrzebowały zewnętrznej iluminacji.

Chwilę wcześniej, kiedy przechodzili przez komnatę z postaciami zwierząt wyrzeźbionych z metali i kamieni szlachetnych, donośny dźwięk nagle umilkł. Zaniepokojona tą niespodziewaną ciszą, uniosła pięść, nakazując swoim ludziom przystanąć.

Kilku z jej podwładnych wykorzystało ten moment, by przyjrzeć się bogactwu zgromadzonemu w tej komnacie. Nawet ona skierowała wzrok na złotą panterę ze szmaragdami zamiast oczu. Postanowiła, że kiedy już uzyska potrzebne informacje od swoich celów i pozbędzie się ich, zajrzy tu ponownie.

Może nie tylko Czarnowron powróci do domu z trofeum.

Zerknęła na sierżanta Kwana, który trzymał chłopca za ramię. Jej zastępca nawet nie spojrział na te wszystkie skarby. Jego zdobycze zawsze miały szczególny i osobisty charakter.

Gdy cisza się przeciągała, opuściła pięść.

Należało kontynuować poszukiwania bez względu na to, czy było coś słycać, czy nie. Ruszyła w stronę następnych schodów, gotowa wywabić cele na otwartą przestrzeń i zakończyć tę misję.

Kwan zaklął, przyciągając jej uwagę. Chłopak wyrwał mu się i popędził w dół schodów, poruszając się szybko jak gazela i znikając w ciemności, która rozciągała się na dole. Kwan wycelował z pistoletu, ale, wiedząc, że chłopak już zniknął, opuścił broń.

Shu Wei nie skarciła ani nie pocieszyła swojego zastępcy, wiedziała bowiem, że sama porażka jest dla Kwana dostateczną karą.

W ostatecznym rozrachunku ucieczka chłopca nie mogła zaszkodzić misji. Nawet gdyby dotarł do tamtych i ich zaalarmował, tym samym niwecząc element zaskoczenia, jej oddział przewyższał wroga liczebnie. A z informacji uzyskanych od starego człowieka i jego młodego towarzysza wynikało, że oddział Shu Wei dysponuje też znacznie większą siłą ognia.

– Ruszajcie – rozkazała. – Ale posuwajcie się ostrożnie.

W sytuacji gdy nieprzyjaciel wiedział o ich obecności, nie chciała wpaść w zasadzkę.

Kiedy skierowała się w dół, poczuła nieznaczne ukłucie irytacji wywołane zdradą chłopca. Postanowiła, że już po wszystkim da Czarnowronowi wolną rękę, by mógł w pełni odpłacić za tę plamę na swoim honorze. Widząc, jak Kwan niemal trzęsie się z wściekłości, domyślała się, że dokona krwawej zemsty.

## Godzina 2.23

Roland patrzył szeroko otwartymi oczami na nieprawdopodobny obraz, który się przed nim otwierał. Miał wrażenie, że wkroczył do zegara zaprojektowanego przez samego Boga. Ściany przepastnego pomieszczenia – idealnej kuli, która przygniatała swym ogromem grupę ludzi stojących na jej równiku – rozbrzmiewały echem głośnego tykania. Przycupnęli w połowie wysokości zakrzywionej powierzchni. Sklepienie wznosiło się w górze gładkim łukiem aż do pierwszego poziomu zaginionego miasta, podczas gdy podłoże sięgało równie głęboko w dół.

Cały ten ogrom pokrywało kute złoto.

Roland był też pod wrażeniem energii uwięzionej w tej mrocznej przestrzeni. Czuł, jak muska mu skórę i włosy, jak wypełnia samo

powietrze. Patrzył na przebiegające po sklepieniu niebieskie błyskawice i tańczące po tajemniczym podłożu karmazynowe iskry.

Jednakże to, co wznosiło się przed nimi pośrodku tej przestrzeni, przeczyło rozumowi i Roland zaczął wątpić we własne zmysły. Między tymi polami energii zwisła wielka kula, wypełniając jedną czwartą ogromnej komnaty. Jedna połowa wydawała się stworzona z czarniawego magnetycznego metalu, druga zaś z białego kwarcu – na wzór ksiązek w przeciwległych bibliotekach. Obie powierzchnie nie były gładkie jak ściany, lecz poznaczone śladami meteorytowych uderzeń – wielkimi jeziorami i niskimi górami.

– To chyba ma być Księżyc – odezwała się Lena.

Roland przytaknął jej w duchu, bojąc się poruszyć; bał się, że to, na co patrzy, zniknie.

Wszyscy zatrzymali się na występie biegnącym wzdłuż równika sali. Poniżej tego miejsca były kolejne poziomy, nikt jednak nie śmiał tam schodzić, jakby wyczuwając w głębi serca, że to wszystko przekracza ich pojmowanie, że są tutaj intruzami, którzy patrzą na to, czego nie są jeszcze gotowi widzieć.

Roland przyglądał się z uwagą gigantycznej rzeźbie Księżyca. Wisiała w pomieszczeniu bez żadnego wsparcia. Nie potrafił zgłębić, jakie siły utrzymują ją w miejscu – być może swoiste połączenie magnetyzmu i ładunków elektrycznych.

Równie niepojęta była szczegółowość, z jaką przedstawiono satelitę Ziemi. Lunarne morza, kraterzy, góry, urwiska, uskoki i kanały zostały wyrzeźbione z doskonałą wyrazistością. I dotyczyło to nie tylko powierzchni krystalicznej, która bez wątplenia przedstawiała jasną stronę planety. Półkula metalu o czarnym odcieniu, ukazująca ciemną stronę Księżyca, była ukształtowana z podobną dokładnością.

Seichan wpatrywała się w tę metaliczną powierzchnię, a w jej oczach malowało się niedowierzanie.

– Jak to możliwe? – spytała szeptem. – Skąd ci starożytni budowniczowie wiedzieli, co znajduje się po drugiej stronie



Księżycyca?

Gray dostrzegł inną osobliwość.

– Obraca się. Ta kula... obraca się powoli, ale nie ma co do tego wątpliwości.

Roland uświadomił sobie, że rzeczywiście tak jest. Księżyc nie wisiał jedynie w przestrzeni, ale też wirował, i to coraz szybciej. I znów w uszach księdza rozbrzmiało głośnie tyknięcie; przywiodło mu na myśl gigantyczny zegar. Przypomniał sobie coś, co kiedyś czytał.

– Sic mundus pendet et in nullo ponit vestigia fundo – wyszeptał.

Lena patrzyła na niego przez krótką chwilę, potem znów spojrzała na Księżyc.

– „I tak świat jest zawieszony, nie opierając swych stóp na żadnym fundamencie” – przetłumaczył łacińską sentencję. – Te słowa ojciec Kircher umieścił na magnetycznym zegarze, który skonstruował. Miał on postać wydrążonej szklanej kuli pełnej oleju mineralnego, w środku zaś znajdował się miedziany glob ziemski, który obracał się powoli, wskazując czas.

– Myślisz, że właśnie stąd zaczerpnął ten pomysł? – spytała szeptem Lena.

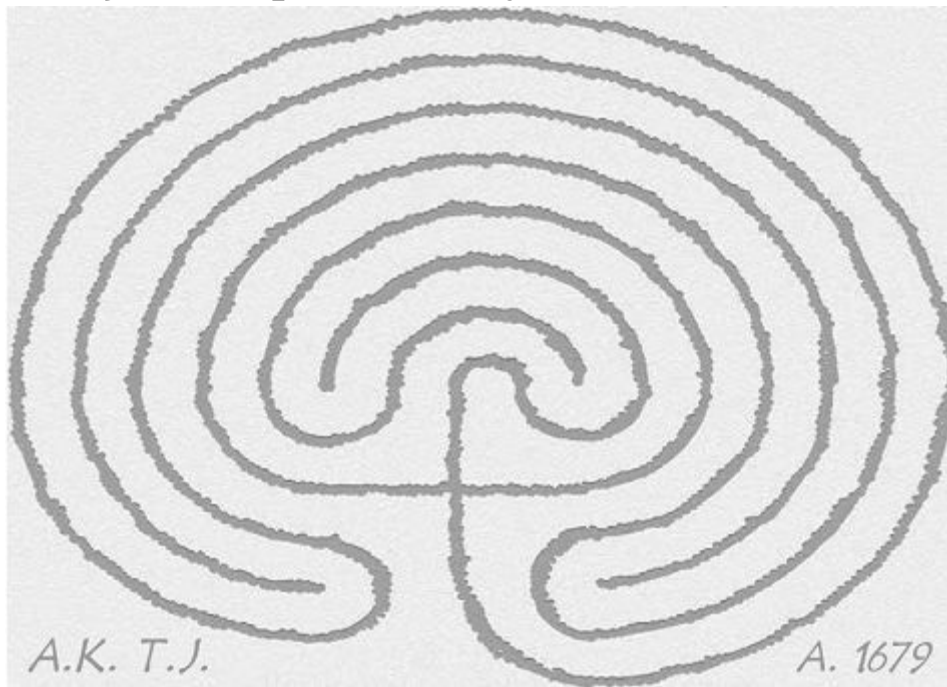
– Nie wiem, wierzył jednak, że właśnie takie siły kierują ruchem planet. – Wskazał miejsce pod gigantycznym Księżycem. – Ale Nicolaus Steno był tu bez wątpienia i doniósł mu o swoim odkryciu.

Na dnie obitej złotem komnaty znajdował się labirynt utworzony z miedzianych ścian o wysokości równej wzrostowi dorosłego człowieka, które jakby zachęcały do tego, by się w niego zagłębić. Jednakże cała ta struktura zalana była ciemnym płynem, niemal po szczyty swych ścian.

– Jest podobny do labiryntu wytłoczonego na dzienniku Kirchera – zauważył Gray.

– Wzór znajduwany na przestrzeni dziejów w różnych miejscach globu – dodał Roland. – Ale ten jest znacznie bardziej skomplikowany, rozwinięty, zawiły i zagmatwany.

Wyjął dziennik Kirchera i podniósł go, by mogli porównać labirynt w dole z tym na oprawie książki.



Odwrócił się do Leny i dostrzegłszy na jej twarzy zrozumienie, dotknął z wdzięcznością jej ramienia.

– Miałaś od samego początku rację.

Godzina 2.26

Czy może być to prawda?

Lena, starając się zgłębić wszystkie tajemnice i nieprawdopodobieństwa, które tu znaleźli, przypomniała sobie swoje pierwsze słowa na widok labiryntu na podniszczonej oprawie dziennika Kirchera, tego odkrytego w jaskiniach Chorwacji. Teraz je powtórzyła.

– To jest jak przekrój poprzeczny mózgu.

Roland skinął głową.

Przyglądała się bardziej skomplikowanemu wzorowi w dole, dostrzegając wszystkie miedziane zakrzywienia i fałdy tych ścian. Stanowiły doskonałe odtworzenie zakrętów i bruzd tworzących ludzki mózg.

– To rzeczywiście jest przekrój poprzeczny mózgu – wyszeptał Roland. – Emanującego energią.

Lena przyglądała się niewyraźnej jasnoczerwonej siateczce biegnącej wzdłuż miedzianych ścian, jakby cała ta struktura była jakimś pradawnym akumulatorem.

Może rzeczywiście tak jest.

– Ale co to oznacza? – spytał Gray. – Przekrój mózgu podtrzymujący zawieszony w powietrzu Księżyc?

Pokręciła głową, przypominając sobie to, co mówił Roland – jego opis niezwyklej, prawie niemożliwej do pojęcia symetrii i wymiaru jedyne go satelity ziemi. Globu, który rodził pływy podtrzymujące życie, kuli o tak perfekcyjnej masie, że stabilizowała obrót i oś planety, by mogła stać się ona pewnym i bezpiecznym domem, gdzie złożone organizmy rozwiną inteligentną rasę, która będzie spoglądać w niebo i odczuwać zdziwienie i zachwyt.

Patrzyła na obraz ludzkiego mózgu i czuła łyżę w oczach. Choć nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie Graya, w głębi serca pojmowała niewypowiedzianą prawdę, wyczuwając ogrom tego, co tu stworzono i co znajdowało się za tymi ścianami.

– Może to, na co patrzymy, to próba pojęcia Boga przez tych pradawnych budowniczych – podsunął Roland.

Lena wyczuwała, że jest bliski prawdy, ale te tajemnice sięgały jeszcze głębiej i rodziły pytanie, w jaki sposób ten starożytny lud potrafił oddać tak szczegółowo ciemną stronę Księżyca.

Roland westchnął, być może uświadamiając sobie to samo.

– A może to wszystko... – Zatoczył ręką szeroki łuk, jakby chciał objąć nie tylko sekrety tej komnaty, ale też tajemnice poza jej obrębem. – Może to jeszcze jedna podjęta przez dawną inteligencję próba skomunikowania się z nami, przesłanie, które mieliśmy odkryć, a które zostało zawarte w naszym DNA i ruchu Słońca, Ziemi i Księżyca.

– Ale jakie przesłanie? – spytała Lena.

Tym razem Gray wysunął pewien domysł.

– Fizyków zawsze zdumiewało to, jak dziwnie, wręcz nieprawdopodobnie wszechświat jest przystosowany do stworzenia

życia. Pomyślcie o sile elektromagnetycznej. Odznacza się konkretną wartością, która pozwala gwiazdom wytwarzać węgiel, podstawę życia. Siła nuklearna spajająca atomy też jest idealnie wyważona. Gdyby była odrobinę większa, świat składałby się wyłącznie z wodoru. Gdyby była odrobinę słabsza, wodoru nie byłoby w ogóle.

Lena zrozumiała, o co mu chodzi.

– Jeśli którakolwiek z tych stałych byłaby inna, życie by nie istniało – powiedziała, po czym zwróciła się do Graya: – Tylko jaki związek z tym wszystkim ma to, co tu widzimy?

Westchnął.

– Nie jestem pewien. Ale sądzę, że ci pradawni nauczyciele stworzyli tu pewien model, by nam pokazać, że życie też stanowi fundamentalne prawo natury. Ostatecznie naszym przeznaczeniem było odkrycie tych powiązań, proporcji i symetrii wiążących nasze ciała z większym wszechświatem, byśmy zaczęli pojmować większą prawdę.

– Jaką? – spytał Roland.

– Że jesteśmy wyjątkowi. – Gray wskazał labirynt mózgu. – Że może wszechświat jest skupiony na tworzeniu inteligentnego życia, na tworzeniu nas. Że to my stanowimy fundamentalne prawo natury.

Rozważali to w milczeniu.

– Nic dziwnego, że ojciec Kircher ukrywał tę wiedzę – mruknął Roland.

– Świat nie był na nią gotowy – zauważyła Lena.

I może wciąż nie jest.

Ksiądz wskazał labirynt w dole.

– Nicolaus Steno porzucił pod koniec życia paleontologię i przestał badać skamieliny. – Obrócił się do pozostałych. – Wiecie, czemu poświęcił swe ostatnie lata?

Lena pokręciła głową.

Roland znów spojrział w dół.

– Studiowaniu ludzkiego mózgu.

Tykanie ogromnego zegara przybrało nagle nową nutę, bardziej gorączkową, mniej miarową. Dopiero po chwili Lena uświadomiła sobie, że ta odmienna kadencja to szybki rytm kroków za ich plecami. Odwróciła się i dostrzegła niewielką sylwetkę zmierzającą pośpiesznie w ich stronę.

– Jembe?

Godzina 2.28

Gdy nagle pojawił się zdyszany chłopiec, Gray od razu wiedział, że coś się stało. Seichan błyskawicznie podskoczyła i chwyciła małego, nim zdążył runąć ku tajemnicom w dole komnaty.

Dyszał, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w to, co zwieszało się w tej przestrzeni; był niemal osłupiały.

Gray ujął go za brodę i przyciągnął jego spojrzenie.

– Co tu robisz?

Jembe cofnął się i zerknął za siebie.

– Biegłem szybko... – Machnął ręką w powietrzu. – Jak koliber. Ale tu jest bardzo ciemno.

Dopiero teraz Gray zauważył ciemną strużkę krwi na czole chłopca. Musiał się gdzieś uderzyć w głowę, próbując ich znaleźć.

Jembe chwycił go za kurtkę.

– Źli ludzie nadchodzą – wysapał. – Mają Chakikui.

Gray spojrział ku górze.

Znowu Chińczycy?

Seichan pomyślała o tym samym.

– Musieli nas śledzić.

Ale jak? – przemknęło przez głowę Graya, lecz nie zastanawiał się nad tym pytaniem; zadał ważniejsze:

– Ilu, Jembe?

Chłopiec pokazał dziewięć palców.

– Jeszcze jeden jest z Chakikui.

I wszyscy zapewne uzbrojeni po zęby, pomyślał Gray. Wyciągnął SIG sauera.

Seichan zrobiła to samo. Szanse nie przedstawiały się różowo.

Dwa pistolety przeciwko w pełni wyposażonemu oddziałowi uderzeniowemu.

– Jesteśmy tu za bardzo odsłonięci – powiedział Gray i zaczął popychać wszystkich w górę schodów, ciągnąc za sobą chłopca.

– Może schowamy się w bibliotekach – podsunęła Lena, starając się dotrzymać mu kroku. – Te komnaty ciągną się bez końca, niewykluczone, że okalają całą tę przestrzeń.

Roland skinął głową.

Nawet Seichan uznała ten plan za dobry.

– To nasza jedyna szansa. Możemy ochraniać wszystkich, bawiąc się z naszymi gośćmi w kotka i myszkę.

Kiedy dotarli na górny stopień i wkroczyli do kryształowej komnaty, Gray wskazał metalową bibliotekę, mając nadzieję, że połączone półki i kuloodporne księgi zapewnią jakąś ochronę. Rozważał przez chwilę odesłanie wszystkich do biblioteki kryształowej, sam zaś zamierzał wraz z Seichan odciągnąć przeciwnika w drugą stronę, ale tamci mogli wysłać do komnaty zwiadowców. Gdyby tak się stało, jego towarzysze byłiby bezbronni. Skupił się więc na pierwotnym planie.

Podsunał Seichan swoją latarkę.

– Zabierz ich – rzucił.

– Co zamierzasz...

– Będę tuż za tobą.

Skinęła głową, wzięła latarkę i pchnęła wszystkich ku otwartym drzwiom.

Gray, biegnąc w ciemności, popędził z powrotem do złotego szkieletu i ułożonego wzoru na kolumnie. Nicolaus Steno musiał skutecznie zapieczętować księżycową komnatę, przestawiając kule i resetując mechanizm.

Gray wiedział, że w jego przypadku taka staranność nie jest konieczna. Wymienił po prostu metalową kulę na kryształową. W momencie naruszenia ustalonego wzoru drzwi zaczęły się zamykać z cichym westchnieniem ukrytych przekładni.

Prędzej...

Spojrzał w stronę schodów, które tu prowadziły. Dostrzegł w ciemności niewyraźne światło docierające z góry. Nieprzyjaciel zbliżał się ostrożnie, zachowując czujność i wiedząc, że chłopiec zaalarmował przeciwnika. Mimo wszystko Gray potrzebował więcej czasu, dlatego uniósł pistolet i wypalił dwa razy w tamtym kierunku, licząc na to, że w ten sposób na chwilę zatrzyma wrogów.

Wreszcie wrota za jego plecami ze zgrzytliwym stukotem zamknęły się na dobre.

Odczekał jeszcze chwilę, tak na wszelki wypadek, gdyby mechanizm potrzebował czasu, by zadziałać. Potem sięgnął do planszy i wyjął jedną z metalowych kul. Tak jak przedtem rozległ się natychmiast donośny dźwięk, jak uderzenie metalu o kryształ.

Gdy tylko timer uruchomił się ponownie i zaczęło się odliczanie, Gray przypadł płasko do podłogi, mając nadzieję, że dotrze do drzwi biblioteki, nim zostanie zauważony.

Nic z tego.

Od strony schodów dobiegł huk strzałów, pociski odbijały się rykoszetem od kwarcowych płytek tuż obok jego stóp. Rzucił się szczupakiem do biblioteki i przeturlał w głąb pomieszczenia.

Seichan pomogła mu wstać, a potem pobiegli za najbliższą półkę z książkami i schowali się za tą ścianą metalowych woluminów.

– Co z pozostałymi? – spytał.

– Są dwie sale dalej, po lewej. Powiedziałam im, żeby się nie zatrzymywali, jeśli nie uda się nam powstrzymać przeciwnika.

Znów rozległ się gong.

– Jakby atak komandosów nie stanowił dostatecznego zagrożenia – warknęła.

Pokazał jej metalową kulę, którą wciąż trzymał w dłoni.

– Jeśli będzie trzeba, zresetuję timer. Może nawet wykorzystam to jako kartę przetargową. A w przypadku czarnego scenariusza wywołam największe zamieszanie na świecie.

– Lubisz żyć na całego, Gray.

– W tej chwili zależy mi na tym, żeby w ogóle żyć.

Zauważyli szybki ruch w sąsiednim pomieszczeniu i po chwili coś wtoczyło się przez próg, podskakując i obracając po podłodze.

Granat.

To się nazywa karta przetargowa!

Seichan chwyciła Graya i oboje odskoczyli.

### Godzina 2.31

Słyszając gwałtowny wybuch, Lena skuliła się odruchowo. Choć znajdowali się dwa pomieszczenia dalej, do ich kryjówki dotarł blask eksplozji, zalewając światłem półki i próg przy wejściu.

Kucała z Rolandem i Jembem za księgami. Ksiądz osłaniał dłonią niewielką latarkę, na jego twarzy malował się niepokój. Chłopiec pociągnął ją za rękaw.

– Pani Lena – powiedział, starając się przyciągnąć jej uwagę.

Uświadomiła sobie, że mały prawdopodobnie się boi. Przywierał do niej, próbując jej coś przekazać. Otoczyła go ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła, bardziej siebie niż jego.

– Nie. Muszę pani powiedzieć.

Dostrzegła niecierpliwość w jego wzroku.

– Co?

Powiedział jej.

– Musimy ich ostrzec – rzucił Roland, chwytając ją za ramię. On też usłyszał słowa chłopca.

### Godzina 2.32



Seichan jęknęła i dźwignęła się z podłogi. To nie był granat bojowy, tylko ogłuszający, a jego eksplozja miała na celu oszołomienie przeciwnika. Gdyby nie zasłona z półek wypełnionych ściśle książkami, oboje straciliby na chwilę wzrok. Wstrząs i huk były dostatecznie silne, by Seichan miała wrażenie, że jej głowę ścisnęły dłonie jakiegoś giganta.

Gray nie wyglądał wiele lepiej, gdy przykucnął z uniesionym pistoletem.

Kiedy wycofali się do następnej sali, zajął stanowisko po jednej stronie drzwi, blisko podłogi, a Seichan stała wyprostowana po drugiej. Obserwowała górę, a on dół; oboje śledzili wzrokiem pomieszczenie, z którego się właśnie wydostali.

Dostrzegli tam ruchliwe cienie.

Gray strzelił raz i z satysfakcją usłyszał krzyk bólu. Nie była to śmiertelna rana, ale stanowiła ostrzeżenie.

Domyślając się, że nieprzyjaciel jest wyposażony w noktowizory, Seichan sięgnęła do paska i wyciągnęła niewielką latarkę. Zapaliła ją i skierowała jej światło na półki z książkami. Nie było to tak skuteczne jak granat hukowy, ale nagły blask zneutralizował czuły sprzęt noktowizyjny, oślepiając każdego, kto się nim posługiwał.

– Sprytne – wyszeptał Gray.

Światło latarki dobyło też z mroku dwóch wrogów, którzy umknęli przed niespodziewaną iluminacją. Seichan i Gray strzelili jednocześnie. Ona trafiła jednego w górną część uda; poleciał za półkę z książkami. Gray trafił drugiego pod uchem; ten runął jak długi na podłogę.

Jeden załatwiony.

Wróg nie dał się jednak łatwo zastraszyć. Inni posuwali się flankami, niewidoczni dla przeciwnika. Było ich zbyt wielu. Seichan zrozumiała, że czas się wycofać i kazać pozostałym ukryć się jeszcze głębiej.

Nim zdążyła się odwrócić, rozbłysły światła napływające z kryształowej komnaty – dziwne jasnoczerwone migotanie.

Rozległ się jazgot strzałów, początkowo sporadyczny, potem bardziej zajadły.

Usłyszeli krzyki i wrzaski pełne bólu.

Co, u diabła?

W ich stronę rzuciła się jakaś postać w czarnym mundurze, biegnąca między dwoma rzędami półek. Nagle krtań mu eksplodowała, on sam zaś poleciał bezwładnie do przodu. Z jego gardła sterczała długa strzała. Runął na posadzkę, a drzewce złamało się na pół. Zaczął pełznąć w ich stronę, łapiąc spazmatycznie powietrze, potem jego plecy wygięły się w łuk, na ustach pojawiła piana.

Seichan spojrzała na grot strzały.

Trucizna.

Słyszając za sobą tupot, odwróciła się błyskawicznie, unosząc broń.

– To Lena i Roland – uprzedził ją Gray, nim zdążyła wystrzelić.

Był z nimi chłopiec.

Gray skinął na nich, by stanęli z boku.

– To plemię Jembego – oznajmiła bez tchu Lena.

Seichan zerknęła na chłopca, a on energicznie skinął głową.

– Chakikui powiedział mi, żebym przyprowadził tu złych ludzi. No to tak zrobiłem, ale powiedział też w tajemnicy, że nasi ludzie są w lesie. Próbowałem wam powiedzieć.

Seichan uświadomiła sobie, że chłopiec ma rację. Kiedy tylko usłyszeli o zagrożeniu, popchnęli go w stronę schodów i kazali mu się ukryć.

Rozległ się gong, tym razem znacznie głośniejszy.

Kiedy dźwięk zamierał, zauważyła, że zajadły ogień broni palnej wybucha tylko sporadycznie; odbijał się echem gdzieś w głębi biblioteki i docierał z sąsiednich pomieszczeń, gdzie Indianie atakowali Chińczyków.

– Co teraz? – spytał Roland.

– Musimy stąd wiać – odparł Gray.  
– Dlaczego?  
– Zgubiłem kulę. – Pokazał Seichan puste dłonie. – Trzymałem w rękę marmurową, ale kiedy wybuchł ten granat, straciłem ją.

No tak. Z Grayem nic nigdy nie było proste.

Wpatrywał się z posępnym wyrazem twarzy w ciemne pomieszczenie. Nie mieli czasu, by znaleźć i umieścić na swoim miejscu zagubiony element układanki, zwłaszcza że nie wiedzieli, ilu wrogów czai się w mroku.

Znów rozległ się dźwięk gongu, pełen groźnego ostrzeżenia.

– Trzeba wiać – ponaglił wszystkich Gray. – Jembe, znajdź któregoś ze swoich ludzi. Powiedz im, żeby też się stąd zabierali.

Chłopak skinął głową.

Gray klepnął go w ramię i odwrócił się do pozostałych.

– Gotowi?

Nikt nie mógł tego potwierdzić, ale nie mieli innego wyboru.

Godzina 2.37

– Chodźmy.

Gray uniósł pistolet i skierował lufę w stronę drzwi. Posuwał się nisko pochylony przez sąsiednie pomieszczenie, inni poszli za jego przykładem. Ominął martwego człowieka i ruszył wzdłuż wysokich rzędów półek. Zatrzymał się przy ostatnim i obserwował z uwagą drzwi, które prowadziły do kryształowej komnaty.

Okazało się, że nikogo tam nie ma.

Na podłodze leżało więcej ciał, także za progiem; większość miała na sobie czarne mundury, a jedynie kilka opaski na biodra. Palilo się tu parę porzuconych pochodni.

Z głębi biblioteki od czasu do czasu docierał huk strzału.

Ale nie to martwiło Graya.

Kryształowa komnata znów zadrżała od donośnego gongu.

Czas się prawie skończył.

Wiedząc, że nie mogą już dłużej czekać, rzucił się w stronę otwartych drzwi, jednak w ostatniej chwili pojawił się przed nim jakiś ciemny kształt. Jembe zawołał coś w swoim rodzimym języku. Gray zatrzymał się gwałtownie – w jego pierś była wymierzona zatruta strzała.

Wysoki Indianin usłyszał ostrzeżenie i odsunął się na bok. Gdy cała grupa opuszczała pospiesznie bibliotekę, powiedział coś szybko do chłopca. Jembe wskazał schody. Mężczyzna skinął głową, wysunął wargi i wydał z siebie świergotliwy gwizd, przywołując swych towarzyszy.

Gray w geście wdzięczności ujął ramię Indianina. Nie było czasu na bardziej wylewne podziękowania.

– Chodźcie – rozkazał pozostałym.

Gdy biegł w stronę schodów, rozległ się ostatni gong; znów wznosił się ku złowróbnemu crescendo. Kiedy osiągnęło szczyt, ziemia zadrżała pod stopami Graya, a on runął jak długi, pozostali też. Tylko Jembe zdołał zachować równowagę.

Wokół nich spadały z sufitu płyty obsydianu i roztrzaskiwały się na posadzce w ostre odłamki. Filary chwiały się i pękały.

– Szybciej! – ponaglił wszystkich Gray.

Z biblioteki za jego plecami wypadli Indianie.

Poprowadził ich schodami na górę i przez kolejną komnatę, tę wyłożoną wyszukanymi mozaikami. Świat wciąż drżał w posadach, na podłogę spadały płytki, a ze ścian znikwały obrazy zwierząt i ich opiekunów.

Z tyłu dobiegło echo nieokiełznanego żywiołu.

Woda.

Poczuł w uszach wzrastające ciśnienie. Ujrzał w wyobraźni, jak niepowstrzymane strumienie pochłaniają te wszystkie tajemnice i zmierzają szybko w ich stronę, pozbawiając tej jedynej enklawy powietrza.

Kiedy uciekał, narastała w nim pewność.

Atlantyda zanurzała się w odmętach po raz ostatni.

Godzina 2.38

– Musimy iść – zwrócił się sierżant Kwan do Shu Wei.

Stała w mrocznej bibliotece, podczas gdy zimna woda opływała jej buty. Wstrząs poprzewracał półki; pospadały z nich masywne woluminy w oprawach z niemal czarnego metalu. Tubylcy o śniadej skórze, którzy zastawili pułapkę na jej oddział, umknęli już przed narastającą falą powodzi.

Pragnęła przez chwilę tu pozostać, przyjąć porażkę z godnością i honorem, ale płonęło w niej silniejsze pragnienie.

Chęć zemsty.

Kuśtykając z powodu skręconej kostki, ruszyła przed siebie. Kwan zbliżył się, żeby jej pomóc, i objął ją w pól. W innej sytuacji nie zgodziłaby się na coś takiego – nie pozwoliłaby sobie na taką oznakę słabości, zwłaszcza jako kobieta służąca w armii.

Przywarła do niego, wyczuwając, że to wsparcie wynika z czegoś więcej niż tylko lojalności. Jego pewna i mocna ręka trzymała ją mocno. Shu Wei zamierzała zachować siły na walkę z wrogiem.

Pragnęła być taka jak mężczyzna, który ją obejmował.

Stać się Czarnowronem, bezlitosną siłą, która brała to, co jej się należało.

Nim dotarli do wyjścia, woda sięgała jej ud. Kwan niósł ją niemal, brnąc pospiesznie przez ciemne jezioro. Drogę zastąpiła im jednak znajoma postać.

Stary Indianin stał z napiętym łukiem, opierając strzałę o kciuk.

Najwyraźniej nie tylko ona szukała odwetu.

Kwan uniósł drugą ręką karabin, ale nim zdążył wystrzelić, z prawej strony dobiegł głośny dźwięk puszczonej cięciwy. Strzała przebiła mu nadgarstek, wytrącając broń. Nim zdołał ją odzyskać,

jego ciało poleciało do przodu, przebite od tyłu długą włócznią. Usta Czarnowrona parsknęły krwią.

Gdy runął twarzą w wodę, Shu Wei upadła na bok.

Chwyciły ją jakieś ręce, podniosły i przytrzymały mocno.

Mogła podjąć walkę, ale przemoczony mundur ograniczał jej ruchy, a noga pulsowała bólem.

Stary tubylec pozostał przy drzwiach, napinając cięciwę.

Shu Wei patrzyła na niego wyzywająco, gdy uwalniał strzałę.

## Godzina 2.43

Gray pędził wzdłuż długiej sali pradawnych języków. Szeregi pisma poprzecinane były ogromnymi szczelinami. Cała wielka część posadzki pękła i przechylała się teraz pod kątem. Kiedy biegł wraz z innymi przez to pobojuwisko, ziemia wciąż drżała, jakby ostrzegając, że najgorsze ma dopiero nadejść.

Nie chcę tu być, kiedy to się stanie.

Ujrzał w myślach starożytne miasto zapadające się w wodnym grobie.

Zwolnił, żeby pomóc Lenie, która wyraźnie słabła. Seichan próbowała podtrzymać Rolanda, ale ten odsunął jej rękę.

– Dam radę – wysapał.

Jedynymi, na których ten długi i wyczerpujący sprint nie robił najmniejszego wrażenia, wydawali się wojownicy za ich plecami. Co najwyżej zwalniali kroku, by się upewnić, że Gray i pozostali zmierzają w bezpieczne miejsce. Zwłaszcza Jembe, który krążył między nimi niczym podekscytowany psiak, chociaż jego oczy zdradzały lęk.

W końcu dotarli do kondygnacji schodów prowadzących w dół, ku zalanemu przez wodę wejściu do miasta. Nie zwalniając kroku, rzucili się w dół spiralnych stopni. Gray dotykał zewnętrznej ściany, żeby zachować równowagę.

Nagle stopnie stały się niebezpiecznie śliskie; pokrywał je mokry mech. Gray stwierdził, że jego opuszki palców wyczuwają to samo na ścianie. Uświadomił sobie, że woda musiała się stąd cofnąć, przeciekając na niższe poziomy starożytnego miasta.

Zaczął zwalniać na tym zdradzieckim podłożu.

I wtedy schodami wstrząsnął potężny huk, któremu towarzyszyło ogromne pęknięcie skały. Z wyższych kondygnacji zaczęły spadać kamienie wielkości pięści, niektóre duże jak dynia; podskakiwały i leciały bezładnie.

Wszystko się waliło.

Zapominając o ostrożności, Gray przyspieszył, starając się za wszelką cenę uniknąć spadających odłamków skalnych. Pokonali wreszcie ostatni odcinek schodów i dotarli do miejsca, w którym zniknęły pod wodą.

– Trzymać się razem! – ryknął. – Pomagajcie sobie w razie potrzeby!

Wysłał przodem Lenę, potem Rolanda.

Jembe oparł dłonie na pośladkach Seichan i pchnął ją z całej siły.

– Idź!

Gray nie dyskutował z chłopakiem, tylko chwycił Seichan za rękę. Razem zanurkowali i pokonali pod wodą ostatni zakręt spiralnych schodów i odcinek prostego tunelu.

Lena i Roland płynęli przed nimi, pracując rozpaczliwie rękami i nogami.

W końcu dotarli do kondygnacji, która prowadziła do wyjściowego korytarza. Wynurzali się jedno po drugim, chwytając łąpczywie powietrze. Wcześniej ten wąski pasaż był zalany niemal po strop. Teraz woda chlupotała wokół ich łydek. Wyczerpani, ruszyli gęsiego w stronę rozlewiska rzecznoego.

Powitał ich nocny wiatr, chłodny i czysty. Na jasnym niebie widać było Księżyc w pełni i świetlistą wstęgę Drogi Mlecznej. Przebrnęli przez jeziorko i wygramolili się na przeciwległy brzeg.

Gray zauważył czarne wojskowe buty wystające zza krzewu, zapewne strażnika pozostawionego z Chakikui. Seichan wyjęła pistolet, gotowa na pojawienie się któregoś z przeciwników.

Komandor docenił jej ostrożność, choć wątpił, czy mają powód do obaw. Patrzył, jak zbliżają się do nich tubylcy.

Jembe usiadł ciężko obok niego.

– Gdzie twój starszy towarzysz? – spytał go Gray. – Gdzie jest Chakikui?

Chłopiec popatrzył w stronę wejścia do tunelu. Gray uświadomił sobie, że stary człowiek wciąż tam pewnie przebywa. Wyprostował się, ale Jembe poklepał go po kolanie.

– Chakikui jest wiekowy.

Gray spojrział na niego, biorąc te słowa za oględne wyjaśnienie.

– Jest mądry – dodał jednak Jembe. – Zna wiele wyjść.

Roland to dosłyszał.

– Tubylcy, którzy przynosili ojcu Crespiemu te niezliczone artefakty, twierdzili, że do tych tuneli pełnych skarbów prowadzą różne drogi – wtrącił.

Gray miał nadzieję, że się nie mylą.

Zawdzięczał staremu człowiekowi życie... wszyscy mu zawdzięczali życie.

Lena spoglądała przed siebie, objąwszy kolana rękami; nie sprawiała wrażenia uradowanej z powodu ich ucieczki. W jej oczach wciąż malował się niepokój. Gray domyślał się jego powodu.

Ona była bezpieczna, ale nie jej siostra.



Pekin

1 maja, godzina 13.05 czasu miejscowego

Maria kucała na pace ciężarówki, kiedy pędzili przez ognistą kondygnację podziemnego kompleksu. Przyciskała do ust i nosa chusteczkę nasączoną wodą z żołnierskiej manierki. Chroniło to odrobinę przed dymem, ale żar wciąż narastał, kiedy pojazd pokonywał zakręty. Przesuwała się tam i z powrotem, trzymając mocno Baako i zakrywając mu pysk szmatką.

Popiskiwał i drżał.

Kowalski przycupnął z drugiej strony i objął oboje swoim wielkim ramieniem.

– Trzymam cię, kolego – zapewnił goryla, zapierając się nogami, żeby wszyscy utrzymali równowagę. – To już nie potrwa długo.

Miała nadzieję, że mówi prawdę. Piekły ją oczy, płuca płonęły przy każdym oddechu. Wysoka temperatura odstraszała hybrydowe stwory, ale, niestety, chwilami dobiegał ich głośny ryk, co oznaczało, że sfera tych bestii jest niedaleko.

Może nie na tej kondygnacji, lecz z pewnością na następnej.

Patrząc w górę, próbowała sobie wyobrazić blask słońca, świeże powietrze, chłodny wiatr. Przez kłęby dymu nad jej głową przeleciało coś wielkiego, unosząc się na prądach termalnych, zapewne jakiś ptak z ogrodu zoologicznego, pragnący uciec z tego piekła, do którego został przypadkowo zawiedziony. Nie widziała dokładnie, co to za stworzenie, bo po chwili zniknęło, miała jednak nadzieję, że zdołało wydostać się na wolność.

Mam nadzieję, że nam też się to uda.

Usłyszała przez małe okienko w tylnej części kabiny, jak Kimberly krzyczy do kierowcy:

– Nigdy nie uda się nam dotrzeć do następnego zjazdu!

Zrozpaczona Maria przycisnęła Baako jeszcze mocniej.

– Ale kawałek stąd jest klatka schodowa – dodała Kimberly. – Zatrzymaj się tam. Resztę drogi będziemy musieli pokonać na piechotę.

Wiadomość tę Maria przyjęła z ulgą i jednocześnie przerażeniem. Powiodła wzrokiem po stoickich twarzach żołnierzy. Wszyscy sprawiali wrażenie jednakowo posępnych.

Ciężarówka przejechała na pełnym gazie kolejne trzydzieści metrów i zatrzymała się gwałtownie.

– Wysiadać! – krzyknął Monk. – Biegnijcie w stronę schodów!

Kowalski pomógł jej zejść ze skrzyni, stękając i oszczędzając lewy bok, ale wciąż trzymał ją mocno i pewnie. Baako zeskoczył zwinnie i wylądował obok nich. Kiedy już wszyscy opuścili wóz, ruszyli zwartą grupą ku zadymionemu wejściu do klatki schodowej. Z dołu docierał słaby wiaterek, rozpraszając odrobinę dym. Nim dotarli do pierwszego stopnia, powietrze wydawało się niemal chłodne.

Monk włączył latarkę, osłaniając światło dłonią.

– Trzymaj się za mną – rzucił Kowalski do Marii.

Monk szedł przodem, po obu bokach miał swoich ludzi, Kimberly kryła tyły.

Maria ścisnęła dłoń Baako, trzymając go blisko siebie. W pewnym momencie zsunął mu się opatrunek, odsłaniając zakrwawione rozcięcie na czubku głowy. Troska o podopiecznego przyprawiała ją o bezustanny ból w piersi.

Gdy parli przed siebie, dostrzegła znajome elementy otoczenia. Znajdowali się niedaleko laboratorium wiwiskcyjnego. Jakiś przeraźliwy huk sprawił, że zatrzymała się gwałtownie i odwróciła. W głębi ciemnego korytarza jarzył się złowieszczo ogień; część wyższego piętra runęła na tę kondygnację.

– Wszystko zaczyna się walić – zauważyła Kimberly.

Wiedząc, że ważniejsza od ostrożności jest teraz szybkość, przyspieszyli kroku.

Kiedy już pokonali w panice kilka rozwidleń, Baako szarpnął nagle jej dłoń, zmuszając, by się zatrzymała. Dopiero teraz usłyszała znajome zawodzenie i fukanie. Baako pociągnął ją w stronę najbliższych drzwi. Chciała pospieszyć dalej, ale wiedziała, o co mu chodzi. Ujął drugą dłonią klamkę i nacisnął.

– Co robisz? – spytał Kowalski, dając znak pozostałym, by się zatrzymali.

Goryl wskoczył do pomieszczenia. Maria nie miała innego wyjścia, jak tylko pójść w jego ślady, a pozostali podążyli za nią. Wewnątrz znajdowały się niskie stalowe klatki, w większości puste, ale w trzech przebywały młode szympany, niespełna dwuletnie. W czwartej siedziała starsza samica o szarym futrze i obwisłych piersiach, pełniąca najprawdopodobniej rolę karmiącej matki. Wyciągnęła przez kraty rękę w stronę Marii.

– Musimy iść dalej! – zawołała Kimberly.

Baako jednak zbliżył się do jednej z klatek i potrzasnął nią. Potem się odwrócił i zaczął pokazywać.

Otworzyć... iść... razem.

– Nie – powiedziała Maria. Wskazała siebie, potem Kowalskiego. – To my musimy iść.

Goryl popatrzył żałośnie, dając najwyraźniej do zrozumienia, jak sam się czuł w zamknięciu. Wciąż trzymał pręty krat. Szympan, niespełna roczny, chwycił go za palec.

– Och, pieprzyć to – rzucił Kowalski i zaczął zmagać się ze skomplikowanym zamkiem. – On się bez nich nie ruszy.

Maria przyłączyła się do niego.

Kowalski popatrzył gniewnym wzrokiem na pozostałych.

– Pomóżcie nam.

Wkrótce wszystkie klatki były już otwarte. Kowalski wyniósł jednego szympana, Baako wziął starszego za rękę. Samica

pospieszyła do najmłodszego i przycisnęła go do piersi.

Monk popatrzył na nich, pokręcił głową i skierował się do drzwi. Jeden z żołnierzy stał na warcie i teraz dał im znak, żeby się zatrzymali. Wycofał się do pomieszczenia i zamknął je starannie, po czym podniósł palec do ust.

Wszyscy zastygli bez ruchu.

Po korytarzu przebiegło coś potężnego. Maria poczuła drzenie podłogi i wyobraziła sobie jednego z hybrydowych goryli. Po chwili wszystko ucichło. Odczekali dziesięć sekund, nim żołnierz odważył się wyjrzeć na zewnątrz. Gdzieś z dali dobiegły głośnie krzyki, którym towarzyszył huk broni palnej i pełen wściekłości i furii ryk.

Żołnierz popatrzył na nich.

– Czysto... na razie.

Wyszli po kolei z sali i zaczęli się oddalać od wrzawy za ich plecami. W powietrzu wciąż wyczuwało się woń piżma, pozostawioną przez hybrydowego stwora. Następny korytarz był długi i prosty. Po obu jego stronach znajdowały się zamknięte laboratoria. Maria uświadomiła sobie, że gdyby Baako nie skierował ich do pomieszczenia z szympanсами, natknęliby się zapewne na rozszalałego goryla.

Kowalski też chyba to sobie uświadomił, bo poklepał Baako po ramieniu.

Szli pospiesznie korytarzem i zwolnili tylko na chwilę, tuż przy samym końcu. Kimberly nachyliła się do Monka, ale Maria dosłyszała jej słowa:

– Rampa wyładunkowa jest za następnym zakrętem. Mogę się założyć, że strzegą jej ludzie Changa.

Monk odwrócił się i dał znak oddziałowi. Żołnierze oparli kolby karabinów o ramiona.

Kowalski próbował przekazać Marii swojego szympansa; przeszkadzały mu te drobne ręce zaciśnięte na jego szyi. Pomogła mu; odebrała od niego przestraszonego zwierzaka i przytuliła do piersi. Wzięła też za rękę samicę, przyciągając ją do siebie.

Kowalski zwrócił się do Baako.

Szybko.

Baako mruknął w odpowiedzi, wsadził sobie na plecy młodego szympansa, który objął go za szyję, i powtórzył znak Kowalskiego, dodając coś od siebie:

Bardzo szybko.

– Skapowałeś.

Kowalski podniósł karabin otrzymany wcześniej od Monka. Ten spojrzał teraz na Baako, uśmiechając się.

– Ten twój malec to nieodrodny syn swojego ojca.

Miał to być nieco złośliwy żart, ale Kowalski potraktował go poważnie.

– Tak, to dobry dzieciak. – Olbrzym skierował broń w stronę korytarza. – No to jazda!

Godzina 13.22

Monk pokonał zakręt, prowadząc pozostałych krótkim korytarzem, który kończył się rozległą halą załadunkową; trzymał się blisko ściany, chcąc jak najdłużej pozostać niewidocznym. Nasłuchiwał nieprzyjaciela, lecz docierało do niego tylko echo jęków, ostry dźwięk wybuchów i huk walącego się za jego plecami kompleksu.

Z przodu panował spokój, ale w tej uporczywej woni dymu wyczuwało się smród piżma.

Bardzo go to niepokoiło.

Dotarli w końcu do hali załadunkowej i Monk obrzucił uważnym spojrzeniem rzędy wysokich regałów. Kilka się przewróciło jak kostki domina, a ich zawartość zamieniła się w bezładne stosy połamanych skrzynek, rozrzuconych beczek i zgniecionych pudeł.

Monk widział wyjście na drugim końcu hali, tam gdzie do wnętrza wpadało światło. Ogromne wrota, zamknięte wcześniej,

były teraz do połowy otwarte i umożliwiały pospieszną ewakuację. W głębi jarzyły się lampy podziemnego miasta.

Wciąż nie dostrzegając jakiegokolwiek ruchu, Monk wziął głęboki oddech i ruszył w głąb pomieszczenia, posuwając się między rzędami regałów i trzymając w miarę możliwości zacienionych miejsc. Kiedy ominął bezładny stos kartonów, ujrzał wewnątrz hali w całej okazałości.

Cholera...

Wszędzie leżały ciała w mundurach, porozrywane, poszarpane, zmasakrowane. Podłogę pokrywała śliska krew, która zbryzgała też ściany. Wokół wałała się broń, lufy wciąż dymiły i parowały w czerwonych rozlewiskach. Na kilku karabinach zaciskały się dłonie oderwane od ciał.

Pośrodku tej masakry spoczywał twarzą do dołu wielki włochaty stwór. Nie miał połowy czaszki – zapewne na skutek uderzenia ładunku wybuchowego. Monk rozejrzał się i dostrzegł długą czarną tubę granatnika porzuconą tuż przy podnośniku drzwi.

– I tyle, jeśli chodzi o posiłki Changa – wyszeptała u jego boku Kimberly.

Monk miał nadzieję, że pośród zabitych jest też podpułkownik, ale trapiło go coś innego. Za drzwiami widać było opustoszały parking. Ci, którzy ewakuowali się stąd w pośpiechu, zarekwiirowali wszelkie dostępne pojazdy i uciekli. Została tylko duża niebieska wywrotka.

Zwrócił się do Kimberly, która też patrzyła na duży wóz:

– Potrzebujemy kluczyków.

Wóz stał tu zapewne dlatego, że kluczyki wciąż miał kierowca. Monk przypomniał sobie, jak sierżant Chin ogłuszył mężczyznę. Przeciągnęli wtedy bezwładne ciało za stos drewnianych palet.

Ale czy wciąż tu leżało?

Monk zmrużył oczy i dostrzegł parę butów. Westchnął z ulgą.

– Wezmę je – powiedział do Kimberly – Ty wsadzisz wszystkich do wozu.

Skinęła głową.

Zerknął na pozostałych, by się upewnić, że zrozumieli.

– Zabierajcie tyłki – syknął.

Odwrócił się i ruszył biegiem w stronę otwartej przestrzeni, kierując się ku paletom, podczas gdy reszta rzuciła się do otwartych drzwi hali. Kilka razy omal się nie przewrócił, czując, jak jego buty ślizgają się na zalanym krwią betonie.

Jego uwagę zwrócił jakiś hałas.

Sunąc na podszwach butów, spojrzął przez ramię.

Przez górę skrzynek i pudeł przedzierał się niczym buldożer jakiś potężny kształt, który wyskoczył z ukrycia, przewracając wysokie regały. Pokonał ostatnią przeszkodę, wylądował ciężko na nogach i podparł się przedramieniem. Przygarbił się, łapiąc oddech i odsłaniając srebrzyste futro na grzbiecie. Potem się wyprostował i wydał z siebie ogłuszający ryk. Walnął się pięścią w pierś, co zabrzmiało jak grzmot.

Cholera...

Monk cofnął się czym prędzej.

– Biegnijcie do wywrotki! – zawołał.

Odwrócił się i popędził w stronę leżącego na ziemi kierowcy. Usłyszał, jak bestia opada na cztery kończyny. Poczul drżenie ziemi, kiedy stwór, sprowokowany jego krzykiem, rzucił się ku niemu. Wokół zadrgały kałuże krwi.

Monk zanurkował w ostatniej chwili, rzucając się szczupakiem w powietrzu. Kiedy wylądował, potężna pięść spadła na stos palet, przebijając je z hukiem pękającego drewna.

Wyciągnął rękę, chwycił kierowcę za kostkę i umknął przed wściekłym ciosem. Przykucnął nad bezwładnym ciałem, zasypywany istnym deszczem drzazg, pewien, że bestia rozłoży go ciosem drugiej pięści.

Jednak od strony drzwi dobiegł grzmiący głos:

– Hej, dupku! Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy!

Kowalski patrzył, jak olbrzymi samiec o srebrzystym futrze, który zapewne rozpoznał jego głos i przypomniał sobie dawnego przeciwnika – czy też posiłek – pędzi ku niemu.

Dźwignął granatnik na wysokość ramienia.

Teraz czuję się odpowiednio przygotowany.

Chwilę wcześniej, kiedy bestia zaszarżowała na Monka, Kowalski odłączył się od pozostałych, podbiegł do granatnika leżącego obok wyjścia i podniósł z podłogi dwa pociski.

Szybko załadował jeden i wycelował w wielkiego samca, gdy ten obrócił się do niego. Czekał, aż Monk obmaca leżące ciało kierowcy. W końcu jego partner zerwał się na równe nogi i skoczył w stronę bocznego wyjścia.

Goryl podparł się jedną ręką, patrząc groźnie na Kowalskiego i sapiąc jak miech. Sądząc po błysku w tych ciemnych oczach, bestia rozpoznała swego niedawnego wroga.

Kowalski wycelował.

Trudno nie trafić.

Kiedy Monk usunął się z pola widzenia, Kowalski strzelił przy ogłuszającym huku. Z wylotu lufy dobyła się smuga dymu i poleciała w stronę stwora o srebrzystym grzbiecie.

Ten jednak przetoczył się w ostatniej chwili na bok, najwyraźniej wyczuwając zagrożenie, o jakim świadczyła masakra jego pobratymców. Uczył się niewątpliwie na błędach.

Chybiając celu, granat uderzył w przeciwległą ścianę i detonował w błysku ognia, wyrywając kawał betonu.

Olbrzymi hybrydowy goryl wylądował na czterech kończynach, nie zwracając najmniejszej uwagi na deszcz odłamków, które zasypały jego plecy.

Kowalski nie miał czasu, by załadować broń ponownie, więc zrobił to, co nakazał im wcześniej Monk.

Wziął tyłek w troki.



Jego partner dotarł już do kabiny wywrotki i wgramolił się na siedzenie kierowcy. Silnik ożył, parszając kłębami czarnego dieslowskiego dymu.

Kowalski popędził w stronę samochodu i dostrzegł w bocznym lusterku zaniepokojoną twarz Monka. Znał źródło tego niepokoju. Bo w tym samym lusterku zobaczył goryla, który poślizgnął się w kałuży krwi, po czym zaszarżował na niego.

– Jazda! – wrzasnął Kowalski, wywijając granatnikiem.

Biegł teraz szybciej, nie odrywając wzroku od lusterka. Stwór wypełniał je w tym momencie swoją postacią; ryczał i obnażał kły, z których spływały strugi gęstej śliny.

Kowalski wiedział, że nie da rady, zwłaszcza że wywrotka zaczęła przyspieszać. Czuł, jak z każdym krokiem żebra wbijają mu się coraz głębiej w bok.

Potknął się; siły opuszczały go nieubłaganie.

Od strony skrzyni wozu dobiegły strzały. Nad jego głową zagwizdały pociski wycelowane w stwora. Podwładni Monka wydostali się z kabiny i przeszli na tył wozu, by pomóc Kowalskiemu.

Widząc to, znów przyspieszył.

W końcu dotarł do zderzaka i chwycił się szczebli drabinki z boku karoserii. Palce ześlizgnęły się z metalu. Tracąc równowagę, resztkami sił rzucił się głową naprzód ku drabinie. Złapał ją pewnie jedną dłonią.

Czubki jego butów szorowały po betonie, kiedy ciężarówka nabierała szybkości.

Obejrzał się.

Stwór pędził w jego stronę. Jego twarda skóra i grube kości były nieczułe na ogień karabinowy. Wyciągnął łapę ku Kowalskiemu, ale ten rąbnął go w kłykcie rurą granatnika.

Bestia cofnęła łapę, kontynuowała jednak pościg.

Kowalski cisnął granatnik na wywrotkę, bo potrzebował obu rąk, by wspiąć się po drabinie. Kiedy już trzymał się pewnie szczebli,

podciągnął stopy na zderzak i wgramolił się szybko na górę, ale wóz przyspieszał zbyt ociężale. Stwór zmniejszył dystans, ponownie wyciągając ku Kowalskiemu łapę.

I wtedy nad tylną burtą pojawiła się lufa granatnika i wycelowała w bestię. Kowalski wyprostował się i zdumiał, widząc, kto trzyma broń; była to Maria. Ale jedyny pozostały ładunek wciąż tkwił za paskiem jego spodni.

Mimo wszystko potężny goryl dostrzegł zagrożenie.

Głośny huk przestraszył Kowalskiego, który omal nie puścił się drabinki.

Bestia zareagowała podobnie, uskakując i tocząc się w bok, jak poprzednio, przekonana, że strzelają do niej. Ale to tylko Maria kopnęła z całej siły tylną klapę, co zabrzmiało jak strzał z granatnika.

Kowalski wisiał na drabince, patrząc na stwora, który zatrzymał się i zaryczał, uświadamiając sobie zapewne, że został przechytrzony.

Kowalski podniósł rękę i zasalutował jednym palcem.

Więcej szczęścia następnym razem, głupku.

– Trzymaj się! – zawołał zza kierownicy Monk.

Jego kolega z Sigmy obrócił się w drugą stronę.

W ich kierunku zmierzał konwój pojazdów wojskowych, jeden obok drugiego, zagradzając całą szerokość tunelu.

Chińska armia.

Kowalski westchnął.

I kto jest teraz głupkiem?

Godzina 13.31

Kiedy Kowalski siedział już pewnie na skrzyni, Monk zwolnił. Próbował zignorować nadjeżdżający konwój i zwrócił się do Kimberly.

Zmarszczyła czoło. Od początku tej jazdy studiowała mapę podziemnego miasta dostarczoną przez Kat.

– Wojsko nadciąga od strony wejścia, którym się tu dostaliśmy – powiedziała.

Monk zatrzymał ciężarówkę.

– A więc nie uciekniemy tamtędy.

– Nie. – Zerknęła przez ramię. – Ale jest rozwidlenie, które minęliśmy sto metrów wcześniej.

Widział je. Tunel poprzeczny był szerszy od tego, którym teraz jechali.

– Dokąd prowadzi?

– Nie mam pojęcia. Nie ma go na mapie Kat.

– Dobra, sprawdźmy.

Spoglądając w lusterko, ruszył na biegu wstecznym. Stwór o srebrzystym futrze zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów za rozwidleniem. Jego wściekły ryk zdążył już przywołać do tuneli inne goryle. Wzdłuż pasażu przemykały ciemne zwaliste kształty, by przyłączyć się do swego przywódcy.

– Będziesz musiał pokonać szybciej ten zakręt – uprzedziła go Kimberly.

Bez jaj.

Mimo wszystko Monk jechał z umiarkowaną prędkością. Chciał, by ci z konwoju myśleli, że to tylko jakiś pośledni kierowca ciężarówki próbujący uciec przed zamieszaniami i usunąć się wojsku z drogi.

Po chwili wóz na przedzie plunął ogniem. Pociski uderzyły w grubą przednią szybę kabiny i odbiły się z wizgiem od osłony chłodnicy.

No dobra, nie udało się.

Kiedy Monk przyspieszył, Kimberly schyliła się i wyjęła z kurtki lornetkę. Obserwowała przez chwilę konwój, oceniając zagrożenie; nagle zaklęła pod nosem.

– Co jest? – spytał Monk.

– Ten jeep na przedzie. To podpułkownik Chang Sun.

Chyba żartujesz, pomyślał.

Kimberly skrzywiła się.

– Musiał zwiać w trakcie tego zamieszania i napotkać nadjeżdżający konwój. To on prawdopodobnie wezwał posiłki.

I teraz przybywa z kawalerią jako bohater.

Monk przyspieszył na biegu wstecznym, ścigany przez pojazdy konwoju. Nad dachem kabiny rozległ się jazgot ognia; sierżant Chin i jego ludzie odpowiedzieli strzałami, stojąc na skrzyni.

Wszyscy pozostali, łącznie z Baako i ocalonymi szympanсами, też tam byli. Grube stalowe burty chroniły ich w miarę skutecznie.

Monk, pędząc tyłem, patrzył bezustannie w boczne lustro. Widział, jak inne potężne hybrydy dotarły już do samca alfa i zbierały się u jego boku. Ogień broni palnej, wraz ze zbliżającymi się pojazdami i światłami, zmuszał bestie do ostrożności – lecz prawdopodobnie nie na długo.

Przywódca stada wlepił ciemne ślepia w wywrotkę. Przygarbił się wsparty na czterech kończynach i wysunął do przodu barki, czekał, aż powrócą; być może uważał, że przystępują do ataku.

Przykro, że musimy cię rozczarować, stary.

Monk dotarł do rozwidlenia i ostro zahamował. Gdy wykręcił kierownicą, tyłem zarzuciło lekko, a przód obrócił się w stronę bocznego tunelu.

Teraz, kiedy ciężarówka stała pod kątem, Monk widział wyraźnie nadjeżdżający konwój. Błysk światła był coraz bliżej.

– Na co czekasz? – spytała Kimberly.

Naciskał hamulec i zwiększał obroty silnika, który wydawał chrapliwy warkot, parskając w przestrzeń spalinami. Tkwił uparcie w miejscu, dopóki nie nawiązał kontaktu wzrokowego z Chang Sunem siedzącym na miejscu pasażera w otwartym jeepie.

– Nadchodzą! – krzyknął z tyłu Kowalski.

Nie miał na myśli Chińczyków.

Monk zauważył, że Chang Sun uśmiecha się z satysfakcją.

Dobra. Wystarczy.

Puścił hamulec i ruszył do przodu. Zapiszczały opony, zadymiły gumy – i wóz wystrzelił w głąb bocznego tunelu.

Zgodnie z jego przypuszczeniem, żołnierze w konwoju byli tak skupieni na wielkiej wywrotce, która zagradzała niemal całą drogę, że nie zauważyli armii zwalistych hybrydowych goryli czających się w cieniu za ciężarówką.

Monk zobaczył w lusterkach bocznych, jak te dwie siły zderzają się ze sobą.

Potężne goryle wpadły na jeepy i ciężarówki, skakały po maskach i rozrywały brezentowe dachy pojazdów, by dopaść żołnierzy.

Tunel skręcał pod ostrym kątem, więc po chwili Monk nie widział już walki.

Wreszcie mógł skupić całą uwagę na drodze.

Dokąd teraz zmierzamy?

Godzina 13.58

Po dwudziestu minutach jazdy przez coraz ciemniejsze tunele Maria pozwoliła sobie na głęboki oddech. Siedziała na skrzyni wywrotki otoczona przez ciepłe włochate ciała.

Baako opierał się o nią, z drzemiącym szympansem na kolanach. Po drugiej stronie usadowiła się starsza samica, która trzymała swoje maleństwo. Maria tuliła w ramionach małego roczniaka, jego główka spoczywała ufnie na jej ramieniu, a oddech owiewał szyję.

Pamiętała chwile, gdy Baako był taki młody.

Kowalski siedział po turecku, wsparty o burtę wozu i patrzył na nią.

– Co? – wyszeptała.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze wyglądasz.

Popatrzyła na swoje zmięte ubranie, a potem zerknęła na niego ze zmarszczonym czołem.

No tak, jasne.

Przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– To znaczy wyglądasz... sam nie wiem, na zadowoloną. Jakbyś wiedziała, gdzie jest twoje miejsce.

Przestała marszczyć czoło i uśmiechnęła się.

– Może – rzuciła. Przynajmniej lepiej niż kilka dni temu, dodała w myślach.

– Dobrze wyglądasz – powtórzył i odchylił się, zamykając oczy, ale wcześniej w kącikach jego ust pojawił się nieznaczny uśmiech.

Wiedziała, że tym razem nie mówi o zadowoleniu. Nie drażyła tego jednak i ucieszyła się z komplementu, chociaż wiedziała, że na niego nie zasługuje.

Silnik ciężarówki zakrztusił się nagle, wprawiając skrzynię w drżenie – potem jeszcze dwa razy. W końcu parsknął ostatnim kłębem spalin i zgasł.

Maria wyprostowała się i odwróciła.

– Paliwo się skończyło! – zawołał przez tylne okienko kabiny Monk. – Chyba jakaś zabłąkana kula przebiła zbiornik. Ale Kimberly wie, gdzie jesteśmy. Osiemset metrów dalej znajduje się wyjście. Odtąd posuwamy się pieszo.

Wraz z Kowalskim Maria pomogła wszystkim zejść z wozu.

Po chwili cała grupa ruszyła w głąb ciemnego tunelu. Przodem szedł Monk z latarką. Jej snop dostatecznie oświetlał drogę.

Po kilku minutach wędrówki Kimberly schowała telefon do kieszeni i spojrzała przed siebie.

– Wyjście znajduje się niedaleko Zakazanego Miasta. Kiedy tam dotrzemy, ja i sierżant Chin znajdziemy jakiś pojazd. – Zerknęła na podopiecznych Marii. – Może furgonetkę, którą uda się przetransportować nasz niezwykły ładunek. Cała uwaga będzie zapewne skupiona na ogrodzie zoologicznym, więc chyba uda się

nam wydostać z Pekinu i zorganizować ewakuację. Mimo wszystko powinniśmy...

– Cicho – przerwał jej Monk i przysłonił latarkę dłonią. Skinął na wszystkich, by cofnęli się na bok.

– Co znowu? – warknął Kowalski.

Po chwili Maria też to usłyszała.

Warkot silnika. Za ich plecami, na odległym zakręcie, błysnęły światła. Załoga tego wozu z pewnością zauważyła porzuconą wywrotkę.

Monk wyłączył latarkę i zwrócił się do Kimberly:

– Jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się schować?

– Nie zdążymy.

Zaklął i dał wszystkim znak, by się położyli. Jego ludzie przyklękli, ściskając w rękach broń, by chronić Marię i jej podopiecznych.

Pojazd zbliżał się do nich i stanął w odległości dziesięciu metrów. Oślepił ich blask reflektorów, ale nie ulegało wątpliwości, że to wojskowa maszyna. Odkryty jeep miał zamontowany z tyłu karabin maszynowy, którego lufa obróciła się w ich stronę.

– Nie macie dokąd uciekać, psy! – zawołał jeden z żołnierzy.

Maria rozpoznała ten ton wyższości.

Kowalski jęknął, co oznaczało, że też zna tego człowieka.

Godzina 14.16

Ten drań ma więcej istnień niż kot.

Silnik jeepa wciąż warkotał głośno, a Chang Sun ukrywał się za osłoną karabinu maszynowego, zamierzając najwidoczniej zachować żywoty, jakie mu jeszcze pozostały. Ten tchórz umknął zapewne ze skrzyżowania i ruszył za nimi, gotów przypisać sobie chwałę, jaką mogło przynieść mu schwywanie wrogów.

Sierżant Chin wystrzelił na próbę kilka pocisków w stronę kierowcy, ale przednia szyba jeepa okazała się kuloodporna. Potrzebny był silniejszy ogień.

Kowalski zaczął podnosić swój granatnik, ale Chang Sun ostrzelał przedpole, za którym znajdowali się ludzie Monka.

– Zostańcie na miejscu! – ostrzegł. – Może oszczędzę kilkoro z was. Żeby was pokazać światu i osądzić jako amerykańskich szpiegów.

Kowalski opuścił broń.

– Ale zwierząt nie potrzebuję – dodał podpułkownik. – Przyślijcie je tutaj, żebym mógł się ich pozbyć.

Maria zasłoniła Baako swoim ciałem, dając jasno do zrozumienia, co o tym myśli.

Lufa karabinu maszynowego była teraz wymierzona w jej pierś.

– Zrób, co mówi – warknął Kowalski. – Lepiej, żeby Baako zginął tutaj, niż miałyby trafić do jakiegoś laboratorium.

Maria oddychała ciężko, nie ruszając się z miejsca. W końcu przygarbiła ramiona, wiedząc, że Kowalski ma rację. Odwróciła się do Baako.

Kocham cię – pokazała mu na palcach.

Zakwilił i przywarł do niej.

– Prędezej! – szczerknął Chang.

– Pozwól im się pożegnać, dupku! – odkrzyknął Kowalski.

Maria osunęła się na kolana i objęła Baako, jakby chciała wchłonąć go w siebie. Trzymała go przez długą chwilę, ale wiedziała, że cierpliwość Changa jest na wyczerpaniu. W końcu puściła goryla i zachęciła go, by zabrał ze sobą szympansy.

Baako niósł dwa małe, trzymając jednocześnie za rękę matkę, która tuliła swoje dziecko do piersi. Ruszyli między strumienie światła reflektorów jeepa i niebawem zamienili się na tle tego blasku w niewyraźne i mroczne sylwetki, niczym duchy.

Maria przywarła głową do piersi Kowalskiego, kryjąc twarz i czekając na huk strzałów.



– Będzie dobrze – pocieszył ją Kowalski.

Nie było to kłamstwo.

Wszyscy skupiali uwagę na tym, co dzieje się z przodu jeepa, nikt natomiast nie interesował się tym, co rozgrywa się z tyłu. Narastały tam cienie, coraz gęstsze, i w końcu przybrały postać masywnego przysadzistego kształtu.

Nie tylko Chang przetrwał to wcześniejsze starcie.

Stary samiec o srebrzystym grzbiecie podchodził bezgłośnie do zbiegłej ofiary. Był bez wątpienia ranny i ociekał czarnymi strugami krwi. Jedna ręka, niczym martwy ciężar, zwisała mu bezwładnie. Po chwili zbliżył się do jeepa. Siedzący w nim ludzie, ogłuszeni warkotem silnika, nie byli niczego świadomi.

Monk dał znak swoim ludziom, by się cofnęli.

Podpułkownik uznał, że odsuwają się od rzezi, której ofiarą miał paść Baako i szympansy.

– Wkrótce będzie po wszystkim! – zawołał.

Z pewnością.

Potężna łapa chwyciła go od tyłu i ściągnęła ze stanowiska karabinu maszynowego. Szok wywołany nagłym atakiem pozbawił go na chwilę tchu. Potem Chang obrócił się i ujrzał napastnika.

W końcu wydał z siebie krzyk przerażenia.

Kierowca jeepa wyskoczył w panice z wozu i od razu został trafiony w czoło dwoma celnymi pociskami z broni China.

Stwór o srebrzystym grzbiecie zignorował huk wystrzałów i podniósł szamoczące się ciało Changa do pyska. Wsunął sobie głowę człowieka między zęby trzonowe – po czym zacisnął z wolna szczęki; towarzyszył temu przeraźliwy chrzęst łamanych kości.

Kiedy podpułkownik znieruchomiał, srebrzysty stwór cisnął jego ciało w mrok i wsparł się na pięści, a potem spojrzał groźnym wzrokiem na stojących dalej ludzi.

Kowalski zdążył już załadować granatnik i oprzeć wyrzutnię o ramię, celując do masywnej postaci. Tym razem nie było mowy o

ucieczce. Bestia popatrzyła na niego ze złością, pofukując i szykując się do walki.

No, dalej.

Nagle przed Kowalskim pojawił się jakiś cień. Uniosła się włochata ręka i pociągnęła lufę granatnika w dół. Baako stał plecami do Kowalskiego, twarzą do olbrzyma.

Młody goryl wyprostował się na całą swoją wysokość. Wysunął w górę dwa palce, a potem skierował je ku olbrzymowi.

Odejdź.

Stwór o srebrzystym grzbiecie przygarbił się, wsparty na niekontuzjowanej ręce. Pod półtonowym cielskiem zbierała się kałuża krwi. Spojrzenie ciemnych ślepi przesunęło się od Baako, który trwał nieugięte na swoim miejscu, do opuszczonej broni.

Baako pokazał ponownie.

Odejdź.

Stwór mruknął, pochylając się z wyczerpania, potem odwrócił się i powlókł w ciemność.

Nikt nie drgnął, obawiając się jego powrotu.

W końcu Maria rzuciła się i objęła Baako.

Kowalski zachował czujność. Nie wiedział, dlaczego osobnik o srebrzystym futrze się wycofał – czy z powodu odniesionych ran, czy nieustępliwej postawy Baako, czy też na widok opuszczonej broni.

Pewnie wszystko to zdecydowało, że zrezygnował z walki.

Bez względu na powód, odszedł chyba na dobre, znikając w ciemnościach, by stać się z czasem jakąś legendą, monstrualnym yeti podziemnego świata Pekinu.

Kowalski przekazał granatnik Monkowi i zbliżył się do Baako. Poklepał goryla po ramieniu.

– No i kto jest teraz tu nowym samcem alfa?

Baako machnął żartobliwie ręką, ale koniec końców uderzył mocno Kowalskiego w bok.

– Au! Uwważaj na moje zebra.

Młody goryl uniósł brwi, martwiąc się, że naprawdę zrobił przyjacielowi krzywdę.

– W porządku – uspokoił go Kowalski. – Pamiętaj, że jesteśmy...

Pokazał palcami literę R i zakreślił w powietrzu kółko.

Rodzina.

Baako skinął energicznie głową, wyrażając głośnym fukaniem zrozumienie. Popatrzył na Marię, potem na Kowalskiego – po czym postukał się kciukiem w czoło i spojrzał na niego poważnie.

Papa.

– Hej, spokojnie, kolego. – Kowalski cofnął się o krok. – Nie przesadzajmy.

Waszyngton

6 maja, godzina 21.05 czasu miejscowego

– I taka jest oficjalna wersja strony chińskiej? – Gray siedział po drugiej stronie biurka, naprzeciwko Paintera Crowe’a. – Wyciek gazu?

Dyrektor Sigmy odchylił się na fotelu i przesunął palcami obu dłoni po włosach.

– To właśnie usłyszysz w CNN-ie i Fox News na temat zniszczeń w pekińskim zoo. Ale nikt działający za kulisami nie da się na to nabrać. Chinom pozwala się ocalić twarz w zamian za pomoc w ujawnieniu innych agentów w amerykańskim świecie akademickim.

– I wierzysz, że się z tego wywiążą?

– Oczywiście, że nie, ale to pierwszy krok, jeśli chodzi o porządki. Poza tym Chiny zgodziły się podpisać moratorium dotyczące zakazu jakichkolwiek dalszych badań związanych z tworzeniem ludzkiego genomu.

Gray uniósł sceptycznie brwi.

– Jakby podpisanie papierka mogło ich powstrzymać.

Painter wzruszył ramionami.

– Dżin i tak został wypuszczony z butelki. Możemy tylko, w miarę możliwości, ograniczać takie praktyki. Nawet siostry Crandall przerwały badania nad zwierzęcymi hybrydami.

– A co z naszą drugą zdobyczą? – spytał Gray.

– Chodzi ci o Gao Suna? Naszego gościa w pewnym miejscu odosobnienia?

Gray skinął głową. Oddział Monka wrócił do kraju z żołnierzem, który miał odpowiedzieć za śmierć studenta Uniwersytetu Emory'ego w ośrodku naukowym. Wobec kompletnego chaosu związanego z wydarzeniami w pekińskim zoo nikt nie zwracał sobie głowy poszukiwaniami jednego człowieka. Więzień został przewieziony do tajnego obiektu, gdzie miał odbywać wyrok dożywocia.

– Jest gotów do współpracy – zapewnił Painter. – Choć nadal nie mówi.

Gray zmarszczył czoło, nie rozumiejąc.

– Powinienem powiedzieć: wciąż nie jest w stanie mówić. Kowalski, jeszcze przed wyjazdem z Chin, zdrowo mu dołożył. Złamał facetowi szczękę i wybił cztery przednie zęby. A to był dopiero pierwszy cios. Monk odciągnął Kowalskiego, żeby nie pokiereszował gościa jeszcze gorzej, ale i tak trzeba było go zadrutować. Przez kilka tygodni będzie się odżywiał przez rurkę.

Facet zasłużył na znacznie gorszy los, pomyślał Gray.

– A wiadomości z Ekwadoru? – spytał.

– Ojciec Novak otrzymał pozwolenie Watykanu na objęcie kościoła Marii Auxiliadory w Cuenca. Będzie nadzorował wykopaliska prowadzone na terenie zaginionego miasta. Ten chłopak, Jembe, pomaga mu w kontaktach z miejscowym plemieniem Shuarów. Ksiądz liczy na to, że uda się odzyskać wiele cennych artefaktów.

Gray skinął głową. Wyglądało na to, że Roland jest na najlepszej drodze, by pełnić rolę ojca Crespiego, podążając jednocześnie śladami Atanazego Kirchera.

– Szkoda, że straciliśmy szczątki tych obu neandertalskich hybryd – dodał Painter. – Moglibyśmy wiele się dowiedzieć z DNA tych kości.

Gray nie był taki pewien.

Może tak jest lepiej.

Ujrzał w myślach ogromną rzeźbę Księżyca w złotej jaskini. Po raz nie wiadomo który zadawał sobie pytanie, co stało się z tymi pradawnymi budowniczymi. Wymarli czy znaleźli nowe miejsce, w którym się ukryli? A może po prostu wyruszyli w świat i przyłączyli się do reszty rodzaju ludzkiego w jego podróży ku przyszłości.

Zastanawiał się nad grobami znalezionymi w Chorwacji, ostatnią pozostałością po owych Czuwających na kontynencie europejskim. Sigma nie zdołała zachować tych hybrydowych kości, ale gdyby Rolandowi się udało, odkrycia w Ekwadorze mogłyby zmienić dotychczasowe pojmowanie miejsca człowieka na tej planecie – i być może poza nią.

Porozmawiał jeszcze przez chwilę z Painterem, poruszając różne zagadnienia i kwestie, a potem wyruszył do domu. Wsiadł do metra, a później na swój rower, by przemierzać ciemne ulice.

Księżyc nie był już w pełni, ale tajemnice zawarte w jego symetriach i wymiarach wciąż trwały na wieczornym niebie, zachęcając każdego do ich eksploracji, zadawania pytań, spoglądania poza następny horyzont.

Dotarł na swoje osiedle, zabezpieczył pojazd i ruszył przez trawnik skąpany w księżycowym blasku do drzwi wejściowych, gotów zapomnieć na chwilę o tych wszystkich tajemnicach.

Wszedł do mieszkania; było puste i ciemne. Przez chwilę odczuwał panikę, przekonany, że Seichan odeszła. Ostatnio wyczuwał jej niepewność, którą zdradzała w spokojniejszych chwilach ich wspólnego życia, jakby nie chciała go do końca zaakceptować – albo może uważała, że na nie po prostu nie zasługuje. Próbowwała skrywać takie wątpliwości, choć może po prostu go nabierała, a on pozwalał sobie wmawiać, że jej się to udaje.

Z czasem poznał bliżej naturę Seichan; szanował to, że wychowywała się w trudnych warunkach, i akceptował jej podejrzliwość. Pod wieloma względami była dziką istotą, której nie da się łatwo okiełznać, która nie reaguje dobrze na siłę czy żądania.

Nie miał więc nic przeciwko temu, by stworzyła sobie własną przestrzeń, dzięki której mogła walczyć z demonami przeszłości; był zawsze przy niej, gdy go potrzebowała, a jeśli nie, wycofywał się.

Ruszył przez ciemne mieszkanie, orientując się po nieznacznym woskowym zapachu, że mimo wszystko nie jest tu sam.

Otworzył drzwi głównej łazienki i zobaczył Seichan w parującej wannie, jej nagie ciało, ledwie skryte pod warstwą bąbelków. Obok, na podłodze, stała zmrożona butelka szampana i dwa smukłe kryształowe kieliszki. Jedyne źródło światła stanowił krąg wysokich świec.

Uśmiechnął się, rozpoznając ten scenariusz i przypominając sobie czas, który spędzali zamknięci w pokoju hotelowym z widokiem na Pola Elizejskie.

Seichan uniosła brew, jakby czytając mu w myślach.

– Ostatnim razem ktoś nam przeszkodził, i to dość obcesowo.

Zaczął zrzucać z siebie ubranie, pragnąc za wszelką cenę być z nią teraz.

Komu, u diabła, potrzebny jest Paryż?

Republika Konga

2 czerwca, godzina 10.05 czasu miejscowego

Kowalski strzepnął z ramienia wielką muchę, pewien, że jest nosicielką jakiejś egzotycznej choroby.

Co tak długo? – zastanawiał się.

Spojrzał ze złością na poranne słońce, uderzające niczym młot w polanę pośród dżungli. Po drugiej stronie tej zielonej polaci ciągnął się szereg namiotów ustawionych na podwyższeniach; mieszkali w nich od trzech dni, by się zaaklimatyzować i przygotować na czekające ich wyzwania. Przybyli do tej tektonicznej doliny usadowionej między szczytami wulkanicznymi w szczególnym celu.

– Jak długo jeszcze? – spytał gderliwie, zwracając się do dziewczyn.

Lena i Maria klęczały po obu bokach Baako, przygotowując go na ten pierwszy dzień. Bliźniaczki skakały wokół młodego goryla, jakby chodziło o dziecko, które posyła się do przedszkola. Nic dziwnego, skoro ich podopieczny miał minę typowego przedszkolaka: przerażoną, ale jednocześnie zdradzającą podniecenie.

Obok, w trawie, siedział Tango, który dyszał z wywieszonym ozorem. Maria zabrała ze sobą szczeniaka, by ułatwić Baako przejście do innego świata.

Po wydarzeniach, do jakich doszło przed miesiącem w Chinach, postanowiła zapoczątkować proces, którego zwieńczeniem miało być wypuszczenie podopiecznego na wolność, i wybrała mu na dom strzeżony rezerwat dla goryli – Virunga National Park. Zamierzała



wraz z siostrą spędzić następne sześć miesięcy w Kongu, pomagając mu w tej trudnej chwili. Wspierał je miejscowy zespół zoologów, którzy byli obeznani z takimi kwestiami i robili to samo dla szympansów uratowanych z laboratorium. Większość zwierząt była jeszcze zbyt młoda, ale miały zapewnioną opiekę do chwili, aż będą gotowe do życia w warunkach naturalnych.

Kowalski przyjechał z nimi, korzystając z dwutygodniowych wakacji. Potem, w trakcie pobytu Marii, zamierzał zjawiać się tu od czasu do czasu. Przypomniawszy sobie ostatnią noc, kiedy to siedzieli na werandzie jego namiotu, obserwując poświatę nocnego nieba odbijającą się w zastygłej lawie na szczycie góry Nyiragongo na północy. Popijając zimne piwo, dotrwali tak do świtu – choć nie zawsze na werandzie. Łóżka były zaskakująco wygodne.

Tak, będę tu wracał.

– W porządku, myślę, że jesteście gotowi – oznajmiła Maria, prostując się z dłońmi na biodrach. – A ty, Baako?

Goryl uniósł ramiona i zacisnął dłonie w pięści.

Dzielny.

– Wiem, że taki jesteś – odparła.

Wzięła go za rękę i poprowadziła ku krawędzi lasu; za nimi biegł Tango. W cieniu drzew czekał już jeden z miejscowych zoologów, doktor Joseph Kyenge. Za jego plecami, na skraju zarośli, widać było kłocowate postaci – niewielkie stado goryli, pięć czy sześć, obserwujących z ciekawością ich małą grupę.

Niektóre zaczęły pohukiwać.

Plan polegał na tym, by to zoolog dopomógł we wzajemnej prezentacji. Uznano, że będzie lepiej, jeśli zrobi to ktoś obcy, a nie jedna z sióstr. Był to pierwszy krok zmierzający do przerwania owej więzi i umożliwiający Baako życie na wolności.

Kyenge przyklęknął na jedno kolano.

– Chodź, Baako, chodź – rzucił zachęcająco.

Maria puściła dłoń podopiecznego. Baako stał przez chwilę w miejscu, potem obrócił głowę, spojrzawszy w stronę Tanga i zaczął fukać

na przyjaciela.

– Baako, Tango nie może z tobą iść – powiedziała cicho, pokazując to jednocześnie. – To nie jest jego dom.

Baako popatrzył na las, potem ruszył ku Kowalskiemu, unosząc obie ręce do serdecznego uścisku.

Olbrzym ukląkł, by mogli się odpowiednio pożegnać.

Młody goryl wtulił się w jego pierś, wydając ciche, żalosne dźwięki.

– Hej, kolego, będzie dobrze. – Kowalski przesunął dłonią po jego głowie, wyczuwając szczecinę nowych włosów w miejscu, gdzie czaszka została wygolona i pozostała blizna. – O co chodzi?

Baako odchylił się, ale wzrok wciąż miał spuszczone. Pokręcił ze smutkiem głową, dotykając kciukiem brody, a potem powtórzył swój wcześniejszy znak w wersji jednoręcznej.

Nie dzielny.

Kowalski poczuł drgnienie serca. Ujął Baako za ramiona i zmusił goryla, by na niego spojrział.

– Jesteś najdzielniejszym dzieciakiem, jakiego znam – powiedział, nawet nie pokazując, bo wierzył, że Baako i tak zrozumie. Wskazał goryle w dżungli. – Jeśli któryś z nich sprawi ci kłopot, będzie miał ze mną do czynienia.

Baako go objął, przyciskając głowę do jego piersi. Nie drżał już tak bardzo, ale wciąż zdradzał niepewność.

Kowalski usiadł na mokrej trawie, starając się zachować ich rozmowę w tajemnicy. Poklepał się po piersi i uniósł kciuk do czoła, prostując palce.

Jestem twoim papą.

Goryl uniósł z nadzieją brwi.

Olbrzym położył dłoń na piersi Baako, potem dotknął ręki spoczywającej na jego brzuchu i popatrzył zdecydowanym wzrokiem na goryla.

Jesteś moim synem.

Baako otworzył szeroko oczy, skoczył na niego, rzucił go na plecy i zaczął się z nim tarzać w trawie; przy okazji naruszył nieco jego kontuzjowane żebra.

Krzywiąc się, Kowalski zdołał w końcu usiąść.

- No dobra, sprawa załatwiona. – Machnął szorstko w stronę lasu.
- Idź poszukać sobie nowych przyjaciół.

Baako zerwał się i uszczęśliwiony popędził ku nowemu życiu.

Andy, Ekwador

15 maja, 8.13 czasu miejscowego

Shu Wei przebudziła się z wywołanego gorączką snu – w istny koszmar.

Z wolna, jeden za drugim, ożywały jej zmysły. Wyczuwała zapach lasu, własnej krwi. Na jej wargi spływał śluz, powodując pieczenie. Świat wirował w odcieniach zieleni liści i błękitu nieba. Bolał ją żołądek, żółć podchodziła do gardła. Straciła poczucie czasu, a pamięć o minionych dniach wracała tylko sporadycznie.

Gdzie jestem?

Przypomniała sobie, jak Kwan upadł, jak ktoś podniósł jej bezwładne ciało i trzymał je potem. Przypomniała sobie strzałę, która ugodziła ją w brzuch. Próbowwała spuścić wzrok, ale nie mogła poruszyć głową. Czuła pod plecami sztywną deskę; chciała przesunąć kończyny, lecz i ten wysiłek zdał się na nic.

Dlaczego jestem związana?

Pamiętała, że ciągnięto ją przez wodę, potem straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, całe jej rozgorączkowane ciało płonęło oślepiająco. Przypomniała sobie niewyraźnie, że jakaś kobieta o nagich piersiach kładła jej na brzuch maść o barwie błota. Bolało tak bardzo, że znów zemdliała.

A teraz jestem przytomna... i żyję.

Oddychała głęboko przez nos, nie mogąc mówić, bo usta miała ściśnięte. Mimo wszystko wydała z siebie jęk.

Po chwili w polu widzenia ukazała się znajoma twarz.

To był ten stary Indianin. Zwrócił się do kogoś poza zasięgiem jej wzroku. Na jej ciało padły cienie, gdy zbliżyli się inni.

Rzucała się, próbując wyswobodzić z więzów.

Puście mnie.

Tubylcy nie zwracali uwagi na jej wysiłki. Stary człowiek uniósł zakrzywioną igłę kościaną z przyczepionym do niej długim kawałkiem ścięgna. Słyszała powtarzane raz za razem jedno słowo.

Tsantsa.

Próbowała zrozumieć. Jeśli tubylcy ją uleczyli, to czego teraz chcieli?

Pochyliła się nad nią inna znajoma twarz, kogoś, kto zdawał się pojmować jej rozterki. To był chłopiec. Uniósł jakiś przedmiot, by jej pokazać. W pierwszej chwili sądziła, że to jakiś wysuszony i stwardniały owoc, potem jednak dostrzegła zaszyte wargi i powieki, także długie ciemne włosy. Skurczona głowa.

Ale nie była jaka.

Jej oblicze poznaczone było znajomymi bliznami.

Kwan.

Te dzikusy przemieniły Czarnowrona w swoje trofeum.

Chłopiec uniósł skurczoną głowę jeszcze wyżej i wypowiedział jedno słowo, uśmiechając się szeroko.

– Tsantsa.

Teraz zrozumiała. Chciała krzyknąć, czując pieczenie na wargach. Popatrzyła na zaszyte usta Kwana i pojęła, że to samo zrobiono z jej ustami.

Ale tubylcy jeszcze nie skończyli.

Stary człowiek nachylił się nad nią, podnosząc grubą igłę – i sięgnął do jej powiek.

EPILOG  
**DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ**

Σ

Republika Konga

18 września, godzina 17.32 czasu miejscowego

– Doktor Crandall, słońce niedługo zajdzie – uprzedził Kyenge ze swoim śpiewnym kongijskim akcentem. – Nie wolno przebywać tu pani samej, a ja muszę wrócić do żony.

Maria, siedząc na łące, poklepała psa u swego boku.

– Nie jestem sama. Mam Tanga.

– Oczywiście. Nie zamierzam niczego ujmować tak wspaniałemu towarzyszowi, ale jest bardzo stary i chory.

Westchnęła ciężko, nie mogąc zaprzeczyć prawdzie.

Hepatocellular carcinoma.

Rak, nieoperacyjny i złośliwy.

Tango miał przed sobą jeszcze tylko kilka tygodni życia.

Był to jeden z powodów, dla których zjawiała się w rezerwacie goryli w parku narodowym Virunga; miała nadzieję, że zobaczy gdzieś Baako i że obecność psa wywabi go z lasu.

Choćby po to, by się pożegnał.

Maria była to winna obojgu. Ale nie widziała Baako od ponad pięciu lat, co należało uznać za dobry znak. Zaaklimatyzował się i, jak wszystko na to wskazywało, był szczęśliwy. Wiedziała, że wciąż żyje, ponieważ miejscowi strażnicy przyrody widywali go, a także jego stado.

Nasłuchiwała lasu, gdy ten, po całym długim dniu, budził się do nocy. Spośród drzew wyfruwały nietoperze, zarzucając ultradźwiękowe sieci. Owady bzyczały, furkotały i zawodziły. Ptaki

śpiewały do zachodzącego słońca albo wschodzącego księżyca. Małpy wykrzykiwały swe odwieczne skargi.

– Może spróbuje pani jutro, doktor Crandall.

Westchnęła i podniosła się z trudem, rozprostowując obolałe mięśnie. Siedziała tu od wczesnego ranka. A to był już trzeci dzień. Musiała zaakceptować prawdę i zabrać Tanga do domu.

– Czas chyba wracać do Stanów – przyznała.

Kyenge popatrzył na nią ze smutkiem.

– Przykro mi.

Wtedy usłyszała głośnie fuknięcie, o nutę głębsze niż to, które zapamiętała, ale wciąż znajome.

Kyenge cofnął się z uśmiechem, pozwalając Marii zbliżyć się do lasu.

– Baako?

Gęsta ściana liści rozchyliła się i ukazał się duży kształt, wsparty na kłykciach jednej ręki. Popatrzyły na nią ciemne oczy. Szeroki grzbiet i zad pokryte były srebrzystym futrem, oznaką dojrzałości.

Dłoń powędrowała w górę i dotknęła kciukiem brody.

Mama.

Krzyknęła i pobiegła przed siebie; za nią, nieco wolniejszym krokiem, podążył Tango.

Baako spojrział uważnie na psa i wydał ciche świszczące parsknięcie, co oznaczało u niego śmiech. Tango zaczął węszyć, a potem, jak za szczenięcych czasów, zaczął merdać energicznie ogonem, rozpoznając zapach swego wielkiego przyjaciela.

Maria dotarła do Baako i próbowała objąć jego masywną szyję, ale miała za krótkie ręce. On za to objął ją bez trudu i oparł się o nią, niemal miażdżąc swoim ciężarem.

Przyłączył się do nich Tango, szczekając niecierpliwie.

Baako puścił Marię i usiadł, rozkładając nogi. Tango podskoczył i wgramolił się na włochate kolana. Goryl westchnął z zadowolenia.

Powiódł wzrokiem po łące, potem dotknął kciukiem czoła.

Papa.



Maria przysunęła się bliżej, niewiedząc, co powiedzieć. Pokazała mu, mając nadzieję, że zrozumie.

Opowiem ci historię...

Przez następną godzinę mówiła mu prawdę – ale nie całą. Niekiedy była ona zbyt bolesna, by ją wyrażać, nawet za pomocą dłoni. Kiedy skończyła, Baako zwiesił głowę, pochylił się nad Tangiem i zaczął się łagodnie kołysać.

Dając mu tę chwilę, popatrzyła na diament błyszczący na środkowym palcu. Wiedziała, że powinna go zdjąć, odłożyć wraz z bólem i radością, które symbolizował.

Ale jeszcze nie...

Nie była gotowa. Wstała więc i podeszła do Baako, a potem usadowiła się obok niego w ciemności, pod księżycem w pełni. Trwali tak razem przez długi czas, aż wreszcie z lasu dobiegło ciche pohukiwanie. Baako mruknął w odpowiedzi i wskazał ręką.

Na krawędzi lasu ukazał się mniejszy kształt, samica goryla z dzieckiem przy piersi. Pokazała na Baako, potem na siebie. Zwinęła następnie dłoń i przesunęła nią wzdłuż ramienia, na którym trzymała małą niemowlę.

Maria otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, rozpoznając ten gest i to, co oznaczał.

Nauczył swoją partnerkę języka migowego...

Samica powtórzyła znak, tym razem jednak bardziej stanowczo.

Wracaj... noc.

Maria uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że Baako został złajany za to, że się tak zasiedziało. Jej spojrzenie spoczęło na dziecku, którego małe oczka błysnęły w jej stronę.

Odwróciła się do Baako.

Jesteś teraz papą – pokazała mu.

Mruknął w odpowiedzi, potem musnął kłykcami jej policzek, żegnając się z nią bez wątpienia. Dźwignął się na nogi, czym dał jasno do zrozumienia, że najwyższy czas wracać do lasu, do swojego stada, do swojej rodziny.

Maria cofnęła się; musiała pozwolić mu odejść.

Tango podążył za przyjacielem, wciąż merdając krótkim ogonem.

Baako popatrzył na psa, potem na Marię.

Pokazała mu, o co chodzi, podejrzewając, że Baako, dzięki swoim ostrzejszym zmysłom, poznał już smutną prawdę.

Jest stary. Jest chory.

Baako pokręcił głową i przysunął złączone palce do policzka, potem do ucha, i znowu do policzka, po raz ostatni korygując jej słowa.

Jest w domu.

Odwrócił się i ruszył ociężałym krokiem w głąb lasu wraz z Tangiem – dwaj przyjaciele, zdecydowani pozostać razem do samego końca.

Patrzyła, jak się oddalają, i wiedziała, że więcej już ich nie zobaczy.

Żaden się nie obejrzał.

Złamało jej to serce – i sprawiło, że poczuła się ogromnie szczęśliwa.

Głęboką nocą Baako siedzi ze swoim stadem, które zebrało się w lesie. Wszyscy śpią. Nawet Tango leży skulony u jego boku. Baako trzyma syna między skrzyżowanymi nogami, potem ujmuje te drobniutkie palce i układa je w litery. Malec jest zbyt młody, by zrozumieć, ale stanie się tak, gdy dorośnie.

To imię, które nadał swemu dziecku.

Na cześć pewnego człowieka.

Powtarza litery.

J-O-E.

Wreszcie małe oczy się zamykają i Baako przygarnia dziecko do piersi. Kołysząc się delikatnie, spogląda przez gęstwiny ciemnych liści na lśniącą tarczę księżyca, na piękno gwiazd... i zastanawia się nad wszystkim.

Nota od autora  
**Prawda czy fikcja**

Σ

Ponownie nadeszła chwila, gdy postaram się zrobić wszystko, żeby wydobyć prawdę zagrzebaną w tej opowieści. Pomyślałem też, że wykorzystam niniejsze strony, by odpowiedzieć na jedno koszmarne pytanie, którego boją się wszyscy pisarze: Skąd czerpiesz pomysły? W tym celu spróbuję wyjaśnić genezę tej opowieści, powiem też, jak natknąłem się na główne wątki.

No to zaczynamy!

Początkowo Labirynt kości był pomyślany jako próba zgłębienia źródeł ludzkiej inteligencji, która pozwoliłaby odkryć, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy. Ta linia śledztwa doprowadziła do odkrycia intrygującej tajemnicy antropologicznej. Od 200 000 lat ludzki mózg zachowuje z grubsza ten sam rozmiar i kształt, jednak z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, około 50 000 lat temu, nastąpiła erupcja sztuki, pomysłowości i cywilizacji. Dlaczego? Nikt nie wie. To tajemnicze zjawisko, które nazwano Wielkim Skokiem, budzi zdumienie zarówno antropologów, jak i filozofów.

Dlaczego ludzka inteligencja zaczęła się tak nagle rozwijać?

Wysuwano przeróżne teorie, nie osiągnięto jednak w tej kwestii porozumienia. Uważa się powszechnie, że Wielki Skok zbiegł się w czasie z migracją wczesnych ludzi z Afryki, kiedy to człowiek poznawał nowe lądy i spotkał się z wyjątkowymi wyzwaniem, co z kolei pobudziło innowacyjność i zmieniło sposób postrzegania życia.

A jeśli chodziło o coś więcej? Jeśli podczas tej migracji wczesny człowiek napotkał na swej drodze coś znacznie ważniejszego niż tylko nowe ziemie, coś, co zmieniło nasze DNA? Genetycy wiedzą, że właśnie w tym okresie ludzie po raz pierwszy napotkali plemiona neandertalczyków i zaczęli się z nimi krzyżować.

Jednym z udowodnionych aspektów biologii jest zjawisko tak zwanego „wigoru hybrydowego”, kiedy to owocem połączenia się dwóch różnych gatunków jest potomstwo o znacznie silniejszej konstytucji niż którekolwiek z rodziców – i odnosi się to także do poziomu inteligencji. Oto przykład: muły są rezultatem krzyżówki

klaczy i osła, a testy postrzegania przestrzennego potwierdzają, że muły są o wiele bystrzejsze od swych rodziców.

Czy jednak „wigor hybrydowy” dotyczy także ludzi? Czy ze związków neandertalczyków i wczesnych ludzi mogły się rodzić dzieci o większej, bardziej rozwiniętej inteligencji? Trudno odpowiedzieć z całą pewnością, gdyż obecnie nie jest możliwe stworzenie tak czystej hybrydy, osobnika, który byłby w 50 procentach *Homo neanderthalensis* i w 50 procentach *Homo sapiens* (choć nie jesteśmy daleko od osiągnięcia tego celu, co budzi mnóstwo wątpliwości natury etycznej). Mimo wszystko wiemy, że nasze krzyżowanie się z neandertalczykami było na tyle korzystne, że wciąż mamy w swoim genomie ich DNA.

Tak więc badanie owej możliwości stało się niejako ziarnem, z którego wyrosła ta książka. Przyjrzyjmy się jednak dokładniej pewnym faktom i spróbujmy ustalić, co jest prawdą, a co nie.

### Neandertalczyki i inne hominidy

Nasze pojmowanie historii wczesnego człowieka i związków z innymi plemionami w ciągu dwóch ostatnich lat znacznie się zmieniało. Nawet w trakcie pisania tej książki musiałem bezustannie korygować fabułę, żeby uwzględniać najnowsze odkrycia. Wiemy, że ślady w naszym genomie pozostawili nie tylko neandertalczyki, lecz również wymarły gatunek zwany denisowianami – dostarczyciele cennego i unikalnego genu, dzięki któremu Tybetańczycy mogą żyć na dużych wysokościach. W ciągu minionego roku ustalono także, że pewne „linie papilarne” w naszym DNA sugerują, że do genomu ludzkiego dorzucił też coś trzeci wymarły gatunek, antropologowie jednak jeszcze go nie zidentyfikowali – choć uważają, że jego przedstawiciele żyli gdzieś na Dalekim Wschodzie i stanowili zapewne potomków naszego wcześniejszego krewniaka, zwanego *Homo erectus*.

To kieruje naszą uwagę na inny ważny gatunek hominidów, megantropa, stanowiącego boczną linię *Homo erectus* i żyjącego na

Dalekim Wschodzie współcześnie z wczesnym człowiekiem. Czy jest to ten tajemniczy, od dawna zaginiony współautor naszego DNA? Dzięki wykopaliskom i badaniu skamielin wiemy, że przedstawiciele tego gatunku byli ogromni; według niektórych szacunków mierzyli dobrze ponad dwieście siedemdziesiąt centymetrów.

Dzieliły z nami planetę także inne gatunki hominidów, na przykład przypominający hobbitów *Homo floresiensis* z Indonezji czy tajemniczy ludzie z Jaskini Czerwonego Jelenia w Chinach. Tak więc prawdziwa historia wczesnego człowieka wciąż wzbogaca się o nowe fakty.

Wreszcie, choć w tym wypadku nie chodzi o hominidy, warto wspomnieć, że wymarły gatunek gigantycznego goryla, *Gigantopithecus blacki*, naprawdę istniał na Dalekim Wschodzie i przetrwał dostatecznie długo, by dzielić ziemię z wczesnym człowiekiem. Bestie te osiągały wzrost trzech metrów i ważyły pół tony. Niektórzy uważają, że takie istoty wciąż żyją w odległych zakątkach Himalajów i mogą stanowić źródło legend o yeti i człowieku śniegu.

Występujące w tej powieści hybrydy są fikcyjnym tworem powstałym z połączenia megantropa i gigantopiteka.

Jeśli chodzi o więcej informacji na temat neandertalczyków, polecam lekturę książki *Neanderthal Man: In Search of Lost Genomes* autorstwa Svantego Pääbo.

Naczelne

Powieść ta zawiera mnóstwo wiadomości dotyczących goryli, ich inteligencji i samoświadomości, włącznie z faktem, że osobniki znające język migowy uczą go swych pobratymców i lubią nadawać imiona rzeczom, ludziom i innym gorylom. Inteligencja ta i świadomość stanowią także cechę innych małp człekokształtnych (szympanśów, orangutanów i szympansów karłowatych) i znalazły swój wyraz w charakterze Baako. Od dłuższego czasu panuje przekonanie, że naczelne zasługują na ochronę. Unia Europejska,

Australia, Japonia i Nowa Zelandia już zakazują albo ściśle ograniczają możliwość wykorzystywania dużych małych człękoksztalnych w charakterze zwierząt doświadczalnych. Stany Zjednoczone nie wprowadziły takich zakazów i wciąż zezwalają na używanie goryli i szympanów w projektach naukowych, z ograniczoną kontrolą i nadzorem. Może już najwyższy czas, byśmy zrewidowali tę politykę.

## Chiny

Przez pewien czas przebywałem w Chinach, zbierając materiały do tej książki, i dowiedziałem się, jak wspaniali żyją tam ludzie, ale pozostaje kilka poważnych kwestii związanych z tajnością działań rządu i szpiegostwem. Naprawdę odwiedziłem pekińskie zoo i stwierdziłem, że jego stan jest zatrważający. Władze wciąż dają do zrozumienia, że zamierzają to zmienić i przenieść zwierzęta do większego i nowocześniejszego obiektu za miastem. Mam nadzieję, że teraz, kiedy opisałem, jak to wygląda, przyspieszą realizację tych planów.

Opowieść koncentruje się także na stosowanym nagminnie przez chiński rząd systemie hakerstwa, szpiegostwa i infiltracji. Niemal co miesiąc pojawia się wiadomość o kolejnym tego rodzaju ataku, a umieszczanie swoich obywateli na amerykańskich uczelniach i w różnych instytucjach – co w znacznym stopniu sponsorują amerykańscy podatnicy poprzez granty i system stypendiów – staje się jeszcze większym zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego USA, nie wspominając już o przenoszeniu kapitału intelektualnego za granicę.

Kiedy pisałem tę opowieść o nonszalancji, z jaką Chińczycy są gotowi manipulować ludzkimi embrionami, zacząłem otrzymywać wiadomości o grupie chińskich badaczy, którzy eksperymentowali z modyfikacją ludzkiego genomu na poziomie komórek zarodkowych, co stanowi pierwszy krok na drodze do przejęcia kontroli nad ewolucją człowieka. Jak wynika z artykułu w „New Scientist”,

przynajmniej jedna grupa w USA i kilka innych w Chinach kontynuuje owe prace nad ludzkimi embrionami. Zatem jak daleka od prawdy jest fabuła Labiryntu kości? Kiedy może stać się prawdą? Zapewne już się nią stała.

Ojciec Atanazy Kircher

Wspominałem na początku książki o tym katolickim duchownym, człowieku znanym jako Leonardo da Vinci zakonu jezuitów. Niemal każdy szczegół jego życia, zawarty na tych stronach, jest prawdziwy: począwszy od jego dzieł, tak praktycznych, jak i fantastycznych, a skończywszy na jego przygodach, między innymi zejściu w głąb Wezuwiusza przed erupcją wulkanu. To połączenie nauki i wiary wydaje mi się fascynujące. Z pewnością chętnie zaprosiłbym go do domu na kolację – razem z jego przyjacielem paleontologiem, Nicolausem Steno.

Historia związku Kirchera z sanktuarium na Mentorelli jest także prawdziwa, łącznie z faktem, że spoczywa tam jego serce. I choć dodałem „dzieje języka” wyryte na ścianach kaplicy i sekretną komnatę pod jej posadzką, warto wspomnieć, że Kircher był niezwykle biegłym inżynierem, który tworzył wszelkiego rodzaju urządzenia mechaniczne i roboty. Na Uniwersytecie Stanforda zrekonstruowano kilka jego urządzeń, między innymi zegar magnetyczny, w Los Angeles zaś znajduje się całe muzeum poświęcone jego dziełu, nazywane Muzeum Technologii Jurajskiej.

Wreszcie, nie ja pierwszy zauważyłem, że mapa Atlantydy, która pojawia się w *Mundus Subterraneus* (jak twierdził, pochodziła ze starożytnych źródeł egipskich) przypomina uderzająco Amerykę Południową.

Przejdźmy więc do tej konkretnej możliwości.

Atlantyda i ojciec Carlos Crespi



Opis kolekcji artefaktów Crespiego (liczącej ponad 70 000 egzemplarzy) jest zgodny z prawdą, ale zbiór ten wciąż otacza mgła tajemnicy. Wiadomo na pewno, że ojciec Crespi wierzył niezachwianie, iż artefakty te stanowią niezbity dowód istnienia w Ekwadorze zaginionej cywilizacji, która komunikowała się z resztą świata. Większość archeologów nie zgadza się z tą hipotezą i uważa, że owe dary tubylców były podróbkami. Ale wraz z rozproszeniem jego kolekcji po różnych muzeach – państwowych i prywatnych – nikt nie dokonał jej właściwej inwentaryzacji. W moim przekonaniu twierdzenie, jakoby tubylcy tworzyli takie falsyfikaty ze złota i kamieni szlachetnych, przeczy zdrowemu rozsądkowi. Poza tym Crespi nie był głupcem. Miał wiele doktoratów, mieszkał w tamtym rejonie przez pięćdziesiąt lat; znał go, a także jego mieszkańców znacznie lepiej niż jakikolwiek archeolog.

Więcej informacji na temat tej kolekcji czytelnik znajdzie w książce Richarda Wingate'a *Atlantis in the Amazon: Lost Technologies and the Secrets of the Crespi Treasure*.

Jeśli chodzi o to, jak historia Petronia Jaramilla i Neila Armstronga łączy się z odkryciami Crespiego, dysponujemy wyczerpującą i fascynującą relacją Stana Halla, człowieka doskonale zorientowanego w sprawie. Jest to ekscytująca i skłaniająca do licznych refleksji lektura. W tej samej książce znalazłem relację Jaramilla z jego wyprawy do zaginionej biblioteki. Jeśli chodzi o wizytę naszych bohaterów w zatopionym mieście, oparłem się luźno na tym właśnie opisie, od ogrodu rzeźb po złoty szkielet na kryształowym podeście. Oczywiście, pozwoliłem sobie w tym wypadku na dużą dowolność.

Stan Hall *Tayos Gold: The Archives of Atlantis*.

Starożytne cywilizacje

W Labiryncie kości poświęca się dużo uwagi możliwości istnienia zaginionej cywilizacji pradawnych nauczycieli – nazywanych Czuwającymi, Atlantydami, Bractwem Świętych czy po prostu

nieznaną grupą megalitycznych budowniczych. Szczegóły dotyczące tajemnic przymiaru megalitycznego i jego związku z obwodem planety odpowiadają temu, co opisano w książce. Jednakże ledwie tknąłem prawdziwą historię tego odkrycia. Jeśli chodzi o bardziej wiarygodne i wyczerpujące informacje, polecam lekturę książki Christophera Knighta i Alana Butlera *Civilization One: The World Is Not As You Thought It Was*.

Ci sami autorzy omówili też szerzej znaczenie liczby 366 w odniesieniu do Ziemi, Słońca i Księżyca. Idźmy więc dalej.

### Tajemnice Księżyca

No dobrze, przyznaję, nigdy nie kwestionowałem dziwnego zbiegu okoliczności, że podczas całkowitego zaćmienia solarne cień Księżyca zakrywa idealnie tarczę Słońca. Ale jest to dziwne. Dzieje się tak tylko dlatego, że Księżyc jest 400 razy mniejszy niż Słońce i znajduje się w miejscu stanowiącym 1/400 odległości między Ziemią a Słońcem. Issac Asimov uważa to osobliwe ustawienie za „najbardziej nieprawdopodobny zbieg okoliczności, jaki można sobie wyobrazić”.

Inne proporcje i zależności opisane w tej książce są także dokładne i pochodzą z szokującej książki Christophera Knighta i Alana Butlera *Who Built the Moon?*

Oto jeden z tych zbiegów okoliczności opisanych matematycznie, ujawniający magię liczby 366.

$$\frac{\text{Biegunowy obwód Ziemi}}{\text{Obwód Księżyca}} = \frac{40\,008 \text{ km}}{10\,917 \text{ km}} \times 100 = 366\%$$

Co jeszcze możemy zrobić z tymi liczbami?

Liczba 37

Wbrew temu, co twierdzi Doug Adams w *The Hitchhiker's Guide to the Galaxy*, najważniejszym kryterium życia, świata i wszystkiego nie jest 42.

Jest nim 37.

Knight i Butler w swojej książce uzyskali liczbę 366, dzieląc obwód planety wyrażony w minutach kątowych na 6 sekund. Widząc to, podrapałem się po głowie, popatrzyłem na swój zegarek i postanowiłem podzielić ten obwód na zwyczajowe 60 sekund. Otrzymałem liczbę 36,6 – która wciąż ujawnia magię tego fundamentalnego kodu planetarnego, ale jeśli się ją zaokrągli, otrzyma się 37.

Zrobiłem to arbitralnie, ale potem uświadomiłem sobie, że właśnie przeczytałem artykuł w „New Scientist” zatytułowany Is the Answer to Life, the Universe, and Everything 37? Przedstawiał dowody na to, że w naszym kodzie genetycznym kryje się liczba 37. Powtarza się ona raz po raz, zarówno w kodzie, jak i wytwarzanych przez niego aminokwasach.

Dzięki kabalistycznej numerologii zwanej gematrią można znaleźć tę samą liczbę w pierwszym wersie Biblii (wraz z liczbą pi). A w połączeniu ze swym zwierciadlanym odbiciem 73 pozwala odkryć dziwne wzory sześcioramiennych gwiazd.

I wreszcie, średnia temperatura ludzkiego ciała także wynosi 37 stopni Celsjusza.

Co to wszystko oznacza? Czy to dowód jakiejś tajemniczej komunikacji, znak ręki Boga czy po prostu zbieg okoliczności? Materiał do rozmyślań: szanse na przypadkowe pojawienie się tej liczby w naszym kodzie genetycznym wynoszą:

1 do 300 000 000 000 000 000 000 000 000 000 000

Pozostawię wam ocenę tego faktu, ale mając takie szanse wygranej, nie kupiłbym losu na loterii.

Tymczasem ci, którzy pragną dowiedzieć się więcej o tym, jak wyjątkowo – w sposób prawie niemożliwy – wszechświat jest przystosowany do podtrzymywania życia, niech zajrzą do książki napisanej przez kosmologa z Uniwersytetu Stanowego Arizony, Paula Daviesa, The Goldilocks Enigma: Why Is the Universe Just Right for Life?



# Uwagi końcowe

Σ

Nie wiem, czy synchroniczność proporcji zawartych w naszym kodzie genetycznym i znacznie dalej, w symfonii gwiazd, skrywa jakieś przesłanie. Może to jedynie tajemnica, która każe nam podziwiać i szanować to, co nas otacza, bez względu na nasze przekonania. Może to głos, który wzywa, byśmy zachowali tę planetę, jej gatunki, ten ogród życia; respektowali empatię i inteligencję w jej niezliczonych formach; pamiętali, że miłość nie musi być cechą wyłącznie ludzką.

A może to proste, może chodzi o to, by spoglądać na księżyc i zastanawiać się, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. To jest właśnie pytanie, które zapoczątkowało tę książkę – i być może stanowi dobry powód, by w tym miejscu się zatrzymać.

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum.